

Prószynski i Ska

STARE DOBRE CZASY



Antologia SF

STARE DOBRE CZASY

O Autorze tej antologii

Gardner Dozois już od ponad dziesięciu lat jest redaktorem naczelnym „Asimov’s Science Fiction”. W tym czasie wielokrotnie zdobywał Hugo dla Najlepszego Wydawcy Roku. Jest autorem powieści „Nightmare Blue” (wraz z George’em Alekiem Effingerem) oraz „Strangers”; jego opowiadania, które przyniosły mu dwie Nebule, zostały zebrane w „Geodesic Dreams”. W innym zbiorze, zatytułowanym „Slow Dancing Through Time”, znajdują się utwory napisane wspólnie m.in. z Jackiem Dannem, Michaeliem Swanwickiem oraz Susan Carper. Urodzony w Salem w stanie Massachusetts mieszka obecnie w Filadelfii.

Spis treści

Wstęp

A.E. van Vogt RULL (*The Rull*)

James H. Schmitz DRUGA NOC LATA (*The Second Night of Summer*)

L. Sprague de Camp GWIZDEK GALTONA (*The Galton Whistle*)

Jack Vance NOWY NAJWYŻSZY (*The New Prime*)

C. M. Kornbluth TA CZĄSTKA CHWAŁY (*That Share of Glory*)

Leigh Brackett OSTATNIE DNI SHANDAKORU (*The Last Days of Shandakor*)

Murray Leinster MISJA BADAWCZA (*Exploration Team*)

Poul Anderson LUDZIE NIEBA (*The Sky People*)

Gordon R. Dickson CZŁOWIEK W TORBIE NA LISTY (*The Man in the Mailbag*)

Cordwainer Smith MALE KETKI MAMY HETKI (*Mother Hitton's Littul Kittons*)

Brian W. Aldiss RODZAJ SZTUKI (*A Kind of Artistry*)

H. Beam Piper BÓG PROCHU (*Gunpowder God*)

Ursula K. LeGuin NASZYJNIK SEMLEY (*Semley's Necklace*)

Fritz Leiber POJEDYNEK (*Moon Duel*)

Roger Zelazny BRAMY JEGO TWARZY, LAMPY JEGO UST (*The Doors of His Face, the Lamps of His Mouth*)

James Tiptree Jr. MATKA W NIEBIE DIAMENTÓW (*Mother in the Sky with Diamonds*)

Oto osoby, którym pragnę serdecznie podziękować za pomoc:

Susan Casper, Janet Kagan, Barry N. Malzberg, Darrell Schweitzer, Virginia Kidd, Vaughne Lee Hansen, Kirby McCauley, Kay McCauley, Ralph M. Vicinanza, Chris Lotts, Richard Curtis, Ginjer Buchanan, Jennifer Uram, Mark McCloud, Eleanor Wood, Ashley D. Grayson, Dan Hooker, Gordon R. Dickson, David W. Wixon, Poul Anderson, Brian W. Aldiss, L. Sprague de Camp, Catharine Crook de Camp i oczywiście specjalne podziękowania dla mojego własnego wydawcy przy tym projekcie, Gordona Van Geldera.

Gardner Dozois

Wstęp

Mawiamy w skrócie, że dorośliśmy od magazynów pulpowych do „Astounding” i od „Astounding” do obecnego stanu oświecenia. To kłamstwa. Czytamy pulpę i „ASF” jednocześnie i równie zachłannie, to są dwie strony tej samej monety, a nasz wyjątkowy związek z pulpą był bardziej intrygujący, bardziej świeży, nawet bardziej szczerzy niż wielce szacowny związek z „Astounding”. Nasze obecne oświecenie, które niewątpliwie przygaśnie z perspektywy nadchodzących lat, nie pochodzi w linii prostej od „ASF”, tylko od skomplikowanych interakcji miłości i nienawiści do pulpy i „nowoczesnej fantastyki naukowej”, buzujących w naszym wnętrzu.

Algin Budrys, „The Magazine of Fantasy Science Fiction”, styczeń 1977

Fantastyka naukowa może być oknem na światy, których inaczej nigdy nie zobaczymy, pokazywać ludzi i istoty, których inaczej nigdy nie spotkamy, odkrywać działanie wewnętrznych mechanizmów naszego społeczeństwa, które trudno nam dostrzec, umożliwić spojrzenie na naturę ludzką i postawy moralne z perspektywy nieosiągalnej w inny sposób; może przygotować nas na nieuniknione i czasami przerażające zmiany, posłużyć jako amortyzator szoku przyszłości; może ostrzegać i straszyć, może być gniewna i karząca, może być smutna i elegijna, może być mądra i głęboka - ale czasami jest tylko zabawna.

Czasami to „tylko” czysta rozrywka. Czasami to przygoda - ten rodzaj przygody dostępny tylko tutaj, gdzie nowe światy otwierają się przed nami, czekając na odkrycie i zbadanie, a straszliwe nowe niebezpieczeństwa, niewyobrażalne na znajomej starej Ziemi, zagrażają na każdym kroku.

„Zabawa” to termin niezbyt popularny w naszym współczesnym zabieganym, udęczonym, poważnym - jeśli nie wręcz ponurym - społeczeństwie, gdzie każdy wciąż czujnie ogląda się przez ramię z obawy przed krachem na giełdzie, atakiem nuklearnym, uderzeniem asteroidy, wirusem Ebola, El Nino, globalnym ociepleniem, zniszczeniem warstwy ozonowej, kwaśnym deszczem, kancerogennymi składnikami w jedzeniu, chorobą wściekłych krów, promieniowaniem mikrofalowym, pustynnieniem, porywaczami z latających talerzy, szalonymi dyktatorami, złowrogimi rządowymi spiskami, zakusami korporacji i wszelkimi innymi zagrożeniami, które codziennie wiszą nam nad głową na cienkim włosku. Zabawę w gruncie rzeczy często traktuje się jak karygodne folgowanie niskim popędom w czasach, kiedy mamy Ważniejsze Rzeczy do roboty.

Nikt jednak, choćby najbardziej zaangażowany, skupiony i obowiązkowy, nie może być poważny przez cały czas. Czasami trzeba się odprężyć i rozerwać.

To samo dotyczy fantastyki naukowej jako gatunku, nawet jeśli staje się poważna, głęboka i problemowa. Czasami pisarze klecą po prostu zabawną, na wskroś przygodową historyjkę z szybką akcją i bez żadnych ograniczeń, czystą rozrywkę, gdzie wszelkie poważniejsze implikacje czy problemy społeczne - które występują nawet w pozornie najbardziej powierzchownych utworach - wyrażają się głównie w podtekstach, ponieważ na pierwszy plan wysuwa się akcja, zaskoczenie, koloryt i - kolejny niemodny termin - przygoda.

Właśnie coś takiego ludzie mają na myśli, kiedy mówią: „już się nie pisuje takich rzeczy”. Owszem, pisuje się, co mam nadzieję zademonstrować w antologii następnej po tej, którą trzymacie w ręku; nadam jej tytuł *Nowe dobre czasy*. Natomiast do niniejszej książki celowe wydawało się - w czasach kiedy fantastyka przygodowa, chociaż wciąż obecna, traktowana jest bardziej krytycznie i chyba mniej ceniona niż inne gatunki SF - włączenie kilku

klasycznych przygodowych opowiadań fantastycznonaukowych. Opowiadania te wciąż bronią się jako przygodowe, równie świeże, wciągające i zabawne jak rzeczy pisane współcześnie, lecz to one pomogły ukształtować gatunek i zawierają w sobie ziarna znacznie późniejszych dokonań oraz wielu jeszcze nie powstałych.

Podobnie jak przy moich wcześniejszych retrospektywnych antologiach, *Modern Classics of Science Fiction*, *Modern Classic Short Novels of Science Fiction* i *Modern Classics of Fantasy*, o mojej motywacji w dużym stopniu zadecydowała walka o zachowanie historycznej ciągłości gatunku, ponieważ proces zapominania zachodzi coraz szybciej i obecnie nawet rzeczy wydane na początku lat osiemdziesiątych, czyli całkiem niedawno, są wyczerpane i niedostępne. Żywot książki na księgarskiej półce trwa teraz tak krótko, a wznowienia po wyczerpaniu nakładu zdarzają się tak rzadko, że młody czytelnik prawdopodobnie nigdy nie miałby okazji zapoznać się z tymi opowiadaniem, nawet słynnymi w swoim czasie, nawet laureatami nagrody Hugo; wielu młodych czytelników pewnie nawet nie słyszało o autorach, których teksty tutaj zebrałem, co odkryłem ze zgrozą podczas rozmów z bystrymi i odczytanymi młodymi ludźmi, uważającymi się za prawdziwych fanów SF, chociaż nie znają Cordwainera Smitha, Alfreda Bestera, Fritza Leibera, Leigh Brackett, Jamesa Schmitza, Murraya Leinstera ani A.E. van Vogta (a nawet jeśli znają te nazwiska, większość nigdy nic tych autorów nie czytała). Ta książka i jej podobne oraz wznowienia klasycznych dzieł, które wciąż sporadycznie ukazują się w wydawnictwach takich jak NESFA Press, Tor, Tachyon Press i White Wolf, to bandaże na otwartej ranie - niestety jednak na razie nie znamy lepszego lekarstwa.

Odkryłem ku mojemu zdumieniu, że wielu osobom wcale nie zależy na starych tekstach i nawet nie zamierzają ich czytać. Taka postawa wydaje się mówić, że nie warto zawracać sobie głowy żadną książką niewydaną w ciągu ostatnich pięciu lat. Kogo obchodzi kupa starych zapleśniałych pulpowych historyjek?

Niestety takie podejście oznacza, że wyrzucamy na śmietnik kawał historii gatunku. Ignorancja wobec przeszłości sprawia, że nie potrafimy zrozumieć (czy nawet docenić) teraźniejszości, a tym bardziej nie mamy bladego pojęcia, dokąd zmierzamy w przyszłości i dlaczego.

Poza tym ja osobiście nie uważam, że te stare historyjki są zapleśniałe - moim zdaniem większość czytelników znajdzie w tej książce równie wiele lub nawet więcej rozrywki niż w tekstach współczesnych. Stare wino nie zawsze bywa najlepsze - ale też nie zawsze zmienia się w ocet.

Jak zwykle przy retrospektywnych antologiach, kiedy już zasiadłem do pracy, stwierdziłem, że chciałbym zamieścić o wiele więcej opowiadań, niż pozwala objętość książki. Musiałem dokonać ostrej selekcji.

Od czasów gdy podgatunek przygodowej fantastyki naukowej zaczął wylaniać się z obszerniejszej i starszej tradycji przygodowej pulpy jako takiej, forma powoli konkretyzująca się jako najbardziej typowa dla fantastyki naukowej (różniąc się od historii typu „zaginiony świat, zaginiona cywilizacja”, których korzenie sięgają połowy XIX wieku - zwykle różniąc się też od poważniejszej w tonie, powolniejszej „wizyty w społeczeństwie przyszłości” popularnej u Hugo Gernsbacka i innych wydawców, którzy zwłaszcza po Wellsie skłaniali się ku utopijnym polemikom i biegali na wycieczki z przewodnikiem po Great Steam Grommet Works) to była Przygoda w Kosmosie.

Chociaż przygodowa fantastyka naukowa posiadała zawsze - i posiada do dziś - również

inne odłamy, kosmiczna przygodówka albo Space opera pozostają chyba najbardziej charakterystyczną odmianą fantastyki przygodowej. Toteż takie opowiadania przede wszystkim wybrałem do tej antologii (choć włączyłem również historię rozgrywającą się na alternatywnej Ziemi, a także historię rozgrywającą się na zniszczonej Ziemi przyszłości po nuklearnej zagładzie, i wolałbym świętoszkowato udawać, że postanowiłem zachować bezstronność i niczego nie pominąć, ale tak naprawdę zrobiłem tak, ponieważ te opowiadania są świetne i zrobiły na mnie olbrzymie wrażenie w dzieciństwie, wprost nie mogłem się oprzeć). Postanowiłem również, że bez względu na warstwę przygodową opowiadanie musi również kwalifikować się do prawdziwej fantastyki naukowej według kryteriów estetycznych oraz poziomu wiedzy naukowej w tamtych czasach; nie chciałem stereotypowych kowbojskich historyjek przerobionych na fantastykę naukową za pomocą prostej metody, że konia zastępujemy statkiem kosmicznym, rewolwer zamieniamy na blaster i tak dalej; zgodnie z tym wymogiem pominąłem również większość rzeczy z „Weird Tales” z lat trzydziestych i „Planet Stories” z lat czterdziestych, należących do gatunku horroru lub magii i miecza, które przebrano za fantastykę naukową, stosując równie naiwne zabiegi. Tak więc *planetary romances*, przygody na obcych planetach, przygody w kosmosie i Space opery przyjmowałem tylko wtedy, jeśli stanowiły coś więcej niż przetłumaczoną wersję standardowej odgrzewanej przygodówki rozpowszechnionej w innych gatunkach pulpy, jeśli zawierały jakiś element, pomysł, wizję, która solidnie kotwiczyła je w gatunku fantastyki naukowej, jeśli straciłyby swoją wymowę - a przynajmniej impet - przetłumaczone na inny gatunek.

(Oczywiście te sądy pozostają subiektywne. Wierzę, że potrafię wychwycić subtelne różnice odcieni pomiędzy fantastyką przygodową, Space operą, kosmicznym romanssem i opowieścią o przygodach na obcej planecie - w następnym tomie będę się upierał, że potrafię też uchwycić subtelne różnice pomiędzy cyberpunkiem, hard SF, radykalną twardą fantastyką naukową a nową barokową Space operą - podobnie jak dostrzegam różnicę pomiędzy lodami waniliowymi, śmietankowymi, karmelowymi i czekoladowymi; lecz smak to kwestia gustu, trudno go zdefiniować i w końcu coś, co dla mnie smakuje jak wanilia, dla was może smakować jak czekolada).

Nawet jednak po podjęciu tych decyzji potencjalna liczba wybranych przeze mnie opowiadań przekraczała trzykrotnie lub czterokrotnie dopuszczalną objętość książki. Gdybym wydawał wielowymiarową, nieskończenie rozciągliwą, idealną antologię, chętnie zamieściłbym je wszystkie, żeby przedstawić cały rozwój literatury fantastyczno-prygodowej z należyтым pietyzmem, poczynając od okresu „supernaukowej” w latach dwudziestych i trzydziestych. Niestety tam za oknem jest prawdziwy świat, a ta książka pomieści tylko ograniczoną ilość materiałów. Musiałem dokonać kolejnego odsiewu, podjąć następne decyzje - niektóre dość drakońskie - jakie okresy historyczne zamierzam pokazać w tej antologii, a jakich nie zamierzam prezentować.

W celu lepszego zrozumienia tych decyzji powinniśmy zatrzymać się na chwilę, żeby poznać skróconą historię rozwoju przygodowej fantastyki naukowej, od jej początków w *Amazing Stories* Gernsbacka pod koniec lat dwudziestych aż do lat dziewięćdziesiątych, ale nie mamy na to miejsca. Wystarczy powiedzieć - w brutalnie okrojonej i zniekształconej wersji prawdy, bez żadnych ustępstw na rzecz wyjątków i sprzeczności - że zanim najstarsze z zebranych tu opowiadań ukazały się drukiem, po drugiej wojnie światowej, fantastyka naukowa przeszła fazę nazywaną czasami w retrospekcji erą „supernauki” z lat dwudziestych i trzydziestych, pierwszą wielką epoką Space opery, kiedy pisarze tacy jak E.E. „Doc” Smith,

Ray Cummings, Raymond Z. Gallun, Edmond Hamilton, John W. Campbell, Jack Williamson, Clifford D. Simak i inni ogromnie rozszerzyli scenę, na której mogły się rozgrywać opowiadania fantastyczno-przygodowe; na przykład przed E.E. Smithem pisarze SF rzadko zapuszczali się poza Układ Słoneczny w swoich utworach, lecz pod koniec ery „supernauki” opanowali całą Galaktykę - i całą resztę wszechświata. Ponadto zwiększyli zarówno dopuszczalny zasięg akcji, jak i rozmiar ryzyka; nie na darmo Edmond Hamilton otrzymał na przykład przydomki „Niszczyciel światów” albo „Planetobójca”, a kosmiczne floty gigantycznych, długich na milę wojennych okrętów wyposażonych w straszliwe, supernaukowe, antyplanetarne rodzaje broni, pędzące nieustannie przez otchłanie kosmosu w całej późniejszej historii fantastyki naukowej (i w komiksach, w telewizji, na ekranach kin i na monitorach pod postacią komputerowych gier fantastyczno-przygodowych) po raz pierwszy wyruszyły w swoją papierową podróż na stronicach pulpowych magazynów z lat dwudziestych i trzydziestych.

Jednak do roku 1948 - kiedy ukazało się najstarsze zamieszczone tu opowiadanie, *Rull* A.E. van Vogta - my również przeżyliśmy campbellowską rewolucję w fantastyce naukowej, kiedy nowy wydawca magazynu „Astounding”, John W. Campbell, samą siłą woli (wspomagana przykładem radykalnych nowych pisarzy, jak Robert A. Heinlein i Isaac Asimov), zmienił obowiązującą definicję „dobrego” opowiadania fantastycznonaukowego, doprowadzając do dewaluacji bardziej krzykliwych i melodramatycznych pulpowych kawałków o najniższym wspólnym mianowniku na rzecz lepiej napisanych, bardziej przemyślanych tekstów, które próbowały już przestrzegać zasady wiarygodności naukowej, dążąc do stworzenia „takiego opowiadania, które można zamieścić w czasopiśmie z 2000 roku” jako całkowicie współczesne, opowiadania bez żadnych „cudeniek”, kiedy autor „po prostu przyjmuje technologię na wiarę”. Oczywiście istniały wyjątki i wiele przygodowych tekstów, włącznie z dość krzykliwą Space operą, nadal ukazywało się w „Astounding”, późniejszym „Analog”, kiedy czasopismo zmieniło nazwę - posunięcie samo w sobie symbolizujące campbellowskie pragnienie odejścia od tandety w stronę szacownej, poważnej polemiki - do końca życia Campbella; lecz cel został wyraźnie określony. I chociaż Campbell czasami dawał się uwieść przygodowym historyjkom pełnym rozmachu i szybkiej akcji - jak *Diuna* Franka Herberta, która pomimo pewnych zręcznych idei na temat funkcjonowania społeczeństwa, trafiających dokładnie w gust Campbella, jest przede wszystkim barokową Space operą na skalę niespotykaną od czasów „supernauki” - świadomie usiłował sterować w kierunku „powagi”.

Jednym z rezultatów campbellowskiej rewolucji - jak na ironię, ponieważ sam Campbell należał do najbardziej rozhasanych planetobójców „supernaukowej” ery - była stopniowa deklaszacja fantastyki przygodowej i Space opery; stawały się niemodne, przestarzałe, przebrzmiałe, już nie w tych gatunkach powstają przełomowe teksty. Sam termin „Space opera” - ukuty w 1941 roku przez Wilsona Tuckera (na wzór starszych i równie negatywnych określeń „opera mydlana” i „końska opera”) i oznaczający „prymitywny, zgrzytający, cuchnący, zużyty kosmiczny kicz” - miał szyderczy wydźwięk, pogardliwy posmak, który na stałe przywarł do tego pojęcia. Nawet obecnie Space opera trąci czymś tandetnym, nieco ordynarnym, lekko podejrzanym i nagannym, toteż ludzie lubiący Space operę często troszkę wstydzą się do tego przyznać, jakby ich przyłapano na czymś nieprzyzwoitym, folgowaniu zakazanym i szkodliwym nałogom, wręcz niepoprawnym politycznie, jak objadanie się chrupkami ziemniaczanymi albo czekoladowymi batonami, albo zamawianie na obiad

niezdrowego hamburgera zamiast dietetycznej sałatki szefa kuchni, albo oglądanie westernów zamiast filmów autorskich. (Jak na ironię właśnie ten posmak zakazanego owocu w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przyciągnął do gatunku nowych pisarzy, szukających okazji, żeby wywiesić piracką flagę i zostać wyrzutkami społeczeństwa).

Campbellowską rewolucję wzmocniło powstanie na początku lat pięćdziesiątych aż dwóch dużych magazynów fantastycznych, „Galaxy” i „The Magazine of Fantasy Science Fiction”, których wydawcy popychali przyjęty model fantastyki naukowej jeszcze bardziej w kierunku psychologicznej i socjologicznej dojrzałości oraz literackiego wyrafinowania stylu i koncepcji, czasami posuwając się dalej niż sam Campbell - i tym samym odchodząc jeszcze dalej od znajomej przygodowej pulpy, która w rezultacie stała się jeszcze bardziej *declassé*.

Rewolucja Campbella i późniejszy start „Galaxy” oraz „FSF” wywołały kolejne ironiczne skutki: podwyższono standardy literackie na całym terenie fantastyki, nawet w magazynach takich jak „Planet Stories” czy „Thrilling Wonder Stories”, których czytelnicy teraz też chcieli dostawać produkt lepiej napisany pod każdym względem... toteż nawet na rynku przygodowej pulpy opowiadania niezgrabne i źle napisane, które przyjęto by do druku bez gadania w 1935 roku, napotykały większe przeszkody w roku 1955 - a poziom literacki wymagany przez wiodące magazyny „Astounding”, „Galaxy” i „FSF” gwałtownie się podnosił. Ustawiono wyżej poprzeczkę na stałe dla całego gatunku, jednakowo dla arystokracji i wyrobników. (A niektóre rzeczy wydawane na rynku „wyrobników” jako fantastyka przygodowa próbująca ewoluować, utwory Jacka Vance’a, Raya Bradbury’ego, Charlesa Harnessa, Theodore’a Sturgeona i innych, chociaż wówczas cenione niezbyt wysoko, w retrospekcji wyglądają równie dobrze, jeśli nie lepiej, niż większość tych bardziej „szacownych” towarów oferowanych przez wiodące magazyny).

Pomogło mi to ustalić jeden parametr dla książki. Nie chciałem tworzyć antologii złożonej z zakurzonych muzealnych eksponatów, literackich ciekawostek tak przestarzałych pod względem stylu i estetyki, że bawią tylko postrzegane przez pryzmat nostalgii; chciałem wydać książkę, która zabawi również współczesnych czytelników, opowiadań równie żywych i interesujących dla dzisiejszego fana jak te, które znajduje na półkach księgarni - dlatego nie mogłem zejść poniżej pewnego poziomu. Smutną prawdą jest, że klasyczne opowiadania z lat dwudziestych i trzydziestych, chociaż zawierają ziarna późniejszych dokonań, często są tak źle napisane (i przestarzałe stylistycznie, nawet jeśli poprawnie skonstruowane), że dla współczesnego czytelnika brzmią mętnie i niezrozumiale. Postanowiłem więc pominąć tutaj erę „supernauki” z lat trzydziestych (zresztą obficie reprezentowaną w antologiach takich jak Isaaca Asimova *Before the Golden Age* i Damona Knighta *Science Fiction of the Thirties*) i skoncentrować się na utworach wydanych po drugiej wojnie światowej, w okresie szybkich zmian i wymuszonej ewolucji na rynku fantastyki, który już wchłonął i zastosował wiele estetycznych lekcji campbellowskiej rewolucji. Ponadto „po drugiej wojnie światowej” stanowi ładny i symbolicznie oczywisty punkt wyjścia - powojenna sceneria fantastyki naukowej różniła się radykalnie od przedwojennej i nawet kilku autorów, którzy publikowali przed wojną, jak Jack Williamson i Clifford D. Simak, po wojnie całkowicie zmieniło styl i poglądy.

Zakończenie drugiej wojny światowej stanowiło dolną granicę, ale wciąż pozostało do zaprezentowania ponad pięćdziesiąt lat aż do dnia dzisiejszego, okres zbyt długi, żeby pomieścić go w jednym tomie. Musiałem podzielić antologię na dwa tomy, a drugi zatytułowałem *Nowe dobre czasy*. Pozostawało jednak pytanie: w którym miejscu

przeprowadzić podział?

Przygodowe opowiadanie fantastycznonaukowe, zwłaszcza jego wyspecjalizowana forma zwana kosmiczną przygodówką lub Space operą, przeszło wymuszoną cieplarnianą ewolucję w latach pięćdziesiątych i do połowy lat sześćdziesiątych. W retrospekcji ten okres można uznać za drugą wielką epokę Space opery, chociaż fakt ten często przechodzi niezauważony wskutek wysuwania na pierwszy plan - zarówno wtedy, jak obecnie - utworów wykraczających poza ramy fantastyki przygodowej, zwłaszcza publikowanych w „Galaxy”. A jednak w tamtych latach pisarze tacy jak Poul Anderson, Jack Vance i James H. Schmitz byli u szczytu sił twórczych, L. Sprague de Camp wydawał swoje opowiesci z cyklu *Viagens Interplanetarians*, Cordwainer Smith tworzył najlepsze swoje opowiadania o Instrumentalicy Ludzkości, Brian W. Aldiss pomagał wynaleźć nowoczesną formę science fantasy z niesamowitymi i bajecznie kolorowymi przygodami (głośno atakowaną w owym czasie za brak naukowej rzetelności - nie bez podstaw, chociaż takie protesty wydają się mocno chybione) w swojej powieści *Cieplarnia*, Robert A. Heinlein (z różnym powodzeniem) rozcieńczał fantastykę przygodową, żeby była bardziej strawna dla czytelników „The Saturday Evening Post”, a jednocześnie dzięki swoim „młodzieńczym” powieściom - właściwie powieściom młodzieżowym według dzisiejszej klasyfikacji - przyciągał do gatunku całe nowe pokolenia czytelników (podobnie jak Andre Norton), Hal Clement wydał dwie swoje najlepsze książki: *Mission of Gravity* i *Cycle of Fire...* Alfred Bester zaś podniósł poprzeczkę dla barokowej Space opery w 1956 roku powieścią *Gwiazdy moim przeznaczeniem* (nadal jedną z najważniejszych książek w historii SF, nie bardziej typową dla „Galaxy” H.L. Golda, kładącego nacisk na ostrą społeczną satyrę, niż *Diuna* Franka Herberta była typowa dla „Analog” - trudno się oprzeć dobrej przygodówce!), po czym Frank Herbert podniósł ją jeszcze wyżej, przynajmniej pod względem złożoności tła społecznego - Bester miał więcej brawury i bardziej zawrotne tempo - w *Diunie*.

W połowie lat sześćdziesiątych powstał nawet ponownie magazyn specjalizujący się - chociaż nie nominalnie - w pierwszorzędnych przygodowych opowiadaniach („Thrilling Wonder Stories”, „Planet Stories” i „Startling Stories” znikły wszystkie pod koniec lat pięćdziesiątych, razem z ponad czterdziestoma innymi tytułami, które pojawiły się podczas krótkiego boomu tej dekady), czyli „Worlds of If” Frederika Pohla. Chociaż w zamierzeniu służący za drugorzędny rezerwowo pojemnik na rzeczy niezłe, ale nie dość dobre dla „Galaxy”, wiodącego magazynu Pohla - „drugi rynek zbytu «Galaxy»”, jak mawiał bez ogródek sam Pohl - „Worlds of If” zawsze wydawał mi się znacznie żywszy, swobodniejszy i zabawniejszy od swojej nieco szarej starszej siostry, i ku lekkiej irytacji Pohla wciąż zdobywał nagrodę Hugo dla najlepszego czasopisma zamiast bardziej szacowanej „Galaxy”. Na dodatek do pamiętnych utworów spoza głównego nurtu rozwoju fantastyki przygodowej, autorstwa Harlana Ellisona, Samuela R. Delany’ego, Jamesa Tiptree, Jr., Roberta Silverberga, Philipa K. Dicka, R. A. Lafferty’ego i innych, „Worlds of If” zamieścił również wczesne opowiadania Larry’ego Nivena z cyklu *known space* i długą serię Freda Saberhagena o berserkerach oraz wywołał coś w rodzaju miniboomu na jeszcze bardziej wyspecjalizowaną formę „międzygwiazdowego szpiegowskiego” opowiadania, którą to formę Keith Laumer zaczął parodiować w swoim cyklu *Relief* - chociaż późniejsze opowiadania o Reliefie bardzo przypominają ten wzór, z którego pierwotnie szydziły, zachowując jedynie lekki satyryczny akcent - i jego cykl szybko zdobył popularność na łamach „If”. Później dołączyły kolejne cykle - bez satyrycznego zacięcia - autorstwa C. C. McAppa i innych; niektóre z berserkerskich

opowiadań Freda Saberhagena również można podciągnąć pod tę kategorię. Ta forma rozpowszechniła się w całym gatunku SF połowy lat sześćdziesiątych, czego najwybitniejszym przykładem jest cykl Poul'a Andersona *Dominie Handry* i powieści Jacka Vance'a o Książętach-Demonach, toteż trudno oprzeć się pokusie spekulacji, czy książki Iana Fleminga o Jamesie Bondzie, wówczas na listach bestsellerów, nie wywarły tutaj ukrytego wpływu.

Jednakże można słusznie argumentować, że w połowie lat sześćdziesiątych prawdziwym domem Space opery w Stanach Zjednoczonych nie były żadne magazyny, tylko książki wydawnictwa Ace Books, zwłaszcza tzw. Ace Doubles, które nie tylko wznowiło niemal wszystkie powieści Edgara Rice Burroughsa, ale też wypuściło pod kierownictwem Donalda A. Wollheima długą sekwencję tanich (nawet jak na kieszeń nastolatka!), z krzykliwymi okładkami, paperbackowych wydań przygodowych powieści Poul'a Andersena, Johna Brunnera, Andre Norton, Jacka Vance'a, Gordona R. Dicksona, Toma Purdoma, Kennetha Bulmera, G.C. Edmondsona, Keitha Laumera, A. Bertrama Chandlera, Marion Zimmer Bradley, Avrama Davidsona i tuzina innych autorów - włączając pod koniec lat sześćdziesiątych nowatorskie Space opery nowych pisarzy, jak Samuel R. Delany i Ursula K. LeGuin.

Jednakże pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, może na skutek gwałtownej rewolucji „nowej fali” w SF, propagującej utwory introspektywne i „eksperymentalne” stylistycznie, a także „bardziej zaangażowane” socjologicznie i politycznie w burzliwe społeczne problemy tamtych czasów (krytycy, tacy jak Aldiss, wołali o więcej opowiadań na temat wojny w Wietnamie, problemów młodzieży, ekologii, rewolucji seksualnej, dziejących się w psychodelicznej scenerii i tak dalej, podczas gdy Michael Moorcock wygłaszał swoje słynne żądanie utworów z „prawdziwymi narkotykami, prawdziwym seksem, prawdziwie szokującymi poglądami na społeczeństwo”), może na skutek naukowych dowodów, że na pozostałych planetach Układu Słonecznego nie występuje żaden rodzaj życia, nie mówiąc już o oddychających tlenem humanoidalnych tubylcach, z którymi można walczyć na miecze i/lub uprawiać miłość, może dlatego że szerzej teraz pojmowane ograniczenia Einsteinowskiej teorii względności sprawiły, iż nawet najskromniejsze koncepcje rozległych międzygwiazdnych imperiów wydawały się w najlepszym razie niestosowne (nawet wśród pisarzy SF niektórzy głosili, że sam pomysł międzygwiazdnych podróży to żałosna bzdura, zapomnijmy o gwiazdnych imperiach!), fantastyka naukowa jako gatunek odchodziła od fantastycznej przygody, obecnie jeszcze bardziej niemodnej i *declassé* niż przedtem.

Wierni żołnierze, jak Poul Anderson, Jack Vance i Larry Niven, kontynuowali walkę (w latach sześćdziesiątych ukazała się jeszcze jedna, ostatnia ważna powieść, dokładnie na sam koniec dekady, *Nova* Samuela R. Delany'ego, której wpływ nie zaznaczył się od razu, niewątpliwie jednak odcisnęła niezatarte piętno na późniejszych utworach z gatunku Space opery nowych pisarzy z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych), lecz w następnej dekadzie powstało mniej rzeczy z gatunku fantastyki przygodowej niż w każdym innym porównywalnym okresie historii SF. Na przykład pisarze nowego pokolenia, którzy wybili się pod koniec lat sześćdziesiątych i we wczesnych latach siedemdziesiątych, prawie nic takiego nie stworzyli. Ogromna większość wydanych w tym okresie utworów rozgrywała się na Ziemi, często w bliskiej przyszłości. Nawet Układ Słoneczny przestał się liczyć jako sceneria opowiadań, nie mówiąc o odległych gwiazdach.

Dopiero w późnych latach siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych nowi pisarze,

jak John Varley, George R. R. Martin, Bruce Sterling, Michael Swanwick i inni, znowu zainteresowali się fantastyką przygodową. Lata dziewięćdziesiąte rozpoczęły nowy boom na barokową Space operę, napędzany przez takich autorów, jak Iain M. Banks, Dan Simmons, Paul J. McAuley, Orson Scott Card, Vernor Vinge, Stephen Baxter, Stephen R. Donaldson, Alexander Jabłokov, Charles Sheffield, Peter F. Hamilton i dziesiątki innych, współtworzących nową wielką epokę Space opery.

Ale teraz już wkraczamy w nowe dobre czasy. Oczywiście cezurą dla niniejszego tomu był początek lat siedemdziesiątych, kiedy fantastyka przygodowa właśnie wchodziła w okres bezkrólewia... i w tym miejscu go zakończyłem. Następny tom, *Nowe dobre czasy*, podejmie wątek po okresie bezkrólewia, w połowie lat siedemdziesiątych.

Trudno zaprzeczyć, że kolejny ważny powód powstania tej antologii był dość nostalgicznej natury. Samo kserowanie opowiadań ze starych kruchych czasopism i paperbacków, spoglądanie na jaskrawe okładki i krzykliwe pulpowe reklamy, zmywanie z palców taniej farby drukarskiej, wdychanie wyjątkowego, natychmiast rozpoznawalnego zapachu starego, pożółkłego papieru przyprawiło mnie o tak potężne nostalgiczne wzruszenie, że nierzadko przypominałem sobie dokładnie, gdzie i w jakich okolicznościach po raz pierwszy czytałem dane opowiadanie trzydzieści lat temu albo jeszcze dawniej - i czytając je ponownie, doznawałem jeszcze silniejszej wizji pozaziemskich pejzaży, niezwykłych postaci, niesamowitych stworzeń, dziwacznych koncepcji, jaskrawych kolorów, szalonej akcji.

Lecz przy ponownym czytaniu tych tekstów - ponieważ musiałem przeczytać je wielokrotnie, żeby przygotować tę książkę do wydania - uderzyło mnie, jak dobrze się trzymają, nawet według współczesnych kryteriów. Nie ma tutaj ani jednego opowiadania, które nie sprzedałoby się dzisiaj, gdyby po raz pierwszy trafiło na moje biurko. Zatem uważam, że ta książka to coś więcej niż tylko podróż sentymentalna starzejącego się czytelnika. Myślę, że te opowiadania, jak wszystkie dobre opowiadania, są ponadczasowe. I mam nadzieję, że ta książka - niewątpliwie wówczas już od dawna wyczerpana, spoczywająca na zakurzonej stosie w jakimś antykwariacie, może wystrzępiona i pozbawiona okładki, czekająca na odkrycie przez jakiegoś klienta dostatecznie zniecierpliwionego lub znudzonego, żeby podnieść ją i otrzepać z kurzu - nadal będzie bawiła i fascynowała nowych czytelników za pięćdziesiąt lat od dzisiaj.

Więc usiądźcie wygodnie w fotelu, postawcie obok miseczkę chipsów albo lodów (albo kieliszek dobrego koniaku, jeśli wola) i zaczynajcie lekturę. We wszystkich gatunkach literackich niewiele jest - albo nie ma wcale - lepszych opowiadań przygodowych niż te, które tutaj zebrałem, wykute w ogniu walki na rynku, gdzie opowiadania musiały wzbudzać zainteresowanie czytelnika, żeby się sprzedać.

Takie były stare dobre czasy. Bawcie się dobrze.

A.E. van Vogt był jednym z pierwszych pisarzy science fiction, którzy opublikowali prawdziwą książkę SF w czasie, gdy fantastyka jeszcze nie istniała jako kategoria wydawnicza, a prawie wszyscy twórcy uprawiający ten gatunek - nawet przyszli mistrzowie, jak Robert A. Heinlein - mogli wydawać powieści wyłącznie w odcinkach w magazynach SF. O prestiżu i popularności van Vogta świadczy fakt, że w owym czasie autor ten mógł uważać się za jednego z pierwszych pisarzy, do których wydawcy zazwyczaj się zwracali, kiedy stawiali pierwsze ostrożne kroki zmierzające do uczynienia z fantastyki wydajnej kategorii wydawniczej - ironia losu, bo twórczość van Vogta jest dziś niemal zupełnie nieznana większości czytelników tego gatunku, ukształtowanego przecież z jego pomocą.

Opowiadania van Vogta były bardziej złożone i bogatsze w stylu niż twórczość wielu jego poprzedników z lat trzydziestych - jego najśłynniejsza porada pisarska mówi, że w opowiadaniu co pięćset słów powinien pojawiać się nowy pomysł; najwyraźniej starał się to świadomie stosować we własnej twórczości. Podniósł notowania opery kosmicznej pod koniec lat czterdziestych oraz na początku i w połowie pięćdziesiątych utworami takimi jak Misja międzyplanetarna, Sklepy z bronią na Isher, Świat Nie-A, Slan i Wojna z Rullami, zwiększając stawkę wyobraźni, którą trzeba było wyłożyć, by zasiąść przy stole z wysoką pulą i zagrać z samymi tuzami, co później robili z powodzeniem inni autorzy: Alfred Bester i Jack Vance u schyłku lat pięćdziesiątych, Cordwainer Smith i Frank Herbert w połowie, a Samuel R. Dolany pod koniec lat sześćdziesiątych. Nikt jednak, może z wyjątkiem Bestera w Gwiazdy moim przeznaczeniem (który sam był wyraźnie pod wpływem van Vogta), nie miał szans dorównać van Vogtowi w rozwijaniu szaleńczego, karkołomnego tempa narracji czy też w budowaniu elektryzującego, iskrzącego, paranoicznego napięcia, którym van Vogt umiał przesycać swoją prozę - co powinno okazać się bardziej niż oczywiste w poniższym opowiadaniu, przedstawiającym jedną z klasycznych sytuacji science fiction: Człowiek musi zmierzyć się z Obcym w miejscu, skąd nie ma ucieczki i gdzie przegrana to śmierć, a obaj przeciwnicy są gotowi zrobić wszystko, żeby wygrać.

Van Vogt napisał 65 książek, między innymi - oprócz wymienionych powyżej - The Empire of the Atom, The Wizard of Linn, Gracze Nie-A, Koniec Nie-A, Księga Ptatha, Producenci broni, Dom Wieczności, Masters of Time, The Universe Makers, Quest for the Future, Computer World, The Silkie i wiele innych. W 1996 roku uhonorowano go mocno spóźnioną Mistrzowską Nagrodą Nebula za Dzieło Życia. Duża część twórczości van Vogta od dawna nie ukazuje się w druku i jest zwykle nie do zdobycia, jednak teraz, kiedy czytacie te słowa, reprint jednej z jego najlepszych powieści. Slan, powinien być już wydany w miękkiej oprawie nakładem wydawnictwa Tor, a Misja międzyplanetarna - doniosłe dzieło, wyróżniające się pod wieloma względami, choćby tym, że stanowiło główną inspirację dla twórców oryginalnego serialu Star Trek i wywarło również niebagatelny wpływ na film Obcy - ósmy pasażer Nostromo - powinno być dostępne wraz z powieściami Poula Andersena i Barry'ego N. Malzberga jako część trypowieściowego zbioru Three in Space: White Wolf Rediscovery Trio #2 wydawnictwa White Wolf Borealis. Miejmy nadzieję, że w przyszłości więcej książek van Vogta ponownie pojawi się w druku (osobiście chętnie zobaczyłbym zwłaszcza nowe wydanie Wojny z Rullami, jednej z moich ulubionych książek van Vogta, choć można by także przedstawić całkiem niezłe argumenty na uzasadnienie wznowienia kilku innych tytułów).

A.E. van Vogt

RULL

1

Trevor Jamieson kątem oka dostrzegł lecący statek kosmiczny. Właśnie siedział w zagłębieniu terenu oddalonym o jakieś dziesięć metrów od krawędzi przepaści i o parę metrów od wejścia do swojej kapsuły. Zanim zobaczył ten statek, całą uwagę skupiał na służbowym notatniku, uzupełniając diagram głosowy komentarzem, z którego wynikało, że Laertes III znajduje się tak blisko niewidzialnej linii oddzielającej przestrzeń opanowaną przez Ziemiaków od kosmosu należącego do Rulli, że wcześniejsze odkrycie tej planety przez człowieka w trakcie wojny rullsko-ludzkiej było samo w sobie poważnym zwycięstwem.

Zanotował:

Fakt, że statki rozlokowane na tej planecie mogłyby uderzać na niektóre z najgęściej zasiedlonych obszarów galaktyki, zarówno rullskich, jak i ludzkich, daje jej absolutnie największe prawo do całego dostępnego sprzętu wojskowego. Pierwsze jednostki obronne powinny być umieszczone na szczycie Góry Monolitu, gdzie teraz jestem, w ciągu trzech tygodni...

W tej właśnie chwili zauważył ten statek, w górze i nieco na lewo, zbliżający się do płaskowyzu. Podniósł wzrok i znieruchomiał, schwytyany w po trzask dwóch przeciwnych odruchów. Pierwszy impuls, który kazał mu biec do kapsuły, ustąpił pod naporem przeświadczenia, że ruch zostanie natychmiast zarejestrowany przez elektroniczne receptory nadlatującego statku. Potem Jamieson przez chwilę miał mglistą nadzieję, że jeśli będzie siedział jak mysz pod miotłą, ani on, ani jego pojazd nie zostanie zauważony.

Aż się spocił z niezdecydowania. Spozstrzegł rullskie oznaczenia i smukły, korsarski kształt drugiego statku. Dzięki doskonałej znajomości wszystkiego, co rullskie, mógł od razu sklasyfikować go jako statek badawczy.

Statek badawczy. Rulle odkryli słońce Laertes.

Najbardziej przerażające było to, że ta mała jednostka mogła mieć za sobą całe floty statków bojowych, a Jamieson był sam. Jego kapsuła została zrzucona z „Oriona” w odległości prawie jednego parseka, podczas gdy wielki statek pędził naprzód z prędkością antygrawitacyjną. W ten sposób próbowano zabezpieczyć przelot przez ten obszar kosmosu przed rullskimi wykrywaczami energii. „Orion” miał dotrzeć do najbliższej bazy, zabrać planetarny sprzęt obronny, a potem wrócić. Należało spodziewać się go po dziesięciu dniach.

Dziesięć dni. Jamieson jęknął w myślach, podciągnął nogi pod siebie i zacisnął dłoń na służbowym notatniku. Mimo wszystko wciąż było możliwe, że jego pojazd, częściowo ukryty pod kępą drzew, nie zostanie zauważony, jeśli on sam będzie siedział nieruchomo. Wbił wzrok w obcy statek i z natężeniem myślami wydawał mu polecenie, by zmienił kierunek. Kiedy tak czekał, prawdopodobne skutki katastrofy, która mogła wydarzyć się za chwilę, znów głęboko nim wstrząsnęły.

Rullski statek znajdował się teraz o sto metrów od niego i najwyraźniej nie zamierzał zmieniać kursu. W ciągu paru sekund miał przeciąć kępę drzew, która do połowy skrywała kapsułę.

Nagłym ruchem Jamieson zerwał się z krzesła. Nie zważając na nic, rzucił się ku wejściu do swego pojazdu. Gdy drzwi trzasnęły za jego plecami, kapsuła zadrżała jak od uderzenia olbrzyma. Część sufitu wygięła się do środka, podłoga zakołysała się, a powietrze zrobiło gorące i duszne. Ciężko dysząc, Jamieson wślizgnął się za pulpit sterowniczy i wdusił główny

przycisk postępowania awaryjnego. Szybkostrzelne miotacze radośnie wskoczyły na automatyczne stanowiska ogniowe i wystrzeliły z pomrukiem i gardłowym świstem. Urządzenia chłodzące zajęczały z wysiłku; Jamieson poczuł zimny podmuch. Ulga przyszła tak szybko, że minęła sekunda, zanim zorientował się, że silniki atomowe nie zadziałały. Kapsuła, która w tej chwili miała już sunąć w górę, nadal spoczywała bez ruchu w odsłoniętym miejscu.

W napięciu patrzył w płaskowizory. Odszukanie statku Rulli zajęło mu krótką chwilę. Pojazd znajdował się w dolnym rogu jednego płaskowizora, wolno wylatując z pola widzenia poza kępę drzew oddaloną o niecałe pół kilometra. Jamieson patrzył, jak statek znika, a potem usłyszał przed sobą z odgłosnika wyraźny i oczywisty łoskot, gdy pojazd runął na ziemię.

Ulga, która go ogarnęła, była przytłoczona paskudnym doznaniem. Jamieson opadł na poduszki fotela przed pulpitem, osłabły w obliczu niecodzienności swojego ocalenia. Słabość nagle minęła, gdy wpadła mu do głowy nowa myśl. W zderzeniu wrogiego statku z gruntem była jakaś łagodność. Wstrząs nie zabił Rulli na pokładzie! Jamieson był sam w uszkodzonym pojeździe, a w pobliżu znalazła się co najmniej jedna spośród najbardziej bezwzględnych istot, jakie kiedykolwiek się narodziły. Przez dziesięć dni musiał walczyć w nadziei, że mimo wszystko najcenniejsza z planet odkrytych w ciągu ostatniego półwiecza pozostanie w rękach człowieka.

Otworzył drzwi i wyszedł na płaskowyż. Nadal trząsał się z wrażenia, ale zapadała ciemność i nie miał czasu do stracenia. Prędko przeszedł do najbliższego pagórka i wspiął się na szczyt, pokonując ostatnie parę metrów na czworakach. Ostrożnie wyjrzał zza krawędzi. Większość płaskowyżu była widoczna. Jamieson patrzył na teren w kształcie nierównego owalu, w najwęższym miejscu szeroki na jakieś siedemset metrów - pustkowie pełne strzępiastych zarośli i sterczących skał, tu i ówdzie porośnięte kępami drzew. Nigdzie nie było widać żadnego ruchu ani też śladu rullskiego statku. Wszystko spowijała atmosfera pustki i głucha cisza.

Mrok pogłębił się teraz, bo słońce skryło się za południowo-zachodnią krawędź góry. Śmiertelna groza tej sytuacji miała źródło w naturze Rulli, którzy zostali obdarzeni szerszym zasięgiem wzroku i doskonalszym systemem reagowania na bodźce, tak że ciemność nic dla nich nie znaczyła. Przez całą noc Jamieson miał być przygotowany na atak istot, których układ nerwowy przewyższał jego własny we wszelkich możliwych funkcjach, może z wyjątkiem inteligencji. Wyłącznie pod tym względem istoty ludzkie uważały się za równe Rullom. Samo porównanie dwóch ras uświadomiło Jamiesonowi, jak rozpaczliwe jest jego położenie. Potrzebował jakiejś przewagi. Gdyby zdołał dostać się do wraku Rulli i wyrządzić im jakąś szkodę przed nastaniem zupełnych ciemności, kiedy załoga byłaby jeszcze w szoku po katastrofie... to mogłoby zadecydować o jego życiu lub śmierci.

Z tej szansy musiał skorzystać. Czym prędzej wycofał się ze szczytu pagórka na sam dół, wstał i ruszył przed siebie płytkim korytem wyschniętego strumienia. Drogę utrudniały kamienie, wystające krawędzie skały, powykręcane korzenie i sploty roślin odpornych na ciężkie warunki atmosferyczne. Dwa razy upadł, za pierwszym razem skaleczył się w rękę. To przyhamowało go psychicznie i fizycznie. Nigdy przedtem nie próbował pędzić po dzikich bezdrożach płaskowyżu. Uświadomił sobie, że w ciągu dziesięciu minut przebył zaledwie kilkaset metrów. Zatrzymał się. Należało odróżniać odwagę od ryzykowania życia w lekkomyślnej brawurze. Gdyby przegrał, byłaby to porażka nie tylko jego, lecz i ludzkości.

Uzmysłowił sobie, że zrobiło się bardzo zimno. Od wschodu zerwał się lodowaty wiatr. O

północy temperatura miała spaść do zera. Jamieson ruszył w drogę powrotną. Przed nocą trzeba było przygotować sprzęt obronny - wypadało się pośpieszyć. Godzinę później, gdy na górę nad górami opadła ciężko bezkسیężycowa ciemność, siedział w napięciu przed płaskowizorami. Dla człowieka, który obawiał się zasnąć, miała to być długa noc. Mniej więcej o północy dostrzegł jakiś ruch na skraju płaskowizora pracującego na wszystkich częstotliwościach. Trzymając palec na przycisku do obsługi miotacza, czekał, aż obraz obiektu nabierze ostrości. Na próżno. Gdy nadszedł chłodny świt, Jamieson był zmęczony, lecz wciąż czujnie wypatrywał wroga, działającego równie ostrożnie jak on sam. Już nie był pewny, czy rzeczywiście w nocy coś zobaczył.

Wziął następną pigułkę przeciw senności i dokonał bliższych oględzin silników atomowych. Weryfikacja wcześniejszej diagnozy nie zajęła mu dużo czasu. Główny reaktor grawitacyjny został sparaliżowany z kretesem. Do czasu przybycia „Oriona”, gdzie reaktor mógł być z powrotem uaktywniony, silniki pojazdu były bezużyteczne. Ostateczne oględziny przygotowały Jamiesona na najgorsze. Nieuchronnie czekała go walka na śmierć i życie. W następstwie tego przeświadczenia myśl, która chodziła mu po głowie w nocy, nabrała nowego znaczenia. Według jego wiadomości sytuacja, w której się znalazł, była pierwszym w historii spotkaniem człowieka i Rulla na ograniczonym polu walki, gdzie żaden z nich nie był więźniem. W wielkich bitwach w kosmosie ścierały się statki ze statkami i floty z flotami. Kto przeżył porażkę, albo uciekał, albo wpadał w ręce przeciwnika.

Gdyby Jamieson nie dał się pokonać dostatecznie długo, żeby wszystko przygotować, trafiłaby mu się bezcenna okazja do przeprowadzenia kilku testów na Rullach - i to od razu. Każdą chwilę światła dziennego należało wykorzystać do ostatka.

Włożył swoje pasy „obronne” i wyszedł. Z minuty na minutę robiło się jaśniej, a ukazujące się widoki zatrzymały go w miejscu, mimo że cały już przeżył się do walki. Patrzcie państwo, pomyślał w nagłym, euforycznym zdumieniu, to dzieje się na najdziwniejszej ze wszystkich znanych gór.

Góra Monolit stała na płaskiej równinie i wznosiła się stromo do wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów. Najbardziej majestatyczny szczyt w znanym wszechświecie, który z powodzeniem kwalifikował się do jednego ze stu największych cudów natury w tej galaktyce.

Jamieson stąpał po gruncie planet oddalonych od Ziemi o setki tysięcy lat świetlnych i po pokładach wielkich statków kosmicznych, które śmigwały między wieczną nocą a płomiennym blaskiem słońc czerwonych i słońc błękitnych, słońc żółtych, białych, pomarańczowych i fioletowych, słońc tak wspaniałych i niezwykłych, że wszelkie wcześniejsze wyobrażenia bledły w porównaniu z rzeczywistością.

Teraz jednak stał na szczycie góry na dalekim Laertesie III - jeden człowiek zmuszony przez okoliczności do przeciwstawienia swojego sprytu co najmniej jednemu przedstawicielowi superinteligentnej, wrogiej rasy rullskiej.

Wstrząsnął się, nasrożony. Nadszedł czas na rozpoczęcie ofensywy i rozpoznanie przeciwnika, który mógł czyhać na niego w pełnej gotowości bojowej. Miała to być Akcja Numer Jeden, a chodziło w niej przede wszystkim o uzyskanie pewności, że nie należało jej nazwać Akcją Numer Ostatni. Gdy słońce Laertes wychyliło swe blade oblicze zza horyzontu, którym była krawędź północno-wschodniego urwiska, natarcie już trwało. Automatyczne defensory ustawione poprzedniej nocy przemieszczały się wolno z miejsca na miejsce przed ruchomym miotaczem. Jamieson roztropnie wykorzystał jeden z trzech automatów do zabezpieczenia tyłów. Mimo tej podstawowej ochrony zachował dodatkową ostrożność,

czołgając się naprzód od skały do skały. Maszynami sterował za pomocą małego pilota podłączonego do płaskowizorów sterczących mu z hełmu nieco powyżej oczu. Chybotliwe wskaźniki, które obserwował uważnie, miały dać mu znać, gdyby coś się poruszyło lub gdyby ekrany defensorów zostały poddane działaniu siły przeciwstawnej do ich energii.

Nic się nie wydarzyło. Gdy rullski statek pojawił się w polu widzenia, Jamieson przystanął, poważnie rozważając możliwość braku oporu. Nie podobało mu się to, co pomyślał. Możliwe było, że wszystkie Rulle na pokładzie zginęły, lecz on w to wątpił.

Ponuro zlustrował wrak przez teleskopy jednego z defensorów. Pojazd leżał w płytkim wgłębieniu, z dziobem zagrzebanym w zwałach żwiru. Dolne blachy miał wgniecione. Wczorajsza pojedyncza salwa z miotaczy Jamiesona była wprawdzie całkiem automatyczna, lecz zadała rullskiej jednostce druzgocący cios.

Ogólnie odnosiło się wrażenie martwoty. Jeśli to był podstęp, świadczył o dużej wprawie. Na szczęście Jamieson mógł przeprowadzić kilka testów, co prawda nierozstrzygujących, lecz przydatnych do oceny sytuacji.

W bezechowej przestrzeni na szczycie najbardziej niezwykłej góry, jaką kiedykolwiek odkryto, terkotała kanonada z ruchomego miotacza. Warkot przerodził się w ryk, gdy reaktor urządzenia rozgrzał się odpowiednio do zadania i rozwinął aktywność do maksymalnej liczby kilokiurów. Pod gradem ognia kadłub wrogiego statku lekko drżał i nieco zmienił kolor, ale poza tym nic się nie stało. Po dziesięciu minutach Jamieson wyłączył zasilanie, całkiem zбитy z tropu.

Ekrany obronne rullskiego statku były włączone co do jednego. Czyżby włączyły się automatycznie poprzedniego wieczoru, po pierwszym ataku Jamiesona? Czy może nastawiono je celowo, żeby odeprzeć atak taki jak ten? Jamieson nie mógł być pewien ani jednego, ani drugiego. Właśnie na tym polegał problem: nie było żadnej pewności.

Może Rull leżał w środku martwy. (Dziwne, że Jamieson zaczynał myśleć o przeciwniku raczej w kategoriach jednostki niż grupy, jednak ostrożność wroga - jeśli jakiś wróg w ogóle istniał - dorównywała przezorności Jamiesona i pasowała właśnie do pojedynczego osobnika, działającego w obliczu nieznanego zagrożenia). Może Rull był ranny i nie mógł nikomu zrobić nic złego. Może spędził noc na znakowaniu płaskowyzu liniami nerwosterowania - Jamieson musiał pamiętać o unikaniu bezpośredniego kontaktu wzrokowego z powierzchnią terenu - albo po prostu czekał na przybycie większego statku, który zrzucił go na planetę.

Jamieson wykluczył ostatnią możliwość. W takim wypadku mógłby tylko czekać na pewną śmierć, i to bez cienia nadziei. Marszcząc brwi, przyjrzał się widocznym uszkodzeniom, którymi nadwerężył statek. Wszystkie twarde blachy nadal trzymały - przynajmniej tam, gdzie sięgał wzrokiem - ale cały spód pojazdu był mocno powgniatany, miejscami wgniecenia miały ponad metr. Trochę promieniowania musiało dostać się do środka, a sedno sprawy tkwiło w powstałych uszkodzeniach. Jamieson obejrzał dokładnie dziesiątki zdobycznych rullskich statków badawczych. Jeśli ten zgadzał się z normą, to w przedzie mieściło się centrum sterowania, z oddzieloną komorą miotaczy. W tyle - maszynownia i dwa magazyny, jeden na paliwo i sprzęt, drugi na żywność i...

Na żywność! Jamieson aż podskoczył. Uświadomił sobie, że segment z magazynem żywności ucierpiał bardziej niż inne części statku. Na pewno, na pewno trochę promieniowania dostało się do środka i skaziło jedzenie, zepsuło je do reszty, momentalnie stawiając Rulla, z jego wydajnym układem trawiennym, w rozpaczliwej sytuacji.

Jamieson odetchnął głębia swojej nadziei i przygotował się do odwrotu. Kiedy się

obracał, dość przypadkowo, mimochodem spojrział do tyłu, na skałę, za którą schronił się przed ewentualnym obstrzałem. Dostrzegł na niej linie. Poplątane linie, których splót oparto na dogłębnej i nieludzkiej analizie ludzkich neuronów. Zrozumiał, czym są, i zeszywniał z przerażenia. W myślach zadał sobie pytanie: Dokąd... dokąd mnie kierują?

Tyle dowiedziano się z jego raportu z Miry 23, w którym opisał, jak w jednej chwili został niechybnie zahipnotyzowany: linie wymuszały ruch w jakimś kierunku. Tutaj, na tej niezwyklej górze, mogło chodzić tylko o urwisko. Ale które?

Desperacko próbował zachować zmysły jeszcze przez chwilę. Wysilił się, żeby zobaczyć linie jeszcze raz. Na mgnienie uchwycił pięć chybotliwych pionów, a nad nimi trzy linie, których chwiejne końce wskazywały wschód. Presja narastała w nim nieubłaganie, lecz nadal usiłował utrzymać władzę nad swoimi myślami. Ze wszystkich sił usiłował sobie przypomnieć, czy w pobliżu krawędzi wschodniego urwiska były jakieś występy skalne. Były. Przywołał ich obraz w ostatnim agonialnym spazmie nadziei. Tam, pomyślał, tamten, tamten. Obym spadł na tamten. Całą siłą woli starał się przytrzymać obraz wybranego występu i powtarzać wielokrotnie komendę, która mogła uratować mu życie. Ostatnia straszna myśl uprzytomniła mu, że właśnie znalazł odpowiedź na swoje wątpliwości. Rull jednak żył. Ciemność zapadła niczym kurtyna czystej esencji nocy.

2

Przybył z dalekiej galaktyki, zimny i bezwzględny przywódca przywódców, potężny *yeli*, Meesh, lin Rii, najwyższy Aaish Yeelu. I inne jeszcze miał tytuły, i stanowiska, i władzę. Jakże wielka była władza, którą posiadał, władza nad śmiercią, władza nad życiem i władza nad leardzką flotą.

Przybył, wielce zagniewany, aby dociec źródła trudności. Wiele lat temu zabrzmiał rozkaz: Dokonać ekspansji na Drugą Galaktykę. Dlaczego ci-którzy-nie-mogli-być-doskonalsi tak powoli wypełniali to polecenie? Co kryło się w naturze dwunożnych istot, których mnogie statki, planetarne bazy nie do zdobycia i liczne rzesze sprzymierzeńców sprawiły, że ci-którzy-posia-dają-najlepszy-układ-nerwowy-jaki-stworzyła-natura utknęli w martwym punkcie?

- Sprowadźcie mi żywą istotę ludzką!

Rozkaz odbił się echem aż na krańcach riaskiego kosmosu. W wyniku podjętych działań dostarczono tępego niedobitka z ziemskiego krążownika - marynarza niskiej rangi, o ilorazie inteligencji dziewięćdziesiąt sześć i wskaźniku strachu sto dwadzieścia siedem. Osobnik podejmował niezdecydowane próby samobójstwa i wił się na stołach laboratoryjnych, a w końcu umknął w objęcia śmierci, gdy naukowcy wciąż jeszcze zajmowali się wstępną fazą eksperymentów, które *yeli* życzył sobie zobaczyć na własne oczy.

- To na pewno nie jest wróg.

- Panie, tak niewielu chwytny żywcem. Tak jak my przysposabiamy naszych, tak i oni wydają się mieć wpojony nakaz samobójstwa w razie uwięzienia.

- Warunki są niewłaściwe. Musimy stworzyć sytuację, w której schwytny nie będzie wiedział, że jest więźniem. Czy są jakieś możliwości?

- Problem zostanie zbadany.

Jako wykonawca planowanego eksperymentu Aaish Yeelu dotarł do słońca, w pobliżu którego siedem okresów wcześniej zaobserwowano pojedynczą istotę ludzką. Człowiek miał mały pojazd, który - jak to ujęto w raporcie - został nagle wyrzucony z podprzestrzeni i poleciał w kierunku tego słońca. Fakt, że pojazd nie korzystał z żadnej energii, wzbudził podejrzenia dowódcy naszego obserwacyjnego statku bojowego, który w innym wypadku

oczywiście nie zwróciłby najmniejszej uwagi na jednostkę tak małych rozmiarów. W rezultacie, ponieważ sprawa została natychmiast zbadana, mamy podstawy do przypuszczenia, że powstanie nowa baza, a tym samym mamy doskonałą sytuację do przeprowadzenia eksperymentu.

Dalszy cytat z raportu:

Zgodnie z twoim poleceniem, panie, dotychczas nie zrzuciliśmy żadnego desantu; o ile nam wiadomo, człowiek nie podejrzewa naszej obecności. Można przypuszczać, że ludzie lądowali na trzeciej planecie już wcześniej, bo obserwowany szybko uczynił szczyt tej dziwnej góry swoją bazą. Miejsce idealnie nadaje się do twoich celów, panie.

Przestrzeń wokół słońca była patrolowana przez grupę bojową. Jednak *yeli* przybył małym statkiem, a ponieważ pogardzał przeciwnikiem, nadleciał znad gór i unieruchomił spoczywający na ziemi pojazd jednym celnym strzałem - a potem wróg odpowiedział strzałem o zaskakującej sile, który cisnął jego statek lotem wirowym na ziemię. W tych sekundach *yeli* otarł się o śmierć. W końcu jednak wydostał się sprzed pulpitu sterowniczego - w szoku, lecz wciąż żywy. Uważnym wzrokiem ocenił rozmiar katastrofy, która mu się przydarzyła. Wcześniej rozkazał podwładnym trzymać się z daleka; uprzedził, że zawiadomi ich, gdy zechce, żeby przybyli. Nie mógł ich zawiadomić, bo radio było pogruchotane. Z niepokojem stwierdził, że żywność została skażona.

Szybko przyjął bezkompromisową postawę odpowiednią do wymogów sytuacji. Eksperyment miał toczyć się dalej, z jednym zastrzeżeniem. Rull postanowił, że kiedy już nie będzie mógł wytrzymać bez jedzenia, zabije człowieka i w ten sposób utrzyma się przy życiu, aż dowódcy statków zaniepokoją się brakiem wiadomości i przyłecą sprawdzić, co się stało.

Część pory bez słońca spędził na badaniu skraju urwiska. Potem przez jakiś czas krążył na granicy energii defensorów człowieka, przyglądając się kapsule i rozważając posunięcia, jakie tamten mógł wykonać przeciwko niemu. Na zakończenie zbadał z niestrudzoną cierpliwością dojścia do własnego statku. Kluczowe punkty poznał liniami-które-opanowują-umysły-ludzi. Odczuł satysfakcję, gdy wkrótce po wschodzie słońca ujrzał wroga „schwytanego” i „ujarzmionego”. Satysfakcja miała tylko jedną złą stronę. *Yeli* nie mógł wykorzystać okoliczności tak, jak chciał. Przeszkodę stanowił miotacz człowieka, cały czas wycelowany w główną śluzę powietrzną rullskiego pojazdu. Na razie nie emitował energii, ale *yeli* nie wątpił, że wystrzeli automatycznie, kiedy drzwi się otworzą.

Sytuacja okazała się poważna, gdy Rull spróbował otworzyć wyjście awaryjne i okazało się to niemożliwe. Zaraz po katastrofie dokładnie je sprawdził, wykazując przezorność typową dla swojej rasy. Wtedy się otworzyło. Teraz nie. Pojazd musiał osiąść, pomyślał, kiedy byłem na zewnątrz w czasie pory bez słońca. Przyczyna nie miała znaczenia. Chodziło o to, że *yeli* nie może wyjść, kiedy chce. Jeszcze nie zdecydował, czy unicestwi człowieka natychmiast. Gdyby pojmanie wroga wiązało się z przejęciem zapasu żywności, nie musiałby go zabijać. Należało jednak podjąć decyzję teraz, kiedy osobnik został ubezwłasnowolniony. Gdy *yeli* pomyślał, że łamaniec w dół urwiska mógł człowieka zabić, ogarnęła go złość. Nie lubił, kiedy wypadki psuły mu plany.

Od początku sprawa przybrała złowrogi obrót. Dostał się w kleszcze sił, wobec których był bezsilny - elementy czasu i przestrzeni zawsze brał pod uwagę jako teoretycznie możliwe, lecz nigdy ich nie rozpatrywał pod kątem osobistego doświadczenia.

Była to otchłań kosmosu, gdzie leardzkie statki toczyły wojnę, aby rozszerzyć wpływy rasy doskonałej. Żyły tam obce istoty spłodzone przez naturę przed stworzeniem systemu

nerwowego najwyższej próby. Wszystkich tych obcych trzeba było wytracić, ponieważ teraz byli już niepotrzebni, a także dlatego, że istniejąc, mogli przypadkiem znaleźć sposób na zakłócenie równowagi yeelskiego życia. W cywilizowanej Rii wypadki były zakazane.

Rull uwolnił swój umysł od tych osłabiających myśli. Postanowił, że nie będzie próbował otwierać drzwi awaryjnych. Skierował miotacz na pęknięcie w twardej podłodze. Blokery zaczęły wydychać gazy w miejsce, gdzie zabrał się do pracy, a pompy ssące poczęły chwytać radioaktywne kłęby i wciągać je do specjalnej komory. Jednak brak zaworu bezpieczeństwa w postaci otwartych drzwi stwarzał zagrożenie. Wielokrotnie przerywał pracę, za każdym razem, kiedy gorąco drażniło mu nerwy - był to bardziej wiarygodny czujnik niż jakikolwiek inny przyrząd, który zresztą trzeba by było obserwować.

Słońce minęło już południk, gdy metalowa płyta wreszcie ustąpiła i odsłoniła ukryte pod nią pokłady żwiru i skały. Przekopanie tunelu na zewnątrz było łatwe, ale wymagało czasu i fizycznego wysiłku. Brudny, zły i głodny Rull wynurzył się z dziury w pobliżu środka kępy drzew, obok której rozbił się jego statek.

Plan przeprowadzenia eksperymentu stracił urok. *Yeli* zwykle upierał się przy swoim, jednak wykombinował sobie, że ta sama sytuacja może być dla niego odtworzona w bardziej cywilizowanych warunkach. Nie było potrzeby podejmowania ryzyka ani narażania się na przykrości. Postanowił zabić człowieka i chemicznie przetwarzać go na żywność przez czas oczekiwania na ratunek. Wyglodniałym wzrokiem zbadał postrzępione, nierówne wschodnie urwisko, po czym z wyciągniętą szyją lustrował występy w dole. Poczołgał się szybko wzdłuż krawędzi, aż okrążył praktycznie cały płaskowyż. W jednym czy dwóch miejscach ziemia wydawała się naruszona, ale nawet najbardziej staranne badanie nie przekonywało, że ktoś rzeczywiście tam był.

W ponurym nastroju Rull przeczłogał się w stronę kapsuły człowieka. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Nie wiedział, czy ekrany obronne wystawiono przed porannym atakiem czy potem, a równie dobrze mogły zająć pozycje automatycznie, kiedy się zbliżał. Nie było żadnej pewności. Na tym polegał problem. Wszędzie na płaskowyżu biła w oczy jałowość, pustka, jakiej nigdy w życiu nie widział. Może człowiek zginął i jego ciało leżało pogruhotane u stóp góry po drugiej stronie. Może był ciężko poraniony i ukrywał się w kapsule - niestety, miał dostatecznie dużo czasu, żeby schronić się tam z powrotem. Mógł też siedzieć w środku czujny i zły, świadomy niepewności swego przeciwnika i gotów wykorzystać tę niepewność do ostatka.

Po namyśle Rull ustawił automatycznego stróża, który miał go zawiadomić, gdyby drzwi się otworzyły. Potem wrócił do tunelu, przeczłogał się z mozołem do swego statku i usiadł w wyczekującej pozycji, gotowy odebrać alarmujący sygnał. Był coraz bardziej głodny. Oszczędzał siły. Miał przed sobą ciężką próbę, wymagającą całej energii życiowej. Mijały dni.

Jamieson się poruszył. Na początku ból wydawał się wszechogarniający - niczym mgłą udreki spowijająca jego ciało. Potem rwanie stopniowo umiejscowiło się w okolicy dolnej części lewej nogi. Pulsujący ból wybijał rytm w całym układzie nerwowym. Minuty wydłużały się w godziny. W końcu Jamieson na wpół przytomnie pomyślał: Coś takiego, zwichnąłem sobie nogę w kostce! Oczywiście to nie było wszystko. Moc, która go tu przywiodła, spętała jego siły życiowe. Jak długo tu leżał? Kiedy wreszcie otworzył oczy, słońce wciąż świeciło, tyle że miał je prosto nad głową.

Obserwował je z bezmyślnością marzyciela, aż powoli wycofało się poza krawędź

przepaści. Dopiero gdy cień urwiska nagle padł mu na twarz, całkiem odzyskał przytomność pod wpływem nagłej myśli o śmiertelnym niebezpieczeństwie. W czasie gdy resztki wpływu nerwosterozowania zanikały, zdołał ocenić do pewnego stopnia trudność swojego położenia. Uprzytomnił sobie, że stoczył się z krawędzi urwiska na stromy stok. Kąt nachylenia zbocza wynosił aż pięćdziesiąt pięć stopni, a upadek byłby śmiertelny, gdyby nie powstrzymały go gęste zarośla. Niżej ziała przepaść.

Jamieson nabrał odwagi. Przypadkowo poniósł poważną porażkę, zwichnął nogę, która zaplątała się w krzaki, jednak przeżył dzięki intensywnej koncentracji na tym właśnie zboczu, zaciętej woli uczynienia akurat tego stoku miejscem swojego upadku. Zaczął się wspinać. Na zboczu było to łatwe mimo stromizny, dopiero gdy dotarł do skalnego urwiska, przekonał się, jakim utrudnieniem może być zwichnięta kostka. Cztery razy zsuwał się w dół; potem, za piątym razem, palcami natrafił po omacku na mocny korzeń. Triumfalnie wciągnął się na bezpieczny teren.

Płaskowyż rozpościerał się przed nim zupełnie pusty. Panowały tu bezruch i cisza. Jamieson widział swój pojazd. Zaczął czołgać się w jego kierunku, starając się w miarę możliwości sunąć po skale. Co stało się z Rullem - nie wiedział. A ponieważ z powodu zwichniętej kostki miał przez parę dni nie ruszać się z kapsuły, równie dobrze mógł przez ten czas trzymać wroga w niepewności.

Właśnie robiło się ciemno, a Jamieson był w swojej kapsule, gdy usłyszał rozdrażniony głos:

- Kiedy wracamy do domu? Kiedy znowu dostanę jeść?

Był to Ploian, który nieustannie dopytywał się o powrót na Ploię. Jamieson strząsnął z siebie chwilowe poczucie winy. Całkiem zapomniał o towarzyszu podczas tych długich godzin.

Kiedy go „nakarmił”, zastanowił się po raz któryś z rzędu, jak mógłby wyjaśnić temu prostemu umysłowi sprawę wojny rullsko-ludzkiej. A przede wszystkim trudność obecnej sytuacji.

- Nie martw się - powiedział. - Zostań ze mną, a dopilnuję, żebyś wrócił do domu. - Ta odpowiedź, wsparta świeżym „posiłkiem”, najwyraźniej Ploiana zadowoliła.

Potem Jamieson przez jakiś czas rozmyślał, jak mógłby go wykorzystać przeciwko Rulłowi. W końcu uznał, że nie ma sensu uświadamiać nękanemu głodem Rulłowi, iż jego przeciwnik może zrobić bigos z instalacji elektrycznej w jego statku.

3

Jamieson leżał w koi, medytując. Słyszał bicie swojego serca. Ciszę przerwały tylko pojedyncze odgłosy, gdy zwlekał się z łóżka. Radio, kiedy je włączył, milczało - nie było nawet śladu wzmacniania czy zanikania sygnału.

W tym ogromnym oddaleniu nawet radio podprzestrzenne nie mogło zadziałać. Sprawdził co bardziej aktywne częstotliwości rullskie. Jednak i tam była cisza. Utknął odcięty na niezamieszkaną planecie, w małym pojeździe z bezużytecznymi silnikami. Spróbował pomyśleć o tym inaczej. Oto, powiedział sobie, jedyna i неповtarzalna okazja do przeprowadzenia eksperymentu. Poddał się tej myśli jak ćma powabowi płomienia. Żywe Rulle były trudne do zdobycia. A tutaj zaistniała wręcz idealna sytuacja. Obaj jesteście więźniami. Tak to sobie przedstawił. Byli więźniami otoczenia, a zarazem - w dość osobliwym sensie - więźniami siebie nawzajem. Tylko że każdy z nich był teraz wolny od wpajanego im nakazu samobójstwa.

Można było odkryć różne rzeczy. Na przykład wielce tajemnicze dla ludzi sprawy, które motywowały Rulli do działania. Dlaczego Rulle chcą unicestwić inne rasy? Dlaczego niepotrzebnie poświęcają cenne statki, atakując ziemskie maszyny, które zapuszczały się w ich sektory kosmosu, skoro wiedzą, że intruzi i tak opuściliby obce rejony po kilku tygodniach?

Gdy leżał na koi, obmyślając ewentualne posunięcia, możliwości wynikające z tego starcia człowieka z Rullem na samotnej górze w końcu dodały mu otuchy. W ciągu tych dni zastoju czasami doczołgiwał się do fotela przed pulpitem sterowniczym i godzinami wpatrywał się w płaskowizora Widział daleką panoramę. Widział niebo Laertes III, blad różowe, milczące i martwe. Widział więzienie. Wpadłem, myślał ponuro. Trevor Jamieson, którego cichy głos cieszył się znacznym autorytetem w izbach naukowej rady ziemskiego imperium galaktycznego - ten Jamieson był tu sam i leżał na koi ze zwichniętą kostką, czekając, aż noga się wyleczy, żeby mógł przeprowadzić eksperyment z Rullem. Przedsięwzięcie wydawało się nieprawdopodobne. Jednak zaczął w nie wierzyć, w miarę jak mijały dni.

Trzeciego dnia mógł już poruszać się wystarczająco sprawnie, żeby poradzić sobie z paroma ciężkimi przedmiotami. Natychmiast zaczął pracować nad ekranem świetlnym. Piątego dnia skończył. Potem musiał nagrać film. To było łatwe. Każda sekwencja została tak dokładnie obmyślona, że całość przeszła z głowy Jamiesona do wideoformu jak po maśle.

Ekran został ustawiony o niecałe dwieście metrów od kapsuły, za osłoną drzew. Obok niego, w odległości jakichś trzech metrów, Jamieson cisnął puszkę z jedzeniem.

Czas włókł się żółtym tempem. Był to szósty dzień od przybycia Rulla, a piąty od zwichnięcia kostki. W końcu nastąpiła noc.

4

Niczym cień falujący w świetle gwiazd błyszczących na niebie Laertes III, Rull zbliżył się ruchem ślizgowym do ekranu ustawionego przez człowieka. Jakże jasno ten ekran świecił w ciemności - plama światła w czarnym świecie wyboistego gruntu i karłowatej roślinności. Gdy *yeli* był o trzydzieści metrów od światła, poczuł jedzenie - i uzmysłowił sobie, że to pułapka.

Dla Rulla sześć dni bez jedzenia oznaczało kolosalną stratę energii, wizualne zaćmienia na dziesiątkach poziomów barw i ogólne zmętnienie siły życiowej, które współgrało nie ze słońcem, lecz z ciemnością. Wewnętrzny świat rozchwianego układu nerwowego był niczym wyczerpana bateria a w miarę jak poziom energii spadał, kolejne organiczne „instrumenty” się wyłączały. *Yeli* uświadomił sobie mgliście, lecz z dziką trwogą, że najbardziej skuteczne mechanizmy tego układu nerwowego mogą nigdy nie odzyskać dawnej sprawności. Pośpiech był najważniejszy. Nieznaczne dalsze pogorszenie wystarczyłoby, żeby wpajany Rullom od wieków obowiązek samobójczej śmierci objął nawet najwyższego Aaisha Yeelu.

Siatkowane ciało się uspokoiło. Ośrodki widzenia, które były wszędzie, poczęły odbierać światło na wąskim paśmie promieniowania z ekranu. Rull obejrzał film od początku do końca, a potem jeszcze raz, pragnąc kolejnej powtórki z całym zapałem istoty prymitywnej.

Film zaczął się w dalekim kosmosie, od sceny, w której pojazd człowieka został wyrzucony ze śluz startowej statku bojowego. Następnie pokazano, jak statek bojowy trafia do bazy wojskowej, zabiera rezerwy, po czym z wielką flotą posiłków wyrusza w podróż powrotną. Potem akcja przeniosła się na Laertes III, gdzie kolejne sekwencje ukazały lądowanie kapsuły oraz wszystko, co nastąpiło później, po czym zasugerowały, że sytuacja jest niebezpieczna zarówno dla Rulla, jak i dla człowieka - i wskazały jedyne bezpieczne rozwiązanie. W ostatniej scenie każdego pokazu Rull zbliżał się do puszki na lewo od ekranu i

ją otwierał. Sposób otwierania przedstawiono ze wszystkimi szczegółami, podobnie jak obraz Rulla pochłaniającego wybierane ze środka jedzenie. Za każdym razem, kiedy ta scena się zbliżała, *yeli* czuł coraz silniejsze pragnienie zrobienia tego, co sugerował film. Jednak dopiero po zakończeniu siódmego pokazu ruszył z miejsca i posuwistym ruchem przebył ostatni odcinek dzielący go od puszki. Wiedział, że to pułapka, może nawet śmiertelna - lecz to nie miało znaczenia. Chciał przeżyć.

Jak długo jeszcze rullskie statki będą krążyć w mrokach kosmosu, ile czasu zajmie dowódcom podjęcie decyzji o uchyleniu jego rozkazu - nie wiedział. Jednak był pewien, że przylecą. Choćby musiał długo czekać, aż przybycie statków wroga ośmieli ich do działania wbrew surowym nakazom, wiadomo było, że przylecą. W chwili zagrożenia ze strony nieprzyjacielskich sił mogliby wylądować bez obawy poniesienia konsekwencji jego gniewu. Bez żywności nie przeżyje do tego czasu. Ostrożnie wyciągnął ssawkę i uruchomił automatyczny otwieracz puszek.

Było parę minut po czwartej rano, gdy Jamiesona zbudził przyciszony dźwięk dzwonka alarmowego. Na zewnątrz nadal panowała nieprzenikniona ciemność - dzień na Laertesie III trwał dwadzieścia sześć godzin gwiazdowych, a do świtu brakowało jeszcze trzech. Jamieson nie wstał od razu. Alarm włączył się w chwili otwarcia puszek. Dzwonek dźwięczał jeszcze przez piętnaście minut, co zgadzało się wręcz idealnie. Alarm był dostrojony do rytmu drgań emitowanych przez puszkę od momentu jej otwarcia do całkowitego opróżnienia. Przyjęty odstęp czasu odpowiadał szybkości wchłaniania półtorakilogramowej porcji preparowanej żywności przez jeden z otworów gębowych Rulla. W ciągu piętnastu minut przedstawiciel rullskiej rasy, śmiertelny wróg człowieka, był poddawany rytmowi drgań dostosowanemu do jego własnych myśli. Na ten właśnie rytm reagowały inne Rulle badane w laboratoriach. Niestety, te inne zabijały się zaraz po przebudzeniu, tak że nigdy nie uzyskano jednoznacznych wyników. Jednak za pomocą ekforiometru ustalono, że rytm oddziaływał nie na świadomość, lecz na podświadomość. Był to początek hipnotycznej indoktrynacji i władzy nad umysłami.

Jamieson leżał w łóżku, uśmiechając się lekko do siebie. W końcu obrócił się na bok, by z powrotem zasnąć, i wtedy zrozumiał, jak bardzo jest podekscytowany. Właśnie nadeszła najbardziej doniosła chwila w historii wojny rullsko-ludzkiej. Jamieson zamierzał zrobić wszystko, żeby to wydarzenie nie przeszło bez echa. Wstał i nalał sobie drinka.

Podjęta przez Rulla próba ataku na podświadomość przeciwnika zwróciła uwagę Jamiesona na jego własne możliwości działania w tym kierunku. Każda z dwóch ras odkryła u drugiej jakieś słabości. Rullom wiedza służyła do eksterminacji. Ludzie dążyli do porozumienia i mieli nadzieję na zjednoczenie. Obie rasy wykazywały w swoich działaniach bezwzględność, mordercze skłonności i brak miłosierdzia. Obcy czasem mieli trudności z odróżnieniem jednej od drugiej. Mimo to różnica w celach była tak wielka, jak między czarnym a białym, jak między światłem a ciemnością. W bieżącej sytuacji był tylko jeden kłopot. Teraz, kiedy Rull dostał jeść, mógł zaplanować kilka własnych posunięć.

Jamieson wrócił do łóżka i utkwiał wzrok w ciemności. W końcu przekręcił się na bok i zasnął snem człowieka przekonanego, że wszystko idzie po jego myśli.

Ranek. Jamieson włożył ciepłe ubranie i wyszedł na powitanie chłodnego świtu. Znowu przez pewien czas smakował majestatyczną ciszę. Od wschodu mocne podmuchy wiatru kłuły go w twarz lodowatym zimnem. Nie zważał na to. Tego poranka miał parę spraw do załatwienia. Zamierzał to zrobić ostrożnie jak zwykle.

W tempie narzuconym przez defensory i ruchomy miotacz podążył w stronę metalowego

ekranu. Wyświetlacz stał na wysokiej skale, żeby był widoczny z wielu różnych miejsc, i wydawał się nieuszkodzony. Jamieson sprawdził mechanizm automatyczny i jeszcze raz wyświetlił cały film.

Rzucił następną puszkę z jedzeniem na trawę opodal ekranu i już się odwracał, żeby odejść, kiedy przemknęło mu przez głowę: To dziwne. Metalowy szkielet wygląda tak, jakby ktoś go wypolerował.

Przestudiował zjawisko w lustrzanym odłączniku i odkrył, że metal został pokryty przezroczystą substancją podobną do lakieru. Kiedy ją rozpoznał, ogarnęła go koszmarna niemoc. W udręce obiecał sobie: Jeśli hasło każe mi nie strzelać, nie posłucham. Strzełę, nawet gdyby miotacz wycelował we mnie.

Zdrapał trochę „lakieru” do pojemnika i zaczął się wycofywać. Myślał gorączkowo: Skąd on to bierze? Tego nie ma w wyposażeniu statków badawczych.

Po raz pierwszy zaczął podejrzewać, że sytuacja, w której się znalazł, nie wynikała z czystego przypadku. Właśnie rozważał głęboki sens tej myśli, gdy spojrział w bok i zobaczył Rulla. Po wielu dniach spędzonych na płaskowyżu wreszcie zobaczył Rulla.

Jakie było hasło?

Cel przypominał się Rullovi wkrótce po posiłku. Na początku wspomnienie było mgliste, ale potem przybrało na sile. Nie był to jedyny przejaw wracającej mu energii. Jego ośrodki widzenia zaczęły odbierać więcej światła. Oświetlony gwiazdami płaskowyż rozjaśnił się nieco. Niewiele, ale przynajmniej nastąpiło polepszenie zamiast pogorszenia. Zahamowanie rozprężenia funkcji życiowych sprawiło, że *yeli* poczuł się ogromnie szczęśliwy.

Właśnie sunął wzdłuż krawędzi przepaści. Teraz zatrzymał się, by popatrzeć w dół. Nawet przy niepełnej zdolności widzenia musiał się zachwycić. Przewód rozpościerał się w dole i przewód rozciągał się w oddali. Gdy oglądało się powierzchnię planety ze statku kosmicznego, efekt wysokości był zminimalizowany. Ale przepaść, w której tonął wzrok zapuszczony w dół tej ściany żwiru, wywierała całkiem inne wrażenie. Głębia uwydatniała ogrom cierpienia Rulla i pełnię przypadku, który mu się zdarzył. I przypominała mu, co robił, zanim poczuł głód. Natychmiast odwrócił się od urwiska i pośpieszył do wraku swojego statku, który od wielu dni okrywał się kurzem, pogięty i powykręcany, na wpół zakopany w twardym gruncie Laertesa III. *Yeli* prześlizgnął się nad pogiętymi blachami wewnątrz statku i zbliżył do tej, w której poprzedniego dnia wyczuł drgania antygravitacyjne - drobne, potężne, niezwykle silne okrucy drgań.

Rull pracował intensywnie i z zaciętością. Płyta była wciąż mocno przytwierdzona do szkieletu statku. Pierwsze zadanie, ogromnie trudne zadanie, polegało na oderwaniu jej od konstrukcji. Mijały godziny.

Z przeraźliwym chrzęstem twarda blacha poddała się nieznacznej reorganizacji jej struktury nukleonowej. Zmiana była nieskończenie mała, bo kierująca nią energia systemu nerwowego Rulla odstawała od normy, ale też właśnie tak nieznaczna zmiana została zaplanowana. W podobny sposób można było wyzwolić dość energii, żeby wysadzić w powietrze górę.

Nie znaczyło to - jak *yeli* w końcu się przekonał - że jakieś niebezpieczeństwo kryło się w płycie, którą wybrał. Dowiedział się o tym, gdy na nią wpełznął. Wrażenie pulsującej w niej energii było niezmiernie słabe. Nawet zwątpił, czy płyta dźwignie się w górę. Ale dźwignęła się. W czasie próby przeleciała nieco ponad dwa metry, co dało mu pełne wyobrażenie o niedomiarze mocy, którą dysponował. Mogło jej wystarczyć tylko na atak.

W umyśle Rulla nie było już żadnych wątpliwości. Eksperyment spalił na panewce. Teraz pozostało tylko wyprawić człowieka na tamten świat, w związku z czym *yeli* musiał pomyśleć, co zrobić, żeby wróg mu nie przeszkodził, wcześniej zabijając jego. Odpowiedź była prosta: lakier!

Nałożył go pieczołowicie, wysuszył powłokę suszarką, po czym wziął płytę i zaniósł ją na plecach do wybranej kryjówki. Zagrzebany z nią pod suchymi liśćmi, które ścieliły się pod kępą zarośli, wreszcie trochę się uspokoił. Uznał, że maska ucywilizowania w końcu z niego spadła. Wywołało to u niego wstrząs psychiczny, ale niczego nie żałował. Dwunożna istota, dając mu jedzenie, oczywiście chciała mu zrobić coś złego. Jedynym rozwiązaniem całego kłopotu z eksperymentem na płaskowyżu było bezzwłoczne uśmiercenie przeciwnika. Rull leżał w napięciu, pełen wściekłości, poza zasięgiem błędzących myśli, czekając, aż człowiek się pojawi.

Atak, który potem nastąpił, nie był groźniejszy niż to, co Jamieson widywał w ciągu swojej służby. W normalnych warunkach wyszkolony żołnierz poradziłby sobie doskonale. Ale Jamieson skupiał uwagę na czymś innym: czekał, aż porazi go paraliż. Paraliż od lakieru. Dlatego typowy manewr całkiem go dezorientował. Rull wyleciał z kępy drzew na płycie antygravitacyjnej. Zaskoczenie Jamiesona było tak wielkie, że manewr prawie się udał. Według jego obserwacji wszystkie blachy zostały pozbawione całej energii tego typu już pierwszego dnia. Jednak najwyraźniej jedna znów była czynna i znów mogła przemieszczać się z tą szczególną antygravitacyjną lekkością, którą rullscy naukowcy dopracowali do perfekcji.

Ruch płyty zasadał się oczywiście na ruchu obrotowym planety wokół własnej osi. Szybkość ataku, rosnąca od zera, nie zbliżyła się wprawdzie do prędkości tysiąca dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, z którą wirowała planeta, lecz i tak była wystarczająco duża. Upiorne, siatkowate ciało Rulla na metalowej płycie leciało prosto na Jamiesona. I choć wyciągnął broń i strzelił, jednak się opanował. Nie zabijać!

To było trudne, bardzo trudne. W ciągu sekundy, której potrzebował, by dojść ze sobą do ładu, upiorna istota znalazła się o trzy metry od niego. Uratował go napór powietrza na metalową płytę, bo przechyliła się jak skrzydło startującego samolotu. Wystrzelił w spód płyty, wytrącając ją z trajektorii lotu. Wpadła z trzaskiem w kępę krzaków o sześć metrów na prawo od niego. Kiedy dotarł do zarośli, stworzenie było już o piętnaście metrów dalej i zniknęło w kępie drzew. Nie pobiegł za nim i nie strzelił drugi raz. Zamiast tego ostrożnie wyjął rullską płytę z krzaków i dokładnie ją obejrzał.

Nasuwały się dwa pytania. Po pierwsze, jak Rull uwolnił płytę od siły ciężkości bez użycia skomplikowanych maszyn, które były do tego potrzebne? Po drugie, jeśli potrafił zrobić sobie taki „spadochron”, to dlaczego nie poleciał w dół, do lasu, gdzie mógłby zdobyć jedzenie i gdzie wróg by go nie dopadł? Jeden problem wyjaśnił się, gdy Jamieson podniósł płytę. Wagę miała mniej więcej normalną, a jej energia najwyraźniej wyczerpała się po przebyciu niespełna trzydziestu metrów. Oczywiście w żadnym wypadku nie przeleciałaby odległości dwóch i pół kilometra, która dzieliła Rulla od lasu i równiny na dole.

Jamieson nie chciał dłużej ryzykować. Przerzucił płytę przez krawędź najbliższego urwiska i prześledził jej spadek w przepaść. Był już z powrotem w swoim pojeździe, gdy przypomniał sobie „lakier”. Nie było żadnego hasła - jeszcze nie. Zbadał wiórki, które przyniósł ze sobą. Pod względem chemicznym substancja była prostą żywicą używaną do wyrobu lakierów. W aspekcie fizyki jądrowej okazała się ustabilizowana. Z punktu widzenia elektroniki nie była

już taka zwyczajna, bo przekształcała światło w energię na poziomie oscylacyjnym ludzkiego myślenia. Była jak najbardziej czynna. Ale co w niej zarejestrowano? Jamieson sporządził wykres wszystkich poziomów materialnych i energetycznych, aby je porównać. Gdy ustalił, że „lakier” został przetworzony w sensie elektronicznym - co zresztą było oczywiste, ale musiało zostać dowiedzione - nagrał obrazy na wideoform. W rezultacie ujrzał galimatias fantazyjnych kształtów jak ze snu.

Symbole. Wziął książkę *Interpretacje symboli podświadomości* i wyszukał odsyłacz „Hamulce psychiczne”. Na wskazanej stronie, w odpowiednim wierszu przeczytał: „Nie zabijać!”.

- A niech mnie... - powiedział głośno w ciszy wnętrza kapsuły. - Wszystko jasne.

Odetchnął z ulgą, lecz ulga zaraz minęła. To on sam postanowił nie zabijać na tym etapie. Ale Rull o tym nie wiedział. Operując tak subtelnym hamulcem psychicznym, wroga istota miała w starciu przewagę, mimo że poniosła porażkę. Na tym polegał problem. Dotychczas Jamieson wychodził cało z opresji, lecz ani razu nie udał mu się odwet. Miał szansę, ale to nie wystarczyło.

Nie mógł już więcej ryzykować. Nawet eksperyment zaplanowany przez niego na zakończenie musiał poczekać do dnia, w którym przybędzie „Orion”. Istoty ludzkie były pod pewnymi względami trochę za słabe. Same komórki ludzkiego organizmu miały odruchy, które mogły być wzbudzone przez przebiegłe i bezwzględne istoty o złych zamiarach. Nie wątpił, że w ostatecznej rozgrywce Rull będzie próbował doprowadzić go do samounicestwienia.

5

Dziewiątego wieczoru, dzień przed planowanym przybyciem „Oriona”, Jamieson zrezygnował z wystawiania puszki z jedzeniem. Następnego ranka spędził pół godziny przy radiu, próbując skontaktować się ze statkiem bojowym. Nie omieszkał nadać szczegółowego sprawozdania z dotychczasowych wydarzeń, ponadto opisał swoje plany, łącznie z zamiarem sprawdzenia, czy Rullovi w jakiś sposób zaszkodził okres głodówki.

Podprześczeń milczała jak grób. Nie doczekał się odpowiedzi. W końcu zaprzestał prób nawiązania kontaktu, wyszedł na zewnątrz i szybko ustawił instrumenty potrzebne do przeprowadzenia eksperymentu. Płaskowyz tchnął atmosferą bezludnej dziczy. Jamieson sprawdził sprzęt, po czym spojrzął na zegarek. Nagle poczuł zdenerwowanie i postanowił nie czekać dłużej, choć zostało mu jeszcze parę minut. Po chwili wahania wcisnął guzik. Ze źródła nieopodal ekranu popłynął rytm nadawany na bardzo wysokim poziomie energetycznym. Był to wariant rytmu drgań, którym Rull był poddawany przez cztery noce. Jamieson powoli wycofał się do swojego pojazdu. Chciał jeszcze raz podjąć próbę nawiązania kontaktu z „Orionem”. Odwracając się za siebie, ujrzał, jak wroga istota wślizguje się na polanę i rusza prosto do źródła drgań. Gdy mimowolnie stanął w miejscu, zafascynowany tym widokiem, główny system alarmowy w jego pojeździe uderzył w ryk. Hałas odbił się obcym, złowrogim echem od skrzydeł lodowatego wiatru i zadziałał jak hasło. Podręczne radio na nadgarstku Jamiesona włączyło się z cichym trzaskiem, synchronizując się z potężnym radiem w kapsule. Jakiś głos powiedział nagłym tonem:

- „Orion” do Trevora Jamiesona. Słyszeliśmy twoje wcześniejsze komunikaty, ale postanowiliśmy nie odpowiadać. Cała flota Rulli krąży w pobliżu słońca Laertes. Mniej więcej za pięć minut będą próbowali cię schwytać. Nie upadaj na duchu.

Jamieson jednak upadł - nie na duchu, lecz na ziemię. Właśnie słuchał komunikatu, gdy

kątem oka dostrzegł ruch na niebie, dwie ciemne plamy szybko przemieniły się w gigantyczne, rullskie superstatki bojowe, które z rykiem przeleciały mu nad głową. Cyklon wzbudzony ich pędem niemal oderwał Jamiesona od ziemi, do której przylgnął rozpaczliwie, czepiając się splątanych korzeni. Nie wytracając maksymalnej prędkości, nieprzyjacielskie statki, oczywiście napędzane siłą grawitonów, zawróciły łukiem i ruszyły z powrotem w stronę płaskowyzu. Jamieson już żegnał się z życiem, lecz strzały świsnęły obok; potem przetoczył się przez niego grzmot wyzwolonej energii - huk tak potężny, że niemal zaćmił w nim świadomość. Kapsuła!

Trafili w jego kapsułę.

Jęknął, widząc oczami wyobraźni, jak traci swój pojazd w eksplozji gwałtownego ognia. Potem nie było już czasu na rozpacz.

W polu widzenia ukazał się trzeci statek, ale gdy Jamieson wyteżał wzrok, próbując go rozpoznać, pojazd zawrócił i odleciał.

Radio na jego nadgarstku pstryknęło, włączając się ponownie.

- Nie możemy ci teraz pomóc. Ratuć się sam. Nasze cztery towarzyszące statki bojowe i szwadrony pomocnicze nawiążą walkę z rullską flotą i spróbują ją odciągnąć w stronę Blanki, naszej większej grupy bojowej, która krąży w pobliżu gwiazdy, a potem od...

Błysk ognia na dalekim niebie przerwał komunikat. Minęła pełna minuta, zanim do Laertesa III dotarło echo odległej salwy burtowej. Odgłos zamarł powoli, z ociąganiem, jakby jego alikwoty poprzywierały do molekuł powietrza. Co najdziwniejsze, cisza, która w końcu zapadła, tchnęła nie spokojem, lecz złowróżbnym, tymczasowym bezruchem, kryjącym totalne zagrożenie.

Jamieson niepewnie stanął na drżących nogach. Nadszedł czas na oszacowanie bieżącego niebezpieczeństwa. Tego większego niebezpieczeństwa, o którym wcześniej nie śmiał nawet myśleć. Najpierw skierował się w stronę swojego pojazdu. Nie musiał przebywać całej drogi. Duża część urwiska się zawaliła. Po kapsule nie było ani śladu. Choć właśnie tego się spodziewał, doznał silnego wstrząsu. Odrętwiały, przysiadł jak zwierzę, podniósł głowę i wpatrzył się w niebo. Teraz nie było tam żadnego ruchu i nie dochodził stamtąd żaden dźwięk prócz jęku wschodniego wiatru. Jamieson był sam w obcym świecie między niebem a ziemią, niczym człowiek balansujący na skraju otchłani.

Jego umysł, napięty w oczekiwaniu, przeszło bolesne zrozumienie stanu rzeczy. Wróg przeleciał raz nad górą, aby ocenić sytuację na płaskowyzu, a potem próbował go unicestwić. Z tą samą udręką i zaskoczeniem Jamieson uświadomił sobie, że do obrony jego przeciwnika na tej samotnej górze przeznaczono statki najnowszej konstrukcji.

Musiał się śpieszyć. W każdej chwili Rulle mogły poświęcić jeden ze swoich niszczycieli na desant ratunkowy. Biegając, poczuł jedność z wiatrem. Znał to uczucie, to wrażenie powrotu do prymitywu w chwilach podniecenia. To samo czuje się podczas walki, a żeby coś z tego mieć, trzeba oddać się temu całym ciałem i całą duszą. Nie ma skutecznej walki przy połowicznym udziale umysłu i ciała. Konieczne jest pełne poświęcenie.

Upadał, ale za każdym razem zrywał się, prawie nie czując bólu, i pędził dalej. Dobiegł na miejsce zakrwawiony, niepomny na skaleczenia. Na niebie nadal panowała cisza.

Ukryty za linią zarośli, wpatrzył się w Rulla. Ujarzmionego Rulla, którego sam schwytał i z którym mógł robić, co mu się podobało. Obserwować, tresować, kształcić - krótko mówiąc, przeprowadzić najszybsze szkolenie w historii świata. Nie było już czasu na swobodną wymianę informacji. Leżąc w ukryciu, zaczął manipulować pokrętłami do obsługi ekranu.

Rull przesuwał się przed ekranem tam i z powrotem. To przyspieszał, to zwalniał, to znów przyspieszał - zależnie od woli Jamiesona.

Blisko tysiąc lat wcześniej, w dwudziestym wieku, przeprowadzono klasyczne, ponadczasowe badania, których końcowym rezultatem był między innymi eksperyment Jamiesona. Wtedy to człowiek nazwiskiem Pawłów poddał doświadczeniom psa laboratoryjnego, karmiąc go w regularnych odstępach czasu, przy akompaniamencie dźwięczącego dzwonka. Wkrótce układ trawienny psa zaczął reagować na dźwięk dzwonka tak samo, jak na jedzenie. Pawłów dopiero pod koniec swojego życia uświadomił sobie najważniejszą prawdę, którą krył wymyślony przez niego proces tresury. Tak czy inaczej, badania rozpoczęte w tamtych odległych czasach doprowadziły do powstania nauki umożliwiającej niemal dowolne pranie mózgu zwierzęcia, kosmity, a także człowieka. Niestety, w następnych wiekach, kiedy nowa gałąź wiedzy stała się nauką ścisłą, Rulle udaremniały wysiłki najlepszych eksperymentatorów. Bezradni wobec żądzy śmierci u wszystkich pojmanych Rulli, naukowcy zapowiedzieli, że ziemskie imperium galaktyczne czeka zagłada, jeśli ludzie nie zaczną wreszcie penetrować rullskich umysłów. Jamieson ogromnie żałował, że nie ma czasu na penetrację. Tutaj opieszale czekała śmierć.

Jednak nawet samo minimum czynności, do których był zmuszony, wymagało czasu. Tam i z powrotem, tam i z powrotem - trzeba było wyrobić u jeńca rytm posłuszeństwa. Rull pokazywany na ekranie wyglądał jak żywy. Obraz był trójwymiarowy, postać się poruszała jak robot - oddziaływanie objęło podstawowe ośrodki nerwowe. Rull nie mógł już nie trzymać kroku, podobnie jak wcześniej nie potrafił się oprzeć bodźcowi wezwania do posiłku. Jamieson podtrzymał ten bezmyślny cykl przez piętnaście minut, co jakiś czas zmieniając tempo, po czym skłonił Rulla i jego obraz na ekranie do wchodzenia na drzewa. W górę, a potem w dół, sześć razy z rzędu. Po szóstym razie wprowadził własną postać.

W napięciu, jednym okiem zerkając na niebo, drugim śledził reakcje Rulla. Kiedy po paru minutach zastąpił swój obraz samym sobą, stwierdził z zadowoleniem, że nienawiść i skłonności samobójcze, które normalnie budziły się w Rullach na widok człowieka, u tego osobnika znikły.

Teraz, kiedy osiągnął etap władzy ostatecznej, zawahał się. Nadeszła pora na zrobienie testów. Czy miał na to dość czasu? Zrozumiał, że musi zdążyć. Na następną taką okazję ludzkość mogła czekać i sto lat.

Dwadzieścia pięć minut później, po zakończeniu testów, był blady z podniecenia. To jest to, pomyślał, dobra nasza. Kolejne dziesięć cennych minut poświęcił na nadawanie informacji o swoim odkryciu przez podręczne radio na nadgarstku, mając nadzieję, że gdy jego pojazd staczał się z góry, nadajnik w środku nie został uszkodzony i teraz przesyłał komunikat dalej, przez podprzestrzeń. W ciągu tych dziesięciu minut nie odebrał żadnej odpowiedzi.

Więcej zrobić nie mógł już nic. Ruszył w stronę upatrzonego miejsca na krawędzi urwiska, z którego chciał wyruszyć. Spojrzał w dół i zadrżał, ale zaraz potem przypomniał sobie komunikat z „Oriona”: Cała flota Rulli krąży...

Prędzej!

Opuścił Rulla na pierwszy występ skalny. W chwilę później pozapinał na sobie uprząż i zstąpił w pustą przestrzeń. Spokojnie, z łatwością siłacza Rull chwycił drugi koniec liny i opuścił Jamiesona na występ, gdzie przed chwilą sam wylądował. Zsuwali się coraz niżej. Była to ciężka praca, mimo że stosowali bardzo prosty sposób. Dzieliła ich długa lina z tworzywa sztucznego. Na kolejnych poziomach podtrzymywał ją metalowy hak do wspinaczki.

Na każdym występie Jamieson wpiękał hak w litą skałę ukośnie w dół. Lina przeslizgiwała się przez układ bloków w haku, a Rull i człowiek kolejno spuszczaali się na coraz niższe półki. Gdy stali obaj na jednym występie, Jamieson rozsadzał skałę w miejscu zaczepienia i hak spadał im pod nogi, znów gotowy do użytku. Dzień chylił się ku ciemności jak niespokojny człowiek ku zaśnięciu.

Jamieson zauważył, że Rull zaczyna zdawać sobie sprawę z sytuacji. Wciąż jeszcze współpracował, ale przyglądał się uważnie człowiekowi za każdym razem, gdy opuszczał go na kolejną półkę. Stan wywołany tresurą miał się ku końcowi. Można było się spodziewać, że minie przed nadejściem nocy. Rull wynurzał się z mgły transu.

W pewnej chwili Jamieson zupełnie stracił nadzieję na zejście na sam dół przed zapadnięciem ciemności. Wybierając trasę, upatrzył sobie tę część zachodniego, nasłonecznionego zbocza, bo zejście w dół tego stromego, brązowocznego urwiska, które nie miało sobie równych we wszystkich światach kosmosu, miało dostarczyć mu wspinających wrażeń. Teraz na każdym występie rzucał szybkie, nerwowe spojrzenia na Rulla.

O czwartej po południu musiał znowu zatrzymać się na odpoczynek. Przeszedł na jedną stronę półki, byle dalej od Rulla, i opadł na skałę. Niebo było teraz ciche i bezwietrzne - nieruchome jak kurtyna opuszczona na czarną przestrzeń, w której toczyła się właśnie bitwa rullsko-ludzka, w tej chwili zapewne większa niż inne starcia w ostatnim dziesięcioleciu. Dzięki pięciu ziemskim statkom bojowym żaden rullski pojazd dotychczas nawet nie podjął próby ratowania Rulla uwięzionego na płaskowyżu. Oczywiście możliwe było, że Rulle zwyczajnie nie chciały zdradzać obecności jednego ze swoich na planecie.

Jamieson porzucił te daremne spekulacje. Walcząc ze zmęczeniem, porównał wysokość urwiska powyżej z głębokością przepaści, którą widział pod sobą. Oceniał, że przebyli dwie trzecie drogi. Rull stał zwrócony przodem do doliny. Jamieson zauważył to, odwrócił się i także się zapatrzył. Widok nawet z tej mniejszej wysokości był iście wspinający. Las zaczynał się o pół kilometra od podstawy urwiska i praktycznie nie miał końca. Wspinał się na faliste wzgórza i spływał w płytkie doliny. Na brzegu szerokiej rzeki załamywał się, by znowu zerwać się wielką falą i pokryć zbocza gór, które rozciągały się w mglistej dali.

Jednak trzeba było ruszać dalej. Dwadzieścia pięć minut po szóstej dotarli do półki wystającej z lica urwiska o pięćdziesiąt metrów powyżej falistej równiny. Na tę odległość ledwie starczyło liny, ale operacja spuszczenia Rulla w bezpieczne miejsce i zarazem na wolność odbyła się bez wypadku. Jamieson z ciekawością spojrział na stworzenie na dole. Co zrobi teraz, kiedy już jest na otwartej przestrzeni?

Istota po prostu czekała. Jamieson zeszywniał. Nie dopuszczał takiej możliwości. Machnął rozkazująco na Rulla i wyciągnął miotacz. Rull wycofał się, lecz tylko do bezpiecznego miejsca w skupisku skał. Krwawoczerwone słońce chowało się za góry. Po świetle rozchodziła się ciemność. Jamieson zabrał się do jedzenia kolacji, a kiedy kończył, zaobserwował ruch na dole. Zobaczył, jak Rull zbliża się posuwistym ruchem do podnóża urwiska, a potem znika za wystającą częścią skały.

Jamieson odczekał trochę i po chwili już dyndał na linie. Opadał z sił, ale na dole czekał na niego twardy grunt. Przebywszy trzy czwarte odległości, skaleczył się w palec o zaskakująco szorstki fragment liny. Gdy stanął na ziemi, zauważył, że jego palec dziwnie poszarzał. W mroku skóra wyglądała nienormalnie i niezdrowo. Badając ją wzrokiem, zbieła na twarzy. Ponura myśl przepełniła go zacieklą złością. Rull musiał wysmarować czymś linę po drodze w dół.

Uczucie udręki, które przeszło go na wskroś, natychmiast przeszło w stracącą determinację. Chwycił miotacz z zamiarem popełnienia samobójstwa. Unosząc rękę, zastygł w pół ruchu. Padł jak kłoda, nie mogąc zamortyzować upadku. Najpierw był wstrząs uderzenia o ziemię, potem utrata przytomności.

Wola śmierci jest w każdej formie życia. Każda organiczna komórka ma zdolność ekforii dziedzicznych engramów swojego nieorganicznego pochodzenia. Puls życia to łuszczasta warstewka nałożona na podkład z materii utrzymującej subtelny równowagę różnych rodzajów energii w tak zawikłany sposób, że samo życie jest wobec tej równowagi tylko krótkim, daremnym wysiłkiem. W pewnym ułamku wieczności próbuje rodzić się jakaś forma. Przyjmuje różne postacie, jednak pozorne. Prawdziwy model nie jest przestrzenny, lecz czasowy. Ten model to krzywa. Do góry i w dół. Do góry, z ciemności do światła, a potem z powrotem w dół, w czarną otchłań.

Samiec łososia spryskuje mgiełką mleczu ikrę samicy i natychmiast poddaje się śmiertelnej melancholii. Samiec pszczoły wypada z objęć królowej, którą właśnie posiadał, po czym tonie z powrotem w nieorganicznej masie, skąd wydostał się na jedną krótką chwilę ekstazy. U człowieka zgubne piętno wciąż na nowo odciska się na niezliczonych efemerycznych komórkach i tylko to piętno się ostaje.

Dawno temu błyskotliwi rullscy naukowcy, poszukując substancji chemicznych, które wtrąciłyby ustrój człowieka w stan prymitywu, odkryli szczególny sekret ludzkiego popędu do śmierci.

Yeli, Meesh, nie myślał o tym odkryciu, kiedy sunął w kierunku Jamiesona. Od pewnego czasu czekał na okazję. Wreszcie się nadarzyła. Szybko chwycił miotacz, a potem odszukał klucz do pojazdu człowieka. Następnie przeniósł Jamiesona wzdłuż podstawy urwiska do miejsca oddalonego o pół kilometra, gdzie kapsuła spadła na ziemię, strącona z góry salwą z rullskich statków bojowych. Pięć minut później potężne radio we wraku nadawało na rullskich częstotliwościach pilny rozkaz dla rullskiej floty.

Ciemność. Wewnątrz i na zewnątrz. Jamieson miał wrażenie, że spoczywa na dnie studni i z nocnych ciemności obserwuje zmrok. Czuł, jak coś pęcznieje wokół i unosi go coraz wyżej, bliżej wylotu studni. Na ostatnich kilku metrach wyczerpał siły psychiczne i wyrzwał na zewnątrz. Odzyskał przytomność.

Leżał na podwyższonym stole w nieznanym pokoju, w którym na poziomie podłogi było kilka otworów podobnych do mysich dziur - otworów wiodących do innych pomieszczeń. Drzwi, jak zauważył, miały dziwny, obcy, nieludzki kształt. Doznał szoku, rozpoznawszy wnętrze. Był na pokładzie rullskiego statku bojowego.

Nie umiał dociec, czy statek jest w ruchu, ale podejrzewał, że tak. Rulle nie miały zwyczaju kręcić się w pobliżu planety.

Udało mu się odwrócić głowę i stwierdził, że nic materialnego go nie trzyma. O tych sprawach wiedział tyle co każdy Rull, toteż w jednej chwili znalazł źródło strumieni grawitonów, które go oplatały.

Odkrycie miało wartość czysto abstrakcyjną, co uświadomił sobie z równoczesnym przypływem goryczy. Zaraz potem zaczął wzbudzać w sobie odwagę do szczególnego rodzaju śmierci, której mógł się spodziewać. Do śmierci w męczarniach podczas eksperymentów.

Wzbudzanie w sobie odwagi było dość proste. Kiedyś dowiedziono, że gdyby człowiek poddał się kontemplacji wszelkich możliwych tortur, a także swojego zachowania podczas tych męczarni, i wpadł w złość, zamiast się przestraszyć, mógłby doprowadzić się do samej

krawędzi śmierci przy minimalnym bólu.

Jamieson właśnie katalogował w pośpiechu różne rodzaje tortur, które mogły go czekać, gdy nagle usłyszał płaczliwy głos:

- Wracajmy do domu, dobrze?

Minęła chwila, zanim doszedł do siebie; w ciągu następnych paru sekund uznał, że eksplozje takie jak ta, która zniszczyła jego pojazd po strzale z rullskiego statku, prawdopodobnie nie robią Ploianowi krzywdy. Minęła jeszcze co najmniej minuta, zanim powiedział przyciszonym głosem:

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Oczywiście.

- Wejdź do tamtej skrzynki i niech energia przepłynie przez ciebie.

- Ojej, jak miło. Tylko czekałem, żeby tam wejść.

W chwilę później elektryczne źródło strumieni grawitonów najwyraźniej zmieniło kierunek ich przepływu. Jamieson mógł usiąść. Pośpiesznie odsunął się od skrzynki i zawołał:

- Wyjdź!

Musiał zawołać kilka razy, żeby Ploian zareagował. Gdy istota posłuchała polecenia, Jamieson spytał:

- Obejrzałeś ten statek dokładnie?

- Tak - odparł Ploian.

- Czy jest jakieś miejsce, przez które przepływa cała energia?

- Tak.

Jamieson wziął głęboki oddech.

- Wejdź tam i niech energia przepłynie przez ciebie. Potem wróć do mnie.

- Ojej, naprawdę mogę? Jesteś dla mnie taki dobry - odpowiedział Ploian. Jamieson na wszelki wypadek rozejrzał się za czymś niemetalowym, na czym mógłby stanąć. Ledwie zdążył, gdy każda metalowa część statku zatrzeszczała napięciem stu tysięcy woltów.

- Co teraz? - spytał Ploian po dziesięciu minutach.

- Rozejrzyj się po pokładzie i sprawdź, czy zostały jakieś żywe Rulle.

Niemal natychmiast Jamieson został poinformowany, że zostało jeszcze około stu żywych Rulli. Z doniesień Ploiana wynikało, że niedobitki trzymają się już z dala od metalowych powierzchni. Jamieson zamyślił się na chwilę. Potem opisał Ploianowi sprzęt nadawczo-odbiorczy i polecił mu na zakończenie:

- Gdyby ktoś próbował użyć tego sprzętu, wejdź tam i niech energia elektryczna przepłynie przez ciebie. Melduj się u mnie co jakiś czas, ale tylko wtedy, gdy nikt nie będzie próbował użyć radia. I nie wchodź do centralnego układu bez mojego pozwolenia.

- Załatwione - obiecał Ploian.

W pięć minut później Ploian znalazł Jamiesona w sterówce strzelniczej.

- Właśnie przed chwilą ktoś próbował użyć radia, ale zrezygnował i odszedł.

- Świetnie - powiedział Jamieson. - Czuwaj dalej, słuchaj, a kiedy skończę to, co tu robię, wracaj do mnie.

Pracował dalej, kalkulując, że pod jednym względem ma nad rullskimi niedobitkami decydującą przewagę: wie, kiedy można bezpiecznie dotykać metalu. Rulle musiałyby zmontować skomplikowany sprzęt, żeby móc poruszać się swobodnie.

Zadanie w sterówce strzelniczej wymagało użycia mechanicznych narzędzi tnących. Jamieson pracował w pośpiechu, lecz skutecznie. Chciał mieć pewność, że gigantyczne

miotacze nie wystrzelą, dopóki obwody w sterówce nie zostaną do końca naprawione.

Dokonawszy dzieła zniszczenia, ruszył w stronę najbliższej kapsuły. Kiedy przeciskał się przez otwór, usłyszał głos Ploiana:

- Tędy trafimy na Rulli. Lepiej iść tamtędy.

W końcu dostali się do rullskiej kapsuły bez przeszkód. Pięć minut później Jamieson uruchomił pojazd i natychmiast odlecieli, jednak minęło pięć dni, nim zabrał ich ziemski statek.

Najwyższego Aaisha Yeelu nie było na statku, na który Jamieson trafił jako jeniec. Nie było go też wśród poległych. Wiadomość o ucieczce więźnia przekazano mu dopiero po jakimś czasie. Jego bezpośredni podwładni z góry założyli, że Rulle ocalałe z pogromu na statku zostaną przez niego ukarane.

Zamiast tego *yeli* powiedział w zamyśleniu:

- A więc to jest wróg? Niezwykle potężna istota.

W milczeniu rozważył cierpienia, które znosił przez cały tydzień. Ponieważ odzyskał dawną sprawność psychiczną prawie w stu procentach, mógł myśleć w bardzo nietypowy sposób, jak na jednostkę tak wysokiej rangi.

Używając komunikatora światłowodowego, powiedział:

- Przypuszczam, że jestem pierwszym Naczelnym Przywódcą, który stanął na linii frontu. Czy mam rację?

Miał rację. Nadgenerał przeszedł z tylnej kwatery głównej na „linię frontu”. Gruba ryba opuściła bezpieczną, strzeżoną rodzimą planetę i naraziła na szwank własną skórę - skórę tak cenną, że wszyscy mieszkańcy Rii zdrżeli w trwodze, gdy wieść o tym została podana do publicznej wiadomości. Najważniejszy Rull kontynuował swoje rozważania:

- Mógłbym pomyśleć, że informacje o ludziach, które przekazał nam wywiad, nie były dokładne. Wydaje się, że miała miejsce próba umniejszenia ich zdolności, a chociaż pochwalam gorliwość i odwagę, które leżą u podstaw takich prób, jednak odnoszę wrażenie, że ta wojna nigdy nie skończy się pomyślnie w rozstrzygający sposób. Dlatego uznałem, że Rada Centralna powinna raz jeszcze rozważyć celowość dalszej walki. Nie przewiduję natychmiastowego zakończenia, ale konflikt mógłby ustać stopniowo, my tymczasem ograniczylibyśmy się do obrony tej części kosmosu i ewentualnie zwrócilibyśmy się ku innym galaktykom.

Hen daleko, o wiele lat świetlnych od Rii, Jamieson składał właśnie sprawozdanie przed szanownym gremium Zgromadzenia Galaktycznego:

- Czuję, że ten osobnik był wśród Rulli bardzo ważną osobistością, a ponieważ utrzymywałem go przez jakiś czas w stanie pełnej hipnozy, chyba możemy się spodziewać pozytywnej reakcji. Wmówiłem mu, że Rulle umniejszają zdolności ludzi i że ta wojna nigdy nie skończy się pomyślnie, a potem zaproponowałem, by zwrócili się ku innym galaktykom.

Dopiero po latach ludzie mieli w końcu uzyskać pewność, że wojna rullsko-ludzka wreszcie ustała na dobre. W tej chwili członkowie zgromadzenia byli zafascynowani sposobem wykorzystania czytającego w myślach ezwała do kontaktu z niewidzialnym Ploianem, a także udziałem nowego sojusznika w ucieczce człowieka z rullskiego statku bojowego, dzięki której ludzie zdobyli tak ważne informacje.

Było to usprawiedliwienie tych wszystkich trudnych lat i wytrwałych wysiłków, które ludzie poświęcili na rozwijanie przyjaznych stosunków z obcymi rasami. Zdecydowaną większością głosów zgromadzenie stworzyło dla Jamiesona specjalną funkcję: stanowisko

administratora do spraw ras.

Nowo mianowany administrator miał wrócić na Planetę Carsona jako najwyższy przedstawiciel obcej rasy, i to nie tylko dla ewali, bo jak się okazało, późniejsza interpretacja doboru słów w jego nominacji uczyniła go przedstawicielem człowieka w negocjacjach z Rullami.

W miarę jak te sprawy szły swoim torem, ogólnogalaktyczna wojna rullsko-ludzka dobiegła końca.

Chociaż nieżyjący już James H. Schmitz nie dorównuje van Vogtowi w kreowaniu paranoicznego wręcz napięcia i bizantyjska ozdobnych intryg, jest od niego znacząco lepszy w tworzeniu postaci. Nawet jego negatywni bohaterowie są psychologicznie prawdziwi, mają swoje dziwactwa i wyraźną indywidualność, co rzadko się spotyka w większości przygodowych tekstów fantastycznych. Wszechświaty Schmitza, choć nie brak w nich potworów i złowieszczych zagrożeń, wydają się bardziej przyjazne człowiekowi niż większość uniwersów tworzonych na potrzeby gatunku space opera; w światach tych można by pędzić sensowne, zwyczajne i uczciwe życie - po zakończeniu przygody wymagającej walki na śmierć i życie z jakimś Przeróżającym Wściekłym Stworem. Schmitz nawet okazuje współczucie monstrom, które często w końcu okazują się wcale nie aż takie potworne, są raczej istotami o swoich własnych celach, priorytetach i odmiennym punkcie widzenia, ich postępowanie jest uzasadnione i czasem nawet godne podziwu - to podejście pełne tolerancji, niemal unikatowe w dzisiejszych space operach, zwykle pełnych zacieklej ksenofobii.

Również w przedstawianiu postaci kobiecych Schmitz wyprzedzał resztę świata o całe dziesięciolecia. Na długo przed obudzeniem (czy też próbą obudzenia) świadomości pisarzy SF przez ruchy feministyczne lat siedemdziesiątych, Schmitz nie tylko często czynił kobiety bohaterkami swych zawiadaniackich międzyplanetarnych opowieści przygodowych - rzecz w owych czasach niestychana - lecz również traktował je jako całkowicie równorzędne partnerki postaci męskich, równie fachowe, odważne, mądre (i bezwzględne w razie potrzeby), unikając przy tym obarczania ich „kobięcymi słabościami” (takimi jak skłonność do omdleń w sytuacjach silnego stresu czy też potrzeba chowania się za umiejętną sylwetką Mocnego Bohaterskiego Faceta), którymi w nadchodzących latach niektórzy pisarze mieli szpeciść charakterystyki kobiet. (Kobieta u Schmitza, na przykład, jest równie twarda i kompetentna jak u Heinleina - trzeba przyznać, że u niego również nie mdleje łatwo w dramatycznych chwilach - lecz pozbawiona irytującego przekonania, iż nie ma we wszechświecie nic ważniejszego niż poślubienie Tego Jedynego, osiedlenie się i urodzenie jak największej liczby dzieci). W prezentowanym tu opowiadaniu główna postać - babcia Wannattel - nie dość, że jest kobietą, to jeszcze w podeszłym wieku. Nawet teraz, w 1998 roku, większość pisarzy tworzących przygodówki nie obsadziłaby kogoś takiego w głównej roli, a co dopiero w 1950, kiedy Schmitz napisał ten tekst!

Zazwyczaj za najlepszą rzecz Schmitza uważa się Witches of Karres, ale ja osobiście najbardziej lubię opowieści cyklu „wegańskiego” (Druga noc lata jest jedną z nich) zebrane w tomie Agent of Vega, który niestety dawno już zniknął z półek księgarskich, lecz - o ile zdoła się go zdobyć - pozwala poczuć wielkiej miary zachwyty formą space opera, uczucie trudne do odnalezienia gdzie indziej. Nietypowo też, jak na autora przygodówek kosmicznych, Schmitz najlepiej sprawdził się w krótkich formach, w większości pisanych dla „Astounding” (czasopismo to później zmieniło nazwę na „Analog”) i dla „Galaxy”. Wśród nich są takie niezapomniane opowiadania, jak Grandpa, Balanced Ecology, Lion Loose... Greenface, The Searcher, The Winds of Time, The Custodians i wiele innych oraz duża liczba opowieści o przygodach Telzey Amberdon, nastolatki obdarzonej zdolnościami parapsychicznymi. Opowiadania Schmitza zebrane zostały w tomach: A Nice Day For Screaming and Other Tales of The Hub, A Pride of Monsters oraz ostatnio, w pośmiertnym zbiorze The Best of James H. Schmitz. Cykl o Telzey Amberdon wydano w trzech tomach: The Universe Against Her, The Telzey Toy i The Lion Game. Wśród pozostałych książek Schmitza

znajdują się: *The Demon Breed* i *A Tale of Two Clocks*. *Nakłady większości pozycji Schmitza są dawno wyczerpane, The Witches of Karres od czasu do czasu pojawia się w antykwariatach. Dobrą próbką twórczości tego autora jest najnowsza książka, wydana w 1991 roku, The Best of James H. Schmitz, w której zamieszczono kilka jego najlepszych opowiadań. Można spróbować zamówić ją u wydawcy, NESFA Press (NESFA PRESS P.O. Box 809, Framingham, MA 97101-0203; www.nesfa.org), choć nie mam pojęcia, czy nakład nie został już wyczerpany. Warto napisać i poprosić o informacje.*

James H. Schmitz

DRUGA NOC LATA

Nocą, która nastąpiła po dniu oficjalnie witającym wiosnę na ziemi Wend, na planecie Noorhut, znów zobaczono światła w wielkiej rozpadlinie na wschód od farmy ojca Grimpa.

Grimp już od ponad godziny obserwował je ze swojego pokoju na piętrze. W domu panowała ciemność, lecz ze znajdujących się poniżej okien od czasu do czasu dobiegał szmer rozmowy. Wszyscy oglądali światła.

Każdy spośród mieszkańców okolicznych farm oraz wioski położonej za wzgórzem najprawdopodobniej robił to samo. Nad wzgórzem na chwilę zabrzmiało podniecone wycie wielkiego pankogara strażnika wioski, ale zwierzak ucichł bardzo szybko - albo raczej został uciszony, jak podejrzewał Grimp. Strażnik był bezwzględnie negatywnie nastawiony do każdego robiącego jakiegokolwiek zamieszanie wokół światła, z pankogarem włącznie.

Jednak istniało pewne usprawiedliwienie dla podniecenia zwierzęcia. Przez okno Grimp widział, że dzisiejszej nocy pojawiło się o wiele więcej światła niż w ubiegłych latach - wielkich jasnoniebieskich baniek dryfujących, unoszących się na kilkadziesiąt metrów i opadających albo przelatujących nad krawędzią rozpadliny na mniej więcej tę samą odległość, zawisających tam na kilka minut i wracających do reszty. Nigdy nie oddalały się bardziej od wąwozu.

W gruncie rzeczy kule czujnikowe Halpów nie musiały odlatywać dalej, żeby uzyskać informacje pożądane przez wysyłające je istoty, które nasłuchiwały teraz ciągłego strumienia danych, napływających do nich z detektorów w pewnym halpiańskim odpowiedniku ludzkiej myślomowy: „Żadnych oznak nieprzyjaznych działań w pobliżu punktu przełamania. Żadnych rodzajów broni ani silników energetycznych w zasięgu czujników. Od czasu poprzedniego badania teren nie wykazuje większych zmian. W świadomości obserwujących nas dominuje uczucie silnej ciekawości ze śladami zaniepokojenia. Jednak bez otwartej wrogości”.

Kule unosiły się i polatywały nad rozpadliną, a relacje napływały bez zakłóceń, nieprzerwanie, automatycznie powtarzając te same informacje.

Grimp wciąż patrzył, od czasu do czasu mrugając klejącymi się powiekami, aż do chwili gdy rozszerzające się nad krawędzią doliny rozjaśnienie nieba oznajmiło, że Wielki Księżyc Noorhut wznosi się z wolna, niczym strażnik planety, by osobiście przeprowadzić kontrolę światła. Wtedy kule zbladły, tak samo jak zawsze w trakcie wschodu księżycy w poprzednich latach i zanim krawędź złotej tarczy Wielkiego Księżyca pojawiła się nad wzgórzami, w rozpadlinie panowała już kompletna ciemność.

Grimp usłyszał kroki matki na schodach. Pośpiesznie wrócił do łóżka. Widowisko się już skończyło, a on miał mnóstwo przyjemnych rzeczy do przemyślenia przed zaśnięciem.

Skoro światła się już pokazały, wizyta jego dobrej przyjaciółki, babci Erisy Wannattel, oraz jej wozu z patentowymi lekami była również pewna. Jutro późnym popołudniem wielki

wóz przytoczy się drogą prowadzącą z miasta przez dolinę. Właśnie tak robiła babcia Wannattel w ciągu czterech ostatnich lat - odkąd światła po raz pierwszy pokazały się na kilka nocy nad rozpadliną, widziano je tu co roku. A ponieważ cztery lata stanowiły dokładnie połowę życia Grimpa, przyjazd babci Wannattel był dla niego wręcz matematycznym aksjomatem.

Oczywiście inni ludzie, tacy jak strażnik wioski, mogli mieć o niej nie najlepsze zdanie, ale z punktu widzenia chłopca już samo kręcenie się w pobliżu wozu i olbrzymiego, egzotycznego zwierzęcia pociągowego, z wyglądu przypominającego nosorożca, było o wiele lepsze nawet od wizyty w cyrku.

A w dodatku wakacje zaczynają się już pojutrze! W gruncie rzeczy cała przyszłość jawiła się w tym momencie jako ciąg samych miłych doświadczeń, ginący w nieskończoności letniej pory.

Grimp zasnął szczęśliwy.

Mniej więcej o tej samej godzinie, choć w odległości większej, niż Grimp byłby zdolny sobie wyobrazić, osiem wielkich statków wychyńło z międzygwiazdowego mroku, który był ich oceanem, i zaczęło okrążać Noorhut po starannie dobranych orbitach. Znajdowały się zbyt daleko, żeby na podstawie informacji z jakiegokolwiek urzędnika kosmodetekcyjnego można było podejrzewać, iż chodzi im o tę planetę.

Jednak właśnie tak było. Chociaż załogi nie życzyły źle mieszkańcom planety, trudno by znaleźć cokolwiek wróżącego jej gorszą przyszłość niż wieziony przez nie ładunek.

Siedem statków było uzbrojonych w gaz, już właściwie nieużywany. Niesłychanie lotny, zabójczy katalizator wsączający się w powierzchnię planety, nad którą został uwolniony, i rozpraszający się bardzo szybko aż do stężeń niewykrywalnych żadnymi chemicznymi metodami. Jednak jego zdolność do zsyłania niemal niezauważenie nadchodzącej śmierci na wszystkie organizmy tlenowe wcale nie malała przy tym rozcieńczaniu.

Ósmy statek wyposażono w torpedy, zazwyczaj odpalane w kilka godzin po rozsianiu niewidzialnej śmierci przez rozpylacze gazu. Były niewielkie, miały bowiem posłużyć jedynie do podpalenia powierzchni planety nasyconej katalizatorem.

Wszystko to mogło przydarzyć się Noorhut - jednak tylko w przypadku otrzymania z jej powierzchni przez eskadrę konkretnej wiadomości: że planeta została przejęta przez śmiertelnego wroga, który za wszelką cenę musi zostać powstrzymany przed wyruszeniem z niej na inne zamieszkałe światy.

Następnego popołudnia, po szkole, pełen oczekiwania Grimp minął zakręt drogi i zastał tam wioskowego policjanta siedzącego na kamieniu, załzawionymi oczami gapiącego się na trakt.

- Cześć, Kichawo - powiedział Grimp zaniepokojony.

Wziąwszy pod uwagę plotki zasłyszane dziś w wiosce, obecność policjanta w tym miejscu niezbyt dobrze babci Wannattel wróżyła.

Policjant wydmuchał nos w chusteczkę wyciągniętą zza pazuchy munduru, przetarł oczy i ze złością popatrzył na chłopca.

- Nie nazywaj mnie Kichawą, Grimp! - warknął, chowając chusteczkę. Podobnie jak jego mały rozmówca i większość mieszkańców Noorhut miał brunatną skórę oraz ciemne oczy. Był przystojnym facetem, jednak teraz miał zapuchnięte, zaczerwienione oczy, a nos - normalnie i tak dość spory - czerwony, nabrzmiały i niewątpliwie okropnie ciekący. Dokuczał mu paskudny katar sienny.

Grimp przeprosił i w zamyśleniu przysiadł na głazie koło policjanta, który był jednym z jego licznych kuzynów. Miał już napomknąć, że przypadkiem słyszał, jak Vellit użyła tego właśnie określenia, kiedy wczoraj wieczorem przechodziła w towarzystwie policjanta przez plantację kwiatów Leeth powyżej farmy - o wiele wolniej, niż robili to zazwyczaj. Powstrzymał się jednak. Vellit była dziewczyną jego kuzyna od prawie roku, jednak w czasie kwitnienia traw przestała się z nim umawiać na randki i zaczęła mówić o nim „kuzyn”, a nie „najdroższy”.

- Co tu robisz? - spytał bez ogródek.

- Czekam.

- Na co? - dociekał Grimp, czując nagłe przygnębienie.

- Na tę samą osobę co ty, jak sądzę - odparł kuzyn, wyciągając chusteczkę. Wydmuchał nos.

- W tym roku wróci tam, skąd przyszła, albo się ją przymknie.

- Kto tak powiedział?

- Strażnik. Wystarczy ci?

- Nie może tego zrobić! - zawołał chłopiec z uczuciem. - Ona ma wszystkie wymagane licencje.

- Szef cały rok wymyślał dla niej nową listę. - Policjant wygrzebał z kieszeni kartkę papieru, rozłożył ją. - Tu są trzydzieści cztery pozycje, na pewno którejś jej brakuje.

- To śmierdząca sztuczka! - zaprotestował Grimp, szybko przebiegając listę wzrokiem.

- Trochę więcej szacunku dla strażnika wioski, Grimp! - ostrzegł go policjant.

- Uhm - mruknął chłopiec. - Jasne...

Gdyby tylko Kichawa przesunął kciuk. Ale co to za lista! Wóz, nosorożcowaty kuc (ciężkie zwierzę pociągowe, importowane), patentowe leki, sprzęt gospodarstwa domowego i wróżbiarski, zwierzątka domowe, zioła, cudowne uzdrawianie...

Policjant spuścił wzrok, zobaczył, co Grimp robi, i podniósł papier wyżej, poza zasięg wzroku chłopca.

- To oficjalny dokument - oświadczył, odpychając dzieciaka ręką i chowając kartkę do kieszeni. - Lepiej nie zaplamić go brudnymi paluchami.

Grimp myślał intensywnie. Babcia Wannattel miała wiszące w wozie, oprawione w ramki licencje na niektóre z rzeczy wyczytane właśnie z kartki, ale na pewno nie na trzydzieści cztery.

- Pamiętasz tę wielką bezskórą werretę, którą złapałem w zeszłym roku? - spytał.

Policjant rzucił mu krótkie spojrzenie, potem odwrócił wzrok i przetarł oczy w zamyśleniu. W przyszłym tygodniu zaczynał się sezon na werrety, on sam był równie zapalonym wędkarzem jak wszyscy mieszkańcy wioski - a zeszłego lata gigantyczną zdobyczą Grimp pobił dwudziestoletni rekord doliny.

- Pewni ludzie - zaczął niewinnym tonem chłopiec, patrząc wzdłuż biegnącej dnem doliny drogi w punkt, gdzie znikwała w lesie - całymi dniami śledziliby zdobywcę rekordowej werrety w nadziei, że jest wystarczająco głupi, by wrócić do tego jeziora.

Policjant zaczerwienił się i ostrożnie musnął nos chusteczką.

- Pewni ludzie nawet posunęliby się do siedzenia na stogu siana i lornetowania okolicy, nawet jeśli od tego kichaliby jak wściekli - ciągnął Grimp spokojnie.

Policjant zarumienił się jeszcze mocniej. Kichnął.

- Ale śledzony nie jest takim durniem - dokończył chłopiec. - Przynajmniej kiedy wie, że są tam dwie werrety o piętnaście centymetrów większe niż ta, którą złapał.

- Piętnaście centymetrów? - powtórzył policjant z niedowierzaniem, ale i z zapalem.

- Lekko licząc - skinął głową Grimp. - Przyjrzałem się im w zeszłym tygodniu.

Teraz nadeszła kolej policjanta, żeby pomyśleć. Grimp od niechcenia wyciągnął procę, wydułbał kamyk z przeznaczonej dla nich kieszonki i zestrzelił kwiat odległy o ponad sześć metrów. Ziewnął nonszalancko.

- Bardzo dobrze strzelasz - zauważył policjant. - Chyba równie świetnie jak ten nieznany sprawca, który w zeszłym tygodniu ze szkolnego dachu kamieniami z procy wybębniał alarm pożarowy na dzwonie jednostki samoobrony.

- To musiał być świetny strzelec - przyznał Grimp.

- I który później - ciągnął policjant - posypał swoje ślady pieprzem, wskutek czego pankogarowi niemal łeb odpadł od kichania, kiedy zaczął tropić. Strażnik - dodał znaczącym tonem - cieszyłby się, gdyby podsunąć mu jakieś sugestie co do sprawcy.

- Jasne, jasne - zgodził się Grimp, wyraźnie znudzony.

Policjant, strażnik, a zapewne nawet i pankogar wiedzieli dokładnie, kto to był, ale udowodnić tego nie zdołaliby nawet i za tysiąc lat. Kichawa powinien zdać sobie sprawę, że groźby nie zbliżą go do rekordowych werret nawet o milimetr.

Najwyraźniej tak się stało. Kuzyn postanowił jeszcze trochę pomyśleć. Grimp ciekaw, co wykombinuje, zdecydował się mu nie przeszkadzać...

Nagle zerwał się z kamienia.

- Jest! - wrzasnął, wymachując procą.

Wielki srebrzysty wóz babci Wannattel, ciągnięty przez nosorożcowatego kuca, wynurzył się z lasu i skręcił w stronę farmy. Zwierz zobaczył Grimpa, uniósł łeb długości wysokiego mężczyzny i wyrzycał grzmiące powitanie. Babcia Wannattel pomachała zieloną chusteczką.

Grimp ruszył sprintem w ich kierunku.

Werrety powinny zneutralizować podstęp, ale lepiej i tak powiadomić babcię Wannattel o obecnej sytuacji, zanim spotka się z Kichawą.

Babcia Wannattel trzepnęła wodzami rogaty zad kuca tuż przed dotarciem do policjanta, który czekał na poboczu z rozłożoną listą strażnika w dłoni.

Kuc zmienił krok na powolny kłus, wóz minął Kichawę i zakręt, dopiero wtedy się zatrzymał, już w granicach obszaru farmy. Babcia wyprzęgła kuca, który postępując zlązł z drogi i poczłapał w stronę długiej, podmokłej łąki nad rozpadliną. Stał tam nieruchomo, chłodząc nogi.

Grimp czuł się nieco lepiej. Zjechanie wozem z terenów gminnych dało babci Wannattel formalną przewagę. Ludzie z rodziny chłopca mieli o niej dobre zdanie, w dodatku byli twardzi i lubili besztać strażnika, ilekroć nie mógł poprzeć swoich nakazów solidnymi przepisami prawnymi. Jednak w drodze do farmy babcia Wannattel zdradziła mu, że - dokładnie tak jak się obawiał - nie ma trzydziestu czterech licencji. A teraz policjant wyłonił się zza zakrętu i podchodził do nich, krzywiąc się i wydmuchując nos.

- Sama sobie z nim poradzę, nie wtrącaj się - kącikiem ust mruknęła babcia Wannattel do Grimpa.

Skinął potakująco głową i pomaszerował na łąkę do kuca. Babcia miała duże doświadczenie w radzeniu sobie z policjantami.

- No, no, młody człowieku - usłyszał za sobą, jak pozdrawiała kuzyna. - To mi wygląda na paskudne przeziębienie.

Policjant kichnął.

- Chciałbym, żeby to było przeziębienie - wyznał z rezygnacją. - To katar sienny. Nic nie da się z tym zrobić. Mam tu listę...

- Katar sienny? - upewniła się babcia Wannattel. - Wejdz na chwilę do wozu. Zaraz coś znajdziemy na twoją przypadłość.

- Jeśli chodzi o listę... - zaczął Kichawa i przerwał. - Sądzi pani, że któryś z jej specyfików to wyleczy? - spytał sceptycznie. - Byłem u nie wiadomo ilu lekarzy i nic nie poradzili.

- Lekarze! - prychnęła babcia. Grimp usłyszał stuk jej obcasów na metalowych schodkach z tyłu wozu. - Wchodź, to potrwa tylko chwilę.

- No nie wiem... - powiedział Kichawa niepewnie, ale poszedł za nią. Grimp puścił oczko do kuca. Pierwsza runda dla babci.

- Cześć, kucu! - powiedział.

Obawa nie mogła zmniejszyć jego uznania dla słynnego babcinego zwierzęcia pociągowego. Częściowo, oczywiście, dlatego że był stworzeniem tak ogromnym. Długie, beczkowate ciało opierało się na czterech krótkich nogach zakończonych szerokimi, płaskimi stopami, w tej chwili głęboko zanurzonymi w błoto. Po jednej stronie ciała widniał pokryty kolcami ogon, po drugiej potężna, klinowata głowa ze szpetnie łuszczącym się rogiem wyrastającym pomiędzy oczami a nosem. Od czubka pyska do końca ogona zwierzak pokryty był grubymi, prostokątnymi rogowymi płytami w zielono-brązowe cętki.

Grimp poklepał czule twarde jak kamień bok. Uwielbiał kuca przede wszystkim dlatego, że był najbrzydszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek pojawiło się na Noorhut. Babcia twierdziła, że wykupiła go z bankrutującego cyrku, gdzie trafił z planety o nazwie Treebel, o której mówiono, że pełna jest gorących bagien, niezmordowanie wybuchających wulkanów i cuchnących siarkowych wyziewów.

Można by pomyśleć, że skoro kuc przez większość życia chodził po jeziorach lawy w deszczu rozżarzonego popiołu, uzna Noorhut za planetę o raczej łagodnym klimacie. Jednak pomimo że wokół wielkiej płyty kostnej, stanowiącej przednią część pyska i podstawę dla rogu, niewiele pozostawało miejsca na cokolwiek mogącego nadać jego „twarzy” jakikolwiek wyraz, Grimp miał wrażenie, iż zwierzę czuło wielkie zadowolenie, mając stopy zanurzone głęboko w zimne błocko.

- Jesteś wielką tłustą świnią! - oznajmił mu z czułością. Kuc wysunął długi, ociekający śliną, fioletowy jęzor i delikatnie przeczesał mu włosy.

- Przestań! - zaprotestował Grimp.

Kuc parsknął, owinał językiem sporą kępkę chwastów, wyszarpnął je z ziemi i wpakował sobie do paszczy razem z korzeniami i błotem. Zaczął żuć.

Grimp spojrział na słońce i z niepokojem popatrzył na wóz. Jeśli babcia Wannattel nie pozbędzie się szybko Kichawy, zawołają go na kolację, zanim zdąży porządnie z nią pogadać. A teraz, kiedy pokazywały się światła, nie pozwalano mu wieczorami wychodzić z domu.

- ...więc strażnik mógłby się teraz do pani przyczepić - mówił policjant - tylko gdyby dało się panią oskarżyć o stwarzanie publicznego zagrożenia. Jeśli tego roku pojawią się jakiegokolwiek kłopoty związane ze światłami, niewątpliwie spróbuje. Nie jest złym strażnikiem, wie pani, ale sam siebie przekonał, że w jakiś sposób jest pani odpowiedzialna za pojawianie się tu co roku tych świateł.

Babcia zachichotała.

- No cóż, próbuję co roku zdążyć na czas, żeby je zobaczyć - przyznała. - Rozumiem, że

mogło mu to podsunąć pomysł.

- I oczywiście - dodał policjant - wszyscy staramy się o nich nie rozpowiadać. Jeśli wieść by się rozeszła, zaraz mielibyśmy tu mnóstwo ludzi przyjeżdżających z miasta, żeby sobie popatrzeć. Nikt oprócz strażnika nie ma nic przeciwko pani obecności, tylko że nikt też nie chce, żeby kupa mieszczuchów rozdeptywała mu farmę.

- Oczywiście - zgodziła się babcia Wannattel. - A ja sama też nikomu nie pisałam o nich ani słówka.

- Ostatniej nocy wszyscy twierdzili, że świateł było dwa razy więcej niż w zeszłym roku. Dlatego strażnik jest taki podniecony.

Grimp, z każdą chwilą coraz bardziej zirytowany, musiał wysłuchać długiej, uprzejmej sprzeczki, ponieważ Kichawa koniecznie chciał jakoś zapłacić babci Wannattel za lekarstwo na katar sienny, a ona utrzymywała, że nic nie jest jej winien. Starsza pani przegrała i policjant wcisnął jej pieniądze - jednak walczyła do końca, twierdząc, że dostała za dużo, że tyle nie można brać od przyjaciół Grimpa. Wreszcie uczciwy sługa prawa zszedł po schodkach, odprowadzony do drzwi przez właścicielkę wozu.

- Grimp, jak wyglądam? - radośnie spytał chłopca.

- Jakbyś powinien od czasu do czasu umyć twarz - odparł Grimp nietaktownie, bo tracił już cierpliwość do Kichawy. Lecz po chwili wybałuszył oczy ze zdumienia.

Po opuchliznie powiek prawie nie zostało śladu, a pod żółtawą maścią nos kuzyna powrócił do normalnych kształtów sprzed sezonu kwitnienia traw. W dodatku z silnego zaczerwienienia pozostało jedynie delikatne zaróżowienie skóry. Jednym słowem, Kichawa znów stał się niemal przystojny.

- Całkiem nieźle, co? - spytał. - Jeden zastrzyk wystarczył. A maść mogę zmyć po godzinie. Prawda, babciu?

- Tak - potwierdziła od drzwi, delikatnie przesypując otrzymane pieniądze z ręki do ręki. - Będziesz wtedy jak nowy.

- W dodatku jestem wyleczony na stałe - oświadczył Kichawa. Życzliwie poklepał Grimpa po głowie. - A za tydzień pójdziemy na werrety, co nie, chłopie? - dodał z chciwością w głosie.

- Chyba tak - zgodził się Grimp, nieco chłodno, uważał bowiem, że Kichawa powinien zadowolić się wyleczeniem z kataru siennego i zapomnieć o werretach.

- No to jesteście umówieni!

Kichawa skinął radośnie głową i z umazaną gębą, pogwizdując, pomaszerował drogą. Grimp wykrzywił się za nim, gotów wyciągnąć procę i wpakować średniej wielkości kamyczek w dolną, tylną część munduru. Uznał jednak, że lepiej tego nie robić.

- No cóż, załatwione - mruknęła babcia Wannattel cicho.

W tym momencie od strony domu nadleciał dźwięk krowiego rogu.

„Hop! Hop!” - poniosło się po dolinie.

- Psiakość! - rozzłościł się Grimp. - Wiedziałem, że robi się późno, a ten gadał i gadał! A teraz wołają mnie na kolację. - W oczach miał łzy rozzalenia.

- Nie martw się, chłopcze - powiedziała babcia Wannattel pocieszająco.

- Wskakuj tu na chwilkę i zamknij oczy.

Grimp wpadł do wozu i zamknął oczy w oczekiwaniu.

- Wyciągnij dłonie - kazała mu babcia Wannattel.

Wysunął ręce, a ona złożyła mu je razem w miseczkę. Potem coś drobnego, lekkiego i

futrzonego wpadło w nie, złapało za kciuk drobnymi, zimnymi paluszkami i zaświergotało.

Grimp gwałtownie otworzył oczy.

- Lortel! - wyszeptał bez tchu.

- Jest twój - uśmiechnęła się babcia.

Grimp zaniemówił. Lortel zwrócił ku niemu swoją małą, czarną, niemal ludzką twarzyczkę o wielkich błękitnych oczach, dwukrotnie owinał puszysty długi ogon wokół jego nadgarstka, ścisnął palcami kciuk, uśmiechnął się i skrzeknął.

- Jest cudowny! - zachłysnął się Grimp. - Czy naprawdę można je nauczyć mówić?

- Cześć - powiedział lortel.

- Jak dotychczas potrafi powiedzieć tylko tyle - wyjaśniła babcia Wannattel. - Ale jeśli będziesz cierpliwy, nauczy się więcej.

- Będę cierpliwy - obiecał chłopiec, oszołomiony. - Tej zimy widziałem jednego w cyrku, w Laggand przy końcu doliny. Twierdzili, że potrafi mówić, ale kiedy ja tam byłem, nie odezwał się ani słowem.

- Cześć! - powiedział lortel.

- Cześć! - Grimp przełknął ślinę. Krowi róg zahuczał ponownie.

- Lepiej pobiegij na kolację, bo się rozzłoszcza - zauważyła babcia Wannattel.

- Wiem - odparł Grimp. - Co on je?

- Na swobodzie owady, kwiaty, miód, owoce, jajka. Możesz mu dawać to samo, co sam jesz.

- No cóż, do widzenia. I, o rany, dzięki, babciu! Wyskoczył z wozu. Lortel wysunął się z jego dłoni, wspiął szybko na ramię i usiadł tam, owijając ogon wokół szyi chłopca.

- Już cię poznał i polubił - powiedziała babcia Wannattel. - Nie ucieknie.

Grimp ostrożnie wyciągnął rękę i pogłaskał zwierzaka.

- Przyjdę jutro wcześniej rano - oznajmił. - Nie ma szkoły... Nie wypuszczą mnie na dwór po kolacji, dopóki te światła się pokazują.

Krowi róg zagrzmiał po raz trzeci, bardzo głośno. Tym razem to już nie przelewki.

- No, do widzenia - powtórzył Grimp.

Odbiegł ze skrzeczącym lortelem wiszącym mu na kołnierzyku koszuli. Babcia popatrzyła w ślad za nim, potem na słońce, którego dolna krawędź właśnie dotknęła grzbietów wzgórz.

- Chyba sama też mogłabym zrobić sobie kolację - powiedziała, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Ale potem muszę wyciągnąć ogłupiacz i odwrócić trochę ich uwagę.

Kuc, na pancernym brzuchu leżący na łące, zwrócił głowę w jej kierunku. Małe żółte oczka błysnęły pytająco.

- Dlaczego sądzisz, że potrzebne będzie odwracanie uwagi? - jego głos odezwał się wprost w jej uchu.

Te brzuchomówcze zdolności stanowiły jeden z talentów, dzięki którym kuc był dla babci Wannattel wart swych dość sporych kosztów utrzymania.

- Nie słuchałeś? - zbeształa go. - Policjant powiedział, że strażnik planuje po kolacji wymarsz oddziału samoobrony z wioski. Urządzi strzelaninę do kul czujnikowych Halpów, kiedy tylko się pokażą.

Kuc zaklął w sposób niezrozumiały dla nikogo, kto nie wychował się na Treebel. Wstał i zaczął wyciągać nogi z błota.

- Od czasu gdy osiem lat temu namówiłaś mnie na włóczęgę, nie zdarzyło się jeszcze, żebym zdołał odpocząć sobie całą godzinę jednym ciągiem!

- Ale niewątpliwie masz ciekawe życie, jak obiecałam - uśmiechnęła się babcia Wannattel. Kuc w końcu wygrzebał się z błota, wrywając po drodze jęzorem potężną kępę mokrych chaszczy.

- O tak! - potwierdził z uczuciem. Wyszedł, żując, na drogę.

- Kiedy będziesz jadła kolację, ja popilnuję - zaproponował.

Gdy umundurowany, dwunastoosobowy oddział samoobrony wymaszerował w szyku z wioski na strategiczne pozycje wokół rozpadliny na farmie ojca Grimpa, w pobliżu rozległa się niewielka eksplozja.

Strażnik, który szedł na czele z karabinem na ramieniu i śliniącym się pankogarem na smyczy, zatrzymał się gwałtownie. Oddział złamał szyk i skupił się wokół niego.

- Co to było? - zapytał strażnik.

Wszyscy rozejrzeli się po zielonych, pełnych wieczornych cieni stokach wzgórz otaczających dolinę. Pankogar usiadł przed strażnikiem, skierował nos w stronę mrocznej głębi lasu i zawarczał.

- Patrzcie! - krzyknął jeden z ludzi, wskazując w tę samą stronę. Jasna, zielona isierka pojawiła się na drodze, dokładnie na granicy lasu. Zaczęła gwałtownie rosnać, była już jak ludzka głowa, potem jeszcze większa! Zdawało się, że wysnuwają się z niej mgliste, zielone wstęgi...

- Idę do domu - oświadczył ktoś w tym momencie, bardzo rozsądnie.

- Zostać w miejscu! - rozkazał strażnik, świadom, że zaraz wszyscy zechcą się wycofać.

Był doświadczonym żołnierzem. Ściągnął broń z ramienia, odbezpieczył i skierował w stronę zjawiska. Pankogar zjeżył się i wstał na swoje sześć łap.

- Stać! - krzyknął strażnik do zielonego światła. Urosło błyskawicznie do wielkości beczki, wysunęły się z niego nowe wstęgi, wijące się wokół jak macki szukające ofiary.

Strzelił.

- Wiejemy! - wrzasnęli w tym momencie wszyscy chórem. Pankogar rzucił się wstecz, uderzeniem w nogi wytrącając strażnika z równowagi, i pomknął za uciekającym oddziałem. Zielone światło rozszerzyło się szarpnięciami, tworząc coś przypominającego wieloramienną, wijącą się rozgwiazdę, wielkością niemal dorównującą otaczającym ją drzewom. Wydała z siebie głębokie, trąbiące dźwięki i ruszyła z wolna w stronę strażnika.

Ten przyklęknął i jedną, łomoczącą serią wystrzelił w sam środek rozgwiazdy wszystkie trzynaście nabojów, które pozostały mu w magazynku karabinu. Zatrąbiła jeszcze głośniej, zamachała gwałtowniej ramionami i zbliżała się nadal.

Wtedy wstał gwałtownie, przewiesił karabin przez ramię i dołączył do uciekających. Kiedy oddział dotarł do pierwszych domów wioski, strażnik znów był daleko na czele. Kilka minut później, zdyszany, organizował samoobronę, stosując taktykę, która okazała się skuteczna przeciwko napadom bandytów z Laggand dziewięć lat temu.

Jednak rozgwiazda nie próbowała podążać do wioski, by rozgromić ludzi z doliny. Wciąż znajdowała się na drodze, tam gdzie po raz ostatni widział ją strażnik, wymachiwała ramionami i pohukiwała groźnie na milczące drzewa.

- Sądzę, że to powinno załatwić sprawę - powiedziała babcia Wannattel. - Zanim pierwsza projekcja zgaśnie, wystartuje następna w kolejce, w miejscu dobrze widocznym z wioski. Zapewne dopiero dobrze po północy komuś mogą się przypomnieć kule. Zwłaszcza że dziś w nocy ich nie będzie, oczywiście jeśli dobrze przewidzieliśmy plany ataku Halpów.

- Chciałbym, żeby już było bezpiecznie po północy - z niepokojem oznajmił kuc.

Stał na drodze niedaleko wozu. Jego nieruchoma sylwetka odcinała się od czerwonego nieba jak pomnik. Głowę miał uniesioną; sprawiał wrażenie, że nadstawia ucha. Co też na swój sposób robił - nasłuchiwał jakichkolwiek oznak aktywności z rozpadliny.

- Nie ma się co tym niepokoić - zauważyła babcia Wannattel. Siedziała na przydrożnym głazie, niedaleko kuca, z małą czarną torbą przewieszoną przez ramię. - Poczekamy tu jeszcze z godzinę, aż zrobi się ciemno i wtedy pójdziemy do rozpadliny. Przełom może się zacząć kilka godzin później.

- I znowu to musimy być my! - gderał kuc.

Był porządnie zdenerwowany. Choć każdy towarzysz agentki strefowej Wannattel był skazany na regularne pakowanie się w paskudne sytuacje, kuc nie potrafił sobie przypomnieć żadnego wcześniejszego zdarzenia, które byłoby równie groźne jak nadchodzące nocne godziny. Na Jeltad, odległej planecie Wegi, w biurze planowania Wydziału Stref Galaktycznych, decyzja narażenia Noorhut, by wygrać jedną potyczkę ponurej wojny ludzkości z obcymi i tajemniczymi Halpami, mogła wydawać się równie przykra, jak nieunikniona. Jednak kuc nie mógł pozbyć się uczucia, że odczuwana przykrość byłaby nieco głębsza, gdyby znajdujący się daleko stąd pracodawcy babci Wannattel stali tu, razem z nimi dwojgiem, czekając na nadejście krytycznych godzin.

- Czułabym się o wiele lepiej, gdyby dowództwo nie wybrało nas do tego konkretnego zadania - przyznała babcia Wannattel.

Wskutek raczej nieskomplikowanego, zważywszy na sytuację tej nocy, zbiegu okoliczności, babcia Wannattel urodziła się, jakiś czas temu, około trzystu kilometrów stąd, u stóp zapory na wielkiej rzece Wend, która dała nazwę tej ziemi, a obecnie dostarczała jej niemal całej potrzebnej energii.

Erisa Wannattel dużo podróżowała, od czasu gdy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jej rozmaite zdolności i żądza przygód wymagają innych celów niż możliwe do znalezienia na Noorhut, gdzie rozwijała się spokojna, zrównoważona cywilizacja. Jednak wciąż uważała Dolinę Wend za swój dom i kwaterę główną, do której chętnie powracała. Ponieważ dokładnie wiedziała, jak tutejsi ludzie myślą i działają, łatwo mogła nimi manipulować; w pewnych sytuacjach bywało to bardzo przydatne.

W większości innych miejsc zastosowany przez nią sposób na przegonienie strażnika i jego ludzi znad szczeliny prawdopodobnie wywołałby panikę albo w parę minut pojawiłyby się atakujące uzbrojone pojazdy i działa radiacyjne. Lecz ludzie z Doliny Wend uznali go za po prostu kolejne lokalne zagrożenie. Brązowy dzwon alarmowy w wiosce ogłosił stan oblężenia, rogi przekazały wiadomość do okolicznych farm. W ciągu kilku minut na drogach pojawili się uzbrojeni farmerzy, jadący wraz z rodzinami. W niedługi czas potem znów zapanował spokój. Ustawiono posterunki, kobiety i dzieci zgromadzono w centralnych budynkach, a mężczyźni usadowili się, by obserwować babcine projekcje - wąskie kierunkowe wiązki wideo - z bezpiecznej odległości granic wioski.

Jeśli nic się nie zdarzy, ludzie powinni zostać tam aż do rana, dopiero wtedy rozpoczną ostrożne badanie zjawiska. Od czterech lat oglądali tajemnicze niebieskie światła nieszkodliwie polatujące nad farmą Grimpa, więc byli dość przyzwyczajeni do ognistych zjaw. Jednak jeśli nawet odezwie się w nich żyłka awanturnicza, nie zrobią sobie krzywdy o efektowne hologramy.

Wszyscy z całej okolicy znaleźli się w jednym miejscu, unieruchomieni, tak jak chciała babcia Wannattel.

Poza tymi drobiazgami zachód słońca nad doliną był wyjątkowo cichy i spokojny. Nic nie wskazywało na to, że tutaj znajduje się jedyne obecnie miejsce kontaktu sił zaangażowanych w wojnę o skali najprawdopodobniej galaktycznej. Konflikt był dość widmowy, lecz pochłaniał wiele ofiar. Trwał od ponad tysiąca lat, a obie strony wiedziały o przeciwniku tylko jedno - że jest bezlitosny. Nigdy nie było żadnych bitew pomiędzy ludzkością i Halpami, odbywały się jedynie naprzemienne, gruntowne masakry - wszystkie, z punktu widzenia człowieka, po niewłaściwej stronie płotu.

Jedynie Halpowie dysponowali wiedzą pozwalającą im dopaść przeciwnika. Jednak atak prawdopodobnie wymagał od nich niesamowitego wysiłku oraz warunków trwających przez zaledwie kilka lat i pojawiających się co mniej więcej trzy wieki ludzkiego czasu.

Trudno by doszukać się w Halpach jakichś pozytywnych cech poza wytrwałością. Co trzysta lat, z regularnością zegarka, wykorzystywali ów krótki okres na zadanie ludzkiej cywilizacji kolejnego ciosu, starannie zaplanowanego, umiejscowionego i przeprowadzonego z przerażającą gwałtownością - a tym razem ich celem była Noorhut.

- Coś zaczyna się poruszać koło rozpadliny! - odezwał się nagle kuc. - To nie jest jedna z ich kul detektorowych.

- Wiem - mruknęła babcia Wannattel. - To pierwszy z samych Halpów. Wygląda na to, że pojawią się zgodnie z rozkładem. Ale nie denerwuj się, nie mogą zrobić nikomu krzywdy, dopóki nie pojawi się tu transponder i nie doda im energii. Teraz musimy być szczególnie ostrożni, żeby ich nie spłoszyć. Wydaje się, że oni sami są bardziej wrażliwi na otaczające ich emocje niż kule detektorowe.

Kuc nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, jaka jest stawka i dlaczego dzisiejszej nocy osiem wielkich okrętów okrąża Noorhut poza zasięgiem detektorów przestrzennych. Wiedział też, że zaczną działać, tylko jeśli się dowiedzą o klęsce babci Wannattel. Jednak...

Potrząsnął niepewnie głową. Lud Treebel nigdy nie doszedł do takiego rozwoju cywilizacyjnego, by rozważać podejmowanie ryzyka na skalę planetarną - nie wspominając już, że tutaj w grę wchodziło życie i jego samego, i babci Wannattel. Podróżował z nią osiem lat i nabrał ogromnego szacunku dla jej umiejętności oceny sytuacji i odwagi. Mimo to spłoszenie Halpów, o ile jeszcze wykonalne, wydawało mu się bardzo dobrym pomysłem.

W gruncie rzeczy, jak babcia Wannattel dobrze wiedziała, prawdopodobnie można by osiągnąć ten cel, po prostu wrzucając do rozpadliny niewielką petardę. Przed opanowaniem planetarnego przyczółka Halpowie byli niezmiernie ostrożni. Umieeli dostrzec każde urządzenie typu broni radiacyjnej w odległości setek kilometrów i zarówno jakakolwiek oznaka agresji ze strony lokalnej ludności, jak i prowadzenie zdalnej obserwacji natychmiast powstrzymałyby próbę inwazji na Noorhut.

Lecz jednym z głównych zadań babci Wannattel było dopilnowanie, by nie zdarzyło się nic, co mogłoby wystraszyć Halpów. W takim wypadku najazd zostałby tylko przeniesiony na inną planetę i bardzo prawdopodobne, że na taką, gdzie zlekceważono by kule czujnikowe, aż byłoby za późno. Najlepszy system informacyjny w Galaktyce nie był w stanie powiadomić o tego typu zagrożeniach więcej niż drobny ułamek populacji...

Babcia nagle zerwała się na równe nogi i w tym samym momencie kuc odwrócił się od rozpadliny. Oboje stali przez chwilę, obracając lekko głowami na boki, jak psy gończe usiłujące złapać wiatr.

- To Grimp! - wykrzyknęła babcia Wannattel. Nosorożcowaty kuc prychnął głośno.

- Zgadza się, to jest wzorzec jego myśli - potwierdził. - Najwyraźniej czuje, że

potrzebujesz ochrony. Możesz go zlokalizować?

- Jeszcze nie - zaprzeczyła nerwowo. - Tak, już mogę. Nadchodzi przez las po drugiej stronie rozpadliny, nieco na lewo od nas. To mały czort! Pośpieszyła do wozu.

- Chodź, muszę tam na tobie podjechać. O tak późnej porze nie odważę się użyć terenówki.

Zwierzak przykucnął koło wozu, a babcia, stojąc na szczycie tylnych schodków, szybkim ruchem założyła mu siodło, pasujące do sześciu metalowych pierścieni umocowanych do jego grzbietowych płyt kostnych, i wspięła się na nie, łapiąc za uchwyty.

- Obejdź rozpadlinę z daleka! - ostrzegła. - Hałasem się nie przejmuj. Halpów on nie obchodzi, musiałby zawierać emocje, żeby się zainteresowali, a im szybciej Grimp nas zauważy, tym łatwiej go znajdziemy.

Kuc już pędził przez łąkę ze zdumiewającą prędkością - przemieszczanie tak ciężkiego cielska przez lepkie bagna Treebel wymagało bardzo wydajnych mięśni. Okrążył z daleka rozpadlinę wraz z jej zawartością, przeciął płytkie trzęsawisko, wydając odgłosy jak nacierający kuter torpedowy, i dotarł do lasu.

Tu musiał zwolnić, żeby gałęzie nie zmiotły babci Wannattel z grzbietu.

- Grimp jest gdzieś tu niżej na zboczu - powiedziała. - Usłyszał nas.

- Ależ hałasują! - nagle dotarła do nich myśl chłopca, mocna i czysta. Najwyraźniej do kogoś mówił. - Ale nie boimy się ich, co nie?

- Bum, bum! - odezwała się druga myśl, pełna podniecenia.

- To lortel - babcia i kuc powiedzieli jednocześnie.

- Właśnie tak! - podsumował Grimp z aprobatą. - Rozwalimy ich wszystkich z procy, jeśli nie będą się pilnować. Ale znajdziemy babcię.

- Grimp! - krzyknęła babcia Wannattel. Kuc wspomógł ją potężnym rykiem.

- Cześć! - nadleciała myśl lortela.

- Czy to nie kuc? - zapytał Grimp. - No dobra, chodźmy tędy.

- Idziemy, Grimp! - zawołała babcia, gdy kuc schodził w dół stromego zbocza wąwozu, stosując prostą technikę używaną przez kamienne lawiny.

- To babcia! - wykrzyknął chłopak. - Babciu! - wrzasnął. - Uważaj! Tu wszędzie jest pełno potworów!

- Nie wiesz, co straciłaś! - wrzeszczał Grimp, skacząc wokół kuca, kiedy babcia Wannattel gramoliła się z siodła. - Wokół wioski jest mnóstwo potworów i strażnik zabił jednego, i ja waliłem do drugiego z procy, aż zniknął, i poszedłem cię odszukać...

- Matka będzie się o ciebie martwić! - zaczęła babcia, kiedy padli sobie w objęcia.

- Nie - uśmiechnął się Grimp. - Wszystkie dzieci mają teraz spać w budynku szkoły, więc nie będzie mnie szukać aż do rana, a nauczyciel powiedział, że wszystkie potwory to - zawahał się - halucynacje. Ale nie poszedł, kiedy strażnik zaproponował, że pokażą mu jakiegoś. Został w łóżku. Strażnik jest w porządku, zabił jednego i ja załatwiłem drugiego z procy, a lortel nauczył się nowego słowa. Lortel, powiedz „bum, bum” - poprosił.

- Cześć! - skrzeknął zwierzak. Grimp westchnął.

- Naprawdę umie to powiedzieć. A ja przyszedłem, bo chcę zabrać cię do wioski, żeby potwory cię nie dopadły. Cześć, kuc!

- Bum, bum - oznajmił lortel zdecydowanie.

- Widzisz?! - wrzasnął Grimp. - On się w ogóle nie boi. To naprawdę odważny lortel! Jeśli zobaczymy jakieś potwory, ty też się nie bój, mam procę - poinformował, wymachując nią groźnie - i dwie kieszenie pełne średnich kamieni. Trzeba wroga wytłuc do nogi!

- To całkiem dobry pomysł, chłopcze - zgodziła się babcia Wannattel. - Ale teraz jesteś okropnie zmęczony.

- Nie, nie jestem! - krzyknął Grimp.

Prawe oko zamknęło mu się ciężko, potem lewe; otworzył oba z wielkim trudem i popatrzył na babcię.

- To prawda - przyznał. - Jestem...

- W gruncie rzeczy - dodała babcia - zasypiasz!

- Nie, nie za... - usiłował zaprotestować Grimp. Babcia złapała go, nim osunął się na ziemię.

- Z pewnych powodów nie podoba mi się to, co robię - zasapała, z trudem wpychając chłopca na grzbiet kuca, który dla ułatwienia położył się jak najbardziej płasko. - Prawdopodobnie miałby sporo uciechy, ale nie możemy ryzykować. Ojej, jaki jest ciężki - jęknęła - a te kieszenie pełne amunicji wcale nie czynią go lżejszym!

Wdrapała się na siodło. Lortel przeniósł się na kołnierz jej płaszcza.

Kuc wstał ostrożnie.

- Teraz co? - spytał.

- Równie dobrze możemy pójść prosto do rozpadliny. Prawdopodobnie będziemy musieli tam poczekać parę godzin, ale jeśli zachowamy ostrożność, w niczym to nie zaszkodzi.

- Znalazłeś dobry, głęboki staw? - babcia spytała kuca w jakiś czas później, kiedy chlapiąc podszedł do niej na skraj rozpadliny.

- Tak - odparł. - Jakies sto metrów stąd. Powinien być wystarczająco blisko. Jak myślisz, ile jeszcze będziemy musieli czekać?

Babcia wzruszyła ramionami. Siedziała na trawie, mając przed sobą - gdyby był dzień - dobry widok na rozpadlinę poniżej. Grimp spał z głową na Jej kolanach, lortel zaś, po upolowaniu w trawie i zjedzeniu kilku owadów, usadowił się na jej ramieniu i również zapadł w drzemkę.

- Nie wiem - odparła. - Wschód Wielkiego Księżyca jest dopiero za jakieś trzy godziny, a wszystko musi wydarzyć się jakiś czas wcześniej. Skoro już znalazłeś staw, po prostu zostaniemy tu razem i poczekamy. Musisz tylko pamiętać, żeby się nimi za bardzo nie podniecać.

Kuc stał koło niej, wielki i potężny, przednie nogi miał na samej krawędzi rozpadliny. Patrzył w dół, błotnista woda spływała po jego pękatych bokach. Przyniósł ze sobą ciepły, mulisty zapach letniego stawu, unoszący się wokół nich ciężką chmurą.

Na dnie rozpadliny trwał bezustanny, słabo widoczny ruch. Z trudem dostrzegalne drgnienia w mroku.

- Gdybym był sam - powiedział kuc - zwałbym stąd czym prędzej! Wiem, kiedy powinienem się bać. Ale ty przejęłaś psychologiczną kontrolę nad moimi reakcjami, prawda?

- Tak - potwierdziła babcia Wannattel. - Byłoby mi jednak dużo łatwiej, gdybyś w tym pomógł. Dopóki nie pojawi się tu transponder, nie ma właściwie żadnego niebezpieczeństwa.

- O ile w ciągu ostatnich paruset lat nie opracowali jakichś całkiem nowych sztuczek.

- To prawda. Ale nigdy jeszcze nie próbowali zmieniać sposobu postępowania wobec nas. Gdybyśmy to my atakowali, za każdym razem zmienialibyśmy metody. Halpowie najwyraźniej myślą inaczej niż my. Gdyby nie zdawali sobie sprawy, jak są bezbronni w tym momencie, nie byłiby wciąż tak ostrożni.

- Mam nadzieję, że tu się nie mylą! - podsumował krótko kuc. Poruszył w tym momencie

głową, śledząc coś, co trzepotliwie wyleciało z głębi rozpadliny, zatoczyło krąg nad dalszą krawędzią i wróciło na dół. Mieszkańcy Treebel o wiele lepiej widzieli w ciemności niż babcia Wannattel, lecz i ona spostrzegła ruch tego czegoś.

- Nieszczerze wyglądają - zauważył kuc. - Właściwie jak wielka, ciemna skórzana szmata.

- Uważa się, że ich fizyczna budowa jest raczej prosta - zgodziła się babcia. Kuc znów się napiął, więc najlepiej było mówić do niego, nawet o niczym. To zawsze pomagało, choć kuc zbyt dobrze ją znał, by dać się naprawdę oszukać taką prostą sztuczką.

- Wiesz, wiele bardzo sprawnych form życia ma zupełnie prostą budowę - ciągnęła jednostajnie. - Zwłaszcza pasożyty. Również jest prawie pewne, że Halpowie mają inteligencję typu mrowiska, więc to, co uchodzi za system nerwowy osobników przysyłanych do nas, może nie być niczym więcej, jak tylko drugorzędnymi przekaźnikami odruchów...

W tym momencie Grimp poruszył się przez sen i zamruczał. Babcia popatrzyła w dół na niego.

- Śpisz bardzo mocno! - powiedziała surowo.

Chłopiec zasnął.

- Masz wobec niego plany, prawda? - zapytał kuc, nie odwracając oczu od rozpadliny.

- Obserwowałam go i już zarekomendowałam w dowództwie. Lecz nie podejmę żadnej decyzji do następnego lata, kiedy będziemy mieli więcej czasu, by go poznać. Tymczasem zobaczymy, ile zdolności telepatycznych i rozszerzenia zmysłów podłapie od lortela w naturalny sposób. Uważam, że się nada.

- Zgadza się - stwierdził kuc nieuważnie. - Lecz jest w nim trochę z mordercy, jak w was wszystkich...

- Wyrośnie z tego! - powiedziała babcia Wannattel, nieco poirytowana, ponieważ wielokrotnie spierała się z kucem na temat ludzkiej agresywności. - Tego typu rozwoju nie można za bardzo pośpieszać. Cała Noorhut wyrośnie z tego etapu, tak jak i ludzie, za paręset lat. Teraz znajdują się w punkcie zwrotnym...

Równocześnie unieśli głowy, bo coś wyglądającego jak wielka, ciemna skórzana szmata trzepocząc uniosło się z rozpadliny i zawisło w mroku nad nimi. Przez chwilę przedstawiciele wrogich stron spotykających się tej nocy na Noorhut szacowali się nawzajem.

Halpa miał jakieś dwa metry długości, około pół metra szerokości i centymetr czy dwa grubości. Utrzymywał się w powietrzu, wykonując urywane ruchy. Przypominał nietoperza wielkości człowieka. Nagle rozciągnął się z trzaskiem, naprężając się jak wydęty żagiel.

Kuc prychnął mimowolnie. Pozbawiony cech charakterystycznych kształt przesunął się w powietrzu w jego stronę, zbliżył się nieco. Kiedy nic więcej się nie wydarzyło, obcy obrócił się i trzepocząc, zniknął spokojnie w rozpadlinie.

- Wyczuł, że się przestraszyłem? - spytał kuc niepewnie.

- Zareagowałeś jak najbardziej właściwie - pocieszyła go babcia Wannattel. - Pełna zaskoczenia podejrzliwość w pierwszym momencie, potem ciekawość, w końcu przestrach przy jego gwałtownym ruchu. Mniej więcej tego należy oczekiwać od istot kręcących się teraz wokół rozpadliny. Jesteśmy dla nich jak krowy. Nie potrafią ocenić niczego po wyglądzie tak jak my...

Nie odważyła się ujawnić kucowi, jak bardzo czuła się poruszona. W gości Halpy było coś nieopisanie groźnego. Niemal na pewno próbował sprowokować ich do reakcji ujawniającej wrogą inteligencję, sprawdzając przypuszczalnie, czy nie mają jakiejś broni,

która mogłaby okazać się śmiertelna dla jego gatunku.

Istniała możliwość - niewielka, lecz bulwersująca - że od ostatniej inwazji istoty te opracowały jednak jakąś drastycznie nową strategię ataku i już panują nad sytuacją...

W takim zaś przypadku ani Grimp, ani nikt inny na Noorhut nie będzie jutro dorastał.

Jak do tej pory wszystkie tysiąc sto siedemnaście planet straconych na rzecz Halpów krążyło poosepnie po ognistych orbitach - wydarte najeźdźcom za cenę doprowadzenia na nich, przy użyciu broni skonstruowanej przez ludzi, do powstania warunków, w jakich nie byłaby w stanie przetrwać żadna znana forma życia.

Przez ostatnie cztery lata możliwość, że taka właśnie jest przyszłość Noorhut, wisiała nad babcią Wannattel jak paskudne fatum. Jednak spośród blisko pięćdziesięciu planet, na których znaleziono Halpów badających kulami czujnikowymi ich przydatność jako potencjalnych miejsc inwazji w tym cyklu, dowództwo w końcu wybrało Noorhut. Uznano, że miejscowe warunki dają największą szansę wygrania z obcymi, czyli postępowania w taki sposób, by zniszczyć ich jedyną prawdziwą broń inwazyjną - osławiony i tajemniczy transmiter. Choć Halpowie byli niewątpliwie zdolną rasą, przeszłe wydarzenia wskazywały, że mogą zastosować tylko jeden taki przyrząd w danym cyklu ataku. Toteż jego zniszczenie dałoby ludzkości kilka dodatkowych stuleci na znalezienie sposobu dopadnięcia Halpów, zanim rozpoczną kolejny najazd.

Tak więc na wszystkich tych planetach, oprócz Noorhut, starannie podsuwano kulom czujnikowym takie dane, by przesyłały informacje o czujnych i dobrze uzbrojonych mieszkańcach. Za to tutaj cały czas je uspokajano... Ta planeta została wybrana jako najlepsze miejsce potyczki, a samą Erisę Wannattel uznano za agentkę, która w panujących tu warunkach najlepiej będzie reprezentowała siły ludzkości.

Babcia westchnęła cicho i przypomniała sobie, że prawdopodobieństwo pomyłki dowództwa w ocenie szans sukcesu jest równie małe jak w wyborze właściwej osoby mającej go osiągnąć. Ryzyko, że zakończy swoją długą karierę, mordując wskutek nieudolności swój ojczysty świat, było znikome, wręcz teoretyczne.

Jednak istniało.

- Wydaje się, że z każdą chwilą ich przybywa - odezwał się kuc.

Babcia wzięła głęboki wdech.

- Musi ich być tam teraz kilka tysięcy - potwierdziła. - Zbliża się czas przełomu, ale to jest tylko ich straż przednia. Zauważyłeś może coś jak blask światła na dole, mniej więcej pośrodku? - spytała.

Kuc wpatrywał się przez chwilę w mrok.

- Tak - odparł. - Powiedziałbym jednak, że dla ciebie jest za daleko w podczerwieni. Widzisz to?

- Nie, ale coś czuję, jakby ciepło. To transmiter zaczyna przechodzić.

Chyba ich mamy!

Kuc zakotłosał się lekko na boki.

- Tak - rzekł z rezygnacją. - Albo oni mają nas.

- Nie myśl o tym - poleciała babcia Wannattel ostro i zatrzasnęła kolejny mentalny zamek na mglistych, mrocznych lękach kłębiących się i kotłujących pod jej świadomymi myślami, zagrażających wydostaniem się w ostatniej chwili i zahamowaniem jej działań.

Otworzyła czarną torbę i niespiesznie zaczęła składać coś z kilku kawałków drewna, drutu i ciężkiej, twardej sprężyny...

- Bądź gotów - dodała.
- Jestem gotów od godziny - oświadczył niezbyt szczęśliwy kuc, przestępując z nogi na nogę.

Potem już nie rozmawiali. Wokół nich zapanowała cisza i spokój. Rozpadlina zaczęła się powoli wypełniać czarną, drgającą, pełzającą falą.

Od czasu do czasu jej fragmenty polatywały, trzepocząc, w górę, zawisały kilka metrów nad krawędzią i opadały z powrotem.

Nagle w samym środku wąwozu pojawiło się coś jeszcze.

Babcia Wannattel zdała sobie sprawę, że kuc dostrzegł to pierwszy. Wbijał tam wzrok przez dobrą minutę, zanim ona zdołała wypatrzeć coś, co mogło być grupką miniaturowych iglic. W rogach widniały cztery niewielkie kopuły półprzezryste w mroku. Pośrodku jedna większa, wysoka na prawie siedem metrów i bardzo smukła.

Cała konstrukcja szybko stawała się coraz bardziej materialna...

Krystalicznie delikatny wygląd transmitera Halpów był chyba jego najbardziej przerażającą cechą, wraz z nim bowiem pojawiło się niesamowite poczucie czarnej dali poza wszelką odległością, w niewyobrażalny sposób sięgającej wstecz do miejsca swego pochodzenia. W tamtym nieznanym miejscu ogromnie utalentowana i zdeterminowana rasa przez stulecia ludzkiej miary czasu pracowała nad skonstruowaniem i wycelowaniem zdumiewającego działa... i zdołała przekroczyć niezmierną odległość za pomocą czegoś tak delikatnego jak ten ciemny kawałek szkła, który nagle spoczął w dolinie rzeki Wend.

Nic oprócz transmitera nie było potrzebne. Śmiertelne zagrożenie, które ze sobą niósł, leżało w ociążającej, niemal bezwładnej otaczającej go masie. Za kilka minut urządzenie zacznie działać, tak samo jak innymi nocami na wielu straconych, płonących planetach. A wtedy, w czasie jeszcze krótszym, najeźdźcy zostaną rozrzućeni przez swoją smukłą maszynę po całej Noorhut - już nie bezwładni, lecz zmienieni w szybką, drapieżną i niemal niezniszczalną wampiryczną formę życia; dzielący się raz za razem w swoim niewiarygodnie szybkim cyklu reprodukcyjnym, rosnący i dzielący się znów...

Rozprzestrzeniając się w tym stadium tak szybko, że nadążyć z ich mordowaniem mogła tylko broń ostateczna!

Kuc zadygotał nagle, ogarnięty paniką.

- To transmitter, zgoda - dotarła do niego natychmiast myśl babci. - Dwukrotnie zdobyliśmy jego opis. Lecz nie możemy być pewni, że jest tutaj, dopóki nie zacznie się ładować. Wtedy się rozświetli, najpierw na krawędziach, potem w środku. Pięć sekund po zaświeceniu się centralnej iglicy będzie zawierał w sobie zbyt wiele energii, by mogli go wycofać. A przynajmniej nie byli w stanie tego zrobić, kiedy obserwowaliśmy ich ostatnim razem. Bądźmy wtedy gotowi...

Kuc słyszał to wszystko już wcześniej, ale słuchając, uspokajał się.

- A ty będziesz dalej spał! - pomyślała babcia Wannattel do Grimpa. - Cokolwiek usłyszysz czy cokolwiek się zdarzy, będziesz spał i dopóki cię nie obudzę, o niczym nie będziesz wiedział...

W transmitterze nagle zapłonęło światło - najpierw w czterech zewnętrznych iglicach, w chwilę później w centralnej. Ponury, czerwony blask napełnił rozpadlinę mglistą poświatą. Zaskoczony kuc cofnął się o dwa kroki.

- Ruszamy za pięć sekund! - szepnęła babcia Wannattel w myśli. Ponownie sięgnęła do czarnej torby i wyciągnęła niewielką plastikową kulkę, na której powierzchni zatańczyły

matowe, czerwone odblaski światła dobiegającego z rozpadliny. Starannie wsunęła ją w szczelinę ramy urządzenia poskładanego z drewna i drutu. Kulka ze szczękiem wskoczyła na swoje miejsce na końcu ściśniętej sprężyny.

W dole obcy spoczywali na mokrej ziemi trzymetrowej grubości dywanem, niczym wielkie, czarne, nasiąknięte wodą liście zgarnięte w kolisty stos przy zboczach rozpadliny. Szczyty i boki stosów podskakiwały i drgały, z wolna zaczęły sunąć w stronę transmitera.

- ...pięć, ruszamy! - powiedziała babcia na głos. Uniosła drewnianą katapultę do ramienia. Kuc gwałtownie potrząsnął na boki głową opatrzoną tępyimi rogami, wydal z siebie zduszony ryk, rzucił się naprzód i z łomotem popędził w dół zbocza.

Babcia starannie wycelowwała i strzeliła.

Przed nacierającym kucem, którego bieg wywoływał drgania gruntu, uniosła się chmura istot przypominających zeschnięte liście. Nieważki, milczący wir ciemności natychmiast przesłonił zarówno świecący transmiter, jak i sylwetkę napastnika, który ryknął raz, gdy załapał go mrok. W sekundę później rozległ się brzęk jakby stłuczonego kilkudziesięciometrowego lustra - i mniej więcej w tym samym momencie plastikowa kulka babci eksplodowała gdzieś w samym środku wirującego roju.

Fontanny białego ognia wypełniły rozpadlinę. Gęsta masa dziwnych kształtów trzepotała i skręcała się szaleńczo w płomieniach jak palące się szmaty. Z samego dołu, gdzie ogień był najsilniejszy, dobiegały odgłosy bardzo brutalnego traktowania kruchych substancji. Kuc dla pewności tratował rozbity transmiter, dopełniając dzieła zniszczenia.

- Zwiewaj stamtąd! - krzyknęła babcia z niepokojem. - Cokolwiek z niego zostało, i tak się stopi!

Nie wiedziała, czy ją usłyszał, czy nie, ale w kilka sekund później popędził w górę zbocza. Pokryty płomieniami od czubka nosa do ogona minął babcię Wannattel, przeciął znajdującą się poza nią łąkę, roniąc płaty białego ognia eksplodujące za nim w bagiennej trawie, i rzucił się do wybranego wcześniej stawu. Rozległ się potężny plusk, któremu towarzyszył ostry syk. I staw, i kuc zniknęli w kłębach pary.

- Ależ to było gorące! - usłyszała babcia w myślach.

Odetchnęła głęboko.

- Równie gorące jak wulkaniczna lawa! - potwierdziła. - Gdybyś zabawił tam dłużej, wioska miałaby pieczeń na cały rok.

- Posiedzę tutaj trochę, aż ostygnę - oświadczył kuc.

Babcia zorientowała się wtedy, że coś ją dusi. Okazało się, że to ogon lortela. Odwinęła go ostrożnie, lecz zwierzak natychmiast wczepił się jej czterema łapami we włosy. Postanowiła go tam zostawić, sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego.

Za to Grimp spał twardo. Na pewno dostarczenie go do wioski niepostrzeżenie będzie wymagało sporych zabiegów, ale jak to zrobić, wykombinuje po drodze. Do rozpadliny wiał ciągły strumień chłodnego powietrza, które zaraz unosiło się z niej niewidzialnymi, pionowymi kolumnami żaru. Na dnie wspaniałego pożaru, jaki rozpalila na dole, coś się poruszało - ale bardzo powoli. To prawda, że Halpowie byli twardymi istotami, lecz przysmażeni porządnym ogniem okazywali się mniej odporni niż mieszkańcy Treebel.

Oczywiście o świcie, kiedy grunt ostygnie na tyle, żeby mogła tam wejść, będzie musiała sprawdzić jeszcze rozpadlinę - ale faza wojny z Halpami w jej stuleciu najprawdopodobniej się zakończyła. A przynajmniej jej część obronna...

Mokre odgłosy zucia, dobiegające ze stawu, świadczyły, że kuc poczuł się wystarczająco

dobrze, by zainteresować się pływającą wokół niego podgotowaną roślinnością.

Ostrożnie położyła się na plecach w długiej, bagiennej trawie, starając się nie poruszyć zanadto Grimpa, i pozwoliła sobie na drzemkę.

O świcie wóz z lekami babci Wannattel znajdował się o dwanaście kilometrów od wioski i toczył się równomiernie przez las na południe.

Grimp i policjant pojawili się bardzo wcześnie, by ją ostrzec. Strażnik wykorzystał różne nocne nieprzewidziane zajścia, by zarządzić głosowanie nad oskarżeniem babci Wannattel o wywołanie zagrożenia publicznego, a ponieważ wszyscy byli podenerwowani i rozeźleni, miał duże szanse na uzyskanie poparcia większości.

Grimp towarzyszył jej wystarczająco daleko, by wyjaśnić, że taki stan rzeczy nie będzie trwał. Wszystko obmyślił.

Świeża odporność Kichawy na pyłki z dnia na dzień doprowadziła do porozumienia pomiędzy nim i piękną Vellit; za pięć tygodni mieli się pobrać. Jako człowiek żonaty Kichawa będzie mógł kandydować po żniwach w wyborach na stanowisko strażnika - a jeśli będzie miał za sobą kuzynów Grimpa i Vellit, uzyska akurat wystarczającą większość głosów. Tak więc, kiedy następnego lata babcia odwiedzi dolinę, nie będzie musiała więcej martwić się ingerencją policji.

Babcia skinęła głową z uznaniem. To był właśnie ten rodzaj lokalnej polityki, jaką zaczęła uprawiać, będąc mniej więcej w wieku Grimpa. Była teraz prawie pewna, że ten chłopiec w końcu zostanie jej następcą i strażnikiem nie tylko Noorhut i jej systemu słonecznego, ale jeszcze ładnych paru układów na dokładkę. Po starannym szkoleniu powinien być gotów do podjęcia pracy, kiedy ona postanowi przejść na emeryturę.

Dzieciak wyruszył z powrotem do wioski, a godzinę później wóz skręcił z traktu na wąską leśną przecinkę. Kuc wydłużył tu krok i w niecałe pięć minut dotarli do krętego wąwozu, na którego drugim końcu znajdowało się coś, w czym Grimp, dzięki swojej wizycie w najbliższym mieście portowym, natychmiast rozpoznałby niewielki statek kosmiczny.

Ogromny luk otworzył się bezgłośnie. Babcia wyprzęgła kuca. Przedstawiciel ludu Treebel wszedł do luku, a wóz oderwał koła od ziemi i wpłynął za nim. Babcia Wannattel weszła ostatnia.

Przez chwilę statek spoczywał nieruchomo. Potem zniemacka zniknął. Zeschłe liście wirowały w wąwozie jakiś czas, poderwane podmuchem.

W bardzo odległym miejscu - tak dalekim, że ani Grimp, ani jego rodzice, ani nikt w wiosce, oprócz nauczyciela, nigdy o nim nie słyszał - zespół przyrządów zaczął sygnalizować wezwanie. Ktoś je odebrał.

- Tu agentka strefowa Wannattell. Operacja Halpa na Noorhut zakończyła się sukcesem.

Wysoko nad niebem Noorhut osiem ogromnych okrętów natychmiast zeszło ze swoich orbit i znów zniknęło w czerni bezmiernej przestrzeni, która była ich morzem i domem.

L. Sprague de Camp to wyjątkowa postać, pisarz, którego kariera obejmuje niemal całą historię współczesnej SF i fantasy. Niepowtarzalny „złoty wiek” „Astounding” w późnych latach trzydziestych i całych czterdziestych to w znacznej mierze zasługa obecności na łamach pisma właśnie de Campa oraz jego wielkich współczesnych: Roberta A. Heinleina, Theodore’a Sturgeona i A.E. van Vogta. W tym samym czasie, w bliźniaczym czasopiśmie „Unknown”, pomagał stworzyć zupełnie nowy styl pisania fantasy - żartobliwy, kapryśny i przekorny - który wciąż uprawia z ogromnym powodzeniem {L. Sprague de Camp zmarł 6 listopada 2000 roku}. Opowiadania, które pisywał dla „Unknown”, do dzisiaj należą do najlepszych krótkich utworów fantasy, jakie kiedykolwiek powstały. Wśród nich znajdują się takie klasyczne już dzisiaj teksty, jak: The Wheels of If, Tego nie ma w regule, Stos twardego drewna oraz, pisany wspólnie z Fletcherem Pratterem, cykl Harold Shea {po polsku podstawowe trzy tomy wydano w dwóch książkach: Uczeń czarnoksiężnika i Żelazne zamczysko}. W annałach science fiction zapisał się przede wszystkim powieścią Jankes w Rzymie, moim zdaniem jedną z trzech lub czterech najlepszych książek o światach równoległych, jakie kiedykolwiek powstały (wydawnictwo Baen Books wznowiło pierwotną, krótszą wersję tej powieści w roku 1996, w jednym tomie z kontynuacją To Bring the Light Davida Drake’a), kontrowersyjną w swoim czasie powieścią Rogue Queen (która dzisiaj wydaje nam się zupełnie niewinna), jak również doskonałymi opowiadaniem, wśród których należy wymienić przede wszystkim Judgement Day, Divide and Rule, A Gun for Dinosaur oraz Aristotle and the Gun.

Nawet jeśli nazwisko de Campa kojarzy nam się przede wszystkim z prozą humorystyczną i cyklem Harold Shea, to jednak we wszystkich jego utworach są wyraźnie obecne elementy przygodowe, naturalnie często gęsto z domieszką sarkastycznego humoru. Cyklem opowiadań Viagens Interplanetarias (co po portugalsku, a więc w języku dominującej w stworzonej przez niego przyszłości Brazylii, oznacza „podróże międzyplanetarne”) ogromnie przyczynił się do rozwoju space opery. W cyklu tym, zawierającym głównie utwory, których akcja toczy się na planecie Kryszna, po mistrzowsku przedstawia skomplikowane więzy łączące ludzi z innymi myślącymi istotami. Wysoki poziom intelektualny wyróżnia prozę de Campa na równi ze wszechobecnym poczuciem humoru. Jego space opera jest po prostu mądrzejsza od utrzymanych w tej samej konwencji utworów pisanych przez współczesnych mu pisarzy. Na pierwszy rzut oka widać, jak bystry umysł obmyślał intrygującą akcję i powiązane w logiczną całość szczegóły (ot, choćby to, że we wszechświecie Viagens nie ma czegoś takiego jak podróże z prędkością większą od prędkości światła, co powoduje konsekwencje, jakich nie przewidziałyby zdecydowana większość autorów kosmicznych przygodówek...). Wysoki poziom intelektualny widać we wszystkich utworach de Campa z tego cyklu. Weźmy na przykład przepowiednię, według której Brazylia miała się stać dominującą potęgą polityczną i ekonomiczną drugiej połowy XXI wieku. W połowie lat pięćdziesiątych koncepcja taka wydawała się zupełnie nierealna, ale już w tej chwili z pewnością zasługuje na nieco bardziej poważne traktowanie. Między innymi dlatego opowiadania te, chociaż liczą już sobie niemal pół wieku, wcale się nie zestarzały i wciąż dostarczają doskonałej rozrywki. Tekst przedstawiony w niniejszym tomie jest tego najlepszym dowodem.

Opowiadania z cyklu Viagens Interplanetarias zgromadzono w zbiorze The Continent Makers and Other Tales (bez dwóch tekstów). Do powieści również osadzonych w tym cyklu należą: The Hand of Zei, The Tower of Zanid, The Queen of Zamba, The Virgin of Zesh, The

Prisoner of Zhamanak oraz The Hostage of Zir. *Moim zdaniem najlepsza z nich jest The Hand of Zei; warto od niej właśnie zacząć lekturę cyklu, tym bardziej że można ją jeszcze znaleźć w antykwariatach. W latach dziewięćdziesiątych de Camp dorzucił do cyklu jeszcze kilka powieści, m.in. The Bones of Zora, The Stones of Nomuru i The Swords of Zinjaban. Współautorką była jego żona, Catherine Crook de Camp.*

Warto wymienić chociaż niektóre spośród pozostałych jego książek: The Glory That Was, The Great Fetish i pięciotomowy cykl The Reluctant King {w Polsce ukazał się Szalony demon}; The Carnelian Cube, The Land of Unreason i zbiór Tales from Gavagan's Bar (wszystkie trzy napisane wspólnie z Fletcherem Pratterem); razem z żoną, oprócz powieści z cyklu Kryszna, napisał także dylogię Rycerz mimo woli i The Pixilated Peeress. De Camp jest również autorem wielu powieści o Conan, a także wielu przychylnie przyjętych powieści historycznych, takich jak The Bronze God of Rhodes, An Elephant for Aristotle, The Dragon of the Ishtar Gate i The Arrows of Hercules. Pisywał też niebeletrystyczne książki dotyczące rozmaitych zagadnień naukowych i technicznych, biografie (m.in. Lovecraft: A Biography i Dark Valley Destiny: The Life of Robert E. Howard z żoną i Jane Whittington) oraz książki krytycznoliterackie dotyczące fantasy, choćby takie jak Literary Swordsmen and Sorcerers. Jest autorem wielu antologii, m.in.: Swords Sorcery, The Spell of Seven, The Fantastic Swordsmen i Warlocks and Warriors. Jego opowiadania ukazały się w zbiorach: The Best of L. Sprague de Camp, A Gun for Dinosaur, cyklach opowiadań The Purple Pterodactyls oraz Rivers in Time. Jest laureatem honorowej Nebuli i honorowej Fantasy Award, a także przyznawanej podczas World Fantasy Convention nagrody za całokształt twórczości. W roku 1997 otrzymał Hugo za autobiografię Time and Change.

L. Sprague de Camp

GWIZDEK GALTONA

Adrian Frome odzyskał przytomność, słysząc szorstkie dźwięki mowy Dzierich. Kiedy spróbował się poruszyć, odkrył, że przywiązano go lianami do drzewa, a centaury z Vishnu hasają wokół niego, wymachując bronią.

- Myślę - odezwał się jeden z nich - że gdyby ostrożnie obedrzeć go ze skóry i obtoczyć w soli...

- Lepiej rozprujmy mu brzuch i wyciągnijmy flaki po trochu. Ziemianie często umierają w trakcie obdzierania ze skóry, to zbyt ryzykowne.

Frome zobaczył, że jego towarzysze zniknęli. Zostawili tylko dwie martwe zebry (z sześciu, z którymi wyruszyli) i trochę roztrzaskanej aparatury. Okropnie bolała go głowa. Quinlan najwyraźniej przyłożył mu od tyłu, kiedy Hayataka był nieprzytomny, a potem sobie poszedł, zabierając rannego szefa, ale zostawiając Frome'a.

Dzieri wrzeszczeli na siebie nawzajem, póki jeden nie oświadczył:

- Niech zaraza weźmie wasze wymyślne metody powolnej śmierci! Po prostu go zastrzelmy. Pozbędziemy się go, a zarazem poćwiczymy celność. Najpierw łucznicy. Co wy na to?

Ostatnia propozycja chwyciła. Rozproszyli się na tyle, na ile pozwalała gęsta roślinność.

Dzieri wcale nie przypominali pięknych greckich posągów. Jakie takie pojęcie o ich wyglądzie może dać wyobrażenie sobie połowy goryla osadzonej na ciele tapira. Mieli duże ruchliwe uszy, karykatury ludzkich twarzy porośnięte czerwoną sierścią, dłonie o czterech palcach i kudłate ogony. Minio to - skoro mieli po dwie ręce i cztery nogi - odkrywcy nazwali

te istoty centaurami, nie mogąc wymówić ich własnej nazwy. Fidiasz czy Praksyteles śmiertelnie by się wystraszył na sam widok Dzierich.

- Gotowi? - zapytał entuzjasta łucznictwa. - Celujcie nisko. Nie uszkodź głowy, będzie pięknym dodatkiem do naszego zbioru.

- Zaczekajcie - odezwał się inny. - Mam lepszy pomysł. Jeden z ich misjonarzy opowiedział mi terrańską legendę o człowieku, któremu przywódca kazał owoc zestrzelić z głowy syna. Może więc...

- Nie! Wtedy na pewno głowę uszkodzicie! -I cała banda zaczęła znowu wrzeszczeć.

Mój Boże, pomyślał Frome, co za paplanina! Zbadał swoje więzy i odkrył, że ktoś zawiązał je naprawdę dobrze. Był nieźle wystraszony, wziął się jednak w garść i krzyknął surowo:

- Hej, co wy tu wyprawiacie?!

Nie zwrócili na niego żadnej uwagi, dopóki ekipa zwolenników Wilhelma Tella nie zwyciężyła. Jeden z nich, mający przewieszoną przez ramię strzelbę ukradzioną handlarzowi, podszedł z owocem rozmiarów niewielkiej dyni.

- Ta twoja strzelba w ogóle strzela? - zapytał Frome.

- Tak - odparł Dzieri. -I mam kule, co pasują.

Frome uwierzył, powiedział jednak:

- Może więc urządzimy prawdziwe sportowe zawody? Każdy z nas położy sobie owoc na głowie i spróbujemy je sobie wzajemnie zestrzelić? Dzieri wydał z siebie bulgot, który u nich uchodził za śmiech.

- Żebyś nas mógł powystrzelać, co? Myślisz, że głupi jesteśmy?

Frome uznał, że taktowniej będzie na to nie odpowiadać, więc tylko nalegał z desperacką szczerością:

- Naprawdę, jeśli mnie zabijecie, spadnie na was mnóstwo kłopotów, a jeśli mnie puścicie...

- Kłopotów my się nie boimy - ryknął ten z owocem, ustawiając go na głowie Frome'a. - Myślisz, że cię wypuścimy z taką piękną głową? Jeszcze nigdy nie widzieliśmy Ziemianina z żółtymi włosami na głowie i twarzy.

Frome przeklął wygląd, z którego do dzisiaj był raczej dumny, i spróbował wynaleźć inne argumenty. Trudno było myśleć w tym ogłuszającym hałasie.

Niby-dynia spadła na ziemię. Dzieri zawyli, a ten, który ją przyniósł, wrócił i zdzielił Frome'a z całej siły w twarz.

- To cię oduczy ruszać głową! - Potem zawiązał mu pod brodę lianę, która przytrzymała dynię.

Trzech Dzierich wystawiono w pierwszej kolejności, mieli nie trafić.

- Posłuchajcie, przyjaciele - zaczął znowu Frome. - Wiecie, co Ziemianie mogą zrobić, jeśli...

Cięciwy klasnęły, strzały nadleciały z ostrym świstem, stuknęły w dynię. Frome'a zabolalo lewe ucho. Coś lepkiego spłynęło mu na obnażone ramię.

- Etsnoten wygrał pierwszą rundę! - wrzasnęli Dzieri.

- Sprytnie było przybić ucho do drzewa!

- Następna kolejka!

- Hej! - Zatętniły kopyta i ukazało się jeszcze paru Dzierich. - Co się dzieje?

Wyjaśnili, jazgocząc jeden przez drugiego.

- A zatem - odezwał się Dzierich w hełmie (pozostali nazywali go Mishinatven; Frome zdał sobie sprawę, że musi to być ten niepokorny wódz, który wyłamał się spod rządów starego Kamatobdena. Krążyły plotki o wojnie...) - drugi Ziemianin ogłuszył go, związał i dla nas zostawił, tak? I zabił dwóch naszych towarzyszy w krzakach? - Wskazał ciała dwóch Dzierich, którzy padli od strzałów karabinu maszynowego we wcześniejszej potyczce, i zwrócił się do Frome'a w używanym w kosmosie brazylijsko-portugalskim, który zresztą znał bardzo kiepsko: - Ty kto? Jak imię?

- Znam język Dzierich - odparł Frome. - Jestem Frome, członek ekipy pomiarowej z Bombomu. Wasi ludzie zaatakowali nas bez powodu dzisiaj rano, kiedy rozbijaliśmy obóz, i zranili naszego przywódcę.

- Ach. Ci, co kraj nasz mierzą i badają, by nam go odebrać?

- Skądże znowu. Chcemy tylko...

- Bez gadania. Chyba zabiorę cię do Boga. Może nam powiesz o magicznych sztukach Ziemian. Na przykład, co to jest? - Mishinatven wskazał śmieci zostawione przez Quinlana.

- Służy do badania odległości. Obawiam się, że nie da się naprawić. A to urządzenie służy do określania kierunku, ale też jest rozbite. A to... - (Mishinatven pokazał wskaźnik radarowy, aluminiowe urządzenie będące skrzyżowaniem latawca ze znakiem drogowym) - to jest... coś w rodzaju totemu, który mieliśmy zanieść na górę Ertmę.

- Po co? To moje tereny.

- Po to, żeby patrząc z Bombomu radarem... wiesz, co to jest radar?

- Oczywiście, oko magiczne do widzenia przez mgłę. Mów dalej.

- No więc widzisz, przyjacielu, patrząc na tę rzecz przez radar z Bombomu, wiedzielibyśmy, jak daleko i w którą stronę leży Ertma, i wykorzystać tę informację do robienia map.

Mishinatven milczał.

- Zbyt zawiłe to dla mnie - powiedział w końcu. - Musimy rozważyć śmierć dwóch moich poddanych, ale polowali na głowy, czego Bóg zabronił. Tylko Bóg to może rozstrzygnąć. - Zwrócił się do pozostałych. - Pozbierajcie te rzeczy i przynieście do Amnairad. - Wyrwał strzałę z ucha Frome'a i przeciął mu więzy krótkim, zakrzywionym mieczem, przypominającym powiększony nóż do linoleum. - Włóż na mój grzbiet i trzymaj się.

Frome jeździł już na zebrach po trudnym terenie (Viagens Interplaneta). Wielu z nas odkryło, że pewien szczep zebry Grevy'ego, dużej z wąskimi pasami na zadzie, najlepiej nadaje się do podróżowania po Vishnu, gdzie transport mechaniczny na niewiele mógł się zdać), jednak nigdy nie doświadczył takiej szalonej jazdy na oklep. W każdym razie wciąż żył i miał nadzieję odkryć, kim był „Bóg”. Mishinatven posłużył się co prawda określeniem *gimoa brtsqun*, „Najwyższy Duch”, jednak religia Dzierich składała się z wiary w demonologię i prostą magię, nie miała nawet centauropodobnego boga na czele swojego panteonu. Pomyślał z niepokojem, że może „zabranie do Boga” oznacza po prostu uśmiercenie go w jakiś oficjalny i skomplikowany sposób.

Cóż, z pomiarów na razie nici, ale może dowie się czegoś o zaginionej misjonarce i handlarzu. Wyruszył z Hayataką, głównym geometrą, i Pete'em Quinlanem, nowym, który miał niewiele doświadczenia i jeszcze mniej dobrych manier. On i Quinlan działali sobie na nerwy, chociaż Frome starał się nie dopuszczać do starć. Hayataka mimo całej swojej wiedzy i doświadczenia był zbyt łagodny i cierpliwy, by utrzymać w ryzach tak niesforne go podwładnego jak Quinlan.

Najpierw uciekł ich przewodnik Dzierich, potem Quinlan zaczął gadać o powrocie. Hayataka i Frome postanowili jednak iść w stronę Ertmy, kierując się polem magnetycznym, chociaż podróżowanie na tej rozgrzanej planecie porośniętej gęstą dżunglą i zlewanej niemal nieustannym deszczem nie należało bynajmniej do przyjemności.

O zaginionych Ziemianach usłyszeli wczoraj, kiedy Quinlan wywołał przez radio samego comandante Silvę.

- ...a kiedy wejdziecie na ziemię Dzierich, rozejrzyjcie się za śladami Sirata Mongkuta i Eleny Millan. Sirat Mongkut to kupiec zajmujący się głównie sprzedażą złomu Dzierim i nikt o nim nie słyszał od vishnuwańskiego roku. Elena Millan to kosmoteistyczna misjonarka, zaginęła sześć tygodni temu. Jeśli mają jakieś kłopoty, spróbujcie im pomóc i dajcie nam znać...

Quinlan odmeldował się i wyłączył aparat.

- Nieźle, co? - powiedział. - Jakby nie dość nam było klimatu, owadów i miejscowych, to jeszcze musimy szukać jakichś kretynów. Jak on miał na imię? Nie było podobne do żadnego ziemskiego imienia, jakie znam.

- Sirat Mongkut - odrzekł Hayataka. - Jest Tajem. Ty byś powiedział Syjamczykiem.

- Co, parą zrosniętych bliźniąt? - roześmiał się głośno Quinlan.

Tego ranka grupka Dzierich, zajmująca się zakazanym już łowieniem głów, napadła na obóz. Zdążyli ugodzić Hayatakę oszczepem w obie łydki i śmiertelnie ranić dwie zebry, zanim Frome załatwił dwóch z lekkiego karabinku maszynowego i przepłoszył resztę.

Quinlan spanikował i uciekł. Frome starał się być uczciwy i nie obwinał chłopaka zbyt - sam też spanikował podczas swojej pierwszej wyprawy w teren. Jednak kiedy Quinlan przywłókł się z powrotem, wściekły Frome obiecał mu bardzo niepochlebny wzmiankę w raporcie. Potem opatrzyli rany Hayataki i pozwolili głównemu geometrze otepić się pigułką transową, kiedy przygotowywali się do powrotu do Bembomu.

Quinlan musiał zastanowić się nad swoją złamaną karierą, po czym ogłuszył Frome'a i zostawił go na pastwę Dzierich, a nieprzytomnego Hayatakę zabrał z powrotem do Bembomu.

Po kilku godzinach galopu na przełaj grupka wioząca Frome'a do Annairad zaczęła korzystać z dróg. Teraz mijali polany, na których Dzierich uprawiali rośliny podobne do sałaty wielkości sporych piłek plażowych. Potem wkroczyli do „miasta”, które w ludzkich oczach wyglądało raczej na skupisko zagród ze stajniami. To było Annairad. Za nim wznosiła się Ertma ze szczytem ukrytym w chmurach. Frome z zaskoczeniem dostrzegł w jednej z zagród kilka zebra - to oznaczało obecność ludzi.

Zbliżali się do stojącej w centrum grupy „budynków” - konstrukcji z drągów i porozciąganych między nimi mat. Kawalkada galopowała w stronę największych z nich. Przy wejściu zablokowało im drogę dwóch imponujących Dzierich wyposażonych w hełmy, oszczepy i tarcze.

- Powiedzcie Bogu, że mamy coś dla niego - polecił Mishinatven. Jeden ze strażników wszedł do budowli i zaraz wyszedł.

- Wejdźcie - oznajmił. - Tylko ty i dwóch twoich oficerów. I Ziemianin. Kłusem pokonali labirynt przejść. Frome słyszał, jak deszcz wali w maty tworzące dach. Spostrzegł, że budynek urządzony był w sposób bardziej cywilizowany, niż można by się spodziewać po Dzierich, którzy, pod pewnymi względami całkiem sprytni, wydawali się zbyt impulsywni i kłótniwi, by móc skorzystać z dobrodziejstw cywilizacji. Dotarli do pokoju obwieszzonego zasłonami z miejscowych tkanin i ozdobionymi dzierską bronią - łukami, włóczniami i tym podobnymi.

- Złaz - poleciał Mishinatven. - Boże, oto Ziemianin zwany Frome, którego znaleźliśmy w lesie. Frome, oto jest Bóg.

Frome bacznie obserwował Mishinatvena, by zorientować się, czy aby nie powinien paść na ubitą glinianą podłogę w pokłonie czy coś w tym rodzaju. Jednak Dzlieri wobec swojego bóstwa zachowywał się zwyczajnie. Frome zwrócił się do niskiego, krzepkiego mężczyzny o płaskiej, mongoloidalnej twarzy, uzbrojonego w pistolet i usadowionego w starym skórzanym fotelu, wytworu jak najwyraźniej ludzkiego.

Frome skinął mu głową.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kochany Bożusiu. Czy aby nie nazywałeś się przed ubóstwieniem, eee... Sirat Mongkut?

Bóg uśmiechnął się lekko, skinął głową. Trzech Dzlierich naraz usiłowało opowiedzieć historię znalezienia Frome'a i przekrzyczeć się wzajemnie.

Sirat Mongkut wyciągnął z kieszeni niewielki przedmiot - blaszaną rurkę kształtu i wielkości cygara, zaopatrzoną w sznurek do zawieszania na szyi. Wziął jeden koniec do ust i dmuchnął, a jego żółta twarz aż poczerwieniała z wysiłku. Frome nie usłyszał żadnego dźwięku, jednak Dzlieri natychmiast zamilkli. Sirat schował przedmiot do kieszeni, tak by sznurek wisiał na zewnątrz, i powiedział po portugalsku:

- Proszę nam powiedzieć, jak znalazł się pan w tej szczególnej sytuacji, senhor Frome.

Frome nie mógł wymyślić żadnego kłamstwa, które nadałoby się lepiej niż szczerą prawdą, opowiedział więc Siratowi o swoich kłótniach z Quinlanem i ich zakończeniu.

- No nie! - zachnął się Sirat. - Można by pomyśleć, że jesteście jak moi Dzlieri. Jednak mam świadomość, iż między Ziemianami zdarzają się takie antypatie, gdy zmuszeni są przez dłuższy czas znosić nawzajem swoje towarzystwo. A jak pan postąpi, jeśli pana wypuszczę?

- Pewnie spróbuję dostać się z powrotem do Bembomu. Gdybyście mi pożyczyci zbrę i trochę zapasów...

Sirat pokręcił głową, nadal uśmiechając się niczym kot z Cheshire.

- Obawiam się, że nie mieści się to w granicach prawdopodobieństwa. Ale dlaczego tak się panu śpieszy z powrotem? Po nieporozumieniu, które pan mi opisał, nie zostanie pan chyba powitany z otwartymi ramionami; niewątpliwie kolega opowiedział już całą historię w taki sposób, by przedstawić pana w jak najgorszym świetle.

- To co mam robić? - zapytał Frome, myśląc, że kupiec musiał w młodości połknąć słownik. Najwyraźniej Sirat nie miał najmniejszego zamiaru go wypuszczać, ale chciał do czegoś wykorzystać. Frome nie miał najmniejszej ochoty na zostanie renegatem, ale nie zaszkodzi trochę poudawać, póki się nie dowie, o co tu chodzi.

- Czy jest pan wykształconym na uczelni inżynierem? - zapytał Sirat. Frome skinął głową.

- Uniwersytet Londyński, Inżynieria Wodno-Lądowa.

- Może pan prowadzić warsztat?

- Nie jestem ekspertem od maszyn, ale podstawy znam. Czyżby pan chciał mnie zatrudnić?

Sirat uśmiechnął się.

- Dostrzegam, że zazwyczaj wyprzedza mnie pan o kilka kroków. Taki jest w ogólnym zarysie pomysł, który przyszedł mi do głowy. Moi Dzlieri są bardzo zdadni do obróbki metalu, brakuje im jednak wytrwałości. Poza tym trudno powierzać bardziej skomplikowane czynności osobnikom z ery pretechnicznej. A w końcu, senhor, przybył pan w niefortunnym momencie, gdyż niedawno rozpocząłem realizację pewnych planów i nie życzę sobie, by wieści o nich zostały rozpowszechnione. Czy mnie pan pojmuje?

Frome od razu zgadł, że Sirat łamał 368 Zarządzenie Rady Międzyplanetarnej, rozdział 4, podrozdział 26, paragraf 15, gdzie zakazywano dzielenia się wiedzą z zakresu technologii z inteligentnymi, lecz zacofanymi i wojowniczymi istotami, jak na przykład Dzlieri, bez specjalnego zezwolenia. Silva powinien się o tym dowiedzieć.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział Frome.

- Dobrze. - Sirat wstał. - Załatam panu ucho i sam zaprowadzę do warsztatu. Możesz nam towarzyszyć, Mishinatvenie.

Syjamczyk poprowadził Frome'a przez labirynt wyłożonymi matami korytarzy do wyjścia. Z „pałacu” było dwa kroki do grupki mniejszych budowli, z których rozlegało się walenie w kowadło, skrzypienie pilnika i dmuchanie prostego miecha.

W dużym pomieszczeniu kilku Dzlierich obrabiało metal prostymi narzędziami. Była wśród nich tokarka na korbkę i świder. W jednym rogu leżał stos zepsutych miejscowych narzędzi i broni. Frome rozejrzał się po pomieszczeniu i dostrzegł stojak, a na nim kilkadziesiąt dwururek.

Sirat sięgnął po jedną z nich.

- Gładka lufa, dwa centymetry, najprostsza konstrukcja. Dzlieri nie są jeszcze gotowi na skomplikowane karabiny maszynowe, nie wspominając o paralizatorach i nowoczesnym uzbrojeniu. Dlatego też karabinów, które wyciągają od handlarzy, nie używają długo. Nie czyszczą strzelb i nie chcą uwierzyć, że do każdej potrzeba innego rodzaju amunicji. Strzelby więc szybko przestają działać, a oni nie potrafią przeprowadzić napraw. Jednak biorąc pod uwagę, że nie jesteśmy jeszcze w stanie żłobić luf i że w dżungli widoczność jest ograniczona, coś takiego z ośmiomilimetrowymi nabojami to całkiem skuteczna broń... Zastanawiam się nad mianowaniem pana głównym majstrem w warsztacie. Najpierw przejdzie pan szkolenie, pracując w każdym dziale kilka dni. A co do lojalności... Ufam, że pański wybitny rozsądek podpowie, by nie starać się opuścić tego terytorium. Zacznie pan dzisiaj w sortowni złomu, a kiedy ukończy pan dzisiejszą pracę, Mishinatven zabierze pana do pańskiej kwatery. Moi Dzlieri nie wytworzyli jeszcze gospodarki pieniężnej, więc będzie pan wynagradzany w sztabkach miedzi. Mam także nadzieję, że uczyni mi pan ten zaszczyt i zechce mi towarzyszyć dzisiaj przy wieczornym posiłku.

Sortownia pełna była stosów śmieci pochodzenia ludzkiego i miejscowego. Idznamen, sortownik, wygłosił Frome'owi wykłady na tak podstawowe tematy jak odróżnianie mosiądzu od żelaza. Kiedy zniecierpliwiony Frome powiedział: „Tak, tak, wiem o tym”, Idznamen rzucił mu groźne spojrzenie i kontynuował wykład. Tymczasem Frome'a ogarniało coraz większe oburzenie. Zazwyczaj był człowiekiem bardzo łagodnym, jednak dbał o swoje prawa i do furii doprowadzał go fakt, że on, pracownik potężnego Viagens, został uwięziony przez podstępne renegeata.

Podczas wykładu grzebał w śmieciach. Wydało mu się, że rozpoznaje pewne urządzenia, które zniknęły niedawno z Bembomu. Znalazł też ogromny miedziany czajnik z dziurą w dnie. W końcu wygrzebał resztki wyposażenia swojej wyprawy, w tym wskaźnik radarowy.

Kilka godzin później, zmęczony i brudny, został odprawiony i poszedł za Mishinatvenem do małego pokoju w tym samym budynku. Znalazł tam kilka prostych urządzeń do mycia. Pomyślał, że może z racji zaszczytu kolacji z Bogiem powinien pozbyć się świeżej brody, ale Mishinatven nie wiedział, co to jest brzytwa. Dzlieri ciągle kręcili się w pobliżu, mając Frome'a na oku. Najwyraźniej Sirat nie zamierzał ryzykować w sprawie swojego nowego współnika.

O wyznaczonej porze Mishinatven zaprowadził go do pałacu i do jadalni Sirata, którą urządzono ze znaczną elegancją. Były tam już dwie osoby, nie licząc Dzierich strażników: Sirat Mongkut i drobna, ciemnowłosa dziewczyna, wspaniale zbudowana, ale ubrana w ziemski strój uszyty z surową prostotą - zakrywał też dużo więcej niż ubrania, które ludzie zazwyczaj nosili na tej tropikalnej planecie.

- Moja droga, pozwól, że ci przedstawię senhora Adriana Frome'a - odezwał się Sirat. - Senhor, mam niewątpliwą przyjemność przedstawić panu senhoritę Elenę Millan. Czy ma pan ochotę na drinka? - dodał, oferując szklanekę *moikhada*.

- Bardzo chętnie - odparł Frome, zauważając przy tym, że Sirat także ma szklanekę, ale panna Millan nie.

- To sprzeczne z jej przekonaniem - wyjaśnił Sirat. - Mam nadzieję wyleczyć ją z tego niepotrzebnego ekstremizmu, jednak trzeba na to czasu. A teraz proszę nam ponownie opowiedzieć pańskie zdumiewające przygody.

Frome spełnił prośbę.

- Co za historia! - powiedziała Elena Millan. - A więc pański wspaniały północnoeuropejski wygląd omal nie doprowadził do pańskiej śmierci! Wy, ludzie z północy, powinniście trzymać się chłodnych planet, jak Ganesha. Oczywiście wcale nie wierzę w tę głupią teorię Junqueirosa o wyższości rasy śródziemnomorskiej.

- Jeśli chodzi o Vishnu, może i miał trochę racji. Zauważyłem, że Van der Gracht i ja trudniej znosimy tutejszy klimat niż ci z krajów tropikalnych, jak Mehtalal. Ale może lepiej ufarbuję włosy na czarno, by nasi przyjaciele stracili chęć dodania mojej głowy do kolekcji pamiątek.

- Naprawdę jest mi niezmiernie przykro z powodu tego wypadku - oznajmił Sirat. - Ale może to szczęście w nieszczęściu. Czy aby nie ma jakiegoś angielskiego przysłowia na ten temat? Teraz, jak pan wie, mam wykształconego mechanika, a zarazem jeszcze jednego człowieka do rozmowy. Nie macie pojęcia, jakie *ennui* ogarnia człowieka, gdy ma do czynienia wyłącznie z istotami pozaziemskimi.

Frome obserwował ich uważnie. A więc to jest ta zaginiona misjonarka! Przynajmniej miała przyjazny uśmiech i słodki, niski głos. Postanowił wziąć byka za rogi.

- Skąd się tu wzięła panna Millan?

- Podróżowałam z kilkoma Dzierim!, kiedy zaatakował nas potwór i pożarł jednego z nich - odpowiedziała Elena Millan. - Mnie też by pożarł, gdyby pan Sirat go nie zastrzelił. A teraz...

Spojrzała na Sirata, który odpowiedział jej swoim zwykłym uśmiechem.

- A teraz sprawa jej trudności przyzwyczajenie się do pomysłu zostania założycielką dynastii.

- Co?! - wykrztusił Frome.

- Och, czyżbym pana nie oświecił? Mam znaczne ambicje, wręcz wzniosłe, tak bym to określił. Wierzę, że nie wiążą mnie one w żaden sposób z Bembomem, jednak mam nadzieję w ciągu kilku lat objąć moimi rządami znaczne terytorium. Rządę już praktycznie ludźmi Mishinatvena, a za kilka tygodni zamierzam także przejąć plemię starego Kamatobdena. Potem szczerp Romelich żyjący za Bembomem.. - Chodziło mu o drugie inteligentne istoty tej planety, podobne do małp stwory o sześciu kończynach, które nieustannie kłóciły się z Dzierimi.

- Widzi pan siebie jak planetarnego imperatora? - zapytał Frome. O tym z pewnością należało donieść zwierzchnikom w Bembomie, i to bez zwłoki! Sirat wykonał lekceważący

gest.

- Nie używam tak ekstrawaganckiego określenia... w każdym razie jeszcze nie. Jest to planeta o dużych połączeniach ładu. Ale pojął pan moją ogólną myśl. Jednocząc Dzlierich i Romelich pod moim panowaniem, mógłbym zaszczerpić im prawdziwą kulturę, której nigdy by nie wytworzyli jako banda skłóconych szczepów. - Zaśmiał się. - Pewien psycholog utrzymywał kiedyś, że mam kompleks władzy z powodu mojego niewielkiego wzrostu. Możliwe, że się nie mylił, ale czy to wystarczający powód, bym nie miał wykorzystać tych cech w jak najlepszym celu?

- A jakie jest w tym miejsce panny Millan? - zapytał Frome.

- Ależ mój drogi Frome! Te prymitywy pojmą koncepcję dynastii, ale są zdecydowanie zbyt zacofani na pańskie wzniosłe demokratyczne ideały. Dowiodły tego aż nadto nieudane próby utworzenia tu reprezentacyjnego rządu. Zatem niezbędne jest założenie dynastii i wybrałem pannę Millan, by mi w tym dopomogła.

Zachowanie Eleny zmieniło się w sposób nagły i wyraźny.

- Nigdy - oświadczyła zimno. - Jeżeli kiedykolwiek wyjdę za mąż, stanie się to dlatego, że Kosmos oświecił moją duchową istotę Promieniem Niebiańskiej Miłości.

Frome zakrztusił się drinkiem. Jak taka miła dziewczyna może opowiadać podobne bzdury?

- Zmieni zdanie - uśmiechnął się Sirat. - Nie wie, co jest dla niej najkorzystniejsze, biedne dziecko.

- On kroczy w ciemności karmy skumulowanej przez wiele żywotów, panie Frome - oznajmiła Elena. - Dlatego nie jest w stanie pojąć duchowych prawd.

Sirat uśmiechnął się szeroko.

- Po prostu ciemny stary ignorant. Zakładam, moja kochana, że nasz gość mógłby bardziej odpowiadać twojemu duchowemu usposobieniu?

- Sądząc po kolorze jego aury, tak. - (Frome rozejrzał się nerwowo dookoła). - Gdyby jego serce wypełniła Kosmiczna Miłość, mogłabym pomóc mu postawić pierwszy krok na Siedmioczściowej Ścieżce do Jedności z Nieskończonością.

Frome omal nie oznajmił, że nie dopuści, by zniewolono jakąkolwiek Ziemiankę, póki on żyje, jednak się rozmyślił. Taki wybuch przyniesie więcej szkody niż pożytku. Adrian Frome zadeklarował jednak w myślach pomoc Elenie, gdyż choć udawał obojętność wobec kobiet, w głębi ducha zmieniał się w sentymentalnego mięczaka na widok każdej panny w niebezpieczeństwie.

- Pomówmy lepiej o mniej wyrafinowanych problemach. Jak wygląda sytuacja w Bembomie, panie Frome? Informacje przynoszone przez moich Dzlierich często wiele tracą w przekładzie.

Później posiłek potoczył się całkiem przyjemnie. Frome odkrył, że Sirat Mongkut, mimo ogromnych ambicji i wyszukanego języka, jest niegłupim facetem, w dodatku obdarzonym znacznym urokiem. Dziewczyna też go fascynowała. Wydawała się dwoma różnymi osobami - miłą, normalną dziewczyną, dla niego bardzo atrakcyjną, oraz wzniosłą kapłanką, która go raczej przerażała.

Kiedy Sirat odprawił gości, Dzlieri zaprowadzili każde z nich do pokoju. Mishinatven nie odszedł, choć Frome kilka razy przesuwiał łóżko, by uniknąć kapiącego z dachu deszczu, zanim wreszcie się położył. Sam zaś Adrian Frome był zbyt zmęczony, by przejmować się tym, czy stoi nad nim uzbrojony strażnik.

W następnych dniach Frome dowiedział się więcej o pracach w warsztacie i przypomniał sobie umiejętności niezbędne do obróbki metalu. Przyzwyczyił się też do nieustannego nadzoru Mishinatvena lub jakiegoś innego Dzieri. Zdawało mu się, że powinien planować ucieczkę, i miał poczucie winy, gdyż nie udało mu się wymyślić żadnego dobrego planu. Sirat dbał o ochronę własnej osoby i o to, by Frome'a nieustannie pilnowano.

A nawet gdyby wymknął się strażnikom, to co? O ile nie pochwycą go Dzieri (a pewnie by im się udało) i nie pożrą drapieżniki w dżungli, to bez kompasu zgubi się kompletnie i umrze na choroby wywołane niedoborem różnych składników, prześladowające ludzi usiłujących żyć na diecie złożonej wyłącznie z tutejszych potraw.

Na razie czuł artystyczne zadowolenie, ćwicząc ręce na opornych metalach, a pozostali ludzie przypadli mu do gustu.

Pewnego wieczora Sirat oznajmił:

- Adrianie, chciałbym zabrać cię jutro i pokazać pewne ćwiczenia.

- Z przyjemnością - odparł Frome. - Eleno, też idziesz?

- Wolę nie oglądać przygotowań do zbrodni i przemocy - odpowiedziała.

Sirat się roześmiał.

- Nadal wierzy, że zdoła nawrócić Dzierich na pacyfizm. Równie dobrze mogłaby wykształcić konia w grze na skrzypcach. Próbowала już z wodzem Kamatobdenem, ale uznał, że jest po prostu niespełna rozumu.

- Jeszcze sprowadzę światłość na te zabłąkane dusze - oznajmiła zdecydowanie.

Ćwiczenia odbywały się na dużej polanie w pobliżu Annairad. Sirat siedział na osiodłanej zebrze i obserwował szwadrony Dzierich manewrujące z ogromną szybkością i dużą precyzją. Niektóre uzbrojone były w miejscową broń, inne w nowe strzelby. Oddział uzbrojony w lance galopował przez pole w rzędzie. Potem na polanę wpadali w kwadracie muszkietierowie, rzucali się na ziemię za pniakami i udawali, że oddają strzały. Następnie zrywali się, rozbiegali po dżungli i zbierali gdzie indziej. Trochę też ćwiczone strzelanie do rzutków, ale nie było samowolnych strzałów. Sirat trzymał amunicję do swoich nowych strzelb w zamknięciu i wydawał ją tylko na specjalne okazje.

Frome nie sądził, by Sirat był w stanie zaatakować Bembom - jeszcze nie. Ale z pewnością był gotów do podbicia pobliskich vishnuwańskich szczepów, których wojownicy byli w porównaniu z jego wojskiem zwykłymi rozwrzeszczanymi bandami. A potem... Silva musi się o tym dowiedzieć.

Sirat najwyraźniej dowodził oddziałami na polanie, chociaż nie odzywał się i nie wykonywał żadnych gestów. Frome zbliżył się do *renegado* na tyle, by dostrzec, że trzyma w ustach małą mosiężną rurkę i najwyraźniej w nią dmucha. Nagle sobie przypomniał: oczywiście, gwizdek Galtona! Wydawał ultradźwięki, zbyt wysokie, by usłyszało je ludzkie ucho. Na Ziemi używało się takich do przywoływania psów. Dzieri najwyraźniej byli w stanie wychwycić dźwięki o częstotliwości drgań wyższej niż dwadzieścia tysięcy na sekundę.

Tego wieczora podczas kolacji zapytał Sirata o tę metodę sygnalizacji.

- Przypuszczałem, że pan się tego domyśli - odpowiedział Sirat. - Opracowałem system sygnałów, coś jak alfabet Morse'a. Stosowanie gwizdka w walce z wrogimi Dzierimi nie przynosi żadnych korzyści, gdyż też go słyszą, ale w wypadku ludzi lub Romelich... Przyjmijmy, na przykład, że jakiś wrogi Ziemianin spróbowałby zaatakować mnie w moim apartamencie pod nieobecność strażników. Jeden gwizd przywołałby ich natychmiast, a sprawca nie wiedziałby nawet, że wezwałem pomoc. A to mi przypomniało, że jutro powinien

pan rozpocząć pracę nad dwudziestoma takimi gwizdkami, dla oficerów. Postanowiłem ich także wyszkolić w korzystaniu z tego urządzenia. Muszę prosić o pośpiech, gdyż przewiduję znaczne poruszenie w najbliższej przyszłości.

- Ruszenie na Kamatobdena, tak? - spytał Frome.

- Może pan tak sądzić, jeśli pan woli. Nie bądź taka przerażona, Eleno, będę na siebie uważał. Twój wojownik powróci do domu. Może tego się właśnie boi, pomyślał Frome.

Frome obejrzał gwizdek. Teraz zarządzał całym warsztatem i wiedział, skąd wziąć miedziane rurki (pewnie tworzące kiedyś system paliwowy helikoptera), które powinny się nadać.

Przy pomocy jednego z tubylców wykonał zamówienie do wieczora, plus jeden gwizdek, który Dzliri zepsuł. Sirat przyszedł z pałacu.

- Znakomicie, mój drogi Adrianie - powiedział. - Razem daleko zajdziemy. Musisz mi wybaczyć, że nie zaproszę cię dziś wieczorem na kolację, jednak muszę pokonferować z moimi oficerami. Czy ty i panna Millan możecie zjeść bez mojego towarzystwa?

- Oczywiście, dom Sirat - odparł Frome. - Z przyjemnością. Sirat pogroził mu palcem.

- Pozwól jednak, że przestrzegę cię przed nadmiernym wykorzystywaniem twego wdzięku na mojej podopiecznej. Niedoświadczona dziewczę może uznać wysokiego, młodego Anglika za pociągającego, jednak skutki byłyby niewątpliwie niezwykle przykre dla wszystkich zainteresowanych.

W odpowiednim czasie Frome zasiadł przy stole obok Eleny Millan.

- Mówmy po angielsku - zaproponowała - gdyż niektórzy z naszych przyjaciół - chodziło jej o wszechobecnych strażników Dzliri - znają trochę portugalskiego. Och, Adrianie, tak się boję!

- Kogo, Sirata? Co się stało?

- Sugerował, że jeżeli nie zgodzę się na jego plany dynastyczne, zmusi mnie. Wiesz, co to znaczy.

- Tak. I chcesz, żebym cię uratował?

- Byłabym niezwykle wdzięczna, gdybyś to zrobił. Nauczono nas poddawać się podobnym nieszczęściom, gdyż zasłużyliśmy na nie w poprzednich wcieleniach, jednak nie sądzę, bym mogła to znieść. Zabiję się.

Frome rozmyślał.

- Wiesz, na kiedy zaplanował ten atak?

- Wyjeżdża pojutrze. Jutro wieczorem Dzliri będą świętować. To oznaczało dziką orgię, a Sirat może skorzystać z okazji do naśladowania poddanych. Ten bałagan dawał szansę na ucieczkę.

- Spróbuję coś wymyślić - obiecał Frome. Na drugi dzień Dzliri byli jeszcze bardziej niespokojni i niesforni niż zazwyczaj. Koło południa po prostu sobie poszli.

- Trzeba się szykować na zabawę! - krzyczeli. - Do diabła z pracą!

Mishinatven też zniknął. Frome siedział sam i rozmyślał. Po jakimś czasie poszedł do warsztatu i zaczął się rozglądać. Znalazł zepsuty gwizdek - tam gdzie go rzucił dzień wcześniej - resztkę miedzianych rurek, z których robił gwizdki, wielki miedziany czajnik, którego nie miał dotąd czasu przetopić czy naprawić. Pomyśl z wolna zaczął nabierać kształtów.

Frome poszedł do kuźni i rozpalił w palenisku. Kiedy dobrze się rozgrzało, załatał dziurę w czajniku, od środka, by wytrzymała ciśnienie. Sprawdził, czy czajnik nie przecieka, potem odpiłował kawałek miedzianej rurki i zrobił kolejny gwizdek Galtona, używając zepsutego

jako wzoru.

W sortowni znalazł kawał plastiku, z którego zrobił uszczelkę wciśniętą między czajnik a jego pokrywkę. Zdjął z czajnika rączkę i grubym drutem mocno przycisnął pokrywkę do uszczelki. W końcu zrobił stożkową nasadkę z miedzi, którą przylutował do dziobka czajnika, do niej zaś przylutował gwizdek. Miał więc hermetyczny czajnik z dziobkiem zakończonym gwizdkiem.

Nadszedł czas na kolację.

Sirat był w znakomitym nastroju, wypił więcej *moikhada* niż zazwyczaj.

- Jutro rzucimy kości - oznajmił. - Jak się nazywał ten starożytny europejski generał, który mówił o rzucaniu kości przy przekraczaniu rzeki? Napoleon? Tak czy inaczej, wypijmy za jutro! - Uniósł puchar teatralnym gestem. - Nie ustąpisz, Eleno? Szkoda. Nie wiesz, co tracisz. Proszę, zabierzmy się do dań, zanim mój kucharz ucieknie, by dołączyć do zabawy.

Na zewnątrz Dzieri śpiewali pijacką pieśń, słyhać też było odgłosy walki. Obok pałacu rozległ się wysoki krzyk dzlieryjskiej samicy, a potem śmiech i tętent kopyt pogoni.

Przez te niepokojące odgłosy rozmowa nie osiągnęła swojego normalnego poziomu.

- Adrianie, musisz mi wybaczyć - oznajmił Sirat, kiedy skończyli. - Mam przed sobą ważne zadanie. Proszę, wróć do siebie. Ty nie, Eleno, proszę, zostań ze mną.

Frome spojrział na ich dwoje, na strażników i wyszedł. Idąc, dostrzegł grupę Dzierich tańczących wokół ogniska. Sam pałac wydał mu się opuszczony.

Zamiast do pokoju poszedł do warsztatu. Przyświecając sobie pochodnią, zaniósł wielki miedziany czajnik do pompy i napełnił go wodą. Potem wrócił do warsztatu i z wysiłkiem postawił czajnik na palenisku. Przymocował pokrywkę, dorzucił węgla i dał w miechy, póki nie zapłonął potężny ogień.

Przeszukał tę część warsztatu, gdzie naprawiano narzędzia i broń, i wybrał potężną włócznię o trzymetrowej rękojeści i szerokim, półmetrowym ostrzu o ostrych brzegach.

Po długim oczekiwaniu nad dziobkiem czajnika ukazała się cieniutka smużka pary. Urosła w długi pióropusz. Frome nic nie słyszał, jednak gdy dotknął gwizdka, poczuł wibracje.

Przypomniał sobie, że ultradźwięki należy ukierunkować, więc pociął maty ostrzem włóczni, aż kuźnia była otwarta we wszystkich kierunkach. Potem wrócił do pałacu.

Teraz znał już dobrze cały budynek. Prywatny apartament Sirata - salon, sypialnia i łazienka - znajdował się w centrum labiryntu. Jedyne wejście były zawsze strzeżone drzwi do salonu. Frome zatrzymał się przed nimi za rogiem, przyłożył ucho do mat. Hałas na zewnątrz zagłuszał prawie wszystko, jednak usłyszał ze środka odgłosy walki. A z przodu dolatywały głosy Dzierich.

- ...na pewno jakiś demon stworzył ten dźwięk, by nas dręczyć. Głowa tak mnie boli, że zaraz pęknie!

- Przypomina to gwizdek Boga - mówił drugi Dzieri. - Ale nie dochodzi z jego pokoi i nie ustaje. Spróbuj wepchać to sobie do uszu.

- Trochę pomaga; zostań na straży, a ja poszukam lekarza - odezwał się pierwszy (z pewnością rozmawiali dwaj strażnicy).

- Dobrze, ale przyślij innego na swoje miejsce. Bóg nie będzie zadowolony, jeśli zobaczy tu tylko jednego z nas. I pośpiesz się, ten dźwięk doprowadza mnie do szaleństwa!

Odgłosy kopyt się oddaliły. Frome uśmiechnął się pod wąsem. Mógłby zaatakować strażnika, ale skoro ten zatkał sobie uszy, był lepszy sposób. Sirat z pewnością odgrodził sypialnię od salonu zasłoną z listewek, która służyła tu za drzwi.

Frome cofał się, póki nie zyskał pewności, że jest obok sypialni. Wbił włócznię w maty, przeciął je i wszedł przez rozcięcie do pokoju wielkości boiska do koszykówki.

Sirat Mongkut przywiązał ręce Eleny do kolumn u wezłowania, a teraz, mimo oporu, przywiązywał jej kostkę do kolumny w nogach łoża. Ten zdobywca lubił zakładać dynastie w komforcie.

- Adrianie! - zawołała Elena.

Dłoń Sirata śmignęła do biodra - i wróciła pusta. Największe ryzyko Frome'a opłaciło się; założył, że tego jednego wieczoru Sirat odłoży pistolet. Planował, że jeśli Sirat będzie uzbrojony, rzuci w niego włócznią. Teraz mógł załatwić to w pewniejszy sposób.

Ścisnął wielką włócznię w obu rękach, jak strzelbę z bagnetem, i ruszył w stronę Boga. Sirat wskoczył na łóżko i zeskoczył z drugiej strony, gorączkowo chwytając gwizdek. Frome wskoczył na łóżko w pogoni za nim, ale potknął się o nogę Eleny i omal nie poleciał na głowę. Odzyskał równowagę dopiero w połowie pokoju. Tymczasem Sirat, który zdołał uskoczyć, wsadził gwizdek do ust i nadał policzki. Dmuchał z całych sił.

Dmuchał i dmuchał, przerażony, bo nikt nie przychodził na wezwanie. Frome wiedział, że żaden Dzlieri będący w pobliżu nie może usłyszeć sygnału z powodu dźwięków wydawanych nieustannie przez gwizdek doczepiony do czajnika. Jednak Sirat nie słyszał ultradźwięków.

Frome zebrał się do kolejnego ataku. Sirat rzucił w niego krzesłem. Poleciało z potężnym impetem - uderzyło Frome'a w wierzch dłoni i w czoło, odrzucając go w tył. Sirat przemknął przez pokój na swoich krótkich nogach i zerwał ze ściany jeden z egzemplarzy miejscowej broni, którymi obwiesił swój pałac.

Masa metalu z brzękiem zwała się na ziemię: para skrzyżowanych toporków, lanca i tarcza. Zanim Frome zdążył dojść do siebie po uderzeniu i wstać, Sirat złapał tarczę i toporek. Uniósł tarczę w ostatniej chwili, by przechwycić uderzenie włóczni. Zamachnął się toporkiem i okręcił wokół własnej osi, bo natrafił tylko na powietrze. Frome dostrzegł atak w porę, uskoczył.

Sirat rzucił się za nim, atakując raz po raz. Frome ustąpił, bojąc się parować ciosy toporka. Potem odepchnął Strata, usiłując dźgać w głowę, nogi i odsłonięte ramię. Zaczęli okręzać się nawzajem, a ostrze włóczni uderzało co jakiś czas w tarczę. Trwało to jakiś czas.

Sirat zwolnił na chwilę i Frome wbił ostrze w jego prawe udo, tuż nad kolanem... Jednak pchnięcie nie było mocne, spowodowało zaledwie powierzchowną ranę i dużą dziurę w spodniach. Sirat skoczył naprzód. Frome musiał umknąć aż pod ścianę, zanim zdołał go zatrzymać pchnięciami włóczni.

Znowu okrężali się nawzajem. W pewnym momencie Sirat błyskawicznie rzucił toporkiem, upuścił tarczę i pomknął do zasłony w wejściu, wołając pomocy.

Frome uskoczył przed toporkiem, który tylko musnął jego ramię. Zobaczył, że Sirat już wyciąga ręce, by zerwać zasłonę. Nie miał innej możliwości. Rzucił włócznią. Zatoczyła w powietrzu piękny łuk, a jej ostrze zanurzyło się w szerokich plecach Sirata. Głęboko.

Sirat padł naprzód, twarzą do ziemi, zaciskając dłonie na dywanie i łapiąc oddech. Z ust popłynęła mu krew.

Frome podszedł do niedoszłego imperatora i wyrwał włócznię. Trzymał ją w dłoni, gotów pchnąć po raz drugi, póki Sirat nie przestał się ruszać. Było mu prawie przykro... Ale nie było czasu na udawanie Hamleta. Wytarł ostrze o ubranie Sirata, podszedł do łóżka i przeciął więzy Eleny.

- Jeśli się pośpieszymy - zaczął, nie tracąc czasu na wyjaśnienia - może zdołamy uciec,

zanim się zorientują. O ile strażnicy nie usłyszeli tych hałasów.

- Pomyśleliby, że to on i ja - odpowiedziała. - Kiedy mnie tu wciągnął, powiedział im, że mają nie wchodzić, niezależnie od tego, co by usłyszeli, o ile nie zagwiżdże.

- Dobrze mu tak. Pójdę po kilka zebra. Gdzie schował pistolet?

- W tej skrzynce. Pewnie się bał, że go zastrzelę. Jakbym mogła zabić jakąkolwiek myślącą istotę.

- Jak to się otwiera?... - Frome dostrzegł, iż skrzynka ma szyfrowy zamek. - Nic z tego. A skrzynia z amunicją w magazynie?

- Też ma szyfrowy zamek.

- *Tamates!* - warknął Frome. - Wygląda na to, że musimy wyruszyć bez pistoletu. Zaraz po ciebie wrócę. Zbierz w kuchni worek żarcia i wszystkiego, co wyda się przydatne. - Wyszedł przez rozcięcie w ścianie.

Na zewnątrz pałacu szedł nonszalanckim krokiem, jakby miał do załatwienia dozwolone sprawy. Dzieri porzucili już nieliczne zahamowania, które w ogóle mieli, i byli zbyt zajęci swoimi zabawami, by zwracać na niego uwagę, chociaż jeden czy dwóch ryknęło na powitanie.

Złapanie zebra nie było proste. Wymykały mu się, bez trudu uniemożliwiając pochwycenie ich za uzdy. W końcu wezwał znajomego Dzieri.

- Mzumelitsen, pomóż, co? Bóg chce się przejechać.

- Poczekaj, skończę to, co robię - odparł Dzieri.

Frome zaczekał, aż Mzumelitsen skończy to, co robi. Kiedy już złapano trzy zebry, bez specjalnych trudności Frome zaprowadził je do pałacu i przywiązał do poręczy na tyłach budynku. Poszedł do warsztatu, gdzie odszukał w śmieciach maczetę i toporek. Zabrał także wskaźnik radarowy, który wyglądał na ciągle nadający się do użytku, choć był trochę poobijany.

Kiedy wrócił, Elena już zdobyła torbę jedzenia, zapas zapalek i parę innych rzeczy. Załadowali je na zebra, pozostałe dwie osiodłali.

Kiedy opuścili Amnaraid, Dzieri nadal świętowali w najlepsze.

Następnego dnia rozpoczęli wspinaczkę na Ertmę.

- Posłuchaj! - Frome uniósł nagle dłoń.

Mimo pochłaniającej dźwięki roślinności vishnuwańskiej dżungli usłyszeli stłumione głosy Dzierich. Frome dostrzegł błysk metalu. Okrzyki świadczyły, że Dzieri też ich zauważyli.

- Jedź - powiedział Frome. - Ja sprowadzę ich z naszego śladu i zgubię w gęstwinie.

- Nie! Nie opuszczę cię...

- Rób, co mówię!

- Ale...

- No jedź!!! - wrzasnął tak groźnie, że ruszyła. Siedział bez ruchu, walcząc z własnym strachem, póki się nie pojawili, gdyż nie miał złudzeń co do możliwości „zgubienia” Dzierich w ich własnej dżungli.

Z triumfalnymi okrzykami rzucili się szlakiem w jego stronę. Gdyby tylko miał pistolet... Dobrze przynajmniej, że oni też nie mieli. W ogóle nadających się do użytku pistoletów mieli tylko kilka (poza tym strzelby, do których amunicja była zamknięta w skrzyni) i pewnie podzielili je między małe grupki, które ruszyły w pościg w różnych kierunkach od miasta.

Frome skierował zebra w dżunglę. Dzięki bogom, że roślinność była tutaj nieco rzadsza. Pobudził wierzchowca do nieregularnego galopu i na próżno usiłował chronić twarz przed

smagającymi gałęziami. Ciernie szarpały mu skórę, a gałąź zadała mocny cios w nogę. Skierował wierzchowca szerokim półkolem, by wrócić na szlak za Dzierimi.

Kiedy dotarł do drogi i mógł znowu otworzyć oczy, dostrzegł, że cała banda pod wodzą Mishinatvena już go dopędza. Przywódca ściał zakręt i dogonił Ziemianina. Frome sięgnął po maczetę, która obijała się o jego lewą nogę. Dzieri doganiał go z prawej strony, z oszczepem gotowym do pchnięcia.

- Oszust! Bogobójca! - wrzasnął i pchnął.

Frome przeciął drzewce. Kiedy tak galopowali obok siebie, ostrze upadło na ziemię.

Mishinatven zamachnął się resztką drzewca i walnął Frome'a w ramię.

Frome zadał cios, ale Dzieri osłonił się tarczą, odrzucił resztkę oszczepu i wyciągnął krótki miecz. Frome sparował pierwszy cios i uderzył w rękę, w której przeciwnik trzymał miecz. Poczł, jak ostrze uderza w kość. Miecz upadł.

Lewą ręką Frome chwycił brzeg tarczy i szarpnął. Zadawał cios za ciosem, póki wróg nie upadł.

Galopował dalej. Obejrzał się i zobaczył, że inni Dzieri zatrzymali się nad zabitym.

Ściągnął wodze. Najlepszą obroną jest cholernie silny atak. Jeśli ruszy na nich teraz... Pogonił zebę w ich stronę pełnym galopem, krzycząc i wymachując zakrwawionym ostrzem.

Z rozpaczliwymi okrzykami rozbiegli się po dżungli. Jego wierzchowiec był zbyt zmęczony, by ich gonić.

Dopędził Elenę Millan, która spojrzała na niego z przerażeniem. Dziwił się trochę, póki sobie nie uświadomił, że zalany krwią musi wyglądać naprawdę strasznie.

Ostatnie parę kilometrów pokonali pieszo, prowadząc zebry slalomem między ogromnymi głazami, biciem zmuszając zwierzęta do pokonywania stromizny. Wdrapali się na szczyt, uwiązali wierzchowce do krzewów i rzucili się na ziemię, by odpocząć.

- Dzięki Kosmosowi, już po wszystkim! - odezwała się Elena. - Nie mogłabym już dalej iść.

- Jeszcze nie koniec - odparł Frome. - Kiedy złapiemy oddech, musimy ustawić wskaźnik.

- Jesteśmy tu bezpieczni?

- W żadnym wypadku. Dzieri wrócą do Annairad i sprowadzą całe plemię, a potem otoczą górę, by uniemożliwić nam ucieczkę. Możemy tylko mieć nadzieję, że wskaźnik sprowadzi pomoc na czas.

Zmusił się, by wstać i wziąć się do pracy. W ciągu pół godziny, z pomocą Eleny, zamontował wskaźnik radarowy na słupie i zabezpieczył przed wiatrem.

Znów padł na ziemię.

- Biedactwo! - zawołała Elena. - Cały jesteś posiniaczony.

- Mogło być dużo gorzej.

- Przynajmniej daj mi obmyć te zadrapania, zanim złapiesz infekcję.

- Nieważne, vishnuwańskie bakterie nie są groźne dla Ziemian. Ale skoro nalegasz... - Urwał sennie.

Obudził się po kilku godzinach. Zobaczył, że Elena rozpałiła ogień mimo mżawki i przygotowała posiłek.

- A niech mnie! - wykrzyknął. - Dobra z ciebie towarzyszka na wyprawę!

- Nie, to ty jesteś cudowny. I pomyśleć, że zawsze byłam uprzedzona do blondynów, bo w hiszpańskich powieściach czarny charakter zawsze ma jasne włosy!

Serce Frome'a, które nigdy nie było tak twarde, jak twierdził, waliło jak oszalałe.

- Może to nie jest dobry moment na takie słowa, ale... no... Nie jestem bardzo uduchowiony, ale raczej cię kocham, wiesz?

- Ja też cię kocham. Kosmos wysłał promień miłości...

- Wystarczy, moja droga. Chodź tutaj. Przyszła.

Peter Quinlan wrócił do Bembomu z dochodzącym do siebie Hayataką. Comandante Silva słuchał uważnie jego opowieści.

- ...kiedy wyruszyliśmy z terenów Mishinatvena - mówił Quinlan - Hayataka był ciągle nieprzytomny, a oni znów zaatakowali. Zlikwidowałem trzech, ale zdążyli zabić Frome'a oszczepami. Odpędziliśmy ich, pochowałem...

- Stop! Mówi pan, że Frome zginął?

-*Pois sim.*

- A wy oczywiście natychmiast zawróciliście, nie idąc na Ertmę?

- Oczywiście. Co innego mogłem zrobić?

- Kto w takim razie uruchomił na górze wskaźnik radarowy?

- Co?

- Ależ tak. Wczoraj puściliśmy radary i wskaźnik widać bardzo wyraźnie.

- Nie rozumiem - wymamrotał Quinlan.

- Ja też nie, ale niedługo wszystko się wyjaśni. *Amigo* - zwrócił się do sierżanta Martinsa - proszę kazać lotnikom, by przygotowali helikopter do lotu na Ertmę, natychmiast.

Pilot kierował się na radarowy wskaźnik. Wyłoniła się z chmur wielokątna struktura wielkości latawca, lśniąca szarym aluminium, osadzona na słupie na najwyższym szczycie Ertmy. Obok słupa dwoje ludzi siedziało na kamieniu, a trzy spętane zebry chrupały trawę.

Ludzie zerwali się na równe nogi i zaczęli dziko machać. Pilot ostrożnie zawrócił pod wiatr i spuścił drabinkę linową. Mężczyzna podskakiwał na wszystkie strony jak ryba rzucająca się na przynętę, podczas gdy wiatr szarpał drabinką. Wreszcie ją złapał.

W tej samej chwili spośród drzew wypadła grupka Dzlierich. Pokazywali palcami, wrzeszczeli i wymachiwali oszczepami.

Drobniejsza z dwóch postaci była już w połowie drabinki, gdy większa, która dopiero zaczęła wchodzić, przekrzyzczała huk śmigła i ryk wiatru:

- W górę! Szybko!

Pojawiło się więcej Dzlierich - cały tłum - i gdzieś huknęła strzelba. Pilot (zadowolony, że to nie on wisi na drabince uczeplonej helikoptera wśród czarnych chmur) wznosił się, póki nie zamknęły się pod nimi chmury.

Ludzie po chwili wleźli do kabiny, z trudem łapiąc oddech. Była to drobna, ciemnowłosa dziewczyna i wysoki mężczyzna z brodą w kolorze masła, o długości mniej więcej centymetra, zlepioną krwią. Oboje prawie nadzy, mieli tylko podarte na strzępy płócienne buty i parę szmat. Cali byli zachlapani na pół wyschniętym błotem. Pilot rozpoznał Adriana Frome'a, geometrę.

- Do domu, Jayme - polecił Frome.

Frome, wykąpany, ogolony i znowu podobny do siebie, nie licząc blizny na lewym uchu, usiadł naprzeciwko biurka Silvy.

- Nie rozumiem, dlaczego prosisz o przeniesienie na Ganeszę akurat teraz - powiedział comandante. - Jesteś bohaterem Bembomu. Mogę ci zdobyć stały przydział P-5, może nawet P-6. Quinlana zabiorą na Krysznę przed sąd, Hayataka przechodzi na emeryturę, a mnie będą potrzebni geometrzy. Dlaczego więc musisz wyjeżdżać?

Frome uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Poradzi pan sobie, *chefe*. Nadal będzie pan miał Van der Grachta i Mehtalala, obaj są dobrzy. A ja jestem całkowicie zdecydowany, zaraz panu wszystko wyjaśnię. Kiedy wleźliśmy z Eleną na tę górę, byliśmy oboje wykończeni psychicznie. Nie widziałem ludzkiej kobiety od tygodni, no i tak się jakoś złożyło, że poprosiłem ją o rękę i ona się zgodziła.

Silva uniósł brwi.

- Gratuluję z całego serca! Ale co to ma wspólnego...

- Chwileczkę, zaraz panu powiem resztę! Najpierw wszystko było w porządku. Twierdziła, że dotąd nikt jej nie całował, a ja, jako doświadczony mężczyzna, mogę to potwierdzić. Jednak wkrótce zaczęła mi wyklądać swoje ideały. Po pierwsze, ma to być małżeństwo czysto duchowe, a jego celem jest dopomożenie mi w stanięciu na siedmioczęściowej ścieżce do oświecenia, żebym w następnym wcieleniu mógł być czymś lepszym niż inżynier. Na przykład kosmoteistycznym misjonarzem. I co teraz? Najpierw myślałem, że to tylko taka gadanina i niedługo jej przejdzie. W końcu nie dajemy sobie tak chodzić po głowie jak Amerykanie. Ale potem zaczęła walić mi kosmoteistyczne kazania. Spędziliśmy tam dwa i pół dnia i jestem gotów przysiąc, że nie ucichła ani na pięć minut, chyba że akurat spała. Największe bzdury, jakie można sobie wyobrazić - promienie, kosmiczna miłość, wibracje, płaszczyzny astralne i tak dalej. W życiu tak się nie wynudziłem.

- Wiem - odezwał się Silva. Też swoje wycierpiał.

- No i - zakończył Frome - zacząłem żałować, że nie mogę jej oddać Siratowi Mongkutowi. Nawet żałowałem, że go zabiłem. Gdyby przeżył, sprowadziłby na nas mnóstwo kłopotów, ale stary drań dał się lubić. No i skończyłem z niechcianą narzeczoną, której nijak nie mogłem wytłumaczyć, o co chodzi. Raz powiedziała żartem, że byłoby mi lepiej na Ganeshy, i zdaje się, że ma rację. Proszę, niech pan tylko podpisze to podanie... Ach, *muito obrigado*, senhor Augusto! Jeśli się pośpieszę, złapię statek na Krysznę. Do widzenia!

Podobnie jak wielu współczesnych autorów SF piszących o fenomenologii czy naturze rzeczywistości nieuchronnie tworzy w cieniu Philipa K. Dicka, tak samo autorzy opisujący odległe światy i obce społeczeństwa o dziwnych zwyczajach tworzą w cieniu Jacka Vance'a. Nikt inny w historii gatunku nie wykazał więcej inteligencji, wyobraźni oraz niewyczerpanej inwencji w tym temacie niż Vance, którego płodność nie osłabła ani trochę nawet pod koniec lat dziewięćdziesiątych, a najnowsze książki, jak Night Lamp, są równie bogate w pomysły jak utwory powstałe w latach pięćdziesiątych; nawet zdeklarowane chałtury, jak cykl Planet of Adventure, zawierają mnóstwo żywych i wyrazistych obrazów obcych społeczeństw oraz dziwaczne, niesamowite, często niepokojące koncepcje zmian w ludzkiej psychologii na skutek przyswojenia obcej kultury i systemu wartości. Nikt lepiej niż Vance nie umie wytworzyć nastroju „cudowności” (zadziwienia - ang. sence of wonder), który stanowi samą istotę fantastyki, a po lekturze jego książek pozostały mi ulotne obrazy i wrażenia, których nigdy nie zapomnę.

Tak jak jego koledzy L. Sprague de Camp i Fritz Leiber, Vance napisał rzeczy zaliczające się do najlepszych utworów ostatniego pięćdziesięciolecia w kilku różnych gatunkach, niezwykle ważne ewolucyjnie dla rozwoju zarówno nowoczesnej fantasy, jak i science fiction. Jego klasyczna powieść fantasy Umierająca Ziemia -razem ze spokrewnionymi opowiadaniem cyklu Cugel the Clever, zebranymi w tomach The Eyes of the Overworld, Cugel's Saga i Rhialto the Marvellous -wywierała ogromny wpływ na kolejne generacje twórców fantasy. (Można polemizować - i polemizowano - czy te książki należą właściwie do gatunku science fiction, czy raczej stanowią międzygatunkową hybrydę określaną jako „science fantasy”, ponieważ akcja rozgrywa się w przyszłości odległej o tyle milionów lat, że technologii nie można odróżnić od magii, jak w słynnym twierdzeniu Arthura A. Clarke'a. Argumenty te nie są bezpodstawne i trudno je odeprzeć - niemniej dla każdego, kto śledził rozwój gatunku fantasy przez ostatnie dziesięciolecia czy choćby przeczytał trochę książek, trudno zakwestionować wpływ Vance'a na fantasy, bez względu na klasyfikatorów dzielących włos na czworo). W ten sam sposób jego najsztywniejsze powieści SF -Władcy smoków, Ostatni zamek. Big Planet, Emphyrio, pięciotomowy cykl Demon Princes (z którego najbardziej znane są The Star King i The Killing Machine), Blue World, trylogia Durdane, The Languages of Pao i wiele innych - poważnie wpłynęły na pokolenia pisarzy science fiction. Dla wyspecjalizowanych podgatunków space adventure czy space opera jego znaczenie jest ogromne - z ewentualnym wyjątkiem Poula Andersona nikt nie napisał więcej takich rzeczy, konsekwentnie utrzymujących tak wysoki poziom, jak Jack Vance.

Urodzony w San Francisco w 1920 roku, Vance służył w marynarce handlowej podczas drugiej wojny światowej. Większość pojedynczych opowiadań, połączonych później w pierwszy zbiór Umierająca Ziemia, napisał Vance podczas służby na morzu - nie mógł ich sprzedać i ten sam problem miał później z książką, ponieważ rynek fantasy wtedy prawie nie istniał. Umierająca Ziemia została wreszcie wydana w skromnej formie w 1950 roku przez małe półprofesjonalne wydawnictwo, nakład został wyczerpany niemal natychmiast i nie wznawiano jej przez ponad dziesięć lat. Niemniej książka stała się kultową podziemną klasyką i nie da się przecenić jej wpływu na następne pokolenia pisarzy, w gatunku i poza gatunkiem fantasy; jeden z licznych przykładów to Księga Nowego Słońca Gene'a Wolfe'a (sam Wolfe powiedział, że Księga Złota wspomniana przez Severiana to właśnie Umierająca Ziemia).

W fantastyce naukowej, szczególnie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, Vance'a

czasami krytykowano za to, że był nie dość „rygorystyczny” w swoim pisaniu, że skłaniał się raczej ku space operze niż „prawdziwej” fantastyce naukowej; podejrzewam, że między innymi dlatego rzadko publikował w „Astounding”, czołowym magazynie z jego czasów (większość jego rzeczy dla „Astounding” była dość ulizana jak na Vance’a, tylko jedno zamieszczone tam opowiadanie, późniejsza mikropowieść The Miracle Workers, wykazywało charakterystyczny barokowy rozmach - styl niezbyt typowy dla „Astounding” i mimowolnie zastanawiam się, czy John W. Campbell nie wziął tego opowiadania głównie ze względu na dominującą w nim problematykę psioniczną, wówczas ukochany campbellowski temat). Zamiast tego Vance musiał sprzedawać gros swoich rzeczy mamie płacącym magazynom „ratunkowym”, jak „Thrilling Wonder Stories” i „Startling Stories”, ostatnia szansa dla opowiadania, zanim zamkniesz je w szufladzie. Z pewnością to prawda, że nie stosował zbyt naukowych metod przy budowaniu tła swoich historii, gdzie ludzie w maleńkich osobistych statkach kosmicznych śmigają bez trudu przez niezmierzone obszary przestrzeni, potężne siły poddają się manipulacjom, a wszechświat pęka w szwach od dziwacznych obcych gatunków oraz ciekawie zmutowanych odmian normalnej ludzkości (zresztą to jeden z głównych tematów Vance’a: jak plastyczna i podatna na zmiany jest ludzka natura, jak coś, co uważamy za integralnie „ludzkie”, daje się kształtować i modelować niczym wosk pod działaniem odpowiednich bodźców środowiskowych, często przynosząc mocno niepokojące rezultaty), a jego utwory niewiele mają wspólnego zarówno z pełną rozmachem satyrą społeczną popularną w magazynie „Galaxy” pod kierownictwem H.L. Golda, jak i trzeźwymi spekulacjami na temat postępu naukowego we współczesnym społeczeństwie, preferowanymi przez „Astounding”. Ironia polega na tym, że w retrospekcji jego rzeczy pisane dla tych „gorszych” magazynów wydają się równie znaczące - jeśli nie bardziej znaczące - jak większość utworów publikowanych w najbardziej szacownych pismach, rzekomo wiodących na tym polu.

W gruncie rzeczy Vance napisał kilka swoich najlepszych wczesnych rzeczy dla takich magazynów, jak „Thrilling Wonder Stories”, „Startling Stories” i krótko istniejącego „Worlds Beyond” w połowie lat pięćdziesiątych: Pięć złotych obręczy, Abercrombie Station, The Houses of Iszm, The Kokod Warriors i inne opowiadania o Magnusie Ridolphie, oraz między innymi odcinkową wersję Big Planet.

Zamieszczone tu opowiadanie, jedno z najlepszych Vance’a z tego okresu, to kolejna demonstracja nieskrępowanej i płodnej wyobraźni; zamiast zbudować jedno tło dla historii, jak zrobiłaby większość pisarzy, Vance - chępiąc się swoją potęgą i pomysłowością - daje nam pięć, każde równie bogate, oryginalne i fascynujące, każde w rękach zwykłego pisarza mogłoby samodzielnie posłużyć za tło całej powieści. Lecz Vance, jak zobaczycie, nie jest zwykłym pisarzem...

Pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych Vance pracował nad kilkoma swoimi najlepszymi rzeczami, należącymi do największych osiągnięć gatunku w tamtym okresie, większość dla nowej „Galaxy” Pohla i dla „FSF”. Są to m.in.: The Men Return, niedocenione The Languages of Pao (jedna z niewielu do dziś książek traktujących o semantyce jako nauce; Babel-17 Delany’ego i Embedding lana Watsona to dwa późniejsze przykłady), cudowne The Star King i The Killing Machine (dwie spośród najlepszych hybryd SF i powieści awanturniczo-spiegowskiej wszech czasów), Green Magie, The Blue World, Władcy smoków. Ostatni zamek i wiele innych. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nadal produkował nieprzerwany strumień godnych uwagi utworów,

włącznie z błyskotliwym Emphyrio, The Anome (z trylogii Durdane), Trullion: Alastor 2262 z serii Planet of Adventure, The Face, The Book of Dreams i co najmniej tuzin innych.

Zanim nadeszły lata dziewięćdziesiąte, zmiany w środowisku wydawniczym całkowicie usunęły Vance'a, niegdyś króla paperbacków, z masowego rynku. Chociaż większość jego utworów nadal jest drukowana, dostępne są głównie w kosztownej twardej oprawie nakładem małych wyspecjalizowanych wydawnictw, jak Underwood-Miller (obecnie znany tylko jako Charles Miller, po odejściu partnera), które traktuje wznowienia powieści Vance'a niemal jak kieszonkowy przemysł; to ironiczne odejście od dawnych czasów, kiedy prawie nic Vance'a nie wydawano w twardej oprawie, ale niemal wszystkie jego tytuły były dostępne w paperbacku - teraz jest dokładnie na odwrót! Ostatnio Tor wznowia niektóre powieści Vance'a w jednotomowych wydaniach w miękkiej oprawie, na przykład serię Demon Princess w dwóch tomach oraz trzy powieści o Alastorze w jednym tomie Alastor - najnowsza Night Lamp jest również dostępna jako zwykły paperback - co chyba stanowi najlepszą i najkorzystniejszą finansowo propozycję poznania jego twórczości, chociaż niektóre stare masowe wydania paperbacków wciąż pojawiają się w antykwariatach.

Vance zdobył dwie nagrody Hugo, nagrodę Nebula, dwie World Fantasy Awards (jedną prestiżową za dorobek całego życia), nagrodę Grandmaster Nebula za dorobek życia i nagrodę Edgara za najlepszą powieść sensacyjną. Inne jego powieści to między innymi: The Palace of Love, City of the Chasch, The Dirdir, The Pnume, The Gray Prince, The Brave Free Men, Space Opera, Showboat World, Marune; Alastor 933, Wyst: Alastor 1716, Lyonesse, Zielona Perła, Madouc, Araminta Station, Ecce and Olde Earth, Throy. Zbiory opowiadań: Eight Fantasms and Magics, The Best of Jack Vance, Green Magic, Lost Moons, The Complete Magnus Ridolph, The World Between and Other Stories, The Dark Side of the Moon! The Narrow Land (i wiele, wiele innych). Najnowsze powieści to Night Lamp i Ports of Call.

Jack Vance

NOWY NAJWYŻSZY

Muzyka, kolorowe światła, stopy ślizgające się na wywoskowanym dębowym drewnie, zapach perfum, stłumione rozmowy i śmiechy.

Arthur Caversham z dwudziestowiecznego Bostonu poczuł podmuch powietrza na skórze i zorientował się, że jest całkiem nagi.

Był na przyjęciu z okazji debiutu towarzyskiego Janice Paget. Otaczało go trzystu gości w strojach wieczorowych.

Przez chwilę czuł jedynie niejasne zdziwienie. Jego obecność tutaj wydawała się skutkiem logicznego ciągu wydarzeń, ale pamięć miał dziwnie zamgloną i nie mógł znaleźć żadnego bezpiecznego punktu zaczepienia.

Stał trochę na uboczu od pozostałych mężczyzn, naprzeciw czerwono-złotego podestu dla orkiestry. Bufet, waza z ponczem i skrzynki szampana, obsługiwane przez klaunów, znajdowały się po jego prawej stronie. Po lewej przez otwarte wejście cyrkowego namiotu widział ogród, oświetlony teraz sznurami kolorowych lampek - czerwonych, zielonych, żółtych, niebieskich.

Dostrzegł na trawniku karuzelę.

Dlaczego się tu znalazł? Nic sobie nie przypominał, żadnej przyczyny... Noc była ciepła - pozostali młodzieńcy ubrani w wieczorowe stroje pewnie się dość spocili... Coś zaczęło mu świtać. Musiał pominąć jakiś bardzo znaczący szczegół całej sprawy.

Zauważył, że stojący w pobliżu odsuwają się od niego. Słyszał pełne rozbawienia śmiechki, okrzyki zaskoczenia. Tańcząca nieopodal dziewczyna dostrzegła go ponad ramieniem partnera, pisnęła zaszokowana i odwróciła wzrok, rumieniąc się i chichocząc.

Coś było nie tak. Wszyscy ci młodzi ludzie byli ogromnie zaskoczeni i zdumieni jego nagością, wręcz zawstydzeni. Sytuacja robiła się coraz bardziej niepewna. Musiał coś zrobić. Nie można naruszyć tak silnie odczuwanego tabu bez nieprzyjemnych skutków, tak przynajmniej mu się zdawało. Nie miał ubrania, musiał więc je zdobyć.

Rozejrzał się wokół, przyglądając się młodym mężczyznom, którzy obserwowali go ze sprośnym zachwytem, z oburzeniem lub ciekawością. Zwrócił się do jednego z tych zaciekawionych.

- Gdzie mogę zdobyć jakieś ubranie? Nieznajomy wzruszył ramionami.

- A gdzie zostawiłeś swoje?

Do namiotu weszło dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w granatowych mundurach. Arthur Caversham dostrzegł ich kątem oka, jego umysł desperacko pracował na najwyższych obrotach.

Ten młodzieniec wydawał się typowym przedstawicielem otaczających go ludzi. Jaka prośba najsilniej do niego przemówi? Jak każda inna istota ludzka zareaguje odpowiednio, jeśli zwróci się do niego we właściwy sposób. W jaki sposób go pozyskać?

Współczucie?

Groźby?

Perspektywa zysku lub korzyści?

Caversham odrzucił wszystkie trzy motywy. Naruszając tabu, zrzekł się prawa do współczucia. Groźba wywołałaby tylko drwiny, nie mógł też zaoferować żadnych zysków ani korzyści. Trzeba wziąć się do tego z większym sprytem.. Przypomniawszy sobie, że młodzi mężczyźni zwyczajowo łączyli się w tajne stowarzyszenia. Sprawdzało się to prawie zawsze, w tysiącach kultur, które studiował. Sekretne miejsca spotkań, kultury narkotykowe, szczypce, narzędzia inicjacji seksualnej - cokolwiek by to było, zewnętrzne cechy okazywały się niemal identyczne: bolesna inicjacja, tajemne znaki i hasła, jednakowy wzorzec postępowania, przymus podporządkowania się grupie. Jeśli ten młody człowiek należał do podobnego stowarzyszenia, może zareagować na odwołanie się do poczucia wspólnoty.

- Zostałem postawiony w tej sytuacji tabu przez braterstwo - powiedział Arthur Caversham. - W imię braterstwa znajdź mi jakieś odpowiednie ubranie. Młodzieniec wpatrywał się w niego zaskoczony.

- Braterstwo?... Chodzi ci o bractwo? - Na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. - To jakiś numer karnawałowy? - Roześmiał się. - Jeśli tak, to naprawdę idą na całość.

- Tak - potwierdził Arthur Caversham. - Moje bractwo.

- W tę stronę - odpowiedział młodzieniec. - Prędkiej, gliny idą. Schowamy się za namiotem. Pożyczę ci mój płaszcz, żebyś mógł wrócić do siebie.

Dwóch umundurowanych mężczyzn w milczeniu przepychało się wśród tancerzy. Byli już blisko. Młodzieniec uniósł płótno namiotu, Arthur Caversham zanurkował pod nie, a jego nowy przyjaciel za nim. Razem przebiegli wśród kolorowych cieni do małej budki pomalowanej w wesołe, białe-czerwone pasy, stojącej blisko wejścia do namiotu.

- Staraj się nie pokazywać - poinstruował młodzieniec. - Wezmę płaszcz.

- Dobrze - odpowiedział Arthur Caversham. Młodzieniec się zawałał.

- W jakim akademiku mieszkasz? Który uniwersytet? Arthur Caversham desperacko

poszukiwał w głowie odpowiedzi. Znalazł jedną jedyną informację.

- Jestem z Bostonu.

- Uniwersytet Bostoński? Czy MIT? A może Harvard?

- Harvard.

- Aha - młodzieniec skinął głową. - Ja chodzę do Waszyngtona i Lee. Jakie bractwo?

- Nie wolno mi powiedzieć.

- No tak - młodzieniec skinął głową, zdziwiony, ale usatysfakcjonowany. - Zaczekaj chwilę...

Bearwald Halforn zatrzymał się, otępieł z rozpaczy i wyczerpania. Wokół niedobitki jego plutonu padły na ziemię, oglądając się za siebie, tam gdzie noc lśniła od płomieni. Wiele wiosek i drewnianych domów stanęło dziś w ogniu, a Brandowie z góry Medalion tarzali się w ludzkiej krwi.

Bearwald poczuł całym ciałem pulsowanie odległych bębnow, niskie trumm-trumm-trumm, prawie niedosłyszalne. Dużo bliżej dosłyszał ludzki wrzask przerażenia, a zaraz potem okrzyki bojowe, już nie ludzkie. Brandowie byli wysocy, czarni, podobni do ludzi, chociaż ludźmi nie byli. Mieli oczy jak lampy z czerwonego szkła i lśniące białe zęby, a dziś w nocy najwyraźniej postanowili zgładzić wszystkich ludzi na tym świecie.

- Na ziemię! - syknął Kanaw, jego prawy przyboczny. Bearwald przykucnął. Na tle płonącego nieba przemaszerowała kolumna wojowników Brandów. Kołysali się rażno, bez strachu.

- Posłuchajcie mnie - odezwał się nagle Bearwald. - Jest nas trzynastu. W walce wręcz z tymi potworami jesteśmy bezradni. Dzisiejszej nocy wszystkie ich oddziały zeszyły z góry, gniazdo musi być niemal opuszczone. Ile mamy do stracenia, jeśli spróbujemy podpalić gniazdo Brandów? Tylko nasze życie, a co ono jest teraz warte?

- Nasze życie jest teraz już niczym, wyruszajmy natychmiast - odpowiedział Kanaw.

- Oby nasza zemsta była straszna - dodał Broctan, lewy przyboczny. - Oby z gniazda Brandów został o świcie tylko biały popiół.

Przed nimi wznosił się masyw góry Medalion. Owalne gniazdo znajdowało się w Dolinie Pangborn. U wylotu doliny Bearwald podzielił pluton na dwie części, na czele drugiej postawił Kanawa.

- Poruszajmy się cicho, dwadzieścia metrów od siebie. Jeśli jedna grupa zwróci uwagę Branda, druga może zaatakować od tyłu i zabić potwora, zanim skrzyknie całą dolinę. Rozumiecie?

- Rozumiemy.

- A więc naprzód, do gniazda.

W dolinie unosił się smród zatęchłej skóry. Od strony gniazda dochodziły stłumione brzęki. Ziemia była tu miękka, porośnięta mchem. Ostrożne kroki nie czyniły najmniejszego hałasu. Pochylny nisko Bearwald widział sylwetki swoich ludzi na tle nieba - tutaj miało ono głęboki odcień indygo, z płonącymi brzegami. Złowroga luna płonącej Echevasy widniała nad zboczem, na południu.

Dźwięk. Bearwald syknął i kolumna zamarła w oczekiwaniu. Tup, tup, tup - rozległy się kroki, a po nich ochryply krzyk wściekłości.

- Zabić, zabić bestię! - wrzasnął Bearwald.

Maczuga, którą zamachnął się Brand niczym kosą, wręcz uniosła jednego z żołnierzy z ziemi. Bearwald skoczył i ciął głęboko; poczuł, jak ustępują ścięgna. Trysnęła na niego gorąca

krw Branda.

Szczęk ucichł, a w ciemnościach rozległy się okrzyki Brandów.

- Naprzód! - wydyszał Bearwald. - Wyciągnijcie krzesiwa, podpalcie gniazdo. Ogień, ogień, ogień...

Przestał się kryć i pobiegł naprzód - przed nim czerniła się ciemna kopuła. Rzucili się na niego niedojrzali Brandowie, piszcząc i skrzecząc, a za nimi najstarsi - sześciometrowe potwory czółgające się na czworakach, stękające i warczące.

- Zabić! - wrzasnął Bearwald Halforn. - Śmierć! Ogień, ogień, ogień! Rzucił się w stronę gniazda, przykucnął, skrzesał iskrę, dmuchał na nią. Szmata nasączona saletrą zajęła się ogniem. Bearwald podsycił go suchą trawą, przycisnął do ściany gniazda. Trzcina i łozina zapłonęły.

Wyprostował się, a wtedy rzuciła się na niego horda młodych Brandów. Jego miecz unosił się i opadał. Byli słabi, nie mogli oprzeć się prawdziwej furii. Zbliżyli się trzej ogromni, starzy Brandowie o wzdętych brzuchach; smród, który wydawali, był torturą dla jego nozdrzy.

- Zgasić ogień! - wrzasnął jeden. - Zgasić! Wielka Matka jest uwięziona w środku, leży ciężarna, nie może się ruszyć... Ogień, rozpacz, zniszczenie!

- Gdzie są potężni? - zawyli inni. - Gdzie nasi wojownicy? Trumm-trumm-trumm - zadudniły bębny ze skóry. Przez dolinę przetoczyło się echo ochrypłych okrzyków Brandów.

Bearwald stanął plecami do ognia. Rzucił się naprzód, odciął głowę zbliżającemu się staremu Brandowi, odskoczył w tył... Gdzie jego ludzie?

- Kanaw! - wrzasnął. - Laida! Theyat! Gyorg! Broctan!

Wyciągnął szję, dostrzegł błyski płomieni.

- Bijcie obrzydliwe potwory! - I znowu skoczył naprzód, ciał i walił. Kolejny stary Brand westchnął, jęknął i padł na ziemię.

Teraz okrzyki Brandów pełne były obawy, ucichły triumfalne bębny, dudnienie kroków stawało się głośniejsze.

Za plecami Bearwalda gniazdo płonęło, wydzielając przyjemne ciepło. Z wnętrza rozległ się przeraźliwy jazgot, krzyk ogromnego bólu.

W drgającym świetle dostrzegł atakujących wojowników. Ich oczy świeciły niczym płonące węgle, zęby lśniły bielą. Zbliżali się, wymachując maczugami, a Bearwald ścisnął mocniej miecz, zbyt dumny, by uciekać.

Ceistan zatrzymał powietrzne sanie i siedział kilka minut, obserwując martwe miasto Therlatch - ściana brunatnych cegieł wysoka na trzydzieści metrów, zakurzona brama i kilka walących się dachów widocznych nad murami. Za miastem pustynia ciągnęła się aż do zamglonych gór Allune na horyzoncie, różowych w promieniach dwóch bliźniaczych słońc, Miga i Paga.

Z góry nie dostrzegał żadnych oznak życia, żadnych się też nie spodziewał w mieście porzuconym od tysiąca lat. Tylko kilka piaskołazów wygrzewało się na słońcu na niegdysiejszym targowisku. Wymarłe ulice będą musiały odebrać jego obecność z ogromnym zdziwieniem.

Zeskoczył z sań i wszedł przez bramę. Rozejrzał się wokół z ciekawością. Ceglane budynki stały w upale, niemal odwieczne. Wiatr wygładził i zaokrąglił wszystkie ostre kanty, szkło popękało podczas gorących dni i zimnych nocy, zwały piasku blokowały alejki.

Od bramy rozchodziły się trzy ulice i Ceistan nie wiedział, którą z nich wybrać. Wszystkie były pokryte pyłem, wąskie i po kilkudziesięciu metrach zakręcały, więc nie widział, dokąd

prowadzą.

Z namysłem potarł podbródek. Gdzieś w tym mieście leżała okuta mosiądzem skrzynka zawierająca Pergamin Korony i Tarczy. Ten właśnie pergamin, wedle tradycji, ustanowił precedens, zgodnie z którym pan senioralny nie miał obowiązku płacić podatku za energię. Glay, który był seniorem Ceistana, powołał się na pergamin, usprawiedliwiając swoje uchylanie się od zapłaty, i wyzowano go, by dowiódł prawdziwości swych twierdzeń. Teraz był zamknięty w więzieniu pod zarzutem buntu, a rano zostanie przybity do dna powietrznych sań i wysłany na zachód, o ile Ceistan nie wróci z pergaminem.

Ceistan pomyślał, że po tysiącu lat niewiele można mieć powodów do optymizmu. Jednak Glay był sprawiedliwym panem, więc trzeba zajrzeć pod każdy kamień... Jeżeli skrzynka istniała, najpewniej znajdowała się w jakimś oficjalnym budynku, w Legalicie, meczecie, Domu Pamiątek lub może w Domu Zbytku. Przeszuka więc je wszystkie, przeznaczając po dwie godziny na budynek. Po tych ośmiu godzinach zgaśnie różowe światło dnia.

Wybrał środkową ulicę i wkrótce dotarł do placu, na końcu którego wznosił się Legalit, Dom Rejestrów i Decyzji. Wnętrze było ciemne i ponure. Z zakurzonej pustki nie dobiegał żaden dźwięk, nie licząc westchnień i szeptów suchego wiatru. Ceistan wszedł do środka.

Wielka sala była pusta. Ściany pokrywały czerwono-niebieskie freski, o barwach tak żywych, jakby namalowano je zaledwie wczoraj. Na każdej ścianie widniało takich sześć - górna połowa przedstawiała przestępstwo, dolna należną karę.

Ceistan przeszukał pomieszczenia w głębi. Nie znalazł w nich nic, tylko kurz i zapach kurzu. Zszedł więc do krypt, oświetlonych, jak się okazało, przez małe, wąskie okienka. Leżało tu dużo śmieci i gruzu, ale nigdzie nie było mosiężnej skrzynki.

Ruszył więc w górę, na świeże powietrze, po czym przeciął plac w stronę meczetu. Wszedł przez imponujący architraw.

Konfirmatorium nuncjatora było wielkie, puste i czyste, gdyż jego mozaikową podłogę omiatał potężny przeciąg. W niskim suficie znajdowało się tysiąc otworów, a każdy łączył się z komnatą położoną wyżej. Urządzono to tak, by pobożni mogli zasięgać porady nuncjatora przechodzącego w dole, nie zmieniając pokornej postawy. W centrum pawilonu znajdowało się wgłębienie przykryte szklanym dyskiem. Pod szkłem stał kufer, a w kufrze spoczywała okuta mosiądzem skrzynka. Ceistan z nadzieją rzucił się w dół schodów.

Jednak skrzynka zawierała tylko klejnoty - diadem Starej Królowej, ozdoby noszone na piersi przez członków Korpusu Gonwand, wielką kulę, w połowie ze szmaragdów, a w połowie z rubinów, którą w starożytnych czasach toczono przez plac, by w ten sposób zaznaczyć przemijanie starego roku.

Ceistan wrzucił wszystko z powrotem do skrzynki. Takie starożytności nie miały na tej planecie umarłych miast żadnej wartości, a syntetyczne klejnoty przewyższały je znacznie zarówno blaskiem, jak i czystością.

Opuścił meczet i sprawdził pozycję bliźniaczych słońc. Ruchome kule różowego ognia minęły już zenit i zaczęły chylić się ku zachodowi. Pomyślał, że wcale nie jest niemożliwe, by zarówno skrzynka, jak i pergamin były tylko bajką, jakich wiele opowiadano o wymarłym Therlatchu.

Podmuch wiatru świsnął przez plac i Ceistan zakrztusił się mimo wyschniętego gardła. Splunął, ostry smak wgrzyzał mu się w język. W pobliskiej ścianie widać było niewielką starą fontannę; zbadał ją tęsknie, ale te martwe ulice nie znały nawet wspomnienia wody.

Jeszcze raz odchrząknął, splunął i ruszył przez miasto w stronę Domu Pamiątek.

Wkroczył w wielką nawę, minawszy kwadratowe filary wzniesione z glinianych cegieł. Różowe promienie światła wpadały przez szpary i otwory w dachu, był w tej ogromnej przestrzeni niczym komar. Wszędzie widać było oszklone nisze, a w każdej z nich zamknięto jakiś cenny starożytny przedmiot: zbroję, w której Plange Ostrzeżony poprowadził Błękitne Flagi; koronę Pierwszego Węża; zbiór starodawnych czaszek Padangów; suknię ślubną księżniczki Thermosteraliam uszytą z tkanego palladium, cienkiego niczym pajęczyna, tak świeżą jak w dniu, w którym ją nosiła; wielki muszlowy tron wczesnej dynastii i inne pamiątki. Jednak skrzynki wśród nich nie było.

Ceistan szukał wejścia do krypty, lecz podłoga była zupełnie gładka, jeśli nie liczyć rowków, które wyrzeźbiły w porfirze prądy suchego powietrza.

Wyszedł. Słońca ukryły się już za zwalonymi dachami i ulice tonęły w fioletowym cieniu.

Ceistan miał stopy jak z ołowiu, gardło mu płonęło. Ruszył do Domu Zbytku w cytadeli. W górę, po szerokich schodach, przez portal pokryty śniedzią, do hali o ścianach malowanych w kolorowe freski. Przedstawiały panny ze starożytnego Therlatchu przy pracy, przy zabawie, w smutku, w radości; smukłe stworzenia o krótkich czarnych włosach i lśniącej skórze, wdzięczne jak wodne nimfy, krągłe i apetyczne jak chermoyańskie śliwki. Ceistan przeszedł przez salę, rozglądając się na boki i myśląc, że te dawne istoty stworzone do rozkoszy są teraz prochem, po którym deptał stopami.

Szedł korytarzem, który okrążał budynek, można było z niego wejść do komnat i apartamentów Domu Zbytku. Pod stopami miał strzępy przepysznego dywanu, ze ścian zwisały spleśniałe szmaty - niegdyś najdelikatniejsze gobeliny. Przy wejściu do każdego z pokoi znajdował się fresk przedstawiający pannę z Domu Zbytku i znak, któremu służyła. Przy każdym z tych pokoi Ceistan zatrzymywał się, przeprowadzał pośpieszne poszukiwanie i przechodził do następnego. Promienie wpadające przez pęknięcia w ścianach służyły mu za zegar, padały coraz bardziej poziomo.

Pokój za pokojem, i kolejny... W niektórych stały skrzynie, w innych ołtarze, w jeszcze innych pudła manifestów, tryptyki, fontanny. Ale nigdzie nie było skrzynki, której szukał.

A przed sobą widział już salę, którą ujrzał zaraz po wejściu. Pozostały mu do przeszukania trzy pokoje, potem światło zniknie.

Zbliżył się do pierwszego z nich - wejście przysłaniała całkiem nowa kotara. Odsunął ją i odkrył, że patrzy na zewnętrzny dziedziniec zalany długimi promieniami światła bliźniaczych słońc. Woda z fontanny spływała po stopniach z jadeitu o barwie jabłka do ogrodu, świeżego i zielonego niczym ogrody na północy. A z kanapy zerwała się z przerażeniem panna równie żywa i urocza, jak te przedstawione na freskach. Miała krótkie ciemne włosy i twarz delikatną jak białe kwiaty, które wetknęła za ucho.

Przez chwilę Ceistan i dziewczyna patrzyli sobie w oczy. Potem jej strach minął i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Kim jesteś? - zapytał zdumiony Ceistan. - Duchem? Czy może mieszkasz tu wśród piasku?

- Jestem z krwi i kości - odparła. - Mój dom jest na południu, w Oazie Palram, a tutaj przechodzę czas odosobnienia, któremu muszą się poddać wszystkie dziewczęta naszej rasy, jeśli pragną doznać Wyższego Wtajemniczenia... Możesz więc podejść do mnie bez obaw, odpocząć, napić się owocowego wina i towarzyszyć mi w nocy, gdyż jest to ostatni tydzień mojego odosobnienia i zmęczyła mnie już samotność.

Ceistan zrobił krok naprzód, zawahał się jednak.

- Muszę wypełnić moją misję. Szukam mosiężnej skrzynki zawierającej Pergamin Korony i

Tarczy. Wiesz coś o niej?

Pokręciła głową.

- Nie ma jej nigdzie w Domu Zbytku. - Wstała, przeciągając ramiona niczym toczony z kości słoniowej, tak jak przeciąga się kotka. - Porzuć swoje poszukiwania i wejdź, pozwól się odświeżyć.

Ceistan spojrział na nią, spojrział na gasnące światło, na korytarz, w którym pozostały mu dwa pomieszczenia.

- Najpierw muszę zakończyć poszukiwania. Mam obowiązki wobec mojego seniora, pana Glaya, który zostanie przybity do powietrznych sań i wysłany na zachód, jeśli zawiodę.

Dziewczyna się nadała.

- Odejdź więc do swoich zakurzonych pokoi, idź tam o suchym gardle.

Nic nie znajdziesz, a jeśli będziesz trwać w uporze, nie zastaniesz mnie tu, kiedy wrócisz.

- Niech i tak będzie - odparł Ceistan.

Odwrócił się i ruszył korytarzem. Pierwszy pokój był pusty i suchy. W kącie drugiego i ostatniego leżał szkielet mężczyzny - Ceistan dostrzegł go w ostatnich różowych promieniach bliźniaczych słońc.

Nie było mosiężnej skrzynki, nie było pergaminu. Glay musiał więc umrzeć, a serce Ceistana stało się ciężkie niczym kamień.

Wrócił na dziedziniec, gdzie spotkał dziewczynę, ale już odeszła. Fontannę wyłączono, kamienie były jeszcze wilgotne.

- Gdzie jesteś, panno?! - zawołał Ceistan. - Wróć, moja misja skończona!...

Nie było żadnej odpowiedzi. Wzruszył ramionami, wrócił do hali i wyszedł, by po omacku odnaleźć drogę przez opuszczone ulice do bramy i swoich sań.

Dobnor Daksat zdał sobie sprawę z tego, że potężny mężczyzna w czarnym haftowanym płaszczu coś do niego mówi.

Rozejrzał się. Widok był jednocześnie znajomy i obcy.

- Stajesz do zawodów w bardzo zaawansowanej grupie. Podziwiam twoją... ach, wiarę w siebie. - Mężczyzna mówił tonem wyniosłym i pobłażliwym. Rzucił Daksatowi błyszczące, badawcze spojrzenie.

Daksat miał na sobie długi płaszcz z fioletowo-czarnego aksamitu, kołyszący się wokół kostek niczym dzwon, i spodnie ze szkarłatnego sztruksu obcisłe w pasie, na udach i łydkach, z luźną bufą zielonego materiału nad kostką. Ubranie było z pewnością jego własne - wydawało się zarazem odpowiednie i niewłaściwe, tak samo jak rzeźbione złote ochraniacze, które miał na kostkach dłoni.

Potężny mężczyzna w ciemnym płaszczu nadal mówił, wpatrując się w punkt gdzieś nad głową Daksata.

- Clauktaba zdobywał nagrody imagerów przez ostatnie dwa lata. Bel-Washab w zeszłym miesiącu został zwycięzcą Corsi; Tol Morabait jest powszechnie uznawany za mistrza techniki. Jest też Ghisel Ghang z Indu Zachodniego, z którym nikt nie może się równać w tworzeniu ognistych gwiazd, i Pulakt Havjorska, mistrz Kraju Wysp. Budzi więc sceptycyzm pytanie, czy ty, nowy, niedoświadczony, bez zasobu obrazów, możesz zdziałać coś więcej, niż tylko zawstydzić nas wszystkich swoim myślowym ubóstwem.

Daksat ciągle jeszcze nie otrząsnął się ze zdziwienia i nie znalazł w sobie żadnej szczególnej niechęci wobec pogardy, okazywanej mu wyraźnie przez potężnego mężczyznę.

- O co tu chodzi? - zapytał tylko. - Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem, jaką pozycję

tu zajmuję.

Mężczyzna w czarnym płaszczu spojrział na niego badawczo.

- Ach, czujesz więc trwogę związaną z brakiem doświadczenia? Zapewniam cię, że słusznie. - Westchnął i zamachał rękami. - No cóż, młodzieńcy zawsze są porywcy, może też stworzyłeś jakieś obrazy, które wydały ci się całkiem do przyjęcia. Jednak publiczność zignoruje cię, widząc cudowną geometrię Clauktaby i wybuchające gwiazdy Ghisela Ghanga. Radzę ci więc, byś pokazywał obrazy małe, skromne, dzięki temu unikniesz patosu i dysharmonii... Już czas, byś poszedł do swojego imagikonu. Tędy, proszę. Pamiętaj - szarości, brązy, lawenda, może kilka akcentów ochry i rdzy. Wtedy widzowie zrozumieją, że bierzesz udział w zawodach tylko po to, by się kształcić, i nie zamierzasz rzucać wyzwania mistrzom. Tędy, chodź...

Otworzył drzwi i wyprowadził Dobnora Daksata w górę schodów i na zewnątrz, w noc.

Stanęli na wielkim stadionie, przed sześcioma wielkimi ekranami wysokości piętnastu metrów. Za nimi w ciemnościach siedziały niezliczone rzędy widzów - całe tysiące. Słychać było gwar głosów. Daksat odwrócił się, by na nich spojrzeć. Wszystkie twarze i postaci zlały się w jedną istotę.

- Tutaj - powiedział potężny mężczyzna. - Oto twój aparat. Usiądź, a ja dostroję urządzenia.

Daksat pozwolił usadzić się w ciężkim fotelu, tak miękkim i głębokim, że miał wrażenie, iż unosi się w powietrzu. Dopasowano urządzenia do jego głowy, karku i nosa. Poczł ukłucie, chwilę bólu, a potem kojące ciepło.

Z daleka jakiś głos zawołał do tłumu:

- Za dwie minuty szara mgła! Za dwie minuty szara mgła! Przygotujcie się, imaginerzy, za dwie minuty szara mgła!

Pochylił się nad nim potężny mężczyzna.

- Czy dobrze widzisz?

Daksat uniósł się nieco.

- Tak... wszystko jest wyraźne.

- Świetnie. Gdy zacznie się szara mgła, zaświeci ta linia. Gdy zgaśnie, kolej na twój ekran i musisz imaginować jak najlepiej.

Odległy głos wołał:

- Za minutę szara mgła! Porządek jest następujący: Pulakt Havjorska, Tol Morabait, Ghisel Ghang, Dobnor Daksat, Clauktaba i Bel-Washab. Nie ma żadnych ulg, dozwolone są wszystkie kolory i kształty. Odprężcie się więc, przygotujcie płaty mózgowie i teraz... szara mgła!

Na pulpicie fotela Daksata zapłonęło światło i zobaczył, że pięć z sześciu ekranów zajaśniało przyjemną perłową szarością, kłębiącą się, jakby była rozbudzona, podniecona. Tylko ekran przed nim pozostał ciemny. Potężny mężczyzna stojący za nim wyciągnął rękę i trącił go.

- Szara mgła, Daksat. Czyżbyś był ślepy i głuchy?

Daksat pomyślał o szarej mgle i jego ekran natychmiast ożył, ukazując jasno i wyraźnie srebrzystoszarą chmurę.

- Hmm - mruknął potężny człowiek. - Trochę matowa i nudnawa, ale chyba całkiem niezła... Patrz, jak mgła Clauktaby dźwięczy już oznakami namiętności, drży emocjami.

Daksat spojrział na ekran po prawej stronie i stwierdził, że to prawda.

Szarość, choć nie nabierała innych odcieni, płynęła i rozwarstwiała się, jakby usiłowała

słumić potężne światło.

A teraz, daleko po lewej, ekran Pulakta Havjorski zapłonął barwami. Była to zagrywka otwierająca, obraz umiarkowany, skromny - zielony klejnot ociekający deszczem niebieskich i srebrzystych kropel, które opadały na czarny grunt i znikwały z towarzyszeniem niedużych pomarańczowych wybuchów.

Potem zajaśniał ekran Tola Morabaita: czarno-biała szachownica, której pewne kwadraty rozbłyskiwały nagle zielenią, czerwienią, błękitem i żółcią - ciepłe, przenikliwe barwy, czyste niczym pasy tęczy. Obraz zniknął w chmurze różowości i błękitu.

Ghisel Ghang stworzył żółty okrąg, który zadrżał i wyrzucił z siebie zieloną aureolę, a ta z kolei nabrzmiała i wydała z siebie większy okrąg lśniącej bieli i czerni. W środku uformował się skomplikowany kalejdoskopowy wzór. Wzór zniknął nagle w oślepiającym błysku światła; na ekranie pojawił się na moment identyczny obraz w zupełnie innych barwach. Fala dźwięków dobiegających od strony publiczności radośnie powitała ten popis sił twórczych.

Światło na pulpicie Daksata zgasło. Poczł kolejne szturchnięcie.

- Teraz!

Daksat patrzył na ekran, a w jego głowie nie pojawił się ani jeden pomysł. Zacisnął zęby. Cokolwiek. Cokolwiek! Obraz... wyobraził sobie łąki nad rzeką Melramy.

- Sympatyczne - odezwał się stojący za nim mężczyzna. - Miła fantazja i nawet dość oryginalna.

Zaskoczony Daksar przyjrzał się obrazowi na ekranie. Było to dość banalne odtworzenie czegoś, co dobrze znał. Fantazja? Czy tego właśnie oczekiwano? Bardzo dobrze, stworzy więc fantazję. Wyimaginował, jak łąki stają się roztopione, rozpalone do białości. Rośliny i stare kopce zmieniły się we wrzącą, lepka ciecz. Powierzchnia wygładziła się w lustro odbijające Miedziane Wzgórza.

Potężny mężczyzna mruknął za nim:

- Końcówka była trochę niezgrabna, zniszczyłeś czarujący efekt tych nieziemskich kolorów i kształtów...

Daksat oklapł w swoim fotelu, marszcząc czoło i czekając z niecierpliwością, kiedy znowu przyjdzie jego kolej.

Tymczasem Clauktaba stworzył delikatny biały kwiat o purpurowych pręcikach na zielonej łodydze. Płatki zwiędły, pręciki wyrzuciły chmurę wirującego żółtego pyłku.

Potem Bel-Washab, ostatni w rzędzie, zabarwił swój ekran lśniąca podwodną zielenią. Falowała, wydymała się, po czym czarna, nieregularna plama skaziła jej powierzchnię. Ze środka popłynęło roztopione złoto, które szybko pokryło plamę siecią żyłek.

Taka była pierwsza runda.

Przerwa trwała kilka sekund.

- Teraz zaczną się zawody - szepnął człowiek za Daksatem.

Na ekranie Pulakta Havjorski pojawiło się wzburzone morze kolorów: czerwone, zielone i niebieskie fale zlewające się brzydko. Z dramatycznym efektem na dole po lewej stronie pojawiła się żółta plama i pokonała chaos. Rozciągnęła się na cały ekran, a jej środek stał się zielonożółty. Pojawiły się dwie czarne plamy, które pokłoniły się w dwie strony. Obie cofnęły się w tło, wijąc się i chyląc z niezwykłym wdziękiem. Oddaliły się i zaczęły wyciągać ku sobie lance, rozdzieliły się na wiele lanc i stworzyły ukośny wzór ze smukłych czarnych prętów.

- Wspaniale! - syknął potężny mężczyzna. - Co za znakomite wyczucie czasu, co za

precyzja!

Tol Morabait odpowiedział szaro-brązową powierzchnią poprzecinaną karmazynowymi liniami i plamami. Po lewej stronie uformowały się pionowe zielone pasy i przemaszerowały przez cały ekran na prawo. Brązowa powierzchnia ruszyła do przodu, przeciskając się przez zielone pręty. Naciskając coraz mocniej, połamano się, a jej fragmenty poleciały do przodu i opuściły ekran. Na czarnym tle za zielonymi prętami, które teraz znikły, leżał ludzki mózg, różowy i pulsujący. Nagle wypuścił sześć owadzych nóżek i niczym krab uciekł w dal.

Ghisel Ghang stworzył jeden ze swoich ognistych wybuchów - drobna, jaskrawoniebieska grudka eksplodowała na wszystkie strony, a jej końce wirowały i tworzyły cudowne desenie w pięciu barwach - niebieskiej, fioletowej, białej, purpurowej i jasnozielonej.

Dobnor Daksat, sztywny jak kłoda, zaciskał pięści i zgrzytał zębami. Teraz! Czyżby jego mózg nie był równie wspaniały jak te z odległych krain?

Teraz!

Na ekranie ukazało się niebiesko-zielone drzewo, a każdy jego liść był językiem płomienia. Z tych płomieni wydobywały się smużki dymu, unosiły się w górę i tworzyły chmurę. Chmura spuściła na drzewo stożek deszczu. Płomienie znikły, a na ich miejsce pojawiły się gwiazdziste białe kwiaty. Z chmury wystrzeliła błyskawica, która roztrzaskała drzewo na drobne szklane okruchy. Kolejna błyskawica uderzyła w ten stos i ekran eksplodował w ogromny obłok bieli, oranżu i czerni.

Potężny mężczyzna odezwał się tonem pełnym wątpliwości:

- Właściwie to bardzo dobrze. Pamiętaj jednak o moim ostrzeżeniu, twórz skromniejsze obrazy, gdyż...

- Cisza! - warknął Dobnor Daksat szorstko.

Zawody trwały dalej, runda za rundą - niektóre spektakle były słodkie jak miód, inne groźne niczym burze, które krążą wokół biegunów. Jedne kolory zastępowały drugie, desenie rozwijały się i zmieniały, czasami w cudownej harmonii, czasami w przykrych dysonansach, niezbędnych dla wzmocnienia obrazu.

A Daksat tworzył marzenie za marzeniem, podczas gdy jego napięcie znikało i w końcu zapominał o wszystkim z wyjątkiem obrazów pędzących w jego umyśle i na ekranie. Jego twory stały się równie skomplikowane i subtelne jak te wyśnione przez mistrzów.

- Ostatnia runda - powiedział mężczyzna za Daksatem. Teraz imaginery wywołali swoje najwspanialsze sny: Pulakt Havjorska ukazał wzrost i ruinę pięknego miasta; Tol Morabait spokojną kompozycję zieleni i bieli, którą zakłóciła armia maszerujących owadów, zostawiających za sobą brudny ślad, walczących z ludźmi w malowanych skórzanych zbrojach i wysokich czapkach, uzbrojonymi w miecze i cepy. Owady zostały pokonane i przepędzone z ekranu, zabici wojownicy zmienili się w szkielety i rozpadli w lśniący niebieski pył. Ghisel Ghang stworzył trzy eksplozje jednocześnie, a każda była cudownym popisem.

Daksat wyimaginował gładki kamyk, powiększył go i zmienił w bryłę marmuru, którą obrobił tak, by stworzyć głowę pięknej dziewczyny. Patrzyła chwilę przed siebie, na jej twarzy widać było różne uczucia - radość z nagłego zaistnienia, refleksyjne zamyślenie, a w końcu przerażenie. Oczy stały się nagle jasnoniebieskie, opalizujące, twarz zmieniła się w śmiejącą się sardonicznie maskę o czarnych policzkach i rozdziawionych ustach. Nagle usta spluły w powietrze. Głowa spłaszczyła się i zmieniła w czarne tło, kropelki płwociny lśniły niczym ogień, utworzyły konstelacje gwiazd. Jedna z gwiazd urosła, ustąpiła miejsca planecie z układu bliskiego sercu Daksata. Planeta runęła w ciemność, konstelacje zgasły. Dobnor

Daksat odprężył się. Jego ostatni obraz. Westchnął wyczerpany.

Potężny mężczyzna w czarnym płaszczu w milczeniu odpiął jego pasy.

- Ta planeta, którą wyimaginowałeś w ostatniej rundzie - odezwał się w końcu. - Był to twój wymysł czy tylko wspomnienie? Nie istnieje taka w naszym układzie, a jednak miała jasność prawdy.

Dobnor Daksat wpatrywał się w niego zaskoczony, a słowaomal nie uwięzły mu w gardle.

- Ale przecież to... dom! Ten świat! Czyżby nie był to ten świat? Potężny mężczyzna patrzył na niego dziwnie, po czym wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Za chwilę ogłoszony zostanie zwycięzca zawodów, który otrzyma buławę z klejnotów.

Dzień był wietrzny i pochmurny. Niski czarny okręt napędzały mięśnie wioślarzy z Belaclaw. Ergan stał na rufie i wpatrywał się w dwie mile wzburzonego morza u wybrzeży Radandu. Wiedział, że Racowie o ostrych rysach wypatrują go z przylądków.

Fontanna wody trysnęła jakieś sto metrów za rufą.

Ergan odezwał się do sternika:

- Ich działa mają większy zasięg, niż myśleliśmy. Lepiej oddalmy się od brzegu jeszcze z milę i zaryzykujemy prąd.

Tylko co zdążył skończyć, gdy rozległ się głośny świst. Spiczasto zakończony czarny pocisk trafił w pokład okrętu i eksplodował. Deski, metal, ciała poleciały we wszystkie strony, a okręt zanurzył swój przetrącony grzbiet w wodzie, zgiął się w pół i zatonął.

Ergan skoczył, odrzucił miecz, hełm i nagołenniki niemal w tej samej chwili, w której uderzył w szarą powierzchnię chłodnej wody. Wstrząs sprawił, że stracił oddech. Pływał w kółko, zanurzając się i wynurzając, w końcu chwycił się kawałka drewna.

Od wybrzeży Radandu wyruszyła długa łódź i zbliżała się szybko. Jej dziób, rozcinając fale, wzbijał kłęby piany. Ergan porzucił deskę i starał się odplłynąć od wraku jak najszybciej. Lepiej utonąć, niż dać się schwytać. Wygłodniałe ryby okazałyby mu więcej litości niż bezlitośni Racowie.

Płynął więc, jednak prąd znosił go do brzegu i w końcu, mimo słabego już oporu, wyrzucił na kamienistą plażę.

Znalazł go gang młodych Raców i zaprowadził na najbliższy posterunek. Tam Ergan został związany, rzucony na wóz i dowieziony do miasta Korsapan.

Posadzono go w szarym pokoju naprzeciw oficera wywiadu tajnej policji Raców, mężczyzny o skórze szarej niczym u ropuchy i badawczo patrzących, wygłodniałych oczach.

- Jesteś Ergan - oznajmił oficer. - Poślaniec do Bargee z Salomdeku.

Jaka była twoja misja?

Ergan patrzył mu prosto w oczy z nadzieją, że szybko zdoła wymyślić zadowalającą odpowiedź. Żadna jednak nie przychodziła mu do głowy, a prawda spowodowałaby natychmiastową inwazję wysokich, wąskogłowych żołnierzy Raców, ubranych w czarne mundury i czarne buty, na Belaclaw i Salomdek.

Nie odpowiedział. Oficer pochylił się naprzód.

- Zapytam jeszcze raz, a potem zabiorą cię do sali na dole - ostrzegł. Wypowiedział to z cichą rozkoszą, tak jakby słowa pisano dużymi literami. „Sala Na Dole”.

Ergana oblał zimny pot - nieraz słyszał o oprawcach Raców.

- Nie jestem Ergan - powiedział. - Nazywam się Ervard, jestem uczciwym handlarzem perłami.

- Nieprawda - odparł Rac. - Schwymano twój pomocnika, pod pompą ciśnieniową

wykrztusił swoje imię razem z własnymi płucami.

- Jestem Ervard - powtórzył Ergan, czując, jak ściska mu się żołądek. Rac dał znak.

- Zabierzcie go do Sali Na Dole.

Ludzkie ciało, w którym rozwinęły się nerwy jako system ostrzegania przed niebezpieczeństwem, wydaje się wręcz stworzone do bólu i znakomicie współpracuje z uzdolnionym katem. Te szczególne cechy ciała zostały dokładnie zbadane przez specjalistów Raców, którzy odkryli przy tym niechcący także inne możliwości ludzkiego organizmu. Dowiedziono więc, że niektóre cykle, na które składało się ciśnienie, wysoka temperatura, obciążenie, tarcie, skręcanie, szarpanie, wstrząsy słuchowe i wzrokowe, gryzienie, smród i obrzydliwości, dawały skumulowane efekty, podczas gdy pojedyncza metoda wykorzystana w nadmiarze po jakimś czasie traciła efektywność.

Całej tej wiedzy i mądrości użyto przeciw cytadeli nerwów Ergana i zadano mu wszystkie możliwe odcienie bólu - ostre ukłucia, tępe i trwałe bóle stawów, ogniste smagnięcia, ataki gwałtu i inne budzące wstręt okrucieństwa, wraz ze wstrząsami chwilowej czułości, kiedy pozwalano mu dostrzec na moment świat, który opuścił.

I z powrotem do Sali Na Dole.

Ale wciąż „jestem Ervard, handlarz”. I wciąż starał się przepchnąć swój umysł przez cielesną barierę dzielącą go od śmierci, jednak umysł zawsze cofał się na tym ostatnim stopniu i Ergan żył nadal.

Racowie trzymali się rozkładu dnia, więc oczekiwanie, zbliżanie się wyznaczonej godziny, przynosiło nie mniej męki niż same tortury. Potem rozlegały się ciężkie, niespieszne kroki przed celą, następował słaby opór, uniki i szorstkie śmiechy, kiedy wreszcie chwycili go i wynieśli, a potem znowu szorstkie śmiechy, kiedy trzy godziny później rzucali go szlochającego i jęczącego na stertę słomy, która była jego łóżkiem.

- Jestem Ervard - mówił i nauczył swój umysł wiary, że taka właśnie jest prawda, żeby nigdy nie zdołali złapać go z zaskoczenia. - Jestem Ervard! Jestem Ervard i handluję perłami!

Próbował udusić sam siebie na tej słomie, ale zawsze obserwował go niewolnik i na to nie pozwalał.

Próbował z własnej woli przestać oddychać i chętnie by to zrobił, jednak gdy tylko zapadał się w błogosławiony niebyt, jego umysł odprężał się i płuca podejmowały bezsensowny wysiłek wciągania powietrza.

Nie jadł nic, ale Racowie niewiele się tym przejmowali, gdyż wstrzykiwali mu mnóstwo mieszanek, leków wzmacniających i stymulujących, mających nie dopuścić, by stracił wrażliwość.

- Jestem Ervard - mówił Ergan, a Racowie z gniewem zgrzytali zębami. Sprawa ta stała się wyzwaniem: opierał się ich pomysłowości, długo więc zastanawiali się nad udoskonaleniami i poprawkami - nowe kształty żelaznych narzędzi, nowe typy lin, nowe kierunki nacisku i obciążenia. Przestało już być ważne, czy jest Erganem czy Ervardem, ponieważ wojna już wybuchła, ale nie zaznał zmiłowania, utrzymywano przy życiu jako problem, przypadek jedyny w swoim rodzaju. Strzeżono go i dbano o niego więcej niż o innych, a oprawcy Raców badali szczegółowo swoje techniki, ciągle coś poprawiając, coś zmieniając.

Pewnego dnia wylądowały okręty z Beleclaw i żołnierze z pióropuszcami na hełmach wdarli się poza mury Korsapanu.

Racowie przyglądali się Erganowi z żalem.

- Musimy odejść, a ty nadal się nie poddajesz.

- Jestem Ervard - wychrypiało to, co leżało na stole. - Ervard kupiec. Nad nimi rozległ się ogłuszający trzask.

- Musimy iść - powiedzieli Racowie. - Twoi ludzie wdarli się do miasta. Jeśli powiesz prawdę, może przeżyjesz. Jeśli skłamiesz, zabijemy cię. Wybieraj więc. Prawda lub życie.

- Prawda? - mruknął Ergan. - To sztuczka... - A potem dosłyszał zwycięską pieśń żołnierzy z Beleclaw. - Prawda? Czemu nie?... Bardzo dobrze. -I powiedział: - Jestem Ervard - gdyż teraz już wierzył, że to właśnie jest prawda.

Najwyższy Galaktyki był smukłym mężczyzną o rudobrazowych włosach, rzadko rozsianych na pięknie sklepionej głowie. Jego twarz niczym się właściwie nie wyróżniała, jednak siły nadawała jej para wielkich ciemnych oczu, w których lśniły światła niczym ogień za zasłoną dymu. Fizycznie przekroczył już młodość, jego głowa pochylała się do przodu, jakby ciążyła jej delikatna maszyna mózgu.

Wstał z kanapy, uśmiechając się słabo, i spojrział przez arkady na jedenastu Starszych. Siedzieli za stołem z wypolerowanego drewna, plecami do ściany pokrytej winoroślą. Byli to poważni mężczyźni o powolnych ruchach, a ich twarze pokrywały zmarszczki mądrości i przenikliwości. Zgodnie z prawem Najwyższy był władcą wszechświata, Starsi zaś stanowili radę mającą prawo w pewnym stopniu ingerować w jego decyzje.

- No i...?

Pierwszy ze Starszych bez pośpiechu podniósł oczy znad komputera.

- Ty pierwszy wstałeś z leżanki.

Najwyższy odwrócił się i spojrział na arkadę, wciąż uśmiechając się lekko. Pozostali leżeli w różnych pozach: niektórzy zaciskali pięści, wyprężeni jak struny, inni kulili się w pozycji płodu. Jeden osunął się częściowo z kanapy na podłogę, na pół otwartymi oczami wpatrywał się w dal.

Najwyższy znowu spojrział na Pierwszego ze Starszych, który obserwował go z obojętną ciekawością.

- Czy ustalono optimum?

Pierwszy Starszy spojrział na swój komputer.

- Dwadzieścia sześć trzydzieści siedem. Taki jest optymalny wynik. Najwyższy czekał, jednak Starszy nie powiedział nic więcej. Najwyższy podszedł do alabastrowej balustrady za kanapami. Zapatrzył się w cale kilometry słonecznej mgły i lśniące w oddali morze. Poczł wietrzyk muskający mu twarz, czochrający rzadkie kosmyki. Odetchnął głęboko, rozprostował palce i ramiona, gdyż wspomnienie oprawców Raców wciąż było świeże. Po chwili odwrócił się i oparł łokcie o balustradę. Jeszcze raz spojrział na rząd leżanek. Pozostali kandydaci nadal nie dawali znaku życia.

- Dwadzieścia sześć trzydzieści siedem - mruknął. - Własny wynik oceniłbym na dwadzieścia pięć dziewięćdziesiąt. Pamiętam, że w ostatnim epizodzie osobowość nie została w pełni utrzymana.

- Dwadzieścia pięć siedemdziesiąt cztery - odparł Pierwszy ze Starszych.

- Komputer ocenił końcowe wyzwanie rzucone Bandom przez Bearwalda Halforna jako bezproduktywne. Najwyższy zastanawiał się chwilę.

- Słuszna uwaga. Upór nie przynosi żadnych korzyści, o ile nie pomaga osiągnąć ustalonego wcześniej celu. To wada, nad którą muszę popracować.

- Spojrział na rząd Starszych, na twarz każdego z nich. - Nic nie mówicie, wszyscy jakoś zaniemówiliście.

Czekał. Pierwszy ze Starszych nie odpowiadał.

- Czy mogę zapytać, jaki był najwyższy wynik?

- Dwadzieścia pięć siedemdziesiąt cztery. Najwyższy skinął głową.

- Mój.

- Ty uzyskałeś najwyższy wynik - potwierdził Pierwszy. Uśmiech Najwyższego zniknął. Na jego czole pojawiła się zmarszczka zdziwienia.

- Mimo to wciąż nie chcecie potwierdzić, że pozostanę na swoim stanowisku, wciąż macie wątpliwości.

- Wątpliwości i złe przeczucia - odpowiedział Pierwszy ze Starszych.

Najwyższy wykrzywił usta, chociaż brwi miał nadal uniesione w uprzejmym zapytaniu.

- Wasze podejście mnie zadziwia. Wiecie, że zawsze służyłem z oddaniem. Moja inteligencja jest ogromna, a w tej ostatniej próbie, którą obmyśliłem, by rozwiać resztę waszych wątpliwości, uzyskałem najwyższy wynik. Udowodniłem swoją intuicję społeczną i zdolność przystosowania się do sytuacji, talenty przywódcze, oddanie obowiązkom, wyobraźnię i wytrwałość. Pod każdym względem mam najlepsze kwalifikacje na urząd, który sprawuję.

Pierwszy ze Starszych spojrział na swoich towarzyszy. Żaden nie chciał przemówić.

Pierwszy ze Starszych poprawił się w krześle.

- Trudno wyjaśnić nasze stanowisko. Wszystko, co mówisz, to prawda. Twojej inteligencji nie sposób zaprzeczyć, twój charakter jest godzien naśladowania, sprawowałeś swój urząd honorowo i z wielkim oddaniem. Zasłużyłeś na nasz szacunek, podziw i wdzięczność. Zdajemy sobie również sprawę z tego, że o kolejną kadencję ubiegasz się z najbardziej chwalebnych pobudek: uważasz się za człowieka najodpowiedniejszego do kierowania skomplikowanymi sprawami galaktyki.

Najwyższy ponuro skinął głową.

- Ale wy uważacie inaczej.

- Nasze stanowisko nie jest może aż tak stanowcze.

- A jakie właściwie jest wasze stanowisko? - Najwyższy machnął ręką w stronę leżanek. - Spójrzcie na tych ludzi. Najlepsi w całej galaktyce. Jeden z nich nie żyje. Ten, co się rusza na trzeciej leżance, postradał zmysły, to szaleniec. Pozostali są w szoku, mało przytomni. A nie zapominajcie, że próbę tę zaprojektowano tak, by ocenić cechy niezbędne Najwyższemu Galaktyki.

- Próba ogromnie nas zainteresowała - odpowiedział łagodnie Pierwszy ze Starszych. - Dzięki niej zajęliśmy takie właśnie stanowisko.

Najwyższy zawahał się, starając się odczytać to, co niewypowiedziane. Podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko Starszych. Badał spojrzeniem zmrużonych oczu twarze jedenastu ludzi, stuknął palcami w lśniące drewno raz, drugi, trzeci. Odchylił się w krześle.

- Jak już mówiłem, celem próby było przetestowanie każdego z kandydatów pod względem cech niezbędnych do jak najlepszego sprawowania urzędu, w następujący sposób: Ziemia dwudziestego wieku to planeta przestrzegająca skomplikowanego systemu konwencji; na tej Ziemi kandydat, jako Arthur Caversham, musi wykorzystać swoją społeczną intuicję - cechę niezwykle ważną w galaktyce o dwóch miliardach słońc. Na Belotsi Bearwald Halforn musi wykazać się odwagą i zdolnością do przeprowadzenia skutecznej akcji. W martwym mieście Therlatch na Praesepie Trzy kandydat, jako Ceistan, oceniany jest za swoje oddanie obowiązkom, a jako Dobnor Daksat w Imagikonie na Staffie musi dowieść swojej wyobraźni

wobec najpłodniejszych umysłów spośród żyjących. Wreszcie jako Ergan na Chankozarze musi poddać się próbie wymagającej ogromnej siły woli, wytrwałości i wytrzymałości. Każdy z kandydatów znajduje się w identycznych okolicznościach dzięki zastosowaniu technik temporalnych, wymiarowych i cerebroneuralnych, co jest zbyt skomplikowane, by w tej chwili tu omawiać. Wystarczy tylko powiedzieć, że każdy kandydat jest oceniany obiektywnie i wyniki są wymierne.

Przerwał i przyjrzał się przenikliwie ich poważnym twarzom.

- Muszę podkreślić, że chociaż sam zaprojektowałem i zorganizowałem próbę, nie zyskałem przez to żadnych korzyści. Synapsy pamięciowe są odłączane przy każdym scenariuszu i o wszystkim decyduje podstawowa osobowość kandydata. Wszyscy zostali poddani próbie w dokładnie takich samych warunkach. Moim zdaniem wyniki zarejestrowane przez komputer stanowią obiektywny i wiarygodny wskaźnik zdolności kandydata do pełnienia niezwykle odpowiedzialnej funkcji rządzącego galaktyką.

- Wyniki są rzeczywiście znaczące - przyznał Pierwszy ze Starszych.

- A zatem zgadzacie się na moją kandydaturę? Pierwszy ze Starszych uśmiechnął się.

- Nie tak szybko. To prawda, że jesteś inteligentny, i prawda, że wiele zdołałeś, pełniąc urząd Najwyższego. Jednak wiele zostało do zrobienia.

- Czyżbyś sugerował, że ktoś inny zdołałby więcej? Pierwszy ze Starszych wzruszył ramionami.

- Skąd mógłbym to wiedzieć? Mogę wskazać takie twoje osiągnięcia, jak cywilizacja Glenartu, Poranek na Masilisie, panowanie króla Karala na Aevirze, stłumienie arkidiańskiego buntu. Wiele jest podobnych przykładów. Jednak są także niedociągnięcia: totalitarne rządy na Ziemi, barbarzyństwo na Belotsi i Chankozarze, które tak znacząco podkreśliłeś w swojej próbie. Jest także dekadencja planet ze Zbioru Tysiąc Sto Dziewiątego, dojście do władzy królów-kapłanów na Fiirze i wiele innych.

Najwyższy zacisnął wargi, płomień w jego oczach zapłonął jaśniej.

Pierwszy ze Starszych kontynuował:

- Jednym z najbardziej zadziwiających zjawisk w galaktyce jest skłonność ludzkości do przyjmowania i przejawiania osobowości Najwyższego. Wydaje się, że wibracje umysłu Najwyższego, powielane przez umysły ludzi w Centrum, tworzą rezonans docierający do najdalszych osiedli. Jest to zjawisko, które należy zanalizować, przestudiować i zyskać nad nim kontrolę. Jego skutek jest taki, jakby każda myśl Najwyższego została powiększona miliard razy, każda zmiana jego nastroju wpływała na rozwój tysięcy cywilizacji, a każdy aspekt jego osobowości odbijał się w etyce tysięcy kultur.

- Zauważyłem to zjawisko i wiele o nim myślałem - przyznał beznamiętnie Najwyższy. - Zarządzenia Najwyższego rozpowszechnia się tak, by wywierać wpływ raczej subtelny, nie bezpośredni. Może tu właśnie tkwi przyczyna. Jednak fakt, że taki wpływ istnieje, jest kolejnym powodem, by na urząd wybrać człowieka, który dowiódł swych cnót.

- Dobrze powiedziane - stwierdził Pierwszy ze Starszych. - Rzeczywiście nie sposób ganić twojego charakteru. Jednak Starszych niepokoi rosnący autorytaryzm wśród planet tej galaktyki. Podejrzewamy, że przyczyną może być wspomniany rezonans. Jesteś człowiekiem o woli silnej i niezłomnej, dlatego uważamy, że twój wpływ niechcący przyczynił się do tego wybuchu samowładztwa.

Najwyższy milczał przez chwilę. Spojrzał na rząd leżanek, gdzie pozostali kandydaci odzyskiwali już przytomność. Byli tu przedstawiciele różnych ras: blade Northkin z Palastu,

potężny czerwony Hawolo, Wyspiarz z Morskiej Planety o szarych włosach i oczach - każdy nie miał sobie równych na ojczystej planecie. Ci, którzy odzyskali przytomność, siedzieli w milczeniu, zbierając myśli, lub leżeli na kanapach, starając się zapomnieć o próbie. Niektórzy drogo zapłacili - jeden leżał martwy, drugi, całkowicie pozbawiony zmysłów, kulił się i szlochał jak skrzywdzone dziecko.

- Te budzące wątpliwości cechy twojego charakteru prawdopodobnie zostały jeszcze podkreślone przez samą próbę.

Najwyższy otworzył usta, jednak Pierwszy ze Starszych uniósł rękę.

- Pozwól mi mówić, a spróbuję wszystko ci wyjaśnić. Kiedy skończę, możesz powiedzieć, co o tym sądzisz. Jak już mówiłem, twoje poglądy można odczytać w szczegółach testu, który zaprojektowałeś. Badałeś te cechy, które ty uważasz za najważniejsze, a zatem też te ideały, zgodnie z którymi sam starasz się żyć. Jestem pewien, że ta odpowiedniość jest całkowicie mimowolna, a jednak wiele tłumaczy. Uważasz, że najważniejsze cechy Najwyższego to intuicja społeczna, agresywność, lojalność, wyobraźnia i niezłomna wytrwałość. Jako mężczyzna o silnym charakterze te właśnie cechy starasz się przejawiać we własnym postępowaniu. Nie dziwi więc, że w próbie, którą sam zaprojektowałeś, której system obliczania wyniku sam stworzyłeś, osiągnąłeś najwyższy rezultat.

Wyjaśnię ci to przez analogię. Gdyby orzeł przeprowadzał próby mające wyłonić króla zwierząt, oceniałby wszystkich kandydatów wedle ich zdolności latania, a zatem wygrałby bezsprzecznie. Natomiast kret uważałby za najważniejszą umiejętność kopania, więc wedle jego metody prób on niewątpliwie zostałby królem zwierząt.

Najwyższy zaśmiał się nagle i przesunął dłonią po rzadkich włosach.

- Jednak ja nie jestem ani orłem, ani kretem. Pierwszy ze Starszych pokręcił głową.

- Nie. Jesteś człowiekiem gorliwym, obowiązkowym, pełnym wyobraźni i niezmordowanym, co zresztą udowodniłeś zarówno ukierunkowując próby na te właśnie cechy, jak i zdobywając w nich najwyższy wynik. Jednak przez Pominięcie innych prób dowiodłeś także braku pewnych cech w swoim charakterze.

- Jakich?

- Współczucia. Sympatii. Dobroci. To dziwne. U Najwyższego, który pełnił ten urząd dwie kadencje temu, te właśnie cechy były bardzo dobrze rozwinięte. Podczas jego rządów w całym wszechświecie powstały wielkie, humanitarne systemy oparte na idei braterstwa wszystkich ludzi. Inny przypadek rezonansu... ale wróćmy do tematu.

- Czy mogę zadać następujące pytanie: wybraliście już Najwyższego galaktyki? - zapytał Najwyższy, krzywiąc się sardonicznie. Pierwszy ze Starszych skinął głową.

- Uczyniliśmy ostateczny wybór.

- Jaki wynik zyskał w próbie?

- Wedle twojej metody punktacji siedemnaście osiemdziesiąt. Źle sobie poradził jako Arthur Caversham, bo usiłował wyjaśnić policjantowi zalety nagości. Nie potrafił na poczekaniu wymyślić podstępu, nie jest tak sprytny jak ty. Jako Arthur Caversham był nagi. Jest szczerzy i prostolinijny, starał się więc znaleźć pozytywne przyczyny swojego stanu, nie wymyślał sposobów uniknięcia kary.

- Powiedz mi o nim więcej - stwierdził krótko Najwyższy.

- Jako Bearwald Halforn doprowadził swoją drużynę do gniazda Brandów na Górze Medalion, jednak go nie podpalił. Zamiast tego zwrócił się do królowej, błagając ją o zakończenie niepotrzebnej rzezi. Sięgnęła przez wejście, chwyciła go i zabiła. Zawiódł, ale

komputer ocenił wysoko jego bezpośrednie podejście. W Therlatchu postąpił równie nienagannie jak ty, a w Imagikonie spisał się nieźle. Ty dorównałeś mistrzom imaginerom, co jest naprawdę wielkim osiągnięciem. Najtrudniejszą częścią próby byli oprawcy Raców. Dobrze wiesz, że sam jesteś w stanie znieść nieograniczony ból, uznałeś więc, że wszyscy kandydaci powinni odznaczać się tą cechą. Nowy Najwyższy jej akurat nie ma. Jest wrażliwy, sama myśl o tym, że jeden człowiek może celowo zadać drugiemu ból, przyprawia go o słabość. Mogę dodać, że żaden z kandydatów nie uzyskał w tym epizodzie najwyższego wyniku. Dwóch zyskało ten sam co ty...

- Którzy to? - zainteresował się Najwyższy.

Pierwszy ze Starszych wskazał wysokiego, muskularnego mężczyznę o kamiennej twarzy, stojącego przy alabastrowej balustradzie i wpatrującego się chmurnie w słoneczną dal, oraz człowieka w średnim wieku, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i obserwował punkt leżący metr przed nim z wyrazem niezmaconego spokoju.

- Jeden jest ogromnie uparty i twardy - powiedział Starszy. - Odmówił powiedzenia choćby słowa. Drugi w niesprzyjających okolicznościach przyjmuje zewnętrzny obiektywizm. Pozostali kandydaci radzili sobie gorzej, prawie wszystkim potrzebna będzie terapia.

Spojrzeli obaj na pozbawionego rozumu biedaka, snującego się tam i z powrotem korytarzem, nucącego coś i mruczącego cicho do siebie.

- Próby nie są oczywiście bezwartościowe - ciągnął Pierwszy ze Starszych. - Wiele się dowiedzieliśmy. Wedle twojego systemu oceny ty zdobyłeś najwyższy wynik. Wedle innych kryteriów, zaproponowanych przez Starszych, zająłeś niższą lokatę.

- Kim jest więc ten wzór altruizmu, dobroci, współczucia i hojności? - zapytał Najwyższy, zaciskając wargi.

Szaleniec pojękiwał, na czworakach zbliżając się do ściany. Przycisnął twarz do chłodnych kamieni i pustym wzrokiem wpatrzył się w Najwyższego. Usta miał otwarte, ślina mu ściekała po brodzie, a jego oczy patrzyły każde w innym kierunku.

Pierwszy ze Starszych uśmiechnął się z ogromnym współczuciem i pogłaskał szalonego po głowie.

- Oto on. Oto ten, którego wybraliśmy.

Były Najwyższy Galaktyki siedział w milczeniu, z zaciśniętymi ustami a jego oczy lśniły niczym dwa odległe wulkany.

U jego stóp nowy Najwyższy, Pan Dwóch Miliardów Słońc, znalazł zwiędły liść, włożył go do ust i zaczął żuć.

Nieżyjący już C. M. Kornbluth zaczął sprzedawać opowiadania w roku 1940, będąc nastoletnim cudownym dzieckiem. Pierwsze trafiło do „Super Science Stories”. Wiatach poprzedzających drugą wojnę światową napisał mnóstwo drugorzędnej fantastyki, publikując pod wieloma pseudonimami. Większa część twórczości z tego okresu jest dziś nieznana. Dopiero po wojnie, w czasie wielkiego boomu SF we wczesnych latach pięćdziesiątych, zaczął przyciągać uwagę. Jako pisarz osiągnął znaczącą pozycję seria powieści napisanych wspólnie z Frederikiem Pohlem, wśród których należy wyliczyć Handlarzy kosmosem (jedna z najśłynniejszych powieści gatunku tego okresu), Gladiator-at-Law (książka, która za każdym włączeniem telewizora wydaje się coraz mniej satyryczna), Search the Sky i Wolfbane (przypuszczalnie dwie najlepsze powieści tego zespołu, o dziesięciolecia wyprzedzające swój czas wizją ludzi zmuszonych do spełniania roli elementów wspomagających podłączonych do organicznego komputera obcych). Jako Cyril Judd, we współpracy z Judith Merril, opublikował dwie dość sztapowe powieści: Outpost Mars i Gunner Cade, które wówczas spotkały się z umiarkowanie dobrym przyjęciem, lecz dziś są niemal zapomniane, podobnie jak dwie książki beletrystyczne stworzone razem z Pohlem. Samodzielnie - oprócz kilku pozycji niefantastycznych wydanych pod różnymi pseudonimami - napisał trzy interesujące powieści, które jednak nie odniosły sukcesu (Not This August -sagę zimnowojenną o podboju Stanów Zjednoczonych przez Związek Radziecki, Syndykat -uszczypliwą, lecz ostatecznie nazbyt lekką satyrę w stylu „Galaxy” o przyszłej Ameryce rządzonej przez gangsterów, i najśłabszą spośród nich, Take off, w owym czasie teoretyczną opowieść o początkach podboju kosmosu), które w znikomym stopniu wpłynęły na dzisiejszy kształt fantastyki.

Za to opowiadania Kornblutha wywarły wpływ ogromny. Był mistrzem krótkiej formy, pisząc w sposób wyszukany, dojrzały, elegancki i pełen wdzięku, rzadko spotykany w gatunku zarówno wówczas, jak i dzisiaj. Był jednym z wielkich autorów - nasuwają się tu na myśl również Damon Knight, Theodore Sturgeon, Alfred Bester, Algis Budrys i jeszcze kilku - którzy w latach pięćdziesiątych zajmowali się przededefiniowaniem możliwości oferowanych przez instrument, jakim jest opowiadanie fantastyczne, i znacznie je poszerzyli. Wiatach poprzedzających jego tragiczną śmierć w roku 1958 (na marginesie, w drodze na spotkanie na Manhattanie, na którym miał otrzymać stanowisko redaktora naczelnego „The Magazine of Fantasy Science Fiction”. Swoją drogą na podstawie tego zdarzenia można by stworzyć interesujący scenariusz świata alternatywnego. Można by się zastanawiać, jakie opowiadania by zakupił i jaki wpływ na ewolucję SF miałyby jego stanowisko...), Kornbluth stworzył jedne z najlepszych opowieści lat pięćdziesiątych, wśród nich klasyczne Czarna walizeczka, The Marching Morons, Prekursorski statek, Psychoupiór, Gomez, Ostatni klient w barze, The Advent of Channel Twelve, Ms. Found in a Chinese Fortune Cookie, With These Hands i dziesiątki innych...

...W tym bardzo zabawne opowiadanie zamieszczone poniżej, w pewien sposób nietypowe dla Kornblutha - ponieważ oprócz tego właśnie, słynnego (i jednego czy dwóch jeszcze wyjątków, takich jak o wiele słabsze The Slave), rzadko pisał czysto przygodowe teksty, przynajmniej pod własnym nazwiskiem; zwłaszcza unikał zawiadackich historyjek o szybkiej akcji, takich jak ta, gdzie bystrzy, chłodno rozumujący przedsiębiorcy targują się i zwalczają nawzajem, z kolejnymi interesami przemierzając kosmos, cały czas usiłując przewidzieć posunięcia konkurentów i wrabiając ich, kiedy zostaną przyparci do muru. Ta cząstka chwały tak doskonale pasuje do „Astounding”, jest takim platońskim ideałem

opowieści dla ówczesnego czasopisma Johna Campbella, iż nie jestem w stanie powstrzymać się od myśli, że Kornbluth napisał ją dla żartu albo umyślnie (z chłodną kalkulacją występujących tu postaci) stworzył coś, co jak wiedział, „ruszy Campbella” - a takie podejście było bardzo popularną rozrywką wśród ówczesnych pisarzy. Nawet jeśli któreś z tych przypuszczeń jest prawdziwe, nie ma to znaczenia; Kornbluth mógł wmawiać przyjaciółom, czy nawet samemu sobie, że zamiast czytać swoje historie, wolałby się napić, ale tworzy z takim przekonaniem i wykonuje kawał tak dobrej roboty, iż trudno uwierzyć, że jemu samemu się ten tekst nie podobał. Pomimo cynicznej, znudzonej pozy, z której był znany, takie opowiadanie jak to poniżej mógł napisać jedynie ktoś entuzjastyczny, ktoś wciąż w głębi duszy ekscytujący się marzeniami o ryzykownych przedsięwzięciach mających miejsce pośród cudów i grozy dalekiego kosmosu, pomiędzy nieznanymi gwiazdami.

Za życia Kornbluth nie zdobył żadnej znaczącej nagrody, lecz *The Meeting*, jego opowiadanie, po upływie wielu lat dokończony ze szkicu przez Frederika Pohla, w 1972 roku otrzymało Nagrodę Hugo. Samodzielnie pisane krótkie opowiadania Kornblutha zostały zebrane w *The Explorers*, *A Mile Beyond the Moon*, *The Marching Morons*, *Thirteen O'clock and Other Zero Hours* oraz *The Best of C.M. Kornbluth* {po polsku wydano cztery zbiory: *Domek z kart*, *Sezon ogórkowy*, *Jak wróciłem na Marsa*, *Pigułki namiętności*}. Teksty stworzone we współpracy z Pohlem zgromadzono w *The Wonder Effect*, *Critical Mass*, *Before the Universe* i *Our Best*. Do niedawna można było twierdzić, że nakłady wszystkich pozycji autorstwa Kornblutha od dawna są wyczerpane, na szczęście w 1996 roku NESFA Press wydało ogromną retrospektywną kolekcję jego dzieł - *His Share of Glory: The Complete Short Fiction of C.M. Kornbluth* (NESFA Press, P.O. Box 809, Farmingham, MA - 07101-0203, www.nesfa.org, cena 27\$), zbiór, który zgodnie z tytułem zawiera niemal wszystko, co Kornbluth opublikował pod własnym nazwiskiem, i który powinien znaleźć się w bibliotece każdego poważnego czytelnika fantastyki.

C. M. Kornbluth

TA CZĄSTKA CHWAŁY

Młody Alen, jeden z tysiąca siedzących w ogromnym refektarzu, pożywiał się bezwiednie. W absolutnej ciszy panującej w sali monotonicznie brzęczał głos lektora. Dzisiejsza lekcja była akurat listą słów języka ludu morskiego z Thetis VIII.

-*Tlon*: statek - wyliczał lektor. -*Rtlo*: pewna, nieznaną liczbą statków. *Long*: pewna znana liczba statków, wyraz zawsze związany z liczebnikiem głównym. *Ongr*: statek w grupie statków, wyraz zawsze związany z liczebnikiem porządkowym. *Ngrt*: pierwszy statek w grupie statków, z wyjątkiem *Ongr*.

Świecki braciszek podszedł na palcach do Alena.

- Rektor cię wzywa - wyszeptał.

Alen nie miał czasu na panikę, choć u nowicjusza była to typowa reakcja na wezwanie z samej góry. Wymknął się z refektarza, poszedł korytarzem prowadzącym na północ i minutę później oraz pół kilometra dalej znalazł się w swojej celi. W pomieszczeniu zawierającym prosty taboret, umywalkę, biurko i jeden czy dwa przyciski do papieru, pośpiesznie, lecz starannie przebrał się ze swojego zgrzebnego habitu w heraldyczne szaty. Alen, zrównoważony młody człowiek, nie przypominał sobie, by naruszył którykolwiek paragraf skomplikowanej reguły zakonu, lecz miał świadomość, że mogło mu się to przydarzyć nieświadomie. Być może, pomyślał, już nigdy nie zobaczy tej celi.

Obrzucił ją spojrzeniem, mając nadzieję, że nie po raz ostatni; z pewną czułością zatrzymał wzrok na półce ze szpulami, gdzie leżały: *Nicholson o marsjańskich słowach*. Nowy oksfordzki słownik wenusjański, ciężki sześcioszpulowiec *Deutsche-Ganymedische Konversationslexicon*, wydany dawno temu i daleko stąd, w Lipsku. Znaleźć też można było na niej i współczesne dzieła: *Języki Galaktyki - klasyfikacja eseju*. *Zarys gramatyki cefeńskiej*, *Samowymawiający się słownik Wegi II* - dziesiątki pozycji, oraz, oczywiście, zajędzona szpula z *Księciem Machiavellego*.

Dość tego! Alen przyczesał niewielką bródkę i wszedł do korytarza prowadzącego na południe. Na najbliższym skrzyżowaniu przesiadł się do wschodniego i w kilka minut później znalazł się przed obliczem cywilnej sekretarki rektora.

- Lepiej powtórz sobie lirańskie czasowniki nieregularne - powiedziała lekceważąco. - Siedzi tam handlarz poszukujący taniego herolda na przemytniczą wyprawę do Liry VI.

W ten bezceremonialny sposób Alen dowiedział się, że nie będzie relegowany z zakonu, lecz został promowany na podróżnika. Jak na herolda przystało, nie pokazał po sobie gigantycznej ulgi. Jednak wziął do serca radę sekretarki i rozsądnie jął powtarzać lirański.

Kiedy był w samym środku deklinacji nieżywotnych, głos rektora - jakież aksamitny! - odezwał się w interkomie sekretarki.

- Wprowadzić nowicjusza Alena - polecił Mistrz Herold. Ostatnia poprawka ułożenia szat i młodzieniec wkroczył do ogromnego gabinetu rektora, nad którego biurkiem połyskiwała diamentami pieczęć zakonu. Znajdował się tu obcy, przypuszczalnie handlarz - czarnobrody mężczyzna o mocnej sylwetce. Wegańska peleryna kiepsko na nim leżała.

- Nowicjuszu - odezwał się rektor - będzie to ukoronowanie twego trudu, jeśli jesteś akceptowalny dla...

Kurtuazyjnie odwrócił się do kupca, który wzruszył ramionami z irytacją.

- Wszyscy dla mnie wyglądają tak samo - warknął. - Ktoś tani, ktoś znający żargon złodziejskich lirańskich handlarzy kamieni szlachetnych, a przede wszystkim ktoś dostępny natychmiast. Postojowe za statek mnie rujnuje. W przestrzeni moja składająca się z półgłówek załoga niewątpliwie będzie litr za litrem marnować bezcenne paliwo. A kiedy wylądujemy, oszuci Liranie na pewno wyrolują mnie z resztek skromniutkiego zysku, na jaki mam nadzieję. Dobry Mistrzu Heroldzie, daj mi tego dzieciaka tanio, ja zaś złożę ci życzenia miłego dnia.

Rektor skrzywił się, jego zmierzwione brwi opadły.

- Kupcze - powiedział dźwięcznie - nasza misja utylitarystycznej kultury galaktycznej nie interesuje się pańskim zyskiem. Proszę pana o sprawdzenie tego młodego człowieka i jeśli zadowolą pana jego umiejętności, zabranie go w podróż jako swojego herolda. Będzie panu dobrze służył, gdyż został nauczony, że handel oraz słowa, jego środowisko, stanowią jednoczące więzy, które pewnego dnia scalą cały kosmos w jedną ludzkość. Proszę nie wyobrażać sobie, że Szkoła i Zakon Heroldów wyłącznie pomaga panu w przedsięwzięciu handlowym.

- Bardzo dobrze - warknął kupiec. Zwrócił się do Alena w łamanym lirańskim: - Chłopcze, jak robisz wegańskie kamienie trzech ogni jak kobiety lirańskie lubią, przychodzą kupić, kupić znów?

- Wegańskie klejnoty trójpłomienne - odparł gładko Alen - cieszą się największym uznaniem na Lirze, zwłaszcza u tamtejszych kobiet, w szerokiej, szklanej bransoletce na kostkę u nogi, jeśli są duże; natomiast małe ułożone w lirański znak szczęścia w szklanym pierścieniu

na kciuk.

Był bardzo zadowolony, że natrafił na powieść - i w końcu nauczył się jej na pamięć, zgodnie ze zwyczajem panującym w zakonie - wspominającą krótko o lirańskim handlu kosztownościami.

Kupiec zamruczał ponuro i przeszedł na cefeński, najwyraźniej swój język ojczysty.

- Wystarczająco dobrze, heroldzie. Te raz powiedz mi, czy masz dość ikry, żeby obsługiwać strzykawę, jeśli w czasie lotu do Liry przechwyca nas złodzieje zwani Służbą Celną Królestwa Eyolf?

Alen wiedział, że rektor patrzy na niego.

- Szlachetna misja naszego zakonu zabrania mi używać do rozprzestrzeniania idei cywilizacji utylitariańskiej wszelkiej innej broni oprócz prawdy. Nie, mistrzu kupcze, nie będę obsługiwał żadnej twojej broni.

Handlarz wzruszył ramionami.

- Muszę brać, co mi dają. Dobry Mistrzu Heroldzie, podaj cenę.

- Uważam tę wyprawę - powiedział rektor od niechcienia - głównie za trening dla naszego nowicjusza, opłata więc będzie nominalna. Powiedzmy dwadzieścia pięć procent twojego dochodu w momencie odlotu z Liry, według rewizji podróżnika herolda Alena.

Ryk wściekłości, jaki wydał z siebie kupiec, odbił się echem pod kopułą wielkiego pokoju.

- To nie fair! - wrzasnął. - Kto oprócz waszego złodziejskiego zakonu, ściągającego dzieci do trwającej latami nauki, jest w stanie nauczyć się języków Galaktyki? Jaką szansę ma uczciwy kupiec zajęty stratami i zyskiem poznać żargon każdej rasy pomiędzy Syriuszem a Workiem Węgla? To nie fair! To nie fair i zdechnę, a nie zmienię zdania!

- Umieraj sobie na zewnątrz, jeśli nie akceptujesz naszych warunków - odrzekł rektor. - Zakon się nie targuje.

- No cóż, wiem o tym - powiedział handlarz, załamany. - Powiniennem trzymać się własnego systemu i fabryczki pomp kołnierзовych mojego dobrego ojca. Ale nie! Musiałem zawrzeć umowę w klejnotach na Wedze! Dość tego, dajcie mi kontrakt, podpiszę.

Rektor uniósł zmierzwione brwi.

- Nie ma kontraktu - wyjaśnił. - Wzajemne zaufanie pomiędzy heroldem i kupcem jest kamieniem węgielnym, na którym zostaną zbudowane wszechkosmiczna przyjaźń i zrozumienie.

- Za dwadzieścia pięć procent dla nieopierzonego żółtodzioba - mruknął czarnobrody po cefeńsku.

Kiedy Alen, mając na brwi pieczęć podróżnika herolda, pakował się do odlotu i opuszczał celę, żaden z instruktorów nie grał Poloniusza. Pewnie uznali, iż albo dwadzieścia lat nauki przyniosło pożądany efekt, albo nie.

Handlarz, w drodze z chłopakiem do zaparkowanego statku, był mniej mądry.

- Sekretem udanych negocjacji - powiedział z naciskiem swojemu heroldowi - jest łatwe ustępowanie. Może ci się to wydać paradoksem, ale to prawdziwy klucz do sukcesu pompianego interesu mojego dobrego ojca. Tajemnica polega na ustępowaniu z pełnym smutku podziwem dla twojego oponenta - ale wyłącznie w nieistotnych szczegółach. Powalcz trochę o datę dostawy albo warunki kredytu, a potem pozwól mu wygrać. Lecz nigdy nawet o włos nie opuszczaj swojej wyjściowej ceny, chyba że...

Przejeżdżali przez zewnętrzne części szkoły. Alen pozwalał handlarzowi dalej pleść

bdury. Cieszył się, że samochód jest otwarty. Po raz pierwszy niższą pozycją w zakonie niż herold zdejmowali przed nim kapelusze, jak nakazywał im obowiązek, a równi pozdrawiali go poważnym skinieniem głowy. Pięcioletni kandydaci na widok pieczęci na jego brwi ściągnęli nakrycia głowy z komicznym pośpiechem; koledzy nowicjusze, równi mu kilka godzin wcześniej, odkrywali głowy, jakby był samym rektorem.

Ceremoniał zaczął powoli docierać do handlarza. Kiedy z ostatnim salutem cywilny strażnik wypuścił ich przez ogromną bramę w murze kurtynowym, powiedział z irytacją:

- Zdają się darzyć cię wielkim szacunkiem, chłopcze.

- Właściwiej jest zwracać się do mnie „heroldzie” - odparł sztywno.

- Niech plaga spadnie na szkołę i zakon! Uważasz, że jestem źle wychowany? Oczywiście, że do herolda zwracam się per „heroldzie”, ale będziemy ściśnięci razem jak sardynki, a ty będziesz pracował dla mnie. Co się stanie z dyscypliną na pokładzie, jeśli będę musiał się przed tobą płaszczyć?

- Nie będzie żadnego problemu - odparł Alen.

Czarnobrody odchrząknął i wcisnął pedał gazu.

- To mój statek - odezwał się po dłuższym czasie. - „Starsong”, pod banderą wegańską. Może to pomóc przedrzeć się przez Królestwo Eylofa, choć strasznie dużo trzeba wydać na łapówki. Osiem osób załogi, banda nic niewartych, rozrzutnych leni... A to co?! Własnym oczom nie wierzę!

Samochód zatrzymał się gwałtownie przed statkiem. Kupiec w ciągu sekundy wypadł z pojazdu, wspiął się po drabinie i zniknął we włazie. Starannie zebrawszy szaty, Alen poszedł za nim.

Kiedy odnalazł szefa, ten strasznie klął na swojego głównego mechanika za używanie głównego napędu do ogrzewania statku; wokół dysz rufowych dawało się dostrzec delikatną mgiełkę minimalnego wydechu spalin.

- Do tego, matole, służy elektryczność! - wrzeszczał czarnobrody. - Słyszałeś może o tym przez przypadek? Czy zdajesz sobie sprawę, że do obowiązków głównego mechanika należy dbałość o sprawne i ekonomiczne działanie napędu jego statku?

Mechanik, wystraszony Cefeńczyk, zobaczył Alena i z ulgą zdarł z głowy zniszczoną czapkę. Herold skłonił się poważnie, a handlarz przerwał swoją tyradę.

- Nie chcę tu widzieć w czasie drogi tego całego czapkowania i bicia pokłonów - zauważył ze złością.

- Oczywiście, sir - odpowiedział mechanik. - Ja tylko witałem herolda na pokładzie. Witamy na pokładzie, heroldzie. Jestem chief Elwon, heroldzie. I cieszę się, że mamy herolda wśród nas. - Ukradkiem zerknął w stronę handlarza. - Ja już podróżowałem z heroldami i bez, i chciałbym zauważyć, że mając pana na pokładzie, czuję się bezpieczniej.

- Czy ktoś mógłby zaprowadzić mnie do mojej kwatery? - spytał Alen.

- Twojej... - zaczął kupiec, ogłupiały.

- Przygotuję panu kabinę, heroldzie - wtrącił się szybko mechanik. - Mamy kilka grodzi, z których mogę zrobić na rufie przytulny pokój, niewielki, ale to najlepsze, co tak mały statek może zaoferować.

Handlarz ciężko opadł w kubełkowy fotel, kiedy Elwon pośpiesznie ruszył w stronę rufy, pociągając za sobą Alena.

Mechanik dopadł dwóch załogantów i zapędził ich do roboty.

- Heroldzie - powiedział z zakłopotaniem - proszę wybaczyć naszemu dobremu panu. Jest

nowy na galaktycznych szlakach i jeszcze nie orientuje się we wszystkich sztuczkiach. Wspólnymi siłami możemy go odpowiednio ustawić.

Alen obejrzał przygotowywaną dla niego kłitkę - zadowolający kawałek zamkniętej przestrzeni zapewniający mu godziwą prywatność, którą cenił wysoko. Odprawił mechanika oraz jego ludzi skinieniem głowy i położył się na składanej koi.

Pod chłodną, twardą maską, w noszeniu której był dobrze wyszkolony, czuł się przestraszony i samotny. Nawet Machiavelli nie zapewniał pociechy czy rady: „Nie ma nic trudniejszego do wzięcia w swoje ręce, nic bardziej niebezpiecznego do przeprowadzenia, czy też bardziej niepewnego sukcesu, niż podjęcie się wprowadzania nowego porządku rzeczy” - głosił rozdział szósty. Lecz co było w rozdziale dwudziestym szóstym? „Gdzie jest wielka chęć, tam trudności nie mogą być wielkie”.

„Starsong” nie był radosnym statkiem. Czepiactwo czarnobrodego wisiało nad załogą jak chmura burzowa, lecz Alen udawał, że tego nie zauważa. Codziennie przez dwie godziny wędrował na dziób i z powrotem na rufę, pozdrawiając członków załogi w ich rozmaitych ojczystych językach, otaczając się atmosferą rezerwy, jakiej domagała się reguła zakonu - choć pragnął witać się z nimi bardziej osobiście, wspólnie spożywać posiłki, plotkować o ich ojczystych planetach, dawnych grzeszkach, które sprowadziły ich na pokład nieszczęsnego „Starsong”, pogadać o ich nadziejach na przyszłość. Reguła Szkoły i Zakonu Heroldów żądała czego innego. Skinieniem głowy odpowiadał na zdejmowanie czapek przez załogę i próbował się cieszyć, ponieważ wciąż rósł ich szacunek dla niego, co objawiało się rozmaicie - od energicznego uznania dla umiejętności herolda, okazywanego przez chief a Elwona do przesądnej czci sprzątacza Jukia, który był prymitywnym osobnikiem pochodzącym z dekadentckiego systemu Syriusza. Przekraczał wszelkie normy niechlujstwa typowego dla statków z wyłącznie męską załogą - cechy, której Alen nie mógł okazywać. Wiele godzin spędzał w zamkniętej kabinie, polerując metalowe elementy stroju, czyszcząc i prasując szaty. Herold nigdy nie mógł zasugerować swoim wyglądem, że nie są mu obce słabości zwykłych śmiertelników.

Sam czarnobrody nieco ustąpił, ponuro dotykając czapki. Prawdopodobnie był to wyraz nie tyle szacunku dla wystudiowanych manier Alena, ile respektu dla przeprowadzonej przez niego przenikliwej i błyskawicznej rewizji ksiąg przedsięwzięcia handlowego - absurdalnie skomplikowanych, z mnóstwem rachunków służących do zanotowania prostego faktu kupienia tanio kamieni na Wedze i wyczarterowania statku w nadziei sprzedania ich na Lirze dużo drożej. Złożone księgi i zachodzące na siebie rachunki zawierały wszystkie potrzebne informacje, ale osoba sprawdzająca niezmiernie łatwo mogła błędnie zawyżyć koszty. Alen nie wpadł w tę pułapkę.

Piątego dnia po starcie chief Elwon zapukał do drzwi kłitki Alena, z szacunkiem, lecz w sposób sugerujący sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Czy mógłby pan, heroldzie, przyjść na mostek? Serce Alena zabiło gwałtownie.

- Nie mogę przerywać swoich medytacji - odpowiedział z powagą. - Będę na mostku za dziesięć minut.

I przez te dziesięć minut metodycznie polerował zmętniało ogniwo ciężkiego złotego łańcucha podtrzymującego płaszcz podróżny - to były „medytacje”. Włożył płaszcz; wezwanie sugerowało zbliżającą się sytuację wymagającą pełnego umundurowania.

Kupiec chodził po mostku, tupał. Był wściekły. Chief Elwon z nieszczęśliwą miną wertował opisy techniczne. Astrogator Huffner siedział przy komputerze nakresowym,

projektując kolejne trajektorie i rezygnując z nich po chwili. Szybkie spojrzenie powiedziało Alenowi, że wszystkie należały do kategorii kursów unikowych na wielkich szybkościach.

- Heroldzie - powiedział handlarz ponuro - znaleźliśmy się w zasięgu czyjegoś detektora. - Wskazał kciukiem czerwony sygnał. - Spodziewam się, że wkrótce zostaniemy przechwyceni. Jesteś gotów zarobić swoje dwadzieścia pięć procent?

Alen przymknął oko na nieokrzesane maniery kupca.

- Czy macie łączność wideo w kolorze? - zapytał.

- Tak.

- No to zrobię dla mojego klienta, co się da.

Zajął miejsce w fotelu łącznościowca, zerkając ukradkiem we wciąż mroczny ekran. Odbicie jego twarzy dodawało pewności siebie, choć żałował, że nie pomyślał o przyczesaniu małej bródki.

Zapaliło się kolejne światełko i Hufner wstał, by sprawdzić pulpit detektora.

- Duży, potężny i jest coraz bliżej - powiedział lakonicznie. - Szuka nas teraz wiązkami kierunkowymi, pakuje w to mnóstwo energii... Ocknął się głośnik łączności z innymi jednostkami.

- Jaki to statek? - padło pytanie po wegańsku. - Tu krążownik celny Królestwa Eyolf. A wy to kto?

- Obsadźcie strzykawy - rzekł cicho kupiec do mechanika. Elwon spojrzał na Alena, który pokręcił przecząco głową.

- Proszę o wybaczenie, sir - odparł Elwon przepraszająco. - Herold...

- Tu frachtowiec „Starsong” pod banderą wegańską - powiedział Alen do mikrofonu, podczas gdy kupiec krztusił się nad nim. - Wieziemy wegańskie klejnoty na Lirę.

- Siedzą nam na karku - odezwał się astrogator z rozpaczą w głosie, odczytując wskaźniki.

Rozjaśnił się ekran łączności wideo, ukazując arogancką głowę o kwadratowej szczęce, zwieńczoną zniszczoną czapką marynarską.

- Doprawdy? Na Lirę? Mamy swoje plany co do Liry. Będziecie musieli... - zaczął oficer z ekranu, zanim spostrzegł Alena. - Przepraszam, heroldzie - powiedział sardonicznie. - Heroldzie, czy mógłby pan nakazać dowódcy statku zatrzymanie i poddanie się rewizji celnej? Musimy oszacować ładunek i pobrać cło. Oczywiście jest pan świadom, że pański statek przelatuje przez terytorium Królestwa Eyolf.

Wegański tego człowieka zalatywał Algolem IV. Alen przeszedł na ten niewyraźny język.

- Nie jesteśmy tego świadomi. A czy wy wiecie, że istnieje traktat dwustronny pomiędzy Węgą i Królestwem, mówiący, że fracht znajdujący się na pokładzie wegańskiego statku podlega ocłeniu, wyłącznie jeśli przeznaczony jest dla któregoś z portów Królestwa?

- Mówisz po algolańsku, he? Trudno was, heroldów, nie doceniać, ale nie próbuj się wyłgać. Tak, wiem o różnych traktatach podobnych do tego, o którym wspomniałeś. Jak powiedziałem, wejdziemy na wasz pokład, zrobimy wycenę i pobierzemy odpowiednie cło. Jeśli, niestety, zostanie popełniony jakiś błąd, oczywiście możecie złożyć w Królestwie zażalenie z żądaniem zwrotu. A teraz zatrzymać się!

- Nie zamierzam kłamać. Mówię czystą prawdę, oświadczając, że będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi przeciwko wszelkim waszym próbom wdarcia się na nasz pokład i dokonania rabunku.

Alen gorączkowo przeglądał w myśli katalog planetarnych zwyczajów, którego opanowania żądała reguła zakonu. Algol IV - pewien kult przodków; oddawanie czci matce;

walka wręcz na noże; pochlebne powitanie „Obyś nigdy nie powalił słabszego wroga”; ludowy bohater Gaarek niesprawiedliwie oskarżony o zamordowanie kaleki i wygnany, ale była to intryga wrogów...

Po twarzy oficera przebiegł cień zakłopotania, gdy Alen zaczął improwizować:

- Oczywiście zabijecie nas wszystkich. Lecz zanim do tego dojdzie, przekażę do Szkoły i Zakonu Heroldów fakty związane z tą sprawą, ze szczególnym żądaniem poinformowania o tym pańskiej rodziny. Jak sądzę, pańskie nazwisko będzie pamiętane równie długo jak Gaareka - tylko inaczej, oczywiście, bo jako Algolanina, którego liczący sto osób załogi krążownik rozwalił niemal bezbronny frachtowiec z ośmioma ludźmi na pokładzie.

Twarz oficera pociemniała z wściekłości.

- Ty diable! - warknął. - Odwal się od mojej rodziny! Przyjdę do was sam, by stoczyć walkę wręcz, jeśli masz dość jaj, żeby na to pójść! Alen z żalem potrząsnął głową.

- Reguła zakonu zakazuje mi uciekania się do przemocy - odparł. - Jedyłą dozwoloną bronią jest prawda.

- Wchodzimy na pokład - oświadczył oficer z groźbą w głosie. - Zabronię moim ludziom czynić wam krzywdę. Pobierzemy cło. Jeśli wasi ludzie zaczną strzelać pierwsi, moim będzie wolno jedynie ich rozbroić.

Alen uśmiechnął się i wypowiedział jedno czy dwa zdania po algolańsku.

Oficerowi opadła szczeka.

- Posiekam cię na plasterki - wychrypiał po chwili. - Nie pozwolę, byś mówił o mojej matce coś takiego, ty... - i tu wypluł kilka słów, wymówionych przed chwilą przez Alena.

- Uspokój się - rzekł herold poważnie. - Przepraszam za moje obrzydliwe i nieprzystojące heroldowi uwagi. Chciałem jednak coś wykazać. Gdybyś mógł, zabiłbyś mnie; wyzwoliłem w tobie reakcję wdrukowaną ci przez twoją kulturę. Będę w stanie zrobić to samo, kiedy twoi ludzie znajdą się na naszym pokładzie. Dla każdej ludzkiej kultury istnieje obelga, którą można zmasakrować jedynie krwią. Jeśli chcesz, wyślij do nas swoich ludzi z rozkazem niezabijania nas, a ja doprowadzę ich do morderczego szału. Zginiemy zmasakrowani, ty zostaniesz za to obwiniony, okryjesz się hańbą i będziesz pogardzany przez wszystkich na całej planecie.

Alen miał desperacką nadzieję, że załogi marynarki Królestwa Eyolf były tak barbarzyńskie i niezdyscyplinowane, jak głosiła fama...

Najwyraźniej były i dumny Algolanin nie ośmielił się ryzykować.

- Ty diable! - wypluł z siebie w ojczystym języku, potem przeszedł na wegański. - Frachtowiec „Starsong” - powiedział ponuro - okazało się, że mój zamiar jest nieprawidłowy i nie znajdujecie się na terytorium Królestwa Eyolf. Możecie lecieć dalej.

- Odlatuje - odezwał się z niedowierzaniem astrogator pochylony nad pulpitem detektora. - Odczepił się od nas. Przyśpiesza. Heroldzie, co mu powiedziałaś?

Reakcja czarnobrodego była bardziej satysfakcjonująca. Niezdolny wydusić choć słowo, zdjął czapkę z głowy. Alen odwzajemnił salut poważnym ukłonem i ruszył w stronę swojej kabiny. Bardzo dobrze się stało, pomyślał, iż kupiec nie miał pojęcia, że jego życie i statek zostały bezwarunkowo rzucone na szalę w ostatecznej walce z krążownikiem.

Główny kosmodrom Liry był pełen dziur i zniszczony, ale udało się im całkiem niezłe wylądować. Alen w pełnej szacie herolda zszedł po trapie, by przywitać kilku urzędników portowych.

- Czy na pokładzie znajdują się jakieś metale? - zapytał jeden z nich.

- Żadnych na sprzedaż - odparł Alen. - Mamy wegańskie klejnoty, głównie trój płomienie.

Wiedział, że ta zapadła, mała planeta cierpi na brak metali i uczyniwszy z potrzeby zaletę, żywi pewne uprzedzenie do ich importu.

- Niech wasza załoga przeniesie towar do składu celnego - powiedział urzędnik portowy przeglądający papiery „Starsong”. - A wy wszyscy poczekaście tutaj.

Wszyscy - oprócz Alena - taszczyli ponumerowane worki i pudła z kamieniami do niskiego ceglanego budynku. Kupcowi pozwolono wziąć do kieszeni garść próbek, potem zaplombowano szopę. Nie było to proste. Najpierw zaprawą umocowano cegłę na prostym skoblu z drewna żelaznego zamykającym drzwi z takiego samego materiału, potem na cegłę narzucono warstwę gliny i odcisnięto w niej pieczęć portową. Na koniec mechanik, za pomocą narzędzia wyglądającego jak ceramiczna lutlampa spalająca pył węglowy, rozgrzał pieczęć do czerwoności.

- Heroldzie - odezwał się urzędnik portowy - niech kupiec tu podpisze i pozostawi swoje odciski palców.

Alen przejrzał uważnie dokument. Był to zwykły formularz identyfikacyjny. Czarnobrody podpisał podanym mu trzcinowym piórem i odcisnął palce. Po dwóch tygodniach spędzonych w przestrzeni prawie nie potrzebował smarować ich atramentem.

- Proszę mu teraz powiedzieć, że wydamy ze składu klejnoty na podstawie pisemnego i opatrzonego jego odciskami palców polecenia każdemu lirańskiemu obywatelowi, któremu je sprzeda. Oraz wyjaśnić, że ten okrężny system jest niezbędny dla uniknięcia przemytu metali. Proszę usunąć wszelki metal z waszych ubiorów i pozostawić go na pokładzie statku, który zostanie zaplombowany i pozostawiony pod strażą do chwili waszego odlotu. Jest nam bardzo przykro, że będziemy musieli przeszukać was przed wpuszczeniem na planetę, lecz nie możemy pozwolić na zaburzenie naszej gospodarki nieodpowiedzialnym wprowadzaniem do niej metali. Alen nie zdawał sobie sprawy, że sytuacja jest aż tak zła. Po skrupulatnej rewizji, w czasie której skonfiskowano zapomniane zegarki i szpilki, urzędnicy portowi wymienili plik opartej na parytecie uranu wegańskiej waluty kupca na oficjalne środki płatnicze Liry stanowiące równowartość godzin ludzkiej pracy. Czarnobrody wypłacił załodze część poborów, życzył dobrej zabawy na lądzie i polecił stawić się w porcie o zmroku następnego dnia, kiedy najprawdopodobniej będą odlatywać.

Alen i kupiec zostali odwiezieni do miasta niesamowitym wehikułem napędzanym ceramiczną turbiną. Gdy kierowca na otwartej drodze poczuł się bezpiecznie, zagadnął, czy mają jakiś metal, którego mogliby się pozbyć.

- Co robisz zdobyć metal? - spytał ostro kupiec w łamanym lirańskim. - Gdzie sprzedać, jak użyć?

Kierowca, zgodnie z powszechną tendencją, podniósł głos i sam przeszedł na łamany lirański, żeby jakoś dogadać się z cudzoziemcami.

- Czarny rynek ludzie nauki płacić dużo, dużo za mały kawałek metalu. Studiować, używać do budowy. Politycy robią prawo żaden metal, co mnie obchodzą politycy? Ale wy nie powiedziecie, panowie?

- Nie powiemy - potwierdził Alen. - Ale nie mamy metalu dla ciebie. Kierowca wzruszył ramionami.

- Heroldzie - powiedział kupiec - co z tego wszystkiego rozumiesz?

- Nie wiedziałem, że to sprawa polityczna. Zajmujemy się podstawowymi wzorcami ludzkich zachowań, a nie życiem codziennym. Na planecie brak metali ciężkich, co oznacza, że prymitywni Liranie nie mieli do nich dostępu. Lżejsze metale nie występują w postaci

rodzimej ani w łatwo rozkładalnych związkach. Dlatego też poszli w kierunku rozwoju ceramiki, nie metalurgii, i do pewnego stopnia znakomicie sobie poradzili. Oczywiście nie mają elektryczności, lotnictwa ani nie ruszyli w kosmos.

- Ludzie produkujący te samochodziki oraz tę lutlampę, którą widzieliśmy, boją się, że import metali wyslizga ich z interesu. Dlatego zabronili go przepisami prawnymi.

- Naturalnie - potwierdził herold.

- Oburzające - warknął kupiec. - Próbuja mówić człowiekowi, co może, a czego nie może importować, kiedy widzi szansę godziwego zysku.

Kierowca wysadził ich pod pensjonatem. Była to na poły drewniana konstrukcja wyglądająca efektowniej, niż gdyby zbudowano ją z bardziej powszechnej cegły. Podłogi miała z wylewanego szkła, szlifowanego na szorstko dla lepszej przyczepności. Alen wziął dla nich dwuosobowy pokój z ładnym widokiem.

- Co to takiego? - zapytał handlarz, wyglądając przez okno. Wskazywał konstrukcję wyłaniającą się nad krytymi dachówkami i łupkiem dachami miasta - dolne dwadzieścia pięć metrów stanowiła okrągła ceglana wieża, wyższe piętnaście metrów - drewniana. Kiedy się jej przyglądali, nagle wysunęła na szczycie dwoje uszu i zaczęła nimi szaleńczo wymachiwać.

- Semafor - wyjaśnił Alen.

W minutę później czarnobrody zawołał żałośnie z łazienki:

- Jak puścić wodę z kranu? Dotykałem go już wszędzie, ale nic się nie dzieje.

- Musi go pan przekręcić - wyjaśnił Alen. - A to ciągnie się mocno w dół, przytrzymuje, a potem puszcza.

- Barbarzyńskie wynalazki - mamrotał kupiec. - Całkiem barbarzyńskie.

Starsza pokojówka przyszła zaprezentować, jak powiesić hamaki, i zapytała, czy mają jakiś kawałek metalu, który mogliby podarować jej na pamiątkę. Odesłali ją z kwitkiem. Nie mieli ochoty na restaurację, więc przyrzadzili posiłek z własnych zapasów i ułożyli się do snu.

Idzie bardzo dobrze, pomyślał sennie Alen, naprawdę bardzo dobrze.

Obudził się gwałtownie, ale się nie poruszył. W pokoju było ciemno, a w pobliżu rozlegały się stłumione szmery. Przez głowę przeleciały mu setki myśli na temat lirańskiej zdradliwości i fałszu. Uchylił leciutko powieki i na tle jaśniejszego prostokąta okna zobaczył sylwetkę. Jeśli był to włamywacz, to dość niezręczny.

W drugim hamaku, kupca, coś się poruszyło. Ze stłumionym rykiem brzęącym jak „złodzieje, łotry!” czarnobrody rzucił się na intruza, ale stopy zaplątały mu się w sznurki hamaka i upadł na brzuch na podłogę.

Włamywacz, jeśli to rzeczywiście był przestępca, nie skoczył gładko i sprawnie do drzwi. Wyprostował się na tle okna.

- Nie musicie się obawiać - powiedział z rezygnacją. - Nie będę stawiał oporu.

Alen wysunął się z hamaka i pomógł kupcowi wstać.

- Powiedział, że nie chce się bić - wyjaśnił mu. Czarnobrody złapał intruza i potrząsnął nim wściekle.

- A więc ten łobuz to także tchórz! - wrzasnął. - Zapal światło, heroldzie! Alen odsłonił żarzący się knot, poczekał, aż błysnie płomieniem, zgrzytliwie napompował latarkę ciśnieniową i kiedy z palnika zaczął wydobywać się strumień węglowego pyłu, zapalił go. Jeszcze kilkanaście ruchów pompką i płomień lampy podgrzał ją wystarczająco, żeby zapewnić niezbędne ciśnienie.

W tym czasie kupiec zadawał pytania.

- Co robić tu, złodziej? Dlaczego złodziej w nasz pokój? Herold przyniósł syczącą lampę do okna. Twarz intruza nie miała niezdrowych, neurotycznych rysów kryminalisty, raczej kojarzyła się z dyscypliną i pracą umysłową.

- Czego tu szukałeś? - zapytał Alen.

- Metalu - padła prosta odpowiedź. - Sądziłem, że możecie mieć kawałek żelaza.

Po raz pierwszy jakiś Liranin nazwał konkretny metal. Użył, oczywiście, lirańskiego słowa na jego określenie.

- Jesteś konkretny - zauważył herold. - Dlaczego akurat żelazo?

- Słyszałem, że ma ciekawe własności. Proszę, opowiedz mi o nim, zanim oddasz mnie w ręce policji. Czy to prawda, że kawałek żelaza, którego kryształy zostaną ustawione w jednym kierunku przez silne uderzenia, będzie mocno przyciągać inny kawałek żelaza z siłą proporcjonalną do odległości pomiędzy nimi?

- To prawda - odparł herold. Ponieważ na twarzy intruza malowało się podniecenie, dodał:

- To ujednoczenie kierunku kryształów jest dużo łatwiejsze do uzyskania i bardziej jednorodne, jeśli umieści się kawałek żelaza w polu elektrycznym, to znaczy w przestrzeni otaczającej strumień elektronów przepływających przez przewodnik.

Wiele słów, których używał, z konieczności pochodziło z wegańskiego, nie istniały lirańskie wyrazy „elektryczny”, „elektron” czy „przewodnik”.

Intruz posmutniał.

- Próbowałem opanować te pojęcia, lecz mnie przerastają. Wypytywałem innych międzygwiazdnych podróżników i usiłowali mi to wyjaśnić, ale nie pojmuję, o co chodzi. Jednak dziękuję; byłeś bardzo uprzejmy. Nie będę już wam przeszkadzał w wezwaniu straży.

- Zbyt łatwo się poddajesz - skarcił go Alen. - Stanowczo zbyt łatwo jak na naukowca. Jeśli wydamy cię w ręce policji, będzie mnóstwo przesłuchań, składania zeznań i innych kłopotów. Nasz czas przeznaczony na pobyt na twojej planecie jest ograniczony, wątpię, żebyśmy mogli poświęcić go więcej na wasze procedury prawne.

Kupiec puścił ramię intruza.

- Dlaczego nie spytać, czy mamy żelazo, mówię ci nie - zadudnił. - Szukać, szukać, zabrać cały metal. My nie dać cię policji. Przepraszam, że ból ramion. To dla ciebie.

Czarnobrody wyciągnął próbkę swoich klejnotów i wybrał duży trójpłomień.

- Nie gniewać się na mnie - powiedział, wciskając go w dłoń Liranina.

- Ja nie mogę... - zaczął naukowiec. Kupiec zacisnął jego palce na kamieniu.

- Ja dawać, ty brać - warknął. - Może kupić za to żelazo, co?

- Oczywiście - powiedział Liranin. - Dziękuję wam obu, panowie. Dziękuję...

- Idź - przerwał mu handlarz. - Ty idź, my spać znowu. Naukowiec skłonił się z godnością i wyszedł.

- Na bogów przestrzeni! - zaklął kupiec. - I pomyśleć, że Jukki, sprzątacznik na „Starsong”, wie więcej o elektryczności i magnetyzmie niż taki mózgowiec.

- Te pojęcia są kluczem do fizyki - zastanawiał się głośno Alen. - Naukowiec na tej planecie ma przed sobą drogę bez wyjścia, bo wszystkie tutejsze materiały są izolatorami! Szkło, glina, szklivo, drewno.

- Śmieszne - ziewnął czarnobrody. - Widziałeś, jak go dopadłem, kiedy tylko stanąłem na nogi? Dobrze, nie? Dobranoc, heroldzie.

Postępując, wlaźł do hamaka. Alenowi pozostawił zgaszenie syczącego światła i

przykrycie knota dziurkowanym wieczkiem.

Na śniadanie poszli do restauracji. Zjedli jakiś pieczony drób. Reguła nakazała Alenowi zrezygnować z dołączonego do dania czerwonego wina. Kupiec łyknął je z aprobatą.

- Praktyczni, choć zacofani ludzie - powiedział. - A teraz, jeśli spytamy obsługę, gdzie zbierają się złodziejscy kupcy klejnotów, będziemy mogli zająć się interesami i jutro rano zdołamy odlecieć.

- Tak szybko? - spytał Alen. Zapomniał się, niemal okazał zaskoczenie.

- Mój czarter na „Starsong”, dobry heroldzie, kończy się za trzydzieści dni, a czy w przestrzeni w ogóle może wszystko pójść dobrze? Potem byłyby kary umowne, które obdarłyby mnie z tego drobnego zysku, jaki mogę zdobyć.

Alen dowiedział się, że Tawerna Gromega jest miejscowym centrum handlu klejnotami, więc pojechali tam napędzanym turbiną samochodem po brukowanych ceglami ulicach.

Knajpa Gromega była ponurą ceglana szopą o niewielkich oknach. Kręcili się po niej mocno zbudowani faceci, po jednej stronie znajdowała się otwarta kuchnia, po drugiej stoły. Przy nich gawędziło i sączyło wino kilku drobnych mężczyzn o ostrych rysach twarzy.

- Jestem podróżnik herold Alen - przedstawił się Alen wyraźnie - i mam do sprzedania wegańskie kamienie.

Zapadła cisza pełna wystudiowanej obojętności, a potem jeden z handlarzy splunął i rzekł:

- Wegańskie kamienie. Narkotyk na rynku. Zabierz je z powrotem, heroldzie.

- Posłuchaj, mistrzu kupcze - powiedział Alen po lirańsku. - Lirańscy handlarze kamieniami nie chcą twoich towarów. Ruszył do drzwi.

- Hej, poczekajcie moment! - zawołał jeden z handlarzy. - Nie mam nic lepszego do roboty. Skoro już pofatygowaliście się tak daleko, mogę rzucić okiem na wasz towar.

- Jesteśmy zaszczytzeni - odparł Alen.

Usiedli razem z czarnobrodym przy stole. Handlarz wyciągnął z kieszeni garść próbek, policzył je starannie i położył na blacie.

- No cóż, nie wiem, czy się śmiać, czy obrazić. Jestem Garthkint, handlarz klejnotów, a nie hurtownik paciorków. Jednak nie czuję urazy. Drinka dla twojego skrzywionego kumpla, heroldzie? Wiem, że wy nie pijecie.

Drink już znalazł się na stole, przyniesiony przez jednego z potężnych strażników.

Alen podsunął handlarzowi kubek z winem Garthkinta.

- Na ojczystej planecie Cefeusza - wyjaśnił uprzejmie - uważa się, że honorowo jest pić drinka swojego gospodarza, żaden inny. Czarujący zwyczaj, nieprawdaż?

- Czarujący, choć niehigieniczny - mruknął jubiler. Nie tknął napoju zamówionego dla czarnobrodego.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówicie. Zbyt to kwieciste. Czy ten szczur chciał mnie znarkotyzować? - zapytał handlarz po cefezańsku.

- Nie, jedynie upić - wyjaśnił Alen i zwrócił się do Garthkinta po lirańsku: - Dobry kupiec powiedział, że chce stąd natychmiast wyjść. Ja się z nim zgodziłem.

- No cóż - zachnął się Garthkint - mógłbym wziąć parę waszych świecidełek. Dla pańienek marzących o tanim pierścionku.

- Wchodzi w to - powiedział Alen do swojego pracodawcy.

- Najwyższy czas - warknął czarnobrody.

- Mój pracodawca prosi, żeby cię poinformować - rzekł Alen do Liranina - że nie może sprzedawać kamieni partiami mniejszymi niż pięćset sztuk.

- Cefeński to bardzo zwięzły język - zauważył Garthkint, mrużąc oczy.

- Prawda? - zgodził się niewinnie Alen.

Jubiler wysunął palcem wskazującym szczególnie piękny trójpłomień z kupki klejnotów na stole.

- Przypuszczam - rzekł niechętnie - że to najlepszy kamień w próbce.

Jestem ciekaw, jakiej ceny zażądałobyście za sto równych jakością i wielkością tej błyskotce?

- To jest pierwsza podróż dobrego mistrza handlu na waszą piękną planetę. Za każdym z wielu przewidywanych powrotów tutaj chciałby być pamiętany i mile widziany. Dlatego też ustalił absurdalnie niską cenę, uważając, że dobra wola jest bardziej istotna niż zysk. Dwa tysiące lirańskich kredytów.

- Absurd - prychnął Garthkint. - Nie mogę robić z wami interesów. Albo jesteście wariacko chciwi, albo zostaliście wyjątkowo źle poinformowani o wartości waszego towaru. Jestem znany z wielkoduszności, więc uznam, że w waszym przypadku była to ta druga możliwość. Ufam, że nie poczujecie się nadmiernie zrozpaczeni, gdy powiem, że pięćset takich mętnych, malutkich i niekształtnych bryłek warte jest nie więcej niż dwieście kredytów.

- Jeśli mówi pan serio - odparł Alen z wyraźnym zdumieniem - nawet nie śmiemy marzyć o nadużywaniu pańskiej uprzejmości. Przy wspomnianej przez pana cenie równie dobrze możemy w ogóle nic nie sprzedawać, tylko wrócić na Cefeusza i rozdać te kamienie dzieciakom na ulicy jako kulki do gry. Dobry handlarzu klejnotów, proszę wybaczyć nam, że zabraliśmy tak wiele pańskiego cennego czasu, proszę też przyjąć podziękowanie za pańską pełną ciepła gościnność i hojny poczęstunek.

Przeszedł na cefeński.

- Jesteśmy w fazie negocjacji. Dwa tysiące i dwieście. Proszę wstać, zamierzamy wyjść.

- A co, jeśli pozwoli nam na to? - mruknął czarnobrody, ale wstał, kiedy Alen się podniósł z krzesła.

- Mój mistrz kupiec podziela mój żal - powiedział herold w lirańskim. - Do widzenia.

- Poczekajcie jeszcze chwilę - rzekł Garthkint. - Jestem znany z miękkiego serca dla obcych. Człowiek skłonny do dobroczynności mógłby zaoferować nawet pięćset i pokryć nieuniknione straty. Jeśli powrócicie kiedyś z prawdziwymi klejnotami, uznam, że zapamiętacie, kto potraktował was z taką sympatią i dacie mi uczciwą szansę.

- Szlachetny Liraninie! - Alen był najwyraźniej ujęty jego słowami. - Niełatwo będzie mi zapomnieć kombinację pańskiej żylki do interesu i życzliwości. To dobra lekcja dla kupców. To dobra lekcja dla mnie. Nie będę upierał się przy dwóch tysiącach. Narażę na szwank przedsięwzięcie mojego mistrza i obniżę cenę do tysiąca ośmiuset kredytów, choć obawiam się, że nie ośmielę się mu o tym powiedzieć.

- Co się teraz dzieje? - zapytał czarnobrody.

- Pięćset i tysiąc osiemset - wyjaśnił Alen. - Możemy z powrotem usiąść.

- W górę, w dół... w górę, w dół... - wymamrotał kupiec. Usiedli.

- Mój kupiec - odezwał się Alen po lirańsku - niespodziewanie zgodził się na obniżenie ceny. Zacytował stare cefeńskie powiedzonko: „Lepiej stracić część niż wszystko”. Zakazał też dalszych ustępstw.

- Bez przesady - skrzywił się jubiler. - Bądźmy realistami. Jeden podrzuci trochę, drugi nieco opuści. Każdy wie, że nie zawsze wszystko idzie po jego myśli. Oferuję dobre, okrągłe osiemset kredytów i to wystarczy, nieprawdaż? Pilquis, przynieś nam pióro i atrament!

Jeden z krzepkich ochroniarzy zjawił się natychmiast z kałamarnicą i trzciniowym piórem. Garthkint wyciągnął spod tuniki formularz celny i szybko wypełniał rubryki, precyzując wielkość, liczbę i jakość kamieni, jakie miały mu być wydane.

- Co teraz? - zapytał czarnobrody.

- Osiemset.

- Bierzemy!

- Garthkint - rzekł Alen z żalem - czy słyszałeś w głosie mego mistrza to zdecydowanie i ostateczność? Cóż mogę zrobić? Ja tylko mówię w jego imieniu. Jest twardym człowiekiem, lecz może zdołam przekonać go później. Proponuję panu kamienie za rujnujące nas tysiąc pięćset.

- Podzielmy się różnicą - zaproponował Garthkint z rezygnacją.

- Zgoda na tysiąc sto pięćdziesiąt. To czarnobrody zrozumiał.

- Świetna robota! - zahuczał do Alena i pociągnął łyk wina z czarki Garthkinta. - Niech wpisze do kwestionariusza „worek osiemnasty”. Tam jest pięćset sztuk tego typu.

Jubiler odliczył dwadzieścia trzy pięćdziesięciokredytowe banknoty, a czarnobrody podpisał i oznaczył odciskami palców polecenie wydania towaru.

- Proszę - rzekł Garthkint - byście pozostali tutaj, a ja udam się na kosmodrom po odbiór mojej własności.

Trzech z czterech ochroniarzy nagle znalazło się bardzo blisko.

- Przekona się pan - oznajmił Alen oschle - że nasze normy moralności handlowej nie różnią się od waszych.

Jubiler uśmiechnął się uprzejmie i wyszedł.

- Kto następny? - zapytał Alen, zwracając się do wszystkich obecnych w tawernie.

- Zerknę na twoje kamienie - mruknął kolejny handlarz i usiadł przy stole.

Po przełamaniu lodów pozostałe transakcje zawierano dużo szybciej. Do powrotu pierwszego klienta Alen sprzedał kilkanaście zestawów.

- Wszystko w porządku - stwierdził Garthkint. - Robiono nas już w konia, ale wasze kamienie są takie jak próbki. Gratuluję panu, heroldzie. Targowaliście się twardo, lecz uczciwie.

- Co oznacza - powiedział Alen z żalem - że powinienem być zażądać więcej.

Ochroniarze znów trzymali się kątów i już nie sprawiali tak groźnego wrażenia jak przedtem.

Zjedli coś i dalej sprzedawali towar. O zmierzchu Alen zakończył ostatnią aukcję, w której pozbył się dziwacznych resztek, i poproszono go, by został na obiedzie.

Kupiec potrząsnął głową, przeliczając potężny plik opartych na ludzkiej pracy banknotów.

- Powinniśmy odlecieć przed świtem, heroldzie - rzekł. - Czas to pieniądz, czas to pieniądz.

- Oni bardzo nalegają.

- A ja jestem bardzo uparty. Podziękuj im i ruszajmy w drogę, zanim zdarzy się coś, co podbije moje koszty.

Coś się zdarzyło. Wszedł strażnik miejski z krwawiącym nosem i rozciętą wargą. Zwrócił się do herolda.

- Czy pan jest odpowiedzialny za cefeńskiego szaleńca znanego jako Elwon?

Garthkint przysunął się do Alena i mruknął mu w ucho:

- Uważaj z odpowiedzią!

Alen nie potrzebował ostrzeżenia. Jego wyszkolenie obejmowało prawne kruczki Liry - na takiej zacofanej małej planecie pełnej reliktyw feudalizmu słowo „odpowiedzialny” miało bardzo szerokie znaczenie.

- Co zrobił chief Elwon? - odpowiedział pytaniem.

- To co pan widzi - odparł strażnik ponuro, wskazując na swoją pokiereszowaną twarz. - To samo trzem innym, zanim wywlekliśmy go ze zrujnowanej winiarni na zamek. Czy pan jest za niego odpowiedzialny?

- Proszę mi pozwolić na chwilę rozmowy z kupcem. Czy w tym czasie napije się pan wina?

Skinął dłonią i po chwili pojawił się ochroniarz z dzbanem.

- Nie mam nic przeciwko temu. Przyda mi się - westchnął stróż.

- Mamy kłopoty - przekazał Alen czarnobrodemu. - Chief Elwon znalazł się w więzieniu na zamku za pijaństwo i niewłaściwe zachowanie. W świetle lirańskiego prawa jest pan za to odpowiedzialny. Musi pan zapłacić grzywnę albo odpracować nałożoną na niego karę. Może się też pan go wyrzec, co uważane jest za wyjście niehonorowe, choć czasem niezbędne. Wykupując go lub odpracowując, zostaje pan jego wierzycielem, a dług ma zostać spłacony jego pracą dla pana, bez wynagrodzenia, ale to, oczywiście, jest nie do wyegzekwowania poza Lirą. Czarnobrody aż się spocił.

- Dowiedz się od policjanta, ile czasu może to wszystko zająć. Nie chcę zostawiać tu Elwona i zamierzam wynieść się stąd jak najszybciej. Zajmij go na chwilę, a ja coś załatwię.

Kupiec wycofał się do kąta mroczniejszej, przypominającej stodołę tawerny, ruchem ręki przyzywając do siebie Garthkinta i ochroniarza. Alen powrócił do rozmowy ze strażnikiem.

- Dobry stróżu spokoju, może jeszcze wina? Nie spotkał się z odmową.

- Mój kupiec chciałby wiedzieć, jaka kara zostanie najprawdopodobniej nałożona na jego pechowego chiefa Elwona.

- Zamierza zostawić go w pudle, he? - spytał strażnik nieco wojowniczym tonem. - Fajnego masz pana!

- Jeśli wy, cudzoziemcy - poparł go z oburzeniem jeden z siedzących przy stole handlarzy - nie jesteście gotowi wypełniać swoich obowiązków, po co w ogóle się tu zjawiacie? Co się stanie z interesami, jeśli pan będzie mógł posłać swojego człowieka, by kradł i oszukiwał, a potem powie: „To nie moja wina, to on zrobił”?

- Na innych planetach, dobrzy Liranie - wyjaśniał Alen cierpliwie - więzy pracownika z pracodawcą nie są aż tak silne, by posłuchał polecenia nakazującego mu kradzież i oszustwo.

Potrząsnęli głowami, mrucząc coś pod nosem. To było niesłychane.

- Dobry strażniku - naciskał herold - mój pan nie chce wyprzeć się chiefa Elwona. Czy możesz mi powiedzieć, jaka rekompensata będzie konieczna i ile czasu zajmie zakończenie tej sprawy?

Strażnik zaczął trzecią kolejkę, dyskretnie zamówioną przez Alena.

- Trudno powiedzieć - powiedział do herolda poważnym tonem. - Za uszkodzenia ciała żądałbym co najmniej stu kredytów. Pozostali trzej członkowie oddziału pobici przez waszego szaleńca na pewno nie mniej. Szkody w winiarni to lekko licząc pięćset. Jej właściciel został pobity, ale to, oczywiście, jest bez znaczenia.

- Elwonowi nie grozi więzienie?

- Och, chłosta, oczywiście... - Alen aż podskoczył; dopiero po chwili przypomniał sobie, że chłosta polega tu na kilku leniwych pacnięciach lekką trzcina po plecach, przez ubranie. - Ale nie ma mowy o więzieniu. Sędzia Krari nie prowadzi nocnych spraw. Sędzia Krari jest

zwolennikiem najnowszej, reformatorskiej mody, cudzoziemcze. Wyraża przekonanie, że grzywny są niesprawiedliwe, bo ułatwiają bogatym popełnianie przestępstw i wykręcanie się sianem.

- A czyż tak nie jest? - zapytał Alen, mimowolnie zbaczając z tematu. Wokół niego rozległ się pełen współczucia śmiech.

- Posłuchaj - zaczął wyjaśniać jeden z handlarzy łagodnie. - Dobry strażnik zostaje pobity, szalony Cefeńczyk albo jego pan płaci grzywnę za zniszczenia, strażnik otrzymuje rekompensatę. Jaką sprawiedliwością dla niego byłoby zamknięcie Cefeńczyka w celi, bez obciążania go grzywną?

Strażnik skinął głową aprobowująco.

- Dobrze powiedziane - zwrócił się do handlarza. - Na szczęście w nocy mamy ławę działającą według starej dobrej szkoły, przewodniczy sędzia Treel. Surowy, lecz sprawiedliwy. Powinniście go posłuchać! „Pięćdziesiąt kredytów! Sto kredytów i baty! Obrabowało się statek, he? Dwa tysiące kredytów!”. Za morderstwo - dokończył własnym głosem - nigdy nie zasądza mniej niż dziesięć tysięcy kredytów!

A jeśli morderca nie był w stanie zapłacić, jak wiedział Alen, stawał się „przypadkiem publicznym, odpowiedzialnym wobec państwa” - czyli niewolnikiem. Oczywiście jeśli mógł zapłacić, był wypuszczany na wolność.

- Czyli sędzia Treel przewodniczy dziś w nocy? - upewnił się herold. - Czy możemy stanąć przed nim, zapłacić grzywnę i odlecieć?

- No chyba, cudzoziemcze, byłbym głupcem, czekając do rana, nie? - Strażnik zdał sobie sprawę, że wino nieco za bardzo rozwiązało mu język. - Dość tego - uznał. - Czy twój pan honorowo akceptuje odpowiedzialność za Cefeńczyka? Jeśli tak, chodźcie obaj ze mną.

- Dziękuję, dobry strażniku. Idziemy.

Podszedł do czarnobrodego, już samotnie siedzącego w kącie.

- Załatwione - powiedział. - Możemy się wykupić za mniej więcej tysiąc kredytów i ruszać stąd.

- Obciążę tym pobory Elwona - mruknął kupiec ponuro. - Co za dureń!

Z turkotem potoczyli się jednym z turbinowych samochodów przez ciemniejące ulice. Strażnik siedział z przodu, obok kierowcy, a kupiec i herold z tyłu.

- Coś się pali - zauważył Alen, węsząc.

- Ten śmierzący gruchot... - zaczął czarnobrody i przerwał, klepiąc się po piersi.

- Proszę pozwolić mnie - rzekł Alen.

Odwrócił jego płaszcz na lewą stronę, poślinił kciuk i zagasił krąg iskierek na jedwabnej podszewce, a potem obejrzał dokładnie przedmiot, który zaprószył ogień. Pożar spowodował nieprawidłowo przykryty knot wystający ze znajdującego się w kaburze urządzenia będącego niezaprzeczalnie ręczną bronią.

- Kupiłem to od jednego z ich ochroniarzy, w czasie gdy ty dogadywałeś się z policjantem - wyjaśnił czarnobrody z zakłopotaniem. - Miałem spore kłopoty, zanim zrozumiał. Pomógł mi Garthkint.

Pogmerał przy perforowanej pokrywce knota, przykręcając ją mocniej.

- Nędzna namiastka broni - mówił dalej, starannie zapinając płaszcz. - Spust to nie spust, a bezpiecznik pod kciukiem to wcale nie bezpiecznik. Trzeba kilkakrotnie nacisnąć cyngiel, żeby zwiększyć ciśnienie. Wtedy mały strumyczek powietrza rozpala knot, który się potem odkrywa i odciąga kurek. To wprowadza strzałkę do lufy. Dopiero wtedy wciskasz bezpiecznik pod

kiukiem, co wdmuchuje pył węglowy do komory naboju, jednocześnie przekręcasz knot tak, że dotyka zapalnika. Puufl... Strzałka leci, o ile nie zapomniałeś żadnego z etapów ani nie pomyliłeś kolejności. Na szczęście dostałem też nóż.

Poklepał się po karku.

- Tutaj nosi się je w tym miejscu - powiedział. - Mała pochwa między łopatkami. Znakomity zwyczaj umożliwiający błyskawiczne wyciągnięcie i rzut, ale przy sięganiu odsłania się człowiek trochę za bardzo. Nóż jest z czarnego szkła. Wspaniałe ostrze i dobrze wyważony. Liranie dobrze sobie też policzyli. Siedem tysięcy pięćset za nóż, pistolet - jeśli toto można tak nazwać - i kabury. Miałbym słuszość, porzucając za to Elwona. Cholerny głupiec, a jednak lepiej wykupić go i nie pozostawiać wrogów za sobą, co, heroldzie?

- Nieporównanie lepiej. Jestem zdumiony, że w ogóle rozważa pan pomysł zbrojnego odbicia więźnia. A co jeśli chief Elwon musiałby odsiedzieć kilka dni w więzieniu? Czy byłoby to gorsze niż zamknięcie sobie na zawsze wstępu na tę planetę i zbrukanie dobrego imienia wszystkich handlujących z Lirą? Kupcze, nie licz na wliczenie ceny tej broni do kosztów podróży. Nie pozwolę na to przy inspekcji ksiąg. To szaleństwo, na które, zdaniem Szkoły i Zakonu Heroldów, wydał pan osobiste pieniądze.

- Posłuchaj - zaprotestował czarnobrody. - Macie upowszechnić cywilizację utylitarystyczną, nieprawdaż? Cóż utylitarystycznego jest w pozostawieniu tu jednego z członków mojej załogi?

Alen zignorował ten dziecinny argument i gniewnie milczał. Zastanawiał się ponuro, w jakim stopniu to przedsięwzięcie handlowe i jego w nim udział mają związek z cywilizacją. Czy oszczercy mieli rację? Czy Szkoła i Zakon Heroldów to zwykła zbieranina naiwniaków rządzonych przez cynicznych staruchów żądnych luksusu i władzy?

Od dawna przychodziły mu do głowy takie myśli. Był zbyt zajęty, by poświęcić im dość czasu, napychał głowę językami, zwyczajami, zasadami moralnymi, niepisаныmi zasadami, podstawowymi wzorcami kulturowymi setek galaktycznych ludów - i po co? Żeby ten facet mógł zapewnić sobie zysk, a Szkoła i Zakon Heroldów przejąć jego jedną czwartą. Jeśli cywilizacja ma dotrzeć na Lirę, musi przyjść w formie metalu. Jeśli Liranie nie chcą metalu, należy ich zmusić do jego przyjęcia.

Co mówił Machiavelli? „Podstawowymi fundamentami wszystkich państw są dobre prawo i dobre uzbrojenie; a ponieważ nie może być dobrego prawa w źle uzbrojonym kraju, wynika z tego, że te dobrze uzbrojone państwa mają dobre prawo”. Dziwne, że nauczyciele tak niewyraźnie wspominali o tak płodnej idei, zamiast tego podkreślając duchową spójność całkowicie bezbronnej Szkoły i Zakonu Heroldów...

Przerażały go wątpliwości, które wkraadały się w duszę.

- Zamek - powiedział strażnik przez ramię. Samochód zatrzymał się ze szczękiem przed wielkim, ale nierobiącym wielkiego wrażenia pięciopiętrowym budynkiem.

- Ty czekać - polecił kierowcy kupiec, kiedy wysiedli. Podał mu dwa pięćdziesięciokredytowe banknoty. - Ty czekać, dostać dużo, dużo, dużo więcej pieniędzy. Ty rozumiesz, czekać?

- Ja czekać dużo! - zawołał kierowca radośnie. - Ja czekać cała noc, cały dzień. Ty wspaniały pan. Ty wielki, wielki pan, ja czekać...

- W porządku - warknął kupiec, przerywając ten potok słów. - Ty czekać. Strażnik przeprowadził ich przez westybul oświetlony syczącymi lampami ciśnieniowymi i niedbale pilnowany przez kilku uzbrojonych w pałki strażników w liberiach. Pchnięciem otworzył

drzwi dobrze oświetlonego pomieszczenia, w którym znajdowało się kilka osób, zajrzał do środka i jęknął rozpaczliwie.

- Czy to ci gwiazdni podróżnicy? - zapytał ostro osobnik siedzący na krześle przypominającym tron. - Nie stójcie tak. Wprowadźcie ich!

- Tak jest, sędzio Krari - potwierdził strażnik drżącym głosem.

- To niewłaściwy sędzia! - wyszeptał Alen do kupca. - Ten wydaje wyroki więzienia.

- Zrób, co się da - odparł ponuro czarnobrody. Strażnik wskazał im kilka niskich stołków, schylił głowę i cofnął się na tyły pomieszczenia.

- Wysoki Sądzie - powiedział Alen. - Jestem podróżnik herold Alen. Herold wyprawy handlowej...

- Proszę nie odzywać się bez pytania - polecił sędzia ostro. - Sir, ze zwykłą u bogacza bezczelnością postanowiliście zmusić nas do czekania. Nie traktuję tego jako osobistej zniewagi; mogło się to przydarzyć sędziemu Treel, którego - ku waszej widocznej konsternacji - zastępuję wskutek nagłej choroby, czy też któremukolwiek z członków palestry. Lecz nie mogę Przejść nad tym do porządku dziennego, jest to bowiem obraza sprawiedliwości. Sir, udzielam panu upomnienia. Proszę zająć miejsca. Strażnik, Przyprowadzić Cefeńczyka.

- Siadamy - mruknął Alen do kupca. - Będzie kiepsko. Strażnik wprowadził chiefa Elwona, który był potargany, miał zaczerwienione oczy oraz parę siniaków. Kiedy sadzano go koło Alena i kupca, wstydliwie się do nich uśmiechnął. Kupiec odpowiedział wściekłym spojrzeniem.

- Niech walka się rozpocznie - mamrotał sędzia Krari niedbale - pomiędzy wieloma stronami tego sporu niech żaden człowiek nie kwestionuje bezstronnego przyznania zwycięstwa odezwiście się teraz jeśli poddajecie się w zamian naszemu orzeczeniu. No tak. Mówcie, strażnicy!

Ten, który przyprowadził herolda i kupca, zaczął:

- Poddaję się w zamian orzeczeniu Wysokiego Sądu.

Pozostali trzej strażnicy i poobijany obywatel, właściciel winiarni, po kolei wymamrotali tę samą formułkę.

No cóż, pomyślał Alen, mogę spróbować.

- Wysoki Sądzie - rzekł - pan chiefa Elwona nie poddaje się orzeczeniu Wysokiego Sądu. Jest gotów stoczyć walkę z pozostałymi stronami sporu lub ich panami.

- A to co za bezczelność?! - krzyknął sędzia, zrywając się z tronu. - Barbarzyńskie zwyczaje innych światów nie zdominują tego sądu! Kto mówił o walce...

Zamknął gwałtownie usta, nagle zdawszy sobie sprawę, że sam o niej mówił w archaicznej formule nawiązującej do początków sądownictwa na tej planecie. Usiadł.

- Zwykłą formalność wziął pan za dobrą monetę - powiedział do Alena. - Propozycja nie była poważna. - Wyraźnie był z siebie niezadowolony, ale kontynuował: - Teraz proszę powtórzyć: „Poddaję się w zamian orzeczeniu Wysokiego Sądu”. Dla pańskiej informacji, rozstrzygnięcia sporu przez walkę nie praktykuje się na naszej oświeconej planecie od pokoleń.

- Wysoki Sądzie - odparł Alen uprzejmie. - Wiele zwyczajów Liry jest mi obcych, lecz nasza znakomita Szkoła i Zakon Heroldów dobrze wyszkoliła mnie w podstawowych zasadach waszego prawa. Przypominam sobie, że jedna z najbardziej szanowanych maksym brzmi: „Największą zbrodnią przeciwko człowiekowi jest morderstwo; największą zbrodnią przeciwko społeczeństwu jest złamanie obietnicy”.

- Ośmielasz się pan bawić ze mną w gierki prawne, cudzoziemcze o nazbyt giętkim języku? -

warknął sędzia czerwony z gniewu. - Ośmiela się pan oskarżać mnie o zbrodnię niedotrzymania obietnicy? Dla pańskiej informacji, obietnica składa się z propozycji czynu bądź jego zaniechania oraz zapłaty za coś określonego. Musi wystąpić pięć elementów: obiecujący, przyjmujący obietnicę, propozycja, treść i wynagrodzenie.

- Jeśli Wysoki Sąd wybaczy cudzoziemcowi - powiedział Alen, znów czując grunt pod nogami - utrzymuję, że Wysoki Sąd zaproponował stronom sporu swoje usługi w przyznaniu zwycięstwa.

- Pusty argument - prychnął sędzia. - Sama propozycja zawierająca treść, wychodząca od kogoś do nikogo, kto mógłby zapewnić wynagrodzenie, to nie jest obietnica. Także propozycja bez treści wychodząca od kogoś do kogoś ustalająca wynagrodzenie nie jest obietnicą, a więc moja propozycja nie była obietnicą, ponieważ brak tu wynagrodzenia.

- Wysoki Sądzie, czy wynagrodzenie dającego obietnicę musi zapewnić przyjmujący?

- Oczywiście, że nie. Strona trzecia może zapewnić wynagrodzenie.

- W takim razie z pełnym szacunkiem utrzymuję, że propozycja Wysokiego Sądu była obietnicą, gdyż strona trzecia, rząd, zapewnił panu wynagrodzenie w formie uposażenia i stanowiska w zamian za oferowanie usług Wysokiego Sądu spierającym się stronom.

- Strażnicy, opróżnić salę z postronnych osób! - nakazał sędzia chrapliwie. W trakcie wykonywania polecenia Alen szybko wprowadził w sprawę kupca i chiefa Elwona. Czarnobrody uśmiechnął się szeroko, gdy usłyszał o walce pięciu na jednego, a chief chyba się zaniepokoił.

- Heroldzie - zapytał sędzia gorzko, kiedy zamknęły się drzwi - gdzie nauczyłeś się takich diabelskich sztuczek?

- Szkoła i Zakon Heroldów dobrze mnie wyszkoliły. Podobna sytuacja zdarzyła się kiedyś na planecie zwanej Anglia, w czasach znanych jako wiktoriańskie. Rozstrzygnięcie sporu przez walkę było od dawna przestarzałe, podobnie jak tutaj, lecz nigdy nie zostało zniesione, tak samo jak tutaj. Człowiek biorący udział w sporze prawnym wygrał beznadziejny dla niego proces, publicznie wyzywając swojego przeciwnika i pojawiając się w umówionym miejscu w pełnej zbroi. Jego adwersarz zignorował wyzwanie i przegrał sprawę z urzędu. Angielski dyktator Disraeli pośpiesznie wezwał swój parlament do formalnego zniesienia rozstrzygnięcia sporów przez walkę.

- No tak - zadumał się sędzia. - We własnej sali oskarżono mnie o popełnienie ciężkiego przestępstwa, jeżeli nie pozwolę waszej piątce się posiekać, by okazało się, kto wygrał.

Właściciel winiarni zaczął jęczeć, że jest spokojnym człowiekiem i nie zamierza dać się pokroić przez tego czarnobrodęgo, krwiożerczego włóczęgę międzygwiazdowego. Że chce tylko pieniędzy.

- Cisza! - rzucił sędzia. - Oczywiście nie będzie żadnej walki. Czy ty, sklepikarzu, i wy, strażnicy, wycofacie pozew, jeśli otrzymacie satysfakcjonującą rekompensatę finansową?

Zgodzili się.

- Heroldzie, możesz się z nimi targować.

Czterej strażnicy twardo trzymali się pierwotnego żądania stu kredytów na głowę i dostali je. Przerażony winiarz odzyskał równowagę i zażyczył sobie tysiąca. Alen wyjaśnił, że gdy przełoży to żądanie, jego czarnobrody pan z gwałtownego i porywczego świata zapewne nie zdoła opanować wściekłości i ignorując konsekwencje, przerobi sklepikarza na mielonkę. Cena raptownie spadła do rozsądnych pięciuset, które zostały wypłacone. Winiarz otrzymał pozwolenie sędziego na opuszczenie sali i wycofał się w ukłonach.

- Widzi pan, kupcze - powiedział czarnobrodemu Alen - że kupowanie broni jest niekonieczne, gdy słowo mówione...

- A teraz - rzekł sędzia szydycz - łatwo sobie poradzimy. Strażnicy, aresztować tych trzech międzygwiazdnych włóczęgów i wsadzić do klatek.

- Wysoki Sądzie! - oburzył się herold.

- Z tego pieniędzmi się nie wykręcicie. Oskarżam was o zdradę.

- Oskarżenie jest przestarzałe - zaczął Alen gwałtownie, ale zamilkł, gdy zdał sobie sprawę, jak sędzia zamierza się zemścić.

- Tak, jest przestarzałe. Jeden z przestarzałych przepisów zaś mówi, że oskarżenia o zdradę muszą być rozpatrywane na regularnej sesji parlamentu, a takowa odbędzie się za dwieście dni. Zostaniecie zwolnieni, ja przypuszczalnie dostanę naganę, ale, na moją głowę, przez dwieście dni będziecie żałować, że zrobiliście ze mnie durnia. Zabrać ich!

- Sfabrykowane oskarżenie, dwieście dni więzienia - powiedział szybko Alen do czarnobrodego, kiedy strażnicy podchodzili.

- Po co kupować broń? - zakpił kupiec, pokazując zęby. Wykonał szybki ruch ręką w górę i w dół, coś czarnego błysnęło w powietrzu - i sędzia został przybity przez gardło do fotela szklanym ostrzem, wciąż mając na twarzy zastygły grymas triumfu.

Handlarz, zanim jeszcze nóż uderzył w cel, wyciągnął niezgrabny pistolet z już otwartą osłoną mocno żarzącego się knota, odciągając kurek. Musiał go rozdmuchać i otworzyć pod płaszczem, pomyślał Alen tępo, jednocześnie bez ponaglania mówiąc do strażników:

- Pod ścianę i odwrócić się twarzą do niej!

Usłuchali. Chcieli żyć, a szczerzący radośnie zęby czarnobrody, który jednym ruchem ręki załatwił sędziego, był dość przerażający.

- Dobra robota, Alen - powiedział handlarz. - Elwon, zabierz im pałki. Dwie dla ciebie, dwie dla herolda. Alen, nie kłóć się! Musiałem zabić sędziego, zanim zdążyłby podnieść alarm. Nic prócz śmierci nie jest w stanie uciszyć kogoś z jego klasy. Może ty też będziesz musiał zabić, nim się stąd wydostaniemy. Bierz pałki.

Przekazał pokraczny pistolet chiefowi Elwonowi.

- Trzymaj ich pod lufą. To pod kciukiem, co wygląda jak bezpiecznik, to spust. Wpakuj strzałkę pierwszemu, który spróbuje się ruszyć. Alen, powiedz temu facetowi na samym końcu, żeby odwrócił się i powoli podszedł do mnie.

Czarnobrody szybko rozebrał strażnika, podarł jego ubranie na pasy, powiązał w powrozy, związał go i zakneblował. W ciągu niecałych dziesięciu minut wszyscy jeńcy zostali potraktowani tak samo.

Kupiec wsadził pistolet do kabury i przetoczył strażników w miejsce niewidoczne od drzwi. Odzyskał nóż, wytarł go o koszulę zabitego. Alen musiał mu pomóc wcisnąć ciało sędziego za wysokie oparcie tronu.

- Schowajcie te pały - polecił czarnobrody. - Spokojne twarze. Idziemy. Wyszli, trzymając się razem, otwierając drzwi tylko na tyle, żeby się prześliznąć.

- Sędzia Krari nie życzy sobie, by mu przeszkadzano - powiedział Alen, ostatni w grupie, do jednego ze stojących w pobliżu strażników w liberjach.

- Też mi nowina! - prychnął zagadnięty strażnik. Położył Alenowi dłoń na ramieniu. - Zaledwie wczoraj nawrzeszczał na mnie, kiedy przyniosłem mu kubek wody, o który sam prosił. Oburzający natręt, tak mnie nazwał, a sam chciał wody. No i co na to powiesz?

- Okropne - zgodził się Alen pośpiesznie.

Dogonił kupca i chiefa w holu wejściowym. Odprowadzani wzrokiem nierobów i oczekujących petentów podszli do czekającego samochodu.

- Ja czekać! - krzyknął kierowca. - Ja czekać długo, bardzo. Ty płacić więcej, więcej?

- My płacić więcej - potwierdził kupiec. - Ty jechać.

Kierowca wyciągnął tłący się kawałek hubki, zapalił lutlampę, podniósł klapę w podłodze pojazdu, odsłaniając ceramiczną turbinę, i podgrzał ją płomieniem lampy. Przez kilka minut pompował zgrzytliwie, drugą ręką obracając koło zamachowe, aż w końcu silnik zaczął obracać się sam. Kłapa została zamknięta, pasażerowie usadowili się na siedzeniach.

- Port kosmiczny - powiedział Alen.

Z odgłosem przypominającym zgrzyt rysika na łupkowej tabliczce kierowca uruchomił przekładnię planetarną i ruszyli.

Przez cały ten czas czarnobrody ignorował mamrotane gwałtownie pytania chiefa Elwona, który nie chciał mieć nic do czynienia z morderstwem, zwłaszcza sędziogo.

- Siadaj tutaj - warknął kupiec - i rozglądaj się uważnie, czy nikt za nami nie jedzie. Nie przestrasz kierowcy. A jeśli dotrzemy do kosmodromu i wystartujemy bez kłopotów, nie opowiadaj, coś zrobił.

Usadowił się na tylnym siedzeniu koło Alena, zachowując posępne milczenie. Młody herold bał się tego dziwnego człowieka, niespodziewanie kompetentnie stosującego rozmaite formy przemocy. Wolał go nie zagadywać.

Dotarli do portu bez kłopotów i znaleźli załogę siedzącą w magazynie celnym, opróżnionym z klejnotów przez kupców z kwitami. Rozpalili ognisko, żeby się ogrzać.

- Chcemy odlecieć natychmiast - powiedział kupiec do oficera dyżurnego portu. - Czy może mi pan wymienić lirańską walutę?

Oficer zaczął się płatać w przeprosinach, że już późno i sejf jest zamknięty na noc...

- Nie szkodzi. Wymienimy ją na Wedze. Wróci do was. Proszę odwołać strażników i rozpieczętować statek.

Poszli za oficerem na lądowisko w kierunku pękatej sylwetki „Starsong”. Urzędnik rozbił pałką pieczęć oświetloną ostrym światłem lutlampy trzymanej przez jednego ze strażników.

Przez cały ten czas Alen pocił się mocno. Kiedy ruszyli przez lądowisko, zauważył, jak nisko nad horyzontem, po stronie miasta, dwie położone blisko siebie zielone gwiazdki nagle gwałtownie zaczynają się poruszać niewielkimi łukami w górę i ku sobie. Semafor!

Oficer sygnałowy w budynku administracji portu na pewno powinien obserwować... ale wszyscy na płycie lądowiska byli zajęci procedurą odlotową i nikt nic nie zauważył.

Światelka kiwały się w różne strony. Alen nie znał kodu i bardzo tego żałował. Po jakichś dwudziestu sygnałach światła ustawiły się w pozycji spoczynkowej, a tymczasem oficer dyżurny monotonicznie wyliczał przepisy odlotowe: kierunek, wysokość nad obszarami zamieszkanymi, paliwa atomowe dopuszczalne w atmosferze... Alen spostrzegł kogoś wychodzącego z budynku administracyjnego i idącego po płycie w ich stronę. Strażnicy opierali się na swojej długiej broni, sprawiającej wrażenie bardzo efektywnej.

Alen nieznacznie odsunął się od grupy otaczającej „Starsong” i ruszył na spotkanie zbliżającej się sylwetki. Kiedy był już niedaleko, cicho powitał gościa w lirańskim, używając zwrotu stosowanego przez podoficerów zwracających się do oficera.

- Sierzancie - powiedział cicho oficer sygnałowy - odsuńcie nieco ludzi od gwiazdnych wędrowców i powiedzcie im, że statek nie może odlecieć. Mają wziąć obcych na muszkę i strzelać, jeśli...

Alen stał oszołomiony nad bezwładnym ciałem żołnierza. A potem szybko schował pałkę i wrócił do statku, zastanawiając się, czy nie roztrzaskał Liraninowi czaszki.

Załoga wchodziła na pokład. On był ostatni.

- Zamykajcie szybko - poradził kupcowi. - Musiałem...

- Mam oczy - mruknął czarnobrody. - Wiadomość z semafora? Mówiąc, działał cały czas i metalowa kłapa się zamknęła.

- Astrogator i chief, przejmujecie statek - powiedział.

- Wszyscy do koi - poleciał astrogator Huffner. - Startujemy natychmiast.

Alen dotarł do swojej klitki i rozebrał się. Start ogłuszył go i jak zawsze wywołał gwałtowne mdłości. Po czasie, który wydawał się trwać długie, okropne godziny, znaleźli się w przestrzeni, przyspieszenie ustaliło się i nudności zmały.

Czarnobrody zapukał, wszedł i odpiął mu pasy.

- Jesteś gotów skontrolować księgi rachunkowe wyprawy? - zapytał.

- Nie - odparł Alen słabo.

- To może poczekać - oznajmił kupiec. - I tak księgi to najmniej ważna rzecz. Zażegnaliśmy przerażającą wojnę.

- Wojnę? Zażegnaliśmy?

- Wojnę pomiędzy Królestwem Eylofa i Wega. Od dawna po konsulatach i misjach handlowych krążą plotki, że obydwie rządy tęsknym okiem spoglądają na Lirę, że mają plany penetracji jej ekonomii przez dostarczanie metali na pozbawioną ich planetę. Nawet siłą, jeśli będzie trzeba. Alen, właśnie zlikwidowaliśmy pretekst, którego spróbowowałyby użyć Królestwo Eylofa i Wega, by rzucić się na Lirę i w nieunikniony sposób wejść w konflikt. Teraz Lira otrzymuje swój metal bez wplątywania się w czyjeś imperialistyczne zapędy.

- Nie widziałem żadnego metalu - zaprotestował Alen słabo.

- Zastanawiałeś się, dlaczego tak się śpieszyłem z opuszczeniem Liry i dlaczego nie chciałem zostawić tam Elwona. Otóż nasze wegańskie klejnoty były wyjątkowo niezwykle. Nie jestem technikiem, ale wiem, że to prawdziwe drogie kamienie tak spreparowane, by wywołać pewien efekt, mniej więcej teraz.

Czarnobrody spojrział na naręczny chronometr.

- Lira otrzymuje metal - powiedział z rozmarzeniem. - Wszędzie, gdzie znalazł się jeden z naszych klejnotów, ceramika rozpada się na pierwiastki składowe - glin, krzem i tlen. Skorupy i glazury rozpadają się na wapń, cynk, bar, potas, chrom i żelazo. Budynki zapadają się, spodnie spadają, kiedy ceramiczne klamry u pasków znikają...

- To oznacza chaos! - zaprotestował Alen.

- To oznacza cywilizację i pokój. Szykowało się paskudne starcie. - Czarnobrody przerwał na chwilę i dodał z rozmysłem: - Większość ludzi czuje się całkowicie zadowolona z życia, jeśli pozostają nietknięte ich własność i honor.

-*Książę*, rozdział dziewiętnasty. Jesteś...

- Podróż ta miała jeszcze jeden ważny cel - powiedział kupiec, uśmiechając się szeroko. - To cię zainteresuje.

Podał Alenowi dokument, który na samej górze opatrzony był pieczęcią Szkoły i Zakonu Heroldów.

- Egzaminator dziewiętnasty do rektora - przeczytał oszołomiony Alen. - Końcowa ocena nowicjusza...

Z dumą zatrzymał się dłużej przy ustępie opisującym, jak z „opaniem i dużą

pomysłowością” przechytrzył krążownik Królestwa Eylofa, „szybko adaptując się do sytuacji wymagającej nie tylko odwagi, lecz również błyskawicznego przypomnienia sobie, oceny i wykorzystania kultury niewielkiej planety”.

Z nieco mniejszą dumą przeczytał: „...ma skłonność do pompatycznych zachowań, dość zabawnych u kogoś w jego wieku, choć udało mu się swoją postawą zdominować załogę...”.

I: „...sprzedaż naszych kamieni z dużym zyskiem to wyczyn o dużym znaczeniu, jako że Szkoła i Zakon Heroldów muszą się, mimo wszystko, z czegoś utrzymywać”.

I: „...pokonał ostatnią i kluczową przeszkodę z pewnym umysłowym wzburzeniem, jeśli mogę to osądzać, lecz dokonał tego. Po około dwudziestu latach indoktrynacji wpajającej nierealistyczne nieuciekanie się do użycia siły, młody człowiek znalazł się w sytuacji, w której wyłącznie przemoc była użyteczna. Uderzył pałą w głowę lirańskiego oficera sygnałowego, demonstrując w ten sposób zdolność uczenia się i zdrowy rozsądek, równie cenny, jak rzadki”.

I w końcu, po prostu: „Proponowany do szkolenia”.

- Szkolenia? - zachłysnął się Alen. - To znaczy, że są dalsze kursy?

- Dla niewielu, chłopcze. Dla niewielu. Większość z nas jest taka, jak nas widzą: nieśmiali, stroniący od broni, niezastąpieni w handlu, wyściełający nam gniazdka procentowymi udziałami. Potrzebujemy tych pieniędzy tak samo jak pacyfistycznych heroldów.

- Oprócz różnego innego zła - zacytował Alen powoli - fakt nienoszenia broni sprowadza na ciebie pogardę.

- Rozdział czternasty - rzekł czarnobrody odruchowo. - Zostawiamy im przy łóżkach takie wskazówki przez dwadzieścia lat, a oni nigdy ich nie zauważają. Na nas, którzy je spostrzegą, czeka dalsze szkolenie.

- Czy nauczę się rzucać nożem tak jak ty? - zapytał Alen, jednocześnie tą myślą zafascynowany i przepelnięty wstrętem.

- W swoim czasie, jeśli zechcesz. Głównie będzie to etyka i nauki moralne, abyś potrafił ocenić wartość takich rzeczy jak rzucanie nożem.

- Etyka! Nauki moralne!

- Wiesz, zaczynaliśmy jako misjonarze.

- Wszyscy to wiedzą. Lecz Wielka Utylitariańska Reforma...

- Niektórzy z nas uważają - przerwał mu czarnobrody oschle - że nie była to ani wielka, ani utilitarna, ani nawet reforma. Teraz już Alen doznał wstrząsu.

- Przecież rozpowszechniamy Utylitariańska cywilizację! - zaprotestował. - A jeśli nie, jaki jest sens tego wszystkiego?

- Każdy ma swoje motywacje. Jeden to szczerzy utilitarianin; drugi to ryzykant - szczęśliwy, tylko gdy znajduje się w niebezpieczeństwie i tętno mu przyśpiesza. Jeszcze inny jest dumny i lubi przechytrzać ludzi. Wielu z nas uważa się za sługi ludzkości. Teraz możesz trochę odpocząć.

Wstał.

- A ty? - spytał Alen z wahaniem.

- Ja? Znajdziesz mnie w rozdziale dwudziestym szóstym - uśmiechnął się szeroko czarnobrody. - A może i kogoś jeszcze.

Zamknął za sobą drzwi.

Alen przebiegł w myślach rozdział dwudziesty szósty, głowiąc się nad odpowiedzią. Nagle doznał olśnienia.

Czuł jakąś dziwną a nieuchronną bliskość do tych słów, jakby zawsze wiedział, że będzie

wymawiał je na głos, z przyjemnością, w tej ciasnej klitce na pokładzie poobijanego statku:

- Bóg nie chce robić wszystkiego, zatem daruje nam wolną wolę i tę cząstkę chwały, która przynależy do nas.

Z jakiegoś niejasnego powodu - może kobiety nie wyrosły w tradycji młodzieżowej literatury przygodowej „dla chłopców”, która potem je inspiruje? Są bardziej rozsądne lub dojrzałe emocjonalnie od mężczyzn? Rynek (czytaj: wydawcy mężczyźni) im nie sprzyja? A może wpływ mają cykle aktywności słonecznej? - klasyczna fantastyka przygodowa, zwłaszcza kosmiczna przygodówka, a już szczególnie space opera, stanowi głównie domenę mężczyzn. Istniały dawniej wyjątki (C.L. Moore, Katherine MacLean, Andre Norton) i istnieją obecnie (C.J. Cherryh, Eleanor Arnason, Janet Kagan, Lois McMaster Bujold), ale na ogół to prawda: lepiej postawić na mężczyznę, jeśli próbujesz odgadnąć płeć autora danej space opery. Nawet dzisiaj, kiedy niektóre największe nazwiska w głównonurtowej fantastyce należą do kobiet, znacznie więcej mężczyzn uprawia tę konkretną odmianę gatunku znaną jako space opera - a w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ich przewaga była jeszcze większa.

Jednym z najbardziej oczywistych wyjątków od tej reguły jest nieżyjąca już Leigh Brackett. Nawet w zdominowanym przez mężczyzn świecie przygodowej pulpy lat czterdziestych i pięćdziesiątych, w przesiąkniętych testosteronem magazynach groszowych takich jak: „Planet Stories”, „Thrilling Wonder Stories” i „Startling Stories”, gdzie z góry zakładano, że czytelnikami będą w większości równie przesiąknięci testosteronem nastoletni chłopcy, nawet w epoce, kiedy kobiety miały siedzieć bezpiecznie w kuchni, z dala od maszyny do pisania, nikt nie mógł wątpić, że Leigh Brackett zasłużyła sobie na miejsce przy jednym stole z mężczyznami. W istocie jej utwory zdobyły większą popularność u czytelników niż wiele kawałków jej kolegów po piórze, toteż wywierały wpływ nieporównywalny do innych opowiadań publikowanych w groszowych magazynach, może z wyjątkiem utworów Raya Bradbury’ego i Jacka Vance’a. Niewątpliwie w tamtych czasach Brackett była Królową Planetarnego Romansu, zwłaszcza odkąd w połowie lat czterdziestych jej główna konkurentka do tego tytułu, C.L. Moore - która i tak zawsze miała skłonności do horroru, zwłaszcza w utworach pisanych w latach trzydziestych dla „Weird Tales” i podobnych pism - porzuciła przygodową pulpę na rzecz bardziej szacownej głównonurtowej fantastyki naukowej dla „Astounding” (od czasu do czasu współpracowała z mężem, Henrym Kuttnerem, lecz jej wkład często bywał niewidoczny w utworach podpisanych tylko jego nazwiskiem).

Brackett sprzedała swoje pierwsze opowiadanie w 1940 roku, a na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych stała się jednym z filarów takich magazynów, jak „Planet Stories”, „Startling Stories”, „Astonishing Stories” i „Thrilling Wonder Stories”, zwłaszcza „Planet Stories”, gdzie pojawiło się wiele jej najlepszych rzeczy. Zdecydowanie najlepszą, chociaż nietypową dla niej powieścią jest dojrzała, przemyślana The Long Tomorrow, jedna z najlepszych fantastycznych książek lat pięćdziesiątych. Bardziej typowa dla niej i bardziej popularna była seria opowiadań o zuchwałym, barbarzyńskim, odważnym do szaleństwa Ericu Johnie Starku - takim kosmicznym Conanem z domieszką Tarzana z Merkurego - które ukazywały się w magazynach, a potem rozrosły się do rozmiarów powieści, jak The Secret of Sinharat i People of the Talisman. Inne powieści w podobnie romantycznym i heroicznym stylu to The Sword of Rhiannon i Shadow over Mars (The Nemezis from Terra). Brackett tworzyła również bardziej standardowe międzygwiazdne space opery, między innymi The Starmen of Llyrdis, The Big Jump i Alpha Centauri - or Die!, sprawnie napisane, ale nieposiadające tego rozbuchanego kolorytu i wybujałego romantyzmu co utwory z gatunku kosmicznej przygodowej sagi. Jej melancholijna wizja

dekadenckiego, umierającego Marsa, kolebki Zaginionych Miast i zniedołężniałych, hipercywilizowanych Starszych Ras na granicy wyginięcia należy do trzech najbardziej sugestywnych konceptualizacji czerwonej planety w fantastyce naukowej, zajmując miejsce tuż za Barsoomem Edgara Rice Burroughsa i Marsiem Raya Bradbury'ego z Kronik marsjańskich. (Mars Burroughsa wywarł silny wpływ zarówno na Brackett, jak na Bradbury'ego, lecz chociaż ich koncepcje wykazują wyraźne podobieństwo - co najmniej bliscy kuzyni, jeśli nie przyrodni bracia - pozostaje pytanie o podział wpływów pomiędzy nimi, czyli kto na kogo wpłynął, ponieważ Brackett i Bradbury byli bliskimi kolegami po piórze i krytykowali nawzajem swoją twórczość już od 1941 roku, a ich marsjańskie opowiadania ukazywały się mniej więcej jednocześnie, często w tych samych magazynach). Trudno odgadnąć, jakie późniejsze marsjańskie wpływy pochodzą od Burroughsa, Brackett czy Bradbury'ego, zresztą każda taka ocena pozostaje w pewnym stopniu subiektywna, ja jednak dostrzegam wpływ Brackett zwłaszcza w słynnym opowiadaniu Rogera Zelaznego Róża dla Eklezjastesa, może nawet u Roberta A. Heinleina w Red Planet i Obcym w obcym kraju. Wywarła widoczny wpływ na Ursulę K. LeGuin oraz na wielu pisarzy lat siedemdziesiątych, jak John Varley, George R. R. Martin i Elizabeth A. Lynn, co trwało aż do lat dziewięćdziesiątych i uzewnętrzniło się między innymi w utworach Eleonor Amason (choć u pisarzy nowszej generacji należy przyjąć, że ten wpływ raczej nie został przekazany bezpośrednio, tylko przefiltrowany przez dzieła LeGuin, posiadające ogromną siłę wyrazu).

Brackettowska wizja Marsa nigdzie nie została wyrażona w bardziej czystej i skoncentrowanej formie co w tym nastrojowym, sugestywnym, dojmująco smutnym opowiadaniu, gdzie pełen dobrych chęci Ziemiaków niechętny przyspiesza zagładę niewyobrażalnie starożytnej cywilizacji...

W połowie lat pięćdziesiątych Brackett przerzuciła się z fantastyki naukowej na kryminały, co zaowocowało pisaniem scenariuszy dla telewizji i filmów, takich jak Rio Bravo (nowelizacja wydana w Polsce), El Dorado, Hatari!, Rio Lobo i Długie pożegnanie. (Legenda mówi, że Howard Hawks po przeczytaniu jej powieści No Good from a Corpse kazał asystentowi „sprowadzić tego faceta Bracketta” do pracy z Williamem Faulknerem nad jej pierwszym poważnym filmem, klasykiem z 1946 roku Wielki sen). W połowie lat siedemdziesiątych na krótko powróciła do fantastyki, próbując wskrzesić bohatera swojego starego cyklu, Erica Johna Starka, w powieściach The Ginger Star, The Hounds of Skaith i The Reavers of Skaith, ale do tej pory sondy kosmiczne odkryły, że żadna z planet Układu Słonecznego nie nadaje się do życia, toteż autorka musiała porzucić Wenus, Marsa i Merkurego, które stanowiły scenerię wcześniejszych utworów, i wysłać Starka ku odległym gwiazdom w poszukiwaniu przygód. Z jakiegoś powodu to nie było to samo: znikła niewinna egzaltacja wczesnych opowiadań, a cykl zmarł śmiercią naturalną po trzech tomach. W tym samym mniej więcej czasie Brackett wydała antologię opowiadań wybranych z magazynu „Planet Stories”, pod tytułem The Best of Planet Stories No. 1, która zgodnie z nazwą miała być pierwsza w serii podobnych antologii, ale ta seria też upadła jeszcze przed wydaniem drugiego tomu. Ostatnią rzeczą Brackett znaczącą w fantastyce naukowej był scenariusz do słynnego filmu Imperium kontratakuje, za który otrzymała w 1980 roku pośmiertnie nagrodę Hugo, jedyną tej klasy w jej karierze. Wiele jej opowiadań, w których najpełniej wyraziła swój talent (ze znamienym wyjątkiem powieści The Long Tomorrow), wydano w zbiorach The Coming of the Terrans, The Halving and Other Stories i najnowszym z 1977 roku, The Best

Leigh Brackett

OSTATNIE DNI SHANDAKORU

1

Wszedł do winiarni sam, owinięty ciemnoczerwonym płaszczem, z kapturem naciągniętym na głowę. Stał przez chwilę w drzwiach i jedna z tych smukłych, drapieżnych kobiet, które bywają w podobnych miejscach, podeszła do niego z srebrzystym dzwonieniem małych dzwoneczków, stanowiących prawie cały jej ubiór.

Zobaczyłem, jak się do niego uśmiecha. Ale nagle jej uśmiech zrobił się sztuczny i coś się stało z jej oczami. Nie patrzyła już na mężczyznę w płaszczu, ale poprzez niego. To było bardzo dziwne - jakby nagle stał się niewidzialny.

Przeszła obok niego. Nie wiem, czy powiedziała coś pozostałym, ale wokół obcego wytworzyło się puste miejsce. I nikt na niego nie patrzył. Nawet nie unikali patrzenia na niego. Po prostu nie chcieli go widzieć.

Szedł powoli przez zatłoczoną salę. Był bardzo wysoki i poruszał się z pełnym siłą wdziękiem, bardzo pięknie. Ludzie usuwali mu się z drogi, jakby nieświadomie. Powietrze było gęste od niemożliwych do określenia zapachów, dźwięczało śmiechami kobiet.

Dwóch wysokich barbarzyńców, dobrze opitych winem, przypomniało sobie o jakiejś wojnie międzyplemiennej, a rozwrzeszczany tłum zrobił im miejsce do walki. Srebrny flet, bęben i podwójna harfa grały starą, dziką muzykę. Gibkie śniade ciała skakały i kręciły się wokół siebie wśród śmiechu, krzyków i dymu.

Obcy przeszedł przez to wszystko, samotny, niedostrzegany. Przeszedł blisko miejsca, gdzie siedziałem. I - może dlatego że ja, jedyny w tym miejscu, nie tylko go dostrzegłem, ale wpatrywałem się w niego - rzucił mi spojrzenie swoich czarnych oczu spod cienia kaptura. Oczu jak płonące węgle, lśniących cierpieniem i wściekłością.

Jego zakryta twarz tylko mi mignęła. Mgnienie oka - ale to wystarczyło. Dlaczego musiał pokazać mi swoją twarz w tej winiarni w Barrakeshu?

Minął mnie. W zacienionym kącie, gdzie się skierował, nie było wolnego miejsca, ale zaraz powstało - pusty krąg, fosa odgradzająca obcego od tłumu. Usiadł. Zobaczyłem, jak kładzie monetę na brzegu stołu. Podeszła posługaczka, wzięła monetę i postawiła kielich wina. Ale w taki sposób, jakby obsługiwała pusty stół.

Zwróciłem się do Kardaka, głównego poganiacza, Shunyjczyka o potężnych ramionach i długich włosach zaplecionych w skomplikowany węzeł, charakterystyczny dla jego plemienia.

- Co się tu dzieje? - zapytałem.

Kardak wzruszył ramionami.

- Kto wie? - podniósł się. - Chodź, Jon Ross. Czas wracać do seraju.

- Do odjazdu zostały całe godziny. I nie okłamuj mnie, od dawna jestem na Marsie. Kim jest ten człowiek? Skąd przyszedł?

Barrakesh jest bramą między północą a południem. Dawno temu, kiedy w okolicach równika i na południowej półkuli Marsa były oceany, kiedy Valkis i Jekkara były dumnymi stolicami imperiów, a nie gniazdami złodziei, przez tysiące lat wielkie karawany przybywały właśnie tu, do Barrakeshu leżącego na skraju Suchych Ziemi na północy. To dobre miejsce dla obcych.

Na ulicach wybrukowanych zjedzonym przez czas kamieniem spotkać można wysokich górali z Keshi, koczowników z Górnego Shunu, smukłych, ciemnych ludzi z południa, kupczących łupami z zapomnianych grobowców i świątyn, kosmopolitycznych, wyrafinowanych mieszkańców Kahory i miast kupieckich, w których znajdują się porty kosmiczne i wszystkie wygody nowoczesnej cywilizacji.

Obcy w czerwonym płaszczu nie był żadnym z nich.

Widziałem jego twarz przez mgnienie oka. Jestem antropologiem planetarnym. Miałem opracowywać marsjańską etnologię. Dostałem na to stypendium z terrańskiego uniwersytetu, zbyt ignoranckiego, by wiedzieć, że sam ogrom marsjańskiej historii czyni takie zadanie niewykonalnym.

W Barrakeshu przygotowywałem się do rocznej wyprawy, by studiować plemiona Górnego Shunu. I nagle obok mnie przeszedł człowiek o złotej skórze, niemarsjańskich oczach i rysach twarzy niepodobnych do żadnej ze znanych mi ras. Widziałem rzeźbione twarze faunów, które go trochę przypominały.

- Czas już iść, Jon Ross! - powtórzył Kardak.

Spojrzałem na obcego, który pił swoje wino w samotności i milczeniu.

- No dobrze, sam go zapytam. Kardak westchnął.

- Ziemianie nie mają wiele mądrości.

Odwrócił się i zostawił mnie samego.

Podszedłem do stolika w zacienionym kącie. Zapytałem, czy mogę usiąść, w kurtuazyjnym wysokomarsjańskim, który znają we wszystkich miastach Dolnych Kanałów.

Te wściekle, pełne cierpienia oczy spojrzały na mnie. Była w nich nienawiść, pogarda i wstyd.

- Do jakiego gatunku człowieka należysz?

- Jestem Ziemianinem.

Powtórzył tę nazwę parę razy, jakby już ją słyszał i starał się sobie przypomnieć.

- Ziemianin. A zatem wiatry wiejące przez pustynię mówią prawdę. Mars jest martwy i istoty z innych światów bezczeszczą jego prochy. - Rozejrzał się po winiarni i ludziach, którzy nie chcieli dostrzec jego obecności. - Zmiana - szepnął. - Śmierć, zmiana i przemijanie.

Mięśnie na jego twarzy napięły się mocno. Wypił, a ja dostrzegłem, że musiał pić od dawna, może od wielu dni lub tygodni. Opanowało go ciche szaleństwo.

- Dlaczego ludzie cię unikają?

- Tylko ktoś z Ziemi może o to pytać - odparł i zaśmiał się, śmiechem suchym i gorzkim.

Nowa rasa, nieznaną rasą! - myślałem. Roilem o sławie, jaka czasem staje się udziałem tych, którzy odkrywają coś nowego, o katedrze, którą mógłbym objąć na uniwersytecie, gdybym dorzucił nieznaną dotąd element do mozaiki będącej historią Marsa. Sam też wypilem sporo wina. Katedra zdawała się zrobiona ze szczerzego złota.

- Chodzę z miejsca na miejsce w tej dziurze zwanej Barrakeshem - powiedział cicho obcy - i wszędzie jest tak samo. Przestałem istnieć. - W cieniu kaptura mignęły na moment jego białe zęby. - Moi ludzie byli mądrzejsi ode mnie. Kiedy Shandakor umrze, my też umrzemy, niezależnie od tego, czy nasze ciała żyją, czy też nie.

- Shandakor? - powtórzyłem. Jakbym słyszał odległe dzwony.

- Skąd Ziemianin mógłby wiedzieć? Tak, Shandakor! Zapytaj ludzi z Keshu i ludzi z Shunu! Zapytaj królów Mekhu, którzy żyją po drugiej stronie świata! Zapytaj wszystkie ludy Marsa. Nie zapomnieli o Shandakorze! Ale nic ci nie powiedzą. Dla nich to wspomnienie i ta nazwa

to gorzki wstyd.

Patrzył na rozbawiony tłum wypełniający salę i wylewający się na hałaśliwą ulicę przed winiarnią.

- I jestem tu wśród nich... zaginiony.

- Shandakor umarł?

- Umiera. Trzech z nas nie chciało umrzeć. Ruszyliśmy przez pustynię na południe. Jeden zawrócił, jeden zginął wśród piasków, a ja jestem tu, w Barrakeshu.

Metal kielicha wygiął się w jego dłoniach.

- I żałujesz, żeś przyszedł - powiedziałem.

- Powinienem być zostać i umrzeć wraz z Shandakorem. Teraz o tym wiem. Ale nie mogę wrócić.

- Dlaczego? - Teraz zastanawiałem się, jak będzie wyglądało moje nazwisko Ross wypisane złotymi literami na liście odkrywców.

- Pustynia jest szeroka. Ziemianinie. Za szeroka dla jednego.

- Mam karawanę - odpowiedziałem. - Jadę na północ. W jego oczach rozbłysło światło tak dziwne i groźne, że się przestraszyłem.

- Nie! - szepnął. - Nie!

Siedziałem w milczeniu, patrząc na tłum, który zapomniał o mnie także, gdyż siedziałem z obcym. Nowa rasa, nieznanne miasto. A ja byłem pijany. Po długim czasie obcy zapytał:

- Czego szuka Ziemianin w Shandakorze?

Powiedziałem mu. Roześmiał się.

- Badasz ludzi! - Znowu się roześmiał, aż zafalował czerwony płaszcz.

- Jeśli chcesz wrócić, zabiorę cię. Jeśli nie, powiedz mi, gdzie leży to miasto, a ja je znajdę. Twoja rasa, twoje miasto powinny mieć swoje miejsce w historii.

Nie odpowiedział, ale wino dodało mi przenikliwości. Wstałem.

- Zastanów się - powiedziałem. - Możesz mnie znaleźć w seraju przy północnej bramie, dopóki nie wzejdzie mniejszy księżyc. Potem odjadę.

- Czekaaj!

Zacisnął palce na moim nadgarstku. Bolało. Spojrzałem mu w twarz i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Ale, jak wspomniał Kardak, nie miałem wiele mądrości.

- Twoi ludzie nie pójdą dalej niż Studnie Karthedonu - powiedział obcy.

- W takim razie pójdziemy bez nich. Długa, długa cisza.

- Niech tak będzie - rzekł w końcu.

Wiedziałem, o czym myślał, tak dobrze, jakby wypowiedział to na głos. Myślał, że jestem tylko Ziemianinem i może mnie zabić, gdy znajdziemy się w pobliżu Shandakoru.

2

Szlaki karawan rozgałęziają się przy Studniach Karthedonu. Jeden idzie na zachód do Shunu, a jeden na północ przez przełęcz Zewnętrzny Keshu. Jest jednak trzeci, starszy od tamtych. Idzie prosto na wschód i nikt z niego nie korzysta. Głębokie studnie w skałach są puste, a kamienne schroniska zniknęły pod napierającymi wydmami. Dopiero gdy szlak zaczyna wspinać się na góry, pojawiają się choćby wspomnienia.

Kardak uprzejmie odmówił pójścia dalej niż do Studni. Powiedział, że zaczeka na mnie odpowiedni czas, a jeśli wrócę, pójdziemy do Shunu. Jeśli nie - jego zapłata powierzona została miejscowemu notablowi. Zabierze ją i wróci do domu. Nie podobało mu się, że obcy jest z nami. Podwoił cenę.

Podczas tego długiego marszu z Barrakeshu nie zdołałem wyciągnąć ani jednego słowa na temat Shandakoru z Kardaka czy innych. Obcy też nic nie mówił. Zdradził mi swoje imię - Corin - i nic więcej. Okryty płaszczem i kapturem, jechał samotnie i rozmyślał. Demony go nie opuszczały, dołączył do nich jeszcze jeden - niecierpliwość. Zamęczyłby nas na śmierć, gdybyśmy mu pozwolili.

Tak więc Corin i ja wyruszyliśmy sami z Katherdonu na wschód, mając tyle wody, ile zdołaliśmy unieść. Teraz nie byłem już w stanie go powstrzymać.

- Nie ma czasu na przerwy - powiedział. - Dni uciekają. Nie ma czasu!

Kiedy dotarliśmy do gór, zostały nam tylko trzy zwierzęta, a mijając pierwszy grzbiet, szliśmy już pieszo i prowadziliśmy jedyne pozostałe zwierzę, które niosło coraz lżejsze bukłaki z wodą.

Szliśmy teraz drogą. Częściowo wyciosana, częściowo udeptana, prowadziła przez góry, nagie, pochyłe góry, w których panowała cisza i które zaludniały jedynie czerwone skały rzeźbione przez wiatr.

- Kiedyś chodziły tędy armie - mówił Corin. - Królowie, karawany, żebracy, ludzcy niewolnicy, śpiewacy i tancerki, i wysłannicy książąt. To była droga do Shandakoru.

I szliśmy nią z prędkością szaleńców.

Zwierzę spadło ze zbocza i skrzyło sobie kark, więc sami musieliśmy nieść ostatni bukłak. Nie był ciężki, a robił się coraz lżejszy.

Pewnego popołudnia, tuż przed zachodem słońca, Corin powiedział nagle:

- Zatrzymamy się tutaj.

Przed nami droga wspinała się prosto pod górę. Nie było nic widać ani słyszeć. Corin usiadł w naniesionym przez wiatr pyłe. Ja też przysiadłem. Obserwowałem go. Miał zasłoniętą twarz i milczał.

Cienie gęstniały w tej głębokiej, wąskiej dolinie. Nad nami fragment nieba zapłonął szafranem i czerwienią - a potem ukazały się jasne, okrutne gwiazdy. Wiatr pracował nad cięciem i szlifowaniem kamieni, mrużąc coś do siebie z niezadowoleniem i skargą, stary i zdzieciniał wiatr. Potem rozległ się cichy, suchy stukot padających kamyków.

Pistolet w mojej ukrytej pod płaszczem dłoni wydawał się zimny. Nie chciałem z niego korzystać. Ale nie chciałem też umierać tutaj, na tej milczącej drodze, którą kiedyś chodziły wojska, karawany i królowie.

Między skałami prześlizgnął się zielonkawy promień księżyca. Corin wstał.

- Dwa razy poszedłem za kłamstwem. Teraz nareszcie spotkałem prawdę.

- Nie rozumiem - odpowiedziałem.

- Myślałem, że zdołam uciec przed zniszczeniem. To było kłamstwo. Potem myślałem, że mogę wrócić i dzielić je z innymi. To także było kłamstwem. Teraz dostrzegłem prawdę. Shandakor umiera. Uciekłem przed tą śmiercią, która jest końcem miasta i końcem mojej rasy. Hańba ucieczki pozostała we mnie i nie mogę już powrócić.

- Co zatem zrobisz?

- Umrę tutaj.

- A ja?

- Czy myślałeś, że sprowadzę obcą istotę, by widziała koniec Shandakoru? - zapytał cicho.

Ja poruszyłem się pierwszy. Nie wiedziałem, jaką bronią mógł dysponować, co krył pod tym ciemnoczerwonym płaszczem. Rzuciłem się na pokryte pyłem skały. Coś przeleciało nad moją głową z sykiem, grzechotem i płomieniem. Zbiłem Corina z nóg, a kiedy upadł, rzuciłem

się na niego.

Miał w sobie życie. Musiałem dwa razy uderzyć jego głową o kamień, zanim zdołałem wyrwać mu z rąk groźny mały instrumencik złożony z metalowych prętów. Odrzuciłem go jak najdalej. Nie mogłem znaleźć żadnej innej broni oprócz noża, który też mu odebrałem. Podniosłem się na nogi.

- Zaniosę cię do Shandakoru - powiedziałem.

Leżał bez ruchu, okryty fałdami swojego płaszcza. Oddychał chrapliwie.

- Niech i tak będzie. - Potem poprosił o wodę.

Poszedłem po bukłak, w którym został może z kubek. Nie słyszałem, jak Corin się poruszył. Zrobił to bardzo cicho, ozdobą o ostrych krawędziach. Kiedy przyniosłem wodę, było już po wszystkim. Spróbowałem go podnieść. Jego oczy patrzyły na mnie z dziwnym blaskiem. Potem wyszeptał trzy słowa w języku, którego nie znałem, i umarł.

Jego krew spływała na piach. Nawet w świetle księżyca widziałem, że nie ma koloru ludzkiej krwi.

Ogarnęła mnie dziwna niemoc. Wyciągnąłem rękę i odsunąłem czerwony kaptur z jego głowy. Była to piękna głowa. Nigdy takiej nie widziałem. Gdybym widział, nie ruszyłbym z Corinem w góry. Gdybym ją zobaczył wcześniej, zrozumiałbym wiele rzeczy i nie poszedłbym do Shandakoru za żadne pieniądze, nie zważając na mrzonki o sławie.

Jego czaszka była wąska i wysklepiona. Porastały ją krótkie, wijące się włókna, które w świetle księżyca lśniły niemal jak metal, jasno i srebrzyście. Poruszyły się pod moją dłoń, reagując na dotknięcie obcej ręki. Jak tylko odsunąłem dłoń, lśnienie zbladło.

Kiedy dotknąłem ich ponownie, nie poruszyły się. Uszy Corina były spiczaste, ozdobione na końcach srebrzystymi pędzelkami. Na uszach, przedramionach i piersi zobaczyłem słabe, słabiutkie ślady łusek, warstwę lśniącego pyłu na złocistej skórze. Spojrzałem na jego zęby - też nie były ludzkie.

Teraz już rozumiałem, dlaczego Corin wybuchnął śmiechem, słysząc, że badam ludzi.

Siedziałem bez ruchu, przykucnięty. Słyszałem, jak żwir i drobne kamyki toczą się w dół zboczy, jak piasek szepcze w pęknięciach skał. Studnie Karthedonu były bardzo daleko. O wiele za daleko dla pieszego z kubkiem wody.

Spojrzałem na drogę, która przede mną wznosiła się stromo pod górę. Spojrzałem na Corina. Wiatr był chłodny, a promienie księżyca słabły. Nie chciałem zostać sam w ciemnościach z Corinem.

Wstałem i ruszyłem drogą prowadzącą do Shandakoru.

Wspinaczka była długa, ale sama droga nie. Wyszedłem między dwoma spiczastymi skałami. Poniżej tej bramy, daleko w dole, rozciągała się dolina skąpana światłem dwóch księżyców, które tak szybko obiegają Marsa.

Kiedyś dolinę tę otaczały wysokie góry w śnieżnych koronach, z czarnymi i purpurowymi graniami, na których miały swoje gniazda latające jaszczury, Jastrzębie jaszczury o czerwonych oczach. Poniżej grani leżały lasy, fioletowe, zielone i złote, a na dnie doliny - czarne stawy. Teraz pejzaż był martwy. Szczyty się rozpadły, lasy zniknęły, a po stawach zostały tylko jamy w nagiej skale.

Pośrodku tego martwego krajobrazu stało ufortyfikowane miasto. Płonęły w nim światła, łagodne światła o wielu barwach. Zewnętrzne mury, czarne i potężne, stały jako bariera dla napierającego piasku, a za nimi leżała wyspa życia. Wysokie wieże nie nosiły śladów zniszczeń. Między nimi Płonęły światła, a na ulicach widać było ruch.

Żyjące miasto - a Corin mówił, że Shandakor umiera.

Bogate, żyjące miasto. Nie rozumiałem tego, ale wiedziałem jedno. Ci, który poruszali się po ulicach Shandakoru, nie byli ludźmi.

Stałem tak, drżąc, na wietrznej przełęczy. Barwne wieże miasta wabiły, jednak było coś nienaturalnego w tym życiu i światłach pośrodku martwej doliny. A potem pomyślałem, że mieszkańcy Shandakoru, ludzie czy nie, mogą sprzedać mi wodę i zwierzę, które by ją niosło, bym mógł wydostać się z tych gór, wrócić do Studni Karthedonu.

Droga się rozszerzała, biegnąc w dół zbocza. Szedłem środkiem, nie spodziewając się niczego. Nagle pojawiło się dwóch mężczyzn i zablokowało mi drogę.

Wrzasnąłem. Odskokczyłem w tył, moje serce waliło szaleńczo. Dostrzegłem, jak ich miecze lśnią w świetle księżyców. A oni się zaśmiali.

Byli to ludzie. Jeden był wysokim, rudym barbarzyńcą z Mekhu, leżącego na wschód stamtąd, po drugiej stronie globu. Drugi był smuklejszy, smaglejszy. Pochodził z Taaraku, który leżał jeszcze dalej. Byłem przerażony, wściekły i zdumiony, zadałem więc głupie pytanie.

- Co wy tutaj robicie?

- Czekamy - odpowiedział człowiek z Taaraku. Zatoczył koło ramieniem, by wskazać ukryte w mroku zbocza wokół doliny. - Ludzie przyszli z Keshu i z Shunu, ze wszystkich państw Norlandu i z Marchii, żeby czekać. A ty?

- Zgubiłem się - odpowiedziałem. - Jestem Ziemianinem i nie mam nic przeciw nikomu. - Wciąż drżałem, ale teraz z ulgi. Nie będę musiał iść do Shandakoru. Jeżeli zebrały się tu barbarzyńskie wojska, muszą mieć zapasy i mogę się z nimi układać.

Powiedziałem, czego mi trzeba.

- Mogę zapłacić, dobrze zapłacić. Spojrzeli po sobie.

- Dobrze więc. Chodź, porozmawiasz z wodzem.

Szli obok mnie, z obu stron. Po trzech krokach nagle znalazłem się na ziemi, twarzą do piasku. Zaatakowali jak dzikie koty. Zabrali prawie wszystko, co miałem, z wyjątkiem kilku części ubrania, które nie były im do niczego potrzebne. Wstałem, ocierając krew z ust.

- Dobrze walczysz jak na obcego - powiedział ten z Mekhu. Podrzucił mój worek z pieniędzmi na dłoń, badając jego ciężar, po czym podał mi skórzaną butelkę, która wisiała przy jego boku. - Pij. Tego nie mogę ci odmówić. Ale wodę nosimy daleko przez góry i nie możemy marnować jej na Ziemian.

Nie byłem dumny. Opróżniłem butelkę.

- Idź do Shandakoru - uśmiechnął się człowiek z Taaraku. - Może oni dadzą ci wodę.

- Ale zabraliście mi pieniądze!

- Ci z Shandakoru są bogaci. Nie potrzebują pieniędzy. Idź, poproś ich o wodę.

Roześmiali się z jakiegoś swojego sekretnego dowcipu i wcale mi się to nie podobało. Mógłbym obu zabić i zatańczyć na ich trupach, ale do walki zostawili mi tylko moje własne dłonie. Odwróciłem się więc i ruszyłem przed siebie, podczas gdy oni wciąż śmiali się za moimi plecami.

Droga prowadziła wzdłuż zbocza i przez równinę. Czulem na sobie spojrzenia, wzrok strażników z okolicznych zboczy, obserwujących w świetle księżyców. Mury miejskie stawały się coraz wyższe. Przysłoniły wszystko oprócz jednej wysokiej wieży, zwieńczonej dziwną, spłaszczoną kulą. Z kuli tej sterczały kryształowe pręty. Obracała się powoli, a pręty lśniły jakimś białym, prawie niewidocznym płomieniem.

Droga wznosiła się w stronę Zachodniej Bramy. Szedłem powoli, w ogóle nie chcąc iść. I

wtedy zobaczyłem, że brama jest otwarta. Otwarta - a przecież miasto było obleżone!

Stałem przez chwilę bez ruchu, usiłując dojść sensu tego wszystkiego - armia, która nie atakuje miasta z otwartymi bramami. Nie zdołałem tego zrozumieć. Na murach w leniwych pozach stali żołnierze pod kolorowymi sztandarami. Za bramą kręcił się gwarny tłum. Nie mogłem dosłyszeć żadnych głosów.

Byłem coraz bliżej. Nic się nie działo. Strażnicy nie zawołali do mnie, nikt się nie odezwał.

Wiecie, że konieczność może człowieka zmusić do zrobienia tego, czego zabrania mu rozsądek?

Wszedłem do Shandakoru.

3

Za bramą była otwarta przestrzeń, plac tak wielki, że pomieściłby całą armię. Na jego brzegach stały rzędy straganów. Miały baldachimy z bogatych materii i sprzedawano na nich towary, jakich nie widziano na Marsie od tylu stuleci, że ludzie nie mogą ich nawet policzyć.

Były tu owoce i rzadkie futra, dawno zapomniane barwniki, które nigdy nie blakną, meble wyrzeźbione z wymarłych już drzew. Były przyprawy, wina i przepyszne tkaniny. W jednym miejscu kupiec z dalekiego południa oferował obrzędowy dywan utkany z długich, jasnych włosów dziewic. I wszystko było nowe.

Wszyscy kupcy byli ludźmi. Narodowość niektórych z nich umiałem rozpoznać. Innych - odgadnąć dzięki starym opowieściom. Byli też całkiem mi nieznani.

Wśród tłumów kłębiących się między straganami również widziałem wielu ludzi. Byli księżęta-kupcy, którzy tu przyjechali, by handlować, i grupy niewolników w drodze na aukcję. Ale pozostali...

Wcisnąłem się w zacieniony kąt przy bramie. Ogarnął mnie chłód, który nie miał nic wspólnego z nocnym wiatrem.

Rozpoznałem złocistoskórych panów Shandakoru o srebrzystych głowach, podobnych do Corina. Mówię „panów”, gdyż tak się właśnie zachowywali. Kroczyli dumnie, obsługiwani przez ludzkich niewolników. A ludzie niebędący niewolnikami ustępowali im drogi i zachowywali się z największym szacunkiem, jakby wiedzieli, że samo wpuszczenie do miasta jest dla nich wielkim zaszczytem. Kobiety z Shandakoru były pięknymi, smukłymi, złocistymi nimfami o lśniących oczach i spiczastych uszach.

Byli też inni. Smukłe istoty o wielkich skrzydłach, inne, gibkie i porośnięte futrem, jeszcze inne, łyse i brzydkie, poruszające się z płynną gracją, a także istoty o tak dziwnych kształtach i kolorach, że nawet nie mogłem zgadnąć, jaka ewolucja je wydała.

Stracone rasy Marsa. Starodawne rasy, z których dumy i potęgi nic nie zostało, oprócz niemal już zapomnianych opowieści starych ludzi w najdalszych kątach planety. Nawet ja, który poważnie zająłem się antropologiczną historią Marsa, nigdy o nich nie słyszałem - tylko jako o zniekształconych postaciach z legend, jak satyrowie, giganci na Ziemi.

A jednak tutaj były wyraźnie uprzywilejowane, a usługiwali im nadzy ludzie, których kajdany wykonano ze szlachetnych metali. Kupcy usuwali się z drogi, chyląc głowy w ukłonie.

Płoneły światła o wielu kolorach - nie pochodnie i kaganki z Marsa, który znałem, lecz chłodne promienie padające z kryształowych kuł. Ściany budynków wznoszących się wokół placu obłożono rzadkimi, żyłkowanymi marmurami, a koronujące je żłobione wieże wyłożone były turkusem i cynobrem, bursztynem i jadem, a także cudownymi koralami z południowych oceanów.

Przepyszne szaty i nagie ciała kłębiły się na placu. Trwało kupowanie i sprzedawanie, widziałem, jak usta ludzi otwierają się i zamykają. Usta kobiet śmiały się. Ale na tym zatłoczonym placu nie rozlegał się żaden dźwięk. Ani głos, ani tupnięcie sandała czy szcęk zbroi. Była tylko cisza, absolutny spokój opuszczonych miejsc.

Zacząłem rozumieć, dlaczego nie musieli zamykać bram. Żaden przesądny barbarzyńca nie odważyłby się wejść do miasta zaludnionego przez zjawy.

Ale ja... ja byłem cywilizowany. Na swój niemechaniczny sposób byłem naukowcem. A jednak, gdyby nie trzymała mnie tu konieczność zyskania wody i zapasów, czym prędzej bym uciekł z doliny. Nie miałem jednak dokąd uciekać, zostałem więc, spocony, z gardłem zdławionym kwaśnym smakiem przerażenia.

Czemu te istoty nie wydawały żadnego dźwięku? Czy były duchami... obrazami... snami? Ludzie i nie ludzie, starodawni, dumni, straceni i zapomniani - czyżby znali jakiś subtelny rodzaj życia, o którym nic nie wiedziałem? Czy oni mogli mnie widzieć, jak ja widziałem ich? Czy mieli własne myśli i wolę?

Najdziwniejsza była ich realność, te całkowicie prozaiczne interesy, jakim się oddawali. Duchy się nie targują. Nie obwieszają swoich kobiet naszymi klejnotami z klejnotów i nie kłócą się o cenę inkrustowanej uprzęży.

Ich realność i cisza - to było właśnie najgorsze. Gdybym usłyszał choćby jeden cichutki, żywy dźwięk...

Umierające miasto, powiedział Corin. Dni się kończą. A może już się skończyły? Może byłem sam tutaj, w tej ogromnej kupie kamieni z niezliczonymi pokojami, ulicami, podcieniami i krytymi alejkami, sam ze światłami i bezgłośnymi duchami?

Czyste przerażenie to coś okropnego. Wtedy go zaznałem.

Zacząłem się poruszać ostrożnie, wzdłuż ściany. Chciałem wydostać się z tego targowiska. Jeden z bezwłosych, sunących płynnie nie ludzi targował się o niewolnicę. Dziewczyna wrzeszczała. Widziałem każdy naprężony mięsień na jej twarzy, spazmatyczne drgania szyi. Ale nie rozległ się nawet najcichszy dźwięk.

Znalazłem ulicę równoległą do muru. Ruszyłem nią. Widziałem ludzi - prawdziwych ludzi - wewnątrz oświetlonych budynków. Od czasu do czasu mijali mnie, a ja się chowałem. Nadal otaczała mnie martwa cisza. Uważnie stawiałem stopy. Nie wiem czemu, ale byłem przekonany, że jeśli spowoduję jakikolwiek dźwięk, stanie się coś strasznego.

Grupa kupców szła w moją stronę. Cofnąłem się w bramę, a za moimi plecami wyłoniły się nagle trzy obwieszane klejnotami kobiety z serajów. Byłem w pułapce.

Nie chciałem, by te milczące, roześmiane kobiety mnie dotknęły. Wskoczyłem z powrotem na ulicę, a kupcy zatrzymali się i odwrócili głowy. Myślałem, że mnie dostrzegli. Zamarłem i nadeszły kobiety. Ich malowane oczy błyszczały, a czerwone wargi lśniły. Klejnoty zdobiące ich ciała słały iskry.

Wtedy narobiłem hałasu, na całe gardło. A kobiety przeszły przede mną. Powiedziały coś do kupców, którzy się roześmiali. Razem ruszyli ulicą. Nie zobaczyli mnie, nie usłyszeli. Kiedy stanąłem im na drodze, byłem zaledwie cieniem. Przeszli przede mną.

Usiadłem na bruku ulicy i zamyśliłem się. Długo tak siedziałem. Mężczyźni i kobiety przechodzili przede mną jak przez powietrze. Starłem się przypomnieć sobie jakiś ostry ból, jak od strzały w plecy, która mogła mnie zabić w ciągu dwóch sekund, a o której nie wiedziałem. Bardziej prawdopodobna wydała mi się możliwość, że to ja jestem duchem, niż na odwrót.

Pod moimi dłońmi moje ciało było materialne, a kamienie, na których siedziałem, były twarde i zimne, i to zimno zmusiło mnie w końcu do wstania. Nie miałem już powodów, by się kryć. Kroczyłem środkiem ulicy.

Dotarłem do kolejnego muru, biegnącego pod kątem prostym w głąb miasta. Ruszyłem wzdłuż niego. Tworzył łuk i w końcu znalazłem się na tym samym targowisku, na jego wewnętrznym krańcu. Była tu brama, a za nią główna część miasta, mur zaś biegł dalej. Nieludzie przechodzili przez bramę tam i z powrotem, ale ludzie nie, z wyjątkiem niewolników. Wtedy zrozumiałem, że cała ta dzielnica jest gettem dla ludzi, którzy przybywali do Shandakoru z karawanami.

Pamiętałem, co myślał o mnie Corin. I zastanawiałem się - zakładając, że nadal żyję i niektórzy spośród mieszkańców Shandakoru żyją także - co pomyślą oni, jeśli wtargnę do ich miasta.

Na rynku stała fontanna. Tryskająca z niej woda lśniła w kolorowych światłach i wypełniała misę z rzeźbionego kamienia. Pili z niej mężczyźni i kobiety. Podeszedłem do fontanny, jednak gdy włożyłem ręce do misy, poczułem tylko suchy kamień i piasek. Uniosłem dłonie i pozwoliłem, by piasek z nich opadł. Widziałem go wyraźnie. Ale wodę widziałem także. Dziecko pochyliło się i rozchlapało ją, moczając stroje innych ludzi. Uderzyli je, a dziecko się rozplakało, lecz nadal nie było słychać żadnego dźwięku.

Przeszedłem przez bramę zakazaną ludzkiej rasie.

Zobaczyłem szerokie ulice, drzewa i kwiaty, szerokie parki i domy otoczone ogrodami, ogromne budynki. Dumne, mądre miasto, kultura starożytna, ale niezspsuta. Piękne jak Ateny, bogate, ale dziwne. Pod każdym względem miało w sobie coś obcego. Czy możecie zrozumieć, jak to było - iść przez to miasto, wśród milczących mieszkańców, którzy nie byli ludźmi, i widzieć jego wspaniałość, która także nie była ludzka?

Wieże z jadeitu i cynobru, złociste minarety, światła i kolorowe jedwabie, radość i siła. I mieszkańcy Shandakoru! Choć ich dusze daleko odeszły, nigdy mi nie wybaczą.

Nie wiem, jak długo tak chodziłem. Wobec oglądanych dziwów zapomniałem niemal o strachu. I wtedy, całkiem nieoczekiwanie w tej martwej ciszy, usłyszałem dźwięk - szybkie, ciche kroki obutych w sandały stóp.

4

Zamarłem tam, gdzie stałem, na samym środku placu. Wysokie istoty o srebrzystych głowach piły wino pod baldachimami z kwiatów, a pośrodku grupa uskrzydłych dziewcząt, pięknych niczym łabędzie, tańczyła w dziwnym powolnym rytmie - był to bardziej lot niż taniec. Rozejrzałem się wokół. Tyle osób! Jak miałem poznać, która z nich spowodowała ten hałas?

Cisza.

Odwróciłem się i pobiegłem po marmurowym bruku. Biegłem szybko i nagle znów się zatrzymałem, nasłuchując. Tup, tup - niczym szept. Kroki bardzo lekkie i szybkie. Odwróciłem się, ale uciekły już. Bezdźwięczni ludzie przechadzali się, a tancerki rozpościerały białe skrzydła.

Ktoś mnie obserwował. Jeden spośród tych obojętnych cieni nie był cieniem.

Szedłem dalej. Od placu wiodły szerokie ulice. Poszedłem jedną z nich. Zmieniłem tempo i dwa czy trzy razy dosłyszałem echo kroków innych niż moje. Raz byłem pewien, że zrobiono to celowo. Ktoś szedł za mną, wmieszał się cicho w bezgłośny tłum, krył się w nim, bezpieczny, i tylko od czasu do czasu stawiał głośniejsze kroki, by mnie wabić.

Odezwałem się do tej drwiącej istoty. Mówiłem do niej i słuchałem własnego głosu odbijającego się głucho od murów. Grupy ludzi kręciły się wokół mnie, ale nie było żadnej odpowiedzi.

Rozpościerałem ramiona i wskakiwałem nagle między przechodniów. Chwytałem tylko powietrze. Pragnąłem znaleźć jakąś kryjówkę, ale żadnej nie było.

Ulica była długa. Szedłem nią, a ktoś szedł za mną. Stało tu wiele budynków, a wszystkie były oświetlone, ludne i spowite martwą ciszą. Myślałem o ukryciu się w którymś z nich, ale nie zniósłbym zamknięcia między ścianami z tymi ludźmi, którzy nie byli ludźmi.

Dotarłem do wielkiego kręgu, gdzie kilka ulic spotykało się wokół bardzo wysokiej wieży, którą widziałem wcześniej - tej zwieńczonej obracającą się kulą. Zawahałem się. W którą stronę iść? Ktoś łkał - zrozumiałem, że to ja tak spazmatycznie oddycham. Pot spływał mi w kąciki ust, zimny i gorzki.

Mały kamyk padł koło moich stóp z cichym stuknięciem.

Przebiegłem pędem przez plac. Cztery czy pięć razy zmieniłem kierunek i oparłem się plecami o ścianę. Czuję się jak królik schwytyany na otwartej przestrzeni. Skądś dobiegł śmiech.

Zacząłem krzyczeć. Nie wiem czemu. W końcu umilkłem; była już tylko cisza i przechodzące obok tłumy, które mnie nie widziały ani nie słyszały. Teraz wydawało mi się, że cisza pełna jest szepców. Prawie je słyszałem.

Drugi kamyk odbił się od kolumny nad moją głową. Kolejny uderzył we mnie. Rozległ się śmiech i uciekłem.

Ulice ciągnęły się w nieskończoność, a wszystkie płonęły różnymi kolorami. Było tu wiele twarzy, dziwnych twarzy, szat szarpanych przez zimny wiatr, wejść ze szkarłatnymi kotarami, pięknych powozów ciągniętych przez zwierzęta. Przepływały obok mnie jak dym, ciche, bezcielesne. Biegłem, a ścigał mnie śmiech.

Czterech mieszkańców Shandakoru ruszyło w moją stronę. Chciałem przebiec przez nich, ale ich ciała stawiały opór. Schwyтали mnie. Widziałem ich oczy, ich lśniące, czarne oczy...

Walczyłem słabo, a potem wszystko ogarnęła ciemność.

Ta ciemność mnie dokądś uniosła. Gdzieś daleko słyszałem głosy. Jeden był młody, dźwięczny. Pasował do śmiechu, który ścigał mnie ulicami. Nienawidziłem go.

Nienawidziłem tak bardzo, że walczyłem, by wydostać się z czarnej rzeki, która mnie niosła. Przez chwilę światło, dźwięk i uparty cień wirowały wspólnie, a potem wszystko się uspokoiło i wstydziłem się, że straciłem przytomność.

Znajdowałem się w pokoju, dużym, bardzo pięknym, bardzo starym. Było to pierwsze miejsce, jakie widziałem w Shandakorze, na którym odcisnęły siad mijające lata - marsjańskie lata; a historia cywilizacji na Marsie narodziła się dużo wcześniej niż na Ziemi. Podłoga z jakiegoś wspaniałego kamienia o barwie bezksiężycowej nocy, smukłe jasne kolumny wspierające sklepienie - na wszystkim znać było uszkodzenia i wygładzenia dokonane Przez stulecia. Freski na ścianach zbladły, a dywany widoczne na tej ciemnej Podłodze niczym plamy koloru były wydeptane do grubości jedwabiu.

W pokoju zobaczyłem mężczyzn i kobiety, mieszkańców Shandakoru. Jednak oddychali, mówili i żyli. Dziewczyna o smukłych udach i drobnych, spiczastych piersiach opierała się o kolumnę, obserwowała mnie czarnymi oczami pełnymi tańczących światełek. Kiedy zobaczyła, że odzyskałem przytomność, uśmiechnęła się i rzuciła kamyk do moich stóp.

Wstałem. Chciałem zacisnąć dłonie na tym złocistym cieple, sprawić, by zaczęła krzyczeć.

- Jesteś człowiekiem? - odezwała się w wysokomarsjańskim. - Nigdy żadnego nie widziałam z bliska.

- Cicho bądź, Duani - odezwał się mężczyzna w ciemnej szacie. Podeszedł i stanął przede mną. Chyba nie był uzbrojony, jednak inni mieli broń, a poza tym przypomniałem sobie małą broń używaną przez Corina. Wziąłem się w garść i nie zrobiłem nic z tego, na co miałem ochotę.

- Co tu robisz? - zapytał ten w ciemnej szacie.

Opowiedziałem mu o sobie i o Corinie, pomijając milczeniem tylko bójkę przed jego śmiercią. Powiedziałem, jak obrabowali mnie górale.

- Przysłali mnie tutaj, bym poprosił o wodę - zakończyłem. Ktoś zaśmiał się chrapliwie i bez humoru.

- Byli w nastroju do żartów - powiedział ten stojący przede mną.

- Z pewnością możecie dać mi trochę wody i zwierzę!

- Nasze zwierzęta zostały zarżnięte dawno temu. A woda... - Urwał, po czym zapytał z goryczą: - Nie rozumiesz? My tu umieramy z pragnienia!

Spojrzałem na niego, na diabolicę o imieniu Duani i na pozostałych.

- Nie widać tego po was - powiedziałem.

- Widziałeś ludzkie plemiona zebrane na zboczach niczym stada wilków. Jak myślisz, na co czekają? Rok temu odnaleźli i zniszczyli podziemny akwedukt, którym woda płynęła do Shandakoru z lodowców na biegunach. Potem potrzebowali już tylko cierpliwości. I niedługo nadejdzie ich chwila. Zapasy, jakie mieliśmy w cysternach, są już prawie wyczerpane.

Poczułem pewną złość na tę ich uległość losowi.

- Dlaczego więc zostaliście tutaj, by umrzeć jak myszy zamknięte w słoiku? Mogliście wy dostać się siłą. Widziałem waszą broń.

- Nasza broń jest stara i nie mamy jej wiele. A nawet gdyby niektórzy z nas przeżyli... Powiedz mi jeszcze raz, Ziemianinie, jak został przyjęty Corin w świecie ludzi? - Pokręcił głową. - Kiedyś byliśmy potężni, a Shandakor był wspaniały. Ludzkie plemiona z połowy świata płaciły nam daninę. Jesteśmy zaledwie ostatnim, słabym cieniem naszej rasy, ale nie będziemy ludzi o nic błagać!

- W dodatku - odezwała się cicho Duani - gdzie moglibyśmy żyć poza Shandakorem?

- A pozostali? - zapytałem. - Ci milczący?

- Oni to przeszłość - odparł mężczyzna w ciemnej szacie; jego głos brzmiał jak hejnał odległych trąb.

Nadal nie mogłem zrozumieć. W ogóle nie rozumiałem. Jednak zanim zdążyłem zadać kolejne pytania, podeszedł do nas inny mężczyzna i powiedział:

- Rhul, on będzie musiał umrzeć.

Ozdobione pędzelkami uszy Duani zadrżały, a jej srebrzyste loczki niemal stanęły dęba.

- Nie, Rhul! - wykrzyknęła. - W każdym razie nie od razu.

Inni też włączyli się do dyskusji, posługując się przede wszystkim szybką, kostropatą mową, z pewnością starszą od ludzkich słów. Ten, który przedtem odezwał się do Rhula, powtórzył:

- Będzie musiał umrzeć! Nie ma tu dla niego miejsca. Nie mamy dla mego wody.

- Podzielę się z nim swoją - oznajmiła Duani. - Przez jakiś czas.

Nie chciałem z jej strony żadnych przysług i tak jej powiedziałem:

- Przyszedłem tu po zapasy. Skoro żadnych nie macie, odejdę. To proste. - Nie mogłem nic

kupić od barbarzyńców, ale może zdołałbym coś ukraść.

Rhul pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Jest nas zaledwie garstka. Od lat naszą jedyną obroną były żywe duchy naszej przeszłości, które chodzą po ulicach, cienie strażników na murach. Barbarzyńcy wierzą w czary. Jeśli wyjdiesz z Shandakoru żywy, barbarzyńcy zrozumieją na pewno, że czary nie zabijają. Nie będą czekać dłużej.

Z wściekłością, gdyż byłem przerażony, zawołałem:

- Co to za różnica! Przecież wkrótce i tak umrzecie!

- Ale na nasz sposób, Ziemianinie, i w wybranej przez nas chwili. Może jako człowiek nie jesteś w stanie tego pojąć. To kwestia dumy. Najstarsza rasa Marsa odejdzie z godnością, tak jak przysła.

Odwrócił się i ledwie dostrzegalnie skinął głową, a to znaczyło: „Zabijcie go” - po prostu. Zobaczyłem, jak unoszą się wstrętne małe ostrza.

5

Minął ułamek sekundy, który ciągnął się niczym cały rok. Przyszło mi do głowy wiele pomysłów, ale wszystkie na nic. Co za miejsce na śmierć! Nie ma choćby jednego człowieka, który by mnie pogrzebał! I wtedy Duani objęła mnie ramionami.

- Wszyscy macie w głowie tylko śmierć i wzniosłe sprawy! - wrzasnęła na nich. - Ale każde z was albo kogoś ma, albo jest za stare na cokolwiek oprócz myślenia! A co ze mną? Chcę z kimś rozmawiać! Mam już dosyć samotnych wędrówek i rozmyślania o tym, że umrę! Dajcie mi go chociaż na trochę. Mówiłam, że podzielę się z nim wodą.

Na Ziemi dziecko mogłoby tak mówić o psie przybłądzie. A w starej Księdze zapisano, że lepszy żywy pies niż martwy lew. Miałem nadzieję, że pozwolą jej mnie zatrzymać.

Pozwolili. Rhul spojrział na Duani ze współczuciem i uniósł rękę.

- Zaczekajcie - powiedział do uzbrojonych mężczyzn. - Ten człowiek mógłby być dla nas użyteczny. Zostało nam niewiele dni i szkoda tracić choćby chwilę, jednak wiele czasu marnujemy na zajmowanie się maszyną. Mógłby wykonywać to zadanie, a człowiekowi do życia trzeba bardzo niewiele wody.

Niektórzy zdecydowanie protestowali, nawet nie ze względu na wodę, lecz wydało im się nie do pomyślenia, że człowiek byłby świadkiem ostatnich dni Shandakoru. Corin też tak mówił. Ale Rhul był już stary. Pędzelki na jego spiczastych uszach były bezbarwne jak szkło, lata głęboko pocięły jego twarz, a mądrość uwarzyła w nim swój gorzki napój.

- Człowiek z naszego świata, tak. Ale on jest Ziemianinem, a Ziemianie zostaną nowymi władcami Marsa, jak my kiedyś. I Mars nie pokocha ich, tak samo jak nas, gdyż są tak samo obcy jak my. Tak więc jego tu obecność nie jest niewłaściwa.

Musieli się z tym pogodzić. Chyba czuli się już tak blisko końca, że naprawdę było im już wszystko jedno. Wychodzili pojedynczo i parami, jakby uznali, że stracili zbyt dużo czasu, który mogli poświęcić na podziwianie cudów na ulicach. Niektórzy mężczyźni nadal grozili mi bronią, a inni przynieśli łańcuchy z drogocennych metali, jak te noszone przez ludzkich niewolników - kajdany, bym nie mógł uciec. Założyli mi je, a Duani się śmiała.

- Chodź - powiedział Rhul. - Pokażę ci maszynę.

Wyprowadził mnie z pokoju i poszliśmy w górę spiralnymi schodami. Były tu wysokie, wąskie okna - wyjrzałem przez nie i odkryłem, że jesteśmy w podstawie wieży z kulą. Musieli przynieść mnie z powrotem po tym, jak Duani odstraszyła mnie swoim śmiechem i kamykami. Spojrzałem na pełne światła ulice, majestatycznie ciche, i zapytałem Rhula, dlaczego w wieży

nie ma duchów.

- Widziałeś kulę z prętami z kryształu?

- Tak.

- Jesteśmy w cieniu jej podstawy. Musiało zostać jakieś przejście do rzeczywistości. Inaczej stracilibyśmy sens snu.

Spiralne schody szły coraz wyżej. Łańcuchy u moich nóg dźwięczały melodyjnie. Kilka razy potknąłem się o nie i upadłem.

- Przyzwyczaj się - powiedziała Duani.

W końcu dotarliśmy do okrągłego pomieszczenia na szczycie wieży. Zamarłem i patrzyłem przed siebie.

Większość pomieszczenia zajmowała sieć metalowych dźwigarów podtrzymujących wielki lśniący słupek, który znikał w otworze sufitu. Nie był wysoki, ale potężny. Obracał się cicho i powoli. W podłodze były klapy, najprawdopodobniej dające dostęp do dolnej części słupa i obracającej go maszyny.

Wszystkie widoczne metalowe elementy byłyby znakomitym stanem, z minimalną ilością rdzy. Nie znałem tego stopu, zapytałem więc o niego, jednak Rhul uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

- Wiedzę zdobywa się tylko po to, by ją znowu utracić - odpowiedział. - Nawet my, z Shandakoru, zapominamy.

Każdy fragment tej olbrzymiej konstrukcji został ręcznie ukształtowany, wypolerowany i dopasowany do pozostałych. Prawie wszystkie ludy Marsa obrabiają metal. Widocznie mają do tego szczególny dar - chociaż najwyraźniej nigdy do tego nie używały maszyn, jak niektóre z ziemskich ras, potrafią znaleźć dla metalu zastosowania, które nam nigdy nie przyszły do głowy.

To, co widziałem przed sobą, musiało być szczytowym osiągnięciem kowali. Kiedy zobaczyłem, co kryje się niżej - cudownie prosty generator oraz mechanizm obrotowy składający się z o wiele mniejszej liczby ruchomych części, niż moim zdaniem było to możliwe - nabrałem jeszcze większego szacunku.

- Ile to ma lat? - zapytałem. Rhul znowu pokręcił głową.

- Kilka tysięcy lat temu pojawił się pierwszy zapis o dorocznym Przyjęciu Cieni, a nie było ono pierwsze. - Gestem nakazał, bym wspiął się za nim po drabinie, Duani zaś surowo nakazał zostać na miejscu. Ale i tak poszła za nami.

Na górze była odsłonięta, ogrodzona balustradą platforma, a bezpośrednio nad nią wisiała potężna kula z kryształowymi prętami, które lśniły tak dziwnie. Shandakor leżał w dole niczym wielobarwna tkanina, świetlisty i nieruchomy, a na ciemnych zboczach doliny czekali barbarzyńcy.

- Kiedy nie będzie już nikogo, kto zająłby się maszyną, światło zgaśnie, a wtedy ludzie, którzy nienawidzą nas od tak dawna, zabiorą z Shandakoru wszystko, czego chcą. Tylko strach trzyma ich z daleka. Bogactwa z połowy świata można było znaleźć na tych ulicach... wiele tu pozostało.

Spojrzał na kulę.

- Tak - stwierdził. - Kiedyś posiadliśmy wiedzę. Myślę, że większą niż jakakolwiek inna rasa na Marsie.

- Ale nie podzieliliście się nią z ludźmi. Rhul uśmiechnął się.

- Czy dałbyś małym dzieciom broń mogącą cię zniszczyć? Daliśmy ludziom lepsze pługi i

piękniejsze ozdoby, a jeśli wynaleźli jakąś maszynę, nie odbieraliśmy jej. Ale nie kusiliśmy ich i nie obciążaliśmy naszą wiedzą. Prowadzili wojny mieczem i włócznią, dzięki temu mieli dużo przyjemności i mało poległych, a świat nie został rozdarty na dwoje.

- A jakie wy prowadziliście wojny?

- Broniliśmy naszego miasta. Ludzkie plemiona nie miały nic, czego byśmy pragnęli, nie było więc powodu, by z nimi walczyć w celu innym niż obrona. A kiedy tak było, zwyciężaliśmy. - Urwał. - Pozostałe rasy, nieludzie, były głupsze lub miały mniej szczęścia. Zniknęły dawno temu.

Powrócił do objaśniania maszyny.

- Czerpie moc bezpośrednio ze słońca. Część energii słonecznej zostaje przekształcona i magazynowana w samej kuli, by potem posłużyć jako źródło światła. Część przesyłana jest na dół, by obracać słupek.

- A co będzie, jeśli maszyna przestanie działać, zanim umrzemy? - zapytała Duani. Zadrżała, spoglądając na piękne ulice w dole.

- Będzie działała, jeżeli Ziemię pragnie żyć.

- Co bym osiągnął, zatrzymując maszynę? - zapytałem.

- Nic. I dlatego ci ufam - odparł Rhul. - Dopóki kula się obraca, nie grozi ci nic ze strony barbarzyńców. Kiedy odejdziemy, będziesz mógł pierwszy grabić w Shandakorze.

Jak miałem się z łupem wydostać żywy, tego nie powiedział. Gestem skierował mnie w dół drabiny.

- Czym jest ta kula? - zapytałem jeszcze. - Jak ona tworzy te... cienie? Zmarszczył czoło.

- Mogę ci powtórzyć tylko to, co niestety stało się wiedzą przekazywaną tylko z pokolenia na pokolenie. Nasi mędrcy długo studiowali właściwości światła. Odkryli, że światło ma pewien wpływ na materię stałą, i wierzyli, że z powodu tego właśnie wpływu kamień, metal i kryształy zachowują „wspomnienie” wszystkiego, co „widziały”. Dlaczego tak jest, nie wiem.

Nie próbowałem wyjaśniać mu teorii kwantowej, efektu fotoelektrycznego ani rozmaitych eksperymentów Einsteina, Millikana i ich następców. Sam nie znałem ich zbyt dobrze, a stary wysokomarsjański nie ma słów, które mogłyby je opisać.

- Mędrcy mojego świata także wiedzą, iż uderzenie światła odrywa małe cząsteczki od wszystkiego, w co uderzy - powiedziałem tylko.

Zacząłem pojmować cień prawdy. Wzory „wycięte” przez elektrony w metalu i kamieniu - jak dźwięk odcisnięty w kawałkach plastiku. Jedne i drugie potrzebowały tylko odpowiedniej „igły”, by odtworzyć nagraną melodię lub zapisany obraz.

- Zbudowali kulę - mówił Rhul. - Nie wiem, ilu pokoleń było na to trzeba ani ile razy im się nie udało. Jednak w końcu odkryli niewidzialne światło, które wydobywa z kamieni ich wspomnienia.

Innymi słowy - znaleźli odpowiednią igłę. Nie miałem sposobu, by się dowiedzieć, jakiej długości fala lub kombinacja jakich fal wydobywała się z tych kryształowych prętów. Jednak w jakiś sposób penetrowały ściany i bruki Shandakoru, odczytywały ukryte w nich wzory, tworzyły z nich kształty i kolory - jak mała igła wydobywa symfonię z małego żłobionego dysku.

Inna sprawa, jak im się udało osiągnąć ciągłość i właściwy dobór minionego czasu. Rhul mówił coś o tym, że „wspomnienia” mają różne długości. Może chodziło mu o głębokość. Kamienie Shandakoru trwały całe wieki i zewnętrzne powierzchnie się starły. Najwcześniejsze wspomnienia musiały zaniknąć, a przynajmniej były fragmentaryczne i

plytkie.

Może promienie były w stanie rozróżnić zachodzące na siebie warstwy zapisów dzięki różnicy głębokości wynoszącej ułamek mikrona. Fotony docierają przecież tylko do pewnego stopnia w głąb jakiejś substancji, jednak jeśli ta substancja staje się cieńsza, fotony docierają coraz głębiej. Myślę, że kula działała z dokładnością do stuleci, nie lat.

Tak czy inaczej, cienie chlubnej przeszłości kroczyły po ulicach Shandakoru, a ostatni przedstawiciele jego rasy czekali cicho na śmierć, wspominając swoją chwałę.

Rhul sprowadził mnie znowu na dół i pokazał, jakie będą moje zadania. Głównie dotyczyły one nawilżania mechanizmu dziwną substancją i uważania na przewodniki energii. Miałem spędzać tam dużo czasu, ale nie cały. W wolnych chwilach Duani mogła mnie zabierać, gdzie chciała.

Stary odszedł. Duani oparła się o maszynię i przyglądała mi się z ogromnym zainteresowaniem.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- John Ross.

- Jon Ross - powtórzyła i uśmiechnęła się. Zaczęła dotykać moich włosów, badając moje ramiona i pierś, z dziecięcą fascynacją odkrywając różnice między sobą a istotą zwaną człowiekiem. Taki był początek mojej niewoli.

6

Mijały dni i noce, racje jedzenia i wody były skromne. Przestałem się bać. Pytanie, czy dożyję zajęcia katedry na uniwersytecie, pozostało otwarte.

Duani była moją przewodniczką. Przykładałem się do obowiązków, gdyż od nich zależało moje życie, ale miałem czas, by włóczyć się po ulicach, obserwować tłumy, które nie istniały, i odczuć przemijanie, które było okrutnie realne.

Zacząłem rozumieć, jaka mogła być ta obca kultura i jak zapanowała nad połową świata bez ani jednego podboju.

W Domu Rządów, wybudowanym z białego marmuru i ozdobionym płaskorzeźbami wspaniałymi mimo swojej surowości, widziałem wybór króla i jego koronację. Widziałem domy przeznaczone do nauki. Widziałem młodzieńców przygotowanych do walk na wojnie równie starannie, jak przygotowywano ich do czasów pokoju. Widziałem ogrody, teatry, fora, boiska - widziałem też pracownie rzemieślnicze, w których mieszkańcy Shandakoru tworzyli piękno na swoich warsztatach tkackich i kowadłach, by wymienić Je na to, co było im potrzebne ze świata ludzi.

Ludzkich niewolników przyprowadzali tu na sprzedaż pobratymcy. Traktowano ich dobrze, jak pożyteczne zwierzęta, w które zainwestowano pieniądze. Mieli pracę, ale była to tylko drobna część tej pracy, jaką trzeba było wykonać w całym mieście.

Mieszkańcy Shandakoru, dumni z własnych umiejętności, tworzyli Przedmioty, których nie wyrabiano nigdzie indziej na Marsie - narzędzia, tkaniny, przedmioty z cennych metali i klejnotów, szkła i porcelany. Swoją wiedzę naukową zatrzymywali wyłącznie dla siebie, z wyjątkiem wiadomości dotyczących rolnictwa i medycyny oraz udoskonaleń w budowie wodociągów i domów.

Oni byli prawodawcami, nauczycielami. A ludzie brali wszystko, co dostawali, i nienawidzili ich za to. Duani nie była w stanie powiedzieć mi, ile trwało dojście do takiego poziomu cywilizacji. Stary Rhul także nie.

- Pewne jest, że żyliśmy w grupach, mieliśmy cywilny rząd, system numeryczny i język

pisany na długo przed ludzkimi plemionami. Znane są podania o istnieniu rasy starszej niż nasza, od której nauczyliśmy się tego wszystkiego. Nie wiem, czy to prawda.

U szczytu swojej chwały Shandakor był ogromnym, kwitnącym miastem z wieloma tysiącami mieszkańców. Nie dostrzegłem żadnych oznak ubóstwa lub przestępczości. Nie znalazłem nawet więzienia.

- Morderstwo było karane śmiercią - wyjaśnił Rhul. - Jednak zdarzało się ogromnie rzadko. Kradli niewolnicy. Myśmy się do tego nie zniżali. - Obserwował moją twarz, uśmiechając się lekko. - To cię zdumiewa... ogromne miasto bez cierpienia, bez zbrodni, bez miejsc kary?

Musiałem przyznać, że to prawda.

- Możecie być starszą rasą, ale jak to osiągnęliście? Studiuję kultury, zarówno tutejsze, jak i te z mojego świata. Wiem, jak się zazwyczaj rozwijają, czytałem różne teorie na ten temat, jednak Shandakor do żadnej z nich nie pasuje.

Rhul uśmiechnął się szerzej.

- Jesteś człowiekiem - odpowiedział. - Czy chcesz poznać prawdę?

- Oczywiście.

- No to ci powiem. Wykształciliśmy sobie rozum. Przez chwilę myślałem, że żartuje.

- Przecież człowiek także jest istotą rozumną - odpowiedziałem. - Na Ziemi nawet jedyną istotą rozumną.

- Nie wiem nic o Ziemi - odpowiedział uprzejmie. - Ale na Marsie ludzie zawsze mówili: „Jestem rozumny i jestem wyższy od zwierząt dlatego, że jestem rozumny”. I byli z siebie dumni dlatego, że mieli rozum. To był dowód ich człowieczeństwa. Człowiek jest przekonany, że rozum działa w nim automatycznie. Buduje swoje życie i swoje państwo, kierując się uczuciami i przesadami. Nienawidzi, boi się i wierzy, nie dzięki rozumowi, ale dlatego że tak mu każą inni ludzie lub tradycja. Robi jedno, mówi drugie, a jego rozum nie uczy go rozróżniać między prawdą i fałszem. Najkrwawsze wojny rozpętuje dla kaprysu, właśnie dlatego nie daliśmy mu broni. Za szczyt mądrości uznaje swoje największe głupstwa, dlatego nie zdołaliśmy nauczyć go sprawiedliwości. My nauczyliśmy się używać rozumu. Ludzie tylko nauczyli się mówić.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego ludzkie plemiona nienawidziły mieszkańców Shandakoru.

- Może tak jest na Marsie - oznajmiłem ze złością. - Jednak tylko istoty obdarzone rozumem potrafią stworzyć wielką technologię, a ludzie z Ziemi dysponują miliony razy potężniejszą niż wasza. Prawda, że znacie albo znaliście zjawiska, których my jeszcze nie odkryliśmy, w dziedzinie optyki, niektórych gałęziach elektroniki i może jeszcze metalurgii. Ale...

I opowiadałem mu o wszystkim, co my mieliśmy, a Shandakor nie.

- Nadal posługujecie się zwierzętami jucznymi i prostym kołem. My od dawna latamy. Podbiliśmy kosmos i planety. I kiedyś podbijemy gwiazdy! Rhul skinął głową.

- Może popełniliśmy błąd. Pozostaliśmy tutaj i podbiliśmy samych siebie. - Spojrzał na zbocza, gdzie czekały barbarzyńskie wojska, i westchnął:

- W końcu i tak na jedno wychodzi.

Dni i noce - Duani przynosiła mi stawę, dzieliła się ze mną wodą, zadawała pytania, oprowadzała mnie po mieście. Nie chciała mi pokazać tylko jednego - miejsca, które nazywali Miejscem Snu.

- I tak niedługo tam będę - powiedziała i zadrżała.

- Kiedy? - zapytałem. Było to okrutne.

- Nie mówią nam. Rhul sprawdza poziom wody w cysternach i kiedy nadejdzie czas... - Wykonała gest rękami. - Chodźmy na mury.

Weszliśmy między widmowych żołnierzy i niematerialne sztandary. Na zewnątrz były tylko ciemność i coraz bliższa śmierć. Wewnątrz były światło i piękno, ostatni, dumny blask Shandakoru w cieniu swojej zagłady. Była tu jakaś dziwna magia, która zaczęła oddziaływać także na mnie. Obserwowałem Duani. Wiatr burzył srebrzysty hełm na jej głowie, przyciskał ubranie do ciała. Jej oczy pełne były księżycowego blasku - nie mogłem w nich nic wyczytać. Potem dostrzegłem, że to łzy.

Objąłem ją ramieniem. Była tylko dzieckiem, dzieckiem nieludzi, nienależącym do mojej rasy i gatunku...

- Jon Ross.

- Tak?

- Tyłu rzeczy nigdy nie poznam.

Jej dziwne loczki poruszyły się pod moimi palcami, ciepłe i żywe. Koniuszki szpiczastych uszu były miękkie jak u kociaka.

- Duani...

- Co?

- Sam nie wiem...

Pocałowałem ją. Odsunęła się i z zaskoczeniem spojrzała tymi wielkimi, czarnymi oczami. Nagle przestałem myśleć, że ona jest dzieckiem, zapomniałem, że nie była człowiekiem - przestało mnie to obchodzić.

- Duani, posłuchaj. Nie musisz iść do Miejsca Snu.

Nocny wiatr wzbijał jej płaszcz. Trzymała ręce na mojej piersi.

- Poza Shandakorem jest wielki świat, w którym możesz żyć - tłumaczyłem w pośpiechu. - A jeśli nie będziesz tu szczęśliwa, zabiorę cię na mój świat, na Ziemię. Nie ma powodu, byś musiała umierać!

Wciąż patrzyła na mnie bez słowa. Pod nami po ulicach krążyły milczące dumy, wieże lśniły wieloma barwami. Wzrok Duani przeniósł się powoli z murów w ciemność, na jałową dolinę i nieprzyjazne skały.

- Nie.

- Dlaczego nie? Przez Rhula, przez jego gadaninę o dumie i rasię?

- Przez prawdę. Corin ją poznał. Nie chciałem myśleć o Corinie.

- On był sam. Ty nie. Nigdy nie byłabyś sama.

Uniosła dłonie i bardzo delikatnie położyła je na moich policzkach.

- Ta zielona gwiazda to twój świat. A gdyby zniknęła, gdybyś został ostatnim ze wszystkich Ziemi? Gdybyś żył ze mną zawsze w Shandakorze - nie byłbyś sam?

- To nie miałoby znaczenia, gdybym miał ciebie. Pokręciła głową.

- To miałoby znaczenie. A nasze rasy są od siebie równie odległe jak gwiazdy. Nie mielibyśmy nic, czym moglibyśmy się podzielić.

Przypomniałem sobie, co mówił mi Rhul, wybuchłem i powiedziałem parę niemiłych słów. Pozwoliła mi na to i uśmiechnęła się.

- Nie o to chodzi, Jon Ross. - Odwróciła się, by spojrzeć na miasto. - Tu jest moje miejsce i nigdzie indziej. Kiedy ono zniknie, ja także muszę odejść.

Nagle znienawidziłem Shandakor.

Nie spałem dużo od tego czasu. Zawsze kiedy Duani mnie opuszczała, bałem się, że nie wróci. Rhul nie chciał mi nic powiedzieć, a ja nie miałem odwagi natarczywie go wypytywać. Godziny mijały niczym sekundy, Duani była szczęśliwa, a ja nie. Moje kajdany miały magnetyczne zamki. Nie mogłem ich otworzyć ani przeciąć łańcuchów.

Pewnego wieczora Duani przyszła do mnie i coś w wyrazie jej twarzy, w jej ruchach, zdradziło mi prawdę. Przywarła do mnie, nie chcąc nic mówić, ale w końcu powiedziała:

- Dzisiaj ciągnięto losy i pierwsza setka poszła na Miejsce Snu.

- A więc zaczęło się.

Skinęła głową.

- Codziennie kolejna setka, aż wszyscy odejdą.

Nie mogłem tego dłużej znieść. Odepchnąłem ją i wstałem.

- Wiesz, gdzie są „klucze”. Zdejmij ze mnie te łańcuchy!

Pokręciła głową.

- Nie kłóćmy się teraz, Jon Ross. Chodź, chcę się przejść po mieście. Pokłóciliśmy się jeszcze nieraz, i to gwałtownie. Ona nie chciała opuścić Shandakoru, ja zaś nie mogłem wywieźć jej siłą, dopóki nosiłem kajdany. A miałem je nosić do chwili, w której wszyscy oprócz Rhula wkroczą do Miejsca Snu i zapisana zostanie ostatnia karta długich dziejów.

Spacerowałem z nią wśród niewolników, tancerek i księżąt w barwnych szatach. W Shandakorze nie było świątyń. Jeśli w ogóle cokolwiek czcili, to piękno, a całe miasto było jego ołtarzem. Duani była zamyślona i czułem, jak oddala się ode mnie.

Trzymałem ją za rękę i patrzyłem na turkusowo-cynobrowe wieże, bruki z różowego kwarcu i marmuru, biało-różowe i koralowe ściany, i wydawały mi się obrzydliwe. Widmowe tłumy, parodia życia, upiorne splendory przeszłości były obrzydliwe - narkotyk, pułapka.

„Zdolność rozumowania!”. Nie widziałem tu żadnego rozumu. Spojrzałem na wielką kulę obracającą się na tle nieba, utrzymującą te widma przy życiu.

- Czy widziałaś kiedyś miasto takie, jakie jest naprawdę, bez cieni?

- Nie. Chyba tylko Rhul to pamięta. On jest najstarszy. Musiało być bardzo puste. Nawet wtedy pozostało nas już tylko niecałe trzy tysiące.

Musiało być rzeczywiście puste. Musieli bardzo pragnąć, by cienie zaludniły puste ulice i odstraszyły wrogów, którzy wierzyli w magię.

Wciąż spoglądałem na kulę. Długo tak chodziliśmy.

- Muszę wracać do wieży - powiedziałem w końcu. Uśmiechnęła się do mnie bardzo czule.

- Niedługo uwolnisz się od wieży... i od tego - dotknęła kajdan. - Nie smuć się, Jon Ross. Będiesz pamiętać mnie i Shandakor, jak się pamięta sen. - Uniosła twarz, tak piękną i tak niepodobną do twarzy ludzkich kobiet, a jej oczy płonęły smutnym światłem. Pocałowałem ją wtedy, chwyciłem w ramiona i zaniósłem do wieży.

- Muszę zająć się wszystkim na dole - powiedziałem jej w sali z obracającym się słupem. - Idź na taras, Duani, żebyś mogła widzieć cały Shandakor. Niedługo do ciebie przyjdę.

Nie wiem, czy wiedziała, co zamierzam, czy to tylko bliskość rozstania sprawiła, że spojrzała na mnie w ten sposób. Myślałem, że coś powie, ale nie odezwała się, tylko posłusznie weszła na drabinę. Ja zszedłem do pomieszczenia z machinerią.

Była tam ciężka metalowa dźwignia, część systemu ręcznego sterowania szybkością obrotów. Wyjąłem ją z gniazda. Potem wyłączyłem proste przełączniki generatora. Powyrywałem wszystkie przewody, a dźwignią rozbiłem gniazda. Zniszczyłem, na ile się dało, koła zębate i podstawę słupa. Potem wróciłem do głównej sali. Wielki słup wciąż się obracał,

ale powoli, coraz wolniej.

Na górze rozległ się krzyk i zobaczyłem Duani. Wspiąłem się po drabinie, zmuszając ją do powrotu na taras. Kula obracała się ciężko z rozpędu. Niedługo się zatrzyma, ale na razie płomyki wciąż błyskały w kryształowych Prętach. Wspiąłem się na barierkę. Łańcuchy na nogach i rękach utrudniały to znacznie, ale mogłem dosięgnąć. Duani usiłowała mnie ściągnąć. Chyba krzyczała. Nie dałem się i rozbiłem dźwignią tyle kryształowych prętów, ile się dało.

Nie było już ruchu ani światła. Zszedłem na taras i upuściłem dźwignię. Duani zapomniała o mnie. Wciąż patrzyła na miasto.

Wielobarwne światła płonęły nadal, ale już słabo. Małe iskierki, bez żadnego lśnienia. Wieże z jadeitu i turkusu wznosiły się na tle małych księżyców, lecz były zniszczone i spękane ze starości, wcale nie wyglądały imponująco. U ich stóp kłębiła się ciemność. Ulice, place i targowiska były puste, a ich marmurowe bruki nagie. Żołnierze zniknęli z murów Shandakoru razem ze sztandarami i lśniącymi zbrojami, w mieście zapanował bezruch.

Duani krzyknęła. Jakby w odpowiedzi z ciemności zalegającej w dolinie i na jej zboczach rozległo się drapieżne wilcze wycie.

- Dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego? - Odwróciła się do mnie. Na jej twarzy malowała się rozpacz.

- Nie mogłem pozwolić, byś umarła! Umarła za sny i wizje, za nic. Spójrz, Duani. Popatrz na Shandakor. - Chciałem ją zmusić, by zrozumiała. - Shandakor jest zniszczony, brzydki i zapomniany. To miasto martwe, ale ty żyjesz. Miast jest wiele, a ty masz tylko jedno życie.

Trudno mi było spojrzeć jej w oczy.

- Wiedzieliśmy o tym, Jon Ross.

- Duani, jesteś dzieckiem i myślisz jak dziecko. Zapomnij o przeszłości, pomyśl o jutrze. Możemy ominąć barbarzyńców. Corin tak zrobił. A potem...

- A potem nadal będziesz człowiekiem... a ja nie. Na ciemnych i pustych ulicach rozległ się lament. Próbowałem ją zatrzymać, lecz mi się wymknęła.

- Cieszę się, że jesteś człowiekiem - szepnęła. - Nigdy nie zrozumiesz, co zrobiłeś.

I zanim zdołałem ją powstrzymać, odeszła na dół, do wieży.

Ruszyłem za nią. W dół, po niekończących się krętych schodach, z łańcuchami, które brzęczały między moimi stopami, na ulice, na ciemne, zniszczone i puste ulice Shandakoru. Wołałem jej imię, a jej złociste ciało migało przede mną, zwinne i smukłe, coraz dalsze. W końcu noc mi ją odebrała.

Zatrzymałem się. Przestraszyłem się tego martwego, ciemnego Shandakoru, którego nie znałem. Znowu zawołałem Duani i zacząłem szukać jej na zniszczonych, mrocznych ulicach.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, nim ją znalazłem.

Zobaczyłem ją wśród ostatnich mieszkańców Shandakoru. W milczeniu szli długim rzędem do niskiego budynku o płaskim dachu, kobiety pierwsze. Wiedziałem bez pytania, że to jest Miejsce Snu.

Czekała ich śmierć, a w ich twarzach nie było już dumy. Była tylko choroba, choroba i ból w ich oczach, kiedy szli ciężko naprzód, nie patrząc, nie chcąc spojrzeć na zaniebane stare ulice, które pozbawiłem całego piękna.

- Duani! - zawołałem i pobiegłem do niej, ale nie odwróciła się, nie opuściła swojego miejsca w rzędzie. I widziałem, że płacze.

Rhul popatrzył na mnie z pełną znużenia pogardą, która była gorsza od przekleństw.

- Po co cię teraz zabijać?

- Ale ja to zrobiłem! Ja!

- Jesteś tylko człowiekiem.

Długi rząd szedł naprzód i drobne stopy Duani zbliżały się do drzwi. Rhul spojrzął na niebo.

- Niewiele zostało czasu do wschodu słońca. Przynajmniej kobietom oszczędzi się ciosów włóczni.

- Pozwól mi iść z nią!

Próbowałem iść za Duani, zając miejsce w rzędzie. Wtedy poruszyła się niewielka broń w dłoni Rhula, ogarnął mnie ból i leżałem, jak leżał Corin, podczas gdy oni szli w milczeniu do Miejsca Snu.

Barbarzyńcy znaleźli mnie w końcu, gdy o świcie, niepewnie jeszcze, weszli do miasta. Myślę, że się mnie bali. Chyba uznali mnie za czarownika, który w jakiś tajemny sposób zniszczył mieszkańców Shandakoru.

Rozerwali mi kajdany i wyleczyli rany, a potem dali z łupów Shandakoru to jedyne, co chciałem mieć - porcelanową głowę młodej dziewczyny.

Zasiadłem na uniwersyteckiej katedrze, której tak bardzo pragnąłem; moje nazwisko wypisano na liście odkrywców. Jestem ważny i szanowany - ja, który zamordowałem chwałę całej rasy.

Dlaczego nie poszedłem za Duani do Miejsca Snu? Mogłem się tam doczołgać! Mogłem jakoś dowlec się po tych kamieniach. I przysięgam na Boga, żałuję, że tego nie zrobiłem. Żałuję, że nie umarłem razem z Shandakorem!

Murray Leinster to jeden z pseudonimów literackich Williama Fitzgeralda Jenkinsa, który dał się poznać również jako Will F. Jenkins i pod wieloma innymi nazwiskami. Tworzył wiele i nie ograniczał się tylko do fantastyki naukowej. Napisał na przykład mnóstwo powieści sensacyjnych. Obecnie jednak znane są głównie utwory SF, które wydawał jako Murray Leinster. Również za życia pisarza największe zainteresowanie wzbudzała jego twórczość właśnie w tej dziedzinie. Murray Leinster miał wpływ na rozwój współczesnej fantastyki naukowej.

Pierwsze opowiadanie sprzedał w roku 1919 do „Argosy”. Wiatach dwudziestych publikował u Hugo Gemsbacka w „Amazing”, a w okresie 1940-60 stał się jednym z filarów magazynu „Astounding” i tam też ukazały się jego najlepsze dzieła. Powieści Leinstera powstały wiele lat temu i w większości są już dawno zapomniane. Był on jednym z niewielu pisarzy, którzy zdobyli pozycję głównie dzięki opowiadaniom. W pewnym sensie „wynałazł” kilka podgatunków SF, które uprawiane są w czasach nam współczesnych. Napisał na przykład Sideways In Time, jedno z pierwszych opowiadań dotyczących historii alternatywnej (światów równoległych), a także słynne First Contact -jedną z najwcześniejszych historii o pierwszym kontakcie z obcymi. Oba te dzieła są do dziś uznawane za najlepsze w swojej kategorii. Znana jest również trzymająca w napięciu i nieco przerażająca Misja badawcza, którą prezentujemy w niniejszym zbiorze. W 1956 roku Leinster zdobył dzięki niej swoją jedyną nagrodę Hugo. Opowiadanie to przez całe lata było inspiracją dla pisarzy i scenarzystów. Nikt w tamtych czasach nie stworzył lepszej historii o ziemskich badaczach, którzy zmagają się z niebezpieczeństwami na obcej planecie. Można też śmiało stwierdzić, że w ciągu kolejnych czterdziestu lat nie powstało bardziej udane opowiadanie.

Najlepszą powieścią Leinstera jest chyba The Wailing Asteroid -pełna wyobraźni, poruszająca i ze szczyptą dziwactwa, czytana do dziś. Inne to m.in. The Pirates of Zan, The Forgotten Planet, The Greks Bring Gifts i The War with the Gizmos. Misja badawcza i pozostałe opowiadania o kolonizacji innych planet zostały zebrane w jednym z najlepszych zbiorów tego autora, Colonial Survey. Inne, nie tak już popularne, z cyklu Med Service, znalazły się w zbiorach S.O.S. from Three Worlds i Doctor to the Stars. Leinster napisał także dwie powieści, The Mutant Weapon i This World Is Taboo. Wśród wielu zbiorów tego autora są Monsters and Such oraz The Best of Murray Leinster. {w Polsce ukazały się Parlamentariusz i Samotna planeta w zbiorze Rakietowe szlaki oraz Pierwszy kontakt i Rzecz z nieba w „Problemach”}. Większość książek Leinstera już dawno nie miała wznowień i trudno do nich dotrzeć. Wydany w 1978 roku zbiór The Best of Murray Leinster można jeszcze znaleźć w antykwariatach. Na szczęście NESFA Press wypuściła właśnie na rynek obszerny zbiór, który zawiera większość najlepszych opowiadań autora - First Contacts: the Essential Murray Leinster.

Will Jenkins, wszechstronnie utalentowany człowiek, który przywdział maskę Murraya Leinstera, odnosił sukcesy nie tylko jako pisarz. Ma na swoim koncie kilka wynalazków. Opracował między innymi specjalną metodę filmowania tła, znaną jako „projektor Leinstera”, którą do dziś stosuje przemysł filmowy. Podczas drugiej wojny światowej wymyślił sposób maskowania śladu zostawionego na wodzie przez peryskopy łodzi podwodnych. Jego wynalazek prawdopodobnie uratował życie tysiącom marynarzy pływających na tego typu jednostkach w czasie wojny. William Jenkins alias Murray Leinster zmarł w roku 1975.

Murray Leinster

MISJA BADAWCZA

1

Po niebie przepłynął bliższy księżyc. Nieregularny w kształcie, jakby postrzępiony. Prawdopodobnie była to asteroida złapana w pole grawitacyjne. Huygens widywał go nader często, więc tym razem nie wyszedł z kwatery, by obserwować, jak księżyc przesuwają się po niebie z szybkością pozornie taką samą jak pojazdy atmosferyczne i zasłania gwiazdy na niebie. Zamiast tego pocił się nad robotą papierkową. Powinno to wydać się dziwne, gdyż Huygens był praktycznie rzecz biorąc przestępcą i cała jego praca na Loren Dwa była nielegalna. Niezwykle mogło się wydać również, że jest zamknięty w pokoju o stalowych okiennicach razem z wielkim orłem o łysej głowie, który drzemie na grzędzie przymocowanej do ściany. Jednak grzebanie się w papierach nie było podstawowym zajęciem Huygensa. Jego jedyny asystent miał bliskie spotkanie z nocnym włóczęgą i pewien statek należący do Kompanii Kodiusa zabrał potajemnie jego ciało do rodzimego portu. Huygens został sam z całą robotą. W dodatku, o ile wiedział, był jedynym człowiekiem w tym systemie słonecznym.

W dole usłyszał posapywanie. Sitka Pete podniósł się ciężko i poczołgał do pojemnika ze schłodzoną wodą. Napił się, po czym głośno kichnął. Sourdough Charley obudził się i z głuchym warkotem wyrażał swoje niezadowolenie. Huygens słyszał pod stopami pomruki i powarkiwania.

- Cicho tam! - zawołał i wrócił do pracy.

Uporał się z raportem klimatologicznym i wprowadził dane do komputera. W czasie gdy maszyna z buczeniem przetwarzała ciągi liczb, Huygens zajrzał do spisu inwentarza w dzienniku stacji i sprawdził, jakie zapasy zostały w magazynie. Potem zaczął wprowadzać zapiski.

Sitka Pete najwyraźniej rozwiązał problem uśmiercania poszczególnych sfeksów. Zrozumiał, że ich ściskanie nie przynosi efektów oraz że jego pazury nie mogą przebić się przez skórę tych stworzeń - w każdym razie nie przez powłoki grzbietu. Dzisiaj Semper powiadomił nas, że grupa sfeksów wytropiła ślad zapachowy wiodący do stacji. Sitka przyczaił się po zawietrznej i czekał, dopóki nie nadeszły. Wtedy stanął na tylnych łapach i potężnie klasnął przednimi, uderzając sfeksa w głowę z obu stron jednocześnie. Wyglądało to zupełnie tak, jakby zatrzasnęły się dwie ogromne muszle małża. Uderzenie musiało zrobić z mózgu sfeksa jajecznicę i niewątpliwie go zabiło. Sitka uśmiercił w podobny sposób jeszcze dwa sfeksy. Sourdough Charley tylko pomrukiwał, ale kiedy sfeksy rzuciły się na Sitkę, ruszył do akcji. Nie mogłem oczywiście strzelać zbyt blisko Sourdougha, więc mogło mu się nie powieść. Jednak wtedy z niedźwiedziej nory wynurzyła się Faro Nell i pośpieszyła z pomocą. Dzięki temu Sitka mógł ponownie wykorzystać nowo opracowaną technikę. Stał na tylnych łapach i machał przednimi, jakby był niedźwiedziem grizzly. Walka zakończyła się szybko. Semper latał nad miejscem bitwy i wrzeszczał, ale jak zwykle nie włączył się do walki. Uwaga: Nugget, młody niedźwiadek, także chciał uczestniczyć w «zabawie», ale matka odpędziła go szturchańcem. Sourdough i Sitka jak zwykle zignorowali małego. Zdrowe geny Kodiusa Championa!

Słyszał dochodzące z zewnątrz odgłosy nocy. Wśród nich rozróżniał dźwięki przypominające granie organów. To odzywały się śpiewające jaszczurki. Słyszał też

zawodzenia i chichoty nocnych włóczęgów - chociaż nie było powodu do śmiechu. Dochodziły go też odgłosy, które przywodziły na myśl wbijanie gwoździ młotkiem i zamykanie drzwi, a oprócz tego zewsząd słychać było dźwięki o różnej wysokości, brzmiące jak czkanie. Wydawały je nieprawdopodobne, małe stworzenia, które na Loren Dwa były odpowiednikiem owadów. Huygens pisał dalej:

Kiedy walka się skończyła. Sitka był bardzo podekscytowany. Skrupulatnie wypróbowywał swoją nową sztukę na każdym martwym lub rannym sfeksie, z wyjątkiem tych, które sam zabił. Podnosił im głowy i miażdżył je jednym kłaśnięciem, zupełnie jakby chciał zademonstrować Sourdoughowi swój patent na zabijanie. Burcząc nieustannie, zaciągnęły padlinę do spalarki. Wyglądało to prawie tak...

Zadzwieczał sygnał kontaktu ze statkiem. Huygens gwałtownie odwrócił głowę, by spojrzeć na kontrolkę. Orzeł Semper otworzył oczy i mrugnął. Wokół Huygensa narastał hałas. Gdzieś z dołu dobiegło długie, głębokie, pełne zadowolenia chrapanie. W dżungli coś zapiszczało. Rozległa się czkawka, stukanie i dźwięki organów. Znowu zabrzmiał brzęczyk. Był to znak, że przelatujący gdzieś w górze statek odebrał sygnał z radiolatarni i kontaktował się z planetą. Najwyraźniej chciał tu lądować. Tylko Kompania Kodiusa wiedziała o promieniu nawigacyjnym, ale teraz nie powinno być tutaj żadnych statków! Loren Dwa była jedyną planetą nadającą się do zamieszkania w całym systemie, lecz oficjalnie uznano ją za nieodpowiednią do kolonizacji, ze względu na wrogie formy życia zwierzęcego, czyli sfeksy. Nie zezwolono na założenie kolonii, ale Kompania Kodiusa złamała prawo, nielegalnie zasiedliła planetę. Popełniono też parę poważniejszych przestępstw.

Sygnał odezwał się po raz trzeci. Huygens sięgnął ręką, aby wyłączyć radiolatarnię, ale wiedział, że to bezcelowe. Radar i tak znowu włączy nadajnik i powiąże „usterkę” z oddziaływaniem pobliskiego morza lub zjawisk atmosferycznych wywoływanych przez obecność Martwej Równiny. Statek i tak znajdzie lądowisko i o poranku pojawi się w pobliżu jego bazy.

- Niech to wszyscy diabli! - przeklął Huygens. Czekał, aż brzęczyk ponownie się odezwie. Statki Kompanii Kodiusa nadawały zwykle podwójny sygnał, dla pewności. Ale przecież nie powinny się tu pojawiać przez najbliższe parę miesięcy! Dzwonek odezwał się tylko raz. Jednocześnie zamigotał sygnał z nadajnika kosmicznego i Huygens usłyszał głos, brzmiący metalicznie na skutek zakłóceń w stratosferze:

- Wzywam stację! Wzywam stację! Statek Linii Kreteńskich, „Odyseusz”, wzywa bazę na Loren Dwa. Wysyłamy prom z jednym pasażerem. Włączcie światła na lądowisku.

Huygensowi opadła szczeka. Statek Kompanii Kodiusa miał tu zawsze wstęp wolny. Pojawienie się statku Misji Kolonialnej byłoby bardzo niepożądane, ponieważ oznaczałoby zniszczenie stacji, a wraz z nią Sitki Pete'a, Sourdougha, Faro Nell, Nuggeta i Sempera. Natomiast Huygens zostałby wywieziony i oddany wymiarowi sprawiedliwości, a następnie skazany za nielegalną kolonizację planety i wszelkie konsekwencje tego czynu. Ale statek handlowy, który wysyła lądownik z jednym pasażerem? Sytuacja niewyobrażalna! To się nie mogło zdarzyć w nieznannej, nieautoryzowanej kolonii. Nie w przypadku tajnej stacji!

Huygens włączył światła na lądowisku. Zobaczył oślepiający blask za oknem. Wrzucił do niszczarki wszystkie papiery i dokumenty osobiste. Każdy zapisek, jakikolwiek dowód na to, że stację utrzymuje Kompania Kodiusa. Zatrzaskał drzwiczki, położył palec na przycisku. Jeden ruch i niszczarka zlikwiduje całą zawartość szuflady. Przerobi nawet popiół. Nie zostanie nic, co mogłoby zostać wykorzystane w sądzie. Zawahał się nagle. Jeśli to statek

Misji Kolonialnej, powinien włączyć maszynę i przygotować się na długi pobyt w więzieniu. Ale jeśli głos z nadajnika mówił prawdę, był to statek Linii Kreteńskich, a więc nie stanowił zagrożenia. Jego pojawienie się było po prostu niewiarygodne. Huygens potrząsnął głową. Włożył okrycie wierzchnie, wzięął broń i zszedł na dół do kwatery niedźwiedzi. Zapalił światło. Usłyszał pełne zdziwienia sapnięcie. Sitka Pete usiadł, mrugając z zaskoczeniem. Sourdough Charley leżał na plecach, z łapami w górze. Było mu chłodniej, gdy spał w takiej pozycji. Przewrócił się na brzuch z łomotem i zaczął wydawać parsknięcia, które brzmiały dziwnie serdecznie. Faro Nell stanęła w wejściu do jej prywatnej części jaskini. Miała własne „mieszkanko”, aby Nugget nie plątał się pod nogami samców i ich nie denerwował.

Huygens jako przedstawiciel rodzaju ludzkiego na Loren Dwa miał przed sobą siłę roboczą, bojową i - wliczając Nuggeta - cztery piąte populacji ziemskiego gatunku na tej planecie. Były to zmutowane niedźwiedzie Kodiaka, potomkowie Championa Kodiusa, od którego wzięła nazwę Kompania Kodiusa. Sitka Pete był inteligentnym drapieżnikiem, ważącym dobry tysiąc kilogramów. Sourdough ważył może pięćdziesiąt kilo mniej, a Faro Nell była dziewięćsetkilową masą wdzięku i dzikości.

Nugget wytknął pysk obok zadka matki, ciekawy, co się dzieje. Mały niedźwiadek ważył ze trzysta kilogramów. Zwierzęta patrzyły na Huygensa z wyczekiwaniem. Gdyby na jego ramieniu siedział Semper, wiedziałyby, czego od nich chce.

- Idziemy - powiedział. - Na zewnątrz jest ciemno, ale mamy gości. A to może oznaczać kłopoty!

Odblokował zewnętrzne drzwi niedźwiedzych kwater. Sitka Pete wypadł przez nie w niezadarnym galopie. Otwarta szarża była najlepszym rozwiązaniem w każdej sytuacji, oczywiście jeśli się było przerośniętym niedźwiedziem Kodiaka. Sourdough powlókł się za pierwszym samcem. W pobliżu stacji nie było niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie. Sitka stał na tylnych łapach - mierzył teraz jakieś sześć metrów - i węszył. Sourdough krążył tam i z powrotem, wietrząc ślad. Filigranowa dziewięćsetkilogramowa Faro Nell wyszła przed jaskinię i zamruczała z przyganą na Nuggeta, który podążał tuż za nią. Huygens stał w drzwiach i trzymał w pogotowiu broń wyposażoną w celownik z reflektorem. Nie podobało mu się to, że wyszła niedźwiedzie w nocy do dżungli, ale w przeciwieństwie do niego potrafiły z daleka zwietrzyć niebezpieczeństwo.

Oświetlenie szerokiej drogi, która prowadziła do lądowiska, nadawało roślinności dziwny wygląd. Widać było powyginane gigantyczne paprocie, kolumny wyrastających ponad nie drzew i niezwykle lancetowate zarośla, które stanowiły podszycie lasu. Umieszczone na ziemi reflektory oświetlały wszystko od spodu, przez co listowie odbijało się jasną plamą na nocnym niebie tak, że w poświacie niknęły gwiazdy.

- Naprzód! - rozkazał Huygens i machnął ręką. - Dalej! Zamknął drzwi prowadzące do niedźwiedzych kwater i ruszył aleją pośród oświetlonego lasu w kierunku lądowiska. Dwa olbrzymie samce szły przed nim. Sitka Pete opadł na cztery łapy i stąpał czujnie. Sourdough Charley tuż za nim obserwował obie strony drogi. Huygens maszerował za niedźwiedziami, a Faro Nell wraz z Nuggetem obstawiali tyły. Razem stanowili doskonały oddział bojowy, idealny do przedzierania się przez niebezpieczną dżunglę: Sourdough i Sitka trzymali przednią straż i jednocześnie stanowili szpicę, natomiast Faro Nell kroczyła w tylnej straży. Opiekowała się małym Nuggetem, więc była szczególnie wyczulona na atak od tyłu. Huygens oczywiście był siłą uderzeniową. Miał broń strzelającą nabojami wybuchowymi, które odstraszają nawet sfeksy, z celownikiem zaopatrzonym w reflektor. Gdziekolwiek zwracał

broń, tam padał jasny snop światła. Nie była to broń godna prawdziwego sportowca, ale stworzenia na Loren Dwa ignorowały zasady fair play. Musiał na przykład uważać na nocnych włóczęgów. Stworzenia te bały się światła, a kiedy było zbyt jasno, wpadały w rodzaj hysterii i atakowały.

Huygens zbliżał się w kierunku lądowiska zalanego oślepiającym światłem. Rozsadzała go wściekłość. Stacja założona na Loren Dwa przez Kompanię Kodiusa była całkowicie nielegalna. Tylko w ten sposób mogła w ogóle powstać, niemniej zbudowano ją, łamiąc prawo. Metaliczny głos w odbiorniku udawał, że ignoruje ten fakt, jednak nie brzmiało to zbyt przekonująco. Jeśli wyląduje tu statek, Huygens zdąży wrócić do stacji przed przybyciem gości i uruchomić niszczarkę. W ten sposób uchroni swoich pracodawców przed karą.

Zamiast ryku dysz statku usłyszał jednak w oddali wysoki, ostry świst silników raketowych ładownika. Przedzierał się przez nierealnie wyglądające zarośla, a trzy wielkie niedźwiedzie przecierały szlak, węsząc nieustannie. Stanowiły doskonały oddział zaczepno-obronny, idealnie przystosowany do warunków tej planety.

Silniki zabrzmiały głośniej. Huygens przedostał się na skraj lądowiska. Promienie oślepiającego światła kierowały się ku niebu, aby detektory statku mogły rozpoznać miejsce lądowania. Kiedyś takie lądowiska były wszędzie. Teraz wszystkie rozwinięte ekonomicznie planety miały sieci - monstrualne urządzenia sięgające aż do jonosfery, skąd czerpały energię. Sieci potrafiły wynosić i sprowadzać statki z niezwykłą delikatnością i nieograniczoną siłą. Tradycyjne lądowiska powstawały tam, gdzie pracowały zespoły badawcze, na obszarach tymczasowych pomiarów bakteriologicznych i ekologicznych, albo po prostu w świeżo autoryzowanych koloniach, których nie było stać na zbudowanie sieci. Oczywiście było nie do pomyślenia, aby ktoś Próbował zbudować cokolwiek wbrew prawu!

Huygens stał na skraju wielkiej, wypalanej polany. Światło przyciągnęło mnóstwo nocnych stworzeń. Powietrze było gęste od szalenie wirujących, małych latających zwierząt wszelkich kształtów i rozmiarów. Widział białe nocne komary, wieloskrzydłe latające czerwie, a także odrażające nagie istoty, które można by uznać za wyskubane latające małpy, gdyby nie to, że były drapieżne. Latające stwory wzbijały się wysoko w górę, wirowały, tańczyły i niczym ćmy rzucały się na oślep prosto w światło. Wydawały przy tym zawodzące, tęskne odgłosy. Uformowały nad lądowiskiem coś w rodzaju kopuły, która przesłoniła gwiazdy. Huygens z trudem dostrzegł biało-niebieski płomień silników raketowych. Ich odbłask stopniowo stawał się coraz bardziej widoczny.

W pewnym momencie silniki zmieniły położenie, korygując kurs. Żarząca się plamka na niebie powoli rosła do rozmiarów gwiazdy, potem zmieniła się w lśniący księżyc, aż wreszcie przybrała wygląd bezlitosnego, porażającego blaskiem oka-słońca. Huygens odwrócił wzrok. Sitka usiadł ciężko - ważył w końcu ponad tonę - i zerkał w stronę czarnej ściany dżungli. Sourdough zignorował narastający huk silników i węszył czujnie. Faro Nell mocno trzymała Nuggeta jedną łapą i wylizywała go, jakby chciała doprowadzić małego do porządku przed ważnym spotkaniem. Niedźwiadek wiercił się niecierpliwie.

Ryk znowu przybrał na sile, stał się niemal nie do wytrzymania. Ciepły podmuch owiał Huygensowi twarz. Ładownik spadał w dół. Płomienie silników liznęły zwartą kopułę utworzoną przez latające stworzenia, które płonęły, wirując w powietrzu. Potem z ziemi podniósł się kłęb pyłu i środek lądowiska zapłonął przeraźliwym światłem. Coś wypluło z siebie snop ognia, spłaszczyło go i osiadło, gasząc płomienie. Prom spoczywał teraz na pławkach ogonowych, z dziobem wzniesionym ku niebu.

Zapadła przerażająca cisza, a potem stopniowo nocne stworzenia znowu zaczęły swoją zwykłą gadaninę. Huygens odzyskał słuch. Słyszał dźwięki organów i delikatne, jakby przepraszające odgłosy czkawki. Z łoskotem otworzył się boczny właz ładownika i coś, co najwyraźniej było schowane w kadłubie, rozwinęło się teraz na zewnątrz promu. Huygens ujrzał metalowy pomost rozciągnięty nad rozpaloną ziemią.

Ze statku wynurzył się mężczyzna. Cofnął się, by uścisnąć komuś rękę. Zszedł po drabince na pomost i przemaszerował nad dymiącą polaną. W ręku niósł torbę podróżną. Przedostał się pośpiesznie na skraj polany i pomachał w kierunku promu. W kadłubie widoczne były iluminatory - może ktoś w statku odwzajemnił gest. Chodnik złożył się i zapakował z powrotem do kadłuba. Pod tylnymi wspornikami wybuchnął płomień. Znowu podniosły się kłęby gęstego, dławiącego pyłu i zrobiło się jasno, jakby wybuchło słońce. Ryk silników był nie do zniesienia. Chwilę później kula światła uniosła się ponad chmurę kurzu i zaczęła się szybko oddalać. Kiedy uszy Huygensa na powrót zaczęły funkcjonować, słyhać już było tylko cichnący pomruk daleko w niebie, a prom stał się znowu jasną drobinką, która sunęła po niebie na wschód, gdzie zapewne miał go przechwycić statek matka.

Odgłosy nocnej dżungli narastały. Przyroda na Loren Dwa nie przejmowała się działaniami ludzi. Na polanie widać było żarzący się krąg wypalanej ziemi. Niski, energiczny mężczyzna z torbą podróżną rozglądał się dookoła, wyraźnie zaintrygowany. Kiedy tylko żar przygasł, Huygens ruszył w jego kierunku, a Sourdough i Sitka podążyły przed nim. Faro Nell ciągnęła się wiernie z tyłu, pilnując synka. Nieznajomy gapił się na nich w milczeniu. Nawet jeśli był przygotowany na takie powitanie, musiał odnieść teraz dość nieprzyjemne wrażenie: wylądował w środku nocy na dziwnej planecie, a tu zbliżają się do niego - mogło się nawet wydawać, że podchodzą go niczym zwierzynę łowną - dwa ogromne samce niedźwiedzi i samica z małym. Przyglądał się temu na pozór obojętnie. Potem poruszył się, jakby zaskoczony, a Huygens zawołał:

- Witam! Proszę się nie bać niedźwiedzi! Są oswojone.

Sitka dotarł do przybysza, ostrożnie ustawił się pod wiatr i powąchał. Zapach obcego - zapach człowieka - nie był niepokojący. Samiec z głuchym stęknieniem posadził ponad tonę swego cielska na pokrytej popiołem ziemi. Spoglądał na przybysza uprzejmie. Sourdough wyrzucił z siebie coś, co zabrzmiało jak gwizd, i poszedł patrolować obszar poza polaną. Przybysz nosił uniform Misji Kolonialnej, a to oznaczało kłopoty. Co gorsza, nosił insygnia starszego oficera.

- Ha! - powiedział. - A gdzie są roboty? Do stu tysięcy diabłów, co to za kreatury?! Dlaczego przenieśliście stację? Nazywam się Roane i przyjechałem, aby przygotować szczegółowy raport o waszej kolonii.

- Jakiej kolonii? - zapytał zdziwiony Huygens.

- Kolonii Robotów na Loren Dwa - odparł Roane z oburzeniem. - Tylko mi nie mów, że ten idiota kapitan wysadził mnie w złym miejscu! Jesteśmy na Loren Dwa, prawda? A to przecież lądowisko. Gdzie są wasze roboty? Powinniście tu mieć fundamenty pod sieci. Co się tutaj dzieje, do diabła, i skąd się wzięły te bestie?!

Huygens skrzywił się.

- Wylądował pan w nielegalnej, nielicencjonowanej osadzie - odpowiedział uprzejmie. - Jestem przestępcą, a te bestie to moi wspólnicy. Jeśli nie chce się pan zadawać z kryminalistami, oczywiście nie musi pan. Wątpię jednak, czy przeżyje pan tu sam do rana, chyba że przyjmie moje zaproszenie. Ja zaś pomyślę, co mam zrobić w tej sytuacji. Właściwie

powiniennem pana zastrzelić.

Faro Nell podeszła bliżej i zatrzymała się za Huygensem jak zwykle, gdy wychodzili poza stację. Nugget, który po raz pierwszy zobaczył nową istotę ludzką, nieśmiało ruszył w kierunku Roana. Był mały i nastawiony przyjaźnie, choć miał ponad metr wysokości w kłębie. W pewnym momencie kichnął z zakłopotania. Matka odepchnęła go na bok. Maluch zaczął zawodzić. Płacz trzystukilogramowego małego niedźwiedzia Kodiaka sprawia dość niezwykle wrażenie. Roane cofnął się o krok.

- Uważam - zaczął ostrożnie - że powinniśmy zachować spokój. Oczywiście jeśli to rzeczywiście nielegalna kolonia, jest pan aresztowany i wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciw panu.

Huygens znowu się skrzywił.

- Jasne - powiedział. - Chodźmy do stacji. Mógłbym polecić Sourdoughowi, żeby zaniósł pana bagaż. On lubi nosić różne rzeczy. Ale jesteśmy kilometr od stacji i może jeszcze potrzebować swoich zębów. - Odwrócił się w stronę zwierząt. - Idziemy! - zakomenderował. - Do stacji! Naprzód!

Sitka Pete wstał pomrukując i przejął swoje obowiązki jako szpica drużyny bojowej. Sourdough podążył za nim zygzakiem, patrolując okolicę. Huygens i Roane szli razem, a Faro Nell i Nugget obstawiali tyły. Był to jedyny sposób, aby bezpiecznie przedostać się przez dżunglę na Loren Dwa do ufortyfikowanej bazy. W drodze powrotnej zdarzył się tylko jeden incydent. Natknęli się na nocnego włóczęgę, który wpadł w histerię na widok oświetlonej alei. Stworzenie wypadło z zarośli, wydając z siebie odgłosy przypominające histeryczny śmiech. Sourdough załatwił go jakieś pięć metrów od Huygensa. Kiedy było po wszystkim, Nugget najeżył się, rzucił na martwego stwora i zaczął wydawać piskliwe pomruki. Udawał, że atakuje martwe zwierzę. Matka bolesnym kłapsem przerwała mu zabawę.

2

Z dołu dochodziły pomrukiwania kodiaków. Niedźwiedzie długo jeszcze burczały, ale w końcu się uspokoiły. Blask świateł lądowiska zniknął i aleja prowadząca przez dżunglę pogrążyła się znowu w ciemności. Huygens zaprowadził przybysza do części mieszkalnej. Coś poruszyło się z szelestem i Semper wytknął łeb spod skrzydła. Patrzył chłodno na dwoje ludzi. Nagle rozpostarł olbrzymie, dwumetrowe skrzydła i zatrzepotał nimi. Kłapnął dziobem.

- To jest Semper - przedstawił orła Huygens. - Semper Tyrannis. Kolejny przedstawiciel ziemskich gatunków na tej planecie. Nie wyszedł panu na spotkanie, gdyż nie należy do nocnych stworzeń.

Roane spojrział na olbrzymie ptaszysko, które siedziało na wbudowanej w ścianę, grubej grzędzie.

- Orzeł? - spytał, jakby oczekiwał wyjaśnienia. - Najpierw niedźwiedzie Kodiaka, zmutowane, jak pan twierdzi, lecz mimo wszystko niedźwiedzie, a teraz jeszcze orzeł? Ma pan tutaj niezły oddział bojowy.

- Kodiaki służą także jako zwierzęta juczne - odparł Huygens. - Mogą nieść ponad sto kilogramów i nie tracą przy tym sprawności bojowej. Nie mam też problemów z ich wyżywieniem, gdyż jedzą to, co upolują w dżungli. Z wyjątkiem sfeksów. Żadne zwierzę nie zje sfeksa, nawet jeżeli uda mu się go zabić.

Wyciągnął butelkę i szklanki. Przybysz odstawił torbę podróżną.

- Dlaczego nazwałś orła Semper Tyrannis? - zapytał. - Rozumiem, że Sitka Pete i Sourdough Charley to coś w rodzaju nazwisk. Pasuje, zważywszy na pochodzenie przodków

tych niedźwiedzi. Ale dlaczego Semper?

- Był szkolony do polowań. Można poszczuć psa, można też Sempera. Jest zbyt duży, aby jeździć na rękawicy, więc podróżuje na moich ramionach. Moje płaszcze są w tym miejscu wzmocnione, żeby mnie nie pokaleczył. Jest latającym zwiadowcą. Nauczyłem go, że ma informować nas o obecności sfeksów, a poza tym na czas lotu instaluję mu małą kamerę. Jest użyteczny, ale nie tak inteligentny jak niedźwiedzie. Roane usiadł i upił łyk ze swojej szklanki.

- Interesujące... bardzo interesujące! Ale to nielegalna baza. Jestem oficerem Misji Kolonialnej i do moich obowiązków należy sporządzanie raportów o postępie w rozwoju kolonii. Niemniej jednak muszę cię aresztować. Czy dobrze pamiętam, że zamierzałeś mnie zastrzelić?

- Staram się znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji - tłumaczył Huygens. - Jeśli zebrać do kupy wszystkie kary przewidziane za nielegalne osiedlenie, to gdybym pozwolił ci zameldować o tej bazie, miałbym kiepskie widoki na przyszłość. Logika podpowiada, że najlepiej byłoby się ciebie pozbyć.

- Rozumiem - powiedział Roane - lecz skoro o tym mowa, w kieszeni mam laser wycelowany w ciebie. Huygens wzruszył ramionami.

- Moi koledzy wrócą tutaj wcześniej niż twoi przyjaciele. Jeśli znajdą tutaj ciebie i mojego trupa, będziesz w prawdziwych tarapatach.

- To prawda. - Roane pokiwał głową. - Jest również możliwe, że twoi towarzysze nie zechcą ze mną współpracować. Masz przewagę, mimo że ja trzymam cię na muszce. Z drugiej strony mogłeś mnie łatwo zlikwidować zaraz po starcie promu. Wtedy jeszcze nie podejrzewałbym niczego. Zatem chyba nie chcesz mnie zamordować.

Huygens skwitował to ponownym wzruszeniem ramion.

- A więc - kontynuował Roane - ponieważ sekret nawiązywania dobrych stosunków z innymi ludźmi polega na odkładaniu na bok wszelkich kwestii spornych, sądzę, że nie powinniśmy się na razie zajmować odpowiedzią na pytanie, kto kogo zabije. Szczerze mówiąc, jeśli tylko będę mógł, odeślę cię do więzienia. Bezprawna kolonizacja to paskudna sprawa. Jednak przypuszczam, że musisz znaleźć jakieś polubowne rozwiązanie. Na twoim miejscu pewnie też bym to zrobił. Rozejm?

Huygens nie wykazywał żadnego zainteresowania.

- Zatem ogłaszam jednostronne zawieszenie broni - rzekł Roane. - Muszę! - Wyciągnął z kieszeni laser i położył na stole.

- Zatrzymaj pistolet - powiedział Huygens. - Na Loren Dwa nie przeżyjesz długo bez broni. - Odwrócił się w kierunku kredensu. - Jesteś głodny?

- Raczej tak - przyznał Roane.

Huygens wyciągnął z szafki dwa opakowania z żywnością i włożył je do wmontowanej niżej kuchenki. Ustawił talerze.

- Co stało się z oficjalną, licencjonowaną, autoryzowaną kolonią? - zapytał Roane z ożywieniem. - Pozwolenie przyznano osiemnaście miesięcy temu. Wylądowali tu koloniści z całą górą wyposażenia i zapasów. Kontaktowali się ze statkiem cztery razy. Powinno tu być kilka tysięcy robotów pracujących pod kierunkiem ludzi. Powinno tu być pole uprawne o powierzchni stu kilometrów kwadratowych i przynajmniej na wpół zbudowane lądowisko. No i oczywiście jeszcze radiolatarnia do nawigacji statków podczas lądowania. Tymczasem niczego takiego tu nie ma. Żadnej dobrze widocznej z góry polany. Ten kreteński statek krążył na orbicie przez trzy dni i starał się znaleźć miejsce do lądowania dla promu. Pani kapitan

strasznie się wściekała. Twoja radiolatarnia jest jedyną na tej planecie, a jej sygnał złapaliśmy przez przypadek. Co się tu stało? Huygens podał jedzenie i stwierdził oschle:

- Mogłoby tu powstać sto kolonii i żadna nie wiedziałaby nic o istnieniu pozostałych. Co do twoich robotów mogę tylko zgadywać, lecz prawdopodobnie natknęły się na sfeksy.

Roane zastygł z widelcem w dłoni.

- Czytałem trochę o tej planecie, ponieważ miałem pisać raport o założonej na niej kolonii - powiedział. - Sfeksy to przedstawiciele rodzimej fauny. Zimnokrwiste, wojownicze drapieżniki, nie zwykłe jaszczurki, lecz stworzenia na swój sposób genialne. Polują w stadzie. Dorosły osobnik waży czterysta kilogramów. Sfeksy są niebezpieczne, ale jest ich zbyt dużo, aby je wytępić. Z tej przyczyny nigdy nie przyznano ludziom licencji na osiedlenie się na Loren Dwa. Mogły tu pracować tylko roboty, ponieważ są maszynami. Jakie zwierzę atakuje maszyny?

- Raczej jaka maszyna potrafi polować na zwierzęta? - uściślił Huygens. - Sfeksy nie będą ruszać robotów, ale gdyby zaszła potrzeba, to czy maszyny potrafiłyby zabijać sfeksy?

Roane przeżuł kęs i przełknął.

- Zaraz! Nie można skonstruować robota myśliwego, z tym się zgodzę. Maszyny mogą dostrzegać różnice, ale nie potrafią decydować. Dlatego nie istnieje groźba rebelii robotów. Maszyny nie potrafią decydować i nie zrobią niczego, jeśli nie mają odpowiednich instrukcji. Tę kolonię zaplanowano, znając umiejętności i ograniczenia robotów. Miejsce zostało oczyszczone i ogrodzone siatką pod napięciem. Każdy sfeks, który dotknąłby płotu, usmażyłby się natychmiast.

Huygens w zamyśleniu kroił jedzenie.

- Wylądowali w zimie - zauważył po chwili milczenia. - Musieli, bo kolonia przetrwała jakiś czas. Zgaduję, że ostatnie lądowanie statku miało miejsce przed odwilżą. Rok liczy tu osiemnaście miesięcy, wiedziałeś o tym?

- Rzeczywiście, lądowali zimą, ostatni raz tuż przed nadejściem wiosny. Najpierw mieli uruchomić kopalnie, które dostarczyłyby materiału do budowy. Prócz tego należało oczyścić cały obszar zasiedlenia i ogrodzić go płotem chroniącym przed sfeksami, zanim powrócą z tropiku. Rozumiem, że przetrwali zimę.

- Czy kiedykolwiek widziałeś sfeksa? - zapytał Huygens - Nie, oczywiście, że nie. Jeśli skrzyżujesz kobrę z dzikim kotem, pomalujesz ją na niebiesko i beżowo, na dodatek obdarzysz wstrętem do wody i skłonnościami morderczymi, otrzymujesz sfeksa. Tak przy okazji, one potrafią wspinać się po drzewach. Płot nie stanowi dla nich przeszkody.

- To był płot pod napięciem - zaoponował Roane. - Nic nie mogłoby się na niego wspiać!

- Żadne normalne zwierzę - zgodził się Huygens. - Ale sfeksy są bardzo dziwne. Zapach jednego martwego sfeksa budzi w całej reszcie krwiożercze instynkty. Wystarczy zostawić martwego sfeksa w jakimś miejscu i za sześć godzin pojawią się dziesiątki jego pobratymców. Za dwa dni przybędą całe setki, a później tysiące. Sfeksy gromadzą się i lamentują nad martwym bratem, a potem polują na zabójcę. Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Nie muszę się długo domyślać, co się stało z twoją kolonią - podjął Huygens. - Zimą roboty wypaliły połac lasu i zgodnie z instrukcjami postawiły elektryczny płot dookoła polany. Z nadejściem wiosny powróciły sfeksy. Są ciekawskie, pomijając ich inne brzydkie cechy. Któryś próbował wspiać się na ogrodzenie, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie, i się usmażył. Zapach padliny przyciągnął inne sfeksy, oszalałe z wściekłości, ponieważ zginął ich brat. Niektóre próbowały pokonać płot. Zapach ich trupów sprowadził kolejne sfeksy.

Wkrótce potem płot się przewrócił pod ciężarem zwisających na nim martwych bestii, a zwał padliny utworzył coś w rodzaju pomostu nad ogrodzeniem. Wszystkie sfeksy, które zwietrzyły smród martwych pobratymców, pognały co sił w nogach na polanę, wściekłe, oszalałe od zapachu trupów. Fala wyjących sfeksów zalała polanę w poszukiwaniu ofiar i myślę, że udało im się dokonać zemsty.

Roane przestał jeść. Wyglądał na chorego.

- W dokumentach, które czytałem, były zdjęcia sfeksów - rzekł. - Myślę, że to wyjaśnia... wszystko. Odłożył widelec na stół.

- Nie mogę jeść.

Huygens nie skomentował. Skończył posiłek z nachmurzoną miną. Włożył talerze do zmywarki. Kiedy ucichły odgłosy wirowania, wyjął z maszyny czyste naczynia i odłożył je na miejsce.

- Pokaż mi te raporty - powiedział oschłym tonem. - Chcę się dowiedzieć, jak były zbudowane roboty.

Roane zawahał się, ale w końcu otworzył swoją torbę. W środku znajdowała się mikroprzełęczarka i rolki filmów. Jeden z nich miał nalepkę „Opis techniczny budowli. Misja Kolonialna”. Powinien zawierać szczegółowe plany oraz wszelkie dane materiałowe i robocze pomocne przy budowaniu osady, począwszy od mebli, poprzez biura dla urzędników aż do sieci, które potrafiły wysyłać w kosmos ponad sto tysięcy ziemskich ton z planet o silnym przyciąganiu. Jednak Huygens wybrał inną rolkę. Włożył ją do wyświetlarki, a potem zaczął przeglądać film. Zatrzymywał się na dłużej przy ramkach z indeksem, aż wreszcie dotarł do sekcji, której szukał. Z rosnącym zniecierpliwieniem zaczął odczytywać informacje.

- Roboty! - sapnął. - Dlaczego z nimi eksperymentują?! Powinny odwalać brudną robotę w miastach albo na pozbawionych powietrza planetach, gdzie nie zdarza się nigdy nic nieoczekiwanego! Robotów nie powinno być w nowych koloniach. Osadnicy chcą widzieć w nich obrońców. Cholera! Pozwól człowiekowi przebywać przez jakiś czas z robotami, a zacznie myśleć, że natura jest równie ograniczona jak one! To jest plan stworzenia kontrolowanego środowiska. Kontrolowane środowisko?! Na Loren Dwa?! - przeklął soczyście. - Zadowolone z siebie, zidiociało, biurokratyczne inteligenciki!

- Nie mam nic przeciw robotom - zaproponował Roane. - Bez nich nasza cywilizacja nie zaszłaby tak daleko.

- Nie można okiełznać dzikiej przyrody za pomocą maszyn! Wylądowało tu kilkunastu ludzi. Na początek mieli pięćdziesiąt robotów i części do zbudowania kolejnych piętnastu setek. I założę się o wszystko, co mam, że wasze statki dostarczały nowych elementów.

- To prawda - przyznał Roane.

- Gardzę robotami - warknął Huygens. - Czuję wobec nich to samo co starożytni Grecy i Rzymianie w stosunku do niewolników. Powinny służyć do czarnej roboty, takiej, którą człowiek może wykonać dla siebie, ale na pewno nie robi tego dla innych. Rozumiesz? Mówię o zajęciach poniżających!

- Dość arystokratyczne podejście - zauważył Roane z lekką ironią w głosie. - Rozumiem, że roboty sprzątają jaskinie twoich niedźwiedzi?

- Nie! - odparł Huygens z oburzeniem. - Sam sprzątam! Te zwierzęta to moi przyjaciele! Walczą za mnie! Żaden robot by ich potrzeb nie zrozumiał.

Na zewnątrz rozbrzmiewały odgłosy nocnego życia planety; dźwięki organów, czkanie, stukanie młoteczków i trzaskanie drzwi. Gdzieś w głębi lasu rozległo się wyjątkowo

nieharmonijne skrzywienie, jakie wydaje zardzewiała pompa.

- Szukam zapisu o projektach wydobywania - powiedział Huygens, wpatrując się w przeglądarkę. - Jeśli mieli tam kopalnie odkrywkowe, byli bez szans. Gdyby jednak wykopali tunel, w którym podczas ataku sfeksów znajdowali się ludzie nadzorujący roboty... w takim wypadku mogliby przeżyć.

Roane popatrzył na Huygensa w skupieniu.

- A wtedy...? - zapytał.

- Do diabła! - warknął Huygens. - Jeśli tak, pójdę się o tym przekonać. Inaczej ci, co przeżyli, nie będą mieli żadnej szansy. Chociaż nie zawsze warto mieć szansę.

Roane uniósł brwi.

- Jestem oficerem Misji Kolonialnej. Powiedziałem, że wsadzę cię za kratki, jeśli tylko zdołam. Przebywasz na nielicencjonowanej planecie i nie poddałeś się kwarantannie. Narażasz w ten sposób życie milionów ludzi. Czy przyszło ci do głowy, że jeśli uratujesz kogoś z ruin kolonii robotów, ten człowiek stanie się świadkiem twojej nielegalnej obecności na Loren Dwa?

Huygens przewinął film w przeglądarce i zatrzymał. Przesuwał zapis do przodu i do tyłu, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

- A jednak wydrążyli tunel - mruknął z zadowoleniem. - Co do świadków, zacznę się nimi martwić, kiedy przyjdzie pora - powiedział do Roane'a.

Odsunął na bok drzwiczki w kredensie. Wewnątrz znajdowały się różne rzeczy przydatne do naprawy urządzeń domowych, o których istnieniu zwykle człowiek nie ma pojęcia, dopóki się nie zepsują. Był tam cały asortyment drutów, tranzystorów, śrub i innych przedmiotów, których mógłby potrzebować mieszkający samotnie mężczyzna. Zważywszy na fakt, że Huygens był jedynym mieszkańcem systemu słonecznego, wszystkie te drobiazgi mogły mu się okazać szczególnie przydatne.

- Co teraz? - spytał uprzejmie Roane.

- Zamierzam się przekonać, czy w bazie został jeszcze ktoś żywy - odparł Huygens. - Sprawdziłbym to wcześniej, gdybym wiedział o istnieniu kolonii. Nie mogę udowodnić, że wszyscy nie żyją, ale za to mogę dowiedzieć, że ktoś tam jeszcze przetrwał. To zaledwie dwa tygodnie drogi stąd! Czy to nie dziwne, że dwie kolonie powstały tak blisko siebie?

Systematycznie wyciągał wybrane rzeczy z szafki.

- Do diabła! - zaklął Roane, wyraźnie rozdrażniony. - W jaki sposób chcesz sprawdzić, czy w miejscu odległym o setki kilometrów ktoś pozostał przy życiu? Pół godziny temu nawet nie wiedziałeś o istnieniu kolonii.

Huygens rozebrał wbudowany w ścianę panel. Odslonił aparaturę i obwody elektryczne. Pracował w skupieniu.

- Myślałeś kiedyś o akcji ratunkowej? - rzucił przez ramię. - Masz przed sobą planetę o powierzchni kilkudziesięciu milionów kilometrów kwadratowych. Wiesz, że gdzieś na jej powierzchni rozbił się statek, ale nie masz pojęcia gdzie. Zakładasz, że ocaleli mają jakieś źródło mocy, ponieważ każdy cywilizowany człowiek potrafi zapewnić sobie jakieś źródło zasilania. Zbudowanie radiolatarni wymaga jednak fachowców i precyzyjnych pomiarów. Tutaj nie wchodzi w grę żadna prowizorka. Zatem co ma zrobić rozbitek, aby sprowadzić statek ratowniczy dokładnie na ten mały skrawek ziemi, na którym tak niefortunnie wylądował?

- Co?

- Na początek musi powrócić do natury. Na przykład gotować mięso na ogniu. Musi też stworzyć prymitywny system sygnalizacji. Coś, co potrafi zrobić bez użycia przyrządów pomiarowych, mikrometrów i innych specjalistycznych narzędzi. Wypełnić całą atmosferę planety sygnałem, którego ekipy ratunkowe nie będą mogły przegapić. Rozumiesz?

Roane po chwili namysłu przecząco potrząsnął głową.

- Nasz rozbitek - kontynuował Huygens - konstruuje więc przekaźnik radiowy. Ustawia sygnał wyjściowy na możliwie najniższą częstotliwość, zapewne fale od pięciu do piętnastu metrów długości, ale za to szerokie pasmo przekazu. Taki sygnał można odróżnić od szumów radiowych i wiadomo, że został nadany przez człowieka. Nasz rozbitek uruchamia emisję i sygnał rozchodzi się wokół planety. Niektóre częstotliwości przedostają się aż do jonosfery. Pierwszy lepszy statek, który zejdzie tak nisko, namierzy sygnał. Ustawi się na kursie, potem wychwyci kolejny sygnał i wprowadzi poprawki. W końcu polecą prosto tam, gdzie w ręcznie uplecionym hamaku spokojnie czeka sobie rozbitek i sący coś w rodzaju drinka, który wyprodukował z okolicznych roślin.

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, rzeczywiście... - odburknął Roane.

- Mój nadajnik odbiera mikrofały - powiedział Huygens. - Zamontuję w nim kilka elementów, żeby rejestrował też niższe częstotliwości. Nie jest bardzo czuły, ale złapie sygnał, jeśli ktokolwiek go nadaje. Chociaż się tego nie spodziewam.

Huygens zabrał się do pracy. Roane siedział nieruchomo przez długi czas i obserwował. Z dołu zaczęło dochodzić coraz głośniejsze chrapanie. Sourdough Charley spał na grzbiecie, z wszystkimi łapami w powietrzu. Sitka Pete mruczał przez sen - widocznie coś mu się śniło. Drzemiący w głównym pomieszczeniu stacji Semper otworzył gwałtownie oczy, po czym wetknął łeb pod olbrzymie skrzydło i znowu zasnął. Hałasy z dżungli przedostawały się do wewnątrz przez stalowe okiennice. Bliższy księżyc, który przepłynął po niebie, zanim skontaktował się z Huygensem kreteński frachtowiec, znowu gwałtownie wyrósł nad wschodnim horyzontem. Przemknął po niebie niczym samolot - nieregularna bryła skał i metalu, skazana na wieczną wędrówkę wokół wielkiej planety.

- Słuchaj, Huygens! - odezwał się gniewnie Roane. - Masz powód, aby mnie zabić, ale najwyraźniej nie zamierzasz tego zrobić. Masz powód, żeby zostawić kolonię robotów bez żadnej pomocy, tymczasem szykujesz się do akcji ratunkowej, jeśli oczywiście jest tam jeszcze ktoś, kto czeka na ocalenie. Do tego jesteś przestępcą, bez dwóch zdań! Zdarzało się już nieraz, że ktoś przywłókł ze sobą do cywilizacji potworne zarazki z takich planet jak Loren Dwa. Umarło przez to bardzo wielu ludzi, a ty ryzykujesz znacznie więcej. Dlaczego? Dlaczego robisz coś, co może spowodować straszliwe konsekwencje dla innych?

- Wydaje ci się, że przy kontaktach z ludźmi nie stosuję żadnych zabezpieczeń ani kwarantanny - odburknął Huygens. - Jesteś w wielkim błędzie. Stosuję wszystkie środki ostrożności. A co do reszty, i tak byś nie zrozumiał.

- Nie pojmuję, to fakt! - krzyknął Roane. - Ale to wcale nie znaczy, że w ogóle nie potrafię tego zrozumieć! Dlaczego stałeś się przestępcą?

Huygens niestrudzenie dłubał śrubokrętem w panelu kontrolnym. Delikatnie podważył małą płytkę z układami elektrycznymi, a potem ostrożnie zaczął pakować do środka nową, większą część.

- Odcinam teraz wzmacniacz, chyba definitywnie - zauważył. - Ale myślę, że to wystarczy. Robię to, co robię - dodał spokojnie. - Jestem przestępcą, ponieważ przynosi to korzyści komuś takiemu jak ja. A przynajmniej tak mi się zdaje. Każdy człowiek zachowuje się

odpowiednio do tego, jak postrzega samego siebie. Ty jesteś sumiennym obywatelem i lojalnym urzędnikiem z dobrze dostosowaną osobowością. Uważasz się za inteligentne, racjonalne zwierzę, ale wcale się tak nie zachowujesz! Przypominasz mi o tym, że powinienem cię zastrzelić albo pozbyć się ciebie w jakikolwiek inny sposób, a przecież każda trzeźwo myśląca istota robiłaby wszystko, żebym o tym zapomniał. Tak się złożyło, Roane, że jesteś człowiekiem, podobnie jak ja. Tylko że ja jestem tego świadom, dlatego celowo robię rzeczy, których nie zrobiłoby żadne trzeźwo myślące zwierzę. W moim pojęciu tak właśnie powinien postępować człowiek. Bardzo ostrożnie przykręcił śrubki.

- Oho, czyżbyś był religijny? - mruknął Roane ze złością.

- Według mnie to szacunek do samego siebie - odparł Huygens. - Nie lubię robotów. Zbyt przypominają mi zwierzęta. Maszyna robi wszystko, co poleci jej nadzorca, oczywiście w miarę swoich możliwości. Trzeźwo myślące zwierzę robi wszystko, co potrafi w danych okolicznościach. Nie mógłbym polubić żadnego robota, chyba że miałby jakieś pojęcie o tym, co jest korzystne z punktu widzenia człowieka, i naplułby mi w twarz, gdybym usiłował postąpić inaczej. Te niedźwiedzie na dole nie są automatami! To lojalne i honorowe zwierzęta, ale rozerwałyby mnie na strzępy, gdybym próbował zmusić je do czegoś, co jest wbrew ich naturze. Faro Nell rzuciłaby się na mnie bez wahania, gdybym skrzywdził Nuggeta. Byłby to gest bezsensowny, gdyż przegrałaby ze mną walkę i zginęła. Ale to właśnie lubię w Faro Nell! I ja także będę z tobą walczył, jeśli spróbujesz mnie zmusić, abym postąpił wbrew mojej naturze. Będę tak samo nierozsądny i irracjonalny jak niedźwiedzica broniąca małego. - Spojrzał przez ramię i rzucił Roane'owi uśmiech. - I ty także masz to w sobie, tylko że jeszcze tego nie rozumiesz.

Wrócił do pracy. Po chwili zamontował gałkę ręcznego sterownika w swoim dziwacznym urządzeniu.

- Ktoś próbował cię do czegoś zmusić - domyślił się Roane. - Czego zażądano, że w końcu skończyłeś jako kryminalista? Przeciwno czemu się buntujesz?

Huygens wdusił przełącznik i zaczął poruszać gałką odbiornika zmodyfikowanego tak, aby odbierał krótkie fale.

- Cóż - powiedział z rozbawieniem - kiedy byłem młody, także i ze mnie ludzie próbowali zrobić sumiennego obywatela i lojalnego pracownika z odpowiednio ukształtowaną osobowością. Starali się stworzyć bardzo inteligentne, trzeźwo myślące zwierzę. Nic więcej. Różnica między tobą a mną Polega na tym, że ja odkryłem ich zamysły i oczywiście postanowiłem się zbun... - przerwał w pół słowa.

Z głośnika dobieły się nikłe trzaski przypominające odgłos smażonych frytek. Huygens nasłuchiwał w skupieniu. Bardzo, bardzo powoli przykręcił gałkę. Nagle Roane wykonał gest, jakby chciał zwrócić uwagę na nową nutę, która pojawiła się na tle szumu. Huygens pokiwał głową i bardzo nieznacznie przesunął pokrętło. Pośród trzasków i świstu słychać było mamrotanie, wyraźnie uporządkowane w jakiś wzór. Huygens wzmocnił odbiór i pomruk stał się głośniejszy. Teraz już nie można go było z niczym pomylić - to była sekwencja znaków. Trzy sygnały trwające pół sekundy, z półsekundową pauzą między nimi. Sekunda przerwy, potem trzy sekundowe sygnały.

Kolejna sekunda przerwy, znowu trzy krótkie sygnały, a potem pięć sekund przerwy i znowu to samo.

- Niech mnie diabli! - zawołał Huygens. - To sygnał nadany przez człowieka! Kiedyś używano go, aby wezwać pomocy. Nazywa się SOS, chociaż nie wiem, co oznacza ten skrót.

Ktoś musiał przeczytać jakąś staroświecką książkę, skoro wie o takim zestawie znaków. A to oznacza, że w twojej licencjonowanej, choć teraz zniszczonej kolonii robotów ktoś jednak przeżył i prosi o pomoc. Powiedziałbym, że bardzo jej potrzebuje.

Popatrzył na Roane'a.

- Na logikę, należałoby tu zostać i poczekać na statek, obojętne kto się zjawi najpierw, twój czy moi przyjaciele. Statek na pewno pomoże ocalałym lepiej niż my. Co więcej, statek może znacznie łatwiej ich namierzyć. Tyle że dla tych nieszczęśników pewnie liczy się każda minuta. Dlatego wezmę niedźwiedzie i sprawdzę, czy uda mi się do nich dotrzeć. Możesz tu czekać, jeśli chcesz. Co tu dużo mówić, na Loren Dwa wycieczki to bardzo nieprzyjemna sprawa. Będę musiał walczyć niemal o każdą piędź ziemi. Wokoło jest mnóstwo nieprzyjaznych zwierząt.

- Nie bądź idiotą! - wrzasnął Roane ze złością. - Oczywiście, że idę z tobą! Za kogo ty mnie masz?! We dwóch będziemy mieli czterokrotną przewagę.

Huygens wyszczerzył zęby.

- Niezupełnie. Zapominasz o niedźwiedziach. Z tobą będzie nas pięcioro. Oczywiście Nugget też musi iść, chociaż do niczego się nie przyda. Ale za to pomoże nam Semper. Twoja obecność nie podwoi naszych szans, Roane, ale cieszę się, że postanowiłeś zachować się głupio, bezsensownie i kompletnie nieracjonalnie. Witam w klubie!

3

Postrzępiona skała wyrastała trzysta metrów ponad doliną rzeki, której szeroki strumień kierował się na zachód, w stronę morza. Trzydzieści kilometrów na wschód ciągnęła się stroma ściana gór. Szczyty zlewały się w lity mur tuż pod niebem. U ich podnóża jak okiem sięgnąć rozciągała się falista nizina.

Mały punkcik na niebie powoli opadł w dół. Olbrzymie skrzydła załopotwały w powietrzu i Semper wylądował na skale. Gwałtownie obrócił głowę. Spoglądał wokół nieruchomymi oczami. Na piersi nosił szelki, do których przymocowana była miniaturowa kamera. Stał dumnie na szczycie - samotny, arogancki wśród bezkresnej pustki. Nagle dało się słyszeć szelesty i odgłosy kruszenia skał, a potem węszenie i po chwili Sitka Pete wygramolił się na otwartą przestrzeń. On także nosił uprząż i przymocowaną do niej paczkę. Szelki miały skomplikowany układ, ponieważ musiały dobrze mocować bagaż na grzbiecie, a jednocześnie umożliwiać swobodne ruchy przednich łap w momencie, gdyby doszło do walki.

Niedźwiedź poruszał się bardzo ostrożnie. Przemierzył otwartą przestrzeń i dotarł do wyniosłej skały. Kiedy wdrapał się do Sempera, orzeł otworzył wielki, zakrzywiony dziób i głośnym skrzeczeniem wyraził oburzenie. Sitka najwyraźniej się tym nie przejął. Po chwili odprężył się i usiadł swobodnie, rozkładając tylne łapy. Przyglądał się krajobrazowi, który rozciągał się poniżej, i wciągał w nozdrza powietrze. Wkrótce dało się słyszeć więcej odgłosów węszenia i ciężkie człapanie. Pojawił się Sourdough Charley, a za z nim Huygens i Roane. Sourdough także taszczył na grzbiecie pakunek. Potem rozległ się pisk i na górze pojawił się Nugget, popędzany klapsami, które wymierzała mu matka. Faro Nell szła na końcu. Taszczyła padlinę jakiegoś rogatego zwierzęcia przyczepioną do uprzęży.

- Wybrałem to miejsce na podstawie zdjęcia z kosmosu - powiedział Huygens. - Ustalimy teraz ostateczne współrzędne.

Zdjął z ramion plecak, wyciągnął z niego urządzenie własnej chyba roboty i rozłożył antenę kierunkową. Potem podłączył do maszyny spory kawał giętkiego kabla i rozłożył małą, prowizoryczną antenę zamontowaną na jeszcze mniejszej przetwornicy. Założył słuchawki,

rozejrzał się i powiedział ostro:

- Uważaj na niedźwiedzie, Roane. Wiatr wieje od strony, z której przyszliśmy. Jeżeli coś, na przykład sfeksy, idzie naszym śladem, kodiaki poczują zapach i nas ostrzegą.

Zajął się aparaturą. W tle słyszał szumy, które na pewno nie były sygnałem nadawanym przez człowieka. Podniósł rękę z małą anteną i zaczął obracać nią w powietrzu. Zgrzyty i brzęczenie to przybierały na sile, to zanikały. Ale odbiornik został przystosowany do odbioru konkretnej częstotliwości, był przez to bardziej czuły niż zwykły komunikator. Wychwycił w końcu trzy krótkie, trzy długie i znowu trzy krótkie sygnały. Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki, i tak bez końca. SOS, SOS, SOS. Huygens zanotował koordynaty, potem przesunął antenę kierunkową, dokładnie zmierzył odległość i zapisał. Jeszcze kilka razy przesunął antenę, mierzył odległość i spisywał odczyty instrumentów. Kiedy skończył, sprawdził kierunek, z którego nadchodził sygnał, na podstawie głośności i fazy. W ten sposób, mając do dyspozycji jedynie prymitywne urządzenie, otrzymał w miarę dokładne namiary.

Sourdough zamruczał łagodnie. Sitka Pete wciągnął powietrze nozdrzami i wstał. Faro Nell strzeliła łapą Nuggeta i umieściła skomlącego malucha w najdalszym rogu małego płaskowyżu na szczycie wzgórza, na którym się zatrzymali. Stała ze zjeżoną sierścią i patrzyła w dół, skąd nadeszli.

Huygens zaklął. Wstał i zamachał ręką na Sempera, który odwrócił łeb w jego kierunku. Orzeł zaskrzeczał w sposób bardzo nieprzystający osobnikom jego gatunku, po czym wystartował ze szczytu i odfrunął, walcząc z silnym prądem ściągającym. Kiedy Huygens wyciągnął broń, Semper już krążył nad ich głowami. Przepłynął dostojnie trzydzieści metrów nad ziemią.

Kołysał się i walczył ze zdradliwymi prądami. Krzyknął szorstko, zakreślił koło i znowu zaskrzeczał. Huygens włączył mały telewizorek przymocowany na pasku i obserwował obraz z minikamery Sempera. Ziemia na ekranie zataczała się i huśtała. Tak właśnie widział ją Semper, tyle że ptak obejmował wzrokiem znacznie większy obszar. Pomiędzy chwiejącymi się drzewami przesunęły się jakieś obiekty. Ich ubarwienia nie można było z niczym pomylić.

- Sfeksy - powiedział Huygens chłodno. - Osiem sztuk. Nie myśl, że idą dokładnie naszym śladem, Roane. Suną równolegle, po obu stronach. W ten sposób atakują, kiedy już dogonią ofiarę: wszystkie razem, z obu stron. Posłuchaj mnie uważnie! - dodał. - Niedźwiedzie poradzą sobie z każdym sfeksem, którego dorwą. My musimy im pomóc. Celuj w korpus. Pociskami eksplodującymi.

Zdjął z broni zabezpieczenie. Faro Nell z głośnym warkotem ustawiła się pomiędzy Sitką i Sourdough Charleyem. Wielki kodiak popatrzył na nią i parsknął, zupełnie jakby drwił sobie z mrozących krew w żyłach dźwięków, które wydawała samica. Sourdough zaburczał głośno, a potem oba samce odsunęły się od niedźwiedzicy na boki. Będą obstawiać skrzydła. Jedyne oznaki życia w tej okolicy stanowiły piski maleńkich stworzonek, które na Loren Dwa były odpowiednikiem ptaków, niskie, wściekle powarkiwanie Faro Nell i trzask odbezpieczanej broni Roane'a.

Semper znowu krzyknął. Leciał tuż nad wierzchołkami drzew, podążając śladem dwubarwnych, przerażających postaci.

Osiem niebiesko-beżowych potworów wypadło z gęstej dżungli. Miały mnóstwo ostrych kolców na całym ciele, rogi i płonące ślepia. Wyglądały jak z piekła rodem. Atakowały, wydając przy tym ostre, skwierczące piski, które przypominały wzmocnione tysiąc razy miauczenie walczącego kocura. Szczęknęła strzelba Huygensa i zaraz potem rozległ się głośny

wybuch pocisku, który wbił się w ciało jednego ze sfeksów. Niebiesko-beżowy potwór upadł, piszcząc z bólu. Rozwścieczona Faro Nell zaatakowała z furją.

Roane wystrzelił, ale trafił w drzewo. Sitka Pete uniósł się, klasnął masywnymi przednimi łapami i zginął kolejny sfeks. Roane wystrzelił ponownie. Sourdough Charley szczeknął krótko, przewrócił potwora i przeorał pazurami jego brzuch, który okazał się znacznie delikatniejszy niż reszta ciała. Sfeks odczołgał się, zawodząc z bólu. Jeden z drapieźników umknął z grupki kotłującej się wokół Sitki. Skoczył na niedźwiedzia od tyłu, ale Huygens zastrzelił go z zimną krwią. Dwa potwory skoczyły w kierunku Faro Nell. Jednego zabił Roane, drugim z furją zajęła się niedźwiedzica. Potem Sitka Pete wyprostował się na tylnych łapach, jakby chciał sfeksy strząsnąć z siebie. Podbiegł Sourdough, odciągnął jedną z bestii, zabił ją i wrócił po następną. Jeszcze dwa strzały i na polu bitwy nie pozostał żaden żywy sfeks.

Niedźwiedzie przerzucały między sobą ciała napastników. Sitka Pete warknął, podniósł głowę jednego z nich i strzaskał łapami. Potem zrobił to z następnym i następnym.

Na pobojuwisku wylądował Semper. W czasie walki latał nad walczącymi, krzyczał i trzepotał olbrzymimi skrzydłami. Huygens podchodził kolejno do każdego niedźwiedzia i mówił coś do nich uspokajająco. Najwięcej czasu musiał poświęcić Faro Nell, która wylizywała Nuggeta z namiętną troskliwością i potwornie przy tym warczała.

- Ruszcie się! - zawołał Huygens, gdy Sitka Pete ułożył się do odpoczynku. - Zrzućcie te trupy ze skały. Dalej, Sitka! Sourdough! Hop!

Dyrygował dwoma samcami, które z niechęcią chwyciły trupy potworów, wlokły je na brzeg płaskiego wierzchołka skały i spychały w dolinę.

- Ich koleżkowie przybiegną tam, gdzie leżą trupy - tłumaczył Huygens. - Będą pomstować i opłakiwać martwych braci, ale nie znajdą żadnego tropu. Gdybyśmy byli bliżej rzeki, kazałbym niedźwiedziom wrzucić trupy do wody. Wtedy żałobnicy zgromadziliby się tam, gdzie prąd wyniosłby ciała na brzeg. Jeśli jakiś sfeks zginie w pobliżu stacji, spalę ciało. Jeśli muszę gdzieś zostawić truchło, zacieram ślady i zmywam się z miejsca jak najszybciej.

Otworzył pakunek przymocowany na grzbiecie Sourdough Charleya, wyciągnął szmaty i kilka litrów środka dezynfekującego. Po kolei zajął się wszystkimi niedźwiedziami. Opatrzył draśnięcia i rany, a także porządnie nasączył futro zwierząt w miejscach, gdzie widniały ślady krwi sfeksów.

- Ten antyseptyk przy okazji zabija zapach - wyjaśnił Roane'owi. - Inaczej sfeksy na pewno by nas zwietrzyły. Zanim wyruszymy, będę musiał wymyć niedźwiedziom łapy.

Roane obserwował to wszystko w milczeniu. W czasie walki spudłował za pierwszym razem. Wprawdzie strzelba z nabojami eksplodującymi miała większy odrzut niż laser, ale Roane był coraz bardziej na siebie wściekły. Pod koniec walki mierzył już bardzo starannie i ani razu nie spudłował, ale ta świadomość nie polepszyła jego samopoczucia.

- Uczysz mnie, co mam robić, jeśli zginiesz? Nie wiem, czy warto - powiedział z goryczą.

Huygens sięgnął do plecaka i wyciągnął powiększone zdjęcia satelitarne. Starannie naniósł na jedno punkty orientacyjne i narysował poprzeczną linię.

- Sygnał SOS pochodzi z miejsca w pobliżu kolonii robotów - rzekł. - Myślę, że to gdzieś na południe od bazy. Zapewne jest nadawany z kopalni, którą otworzyli w pewnej odległości od... och, oczywiście, od Martwej Równiny. Widzisz, jak oznakowałem mapę? Dwa wskaźniki, jeden ustalony w stacji, drugi tutaj. Specjalnie zszedłem z kursu, żeby złapać te namiary. Dzięki temu mamy dwie linie zbiegające się w punkcie nadawania. Sygnał mógł być

generowany po drugiej stronie planety. Dopiero teraz zyskałem pewność, że pochodzi stąd.

- Ale przecież szansa na to, że sygnał nadają jacyś inni rozbitkowie, była od samego początku dość nikła - zaprotestował Roane.

- Niekoniecznie - odparł Huygens. - W kolonii robotów pojawiały się statki. Jeden z nich mógł się rozbić. Poza tym ja też mam przyjaciół, którzy mnie czasem odwiedzają.

Zapakował do plecaka przenośne urządzenie pomiarowe. Skinął na niedźwiedzie, wyprowadził je poza granice pola walki i starannie oczyścił im łapy środkiem dezynfekującym, aby nie zostawiły za sobą śladu krwi sfeksów. Pomachał na Sempera, który krążył w górze.

- Idziemy - rozkazał kodiakom. - Naprzód!

Zeszli ze skały i znowu zanurzyli się w dżunglę. Pochód prowadził teraz Sourdough, a Sitka Pete krążył tuż za nim. Faro Nell razem z Nuggetem tradycyjnie podążali za mężczyznami. Niedźwiedzica bardzo pilnie strzegła małego. Oczywiście przy okazji pilnowała, czy nic nie zachodzi grupy od tyłu. Nad głowami pochodu Semper zakreślał wielkie koła i spirale, lecz nigdy nie oddalał się zbyt od grupy. Huygens wpatrywał się nieustannie w mały ekranik, który przekazywał obraz z kamery orła. Widoczny na monitorze krajobraz trząsł się i zataczał kręgi, huśtał się i przechylał. Z pewnością nie był to idealny zwiad powietrzny, ale przynajmniej działał.

- Tutaj skręcimy w prawo - rzekł Huygens. - Droga przed nami jest prawie nie do przejścia, a poza tym wygląda na to, że przed nami pożywia się banda sfeksów, które właśnie skończyły polowanie.

Roane wciąż był zły na siebie i zdenerwowany.

- To nielogiczne. Drapieżników nie powinno być aż tak dużo, jak mówisz - powiedział z rozdrażnieniem. - Wszystko musi być w równowadze: na jednego mięsożercę przypada określona liczba roślinożerców. Jeśli pojawia się zbyt wiele drapieżników, wkrótce zjadają wszystkie inne zwierzęta, a potem zdychają z głodu!

- Nie ma ich tutaj przez całą zimę - wyjaśnił Huygens. - A ta pora roku nie jest na Loren Dwa tak sroga, jak myślisz. Większość zwierząt rozmnaża się chyba dopiero wtedy, gdy odejdą sfeksy. Poza tym potwory nie grasują tu przez cały czas. Pojawiają się nagle, ale czasem możesz nie spotkać ani jednego przez wiele tygodni, zanim znowu zaczniesz się od nich roić. Przed zimą, tak jak teraz, migrują na południe. Kto wie, może to zwierzęta wędrowne? Nie było tu zbyt wielu wielbicieli przyrody - dodał oschle. - Fauna Loren Dwa jest nieprzyjazna dla ludzi.

Roane wciąż rozważał trudny problem. Był starszym oficerem Misji Kolonialnej. Miał przybyć do częściowo lub już całkowicie wykończonej osady na tej planecie i sporządzić raport o postępach w jej budowie i rozwoju. Zamiast tego znalazł się w skrajnie nieprzyjaznym otoczeniu, a jego los leżał w rękach nielegalnego osadnika. Co więcej, brał udział w podejrzanym przedsięwzięciu, którego zakończenie trudno przewidzieć - urządzenie wysyłające sygnał, który odebrał Huygens, mogło przecież działać długi czas po tym, jak zginęli jego konstruktorzy. Większość dotychczasowej ideologii Roane'a chwiała się w posadach. Zawdzięczał życie trzem gigantycznym niedźwiedziom Kodiaka i łysemu orłowi. Bez tych zwierząt on i Huygens zginęliby nawet wtedy, gdyby mieli do dyspozycji tysiąc robotów. Sfeksy i maszyny zignorowałyby się nawzajem, a oni mieliby tylko cztery sekundy na zarejestrowanie faktu, że zostali zaatakowani, przygotowanie się do obrony i wreszcie zabicie ośmiu sfeksów.

Wszystkie przekonania Roane'a, jako cywilizowanego człowieka, legły w gruzach. Roboty były wspaniałymi urządzeniami, które robiły to, czego od nich oczekiwano, realizowały plany i starały się sprostać ludzkim wymaganiom. Miały jednak podstawową wadę, ponieważ potrafiły jedynie wypełniać instrukcje: jeśli stanie się to, zrób tamto, jeśli stanie się coś innego, zrób odwrotnie. A przede wszystkim były bezbronne. „Cywilizacja” maszyn mogła pracować wyłącznie w dobrze poznanym i zdefiniowanym środowisku, w którym nigdy nie zdarza się nic zaskakującego i ludzie z nadzoru nie żądają rzeczy niespodziewanych. Roane był zbulwersowany. Nigdy w swojej karierze, nigdy w życiu nie doświadczył sytuacji tak absolutnie nieprzewidywalnej.

Spojrzał na Nuggeta, który zwiesił smutno uszy. Roane'owi przyszło do głowy, że Nugget dostaje mnóstwo bolesnych upomnień od swojej matki. Mały był poniewierany fizycznie, tak jak on psychicznie. W tej właśnie chwili Roane doświadczał boleśnie swojej niewiedzy i nieprzystosowania do samodzielnego życia.

- Hej, Nugget - powiedział Roane ze smutkiem. - Czuję się tak samo jak ty.

Niedźwiadek wyraźnie pojaśniał. Bryknął radośnie - chyba lubił sobie pohasać. Był tylko małym niedźwiadkiem, mimo że mierzył ponad metr w kłębie i gdyby stanął na tylnych łapach, przewyższyłby człowieka. Roane wyciągnął rękę i poklepał Nuggeta po głowie. Pierwszy raz w życiu pogłaskał jakieś zwierzę. Za sobą usłyszał sapnięcie, od którego zjeżyły mu się włosy na karku. Odwrócił się. Spoglądało na niego dziewięćset kilo żywej wagi. Niedźwiedzica stała blisko, nie dalej niż trzy kroki. Roane oblał się zimnym potem, ale zaraz dostrzegł, że oczy Faro Nell nie płoną z wściekłości. Niedźwiedzica nie warczała ani nie wydawała żadnych złowrogich dźwięków, takich jak w czasie walki na skale, kiedy zareagowała furją na zagrożenie życia jej dziecka. Spoglądała na Roane'a bez wyrazu, a po chwili zajęła się czymś zupełnie innym, co akurat przyciągnęło jej uwagę.

Wędrowali dalej. Nugget szalał za plecami Roane'a i co chwila niezgrabnie na niego wpadał. Spoglądał na człowieka z uwielbieniem - z bezgranicznym, ogromnym uczuciem charakterystycznym dla młodych zwierzątek. Faro Nell szła szerokim zygziem. Była bardzo zadowolona, że Nuggetem opiekuje się człowiek - syn potrafił wyprowadzić ją z równowagi.

- Huygens! - zawołał Roane. - Spójrz tylko! Zostałem nianką Nuggeta! Huygens obejrzał się za siebie.

- Daj mu parę klapsów i wróci do matki - powiedział.

- Nie ma mowy! Podoba mi się ta rola.

Szli dalej, dopiero kiedy zapadł zmrok, rozbili obóz. Oczywiście nie było mowy o rozpaleniu ogniska, ponieważ zaraz zaroiłoby się od małych latających stworzonek, które ciągnęły do ognia niczym ziemskie ćmy. Nie mogli jednak siedzieć w absolutnej ciemności, gdyż wtedy zapewne padliby ofiarą nocnych włóczęgów. Huygens rozstawił lampy, tworząc wokół obozu ścianę światła. Potem przygotował posiłek z mięsa rogatego zwierzęcia, które dźwigała Faro Nell. Po kolacji położyli się spać. Kodiaki przysypiały, budziły się i znów zapadały w krótką drzemkę. Semper trwał nieruchomo na gałęzi jednego z drzew, z głową ukrytą pod skrzydłem. W pewnym momencie w dżungli zapadła na moment cudowna cisza i świat rozjaśnił się w promieniach porannego słońca. Pomaszrowali dalej.

Tego dnia musieli stać bez ruchu ponad dwie godziny, podczas gdy stado sfeksów zastanawiało się nad śladem pozostawionym przez niedźwiedzie. Huygens cierpliwie rozprawiał o konieczności dezynfekowania łap niedźwiedzi oraz butów środkiem pochłaniającym zapach. Roane wymyślił, że można by wyprodukować środek odstraszający

sfeksy, taki antysfeksowy dezodorant. Wtedy mogliby spokojnie przechodzić obok drapieżników, bez groźby ataku z ich strony.

- Coś w rodzaju odstraszacza śmierdzącego pluskwami - skomentował Huygens sardonicznie. - Świetny pomysł! Powinieneś być dumny z siebie.

W jednej chwili zadowolenie Roane'a zniknęło jak sen złoty.

Wieczorem znowu rozbili obóz. Trzecią noc spędzili na granicy Martwej Równiny. Z daleka wyglądała jak łańcuch górski, ale tak naprawdę była pustynnym płaskowyżem. To, że na takiej wysokości pojawiła się pustynia, podczas gdy na nizinach występowały opady, było nielogiczne. Jednak o poranku przekonali się, dlaczego tak jest. W oddali, na drugim krańcu płaskowyżu dostrzegli monstrualną górę. Wyglądała jak dziób gigantycznego statku. Wyrastała dokładnie na linii wiatrów i rozcinała je niczym statek prujący fale. Wilgotne prądy powietrzne omijały wyżynę, dlatego cały ten obszar, nieosłonięty przed górkim słońcem, stał się w końcu pustynią.

Pół dnia zajęło im dotarcie do połowy zbocza. Podczas wspinaczki Semper dwukrotnie ostrzegał przed sfeksami, które pojawiały się raz po jednej, raz po drugiej stronie. Były to znacznie większe grupy, niż Huygens kiedykolwiek widział. Liczyły od pięćdziesięciu do stu osobników, podczas gdy zwykłe polujące bandy składały się najwyżej z dziesięciu. Patrzył na ekran i obserwował, co zarejestrowała kamera Sempera. Sfeksy wspiwały się na Martwą Równinę. Po kolei w polu widzenia pojawiło się pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt niebiesko-beżowych diabłów.

- Wolałbym, żeby ta banda na nas nie wpadła - powiedział do Roane ze szczerością w głosie. - Nie mielibyśmy żadnych szans.

- Przydałby się w takim momencie zmechanizowany czołg - stwierdził Roane.

- Wszystko, co jest opancerzone - przyznał Huygens. - Jeden człowiek w ufortyfikowanej stacji, jak moja, byłby bezpieczny. Jednak gdyby zabił sfeksa, znalazłby się pod oblężeniem. Wdychałby odór martwego potwora, dopóki zapach sam by nie zniknął. Oczywiście nie mógłby zabić żadnego sfeksa więcej, inaczej oblężenie trwałoby do zimy.

Roane nie próbował dyskutować o zaletach robotów. W tym momencie na przykład wspinali się po zboczu nachylonym pod kątem pięćdziesięciu stopni. Niedźwiedzie szły bez wysiłku, pomimo obciążenia, dla ludzi jednak wspinaczka była mordęgą. Krążący w górze Semper okazywał niecierpliwość. Dla niego zarówno niedźwiedzie, jak i ludzie szli zbyt wolno. Wzbił się wysoko w powietrze i balansował ponad skrajem płaskowyżu, miotany przez wiatr. Huygens spojrzał na ekranik. Zatrzymali się właśnie, żeby złapać oddech.

- Jak, do cholery, udało ci się wytresować niedźwiedzie? - wydyszał Roane. - Mogę zrozumieć, że wyszkoliłeś Sempera, ale one...

- Nie tresowałem ich - odpowiedział Huygens, patrząc w ekran. - To mutanty. Doprowadzenie do dziedziczenia cech fizycznych to nic nadzwyczajnego. W pewnym momencie jednak ktoś zmodyfikował geny odpowiedzialne za psychikę i zrobił naprawdę dobrą robotę. Na mojej rodzinnej planecie niezmiernie przydatne było zwierzę, które walczy jak potwór, umie się samo wyżywić, może dźwigać ciężary i potrafi być w dobrych stosunkach z człowiekiem, tak jak pies. Dawno temu ludzie próbowali wyselekcjonować pożądane cechy fizyczne u zwierząt, które miały odpowiednią psychikę. Chcieli stworzyć coś w rodzaju gigantycznego psa bojowego. Ale potem zmienili podejście. Wybrali gatunek o właściwych walorach fizycznych i zaczęli selekcjonować zwierzęta pod względem odpowiedniej psychiki. Ponad sto lat temu odnieśli ostateczny sukces: narodził się niedźwiedź Kodiaka, nazwany

Kodiusiem Championem. Był absolutnie idealny. Te niedźwiedzie to jego potomkowie.

- Wyglądają całkiem normalnie - stwierdził Roane.

- Ależ są normalne! - odparł ciepło Huygens. - Są tak samo normalne jak każdy zdrowy pies. Sempera szkole, ale one same się uczą! - Spojrzał znowu na ekran, na którym widać było zbocze dwa tysiące metrów powyżej miejsca, w którym odpoczywali. - Semper to wyszkolony ptak o niewielkiej inteligencji. Jest po prostu wytresowany. Ale niedźwiedzie chcą żyć w dobrych stosunkach z ludźmi, zupełnie jak psy. Semper to sługa, a kodiaki to nasi towarzysze i przyjaciele. Orzeł jest wyszkolony, niedźwiedzie są lojalne. On jest uwarunkowany, one nas kochają. Semper by mnie porzucił, gdyby tylko wpadło mu do głowy, że mógłby to zrobić. Teraz myśli, że nie może jeść niczego poza tym, co dają mu ludzie. Niedźwiedzie nigdy nie będą chciały odejść. Lubią nas i jeśli chodzi o mnie, z wzajemnością. Może dlatego że one najpierw obdarzyły mnie uczuciem?

- Czy nie gadasz przypadkiem zbyt dużo, Huygens? - zapytał ostrożnie Roane. - Jestem oficerem Misji Kolonialnej. Wcześniej czy później będę cię musiał aresztować. Wyjawiasz fakty pozwalające zlokalizować i skazać ludzi, którzy cię tu umieścili. Chyba nie będzie trudno znaleźć miejsce, gdzie hodują potomków niedźwiedzia o imieniu Kodius Champion. Nawet teraz mogę się dowiedzieć, skąd pochodzisz!

Huygens zerknął sponad ekranu, na którym widniał chwiejący się obraz przekazywany przez kamerę Sempera.

- Nic się nie stanie - powiedział przyjaźnie. - Jestem przestępcą. Oficjalna wersja jest taka, że porwałem niedźwiedzie i uciekłem z nimi. Na mojej ojczystej planecie to najohydniejsza zbrodnia, jaką może popełnić człowiek. Gorsza niż kradzież koni na Ziemi w dawnych czasach. Krewni moich niedźwiedzi otaczani są troskliwą opieką. Tak więc w domu także jestem kryminalistą.

- Ukradłeś te niedźwiedzie?

- Nie - odparł Huygens. - Ale tego mi nie udowodnisz. Chodź, lepiej spójrz na ekran. Zobacz, co Semper widzi z góry, za krańcem równiny.

Orzeł kreślił w powietrzu wielkie łuki i linie proste, bez przerwy krzycząc z zaciekleścią. Rzucił się w kierunku granicy płaskowyżu. Roane spojrział na przekaz z kamery. Ekran mierzył tylko dziesięć na piętnaście centymetrów, ale miał wysoką rozdzielczość, tak że obraz był kolorowy i bardzo wyraźny. Huśtał się i kręcił zgodnie z ruchami Sempera. Przez moment na ekranie pojawiło się stepowe zbocze góry. Grupka ludzi i niedźwiedzi wyglądała z daleka jak poruszające się punkciki.

Potem obraz przesunął się i ujrzeli płaskowyż, a na nim sfeksy. Stado złożone z około dwustu osobników szybkim truchtem zbliżało się do środka równiny. Kamera przesunęła się znowu i zobaczyli jeszcze więcej drapieżników. Semper wzbił się wyżej. Mogli teraz dostrzec inne sfeksy wylaniające się z malej rozpadliny, która powstała w wyniku erozji krawędzi płaskowyżu. Martwa Równina po prostu roiała się od tych niebiesko-beżowych stworzeń, choć w tej okolicy nie było raczej zwierząt, na które mogłyby polować. Wyglądały jak wielkie stada bydła na planetach pastewnych. Wydawało się to po prostu niemożliwe.

- Migrują - powiedział Huygens. - Mówiłem, że migrują! Ich wędrówka ma jakiś cel. Chyba nie powinniśmy próbować przejść przez równinę wśród takiego tłumu sfeksów.

Roane przeklął.

- Ale wciąż odbieramy sygnał - rzekł. - Zatem ktoś jeszcze przetrwał w kolonii robotów! Czy musimy czekać, aż stado przewędruje?

- Nie wiemy, czy tamci wciąż jeszcze żyją - odparł Huygens. - Może rozpaczliwie potrzebują pomocy, ale z drugiej strony...

Huygens spojrział na niedźwiedzie, które przycupnęły na zboczu i cierpliwie czekały, aż ludzie wypoczną i skończą rozmowę. Sitce udało się nawet znaleźć miejsce do siedzenia, chociaż jedną z masywnych łap musiał zaklinować między skałami. Huygens machnął ręką i wskazał nowy kierunek marszu.

- Idziemy! - zawołał energicznie. - Idziemy! Naprzód! Hop!

4

Podróżowali wąwozami Martwej Równiny. Nie wspinali się jednak na płaskowyż, którym wędrowały sfeksy, ani też nie schodzili na dół, gdzie u podnóży masywu skupiały się stada drapieżców. Sunęli po stokach nachylonych pod kątem czterdziestu, a nawet sześćdziesięciu stopni i prawie już zapomnieli, jak się chodzi po płaskim gruncie. Tego dnia nie uszli daleko. Semper przez cały dzień wisiał nad ich głowami. Wieczorem sfrunął na kolację, którą taszczył dla niego jeden z samców.

- Kodiaki muszą sporo jeść - stwierdził Huygens. - Tonę niedźwiedziny trzeba dobrze podkarmić. Ale przy ludziach trzyma ich lojalność. Semper jest na to za głupi. Został uwarunkowany i myśli, że jedzenie mogą mu dać tylko ludzie. Niedźwiedzie dobrze wiedzą, jak jest naprawdę, lecz trzymają się nas mimo wszystko. Dlatego zdecydowanie je lubię.

Rozbili właśnie obóz na szczycie masywnego głazu, który wystawał z kamiennej ściany zbocza. Minęło już sześć dni od czasu rozpoczęcia wyprawy. Głaz był ogromny, ale mimo to ledwie starczyło na nim miejsca dla całej kompanii. W dodatku Faro Nell grymasiła i domagała się, żeby umieścić Nuggeta w najbezpieczniejszym miejscu, czyli najbliżej stoku. Wypchnęłaby w końcu ludzi z tego miejsca, ale mały płakał za Roane'em. Kiedy Roane się nim zajął, Faro Nell z zadowoleniem się wycofała. Fuknęła na Sitkę i Sourdough Charleya. Oba samce przesunęły się i zrobiły dla niej miejsce na skraju obozu.

Wszyscy byli głodni. Podczas wędrowki co jakiś czas natykali się na małe strumyczki, które ściekały z gór. Wtedy niedźwiedzie długo piły, a ludzie napełniali bukłaki. Od trzech dni jednak nie widzieli żadnej zwierzyny.

- Wydawałoby się, że skoro sfeksy nie polują podczas pielgrzymki na równinę, powinny tu być jakieś inne zwierzęta - powiedział Roane płaczącym tonem. - Drapieżcy nie zwracają na nic uwagi, tylko pną się pod górę.

Było w tym dużo racji. Polujące bandy sfeksów szły ławą, ramię przy ramieniu. Osaczały ofiarę, która starała się uciec, i oskrzydlały zwierzę, które próbowało walczyć. Tutaj jednak wspinały się na płaskowyż jeden za drugim, długimi sznurami. Najwyraźniej podążały starym szlakiem. Wiatr wiał wzdłuż kanionów i niósł ze sobą zapachy, ale sfeksy nie zawracały z wybranej ścieżki. Długie procesje niebiesko-beżowych szkaradzieństw - trudno było myśleć inaczej o tych składających jaja potworach - niestrudzenie wspinały się na Martwą Równinę.

- Musiało tu przybyć tysiące bestii - powiedział Huygens. - Ciągną na płaskowyż całymi dniami, a nawet tygodniami. Kamera Sempera pokazała, że jest ich bez liku. Sfeksy, które nadciągnęły pierwsze, pożarły wszystko, co w okolicy nadawało się do zjedzenia. Te, które przybywają ostatnie, najwyraźniej radzą sobie jakoś inaczej.

- Ale takie zagęszczenie drapieżników w jednym miejscu jest po prostu nierealne! - zaprotestował Roane. - To znaczy wiem, że one tu są, ale to przecież niemożliwe!

- Są zmiennocieplne - stwierdził Huygens. - Nie muszą spalać pokarmu, aby utrzymać stałą temperaturę ciała. Poza tym wiele zwierząt potrafi bardzo długo przeżyć bez jedzenia.

Niedźwiedzie na przykład zasypiają. Tylko że sfeksy nie zapadają w sen zimowy... ani w letni.

Próbował w ciemnościach ustawić odbiornik fal radiowych, chociaż nadajnik znajdował się po drugiej stronie Martwej Równiny, która z niewyjaśnionych przyczyn roiła się od śmiertelnie niebezpiecznych, najbardziej drapieżnych stworzeń na Loren Dwa. Próba przejścia przez płaskowyż teraz byłaby równoznaczna z samobójstwem. Rozległ się szum, trzeszczące dźwięki tła, a potem sygnał. Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki. Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki, i tak od nowa. Huygens wyłączył aparat.

- Może powinniśmy odpowiedzieć na sygnał, zanim wyruszyliśmy ze stacji? - zapytał Roane. - Żeby choć dodać im odwagi.

- Nie sądzę, żeby mieli odbiornik - odparł Huygens. - Poza tym i tak nie spodziewają się odpowiedzi. Trudno byłoby nasłuchiwać przez cały czas. A jeśli koczują w tunelu, niekiedy próbują się wymknąć po jedzeniu. Pewnie są zbyt zajęci, żeby tracić czas na konstruowanie skomplikowanych rejestratorów albo przekaźników.

Roane milczał przez chwilę.

- Musimy zdobyć jedzenie dla niedźwiedzi - rzeki nagle. - Nugget już nie ssie mleka, a jest głodny.

- Cierpliwości. Wydaje mi się, że dzisiaj przybyło na równinę mniej sfeksów niż wczoraj czy przedwczoraj. Już prawie minęliśmy trasę migracji, bo jest ich oraz mniej. Kiedy zejdziemy ze szlaku wędrówki sfeksów, znowu będziemy musieli uważać na nocnych włóczęgów. Chociaż myślę, że sfeksy pożarły wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Nie miał racji. W nocy obudziły ich kłaśnięcia i powarkiwanie niedźwiedzi. Huygens włączył latarkę i świat nagle okrył się rzadką białawą mgiełką. Coś plasnęło, a potem mgła się rozrzedziła. Huygens zobaczył gwiazdy na nocnym niebie. Przez chwilę na skraju obozu nie było nikogo i nagle pojawiły się wielkie białe istoty. Sitka Pete szczechnął groźnie, klasnął łapami. Faro Nell warknęła i zakołysała się. Trzymała coś w pazurach. Latarka zgasła.

- Nie strzelaj, Roane! - powiedział Huygens. Usłyszał odgłosy, jakie wydaje posilające się zwierzę. Dźwięki urwały się nagle. - Popatrz na to! - dodał.

Znowu zapalił latarkę. Zobaczyli stworzenie, które miało dziwne kształty i było blade jak ludzka skóra. Nadlatywało z furkotem w ich kierunku, a za nim następne... cztery, pięć... dziesięć... dwadzieścia... coraz więcej... W promieniu światła latarki pojawiła się wielka kudłata łapa i zagarnęła skrzydlatego stwora. Następna łapa chwyciła kolejne dziwne latające zwierzę. Huygens przesunął latarkę. Wielkie kodiaki stały na tylnych łapach i kłaśnięciami zabijały blade istoty, które wyraźnie nie mogły się oprzeć fascynacji światłem latarki. Wirowały w powietrzu jak szalone, trudno było je dokładnie obejrzeć. Okazało się, że obóz nawiedziły niezbyt sympatyczne nocne stworzenia, które przypominały z wyglądu oskubane latające małpy.

Niedźwiedzie przestały warczeć, klaskały tylko zawzięcie łapami. Wokół nich rosły kopczyki zabitych stworów. Po chwili w pobliżu nie było już żadnych latających nagich małp. Huygens wyłączył latarkę. Niedźwiedzie łapczywie posilały się w ciemności.

- To drapieżniki, Roane - tłumaczył Huygens spokojnie. - Podobnie jak nietoperze wampiry wysysają krew. Robią to tak delikatnie, że nie budzą ofiar. A kiedy już napadnięte zwierzę umiera z upływu krwi, pożywia się nim całe plemię małpostworów. Niedźwiedzie mają gęste futro, poza tym śpią bardzo czujnie, więc żaden wampir nie jest dla nich groźny. Na dodatek są wszystkożerne, to ich niewątpliwa zaleta. Nie jedzą tylko sfeksów, jak już mówiłem. Cóż, zdaje się, że te nocne stworzenia przyszły na kolację, tymczasem stały się posiłkiem dla

niedźwiedzi. Mówiłem ci, że moi przyjaciele potrafią się wyżywić sami.

Nagle Roane wydał cichy okrzyk. Zapalił latarkę i zobaczył, że jego ręka krwawi. Huygens wyciągnął z kieszeni zestaw do odkażania oraz bandaż. Roane zatamował krwawienie. Usłyszał, że Nugget coś przeżuwa. Kiedy znowu zapalił latarkę, okazało się, że niedźwiadek złapał i pożarł jednego z małpkształtnych wampirów, który właśnie zamierzał upuścić z Roane trochę krwi.

Następnego dnia rano podjęli mozolną wędrówkę po zboczu. Szli już jakiś czas, gdy Roane stwierdził z boleścią:

- Roboty nie poradziłyby sobie z tymi małpostworami, prawda?

- Och, pewnie można by skonstruować specjalne roboty, które by nas chroniły - powiedział Huygens. - Ale koniec końców, musiałbyś wampiry sam zabijać. Ja wolę niedźwiedzie.

Szli dalej w nieco innym szyku, niż kiedy przedzierali się przez dżunglę. Niedźwiedzie poruszały się swobodnie po suchym zboczu. Twarde poduszki łap pozwalały im wygodnie kroczyć po pochyłości. Jednak dla ludzi wędrówka była udręką. Dwukrotnie Huygens zatrzymywał pochód i obserwował przez lornetkę, co się dzieje u podnóża masywu. Za każdym razem wydawał się bardziej zadowolony. Olbrzymi szczyt, który wylaniał się na końcu Martwej Równiny niczym dziób statku, był coraz bliżej. W południe Huygens zarządził postój.

- W dole nie ma już sfeksów - oświadczył pogodnie. - Przez ostatnie parę godzin nie widziałem też żadnych drapieźników wspinających się na płaskowyż. Mam przecucie, że już przekroczyliśmy trasę ich migracji. - Przekraczanie szlaku migracji oznaczało czekanie, aż przeciągnie jedna grupa drapieźników, a potem szybkie przecięcie szlaku, zanim pojawi się następna. - Zobaczmy, co nam pokaże Semper.

Machnął na orła i kazał mu frunąć w powietrze. Dla Sempera, jak dla wielu stworzeń, najważniejszą sprawą było zaspokojenie głodu. Najedzony ptak zwykle lenił się albo po prostu spał. Ostatnie parę godzin podróżował na grzbiecie Sitki. Teraz wzbił się w górę, a Huygens wpatrzył się w ekranik, który pokazywał chwiejący się i kołyszący obraz z kamery.

Ptak wznosił się coraz wyżej i już po chwili wzleciał ponad skraj równiny. Płaskowyż był w tym miejscu nieco pofałdowany i pokryty kępami roślinności, gdzieniegdzie nawet widoczne były niewysokie krzewy. Jednak kiedy Semper wzbił się wyżej, na ekranie pojawiła się znowu pustynia. W zasięgu wzroku nie było sfeksów. Tylko raz, kiedy orzeł przechylił się ostro w locie i kamera pokazała środek płaskowyżu, Huygens dostrzegł niebiesko-beżowe bestie. Wyglądało, jakby sfeksy utworzyły wielkie stado, chociaż ta myśl była niedorzeczna - drapieźniki nie zachowują się przecież jak bydło czy owce.

- Wejdziemy na Martwą Równinę w tym miejscu - powiedział Huygens z zadowoleniem. - Przetniemy ją i może uda się nam przez jakiś czas iść po zawietrznej. Myślę, że znajdziemy coś interesującego, zanim dotrzemy do twojej kolonii robotów, Roane.

Machnął na niedźwiedzie i zaczął wspinać się po zboczu.

Parę godzin później, tuż przed zmierzchem dotarli na płaskowyż, a tam zobaczyli zwierzęta. Nie było ich dużo - kilka sztuk pasło się na zielonym obrzeżu pustyni. Huygens ustrzelił kudłatego przeżuwacza, który na pustyni by z pewnością nie przeżył. Powietrze na tej wysokości było rozrzedzone i zrobiło się znacznie zimniej. Roane rozumiał, że zza parawanu góry w kształcie statku nie nadciągały żadne chmury. Ziemia oddawała ciepło niejako w pustą przestrzeń, dlatego nocami panował tu niemal mróz.

- A w dzień jest gorąco - zgodził się Huygens, gdy Roane podzielił się z nim swoimi spostrzeżeniami. - Na takiej wysokości, kiedy powietrze jest rozrzedzone, słońce grzeje

niemiłosiernie. Zwykle w górach wieje wiatr, ale nie tu. Przez cały dzień Martwa Równina nagrzewa się jak powierzchnia planety, na której nie ma atmosfery. W południe temperatura piasku może osiągać nawet siedemdziesiąt stopni Celsjusza, ale w nocy jest bardzo zimno.

Rzeczywiście było. Przed północą Huygensowi udało się rozpaścić ognisko. Tym razem z powodu niskiej temperatury nie musieli się obawiać ataku nocnych włóczęgów. Kiedy rankiem wstało słońce, obaj byli sztywni z zimna. Niedźwiedzie natomiast rozruszały się bardzo szybko - widocznie nocny chłód nie zrobił na nich wielkiego wrażenia. Sitka Pete i Sourdough Charley mieli dobre humory. Oba samce zaczęły walkę na niby. Rzuciły się na siebie i uderzały łapami. Chociaż wyraźnie markowały ciosy, siła ich uderzeń i tak mogłaby zmiażdżyć czaszkę człowieka. Nugget kibicował starszym niedźwiedziom i kichał z podekscytowania, natomiast Faro Nell patrzyła na nie z wyraźną, jakby kobiecą pogardą.

W końcu wszyscy ruszyli w drogę. Semper był bardzo ospały. Po krótkim locie wylądował na grzbiecie Sitki. Usadowił się wygodnie na pakunku, który niósł niedźwiedź, przybrał wyniosłą pozę i obserwował, jak krajobraz powoli zmienia się w pustynny. Najwyraźniej nie zamierzał tego dnia robić użytku ze swych skrzydeł. Szybujące ptaki nie lubią latać w bezwietrzną pogodę, kiedy w powietrzu nie ma prądów, które można wykorzystać do wzbijania się w górę. W czasie drogi Huygens na powiększonej fotografii zrobionej z kosmosu co rusz pokazywał Roane'owi, gdzie się znajdują i skąd pochodzi sygnał SOS.

- Robisz to na wypadek, gdyby coś ci się stało, tak? - zapytał Roane. - Przyznaję, że to rozsądne, ale sam chyba nie zdołam pomóc ludziom, którzy przetrwali w stacji.

- Wiesz już sporo o sfeksach, to jedno - odparł Huygens. - Poza tym będziesz miał niedźwiedzie. Zostawiłem też wiadomość w bazie. Radiolatarnia znowu działa i ktokolwiek wyląduje obok mojego gniazdka, znajdzie instrukcje, jak dotrzeć do miejsca, do którego teraz zdążamy.

Zostawili za sobą wąski pas zieleni i przedzierali się przez drobny piach pustyni.

- Chciałbym, żebyś mi coś wyjaśnił - stwierdził Roane. - Powiedziałeś, że na swojej rodzinnej planecie figurujesz jako porywacz niedźwiedzi, ale jest to kłamstwo mające na celu ochronę twoich przyjaciół przed oskarżeniem Misji Kolonialnej. Jesteś tu sam i cały czas ryzykujesz życie. Podjąłeś kolejne ryzyko i nie zastrzeżyłeś mnie, kiedy tu przybyłem. Teraz ryzykujesz jeszcze bardziej, próbując udzielić pomocy ludziom, którzy będą świadczyli przeciwko tobie. Dlaczego to robisz?

Huygens uśmiechnął się.

- Ponieważ nie lubię robotów. Nie podoba mi się, że automaty w gruncie rzeczy ujarzmiają ludzi i czynią ich swoimi podwładnymi.

- Mów dalej - nalegał Roane. - Nie rozumiem, w jaki sposób niechęć do robotów miałaby cię zepchnąć na drogę przestępstwa. Ani też tego, że stałeś się kryminalistą z powodu ludzi, którzy na własne życzenie podporządkowują się robotom.

- Ale to właśnie był powód - powiedział Huygens. - Może jestem nawiedzony, lecz na tej planecie wreszcie żyję jak człowiek. Chodzę tam, gdzie chcę, i robię to, co lubię. Moi pomocnicy, niedźwiedzie, są dla mnie jak przyjaciele. Jeśli udałoby się tu zbudować kolonię robotów, czy zamieszkujący ją ludzie żyliby jak ludzie? Wątpię! Żyliby tak, jak to ustaliły roboty. Nie mogliby wychodzić poza ogrodzenie, które zbudowały maszyny, jedliby tylko to, co potrafiłyby wyhodować automaty. Człowiek nie mógłby nawet przestawić łóżka w pobliżu okna, gdyż zakłóciłby pracę robotom domowym. Tak, maszyny służyłyby ludziom, zgodnie z tym, jak zostały zaprogramowane, ale w gruncie rzeczy to ludzie by im służyli.

Roane potrząsnął głową.

- Skoro ludzie decydują się na korzystanie z robotów, muszą wybierać spośród asortymentu usług, które maszyna jest w stanie wykonać. Jeżeli ci to nie odpowiada...

- Chcę sam decydować o swoich potrzebach - przerwał spokojnie Huygens. - I na pewno nie chcę być ograniczany wyborem usług, które oferuje mi oprogramowanie robota. Na mojej ojczystej planecie z pomocą psów i broni prawie okiełznaliśmy przyrodę. Potem wyhodowaliśmy niedźwiedzie i one pomogły nam dokończyć dzieła. Teraz nasza populacja się zwiększa. Robi się coraz mniej miejsca dla psów, niedźwiedzi i oczywiście dla ludzi. Moi ziomkowie coraz rzadziej mogą podejmować własne decyzje. Wolno im tylko wybierać spośród tego, co oferują maszyny. Im bardziej ludzie zależą od robotów, tym bardziej jest ograniczany ich wolny wybór. Nie chcemy, żeby nasze dzieci pragnęły wyłącznie tego, co mogą zapewnić im roboty! Nie chcemy, żeby uzależniły się od tego, co dają lub czego nie dają im roboty! Chcemy, żeby wyrosli na kobiety i mężczyzn, a nie jakieś cholerne automaty, których istotą życia stało się naciskanie guzików na pilocie sterującym robotami. Jeśli powiesz mi, że takie życie nie jest podporządkowaniem się maszynom, to...

- Przemawiają przez ciebie emocje - zaprotestował Roane. - Nie wszyscy odbierają to w ten sposób.

- Ale ja tak właśnie czuję. Podobnie jak wielu moich rodaków. To wielka galaktyka i kryje w sobie mnóstwo niespodzianek. Co do robotów i uzależnionych od nich ludzi, jedno jest pewne: ani jedni, ani drudzy nie potrafią się zmierzyć z niespodziewanymi zdarzeniami. Przyjdzie czas, kiedy będziemy potrzebować ludzi, którzy potrafią myśleć za siebie. Grupa moich znajomych poprosiła o pozwolenie kolonizacji Loren Dwa. Misja nie wyraziła zgody, gdyż uznała planetę za zbyt niebezpieczną. Ale ludzie mogą osiąść wszędzie, jeśli tylko są ludźmi, a nie półautomatami. Dlatego przyleciałem tu, żeby zbadać Loren Dwa, a zwłaszcza sfeksy. Mamy w planach jeszcze raz wystąpić o zezwolenie, tylko wtedy dostarczymy dowodów na to, że poradzimy sobie nawet z tymi bestiami. Ja już wypracowałem sobie na nie sposób. A teraz dowiaduję się, że Misja Kolonialna zezwoliła na budowę osady robotów. I to gdzie?

- Obrześ zły sposób osiągnięcia szczytnego celu, Huygens - powiedział Roane, przybierając surowy wyraz twarzy. - To wszystko jest od początku do końca nielegalne. Rozumiem, a nawet podziwiam twój duch pioniera, tylko że to wszystko nie powinno się zdarzyć. W końcu kiedyś w przeszłości pierwsi koloniści opuścili Ziemię i odlecieli do gwiazd, ale...

Sourdough stanął nagle na tylnych łapach i zaczął węszyć. Huygens przesunął strzelbę tak, żeby w każdym momencie można było jej użyć. Roane odbezpieczył swoją broń. Nic się nie stało.

- Mówisz o wolności i własnych decyzjach - ciągnął Roane - a to dla wielu ludzi po prostu polityka. Ty twierdzisz, że to coś więcej. Zasadniczo się z tobą zgadzam, ale sposób, w jaki o tym opowiadasz, zakrawa na jakąś szaloną religię.

- To po prostu szacunek dla samego siebie - poprawił Huygens.

- Może...

Faro Nell zaryczała. Popchnęła nosem Nuggeta w kierunku Roane'a i podbiegła szybko do samców, które stały zwrócone ku pełnemu sfeksów centrum Martwej Równiny.

Huygens rozejrzał się dookoła.

- Mogło być nieciekawie - powiedział cicho - ale na szczęście nie ma wiatru. Chodź,

wejdziemy na to wzgórze.

Zaczął biec, a za nim Roane. Na końcu ciężko galopował mały Nugget. Dotarli wreszcie na miejsce. Właściwie była to mała górką, wznosząca się może dwa metry ponad pustynią, porośnięta jakimiś kolczastymi sukulentami. Huygens popatrzył przez lornetkę.

- Jeden sfeks - stwierdził. - Tylko jeden! Bez sensu! Sfeksy nigdy nie chodzą same. Chociaż równie nielogiczne jest ich gromadzenie się setkami tysięcy. - Zwilżył palec i wystawił w górę. - Żadnego wiatru.

Znów spojrzął przez lornetkę.

- Ten sfeks nie wie, że tu jesteśmy. Po prostu oddalił się od grupy. Nie widzę żadnych innych... - zawahał się i zagryzł wargi. - Posłuchaj, Roane! Chciałbym zabić tego samotnego osobnika, a potem coś sprawdzić. Istnieje pięćdziesiąt procent szans, że dowiem się czegoś istotnego. Może będę musiał prędko się stamtąd zwijać... - uśmiechnął się. - Słuchaj, muszę to zrobić szybko, dlatego pojedę na Faro Nell. Sitka i Sourdough raczej nie zostaną z tobą, ale Nugget nie umie biegać wystarczająco szybko. Zaopiekujesz się nim?

Roane wciągnął głośno powietrze.

- Pewnie wiesz, co robisz - powiedział. - Jasne, zostanę z Nuggetem.

- Miej oczy otwarte. Jeśli dostrzeżesz coś obcego, nawet z daleka, strzelaj, a my wrócimy jak najszybciej. Nie czekaj, zanim to coś się zbliży. Reaguj w chwili, gdy zobaczysz jakiś ruch. Jeśli oczywiście w ogóle coś się pojawi.

Roane pokiwał głową na zgodę. Znowu stwierdził, że trudno mu wykrztusić choćby słowo. Huygens podszedł do ustawionych w szyku bojowym niedźwiedzi, wspiął się na grzbiet Faro Nell i mocno chwycił zmierzwione futro.

- Naprzód! - rozkazał. - Tam! Prędko!

Niedźwiedzie ruszyły pędem. Huygens chybotął się na grzbiecie Faro Nell, Semper spadł z karku Sourdough Charleya, zamachał gwałtownie skrzydłami i wzbił się w górę. Potem z wysiłkiem począł lecieć za grupką niedźwiedzi.

Wszystko trwało zaledwie parę chwil. W razie potrzeby kodiaki mogą biec szybko jak konie wyścigowe. Mknęły prosto jak strzała na niebiesko-beżowego stwora. Huygens złożył się do strzału i wypalił. Stuknięcie zamka strzelby i eksplozja pocisku zlały się w jeden dźwięk. Kolczasty potwór wyskoczył w górę i padł martwy.

Huygens zsunął się z niedźwiedziego grzbietu i zajął się gorączkowo czymś, co leżało na ziemi w miejscu, gdzie zginął sfeks. Semper przechylił się, zawirował w powietrzu i wylądował. Roane przyglądał się z daleka. Huygens robił coś z martwym sfeksem, dwa wielkie kodiaki krążyły wokół, a Faro Nell obserwowała człowieka z ogromną ciekawością, tymczasem na pagórku zaczął zawodzić Nugget. Roane poklepał go po głowie, ale mały rozmazał się jeszcze bardziej. W oddali Huygens wspiął się na grzbiet niedźwiedzicy. Sitka obrócił łeb i spojrzął w kierunku Roane'a, zupełnie jakby zobaczył lub wyczuł coś podejrzanego. Uniósł się na tylnych łapach i chyba zaryczał, gdyż Sourdough podszedł do niego jak na zawołanie. Oba wielkie samce ruszyły truchtem w kierunku Roane'a. Semper trzepotał skrzydłami i zataczał się w nieruchomym powietrzu jak pijany. Wreszcie wylądował na ramieniu Huygensa, uczeplił się go pazurami.

W tej właśnie chwili Nugget zawył histerycznie i rzucił się na Roane'a, próbował wspiąć się na niego jak małe zwierzątko, które chce schronić się na drzewie przed niebezpieczeństwem. Roane upadł pod naporem trzystukilogramowego niedźwiadka i w tym samym momencie ujrzał błysniecie łuskowatej skóry. Sfeks skoczył, wydając suche,

skwierzące piski, przeleciał nad nimi i zaczął toczyć się po ziemi. Piszczął ogłuszająco. Sitka i Sourdough pędzili z szybkością rakiety. Faro Nell zaryczała straszliwie i kudłaty malec z płaczem pomknął w jej kierunku.

Roane w końcu podniósł się i złapał broń. Był naprawdę rozwścieczony. Sfeks przysiadł, aby ruszyć w skok za niedźwiadkiem, i wtedy Roane użył strzelby jak maczugi. Było zbyt blisko na strzał. Sfeks obrócił się i Roane padł na ziemię jak długi. Cóż, trudno ustać na nogach, kiedy czterystukilogramowa bestia z piekła rodem - połączenie kobry i dzikiego kota - w półobrocie uderza cię prosto w klatkę piersiową.

Zaraz nadciągnął z rykiem Sitka Pete. Stał na tylnych łapach i zagrzmiął jak piorun w czasie burzy. Wyzywał sfeksa do walki. Nadjechał także Huygens, ale nie mógł strzelać, ponieważ Roane znajdował się w polu rażenia pocisku wybuchowego. Faro Nell szalała, rozdarta między potrzebą upewnienia się, że Nugget jest cały i zdrowy, a wściekłą furią matki, której potomstwo znalazło się w niebezpieczeństwie. Siedząc na grzbiecie niedźwiedzicy, z orłem idiotycznie uczepionym jego ramienia, Huygens mógł jedynie patrzeć bezradnie, jak sfeks walczy z Sitką, a Roane leży w zasięgu pazurów potwora.

5

Oddalili się stamtąd pośpiesznie, chociaż Sitka najwyraźniej miał ochotę chwycić trupa w zęby i rzucać nim raz po raz o ziemię. Był szczególnie wściekły, ponieważ napastnik zranił człowieka, a wszyscy potomkowie Kodiusa Championa byli emocjonalnie związani z ludźmi. Jednak Roane nie odniósł poważnych obrażeń. Przeklinał kwieciście. Huygens umieścił go na grzbiecie Sourdough Charleya i kazał dobrze się trzymać. Roane podskakiwał przy każdym kroku, ale trajkotał jak najęty:

- Do diabła, Huygens! To nie w porządku! Sitka ma kilka głębokich ran. Te straszliwe pazury mogły być trujące.

Huygens pokrzykiwał tylko na niedźwiedzie i biegli dalej, jakby się paliło. Przebyli tak ze trzy kilometry, kiedy nagle Nugget rozplakał się z wyczerpania. Faro Nell zatrzymała się, aby utulić niedźwiadka.

- Dobrze - powiedział Huygens - może taki dystans wystarczy. Nie ma wiatru i reszta sfeksów jest w centrum równiny, a tutaj dotarły tylko te dwa. Może nawet reszta jest zbyt zajęta, żeby pójść naszym śladem. W każdym razie... - zsunął się na ziemię i wyciągnął środek odkażający oraz waciki.

- Najpierw Sitka - warknął Roane. - Nic mi nie jest!

Huygens przetarł tamponem rany niedźwiedzia. Nie były poważne, gdyż Sitka miał doświadczenie w walce ze sfeksami. Dopiero potem Roane pozwolił, żeby Huygens pokrył pachnącą ozonem substancją drażniącą na jego piersi. Zapiękło.

- To moja wina - rzekł Roane. - Zamiast obserwować otoczenie, patrzyłem na ciebie. Zastanawiałem się, co tam robisz.

- Wykonywałem pobieżną sekcję zwłok - wyjaśnił Huygens. - Na szczęście ten sfeks był samicą. Miała właśnie składać jaja. Faj! - skrzywił się i dodał: - Wiem teraz, dlaczego i gdzie migrują sfeksy. Wiem także, dlaczego nie muszą tu polować.

Zakleił rany Roane'a plastrem i ruszyli dalej na wschód. Musieli znaleźć się jak najdalej od martwych drapieżników. Szli równym tempem, a nad nimi Semper machał skrzydłami w szczerym oburzeniu. Był zły, że nie pozwolono mu podróżować na grzbiecie któregoś z niedźwiedzi.

- Robiłem już wcześniej sekcje sfeksów - ciągnął Huygens. - Niewiele wiemy o tych

stworzeniach. Musimy się dowiedzieć jak najwięcej, jeśli kiedykolwiek mają tu zamieszkać ludzie.

- I niedźwiedzie - dodał ironicznie Roane.

- Tak - zgodził się Huygens. - Rzecz w tym, że sfeksy przybywają na pustynię, aby się rozmnażać. Wiesz, łączą się w pary i składają jaja na pustyni, gdzie ogrzewa je słońce. Martwa Równina to dla nich szczególne miejsce. Na Ziemi foki w okresie godowym także wędrują w określone miejsca i wiem, że w tym czasie samce potrafią nic nie jeść całymi tygodniami. Łososie wędrują w górę rzek i strumieni, by złożyć ikrę. Nie jedzą wtedy w ogóle i wkrótce potem giną. Węgorze z kolei przemierzają tysiące mil, aby dopłynąć do Morza Sargassowego, tam odbywają tarło i umierają. Z całą pewnością Martwa Równina jest odwiecznym miejscem, gdzie sfeksy odbywają swe gody. Tutaj też składają jaja. Na nieszczęście, potem nie zdychają.

Roane brnął do przodu. Był wściekły na siebie. Nie zastosował żadnych środków ostrożności - czuł się zbyt bezpiecznie, jak każdy człowiek wychowany w cywilizacji pełnej pomocnych robotów. Kiedy Nugget zaczął płakać, nie przyszło mu do głowy, że małe instynktownie wyczuwa zbliżające się niebezpieczeństwo.

- Będę potrzebował wyposażenia z kolonii robotów - dodał Huygens.

- Z odpowiednim sprzętem możemy zacząć przystosowywać planetę do tego, aby w przyszłości koloniści mogli na niej żyć jak ludzie. Roane zamrugał z niedowierzaniem.

- Coś ty powiedział?

- Sprzęt - powtórzył niecierpliwie Huygens. - Weźmiemy go z kolonii robotów. Automaty były bezużyteczne, ponieważ nie zwracały uwagi na sfeksy. I pozostaną bezużyteczne. Ale możemy użyć innych urządzeń! Nie powinny się zepsuć po paromiesięcznym przestoju pod gołym niebem.

Roane maszerował w milczeniu, lecz nagle powiedział:

- Nie sądziłem, że chciałbyś mieć do czynienia z czymkolwiek, co pochodzi z tej kolonii!

- Dlaczego? Nie mam nic przeciwko sytuacji, w której maszyny robią to, czego wymagają od nich ludzie. Nawet jeśli chodzi o roboty, oczywiście gdy znają swoje miejsce. Ale do tego zadania będę potrzebował miotaczy ognia sterowanych przez ludzi. W osadzie musi być kilka takich urządzeń, bo przecież wycięto połać lasu i wypalono polanę. I jeszcze sterylizatory ziemi, niszczące nasiona wszelkich roślin, z którymi nie mogły sobie poradzić roboty. Wrócimy na Martwą Równinę, Roane, i zniszczymy potomstwo tych przeklętych bestii. Jeśli nie można zrobić nic więcej, przynajmniej będziemy co roku niszczyć wszystkie jaja i w końcu zlikwidujemy cały gatunek. Zapewne są jeszcze inne hordy i inne miejsca lęgowe, ale je także odnajdziemy. Uczynimy z tej planety miejsce, gdzie będą mogli mieszkać moi ziomkowie, zachowując godność człowieczeństwa.

- Zdaje się, że to sfeksy pokonały oddział robotów - powiedział sardonicznie Roane. - Jesteś pewien, że nie pracujesz właśnie nad stworzeniem bezpiecznego świata dla maszyn?

Huygens roześmiał się.

- Widziałeś jak dotąd tylko jednego nocnego włóczęgę - rzekł. - A co powiesz o tych stworach na wzgórzu, które wyssałyby ci całą krew, a następnie by cię pożarły? Czy odważyłbyś się podróżować po Loren Dwa, mając w obstawie tylko robota? Ludzie nie mogliby tu żyć jedynie z pomocą maszyn, które nieuchronnie pozbawią ich części ludzkiego dziedzictwa. Sam się przekonasz, Roane!

Znaleźli kolonię zaledwie po dziesięciu dniach dalszej wędrówki. Do tego czasu zabili

wiele sfeksów. Sporo rogatych stworów oraz kudłatych przeżuwaczy padło od kul lub śmiertelnych ciosów niedźwiedzi. Jednak zanim dotarli do osady, natknęli się najpierw na ocalałych ludzi.

Było ich trzech - zawziętych i głęboko rozgoryczonych brodatych mężczyzn. Kiedy przewrócił się elektryczny płot, dwóch z nich w tunelu instalowało nowe panele kontrolne dla robotów, które pracowały w kopalni. Trzeci był kierownikiem całej inwestycji. Zaalarmowało ich przerwanie łączności z osadą, wrócili więc do opancerzonego transportera i pojechali sprawdzić, co się stało. Ocaliło ich to, że nie byli uzbrojeni. Na miejscu zastali sfeksy, które plądrowały osadę. Było ich tyle, że osadnicy nie wierzyli własnym oczom. Drapieżniki wyczuły obecność ludzi w opancerzonym pojeździe, ale nie mogły się dostać do środka. Ludzie z kolei nie mogli zabić bestii - na szczęście, bo inaczej wszystkie sfeksy podążyłyby w ślad za nimi do kopalni i zaczęłyby się prawdziwe oblężenie.

Wrócili do kopalni i oczywiście wstrzymali wszystkie prace. Próbowali wysłać zdalnie sterowane roboty do walki ze sfeksami, a także po zapasy żywności. Jednak roboty budowlane nie zostały zaprogramowane do tego rodzaju zadań, a poza tym nie były uzbrojone. Osadnicy skonstruowali prowizoryczne miotacze na paliwo raketowe i kilka sfeksów musiało zwiewać jak niepyszne, z przypaloną skórą. Na dłuższą metę jednak miotacze były użyteczne tylko dlatego, że nie zabijały sfeksów. Ich niewątpliwą wadą zaś było to, że pożerały paliwo. Koniec końców ludzie zabarykadowali się i używali paliwa tylko do podtrzymania sygnału radiowego. W ten sposób czekali dnia, w którym miał się pojawić kolejny statek poszukujący kolonii. Siedzieli w kopalni jak w więzieniu, wydzielali sobie minimalne racje żywnościowe i stopniowo tracili nadzieję. Zostało im tylko kontemplowanie nieczynnych - z braku zapasów paliwa - minirobotów, które i tak nie umiały robić niczego poza drażnieniem tuneli.

Na widok Huygensa i Roane'a rozplakali się jak dzieci. Nienawidzili robotów tylko trochę mniej niż sfeksów. Huygens wytłumaczył im plan działania i wręczył broń schowaną w paczkach taszczonych przez niedźwiedzie. Potem wszyscy pomaszerowali w stronę martwej osady. Sitka Pete i Sourdough Charley znowu stanowiły szpicę oddziału, a Faro Nell obstawiała tyły. Po drodze zabili szesnaście sfeksów. Na zarośniętej już nieco polanie spotkali jeszcze cztery. W zabudowaniach panował smród, wokół leżały porzucane ludzkie szczątki. Było tam też trochę jedzenia - niezbyt dużo, ponieważ sfeksy rozdzierały pazurami wszystko, co nosiło zapach człowieka, i w ten sposób zniszczyły wiele pojemników z wysterylizowanym pożywieniem. Nie zdołały jednak dostać się do paczek schowanych w metalowych kontenerach.

W stacji było także paliwo i roboty. Stały wszędzie, lśniące i gotowe do działania, jednak od jakiegoś czasu unieruchomione, o czym świadczyły rosnące wokół rośliny. Ludzie zignorowali roboty, rzucili się natomiast do napełniania paliwem miotaczy ognia. Przystosowali je do ręcznego sterowania. Uzupełnili także zbiorniki gigantycznego sterylizatora gruntu, a potem z płonącymi nienawiścią oczami wrócili na Martwą Równinę.

W tym czasie Nugget z miłego niedźwiadka stał się rozwydrzonym bachorem, a wszystko za sprawą ocalałych osadników, którzy z lubością rozpieszczali przyszłego zabójcę sfeksów. Na każdym postoju bawili się z małym i hołubili go nieustannie.

Dotarli na płaskowyż. Semper wypatrywał drapieżników, a potem gigantyczne kodiaki rzucały się na grupy niebiesko-beżowych stworzeń. Huygens i Roane strzelali nieustannie, olbrzymie maszyny także uczestniczyły w walce. Okazało się na przykład, że sterylizator gruntu równie skutecznie uśmiercał zwierzęta jak rośliny - wystarczyło tylko podnieść i

odpowiednio nakierować promiennik diatermiczny. Jednak tego mógł dokonać jedynie człowiek. Żaden robot nie potrafiłby zdecydować, kiedy użyć emitera. Nie umiałby też wybrać odpowiedniego celu.

Teraz już niedźwiedzie nie były potrzebne, ponieważ zapach spalonych resztek sfeksów sprowadzał kolejne osobniki ze wszystkich części płaskowyżu mimo bezwietrznej pogody. Drapieżniki chyba już skończyły gody i składanie jaj. Teraz gromadziły się tu, aby płakać nad stratą towarzyszy i szukać zemsty. Osadnicy z kolonii robotów prowadzili pojazdy tak, jak to potrafili tylko ludzie. Zakreślali wielkie okręgi wokół największego stosu martwych stworów i sukcesywnie niszczyli pojawiające się sfeksy. Był to mord na skalę, jakiej gatunek ludzki nie osiągnął na żadnej innej planecie. Pozostało niewiele drapieżników, które mogłyby się rozmnażać w tej części pustyni. Prawdopodobnie były jeszcze inne hordy i inne miejsca lęgowe, ale Martwa Równina nie ujrzy wielu sfeksów tego roku. Ani następnego. Sterylizator gruntu przeczesał rozkopany piach, w którym drapieżniki złożyły jaja. Słońce już ich nie ogrzeje, nigdy nie wyklują się z nich młode.

Huygens i Roane z niedźwiedziami odpoczywali w obozie rozbitym po zawietrznej od miejsca kaźni. Osadnicy z kolonii robotów chcieli sami dokonać dzieła zniszczenia. Koniec końców wszyscy ich towarzysze zostali zabici przez sfeksy.

Nadszedł wieczór. W pewnym momencie Huygens odsunął łagodnie Nuggeta, który węszył niecierpliwie w pobliżu piekącego się nad ogniskiem steku. Niedźwiadek powlókł się smętnie ku Roane'owi i zaczął chlipać.

- Huygens - powiedział Roane z boleścią - musimy postanowić coś w naszej sprawie. Jestem oficerem Misji Kolonialnej, a ty nielegalnym osadnikiem. Mam obowiązek natychmiast cię aresztować.

Huygens spojrział na niego z ciekawością.

- Obiecasz mi złagodzenie wyroku, jeżeli doniosę na współników? - zapytał spokojnie. - Pozwolę sobie zaznaczyć, że nie można mnie zmusić do zeznań przeciwko sobie samemu.

- To irytujące - kontynuował Roane. - Przez całe życie byłem uczciwym człowiekiem. Nie mam już takiego zaufania do robotów jak dawniej. Wiem, że mają swoje miejsce, ale na pewno nie na Loren Dwa. No, w każdym razie kolonia robotów była źle zaplanowana. Teraz sfeksy zostały prawie zmiecione z powierzchni planety, ale przecież nie wyginą zupełnie. A roboty nie potrafią sobie z nimi radzić. Niedźwiedzie i ludzie będą musieli jakoś tu żyć, chyba że przystaną na wegetację w obrębie antysfeksowych ogrodzeń i uzależnienie od automatów. Loren Dwa jest zbyt piękna. Życie w kontrolowanej przez maszyny enklawie na takiej planecie to po prostu... to brak szacunku dla samego siebie!

- Uważaj, bo jeszcze nawrócisz się na nową wiarę - powiedział Huygens oschle. - Tak właśnie niedawno określiłeś szacunek człowieka do samego siebie.

Semper zaskrzeczał z oburzeniem, kiedy podchodzący do ognia Sitka prawie na niego nadepnął. Niedźwiędź zaczął węszyć, usiadł z głuchym tąpnięciem. Patrzył na piekący się stek i ślina ciekła mu z pyska.

- Nie pozwalasz mi skończyć - zaprotestował Roane płaczliwym tonem. - Jestem oficerem Misji Kolonialnej i powinienem złożyć raport o wszelkich pracach na tej planecie, zanim przybędą tu pierwsi koloniści. Oczywiście mam również za zadanie dopilnować, czy wykonano wszystkie zalecenia. Przybywam tu i na miejscu przekonuję się, że pionierska kolonia robotów została praktycznie zniszczona. Projekt nie zdał egzaminu. Kolonia robotów nie miała szans na przetrwanie.

Robiło się coraz ciemniej. Huygens mruknął coś pod nosem i obrócił mięso nad ogniskiem.

- W takich przypadkach - powiedział Roane ostrożnie - koloniści mają prawo wezwać jakikolwiek przelatujący w pobliżu statek i poprosić o pomoc. To oczywiste! Zawsze byłem uczciwy. W moim raporcie napiszę, że projekt kolonii robotów w takiej postaci był niepraktyczny oraz że osada została napadnięta i zniszczona. Przeżyło tylko trzech ludzi, którzy ukryli się w kopalni i nadali sygnał SOS. Tak było, nieprawdaż?

- Mów dalej.

- Więc... - ciągnął Roane drżącym głosem - zdarzyło się... po prostu stało się... zdarzyło się tak, że sygnał został odebrany przez statek, na którego pokładzie znajdowałeś się ty. Sitka, Sourdough i Faro Nell... i oczywiście Nugget oraz Semper. Wylądowałeś na planecie i ocaliłeś kolonistów. To już cała historia. Dlatego wcale nie przebywasz na Loren Dwa nielegalnie. To znaczy byłeś tu nielegalnie, ale będziemy udawać, że to nieprawda.

Huygens spoglądał przez ramię w coraz gęstsze ciemności. W końcu powiedział cicho:

- Nie uwierzyłbym w taką bajkę. Myślisz, że specjaliści dadzą się nabrać?

- Oczywiście, że nie - odparł Roane cierpko. - Nie są przecież głupcami. Ale mój raport potwierdzi, że na skutek tego nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności wyszło na jaw, iż planetę można zasiedlić, chociaż wcześniej wydawało się to niemożliwe. Dowiedzie również, że kolonia złożona wyłącznie z robotów jest kompletnym nonsensem. Jeżeli jednak zamieszkają tutaj ludzie i niedźwiedzie z twojej planety, to wkrótce na Loren Dwa będzie można przyjmować rocznie wiele tysięcy nowych osadników... notabene to wszystko prawda...

Huygens trząsł się trochę, chyba z zimna. Dla Roane'a był ciemną sylwetką na tle płomieni. Nieco dalej Sourdough węszył z nadzieją. Jasne światło ogniska mogło przyciągnąć latające małpostwory. Dla niedźwiedzi wampiry były wyjątkowo smacznymi kąskami.

- Moje raporty mają ogromne znaczenie - powiedział Roane z naciskiem. - Misja na pewno zaproponuje jakiś układ. Projektanci kolonii robotów będą musieli iść na ugodę albo wszystko stracą. Wierz mi! Twój rodacy będą mogli wynegocjować od nich niemal wszystko.

Nagle zrozumiał, dlaczego Huygens ma drgawki - po prostu się śmiał.

- Jesteś podłym kłamcą, Roane - powiedział chichocząc. - To bardzo głupie, nierozsądne i nieracjonalne. Poświęcasz całe swoje uczciwe życie po to, żeby wyciągnąć mnie z kłopotów? Nie zachowujesz się jak trzeźwo myślące zwierzę, ale szczerze mówiąc, wiedziałem, że tak będzie.

Roane kręcił się niespokojnie.

- To jedyne wyjście, jakie przychodzi mi do głowy. Ale będzie grało.

- Zgadza się. - Huygens wyszczerzył zęby w uśmiechu. - I dziękuję. Dziękuję, bo na skutek twojej decyzji kilka pokoleń ludzi będzie mogło pędzić żywot godny naszego gatunku na planecie, na której jest tak wiele do zrobienia. Dziękuję, bo twój wybór uchroni Sitkę, Sourdough Charleya, Faro Nell i Nuggeta od śmierci. W innym wypadku niedźwiedzie zostałyby zabite, ponieważ sprowadziłem je tu nielegalnie.

Coś napało na Roane'a. Nugget niecierpliwie domagał się dostępu w pobliże apetycznie pachnącej kolacji. Pchał się uparcie do przodu. Roane, który kuczał przy ognisku, upadł na ziemię jak długi. Rozanielony niedźwiadek zaczął wachać pieczone mięso.

- Uderz go! - powiedział Huygens. - Wtedy się odsunie.

- Nie! - zaprotestował z ziemi Roane. - Nigdy! - dodał ze szczerym oburzeniem. - Nugget to mój przyjaciel!

Poul Anderson od z górą pięćdziesięciu lat jest jednym z twórców najbardziej wiernych przygodowej fantastyce i prawdopodobnie stworzył jej więcej niż którykolwiek inny pisarz, utrzymując przy tym poziom nie tylko stały, lecz niesłychanie wysoki - prawdę mówiąc, jeśli któryś z autorów powojennego pokolenia zasługuje na tytuł ojca współczesnej space opery, to tylko Anderson. No może jeszcze Jack Vance mógłby konkurować do tego tytułu. Podobnie jak on, Anderson wciąż jeszcze, w późnych latach dziewięćdziesiątych, pisze znakomicie, w godny podziwu sposób konkurując wyobraźnią i rozmachem z pracami współczesnych Young Turks. Na przykład Genesis, jego powieść z 1995 roku, jest współczesną space operą równie złożoną, pomysłową i zgodną z obecną wiedzą jak cokolwiek splodzonego przez pisarzy młodszych od niego o dziesięciolecie (wielu spośród nich jeszcze się nie urodziło, kiedy zaczynał pisać) i mogłaby się z powodzeniem znaleźć w kontynuacji tej antologii.

Anderson zamierzał zrobić karierę naukową, skończył fizykę na University of Minnesota, lecz literatura okazała się bardziej kusząca i nigdy nie pracował w początkowo wybranym zawodzie. Pisał coraz lepiej i w późnych latach pięćdziesiątych oraz wczesnych sześćdziesiątych można uznać go za najbardziej płodnego pisarza pokolenia, a w połowie lat sześćdziesiątych również za najbardziej poważanego i honorowanego. W pewnym momencie (oprócz innych prac poza cyklami i pomniejszych serii, takich jak opowiadania Hoka pisane we współpracy z Gordonem R. Dicksonem), Anderson prowadził jednocześnie trzy najbardziej popularne i prestiżowe serie: Technic History opowiadającą o wyczynach przebiegłego handlarza Nicholasa van Rijna (w której znalazły się powieści Wojna skrzydlatych, The Trouble Twisters, Satan's World, Mirkheim, The People of the Wind oraz zbiory Trader to the Stars i The Earth Book of Stormgate); niesłychanie popularną serię opisującą przygody gwiazdowego tajnego agenta Dominica Flandry'ego, prawdopodobnie obok powieści cyklu Demon Princess Jacka Vance'a najbardziej udane skrzyżowanie fantastyki z dreszczowcem szpiegowskim (wśród tekstów o Flandrym są powieści A Circus of Hells, The Rebel Worlds, The Day of Their Return, Flandry of Terra, A Knight of Ghosts and Shadows, A Stone in Heaven i The Game of Empire oraz zbiory, m.in. Agent of the Terran Empire); w końcu, moją ulubioną, serię zabierającą nas na służbę wraz z agentami Patrolu Czasowego (kompletny zbiór w dwóch tomach: The Shield of Time i The Time Patrol) {po polsku ukazał się najwcześniejszy zbiór Strażnicy czasu}.

Trudno wyrazić, jak bardzo było to zdumiewające, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę mniejszy tłok w obecnym świecie fantastyki. Można powiedzieć, iż wrażenie jest takie, jakby odkryło się, że trzy najbardziej popularne cykle - powiedzmy, powieści Asimova o robotach, seria Orsona Scotta Gardy o Enderze i książki Anne McCaffrey o jeźdźcach smoków - zostały w rzeczywistości napisane przez jedną osobę.

Efekt był wstrząsający - a jeśli dołożyć jeszcze najlepsze powieści Andersona nienależące do żadnego cyklu, takie jak Brain Wave, Trzy serca i trzy lwy, Oblicze nocy, The Enemy Stars oraz Wielka krucjata, stanie się oczywiste, że Anderson dominował w okresie poprzedzającym New Wave w sposób, któremu dorównać mogliby jedynie Robert A. Heinlein, Isaac Asimov i Arthur C. Clarke. Podobnie też jak oni, pozostał postacią aktywną i nadal dominującą w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jak również teraz, niemal pod koniec wieku, wciąż pojawia się na listach bestsellerów.

Niemal każde z najlepszych opowiadań z dowolnego cyklu Andersona nadawałoby się do tej antologii. Z początku skłaniałem się ku jednemu z tekstów z cyklu Time Patrol, potem wahalem się - Dominic Flandry czy Nicholas van Rijn, a może jakaś pozycja spoza cykli,

wciąż jednak powracałem do dużej, wartkiej i solidnej opowieści, poruszającej historii, barwnej i pełnej akcji, która pomimo zawadiackiego wymachiwania mieczami dotyka materii delikatnej i pełnej głębi: czym w gruncie rzeczy jest cywilizacja? I czy można być pewnym, że w ogóle zdoła się ją rozpoznać? W trakcie swej trwającej pięćdziesiąt jeden lat kariery Poul Anderson opublikował ponad sto książek (w kilku różnych gatunkach, oprócz fantastyki pisał bowiem również powieści historyczne, fantasy i kryminały), sprzedał setki krótkich form na wszystkich znanych rynkach, wygrał siedem nagród Hugo, trzy Nebula oraz Tolkien Memorial. W 1998 roku otrzymał Grandmaster Nebula za całokształt twórczości. Wśród jego książek są: Tau Zero, Orion Shall Rise, Zaklęty miecz i The Boat of a Million Years. Krótkie formy zostały zebrane w The Queen of Air and Darkness and Other Stories, The Earth Book of Stormgate, Fantasy, The Unicorn Trade (we współpracy z Karen Anderson), Past Times, Explorations i wielu, wielu innych {po polsku w zeszytach „Iskier”: Nie będzie rozejmu z władcami, Psychodrama, Księżyc łowcy. Królowa powietrza i mroku. Pieśń pasterza}. Najnowsze pozycje jego autorstwa to tetralogia: Harvest of Stars, The Stars Are Also Fire, Harvest the Fire i The Fleet of Stars. Anderson mieszka w Orinda, w Kalifornii, z żoną Karen, z którą czasem wspólnie piszą.

Poul Anderson

LUDZIE NIEBA

1

Piracka flota dotarła na miejsce tuż przed świtem. Z wysokości półtora kilometra, na której się znajdowała, ląd był błękitnawoszary, przydymiony mgłami. Kanały nawadniające połyskiwały w pierwszych promieniach dnia jak wypełnione rtęcią. Na zachodzie lśnił ocean, jego odległa krawędź przechodziła w fioletową poświatę i kilka gwiazd.

Loklann sunna Holber przechylił się nad relingiem okrętu flagowego i skierował teleskop na miasto. Pojawiło się w soczewkach bezładnym skupiskiem ścian, płaskich dachów i kwadratowych wież obserwacyjnych. Wstające słońce podbarwiało iglice katedr na różowo. W powietrzu nie było żadnych balonów zaporowych. Plotka, że Perio pozostawiło swoje dalekie prowincje własnemu losowi, musiała być prawdziwa. Czyli dające się przenieść skarby Meyco powędrowały dla bezpieczeństwa do S'Antón - co oznaczało, że warto na nie napaść. Loklann uśmiechnął się.

- Lepiej zejdźmy na sześćset metrów - zasugerował Robra sunna Stam, mat z „Buffalo”. - Dla pewności, że ludzie nie zostaną zwiani na bok, na niewłaściwą stronę murów miejskich.

- Aye - szyper skinął głową w hełmie. - Sześćset, niech będzie. Na tej wysokości, gdzie tylko wiatr i skrzypienie takielunku mąciły ciszę, ich głosy brzmiały dziwnie głośno. Niebo wokół piratów było mrocznym ogromem, podbarwionym złotawą czerwienią na wschodzie. Rosa osiadła na podwyższonym pokładzie rufowym. Ani sygnał grany na długich drewnianych rogach, ani dobiegające z oddali rozkazy wykrzykiwane na sąsiednich statkach, ani tupot stóp załóg, klekot kabestanów i ręcznych sprzężarek w jakiś sposób nie zakłócały ciszy. Dla Ludu Nieba podobne odgłosy należały do tych wysokości.

Pięć potężnych okrętów wolno spływało spiralą w dół. Pierwsze promienie słońca błyskały na połączonych figurach osadzonych na ostrych dziobach gondol i mieniły się na ekstrawaganckich wzorach namalowanych na komorach z gazem. Żagle i stery odcinały się niewiarygodną bielą od zanikającej ciemności na zachodzie.

- O, coś nowego - powiedział Loklann. Obserwował port przez teleskop. - Co to może być?

Podał teleskop Robrze, który podniósł go do swego jedyne go oka. W szklanym kręgu widział kamienne doki i magazyny mające setki lat, pochodzące z czasów świetności Perio. Teraz użytkowano mniej niż jedną czwartą portu. Normalna gromada nędznych kutrów rybackich, pojedynczy szkuner przybrzeżny i... tak, na Oktaia Burzotwórcę, coś monstualnego, większego niż wieloryb, o siedmiu niewiarygodnie wysokich masztach!

- Nie wiem - mat opuścił teleskop. - Cudzoziemiec? Ale skąd? Na pewno nie z tego kontynentu...

- Nigdy nie widziałem takiego ożagłowania - powiedział Loklann. - Rejowe na stengach głównych masztów, poniżej skośne.

Pogłaskał krótką bródkę, która w porannym świetle jarzyła się jak polerowana miedź; był blondynem o niebieskich oczach, rzadkim nawet wśród Ludzi Nieba, a niespotykanym nigdzie indziej.

- Oczywiście - ciągnął - nie jesteśmy specjalistami w statkach morskich. Widujemy je tylko po drodze.

W jego głosie brzmiała dość uprzejma pogarda, żeglarze byli przynajmniej dobrymi niewolnikami, lecz oczywiście dla wojownika właściwy jest tylko okręt powietrzny za granicą, a w domu koń.

- Prawdopodobnie handlarz - uznał w końcu. - Przejmiemy go, jeśli tylko się uda.

Skupił się na pilniejszych problemach. Nie miał mapy S'Antón, nigdy jej nie widział. Znajdował się na południowych granicach wypraw łupieżczych Ludzi Nieba. Dalej mało kto w ogóle dotarł; w minionych czasach statki powietrzne były zbyt prymitywne, a Perio zbyt silne. Dlatego też Loklann musiał dokładnie obejrzeć miasto z góry, przez snujące się białe opary i opracować plan - niezbyt skomplikowany, bowiem do przekazywania rozkazów na inne statki miał jedynie flagi sygnałowe i wyposażonych w megafony obwoływaczy o beczkowatych klatkach piersiowych.

- Ten wielki plac przed świątynią - mruknął. - Tam wylądują nasze oddziały. Niech ludzie ze „Stormcloud” zajmą ten wielki budynek na wschód od niego... popatrzmy... wygląda jak siedziba wodza. Wzdłuż północnego muru typowe koszary i plac musztry... „Coyote” powinien dać sobie radę z żołnierzami. Niech ludzie z „Witch of Heaven” wylądują w dokach, opanują stanowiska dział nadmorskich i ten dziwny statek, a potem dołączą do ataku na garnizon. Kiedy opanuję plac, podeślę wsparcie, gdzie będzie potrzebne. Wszystko jasne?

Opuścił gogle. Potężnie zbudowani mężczyźni tłoczący się wokół niego nosili kolczugi, lecz on wolał kaftan z utwardzanej skóry, w stylu Mong. Uważał, że zapewnia niemal taką samą ochronę, a jest dużo lżejszy. Miał pistolet, ale o wiele większe zaufanie pokładał w swoim toporze bojowym. Z łuku można strzelać niemal równie szybko jak z pistoletu, równie celnie - a w miarę wyczerpywania się źródeł siarki broń palna stawała się piekielnie droga w eksploatacji.

Poczuł napięcie, zupełnie jakby znów był małym chłopcem otwierającym prezenty w Śródzimowy Poranek. Oktai jeden wie, jakie skarby czekają - złoto, materie, narzędzia, niewolnicy, wielkie czyny bitewne i wieczna sława. Możliwe, że śmierć. Był pewien, że pewnego dnia zginie w walce; tak wiele ofiarował swoim bogom, że nie powinni wzbraniać mu śmierci w bitwie i możliwości ponownych narodzin jako Człowiek Nieba.

- Naprzód! - zakomenderował.

Wskoczył na reling, rzucił się w pustkę. Przez chwilę cały świat wirował wokół niego; to miasto było nad głową, to „Buffalo” mignął przed oczami. Potem pociągnął za linkę i szarpnięcie uprząży ustabilizowało go w powietrzu. Wokół niego rozkwitły szkarłatne spadochrony. Oceniał siłę wiatru i ciągnąc za linki, zmienił kierunek opadania.

2

Don Miwel Caraban, calde S'Antón d'Inio, podjął maurajskich gości wystawną ucztą. To historyczne wydarzenie mogło nawet stanowić punkt zwrotny w długich dziejach powolnego upadku. (Don Miwel, który łączył w sobie rzadką kombinację zmysłu praktycznego i umiejętności czytania, wiedział, że wycofanie oddziałów do Brasil dwadzieścia lat temu wcale nie było „czasowym przegrupowaniem”. Nigdy nie powrócą. Zewnętrzne prowincje pozostawiono samym sobie). Obcy muszą zostać przekonani, że trafili na naród cywilizowany, silny i bogaty, że opłaca się odwiedzać meyczańskie wybrzeża w celach handlowych, a w końcu stworzyć sojusz przeciwko dzikusom z północy.

Bankiet ciągnął się niemal do północy. Choć niektóre stare kanały irygacyjne zamuliły się i nigdy nie zostały naprawione, tak że kaktusy i grzechotniki zamieszkały w opuszczonych pueblach, prowincja Meyco wciąż jeszcze była żyzna. W trakcie najazdu, pięć lat temu, skośnoocy jeźdźcy Mong z Tekkas zamordowali wielu peonów; drewniane widły i obsydianowe motyki niewiele mogły wskórać przeciwko szablom i strzałom. Minie co najmniej dziesięć lat, zanim populacja wróci do normalnego poziomu i powrócą okresy głodu. Dlatego też don Miwel podał wiele dań, wołowinę, szynkę w przyprawach, oliwki, owoce, wina, orzechy, kawę, której Ludzie Morza nie znali i niewiele ich obeszła. Towarzyszyły temu różne rozrywki - muzyka, żonglerzy, pokaz fechtunku w wykonaniu kilku młodych szlachciców.

W czasie uczyty chirurg z „Dolphina”, dość pijany, zaproponował, że wystąpi w wyspiarskim tańcu. Dostojni donowie wydymali wargi na widok wygibasów brunatnego, muskularnego, pokrytego tatuażami ciała.

- Nieco mi to przypomina obrzędy mające zapewnić żyzność pól odprawiane przez naszych peonów - zauważył Miwel.

Powiedział to z wymuszoną uprzejmością, co zasugerowało kapitanowi Ruoriemu Rangi Lohannaso, że peoni mają całkowicie odmienną i niezbyt miłą kulturę.

Lekarz odrzucił warkoczyk do tyłu i uśmiechnął się szeroko.

- Sprowadźmy wahiny z okrętu na brzeg i pokażmy im prawdziwe hula - powiedział w maurai-ingliss.

- Nie - odmówił Ruori. - Obawiam się, że już ich zaszokowaliśmy. Jak mówi przysłowie: „Na Wyspach Salomona uczernij skórę”.

- Oni chyba nie mają pojęcia, jak się bawić - narzekał doktor.

- Nie wiemy jeszcze, jakie mają tabu - ostrzegł Ruori. - Bądźmy równie poważni jak ci mężczyźni o spiczastych bródkach i nie śmiejmy się ani nie uprawiajmy miłości, dopóki nie znajdziemy się z powrotem na pokładzie, wśród naszych wahin.

- Ale to idiotyczne! Niech mnie Nan Rekinozęby pożre, jeśli ja...

- Twój przodekowi palą się ze wstydu - powiedział Ruori. Użył najostrzejszego upomnienia, jakie można było zastosować wobec mężczyzny, z którym nie zamierzało się walczyć. Wymówił te słowa łagodnym tonem, by jak najbardziej stępić zawarte w nich żądło, lecz lekarz musiał zamilknąć. Zrobił to, mamrocząc przeprosiny, i zaczerwieniony cofnął się w ciemny kąt pod wyblakłymi freskami.

Ruori zwrócił się z powrotem ku gospodarzowi.

- Proszę o wybaczenie, señor - odezwał się w miejscowym języku. - Moi ludzie znają spanol jeszcze gorzej niż ja.

- Oczywiście.

Szczupły, czarno odziany don Miwel pochylił się w lekkim, sztywnym ukłonie. Przy tym ruchu jego miecz uniósł się zabawnie, niczym ogon. Ruori usłyszał stłumione prychnięcia śmiechu dobiegające od strony jego oficerów. Jednak, pomyślał kapitan, czy długie spodnie i marszczona koszula są gorsze niż sarong, sandały i tatuaże klanowe? Inne obyczaje, nic więcej. Trzeba pożegłować przez całą Federację Maurai, od Awajów do jego ojczystej N'Zealanni i na dalej na zachód, na Mlai, by zdać sobie sprawę, jak wielka jest ta planeta i jak ogromne jej połacie okrywa tajemnica.

- Pan znakomicie włada naszym językiem, señor - powiedziała dońita Tresa Caraban z uśmiechem. - Może nawet lepiej niż my, ponieważ pan, przed zaokrętowaniem się, studiował teksty mające całe wieki, a od tamtego czasu spanol bardzo się zmienił.

Ruori odwzajemnił uśmiech. Córka don Miwela była tego warta. Bogata, czarna suknia okrywała wspaniałą figurę, a choć Ludzie Morza mniejszą uwagę zwracali na twarz kobiety, spostrzegł, że dońita Tresa ma ładne rysy, orli nos o łagodniejszej, bardziej miękkiej formie niż u ojca, oczy lśniące, zielone, nakrapiane złotem, a włosy barwy oceanu głęboką nocą. Wielka szkoda, że ci Meycanie - a przynajmniej szlachta - uważali, że dziewczyna powinna zachować siebie wyłącznie dla męża, którego jej w końcu wybiorą. Miałby wielką ochotę zamienić jej perły i srebrny naszyjnik na *lei* {hawajskie słowo oznaczające girlandę kwiatów noszoną na szyi} i wypłynąć na okrętowym kanu, tylko we dwoje, by obserwować wschód słońca i kochać się.

Jednakże...

- W takim towarzystwie - mruknął - mam chęć nauczyć się nowoczesnego języka jak najszybciej.

Powstrzymała się od kokieteryjnego pomachania wachlarzem, który to zwyczaj na zmianę rozbawiał i irytował Ludzi Morza. Zatrzepotała jednak bardzo długimi rękami.

- Równie szybko uczy się pan manier *cab'llero* - odparła.

- Błagam, niech pan nie nazywa naszego języka nowoczesnym - wtrącił się uczenie wyglądający mężczyzna w długiej szacie.

Ruori rozpoznał *bispo* don Carlosa Ermosillo, wysokiej rangi kapłana Esu Carito, który najwyraźniej miał wiele wspólnego z maurajskim Lesu Haristi.

- Nie jest nowoczesny, lecz skażony. Ja również studiowałem starożytne księgi, drukowane przed Wojną Sądu. Nasi przodkowie mówili prawdziwym spanol. Nasza wersja jest równie zniekształcona jak dzisiejsze społeczeństwo - westchnął. - Lecz czego można się spodziewać, kiedy nawet wśród dobrze urodzonych mniej niż jeden na dziesięciu umie napisać własne nazwisko.

- W okresie wielkich dni Perio mniej było analfabetów - rzekł don Miwel. - Powinien pan być odwiedzić nas sto lat temu, *señor captain*, i zobaczyć, do czego zdolna była nasza rasa.

- Jednak czyż samo Perio nie było tylko spadkobiercą? - zapytał *bispo* gorzko. - Zjednoczyło wielkie obszary, na jakiś czas zaprowadziło prawo i porządek, lecz cóż stworzyło nowego? Jego dzieje były taką samą pożałowania godną historią jak tysiąca wcześniejszych królestw, dlatego też dosięgła je taka sama sprawiedliwa zagłada.

Dońita Tresa przeżegnała się. Nawet Ruori, który skończył studia inżynierskie i nawigacyjne, był wstrząśnięty.

- Chyba nie atomowa?! - zawołał.

- Co? A, dawna broń, która zniszczyła stary świat. Nie, oczywiście, że nie. - Don Carlos potrząsnął głową. - Lecz w nasz bardziej ograniczony sposób byliśmy równie głupi i grzeszni jak legendarni praojcowie i skutki były podobne. Można to nazwać ludzką zachłannością albo karą el Dio, jak kto chce. Uważam, że oba określenia oznaczają dokładnie to samo.

Ruori zbliżył twarz do kapłana.

- Chciałbym z panem jeszcze porozmawiać, señor - powiedział z nadzieją, że użył właściwego tytułu. - Ludzie znający historię, a nie mity, są rzadkością w dzisiejszych czasach.

- Jak najbardziej - zgodził się don Carlos. - Będę zaszczycony. Doñita Tresa niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę.

- Zwyczaj zaleca tańce - powiedziała. Jej ojciec wybuchnął śmiechem.

- Ach, tak. Jestem pewien, że młode damy są zniecierpliwione. Jutro będzie dość czasu na kontynuację formalnych rozmów, *señor captain*. Teraz czas na zabawę.

Dał znak. Orkiestra zaczęła grać. Niektóre instrumenty były takie same jak u Maurai, inne zupełnie nieznanne. Stopniowanie dźwięków też odmienne... coś podobnego występowało w Stralii, lecz... w tym momencie Ruori poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Obejrzał się. Doñita Tresa.

- Skoro pan nie prosi mnie do tańca, czy mogę być tak nieskromna, by poprosić pana?

- Co oznacza słowo „nieskromna”? - zapytał.

Zaczerwieniła się i usiłowała wyjaśnić, lecz bez powodzenia. Ruori uznał, że to kolejne miejscowe pojęcie, którego brak Ludziom Morza. W tym czasie meyczańskie dziewczyny i ich kawalerowie znaleźli się już na parkiecie sali balowej. Przyglądał im się przez chwilę.

- Nie znam kroków - oznajmił - ale sądzę, że powinienem się szybko nauczyć.

Otoczył dziewczynę ramionami. Jej bliskość była miła, choć nic nie miało z tego wynikać.

- Świetnie sobie pan radzi - powiedziała donita Tresa po dłuższej chwili.

- Czy wszyscy u was są tak pełni wdzięku?

Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że to był komplement, za który powinien jej podziękować; myślał jednak jak Wyspiarz i potraktował jej słowa dosłownie, jako zwykłe pytanie.

- Większość z nas spędza wiele czasu na morzu. Człowiek musi wyrobić w sobie poczucie równowagi i rytmu, bo inaczej ma wielkie szansę znaleźć się za burtą.

Zmarszczyła nos.

- Och, proszę przestać! - zaśmiała się. - Jest pan równie uroczyście jak S'Osé w katedrze.

Ruori odwzajemnił uśmiech. Był wysokim, młodym mężczyzną, brązowoskórym, jak cała jego rasa, lecz o szarych oczach, które wielu odziedziczyło po angielskich przodkach. Będąc N'Zealannijczykiem, nie miał tak bogatych tatuaży jak niektórzy ludzie z Federacji Maurai. W warkoczyk wplótł filigranowe cacko z kości wieloryba, nosił sarong z najdelikatniejszego batik, włożył też obszytą frędzlami koszulę. Z tym strojem kontrastował nóż, bez którego każdy Maurai czuł się nieprzyzwoicie bezbronny - nóż stary, odrapany. Nie budził respektu, dopóki miał ukryte ostrze.

- Muszę zobaczyć tego boga, S'Osé - powiedział Ruori. - Pokaże mi pani? Albo nie. Nie ciekawi mnie zwykły posąg.

- Jak długo tu zostaniecie? - zapytała.

- Jak długo będziemy mogli. Powinniśmy zbadać całe meyczańskie wybrzeże. Dotychczas jedynym kontaktem Maurai z kontynentem merykańskim była jedna wyprawa z Awai do

Californi. Znaleźli pustynię i paru dzikich. Od okkaidzańskich kupców słyszeliśmy, że dalej na północ są lasy, gdzie żółci i biali ludzie walczą ze sobą. Jednak nie wiedzieliśmy, co leży na południe od Californi, do czasu wysłania tej wyprawy. Czy potrafilibyście powiedzieć nam, co znajdziemy w Su-Merice?

- Teraz już niewiele - westchnęła. - Nawet w Brasil.

- Ach, lecz w Meyco kwitną prześliczne róże.

Wrócił jej dobry humor.

- A pochlebne słowa w N'Zealanni - zachichotała.

- Och, nic podobnego. Jesteśmy notorycznie prostolinijni. Oczywiście kiedy nie opowiadamy cudów o odbytych wyprawach.

- A jakie to cuda opowie pan o obecnym rejsie?

- Niewiele, w przeciwnym razie wszyscy młodzi mężczyźni Federacji Maurai tłumnie by tu przybyli. Lecz zabiorę panią na pokład mojego statku i zaprowadzę do kompasu. Od tej chwili zawsze będzie wskazywał S'Antón d'Inio. Staniesz się moją różą kompasową.

Jakoś, ku jego zdumieniu, zrozumiała i roześmiała się, gibka w jego ramionach.

Tańczyli całą noc, powiedzieli też sobie mnóstwo głupstw. Przed świtem orkiestra została odesłana i goście, ukrywając ziewnięcia za arystokratycznymi dłońmi, zaczęli się rozchodzić.

- Jakże ponure jest przyjmowanie pożegnań - szepnęła Tresa. - Niech myślą, że już udałam się na spoczynek.

Wzięła Ruoriego za rękę, pociągnęła go za kolumnę, a stamtąd na balkon. Starsza służąca, wyznaczona do spełniania roli przyzwoitki dla par, które tu zawędrowały, owinięta opończą zasnęła. Oprócz niej wśród jaśminów byli tylko oni dwoje. Wokół snuły się mgły, przesłaniające miasto. W oddali dźwięczała pieśń *Todos buen* pikinierów wędrujących po murach. Po zachodniej stronie balkonu panowała ciemność, w której migotały ostatnie gwiazdy. Siedem wysokich masztów maurańskiego „Dolphina” zabłysło w pierwszych promieniach słońca.

Tresa zadrżała i przysunęła się bliżej do Ruoriego. Milczeli jakiś czas.

- Pamiętaj o nas - szepnęła. - Kiedy wrócisz do swoich szczęśliwszych ludzi, o nas nie zapomnij.

- Jak bym mógł? - odpowiedział, już nie żartobliwie.

- Macie o tyle więcej od nas... Opowiedziałeś mi, jak wasze statki potrafią żeglować niewiarygodnie szybko, niemal pod wiatr. Jak wasi rybacy zawsze mają pełne sieci, jak wasi hodowcy wielorybów utrzymują stada, od których ciemnieje morze, jak nawet uprawiacie ocean, uzyskując żywność i włókna, i... - musnęła palcami migotliwy materiał jego koszuli - powiedziałaś mi, że to sporządzono ręcznie z rybich ości. Powiedziałaś, że każda rodzina ma swój własny, obszerny dom i każdy jej członek, no, prawie każdy ma własną łódź... że nawet małe dzieci na najbardziej samotnej z wysp umieją czytać i mają drukowane książki... że nie znacie żadnej z chorób, które nas niszczą... że nikt nie głoduje i wszyscy są wolni... och, nie zapomnij o nas, ty, do którego el Dio się uśmiechnął!

Zamilkła, uniosła głowę, rozszerzyły się jej nozdrza, jakby czuła urazę. W końcu, pomyślał Ruori, pochodziła z rasy, która od wieków ani nie prowadziła działalności charytatywnej, ani z niej nie korzystała.

Dlatego też bardzo starannie dobierał słowa.

- Więcej w tym szczęścia niż naszej zasługi, donita. W Wojnie Sądu ucierpieliśmy stosunkowo niewiele, a dzięki temu, że żyjemy głównie na wyspach, uniknęliśmy takiego

rozrostu populacji, by przekroczyć wydajność karmiącego nas, bogatego oceanu. Nie zachowaliśmy żadnych utraconych sztuk przodków. Nie ma nic takiego. Lecz odtwarzamy starożytną naukę, sposób myślenia, który wpłynął na wszystko. Przeżegnała się.

- Atom! - wyszeptała, odsuwając się od niego.

- Nie, nie! Tak wiele z odkrytych przez nas ostatnio narodów wierzy, że nauka stała się przyczyną upadku starego świata. Albo uważa, że był to zbiór martwych przepisów na wznoszenie wysokich budynków czy porozumiewanie się na odległość. Lecz ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Metoda naukowa to jedynie sposób uczenia się. To... zaczynanie ciągle od nowa. I właśnie dlatego wy w Meyco możecie pomóc nam tak samo jak my wam, dlatego odszukaliśmy was i w przyszłości zapukamy z nadzieją do waszych drzwi.

Skrzywiła się, choć jej oczy zabłyśły.

- Nie rozumiem - oznajmiła.

Zastanawiał się nad przykładem. W końcu wskazał rząd małych otworów w balustradzie balkonu.

- Co tu było? - spytał.

- Nie wiem. To zawsze tak wyglądało.

- Sądzę, że potrafię ci powiedzieć. Widziałem coś podobnego gdzie indziej. Była tu kuta, żelazna krata. Lecz została usunięta i przerobiona na broń lub narzędzia. Prawda?

- Prawdopodobnie - przyznała. - Żelazo i miedź stały się rzadkością. By zdobyć metal, musimy posyłać karawany przez cały ląd, do ruin Tamico, cierpiąc bardzo z rąk bandytów i barbarzyńców. Był czas, kiedy żelazne szyny były o kilometr stąd. Don Carlos mi to powiedział.

Skinął głową.

- Właśnie. Starożytni wyczerpali świat. Wydobywali rudy, spalali ropę i węgiel, spowodowali erozję lądów, aż w końcu nie zostało nic. Oczywiście przesadzam. Wciąż są złoża. Lecz zbyt mało. Można powiedzieć, że dawna cywilizacja roztrwoniła majątek. Teraz już odrodziły się lasy i gleba, można spróbować odbudować kulturę maszynową, tylko że nie ma dość surowców mineralnych i paliw. Od stuleci ludzie musieli niszczyć relikty starożytności, by zdobyć jakikolwiek metal. Wiedza przodków nie została zapomniana, po prostu stała się bezużyteczna, bo jesteśmy po wielokroć biedniejsi od nich.

Spowaźniał.

- Jednak wiedza i odkrycia nie zależą od stanu majątkowego. Być może dlatego, że na naszych wyspach nie mieliśmy dużo metalu do wyszabrowania, zwróciliśmy się w inną stronę. Metody naukowe dają się stosować równie dobrze do wiatru i słońca, jak kiedyś do ropy, żelaza i uranu. Prowadząc badania genetyczne, dowiedzieliśmy się, jak hodować wodorosty, plankton, ryby, które najlepiej odpowiadają naszym potrzebom. Naukowa gospodarka leśna daje nam odpowiednie drewno, surowce do syntez chemicznych, trochę paliw. Słońce zalewa nas energią, którą umiemy pozyskiwać i użytkować. Drewno, ceramika, nawet kamień mogą w większości zastosowań zastąpić metal. Dzięki wykorzystaniu takich zasad jak opływowość kształtu, prawo Venturiego czy rura Hilscha, wiatr dostarcza mocy, ciepła, chłodzenia; można też wykorzystać pływy. Nawet teraz, tuż po powstaniu, psychologia paramatematyczna pomaga w kontrolowaniu populacji, jak również... nie, gadam teraz jak inżynier. Proszę o wybaczenie.

Chciałem powiedzieć, że jeśli tylko zdołamy pomóc innym ludziom, takim jak wy, na skalę światową, dorównamy naszym przodkom lub ich przewyższymy... nie ich metodami, które często były bardzo krótkowzroczne i marnotrawcze, lecz opracowując nasze własne...

Głos mu zamarł. Dońita Tresa nie słuchała. Patrzyła nad jego głową, w powietrze, a na jej twarzy malowała się groza.

Wtedy na blankach odezwały się trąbki i ocknęły się dzwony katedry.

Ruori podniósł wzrok. Niebo w zenicie już pobłękitniało. Nad S'Antón polatywało leniwie pięć orkopodobnych kształtów. Wstające słońce lśniło na podrapanych herbach wymalowanych wzdłuż ich boków. Czując zawroty głowy, oszacował długość tych statków na jakieś sto metrów.

Poniżej nich widniały płatki koloru krwi opadające ku miastu.

- Ludzie Nieba! - usłyszał za sobą ochryply okrzyk. - *Sant'sima Mari*, módl się za nami!

3

Loklann uderzył o płyty chodnikowe, przeturlał się i zerwał na równe nogi. Przez chwilę podziwiał posąg jeźdźca nad fontanną; nic takiego nie mieli w Canyon, w Strefie Corado, w żadnym z górskich królestw. Biała świątynia zwrócona fasadą ku temu placowi sięgała nieba.

Na placu panował ruch, rolnicy i rękodzielnicy przygotowywali stragany na dzień targowy. Teraz rozbiegli się w hałaśliwej panice. Tylko jeden mężczyzna odziany w łachmany porwał kamienny młot i rzucił się ku Loklannowi. Osłaniał ucieczkę młodej kobiety, prawdopodobnie żony, unoszącej dziecko w ramionach. Pomimo bezkształtnej, workowatej sukni pirat spostrzegł, że miała niezłą figurę. Dostałby za nią niezłą cenę przy najbliższej wizycie handlarza niewolników Mong w Canyon. Podobnie za jej męża, lecz w tej chwili, wciąż obciążony spadochronem, nie miał czasu. Wyszarpnął pistolet i strzelił. Mężczyzna upadł, krew sączyła mu się spomiędzy palców przyciśniętych do brzucha. Loklann uwolnił się z upręży. Tupiąc buciorami, popędził za kobietą. Kiedy zacisnął palce na jej ramieniu, wrzasnęła i usiłowała się wyrwać, lecz przeszkadzał jej bachor. Pirat pchnął ją w stronę świątyni. Robra był już na schodach.

- Pilnuj! - krzyknął szyper. - Skoro i tak splądrujemy świątynię, możemy w niej trzymać jeńców!

Do drzwi chwiejnie podszedł stary człowiek w lopląskich szatach. Unosił w rękach jednego z meyczańskich bożków w kształcie krzyża, jakby zagradzał drogę. Robra rozwalił mu czaszkę toporem, kopniakiem zrzucił trupa ze schodów i wepchnął kobietę do środka.

Z nieba spadał deszcz zbrojnych. Loklann zadał w bawoli róg, zwołując ich do siebie. W każdej chwili należało się spodziewać kontrataku... Tak, już.

Oddział meyczańskiej kawalerii pojawił się ze szcękami. Byli to młodzi, dumnie wyglądający mężczyźni w workowatych spodniach, skórzanych plastronach i hełmach z pióropuszcami, w powiewających płaszczach. Trzymający drewniane lance zahartowane w ogniu i stalowe szable - bardzo podobni do żółtych nomadów z Tekkas, z którymi walczyli od stuleci. Jednak Lud Nieba również z nimi walczył. Loklann przebił się na czoło swojego oddziału, gdzie chorąży poniósł Sztandar Błyskawicy. Połowa załogi „Buffalo” poskładała z segmentów piki z ceramicznym grotem, oparła drzewce o ziemię i czekała. Szarża ruszyła w ich kierunku. Opuścili piki. Część koni nadziała się na ostrza, część zawróciła z kwikiem. Pikinierzy dźgali jeźdźców. Druga linia spadochroniarzy postąpiła naprzód, uzbrojona w topory, miecze i noże strunowe. Przez chwilę trwała rzeź, aż szyk Meycan się załamał. Nie uciekli, lecz wycofywali się w nieładzie. A wtedy zagrały cięciwy łuków z Canyon.

Na placu pozostali tylko zabici i ranni. Loklann kazał lżej rannych zaciągnąć do świątyni. Co szkodziło zebrać potencjalnych niewolników i preselekcjonować ich później.

Z daleka dobiegł głuchy huk.

- Armata - powiedział Robra. - Przy koszarach.
- No cóż, niech artyleria się pobawi, póki nasi chłopcy nie wpadną pomiędzy nich - odparł Loklann z sardonicznym uśmiechem.

- Jasne, jasne - potwierdził Robra nerwowo. - Wolałbym tylko, żeby się do nas odezwali. Nie podoba mi się sterczenie tutaj.

- Już niedługo - zapowiedział Loklann.

Tak też było. Dopadł ich zataczający się biegacz ze złamaną ręką.

- „Stormcloud” - wydyszał. - Ten wielki budynek, na który nas skierowałeś... pełny szermierzy... odrzucili nas przy drzwiach...

- Ha! Sądziłem, że to tylko chałupa króla! - zawołał Loklann. Zaśmiał się. - No cóż, może kacyk właśnie urządzał przyjęcie. Chodźmy, sam zobaczę. Robra, przejmij tu dowodzenie.

Ruchem palca przywołał do siebie trzydziestu ludzi. Potruchtali pustymi, milczącymi ulicami. Mieszkańcy zapewne kulili się w bezokiennych domach. Tym łatwiej będzie spędzić ich później, kiedy skończy się walka, a zacznie plądrowanie.

Loklann poprowadził oddział za róg. Po przeciwnej stronie zobaczył pałac, stary budynek o zniszczonych ścianach pełnych szklanych okien, pokryty czerwoną dachówką. Ludzie ze „Stormcloud” walczyli przy głównym wejściu, gdzie piętrzyły się zwaliny rannych i zabitych w poprzednim natarciu.

Jednym rzutem oka ocenił sytuację.

- Te zakute łby nie wpadły na pomysł, żeby wysłać część oddziału do jakiegoś bocznego wejścia! - warknął. - Jonak, weź piętnastu chłopców, wyważcie jakieś boczne drzwi i zajdźcie ich od tyłu. My w tym czasie pomożemy dostarczyć im zajęcia.

Uniósł pokrzwawiony topór.

- Canyon! - wrzasnął.

- Canyon! - ryknęli ludzie za nim i skoczyli w wir bitwy. Ostatnie natarcie straciło impet. Kilku Meycan stało w głównym wejściu. Szlachcice - ponurzy mężczyźni noszący kozie bródki i woskowane wąsy, w uroczystych czarnych ubiorach. Lewe ręce owinęli dla ochrony czerwonymi płaszczami, w prawych dzierżyli długie miecze. Za nimi stali następni, gotowi zastąpić zabitych.

- Canyon! - wrzasnął Loklann, rzucając się naprzód.

- *Quel Dio wela!* - zawołał szpakowaty don ze złotym łańcuchem na szyi. Zrobił wypad mieczem.

Loklann uniósł topór i sparował pchnięcie. Don był szybki, jego błyskawiczna riposta trafiła pirata w pierś. Jednak ostrze ześliznęło się z twardego, sześciowarstwowego skórzanego kaftana. Ludzie Loklanna cisnęli się po obu stronach, lekkomyślnie wystawiając się na pchnięcia i rąbiąc z góry. Pirat uderzył w miecz przeciwnika.

- Ach, nie, don Miwel! - krzyknął ktoś młody obok calde.

Starszy mężczyzna warknął. Zdołał chwycić topór i z siłą trolla wydarł go piratowi z rąk. Loklann spojrział śmierci w oczy. Don Miwel uniósł topór. Pirat wyszarpnął pistolet i strzelił.

Calde padł. Loklann zdarł z niego złoty łańcuch i zarzucił sobie na szyję. Kiedy się prostował, dostał potężne pchnięcie, które ześliznęło się z jego hełmu. Schwycił topór, zaparł się stopami w ziemię i rąbnął ile sił.

Linia obrońców zaczęła się chwiać.

Za Loklannem rozpętała się wrzawa. Zobaczył błyski broni nad ramionami swoich ludzi. Zaklął, zdawszy sobie sprawę, że w pałacu było więcej obrońców oprócz tych przy drzwiach.

Pozostali wykradli się od tyłu i teraz siedzieli im na karkach!

Pchnięcie przebiło mu udo. Ledwie je poczuł, wściekłość przesłoniła mu oczy mgłą.

- Bodajbyście świniami się ponownie narodzili! - ryknął. Na wpół świadomie wydarł się z tłumu, zrobił miejsce wokół siebie, odskoczył w bok.

Nowo przybyli należeli głównie do pałacowej gwardii, sądząc po pasiastych mundurach, pikach i maczetach. Lecz mieli sprzymierzeńców, kilkunastu ludzi, jakich Loklann nigdy nie widział ani nawet o nich nie słyszał. Brązowoskórzy, czarnowłosi jak Injuni, ale o twarzach przypominających białych ludzi. Ich ciała pokrywały zawiłe, granatowe desenie, za ubiór mieli jedynie owinięte wokół bioder płachty materiału i wieńce kwiatów. Z niesłychaną zręcznością walczyli nożami i maczugami.

Loklann rozdarł nogawicę, by obejrzeć ranę. Nic wielkiego. O wiele gorsze były cięgi, jakie dostawali jego ludzie. Zobaczył, jak Mork sunna Brenn skoczył z uniesionym mieczem na jednego z brązowoskórych, wielkiego mężczyznę mającego na sobie dodatkowo kosztownie wyglądającą koszulę. W kraju Mork zabił w legalnych pojedynkach co najmniej czterech ludzi, a ilu za granicą, tego nikt nie wiedział. Ciemnoskóry mężczyzna czekał z nożem w zębach, z opuszczonymi rękami. Kiedy ostrze spadło, po prostu go już tam nie było. Uderzył kantem dłoni w trzymającą miecz rękę. Loklann wyraźnie usłyszał trzask pękającej kości. Mork wrzasnął. Obcokrajowiec uderzył go w krtań. Pirat opadł na kolana, z ust buchnęła mu krew, zgiął się i znieruchomiał. Kolejny Człowiek Nieba zaatakował z uniesionym toporem. Obcy znów uchylił się przed ciosem, przerzucił napastnika przez biodro. Pirat uderzył głową w bruk i nie poruszył się więcej.

Teraz Loklann spostrzegł, że nowo przybyli tworzą krąg wokół innych, którzy nie uczestniczą w walce. Kobiety. Na Oktaia i ludożerczego Ulagu, ci bękarci wyprowadzali wszystkie kobiety z pałacu! A walka się skończyła; ponurzy piraci cofnęli się, liżąc rany.

Loklann rzucił się naprzód.

- Canyon! Canyon! - krzyknął.

- Ruori Rangi Lohannaso - odparł wielki obcy uprzejmie. Wyrzucił z siebie serię komend. Jego grupa zaczęła się oddalać.

- Bierzcie ich, szumowiny! - wyryczał Loklann.

Piraci zmobilizowali się i nierówno ruszyli do przodu. Piki tylnej straży zmusiły ich do odwrotu. Loklann poprowadził grupę na drugą stronę pustego placu.

Wielki brązowoskóry mężczyzna patrzył, jak się zbliżali. Szare oczy zatrzymały się na łańcuchu calde i wionęło z nich mrozem.

- Więc to ty zabiłeś don Miwela - oznajmił w spańol. Loklann zrozumiał go; w czasie poprzednich wypraw, bardziej na północy, nauczył się tego języka od więźniów i konkubin. - Ty nędzny synu skuy!

Loklann uniósł pistolet. Ruori wykonał błyskawiczny ruch i w prawym bicepsie pirata utkwiono ostrze noża.

- Chcę go dostać z powrotem! - krzyknął Ruori do niego, a swoim ludziom rozkazał: - Na statek!

Loklann gapił się na krew spływającą mu po ręce. Usłyszał szcęk broni, gdy uciekinierzy przedarli się przez linię zmęczonych piratów. Grupa Jonaka pojawiła się w głównych drzwiach pałacu - teraz pustego; obrońcy wycofali się razem z Ruorim.

Do Loklanna podszedł jeden z jego ludzi.

- Idziemy za nimi, szyper? - spytał prawie nieśmiało. - Jonak może nas poprowadzić.

- Nie.

- Ale oni uprowadzają ze sto kobiet. Mnóstwo młodych. Loklann otrząsnął się jak pies wychodzący z zimnego strumienia.

- Nie. Najpierw muszę znaleźć lekarza i zszyć ranę. Potem czeka nas mnóstwo roboty. Z tymi cudzoziemcami załatwimy się później, jeśli nadarzy się okazja. Człowieku, mamy miasto do splądrowania!

4

Na nabrzeżu leżały trupy, niektóre spalone. Wydawały się dziwnie małe w porównaniu z magazynami, niczym szmaciane lalki porzucone przez zapłakane dzieci. Smród prochu gryzł w nozdrza.

Atel Hamid Seraio, mat pozostawiony na „Dolphinie” razem z załogą z zaciągu, poprowadził oddział na spotkanie grupy Ruoriego. Zasalutował na sposób wyspiarski, tak niedbale, że nawet w takiej chwili niektórzy Meycanie poczuli się zaszokowani.

- Właśnie mieliśmy po pana pójść, kapitanie - oznajmił. Ruori popatrzył w stronę gąszczu takielunku „Dolphina”.

- Co się tu stało? - zapytał.

- Banda tych diabłów wylądowała w pobliżu baterii. Opanowali stanowiska, kiedy wciąż jeszcze zastanawialiśmy się, o co tu chodzi. Część z nich popędziła w stronę hałasu dobiegającego z północnej ćwiartki, jak sądzę od strony koszar. Ale reszta zaatakowała nas. No cóż, nasza burta wystaje dobre trzy metry nad keję, mamy wprawę w odpędzaniu piratów, nie mieli więc zbyt dużo szczęścia. Podpiekliśmy ich trochę.

Ruori skrzywił się, wspomniawszy spalone zwłoki. Nie podobało mu się polewanie żywych ludzi płonącym wielorybim tłuszczem.

- Szkoda, że nie spróbowali od strony morza - dodał Atel, wzdychając. - Mamy świetną wyrzutnię harpunów. W zeszłym roku jej użyłem, pod Hinja, gdzie sinski korsarz podłaził za blisko. Jego dżonka hałasowała jak wieloryb.

- Ludzie to nie wieloryby! - warknął Ruori.

- W porządku, kapitanie, dobrze już, dobrze. - Atel cofnął się przed szyprem, nieco przestraszony. - Nie miałem nic złego na myśli. Ruori opanował się i złożył dłonie.

- Niepotrzebnie się rozgniewałem - powiedział oficjalnie. - Śmieję się sam z siebie.

- Nic się nie stało, kapitanie. Jak mówiłem, popędziliśmy im kota i w końcu zrezygnowali. Pewnie sprowadzą posiłki. Co robimy?

- Tego właśnie nie wiem - przyznał Ruori ponuro.

Odwrócił się do Meycan, którzy stali oszołomieni, nic nie rozumiejąc.

- Błagam o wybaczenie, donowie i dońity - powiedział w spañol. - Zdawał mi relację z wydarzeń.

- Proszę nie przeproszać! - zawołała Tresa Caraban, występując przed mężczyzn. Niektórzy z nich sprawiali wrażenie zgorszonych, ale byli zbyt zmęczeni i zbyt oszołomieni, by zganić ją za nieskromność. - Pan uratował nam życie, kapitanie. Więcej niż życie.

Maurai zastanawiał się, co może być gorszego od śmierci, potem skinął głową. Niewola, oczywiście. Więzy, baty i harówka w obcym kraju. Przyjrzał się dziewczynie - długie włosy, rozczochrane, odrzucone na ramiona, podarta suknia, zmęczenie i ślady łez na twarzy. Zastanawiał się, czy wie, że jej ojciec nie żyje. Trzymała się prosto i patrzyła na niego z dziwną przekorą.

- Nie jesteśmy pewni, co robić - przyznał niezdarnie. - Jest nas tylko pięćdziesięciu. Czy

możemy pomóc waszemu miastu?

- Nie - odpowiedział mu młody szlachcic, chwiejący się na nogach. - Miasto jest skazane na zagładę. Możecie zabrać te damy w bezpieczne miejsce, to wszystko.

- Przecież jeszcze się nie poddajecie, señor Dónoju! - zaprotestowała Tresa.

- Nie, dońito - wyszeptał młody człowiek. - Lecz mam nadzieję wypowiadać się przed powrotem do walki, bo jestem już trupem.

- Wejdźcie na pokład - polecił Ruori szorstko. Poprowadził ich po trapie. Liliu, jedna z pięciu okrętowych wahn, wybiegła mu na spotkanie. Objęła go za szyję.

- Bałam się, że zginęliście wszyscy! - zawołała.

- Jeszcze nie. - Ruori uwolnił się od niej delikatnie.

Zauważył, jak Tresa zeszywniała. Czy ci dziwaczni Meycanie spodziewali się, że załoga wyruszy w wielomiesięczną podróż bez choćby kilku dziewcząt? Uznał po chwili, że to ubiór wahn, bardzo podobny do męskiego, był sprzeczny z ich moralnością. Niech Nań porwie ich kretyńskie uprzedzenia!

Jednak reakcja Tresy go zaboląła.

Inni Meycanie gapili się na nich. Nie wszyscy zwiedzili statek bezpośrednio po jego przybyciu. Skonsternowani patrzyli na liny i maszty, na wielki pokład, wyrzutnie harpunów, kabestany, bukszpryt, na żeglarzy. Maurai uśmiechali się zachęcająco. Większość z nich dotychczasowe wydarzenia traktowała jak zabawę. Ludzi dla rozrywki nurkujących nago w pogoni za rekinami, żeglujących samotnie w łodziach z bocznymi pływakami tysiące mil tylko po to, by kogoś odwiedzić, trudno zmęczyć byle walką.

Jednak oni nie rozmawiali z dostojnym don Miwelem, pogodnym don Wanem i łagodnym *bispo* Ermosillo, nie widzieli ich potem martwych na parkiecie tanecznym, pomyślał Ruori z goryczą.

Meycańskie kobiety skupiły się razem, damy i służące. Popłakiwały. Gwardziści pałacowi otoczyli je zwartym kołem. Ruori poprowadził szlachtę wraz z Tresą na pokład rufowy.

- Teraz - odezwał się - czas na rozmowę. Kim są ci bandyci?

- Ludzie Nieba - wyszeptała Tresa.

- To widać. - Ruori zerknął na patrolujący nad ich głowami statek powietrzny. Miał w sobie takie samo złowieszcze piękno jak barakuda. - Ale kim oni są? Skąd pochodzą?

- To Nor-Merikanie - odpowiedziała cicho, jakby obawiała się własnych emocji. - Z dzikich wyżyn wokół rzeki Corado, z Wielkiego Kanionu, który sobie wyżłobiła. Górale. Istnieje domniemanie, że dawno temu zostali zepchnięci ze wschodnich równin przez najeźdźców Mong. W miarę wzrastania w siłę wśród wzgórz i pustyń pokonali niektóre szczepy Mong, a z innymi zawarli przyjaźń. Od stu lat niepokoiłi nasze północne granice. Po raz pierwszy zapuścili się tak daleko na południe. Nie spodziewaliśmy się napadu. Przypuszczam, że ich szpiedzy dowiedzieli się, iż większość naszych żołnierzy wędruje wzdłuż Rio Grande w pogoni za rebeliantami. Pożeglowali na południe, nad naszymi ziemiami...

Wzdrygnęła się.

Młody Dónoju splunął.

- To pogańskie psy! Umieją tylko rabować i mordować! Cóż takiego uczyniliśmy, że nawiedziła nas ich plaga? Ruori potarł podbródek w zamyśleniu.

- Nie mogą być aż takimi dzikusami - mruknął. - Te sterówce są doskonałymi konstrukcjami. Ten materiał... jakiś syntetyk? Musi tak być, inaczej nie utrzymałby długo

wodoru. Na pewno nie używają helu! Lecz dla wyprodukowania wodoru na taką skalę niezbędny jest przemysł. A przynajmniej porządna chemia praktyczna. Mogą nawet uzyskiwać go elektrolitycznie... dobry Lesu!

Zdał sobie sprawę, że mówi do siebie w ojczystym języku.

- Błagam o wybaczenie - powiedział. - Zastanawiałem się, co możemy zrobić. Ten statek nie ma latających pojazdów.

Znowu popatrzył w górę. Atel podał mu lornetkę. Skupił się na najbliższym sterowcu. Wielki balon z gazem i gondola poniżej - tak wielka jak statek Maurai - tworzyły razem jednostkę o znakomitej aerodynamice. Gondola, trzcinowa plecionka na drewnianej ramie, sprawiała wrażenie lekkiej, lecz mocnej. W trzech czwartych wysokości burty widniało coś w rodzaju biegnącej dookoła galeryjki, na której załoga mogła pracować. Wzdłuż relingu rozmieszczono maszyny poruszane siłą ludzkich mięśni. Część na pewno służyła do manewrowania, lecz niektóre przypominały katapulty. Najwyraźniej sterowce poszczególnych wódzów północnych plemion czasem ze sobą walczyły. Warto się było tego dowiedzieć. Psychologowie polityczni Federacji Maurai byli dobrzy w stosowaniu zasady „dziel i rządź”. Ale teraz...

Napęd był szczególnie interesujący. W pobliżu dziobu gondoli dwa poprzeczne drzewce wystawały na boki na dobre szesnaście metrów, jedno nad drugim. Podtrzymywały dwie obrotowe ramy, do których przymocowano kwadratowe żagle. Podobna para zdobiła rufę, w sumie osiem żagli. Do balonu z gazem przytwierdzono stabilizatory podobne do płetw rekina. Kilka niewielkich, osadzonych na osiach, chowanych łopatkowych kół wiatrowych wystawało pod gondolą, najwyraźniej spełniając rolę falszkiłu. Żagle i płetwy sterowe stawiano za pomocą lin przechodzących przez bloki i wielokrążki do kabestanów umieszczonych na galeryjce. Odpowiedni ich dobór powinien pozwalać na obieranie ostrych kursów, przynajmniej kilka rumbów na wiatr. Poza tym wiatry wieją w różnych kierunkach na różnych wysokościach. Opadanie sterowca można uzyskać, wypompowując gaz z komór i sprężając go w rezerwuarach; wznoszenie przez ponowne napełnienie komór albo wyrzucenie balastu (ten drugi sposób zapewne wykorzystywano w trakcie powrotu do domu, kiedy ubytek gazu wskutek nieszczelności był już znaczący). Dysponując żaglami, sterami i możliwością wyboru korzystnych wiatrów, taki sterowiec mógł przelecieć kilka tysięcy mil, niosąc wielotonowy ładunek. Och, wspaniały statek! Ruori opuścił lornetkę.

- Czy Perio nie zbudowało żadnych statków powietrznych dla obrony? - spytał.

- Nie - wymamrotał jeden z Meycan. - Mieliśmy tylko balony. Nie wiemy, jak sporządzić tkaninę zdolną do utrzymania unoszącego gazu wystarczająco długo, ani też nie mamy pojęcia, jak sterować...

Głos mu zamarł powoli.

- A ponieważ jesteście nienaukową kulturą, nigdy nie pomyśleliście o prowadzeniu systematycznych badań - dokończył Ruori.

Tresa, która patrzyła na miasto, odwróciła się gwałtownie ku niemu.

- Łatwo wam to mówić! - krzyknęła. - Nie musieliście przez całe stulecia opierać się Mongom na północy i Raucanianom na południu. Nie musieliście poświęcić dwudziestu lat oraz dziesięciu tysięcy ludzkich istnień przy budowie kanałów i akweduktów, dzięki którym nieco mniej ludzi cierpi głód. Nie musicie dbać o peonów, którzy umieją tylko pracować, nie potrafią sami o siebie zadbać. Nigdy się tego nie nauczyli, bo samo ich istnienie stanowi dla naszej ziemi obciążenie tak wielkie, że nie stać nas na edukację. Łatwo wam pływać tu i tam z

waszymi półnagimi kokotami i naśmiewać się z nas! Co pan by zrobił na naszym miejscu, wszechmocny kapitanie?

- Zamilcz - skarcił ją młody Dónoju. - Uratował nam życie.

- Jak na razie! - Oczy miała pełne łez. Tupnęła w pokład drobną stopą obutą w pantofelek balowy.

Zdezorientowany Ruori przez chwilę zastanawiał się nad zupełnie nieistotną rzeczą: co to takiego kokota? Brzmiało obelżywie. Czyżby miała na myśli wahiny? Ale czy istnieje bardziej honorowy sposób zebrania posagu przez kobietę niż narażanie życia ramię w ramię z mężczyznami w trakcie wyprawy odkrywczej i niosącej cywilizację? O czym Tresa zamierzała opowiadać wnukom w deszczowe wieczory?

Przyszło mu do głowy, że właściwie nie ma powodu, by tak go niepokoiła. Już wcześniej spostrzegł u niektórych Meycan jakąś niemal przerażającą intensywność uczuć pomiędzy mężem i żoną, zupełnie jakby małżonek był kimś więcej niż szanowanym przyjacielem i partnerem. Lecz jaki inny układ jest możliwy? Może wiedziałby to specjalista psycholog, Ruori czuł się zagubiony.

- Nie czas teraz na niegrzeczności - powiedział. Musiał użyć słowa w spańol mającego nieco inny odcień znaczeniowy. - Trzeba podjąć decyzję. Jesteście pewni, że nie możemy mieć nadziei na przepędzenie piratów?

- Nie, o ile sam S'Antón nie uczyni cudu - odparł Dónoju martwym globem. Po chwili wyprostował się gwałtownie. - Tylko jedno może pan dla nas zrobić, señor. Odpłynąć natychmiast, z kobietami. Są wśród nich szlachetnie urodzone damy, które nie mogą zostać sprzedane w niewolę, na pohańbienie. Proszę zabrać je na południe, do Port Wanawato, gdzie calde otoczy je opieką.

- Nie lubię uciekać - odparł Ruori, patrząc na zwłoki leżące na nabrzeżu.

- Señor, to są damy! W imię el Dió, zmiłuj się nad nimi! Ruori przyglądał się napiętym, brodatym twarzom. Doświadczył od Meycan wielkiej gościnności i powinien im się zrewanżować przysługą.

- Dobrze, jeśli tego chcecie - powiedział. - A co z wami? Młody szlachcic skłonił się przed nim jak przed królem.

- Nasze dziękczynne modlitwy będą z panem, szlachetny kapitanie. My, mężczyźni, oczywiście wrócimy i będziemy walczyć. Wstał i jak na defiladzie wydał komendę:

- Bacność! Formuj szyk!

Na głównym pokładzie wymieniono kilka szybkich pocałunków. Po chwili meyczańscy mężczyźni zeszli po trapie i pomaszerowali do miasta. Ruori uderzył pięścią w reling.

- Gdybyśmy tylko znaleźli jakiś sposób - mruknął. - Gdybym tylko mógł coś zrobić. Czy sądzi pani, że bandyci nas zaatakują? - zwrócił się do Tresy z nadzieją w głosie.

- Tylko jeśliby pan tu pozostał. - Jej oczy wyglądały jak kryształy zielonego lodu. - Gdyby, na Mari, nie przyrzekł pan odpłynąć.

- Jeśli będą nas ścigać na morzu...

- Nie sądzę. Ma pan sto kobiet i niewiele towaru. Ludzie Nieba będą mieli dziesięć tysięcy kobiet jasyru, tyleż mężczyzn i dobra z całego naszego miasta. Po co mieliby się kłopotać pogonią za panem? Proszę ruszać. Nie śmie pan zwlekać.

Jej lodowaty ton podziałał jak cios.

- Co pani ma na myśli? - spytał Ruori. - Uważa pani, że Maurai to tchórze?

Zawahała się.

- Nie - przyznała niechętnie, ale szczerze.

- No to czemu natrzęsa się pani ze mnie?

- Och, niech pan sobie idzie!

Uklękła przy relingu, schowała twarz w dłoniach.

Ruori wydał rozkazy. Ludzie zaczęli wspinać się na takielunek. Rozwijające się płachty materiału łopotały w lekkim wietrze. Za pirsem lśnił błękitny ocean upstrzony drobnymi grzebieniami piany; mewy krążyły po niebie. Ruori miał przed oczami krótkie sceny, które dotarły do jego świadomości w czasie dowodzenia odwrotem.

Bezbronny człowiek z rozłupaną czaszką. Dziewczynka, najwyżej dwunastoletnia, krzycząca w rękach dwóch napastników wlokących ją w zaułek.

Stary człowiek uciekający w panice i czterech łuczników strzelających do niego, ryczących ze śmiechu, gdy w końcu padł przeszyty strzałą i usiłował czołgać się dalej. Osłupiała kobieta siedząca na ulicy w podartej sukni obok dziecka z roztrzaskaną głową. Niewielka rzeźba we wnęce, święta figurka z bukiecikiem wyblakłych fiołków u stóp, pozbawiona głowy niedbałym ciosem młota bojowego. Płonący dom, z którego dobiegały ludzkie wrzaski...

Nagle okręt powietrzny wiszący nad głową stracił swoje piękno.

Żeby tak sięgnąć w górę i ściągnąć ich z nieba!

Ruori zatrzymał się gwałtownie. Załoga krzątała się wokół niego. Słyszał szanty wyśpiewywane przy wybieraniu lin, głębokie głosy, pełne wigoru, bo ci ludzie byli zawsze wolni i dobrze odżywieni.

- Cumy rzuć! - zawołał mat.

- Jeszcze nie! Jeszcze nie! Czekajcie!

Ruori ruszył w stronę pokładu rufowego, wbiegł po schodni i mijając sternika, podbiegł do dońity Tresy. Podniosła się i stała z opuszczoną głową, włosy zasłaniały jej twarz.

- Tresy, mam pomysł. Jest szansa, może jednak zdołamy im odpłacić. Podniosła wzrok. Zacisnęła mu palce na ramieniu tak mocno, że pod jej paznokciami pojawiła się krew.

Urywaniem głosem wyrzucał z siebie słowa.

- Wszystko zależy... od zwabienia ich... do nas. Przynajmniej kilka ich okrętów... musi pogonić za nami... w morze. Możliwe, że... będziemy mogli walczyć... a nawet ich przepędzić...

Wciąż patrzyła mu prosto w oczy. Zawahał się.

- Oczywiście - dodał - możemy przegrać, a mamy kobiety na pokładzie.

- Jeśli przegramy - odezwała się tak cicho, że ledwie ją usłyszał - czy umrzemy, czy trafimy w niewolę?

- Uważam, że zginiemy.

- To dobrze. Walczmy więc.

- Jednego nie wiem. Jak zmusić ich do pogoni za nami - zamilkł na chwilę. - Gdyby ktoś... dał się im złapać i powiedział, że uciekamy z wielkim skarbem, uwierzyliby?

- Zapewne tak - głos miała żywszy, nawet brzmiała w nim niecierpliwość. - Powiedzmy, że skarbiec calde. Nigdy nic takiego nie istniało, lecz rabusie powinni uwierzyć, że piwnice mego ojca były wypełnione złotem.

- W takim razie ktoś musi pójść do nich... Lecz nie byle kto, bo kijami zapędzą go pomiędzy pozostałych niewolników, prawda? Chodzi mi o to, czy w ogóle posłuchają, co ma do powiedzenia?

- Prawdopodobnie nie. Bardzo niewielu z nich zna spańol. Zanim zrozumieją człowieka

opowiadającego o skarbie, mogą być już w połowie drogi do domu. Co zrobimy?

Ruori znalazł rozwiązanie, ale nie chciało mu przejść przez gardło.

- Przykro mi - wymamrotał. - Mój pomysł jest kiepski. Wynośmy się stąd. Dziewczyna stanęła tak blisko niego, jakby znów mieli tańczyć.

- Wie pan, jak to zrobić - powiedziała pewnym głosem.

- Nie.

- Poznałam pana dobrze, w jedną noc. Jest pan marnym kłamcą. Proszę mi powiedzieć. Odwrócił wzrok.

- Kobieta - wykrztusił z trudem. - Bardzo piękna. Czyż nie zostałaaby zaprowadzona wprost do ich dowódcy?

Tresa odsunęła się na bok. Policzki z wolna jej pobiły.

- Tak - potwierdziła w końcu. - Chyba tak.

- Jednak - powiedział Ruori, czując się okropnie - ona może zginąć. Ci ludzie zabijają bez potrzeby. Nie mogę pozwolić nikomu, kogo oddano pod moją opiekę, na ryzykowanie życia.

- Pogański głupcze! - warknęła przez zaciśnięte wargi. - Czy uważa pan, że perspektywa śmierci w ogóle ma dla mnie znaczenie?

- A co jeszcze może się zdarzyć? - spytał zaskoczony. Po chwili skojarzył: - A tak, oczywiście, jeśli przegramy późniejszą bitwę, ta kobieta zostanie niewolnicą. Chociaż, jak przypuszczam, jeśli byłaby piękna, traktowano by ją całkiem nieźle.

- I tylko tyle panu... - Tresa zamilkła. Nigdy nie przypuszczał, że uśmiech może wyrażać czysty ból. - Oczywiście. Powinnam była zdawać sobie z tego sprawę. Pański lud myśli inaczej niż my.

- O czym pani mówi? - zapytał z wahaniem. Jeszcze przez chwilę stała z zaciśniętymi pięściami. Potem zaczęła mrużyć do siebie:

- Zabili mojego ojca; tak, widziałam go martwego w drzwiach. Po ich odejściu moje miasto będzie ruiną pełną trupów.

Uniosła głowę.

- Pójdę - oświadczyła.

- Pani? - złapał ją za ramię. - Nie, absolutnie nie pani!

- Czy mogę wysłać kogokolwiek innego? Jestem córką calde. Uwolniła się spod jego dłoni i spieszenie podeszła po pokładzie do schodni, potem do trapu.

- Potem, jeśli w ogóle będzie potem, pójdę do zakonu - dobiegły go jeszcze jej słowa.

Nie zrozumiał. Stał na pokładzie rufowym, patrząc za nią w ślad i brzydząc się samym sobą, aż zniknęła mu z oczu.

- Odbijamy! - powiedział wtedy i statek wypłynął w morze.

5

Meycanie walczyli zaciekle, ulica po ulicy, dom po domu, lecz w ciągu kilku godzin wszyscy ich żołnierze, którzy przeżyli, zostali zapędzeni na północno-wschodni kraniec S'Antón. Nie mieli o tym pojęcia, ale dowódca Ludzi Nieba mógł przyjrzeć się sytuacji z góry - do katedry przycumowano jeden ze sterowców ze spuszczoną drabinką sznurową, a bratni statek, obsadzony minimalną załogą, dostarczał doń informacje.

- Całkiem dobrze - uznał Loklann. - Do utrzymania ich w ryzach wystarczy czwarta część naszych sił. Nie sądzę, żeby się na nas zniecka rzucili. Tymczasem reszta może zrobić porządek. Nie dawajmy tym stworzeniom dużo czasu na ukrywanie się i chowanie sreber. Po południu, kiedy już odpoczniemy, będziemy mogli zrzucić spadochroniarzy na tyły żołnierzy,

zepchnąć ich ku naszym oddziałom i zniszczyć.

Wydał rozkaz lądowania „Buffalo”, żeby móc natychmiast załadować najcenniejsze łupy. Generalnie jego ludzie bywali zbyt brutalni - dobrzy chłopcy, ale skłonni do niszczenia w pośpiechu sukni, naczyń czy krzyży wysadzanych drogimi kamieniami, a czasami meykańskie przedmioty były zbyt piękne i cenne, by na to pozwalać.

Okręt flagowy zawisł trzysta metrów nad ziemią. Bardziej obniżyć się nie mógł, jako że stopień sprężenia wodoru uzyskany siłą ludzkich rąk napędzających pompy w zbiornikach z aluminium nie był wielki. W chłodniejszym, gęstszym powietrzu zawisłby jeszcze wyżej. Liny szybko opadły do sprawnie zorganizowanej załogi naziemnej. W rodzinnych stronach przed każdym siołem zainstalowano kabestany wyposażone w mechanizmy zapadkowe, umożliwiające czterem osobom - nawet kobietom - sprowadzenie statku na ziemię. Wszyscy nienawidzili awaryjnego wypuszczania gazu, ponieważ dozorczy z trudem zaspokajali popyt na niego, pomimo nowego ogniwa słonecznego dobudowanego do ich stacji hydroelektrycznej, słono sobie za niego licząc. (Tak twierdzili dozorczy, lecz może po prostu wykorzystywali swoją nietykalność, niezależność od wszelkich władców, by windować ceny w górę. Niektórzy dowódcy, w tym Loklann, zaczęli eksperymentować z produkcją wodoru na własną rękę, ale rozpracowanie sztuki, którą nawet dozorczy pojmwali jedynie połowicznie, wymagało bardzo dużo czasu).

Tutaj maszyny zastąpili silni ludzie. Wkrótce „Buffalo” został zamocowany na placu katedralnym, niemal całkowicie wypełniając jego przestrzeń. Loklann osobiście sprawdził wszystkie cumy. Zraniona noga bolała, lecz mógł chodzić. Bardziej denerwujące było prawe ramię, rwące z powodu szwów. Medyk ostrzegł, że powinien oszczędzać rękę, co oznaczało walkę lewą, jako że nigdy nikt nie mógł powiedzieć, że Loklann sunna Holber nie wziął udziału w bitwie.

Dotknął noża, który go zranił. Przynajmniej w zamian za swój ból zdobył porządne stalowe ostrze. No i... czyż właściciel nie oświadczył, że spotkają się ponownie, by ustalić, kto je zatrzyma? W takich słowach kryją się przepowiednie. Loklann pomyślał, że chętnie umożliwi Ruoriemu reinkarnację. - Szyper! Szyper! - usłyszał.

Rozejrzał się. Wołali go Yuw Czerwony Topór i Aalan sunna Rickar, ludzie z jego osady. Trzymali za ręce kobietę w czarno-srebrnej welwetowej sukni. Uzbrojony tłum zaczynał się skupiać wokół niej; niewybredne okrzyki przebijały się przez gwar.

- Co jest? - zapytał Loklann szorstko. Miał mnóstwo roboty.

- Ta dziewczka. Szprota, nie? Znaleźliśmy ją blisko nabrzeża.

- Dobra, wrzucie ją do świątyni razem z innymi, dopóki... - Loklann kiwnął się na piętach, spod zmrużonych powiek spoglądając w nieruchomo patrzące na niego zielone oczy. Niewątpliwie była bardzo urodziwa.

- Cały czas wykrzykiwała te same słowa: *Shef, rey, ombro grań!* W końcu zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie chodzi jej o szefa - powiedział Yuw. - Raz zawołała *khan!* Na pewno chce się spotkać z tobą. No tośmy jej sami nie użyli - dokończył niewinnym tonem.

- *Aba tu spañol?* - odezwała się dziewczyna. Loklann uśmiechnął się szeroko.

- Tak - odparł w tym samym języku, z silnym akcentem, lecz zrozumiale. - Na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż zwracasz się do mnie „waść”. Jej ładnie wykrojone usta zwały się w cienką linię.

- A oznacza to - ciągnął - że albo uważasz mnie za osobę niższego stanu... albo twojego Boga, albo ukochanego.

Zarumieniła się, odrzuciła głowę w tył. Słońce zabłysło w kruczoczarnych włosach.

- Niech pan kazać tym prostakom mnie puścić. Loklann rzucił rozkaz w ingliz. Yuw i Aalan odstąpili od dziewczyny. Na jej ramionach pozostały siniaki od ich chwyty. Loklann pogładził brodę.

- Chciałaś się ze mną widzieć?

- Jeśli to pan nimi dowodzi, tak - odparła. - Jestem córką calde, dońita Tresa Caraban - głos jej zadrżał na moment. - Nosi pan łańcuch mojego ojca, godło jego stanowiska. Wróciłam w imieniu mojego ludu, by zapytać o warunki.

- Co? - zdumiał się Loklann.

Ktoś w tłumie wojowników zaśmiał się głośno.

Błaganie o litość musi być sprzeczne z jej naturą, pomyślał.

- Weźcie pod uwagę straty, jakie poniesiecie, jeśli będziecie walczyć do końca - ciągnęła nadal ostrym tonem - oraz ryzyko sprowokowania odwetowego ataku na wasz kraj ojczysty. Czy nie lepiej uwolnić jeńców i przestać niszczyć? W zamian umożliwilibyśmy wam bezpieczny odwrót.

- Na Oktai! - mruknął Loklann. - Tylko kobieta mogłaby sobie wyobrazić, że my... - przerwał gwałtownie. - Powiedziałaś, że wróciłaś? Skinęła głową.

- W trosce o swój lud. Wiem, że z prawnego punktu widzenia nie mogę ustalać warunków, lecz w praktyce...

- Nie ma mowy! - warknął. - Skąd wróciłaś? Zawahała się.

- To nie ma nic do rzeczy...

Zbyt wiele oczu było wokół. Loklann wyryczał rozkaz rozpoczęcia systematycznego plądrowania.

- Wejdz na pokład statku - polecił dziewczynie. - Porozmawiamy jeszcze.

Zamknęła na moment oczy, poruszyła ustami. Potem spojrzała na niego - przypomniał sobie schwytaną kiedyś pumę.

- Tak. Mam więcej argumentów - powiedziała drewnianym głosem.

- Każda kobieta ma - zaśmiał się - ale ty lepsze niż inne.

- Nie to! - warknęła. - Miałam na myśli... nie. Mari, módl się za mnie. Poszła za nim, kiedy torował sobie drogę pomiędzy swoimi ludźmi. Przeszli pomiędzy zwiniętymi żaglami do drabiny, którą można było się dostać na galeryjkę. Luk prowadzący do dolnej części kadłuba był otwarty, ukazując ładownię i skórzane pęta dla niewolników. Kilku strażników stało na posterunkach na pokładzie galerii. Spod hełmów spływał im pot. Przerzucali się żartami; kiedy mijał ich Loklann prowadzący dziewczynę, wyrazili dobroduszną zazdrość. Otworzyli drzwi.

- Widziałaś kiedykolwiek jakiś nasz statek? - zapytał. Górna część gondoli mieściła długie pomieszczenie. Były tu tylko koje, na których układano śpiwory. Dalej mieściło się kilka kabin, rodzaj kambuza, a na końcu, niemal na samej rufie, pomieszczenie z mapami, stołami nakresowymi, przyrządami nawigacyjnymi i rurami głosowymi. Jego ściany były tak mocno pochylone na zewnątrz, że oszklone okna dawały znakomity widok, gdy statek znajdował się w górze. Na półce, obok sztuk różnej broni, siedział mały bożek o długich kłach i czterech rękach. Na podłodze leżał zwinięty materac.

- Mostek - oznajmił Loklann. - Również kabina kapitana.

Wskazał dziewczynie jedno z wiklinowych krzeseł przywiązanych do podłogi.

- Proszę usiąść, dońita. Czy podać coś do picia? Usiadła, lecz nie odpowiedziała. Złożyła

na podolek dlonie zaciśnięte w pięści. Loklann nalał sobie porcję whisky i od razu wychylił.

- Później przyniesiemy waszego wina dla ciebie. Jakaż szkoda, że nie znacie tu sztuki destylacji.

Uniosła ku niemu oczy pełne desperacji.

- Señor - powiedziała - błagam cię w imię Carito... raczej w imię pańskiej matki. Oszczędź moich ludzi!

- Moja matka dostałaby kolki ze śmiechu, słysząc coś takiego. Nie warto strzępić sobie języka. Uciekałaś, ale wróciłaś. Dokąd uciekałaś?

- Ja... Czy to ma znaczenie? Dobrze, pomyślał, zaczyna się łamać.

- Tak, ma. Wiem, że dziś o świcie byłaś w pałacu. Wiem, że uciekałaś z cudzoziemcami. Wiem, że ich statek odpłynął godzinę temu. Byłaś na nim, ale zesłałaś na ląd, prawda?

- Tak - zaczęła się trząść. Dolał sobie whisky.

- No dobrze, dońita, powiedz mi, z jaką kartą przetargową tu przyszedłaś. Nie mogłaś oczekiwać, że zrezygnujemy z najlepszej części łupu i wielu wartościowych niewolników w zamian za byle prawo bezpiecznego odwrotu. Wszystkie królestwa Nieba wyrzekłyby się nas. Musisz zaoferować więcej, jeśli chcesz nas przekupić.

- Nie... naprawdę nie...

Trzepnął ją otwartą dłonią w twarz. Skuliła się, dotykając czerwonego policzka.

- Nie mam czasu na gierki - warknął. - Powiedz mi! Powiedz mi natychmiast, jaka myśl pchnęła cię tu z powrotem z bezpiecznego miejsca, albo trafisz do ładowni. Kiedy handlarze znów przybędą do Canyon, osiągniesz świetną cenę. Wiele domów czeka na ciebie: chata drwała w Orgonie, jurta chana Mongów w Tekkasie, burdel daleko na wschodzie, aż w Chai Ka-Go. Powiedz mi teraz prawdę, wszystko, co wiesz, a będzie ci to zaoszczędzone.

Spuściła wzrok.

- Cudzoziemski statek wiezie złoto calde - powiedziała ochryple. - Mój ojciec od dawna chciał przenieść swój osobisty skarb w bezpieczniejsze miejsce, lecz nie ośmielił się zaryzykować lądowego transportu wozami przez cały kraj. Wciąż jeszcze wielu przestępców grasuje pomiędzy nami i Forlez d'S'Ernán. Tak pokaźna zdobycz mogłaby skusić samą wojskową eskortę do przejścia na stronę bezprawia. Kapitan Lohannaso zgodził się przewieźć złoto drogą morską do Port Wanawato, który leży blisko Fortlez. Można kapitanowi ufać, bo jego rządowi bardzo zależy na nawiązaniu z nami stosunków handlowych. Przybył tu z oficjalną wizytą. Skarb był już załadowany. Oczywiście kiedy napadliście nas, statek zabrał wszystkie kobiety z pałacu. Czy nie mógłby pan jednak ich oszczędzić? Na pokładzie cudzoziemskiego statku znajdzie pan skarb większy, niż cała wasza flota zdołałaby unieść.

- Na Oktai! - wyszeptał Loklann.

Zaczął chodzić po kajucie, w końcu zatrzymał się, wyglądając przez okno. Myślał intensywnie. Wszystko to miało sens. Zawartość pałacu ich rozczarowała. Och, tak, mnóstwo wyrobów z damasceńskiej stali, sreber i innych kosztowności, ale nic zbliżonego do skarbów z katedry. Albo bogactwo calde było mniejsze niż jego władza, albo ukrył swoje zasoby. Loklann zamierzał poddać torturom paru służących, żeby dowiedzieć się prawdy. Teraz zdał sobie sprawę z istnienia trzeciej możliwości.

Lepiej i tak przesłuchać paru więźniów, żeby się upewnić - nie, nie ma na to czasu. Przy sprzyjającym wietrze tamten statek mógł bez wysiłku prześcignąć każdy sterowiec. Już może być za późno na pościg. Ale jeśli nie, hm... Atak nie będzie łatwy. Ten wąski, kiwający się pokład to bardzo mały cel dla spadochroniarzy, a jeszcze przeszkoda w postaci takielunku...

Zaraz, odważni mężczyźni zawsze znajdą sposób. A gdyby tak zahaczyć za górne olinowanie? Jeśli pod takim obciążeniem takielunek się poszarpie, tym lepiej. Obciążona lina zapewni gładki zjazd na pokład. Jeśli jednak haki utrzymają, grupa abordażowa na pewno zdoła po linach przedostać się na szczyty masztów. Niewątpliwie żeglarze również byli sprawni, lecz czy kiedykolwiek refowali żagle sterowca w środku merykańskiej burzy, milę nad ziemią?

W miarę rozwoju bitwy trzeba będzie improwizować. W najgorszym razie sama próba będzie niezłą zabawą. A w najlepszym - za taki wyczyn w tym życiu może narodzić się ponownie jako zdobywca świata.

Roześmiał się głośno, radośnie.

- Zrobimy to! Tresa wstała.

- Oszczędzi pan miasto? - wyszeptwała chrapliwie.

- Nigdy nic takiego nie obiecywałem - odparł Loklann. - Oczywiście, ładunek ze statku zajmie miejsce większości łupów i ludzi, których byśmy normalnie zabrali. Jeżeli, hm, jeżeli nie pozelegujemy tym statkiem do Californi, by tam spotkać się z większą liczbą sterowców. Tak, czemu nie?

- Ty wiarołomco! - rzuciła z pogardą.

- Obiecałem jedynie, że cię nie sprzedam - rzekł Loklann. Zmierzył ją wzrokiem. - I nie zrobię tego.

Podszedł, przygarnął ją do siebie. Walczyła. Zdołała wyciągnąć zza jego pasa nóż Ruoriego, ale kaftan powstrzymał ostrze.

Potem płakała u jego stóp, na piersiach miała czerwone ślady od łańcucha jej ojca.

- Nie, nie sprzedam cię, Treso - powiedział łagodniej. - Zatrzymam cię dla siebie.

6

- Sterowiec ho-o-o!

Okrzyk człowieka na oku zawisł samotnie pomiędzy wiatrem i rozległymi wodami. W dole, pod głównym grotmasztem, zaroilo się od marynarzy biegnących na stanowiska.

Ruori popatrzył na wschód spod zmrużonych powiek. Pod cumulusami widniało błękitnawe pasmo cienistego, górzystego lądu. Odnalezienie wroga na rozległym nieboskłonie zajęło mu trochę czasu. W końcu słońce błysnęło na sterowcu. Ruori uniósł lornetkę. Dwie kolorowe orki leniwie płynęły w jego stronę, powoli schodząc w dół z pułapu mili. Westchnął.

- Tylko dwa - powiedział.

- To może być dla nas nawet za dużo - odezwał się Atel Hamid. Jego czoło pokrywały krople potu.

Ruori rzucił matowi ostre spojrzenie.

- Chyba się ich nie boisz? Są przesądni, to pewnie jedna z ich największych zalet.

- Och, nie boję się, kapitanie. Znam prawa wyporu równie dobrze jak pan. Lecz ci ludzie są twardzi. W dodatku tym razem nie spróbują wdrzeć się na nasz statek z nabrzeża, są w swoim żywiole.

- My też. - Ruori klepnął mata w ramię. - Przejmij dowodzenie. Tanaroa wie, o co chodzi, ale jeśli mnie podziurawią, decyduj sam.

- Wolałbym, żebyś mnie pozwolił iść - zaprotestował Atel. - Nie mam ochoty siedzieć tu bezpiecznie. Martwi mnie, co się może zdarzyć w górze.

- Na pewno nie będziesz bardziej bezpieczny, niż lubisz. - Ruori uśmiechnął się z przymusem. - A poza tym ktoś musi doprowadzić łajbę do domu i dostarczyć sprawozdania do

Geoetnicznego Zespołu Badawczego.

Zbiegł po drabinie na główny pokład i pośpieszył do grotwant. Załoga wznosiła okrzyki, błyskała broń. Napięte poszycie czekających dwóch wielkich latawców skrzynkowych, zacumowanych do pachołków, drgało w wietrze. Ruori żałował, że nie mieli dość czasu, by sporządzić ich więcej.

Jednak i tak zwłóczył dłużej, niż dyktował rozsądek. Najpierw wypłynął daleko w morze, a potem wolno halsował z powrotem, pozwalając, by wróg go szukał. Czynił przygotowania. (A raczej opracowywał całą akcję. Kiedy odesłał Tresę, jego plany były niewiele więcej niż przekonaniem, że może walczyć). Założywszy, że w ogóle zdoła ich zwabić w pogoń, ryzykował, że stracą cierpliwość i zawrócą w stronę lądu. Od dobrej godziny snuł się pod grotem, genuą i kilkoma sztakslami w nadziei, że Ludzie Nieba są na tyle ograniczeni, by nie nabrać podejrzeń na widok statku idącego pod tak skromnymi żaglami przy pięknej pogodzie.

Jednak się pojawili. Stanowiło to koniec obaw i wyrzutów sumienia z powodu losu pewnej dziewczyny. Wyspiarze rzadko doświadczali takich emocji, a spostrzeżenie, że koncentrują się na jednej osobie z milionów zamieszkujących ziemię, budziło grozę. Ruori wbiegł po wyblinkach na górę, jakby przed czymś uciekał.

Sterówce wciąż były wysoko, przelatowały nad nimi w górnym wietrze. Tu w dole bryza wiała wprost na południe. Statek powietrzny, niemal w ogóle niezdolny do żeglugi na wiatr, powinien obniżyć lot, kiedy znajdowali się dokładnie po jego zawietrznej. Pomimo to, ocenił Ruori, „Dolphin” mógłby uniknąć ich niezdarnego ataku.

Jednak nie zamierzał tego robić.

Takielunek był teraz gęsto obsadzony uzbrojonymi marynarzami. Ruori wciągnął się na dyby grotmasztu i usiadł, niedbale machając nogami. Podmuch wiatru przenosił nad nimi sterowiec, ogromny, zielono-biały.

- Jesteście gotowi? - spytał Ruori Hitiego.

- Aye.

Harpunnik skinął ogoloną głową. Do marsa, na którym przykucnął, przytroczona była okrętowa katapulta, naciągnięta i załadowana jednym z wielkich harpunów, których cios potrafił zabić kaszalota. Obok, na stojaku, leżało kilka następnych. Dwóch matów Hitiego i czterech pokładowych zamarło za nim, trzymając mniejsze harpuny - zwykle dwumetrowe drzewce - które miotano z łodzi ręcznie. Liny od wszystkich ostrzy biegingły w dół, do rufy.

- Aye, niech się zbliżą - okrągłą twarz Hitiego rozjaśnił uśmiech. - Nan zjada świat, ale kiedy wrócimy do domu, będzie to historia warta tańca!

- Jeśli wrócimy - poprawił go Ruori.

Dotknął toporka wciśniętego za przepaskę na biodrach. Ten ważny dzień niczym kurtyna przesłaniał obrazy z domu, gdzie grzywacze załamywały się w świetle księżyca, wielkie ogniska płonęły na plaży, tancerze byli pełni radości, a palmy rzucały cień dla znikających na uboczu par. Zastanawiał się, czy córka meyczańskiego calde mogłaby to polubić... jeśli nie poderżnięto jej gardła.

- Jesteś smutny, kapitanie - odezwał się Hiti.

- Ludzie będą umierać - odparł Ruori.

- I co z tego? Umrą z chęcią, jeśli będą musieli, dla pieśni, która zostanie o nich ułożona. Coś innego cię trapi, nie śmierć.

- Zostaw mnie!

Harpunnik zamilkł urażony. Wiatr szumiał, ocean lśnił.

Statki powietrzne podleciały bliżej. Zamierzały podejść każdy z innej burty. Ruori zsunął megafon z ramienia. Atel Hamid trzymał „Dolphina” w baksztagu.

Teraz Ruori widział wyszczerzonego w uśmiechu boga na dziobie sterowca podchodzącego ze sterburty. Przeleci tuż nad grotmasztem, nieco po nawietrznej... Z noków rej bez rozkazu posłano w jego stronę sporo strzał, co nie przyniosło żadnego efektu, lecz nikt nie był na tyle rozemocjonowany, by zmarnować nabój karabinowy. Hiti obrócił katapultę.

- Czekaj - polecił Ruori. - Zobaczmy, co oni zrobią.

Nad relingiem galeryjki sterowca pojawiły się głowy w hełmach. Na cienką barierę wszedł jeden człowiek, potem drugi i następny. Rzucili trójramienne kotwiczki na linach. Jedna z nich uderzyła w fokmaszt, odbiła się, trafiła w sztaksel... Wykonana ze skóry lina łącząca ją ze sterowcem napięła się, zaśpiewała, ale nie pękła. Żagiel rozdarł się, materiał zaczął strzelać na wietrze, uderzył marynarza w brzuch, zrzucił go z masztu... Mężczyzna pozbierał się na tyle, żeby wyprostować się i gładko wejść w wodę. Dzięki Lesu, że żył! Kotwiczka posunęła się dalej, zahaczyła o gafel grotzągla, drewno jęknęło... Statek dygotał, gdy naciągały się kolejne liny.

Pochylił się mocno. Żagle załopotwały. Przechył nie zagrażał wywrotką - jeszcze - lecz istniała groźba wyciągnięcia masztu z pokładu. I teraz piraci ruszyli. Przeskakiwali reling, pokrzykując jak chłopcy, zsuwali się do kotwiczek i łapali za części takielunku.

Jeden z nich jak małpa skoczył na gafel grota, poniżej dybów. Mat zaklął, cisnął w niego harpunem.

- Basta! - ryknął Hiti. - Te żelaza są nam potrzebne!

Zawietrzny sterowiec wciąż manewrował, usiłując ominąć swojego towarzysza, którego bryza powoli przesuwiała na bakburtę. Ruori podniósł megafon do ust.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - zagrzmiał potężnie dzięki wzmacniaczowi zasilanemu baterią słoneczną. - Spalić drugiego przeciwnika, nim zaczepi kotwiczki! Przeciąć liny łączące z pierwszym i zlikwidować wszystkich, którzy wdarli się na pokład!

- Strzelać? - zawołał Hiti. - Mam świetny cel.

- Aye!

Harpunnik zwolnił katapultę. Wystrzeliła z hukiem. Zębate ostrze przebiło nisko bok gondoli, przedarło się w głąb i zatrzymało po drugiej stronie w wewnętrznym poszyciu.

- Naciągać! - ryknął Hiti.

Jego goryle łapska już spoczywały na korbie. Dwóch ludzi jakoś znalazło dość miejsca, by mu pomóc.

Ruori ześliznął się po wancie biegnącej do wręgi i przeskoczył na gafel. Wylądował tu kolejny pirat, trzeci właśnie się zbliżał, za nim jeszcze dwóch. Balansował boso na rei równie dobrze jak marynarze, wyciągnął miecz. Ruori schylił się pod świszczącym ostrzem, złapał jedną ręką segars grotzągla i zawisł, uderzając toporkiem w linę kotwiczki. Pirat przykucnął i wykonał pchnięcie w jego stronę. Ruori pomyślał o Tresie, wałnął mężczyznę siekierką w twarz i zrzucił go na pokład. Ciął linę jeszcze raz. Skóra była mocna, ale toporek ostry. Lina poddała się i odpadła. Uwolniony gafel odchylił się gwałtownie, niemal wrywając segars z palców Ruoriego. Drugi Człowiek Nieba przewrócił się, spadł na dach kabiny, obryzgując krwią wszystko wokół. Mężczyźni wiszący jeszcze na linie ześliznęli się na jej koniec. Najniższy nie dał rady się zatrzymać, pochłonęło go morze. Pozostali roztrzaskali się, gdy wahając się na linie, uderzyli w maszt.

Ruori wciągnął się na gafel, usiadł na nim okrakiem, przez chwilę odpoczywał, z trudem

wciągając powietrze do palących płuc. Wokół niego trwał bitewny zamęt, na wantach, masztach i pokładzie. Drugi sterowiec się zbliżył.

Na rufie pęd powietrza wiejącego nad statkiem płynącym na wiatr uniósł latawiec skrzynekowy. Atel wyśpiewał komendę i sternik przełożył rumpel. Nawet mając zahaczone takie obciążenie, „Dolphin” pięknie zareagował; był zaprojektowany z głęboką znajomością hydrodynamiki. Nasączony tranem wielorybim latawiec przywarł do balonu na jakiś czas - wystarczająco długo, by doleciały do niego sunące po linie skrawki płonącego papieru. Buchnął płomieniem. Sterowiec odsunął się, latawiec odpadł, jego niewielki prochowy ładunek eksplodował bezużytecznie. Atel zaklął i wydał kolejne rozkazy. Drugi latawiec, już unoszący się w powietrzu i podpalony, uderzył w cel. Wybuchł.

Trysnął wodór. Gwałtowne płomienie ogarnęły sterowiec. W blasku słońca wydawały się bardzo blade. Kiedy zajęły się plastikowe przegrody pomiędzy komorami, pojawił się dym. Statek powietrzny opadł w wodę jak powolny meteor.

Jedyną rozsądną rzeczą, jaką mógł zrobić towarzyszący mu statek, było zwolnienie kotwiczek i porzucenie wciąż niemającej przewagi liczebnej grupy abordażowej. Jego kapitan nie mógł wiedzieć, że „Dolphin” dysponował jedynie dwoma latawcami. Mściwie wystrzelił kilka pocisków z katapult. Potem uwolnił się, szybko zostając za rufą. Statek Murai wrócił na równą stępkę.

Wróg mógł uciec lub zaplanować kolejny atak. Ruori nie zamierzał pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

- Pełny zwrot! - zawołał przez megafon. - Wprost na tego łajdaka! Natychmiast poprowadził atak z want na pokład, gdzie wciąż toczyła się walka.

Grupa Hitiego zahaczyła gondolę trzema potężnymi harpunami i kilkunastoma mniejszymi. Ich napinające się liny zwisały ze sterowca ku kabestanowi na dziobie. „Dolphin”, jak wszystkie statki Maurai, zdobywał w drodze żywność w morzu. Holował już wieloryby, w porównaniu z nimi sterowiec był jak piórko. Nie trzeba się było obawiać nadmiernego obciążenia. Najważniejszą rolę grała teraz szybkość, zanim piraci zorientują się w sytuacji i znajdą sposób na uwolnienie się.

Tohia, hioha, itoki, itoki! - rozbrzmiewała stara pieśń wioślarzy, gdy ludzie obiegali kabestan. Ruori zeskoczył na pokład, zobaczył człowieka z Canyon walczącego z marynarzem, miecz przeciwko pałce. Rozwalił mu głowę od tyłu, tak samo jak postąpiłby z każdym robactwem. (Wtedy, sam zdziwiony i zszokowany, zaczął się zastanawiać, co skłoniło go do myślenia w taki sposób o innej istocie ludzkiej). Bitwa skończyła się szybko. Ludzie Nieba znajdowali się w mniejszości. Jednak kilku ludzi Federacji Maurai zostało ciężko rannych. Ruori kazał kilku ocalałych piratów wrzucić do lazaretu, swoich rannych również skierował pod pokład, gdzie mieli otrzymać środki przeciwbólowe, antybiotyki i znaleźć się pod opieką dam. Potem szybko przygotował załogę do kolejnej fazy.

Sterowiec został już doholowany prawie do bukszprytu. Był tak mocno przechylony, że nie mógł użyć katapult. Piraci tłoczyli się na pokładzie galeryjki, wyli i potrzęsali bronią. Ruori rozpoznał jednego z nich - wysokiego złotowłosego mężczyznę, który walczył z nim przed pałacem. Było to dość niesamowite uczucie.

- Spalimy ich? - zapytał Atel. Ruori skrzywił się.

- Musimy - powiedział. - Spróbujcie nie podpalić samego statku. Jest nam potrzebny.

Przenośna dysza poruszała się w górę i w dół w rękach mocno zbudowanych wyspiarzy. Płomienie rzygały z ceramicznej końcówki. Dym, smród i wrzaski oraz widok, jaki odsłonił

się, gdy Ruori nakazał przerwanie ognia, wywołały atak mdłości nawet u najtwardszego weterana patroli przeciw-pirackich. Maurai nie byli sentymentalnym ludem, ale nie lubili sprawiać bólu.

- Gasić - wychrypiał Ruori.

Strumienie wody były swego rodzaju błogosławieństwem. Wiklina, która zaczęła się już palić, zgasła z sykiem, poczerniała.

Ze statku rzucono kotwiczki. Kilku chłopców okrętowych rzuciło się naprzód, żeby wyprzedzić marynarzy. Na galerii nikt nie stawiał oporu. Piraci stali w odrętwieniu, broń leżała u ich stóp. Stracili chęć do walki. W ślad za chłopcami przerzucono drabiny, załoga „Dolphina” wyroiła się na pokład sterowca i zaczęła zganiać więźniów.

Kilku Ludzi Nieba wyskoczyło zza drzwi z uniesioną bronią. Ruori zobaczył wśród nich wysokiego jasnowłosego mężczyznę, który wyciągnął jego własny sztylet i rzucił się na niego. Prawą rękę miał bezwładną.

- Canyon! Canyon! - rozległ się wojenny okrzyk. Ruori zrobił unik przed atakiem i wysunął stopę. Blondyn się potknął. Kiedy padał, dostał w nasadę szyi płazem toporka. Zwalił się na pokład.

- Chcę odebrać swój nóż. - Ruori przykucnął, rozwiązał pełen narzędzi pas rabusia. Zaczął pirata krępować.

Zamglone niebieskie oczy spojrzały na niego błagalnie.

- Nie zamierzasz mnie zabić? - zapytał więzień w spańol.

- Nie - odparł Ruori zaskoczony. - Po co miałbym to robić? Ostatni opór wygasł, sterowiec był zdobyty. Ruori otworzył przednie drzwi, sądząc, że odpowiednik mostka musi znajdować się za nimi.

Zamarł na dłuższą chwilę, nie słysząc nic oprócz wiatru i szumu własnej krwi.

Tresa podeszła do niego. Szła z wyciągniętymi przed siebie rękami jak ślepiec, jej oczy patrzyły przez niego na wskroś.

- Jest pan tu - powiedziała pustym, bezbarwnym głosem.

- Dońita - wymamrotał Ruori. Schwycił jej dłonie. - Dońita, gdybym wiedział, że jesteś na pokładzie, nigdy, nigdy bym nie zaryzykował...

- Dlaczego nie spalił pan nas i nie zatopił jak ten drugi statek? - zapytała. - Dlaczego ten musi wrócić do miasta?

Wyrwała mu się i wyszła na pokład. Był mocno pochylony i kiwał się pod jej krokami. Upadła, podniosła się, stąpając delikatnie jak bosa podeszła do relingu i zapatrzyła się w ocean. Jej włosy i podarta suknia powiewały w podmuchach wiatru.

7

Obsługa statku powietrznego wymagała nie lada umiejętności. Ruori wyczuwał, że trzydziestu ludzi, których sprowadził na pokład, żeglowało tak, że trudno byłoby gorzej. Doświadczony Człowiek Nieba po jednym spojrzeniu na wodę wiedziałby, jakiego oczekiwać prądu termicznego, wstępującego czy zstępującego; potrafiłby oszacować, na jakiej wysokości wieje korzystny wiatr, i gładko unieść lub opuścić statek; mógłby nawet sterować trochę na wiatr, choć posuwałby się naprzód bardzo powoli, wskutek dużego dryfu.

Niemniej godzinne badanie pozwoliło poznać podstawowe zasady. Ruori wrócił na mostek i wydał rozkazy przez tubę. Byli coraz bliżej lądu. Spojrzał w dół, na „Dolphina”, gdzie znajdował się ładunek i jeńcy, idącego pod zmniejszonymi żaglami. Razem z innymi świeżo upieczonymi aeronautami będzie musiał znosić mnóstwo żartów na temat ich ślimaczego lotu.

Nie uśmiechnął się na myśl o tym ani nie planował, jak będzie się odcinał, a uczyniłby tak jeszcze wczoraj. Tresa siedziała za nim nieruchomo niczym posąg.

- Czy zna pani nazwę tego statku, dońita? - zapytał, żeby przerwać milczenie.

- Nazywał go „Buffalo” - odparta nieobecny tonem, obojętnie.

- A co to jest?

- Rodzaj dzikiego bydła.

- Wnioskuje z tego, że rozmawiał z panią w trakcie poszukiwania mojego statku. Czy powiedział jeszcze coś istotnego?

- Opowiadał o swoich ludziach. Chwalił się rzeczami, których my nie mamy... silnikach, źródłach energii, stopach metali... jakby czyniło ich to czymś więcej niż bandą plugawców.

Przynajmniej w końcu okazała jakieś uczucia. Obawiał się, że zaczęła pragnąć, by jej serce się zatrzymało; lecz nie zauważył dotąd żadnych dowodów na stosowanie tego powszechnego u Maurai zwyczaju tutaj, w Meyco.

- Czy bardzo panią maltretował? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Pan nie uznałby tego za maltretowanie. Proszę pozostawić mnie samą, na miłość boską!

Usłyszał, jak oddala się od niego ku tylnym pomieszczeniom. No cóż, pomyślał, w końcu jej ojciec został zabity. To powód do smutku, zwłaszcza dla niej. Meycańskie dziecko było wychowywane wyłącznie przez rodziców; nie spędzało połowy czasu, jeżdżąc, śpiąc lub bawiąc się u kogoś z kuzynów, tak jak większość wyspiarskiej młodzieży. Tak więc tutaj najbliżsi krewni mają większe psychologiczne znaczenie. To wyjaśnienie Ruoriego zadowoliło.

Zobaczył miasto i statki wroga lśniące w górze. Trzy przeciw jednemu... tak, jeśli mu się uda, dzisiejszy dzień przejdzie do legendy wśród Ludzi Morza. Ruori wiedział, że powinien odczuwać taką samą lekkomyślną przyjemność jak człowiek uprawiający surfing, polujący na rekiny czy żeglujący na skrzydłach tajfunu, zajmujący się jakimkolwiek karkołomnym sportem, w którym sukces dawał sławę i przychyłność dziewczyn. Słyszał, jak jego ludzie skandują okrzyki, wybijają rytmy wojennych bębnow uderzeniami dłoni i stóp. Jego serce jednak było zimne jak Antarktyka.

Najbliższy wrogi statek ruszył. Ruori usiłował spotkać się z nim jak zawodowiec. Przebrał swoją załogę w zdobyczne mundury. Zdawkowe spojrzenie zakwalifikowałoby ich jako prawdziwych Canyonitów, uszczuplonych po ciężkiej walce o przechwycony statek Maurai płynący pod nimi.

Kiedy ludzie z północy sterowali ku niemu w leniwy sposób statków powietrznych, Ruori ujął tubę głosową.

- Czekać, aż podejdzie. Strzelać, gdy znajdą się burta w burzę.

- Aye, aye! - odpowiedział Hiti.

Minutę później kapitan usłyszał łomot katapulty. Przez bulaj zobaczył pocisk uderzający w sam środek wrogiej gondoli.

- Zwolnić linę - polecił. - Chcę dostać go latawcem, ale nie zamierzam przy tym spłonąć.

- Aye, bawiłem się już z włóczniekiem - śmiech pobrzmiwał w tonie Hitiego.

Przeciwnik usunął się gwałtownie. Kilka pocisków wyleciało z jego katapult, jeden trafił, ale przebicie pojedynczej komory gazowej nie miało większego znaczenia.

- Zwrot! - krzyknął Ruori.

Nie ma sensu wystawiać się bokiem na ich salwy burtowe. Obydwa statki zaczęły dryfować z łopoczącymi żaglami.

- Ostro na zawietrzną!

„Buffalo” stał się dryfkotwą zmuszającą przeciwnika do zwolnienia. Teraz przyszedł czas na latawiec przygotowany w drodze powrotnej. Tym razem przymocowano do niego haczyki na ryby. Przywarł solidnie do balonu Canyonitów.

- Luz! - krzyknął Ruori.

Ogień popędził wzdłuż liny latawca. W kilka minut płomienie ogarnęły wroga. Kilka spadochronów zostało zwianych do morza.

- Jeszcze dwa - powiedział Ruori, nie przyłączając się do triumfalnych okrzyków swoich ludzi.

Najeźdźcy nie byli głupi. Pozostałe sterowce zawróciły nad miasto, nie chcąc narażać się na płomienie z wody. Jeden opuścił się w dół, rzucił cumy i szybko został ściągnięty na plac. Ruori przez lornetkę widział uzbrojonych ludzi tłumnie wchodzących na jego pokład. Drugi, niewątpliwie obsadzony tylko patrolową załogą, manewrował w stronę zbliżającego się „Buffalo”.

- Ten chce nas zaatakować - ostrzegł Hiti - a tymczasem ten drugi, tam w dole, załaduje kilkuset żołnierzy i dobije z nimi do naszej burty.

- Wiem - odparł Ruori. - Wyświadczymy im przysługę. Sterował, jakby chciał zbliżyć się do sterowca patrolowego z minimalną załogą. Przeciwnik go nie unikał; jednak Ludzie Nieba byli odważni. Wrogi sterowiec usiłował jak najszybciej zahaczyć „Buffalo”. Znalazł się bardzo blisko.

- Płonące strzały - zarządził Ruori, żeby ich odstraszyć. Na pokładzie tłoki z twardego drewna wsunięto do niewielkich cylindrów, powodując zapłon umieszczonego na dnie łatwo palnego materiału; w ten sposób zapalały się nasączone olejem drzewce. Kiedy wróg znalazł się w zasięgu strzału, łucznicy „Buffalo” zaczęli posyłać w jego stronę czerwone komety.

Gdyby to nie zadziało, Ruori wykonałby zwrot. Nie chciał poświęcać więcej ludzi w walce wręcz; zamiast tego spróbowałby na serio spalić statek przeciwnika z dystansu, choć był mu potrzebny do realizacji planu. Jednak wpływ katastrofy sprzed chwili na morale był widoczny. Kiedy płonące strzały zastukały w gondolę, co było posunięciem taktycznym tak obosiecznym, że żadna załoga z północy nie była do niego przygotowana, Canyonici spanikowali i zaczęli wyskakiwać. Przepuszczalnie kiedy spływali w dół na spadochronach, kilku spostrzegło, że ani jedna strzała nie została skierowana w ich balon.

- Chwytać, szybko! - zaintonował Ruori. - Zgasić ogień! Kotwiczki poleciały do celu. Sterowce, kiwając się, zatrzymały się obok siebie. Ludzie przeskoczyli na sąsiednią galeryjkę, chlusnęła woda z wiader.

- Uwaga! - zawołał Ruori. - Połowa naszych na przyz. Sporządzić liny ratunkowe i przymocować je porządnie.

Odłożył tubę. Za nim zaskrzypiały drzwi. Odwrócił się w momencie, gdy Tresa wróciła na mostek. Wciąż była blada, lecz przyczesła włosy i trzymała głowę uniesioną wysoko.

- Jeszcze jeden! - powiedziała tonem niemal radosnym. - Pozostał tylko jeden!

- Ale ten będzie pełen ludzi - skrzywił się Ruori. - Żałuję, że ustąpiłem pani odmowie przejścia na pokład „Dolphina”. Tu jest zbyt niebezpiecznie.

- Sądzi pan, że mnie to obchodzi? - spytała. - Nazywam się Caraban.

- Ale mnie to obchodzi!

Przestała być wyniosła. Dotknęła jego dłoni, policzki się jej zaróżowiły.

- Proszę mi wybaczyć. Tak wiele pan dla nas zrobił. W żaden sposób nie będziemy w

stanie okazać panu naszej wdzięczności.

- Jest sposób - zaprzeczył Ruori.

- Proszę go zdradzić.

- Niech pani nie zatrzymuje swojego serca tylko dlatego, że zostało zranione.

Spojrzała na niego, w jej oczach zabłysło światło, jak brzask, W drzwiach wyjściowych pojawił się bosman.

- Wszystko gotowe, kapitanie. Wisimy równo na trzystu metrach, przy każdym zaworze tych dwóch gruchotów stoi człowiek.

- Czy każdy ma swoją linę ratunkową?

- Aye.

Bosman wyszedł.

- Pani będzie również jej potrzebować. Proszę za mną. Ruori wziął Tresę za rękę i wyprowadził ją na galeryjkę. Bryza muskała ich twarze, pokład pod nogami poruszał się jak żywe stworzenie.

- Nie będziemy ryzykować skoków ze spadochronem, nasi ludzie nie są przeszkoleni - wyjaśnił Ruori, pokazując wiele cienkich linek z magazynów „Dolphina” przywiązanych do relingu. - Pani nie ma jednak doświadczenia w zjeździe po takiej linie. Przygotuję uprząż, która będzie panią bezpiecznie podtrzymywać. Proszę spuszczać się w dół, przekładając dłonie. Kiedy dotrze pani do ziemi, proszę się odciąć.

Uciał nożem kilka kawałków liny i związał je z wprawą marynarza. Kiedy zakładał jej uprząż, zeszywniała.

- Ależ ja jestem pani przyjacielem - mruknął. Odprężyła się. Nawet uśmiechnęła się niepewnie. Dał jej swój nóż i wrócił na pokład.

Wrogi statek właśnie uniósł się z ziemi. Zbliżył się. Dwa statki Ruoriego nie próbowały uciekać. Promienie słońca błysnęły na ostrej stali. Ruori wiedział, że Canyonicy byli świadkami przegranej ich towarzysza i nie dadzą się pokonać tym samym podstępem. Nie wystrzelił płonących strzał.

- Otwierać zawory! - krzyknął, kiedy zaledwie kilka sążni dzieliło go od wroga.

Gaz z hukiem uleciał z obu balonów. Związane sterówce opadły.

- Strzelać! - rozkazał Ruori.

Hiti wycelował katapultę i posłał harpun z liną w dno atakującego statku.

- Podpalać i opuszczać pokład! Zapalono olej rozlany wcześniej ze słoików. Płomienie buchnęły wysoko.

Obciążony dwoma prawie opróżnionymi z gazu statkami, sterowiec Canyonitów zaczął opadać. Na wysokości stu pięćdziesięciu metrów wyrzucone liny ratunkowe dosięgły płaskich dachów, układały się na ulicach. Ruori zaczął zjeżdżać. Przypalił sobie dłonie.

Wcale nie zjeżdżał za szybko. Zahaczony sterowiec dopuścił sprężonego wodoru do balonu i wraz z obciążeniem uniósł się na trzysta metrów, by zapewnić sobie przestrzeń manewrową. Przypuszczalnie nikt jeszcze nie zauważył, że uwieszony pod nim ciężar stoi w ogniu. Na pewno zerwanie czy odcięcie harpunów Hitiego nie byłoby łatwe.

Ruori patrzył w górę. Podsycane wiatrem płomienie nie dawały dymu; utworzyło się małe, dzikie słońce. Nie oczekiwał, że ogień całkowicie zaskoczy nieprzyjaciół. Założył, że skoczą na spadochronach, a na ziemi Meyca - nie będą mogli zaatakować.

Żar dotarł do resztek gazu w opróżnionych balonach. Rozległ się dźwięk przypominający westchnienie. Górny statek zmienił się w latający stos. Wiatr zniósł go poza mury miasta.

Kilka figurek, małych jak mrówki, wyskoczyło. Spadochron jednej z nich płonął.

-*Sant'sima Mari!* - szepnęła Tresa i wtuliła się w ramiona Ruoriego.

8

Po zmroku w splądrowanym pałacu płonęły świece. Gwardziści stojący szpalerem w sali tronowej byli obdarci i zmęczeni. Nikt w S'Antón się jeszcze nie weselił. Zbyt wielu ludzi zginęło.

Ruori siedział na tronie calde, na podwyższeniu, po prawej ręce miał Tresę, po lewej Pawolo Dónoju. Dopóki nie wybrano nowej rady, oni musieli sprawować władzę. Don siedział sztywno, z obandażowaną głową; nie był w stanie utrzymać opadających, zbyt ciężkich powiek. Tresa spoglądała ogromnymi oczami spod kaptura otulającej ją peleryny. Ruori siedział swobodnie, nieco szczęśliwszy, ponieważ walka się skończyła.

Bitwa była straszna, nawet gdy podniesiona na duchu gwardia rzuciła się do ataku i zepchnęła ocalałych wrogów. Zbyt wielu Ludzi Nieba walczyło na śmierć i życie. Setki jeńców, pochodzących głównie z pierwszego sukcesu Mauri, były niebezpieczną zdobyczą; nikt nie miał pojęcia, co z nimi zrobić.

- Przynajmniej ich powstrzymaliśmy - powiedział Dónoju.

Ruori potrząsnął głową.

- Nie, seńor. Przykro mi, lecz patrzy pan zbyt krótkowzrocznie. Tam na północy są tysiące takich statków i silni, nienasytzeni ludzie. Przybędą tu znowu.

- Będziemy na nich czekać, kapitanie. Następnym razem będziemy przygotowani. Większy garnizon, balony zaporowe, pływające latawce, działa strzelające w górę, może nasza własna latająca flota... musimy się wiele nauczyć.

Tresa zadrżała.

- W końcu wypowiemy im wojnę. Nikt żywy nie pozostanie na wyżynach Corado.

- Nie - zaprotestował Ruori. - To niedopuszczalne.

Odwróciła gwałtownie głowę, wpatrywała się w niego spod kaptura.

- To prawda - odezwała się w końcu - że przykazano nam kochać nieprzyjaciół nasze, lecz nie dotyczy to Ludzi Nieba. To nie są istoty ludzkie!

- Proszę przyprowadzić szefa więźniów - polecił Ruori służącemu.

- Żeby wysłuchał naszego sądu nad nim? - zapytał Dónoju. - To powinno się odbyć formalnie, publicznie.

- Tylko żeby mógł z nami porozmawiać - odparł Ruori.

- Nie rozumiem pana - powiedziała Tresa. Głos jej się załamywał, nie potrafiła zawrzeć w nim całej zamierzonej pogardy. - Po tym wszystkim, co pan zrobił, nagle okazuje pan całkowity brak męskości.

Zastanawiał się, dlaczego bolą te wypowiedziane przez nią słowa. Gdyby pochodziły od kogoś innego, nic by go nie obeszły.

Loklann wszedł pomiędzy dwoma strażnikami. Miał związane z tyłu ręce, na twarzy zaschła krew, lecz szedł jak zdobywca pod szpalerem pik. Kiedy dotarł do podwyższenia, stał z szeroko rozstawionymi nogami i uśmiechał się do Tresy.

- Rozumiem - powiedział. - Uznałaś, że inni cię nie zadowolą, więc sprowadziłaś mnie z powrotem. Zerwała się na równe nogi.

- Zabijcie go! - wrzasnęła.

- Nie! - krzyknął Ruori.

Gwardziści zawahali się z maczetami w rękach. Ruori wstał i chwycił dziewczynę za

nadgarstki. Walczyła jak kocica.

- A więc nie zabijajmy go - zgodziła się w końcu, tak zduszonym głosem, że z trudem dawało się ją zrozumieć. - Nie teraz. Niech to odbędzie się powoli. Uduście go, spalcie żywcem, rzućcie na ostrza dzid...

Ruori trzymał dziewczynę mocno, aż zamilkła. Kiedy ją puścił, wybuchnęła płaczem.

- Trzeba wybrać odpowiednią karę - odezwał się Pawolo Dónoju głosem, w którym dźwięczała stal.

Loklann splunął na podłogę.

- Oczywiście - rzekł. - Kiedy macie związanego człowieka, od razu planujecie się z nim szpetnie zabawić.

- Milcz! - warknął Ruori. - Nie pomagasz ani sobie, ani mnie. Usiadł i zapatrzył się przed siebie, w mrok na końcu sali.

- Wiem, że cierpieliście z rąk tego człowieka - zaczął, starannie dobierając słowa. - Możecie oczekiwać w przyszłości dalszych cierpień z rąk jego pobratymców. Są młodą rasą, bezmyślną jak dzieci, tak samo jak nasi przodkowie, gdy nasze kultury były młode. Czy sądzicie, że Perio powstało bez bólu i krzywd? Czy uważacie, że ludzie Spañol zostali radośnie przyjęci przez Inios? Że Ingliss nie przynieśli rzezi na N'Zealann, a Maurai nie byli kiedyś kanibalami? W czasach bohaterów potrzebni są przeciwnicy.

Waszą prawdziwą bronią przeciwko Ludziom Nieba nie jest armia wysłana, by zgubić się w nieznanym górach... Wasi kapłani, handlarze, artyści, rzemieślnicy, maniery, moda, talent do nauki - to są środki, które właściwie użyte rzucą ich na kolana.

Loklann szarpnął się w więzach.

- Ty diable! - wyszeptał. - Czy naprawdę chcesz przerobić nas na... wiarę kobiet i więźniów miast? - Potrząsnął blond grzywą. - Nie! - krzyknął, aż echo poszło od ścian.

- To zajmie stulecie, może dwa - odparł Ruori. Don Pawolo uśmiechnął się nad swą skąpą bródką.

- Wyrafinowana zemsta, señor - przyznał.

- Zbyt wyrafinowana!

Tresa podniosła twarz, ukrytą do tej pory w dłoniach, zaczerpnęła haust powietrza, uniosła palce zakrzywione niczym szpony, jakby je chciała wbić Loklannowi w oczy.

- Nawet jeśli to się da przeprowadzić - warknęła - nawet gdyby mieli dusze, czego możemy chcieć od nich, od ich dzieci czy wnuków... od tych, którzy dziś mordowali nasze dzieci? Przed wszechmocnym Dio - jestem ostatnia z rodu Caraban i moi zwolennicy będą mówić w moim imieniu w całym Meyco - nigdy dla nich nie będzie innej przyszłości niż eksterminacja. Możemy to zrobić, przysięgam. Wielu Tekkan pomoże, dla łupów. Jeszcze dożyję chwili, ty świni, gdy twój dom spłonie, a na twoje bachory będzie się polować z psami.

Odwróciła się gwałtownie do Ruoriego.

- Jak inaczej nasza ziemia może stać się bezpieczna? Jesteśmy otoczeni wrogami. Nie mamy innego wyboru, jak tylko ich zniszczyć, bo inaczej oni zniszczą nas. A my jesteśmy ostatnią cywilizacją w Meryce.

Usiadła, dygocząc. Ruori wziął ją za rękę. Była lodowato zimna. Przez chwilę, nieświadomie, Tresa oddała uścisk, potem wyrwała dłoń.

Westchnął.

- Nie mogę się z tym zgodzić - powiedział. - Przykro mi, wiem, co czujecie.

- Nie wiesz - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

- Lecz poza wszystkim - ciągnął, siląc się na oschły ton - nie jestem tylko człowiekiem mającym ludzkie pragnienia. Reprezentuję mój rząd. Muszę powrócić z informacjami, co tu zastałem, i przewiduję ich reakcję.

Pomogą wam odeprzeć ataki. Takiego wsparcia nie możecie odrzucić, prawda? Ludzie, którzy będą odpowiedzialni za Meyco, nie odrzucą naszej propozycji przymierza jedynie po to, by zachować niepewną niezawisłość postępowania, i to niezależnie od protestów ekstremistów. Będziemy chcieli z waszej strony czegoś więcej niż tylko polityki dążącej do pojednania i nawiązania bliskich stosunków z Ludźmi Nieba, kiedy już zmęczą się bezowocnymi próbami przełamania naszej wspólnej obrony.

- Co?! - zdumiał się Loklann.

Jego głos rozbrzmiał w absolutnej ciszy. Spod hełmów błyskały białka oczu skierowanych wprost na Ruoriego.

- Zaczniemy od was - oświadczył Maurai. - We właściwym czasie, wraz ze swoimi ludźmi zostaniesz pod eskortą odwieziony do domu. Waszym okupem będzie wpuszczenie na wasze ziemie misji dyplomatycznych i handlowych.

- Nie! - zaprotestowała Tresa. Jej głos był pełen bólu. - Nie on. Wyślij z powrotem pozostałych, jeśli musisz, ale nie jego, żeby przechwalał się tym, co dzisiaj uczynił.

Loklann ponownie uśmiechnął się szeroko, patrząc wprost na nią.

- Będę się przechwalał.

Ruori poczuł gniew, lecz milczał.

- Nie pojmuję - z wahaniem odezwał się don Pawolo. - Dlaczego trzyma pan stronę tych łajdaków?

- Ponieważ są bardziej cywilizowani od was - wyjaśnił Ruori.

- Nie do wiary! - szlachcic zerwał się na równe nogi, sięgając po miecz. Sztywno usiadł z powrotem. - Proszę to wytłumaczyć, seńor - odezwał się lodowatym tonem.

Ruori nie widział twarzy Tresy ukrytej pod kapturem, lecz czuł, jak staje się dlań odległa bardziej niż gwiazdy.

- Wynaleźli statek powietrzny - powiedział. Był wyczerpany, w ogóle nie miał poczucia wygranej. O wielki stwórco Tanaroa, ześlij mi sen dziś w nocy!

- Ale...

- Dokonali tego, zaczynając od zera - wyjaśnił Ruori. - Nie jest to kopia starożytnej techniki. Będąc banitami, stworzyli rolnictwo zdolne do wysłania tysięcy wojowników z obszaru, który niegdyś był pustynią, a jednak najwyraźniej nie potrzebują mnóstwa peonów. Z przesłuchań dowiedziałem się, że znają ogniwa słoneczne, chemię organiczną, proch, metalurgię, aerodynamikę, mają hydroelektrownie, dobrze rozwiniętą nawigację, z czego wynika znajomość matematyki... Tak, ośmielam się twierdzić, że to skrzywiona kultura, cieniutka warstewka nauki na morzu analfabetów. Lecz na wet te ciemne masy muszą szanować technologię, inaczej nigdy by się nie rozwinęła do tego stopnia.

W skrócie - westchnął, zastanawiając się, czy potrafi sprawić, by Tresa to zrozumiała - Ludzie Nieba są rasą uprawiającą naukę. Jedyną, jaką Maurai do tej pory odkryli. I dlatego są zbyt cenni, by ich stracić.

Wy tutaj macie lepsze maniery, bardziej humanistyczne prawa, wspanialszą sztukę, szerszy światopogląd. Jednak brak wam nauki. Używacie powielanej wiedzy przekazanej przez przodków. Ponieważ nie ma już paliw kopalnych, opieracie się na pracy mięśni; w sposób

nieunikniony wynika z tego klasa peonów. Ponieważ wyczerpały się złoża żelaza i miedzi, zdobywacie te metale ze starych ruin. Na waszej ziemi nie widziałem śladów prób wykorzystania siły wiatru, światła słonecznego, rezerw energetycznych żywych komórek, nie wspominając już o teoretycznej możliwości przeprowadzenia reakcji termojądrowej bez inicjatora uranowego. Nawadniamie pustynię, co wymaga tysiąckroć większego wysiłku niż założenie farm morskich, a jednak nawet nie spróbowaliście udoskonalić waszych technik połowu. Nie wykorzystujecie aluminium, które wciąż jest w obfitości w zwykłej glinie, nie próbowaliście sporządzić z niego mocnych stopów. Nie, wasi farmerzy używają narzędzi z drewna i wulkanicznego szkła.

Och, nie jesteście głupi ani zabobonni. Brak wam jedynie umiejętności poszukiwania nowej wiedzy. Jesteście wspaniałymi ludźmi; wasz świat jest przyjazny; kocham was tak samo mocno, jak mocno brzydzę się tym diabłem stojącym przed wami. Lecz ostatecznie, przyjaciele, jeśli pozostawi się was samym sobie, z wdziękiem powrócicie do epoki kamiennej.

Poczuł się nieco lepiej. Podniósł głos.

- Droga, którą podążają Ludzie Nieba, to wyboisty szlak do gwiazd. Pod tym względem - a przy nim wszystkie pozostałe są nieważne - są bardziej podobni do nas, Maurai, niż wy. Nie możemy pozwolić zginąć naszym pobratymcom.

Usiadł, otoczony milczeniem, za całą odpowiedź mając uśmiezek Loklanna i nieruchome spojrzenie Dónoju.

- Czy to pańskie ostatnie słowo, seńor? - odezwała się w końcu z głębi cienia Tresa, bardzo cicho.

- Tak.

Odwrócił się ku niej. Kaptur zsunął się lekko, tak że jej twarz dosięgło światło świec. Widok zielonych oczu i rozchylonych warg przywrócił mu radość zwycięstwa.

Uśmiechnął się.

- Nie oczekuję, że od razu pani zrozumie. Czy będę mógł porozmawiać z panią o tym jeszcze, jak najczęściej się da? Kiedy zobaczy pani nasze Wyspy, co mam nadzieję nastąpi...

- Ty cudzoziemcze! - krzyknęła. Wymierzyła mu policzek i uciekła z sali.

Gordon R. Dickson {zm. 31.01.2001} znany jest przecie wszystkim ze swego ambitnego cyklu Childe, popularnie zwanego cyklem Dorsaj, traktującego o rasie międzygwiazdnych najemników (Dorsajów) kształtujących swój los na tle złożonej Historii Przyszłości, obfitującej w filozofię i kosmiczne wojny. Lecz w ciągu swej czterdziestoosmioletniej kariery pisarskiej Dickson sięgał po wszelkie możliwe gatunki science fiction, od slapstickowych komedii po głębokie studia psychologiczne; nie gardził też fantasy. Na cykl Childe składają się: kontrowersyjne Żołnierzu, nie pytaj (stanowiące w opinii wielu „odpowiedź” na Kawalerię Kosmosu Roberta A. Heinleina), Nekromanta, Taktyka błędu, Dorsaj!, Young Bleys i nowsze The Final Encyclopedia oraz The Chantry Guild; opowiadania zostały zebrane w tomie The Dorsai Companion {częściowo wydany po polsku pt. Zaginiony Dorsaj}. W 1965 roku zdobył nagrodę Hugo za krótką wersję Żołnierzu, nie pytaj, w 1966 Nebulę za Nazywaj go Panie i kolejne dwa Hugo w 1981 za Zaginionego Dorsaja i The Cloak and the Staff. Napisał też między innymi Arcturus Landing, None But Man, The Alien Way, Sleepwalker’s World, The Last Master, Hour of the Horde, Way of the Pilgrim, Wolf and Iron, Timestorm, Wolfling, The Pritcher Mass, The Space Swimmers oraz serię powieści fantasy Smok i Jerzy {po polsku dotąd osiem tomów} i The Earth Lords. Liczne opowiadania Dicksona zostały wydane w zbiorach In Iron Years, The Book of Gordon R. Dickson, Love Not Human, Beginnings, Ends, Invaders!, Mindspan, Foreward!, The Man from Earth, Steel Brother i innych {po polsku wydano Z krwi i kości. Święty smok i Jerzy}. Długi cykl napisanych wspólnie z Poulem Andersenem komicznych opowiadań z serii Hoka ukazał się w zbiorach Hoka! i Earthman’s Burden; istnieje także powieść z tego cyklu. Star Prince Charlie. Prezentowane tu opowiadanie zostało później rozbudowane w powieść Special Delivery, która ma też część drugą, Spacepaw. Choć w jego opowiadaniach nie brak szybkiej akcji, są one także zwykle doskonale przemyślane, czasem wręcz przejmująco poważne i prowokują do głębszych rozważań. Powraca w nich motyw zmian filozofii, etyki i struktur społecznych koniecznych do zapewnienia ludzkości przetrwania w rozwijającym się gwałtownie, złożonym środowisku przyszłości.

Czasem jednak (jak na przykład w cyklu Hoka) Dickson pisze po prostu dla zabawy. A wśród jego tekstów niewiele jest równie rozrywkowych opowiadań, jak zamieszczona tu zabawna historia (zauważmy jednak, że i w niej nie brak komentarzy na temat struktur społecznych i najskuteczniejszych metod zachowania niezbędnych do manipulowania otaczającą nas społecznością; po prostu zostały one potraktowane w nieco inny, lżejszy sposób), traktująca o przygodach pechowego Ziemianina, który musi poradzić sobie z potężnymi, rubasznymi, bezceremonialnymi, włochatymi, drażliwymi Dilbianami, nawet jeśli sukces musiałby opłacić własnym życiem - co niestety wydaje się nader prawdopodobne...

Gordon R. Dickson

CZŁOWIEK W TORBIE NA LISTY

Dostojny i czcigodny Joshua Guy, ambasador pełnomocny na Dilbii, palił fajkę. Gryzący tytoniowy dym sprawił, że John Tardy zakrztusił się gwałtownie i zaczął się dusić - albo przynajmniej takie odniósł wrażenie.

- Tak? - wyrzęził.

- Przepraszam - odparł Joshua i wytrząsnął zawartość fajki do popielniczki, gdzie tytoń spokojnie żarzył się dalej, dymiąc zaledwie odrobinę mniej zabójczo. - Sądziłem, że usłyszałeś za pierwszym razem. Mówiłem, że naturalnie, gdy tylko dowiedzieliśmy się, iż

przydzielono ci to zadanie, rozpuściliśmy pogłoski, że jesteś głęboko przywiązany do dziewczyny.

- Do... - John z trudem chwycił powietrze. Obaj rozmawiali po dilbiańsku, tak by mógł poćwiczyć język, którego znajomość wprowadzono pod hipnozą do jego umysłu podczas lotu z Pasa, toteż odruchowo posłużył się miejscowym przydomkiem zaginionej ziemskiej socjolożki: - Tłustej Twarzy?

- Panny Ty Lamorc - potwierdził Joshua, gładko przechodząc na basie i z powrotem na dilbiański. - Lub, jeśli wolisz. Tłustej Twarzy. A przy okazji, nie powinieneś traktować tych dilbiańskich imion dosłownie. Dwaj starsi dżentelmeni, których zaraz poznasz - Tata Drżące Kolana i Dwie Odpowiedzi - nie są tacy, jak można by oczekiwać. Drżące Kolana zyskał sobie to miano, bo kiedyś musiał dźwignąć pień drzewa. Po trzech kwadransach ktoś zauważył, że zaczynają drżeć mu nogi. A Dwie Odpowiedzi to wyraz szacunku dla Dilbianina, który potrafi znaleźć więcej niż jedno rozwiązanie problemu.

John Tardy miał ochotę spytać, skąd wziął się dilbiański przydomek Joshuy. Mały Gryz, uznał jednak, że lepiej będzie przejść na bezpieczniejszy teren.

- A ten Schlaff...?

- Heiner Schlaff - wtrącił Joshua Guy, marszcząc brwi - popełnił błąd.

Można by sądzić, że powinien wiedzieć, iż nie należy tracić głowy, kiedy podniesie go Dilbianin. Po pierwszym razie Heinie nie mógł nawet wyjść na ulicę: któryś z Dilbian zaraz łapał go i podnosił, by usłyszeć jego wrzaski. Nazwali go Piszczący Pyszczy; bardzo niedobrze dla stosunków ziemsko-dilbiańskich. - Spojrzał surowo na Johna. - Spodziewam się, że ty zachowasz się lepiej. - Zdawał się mierzyć wzrokiem masywne ciało Johna i jego rude włosy.

- Ależ tak - zapewnił go pośpiesznie John.

- Cztery lata temu zwyciężyłeś na olimpiadzie w dziesięcioboju, tak?

- Owszem - odparł John. - Lecz tak naprawdę chcę dołączyć do zespołu badawczego i polecieć na nowe planety. Jestem wykwalifikowanym biochemikiem i...

- Czytałem twoje akta. No cóż, spis się dobrze, a wtedy kto wie? - Joshua Guy wyjrzał przez okno na niskie, masywne drewniane budynki dilbiańskiego miasta Humrog, rysujące się ostro na tle miejscowych drzew iglastych i widocznych w dali górskich szczytów. - Ale tu liczy się twoja sprawność fizyczna. Rozumiesz, czemu musisz to zrobić sam?

- Mówili mi o tym na Ziemi. Ale gdyby mógł pan dodać coś jeszcze...

- Szefostwo nigdy nie docenia ważnych niuansów podobnych sytuacji - oznajmił niemal radośnie Joshua. - Krótko mówiąc, chcemy się zaprzyjaźnić z Dilbianami. Jak dotąd ze wszystkich ras, jakie napotkaliśmy, ta jest nam najbliższa inteligencją. Byliby z nich świetni partnerzy. Niestety, nie potrafimy wyrzucić na nich odpowiedniego wrażenia.

- Rozmiar? - spytał John Tardy.

- Cóż, owszem; rozmiar to chyba największa przeszkoda. Fakt, iż w porównaniu z nimi przypominamy pieski pokojowe. Ale dzielące nas różnice jeszcze wyraźniej uwidaczniają się w kulturze. Dilbian nie obchodzi mechaniczne sztuczki; dbają wyłącznie o własny honor i zdrowe życie na świeżym powietrzu. - Spojrzał na swego rozmówcę. - Oczywiście spytasz zaraz, czemu nie zorganizujemy pokazu siły.

- No... - zaczął John.

- Ale my nie chcemy z nimi walczyć. Pragniemy się zaprzyjaźnić. Pozwól, że posłużę się ziemskim przykładem. Ludzie od wieków oswajali małe dzikie zwierzęta. Natomiast te duże,

nieprzywykłe do ustępowania komukolwiek...

Piiiiiiiiip! - zadzwieczał zapowiadacz na biurku ambasadora.

- Już tu są. - Joshua Guy wstał. - Przejdźmy do sali przyjęć. I pamiętaj, że Rany-Ale-Ciało to córka Drżących Kolan. Właśnie fakt, że Nadrzeczny Postrach jej pragnął, spowodował całe to zamieszanie. To dlatego Postrach porwał Ty Lamorc.

John Tardy podążał za ambasadorem do sąsiedniego pomieszczenia. Mimo szkolenia pod hipnozą wciąż kręciło mu się w głowie od tych dziwacznych dilbiańskich imion - zwłaszcza Rany-Ale-Ciało, którego tłumaczenie na basie stanowiło zaledwie błady cień oryginału. Choć nie był szczególnie nieśmiały, z trudem przyszedłoby mu spojrzeć w oczy ojca i nazwać jego jedyną pociechę... w tym momencie wszedł do pokoju i z jego głowy natychmiast umknęły wszelkie myśli.

- No, jesteś. Mały Gryzie! - zagrzmiął większy z dwóch czekających na nich porośniętych czarnym futrem potworów. Liczył sobie dobre dwa i pół metra wzrostu. - To ten nowy? Dwie Odpowiedzi i ja przyszliśmy bezzwłocznie, żeby go poznać. Dość kolorowy na czubku, prawda?

John Tardy wzdrygnął się lekko, lecz Joshua Guy nawet nie mrugnął.

- Niektórzy z nas mają włosy o takiej barwie - odparł. - To jest John. Johnie, poznaj Drżące Kolana. A ten cichy to Dwie Odpowiedzi.

- Cichy! - ryknął milczący Dilbianin, wybuchając ogłuszającym śmiechem. - Ja, cichy! To dobre! - dodał radośnie.

John gapił się na niego. Mimo szkolenia nie mógł się pozbyć skojarzeń z dwoma olbrzymimi niedźwiedziami, które stanęły na tylnych nogach i przeszły na dietę. Dilbianie byli chudsi od niedźwiedzi - choć „chudość” to pojęcie względne, kiedy waży się ponad pół tony - i mieli dłuższe nogi. Ich nosy były bardziej płaskie, a dolne szczęki i brody przypominały raczej ludzkie niż zwierzęce. Porastające ich gęste czarne futro oraz niedźwiedziowaty język i zachowanie czyniły to porównanie czymś naturalnym, lecz pod względem biologicznym bliżsi byli istotom ludzkim.

- Nie uśmieiałem się tak od czasu, gdy stary Mokry Nos wpadł do kadzi z piwem! - prychnął Dwie Odpowiedzi, powoli odzyskując panowanie nad sobą. - W porządku, Czerwony Na Górze, co masz nam do powiedzenia? Sądzisz, że jedną ręką pokonasz Nadrzecznego Postracha?

- Jestem tu po to - odparł John - by uwolnić, eee, Tłustą Twarz, i...

- Nadrzeczny nie odda jej ot, tak sobie, prawda, Kolana? - Dwie Odpowiedzi żartobliwie szturchnął wielkim łokciem swego towarzysza.

- Nie ten chłopak! - Drżące Kolana potrząsnął głową. - Mały Gryzie, nie powinienem był dać ci się przekonać do rezygnacji z takiego zięcia. Twardy? Ostry? Podstępny? Idealny mąż dla mojej małej!

- Sugerowałem jedynie - odparł skromnie Joshua - aby nieco zaczekali. Rany-Ale-Ciało jest jeszcze dość młoda i...

- O rany, jakie ma ciało! - W głosie Drżących Kolan pobrzmiwała ciepła ojcowska duma. - Trudno przypuszczać, by znalazła sobie lepszego. - Spojrzał nagle na Joshuę. - Nie kryjesz chyba w tej sprawie czegoś w swoich łapach?

Joshua Guy ze zranioną miną szeroko rozłożył ręce.

- Czy ryzykowałbym życie jednego z moich ludzi? Może dwojga? A wszystko po to, aby rozwścieczyć Nadrzecznego Postracha i sprawić, by się zemścił, porywając Tłustą Twarz?

- Chyba nie - przyznał Drżące Kolana. - Ale wy, Krótcy, jesteście niezłymi spryciarzami. - W jego głosie pobrzmiwał szczery podziw.

- Dzięki. Wy także. A co do Postracha...

- Zmierza na zachód przez Góry Zimne - odparł Dwie Odpowiedzi. - Widziano go wczoraj pół dnia marszu stąd na północ, w stronę Kwaśnego Brodu i Dolin. Zapewne przenocował w gospodzie U Kruchych Skał.

- To dobrze - rzekł Joshua. - Będziemy musieli znaleźć przewodnika dla mojego przyjaciela.

- Przewodnika! Ha! - prychnął Drżące Kolana. - Zaraz przekonasz się, kogo dla ciebie mamy. - Przepchnął się obok Dwóch Odpowiedzi, otworzył drzwi i ryknął: - Bлагier! Chodź tutaj!

Po chwili przez drzwi przecisnął się kolejny Dilbianin, wyższy nawet od Drżących Kolan, ale szczuplejszy. Jego przybycie sprawiło, że w pokoju zrobiło się nader tłoczno.

- Proszę - oznajmił Drżące Kolana, machając z dumą łapą. - Czego więcej wam trzeba? Marsz za dnia, nocą wspinaczka, a rankiem świeży start po śniadaniu. Mały Gryzie, poznaj Bлагiera Ze Wzgórz.

- To ja! - zagrzmiął przybysz głosem, od którego zatrzęsły się ściany. - Ktoś na dwóch łapach miałby mnie prześcignąć? Nie na twardej ziemi ani na skałach! Gdy spojrzę na wzgórze, to wie, że przegrało, i rozpląszcza się pod moimi stopami!

- Doskonale - odparł cierpko Joshua. - Lecz skoro jesteś tak szybki, nie wiem, czy mój przyjaciel dotrzyma ci kroku.

- Dotrzyma kroku? Ha! - zarechotał Drżące Kolana. - Nie, Mały Gryzie, nie poznajesz Bлагiera? To listonosz. Wyślemy pocztą twojego niedorosłego przyjaciela do Postracha. To jedyny sposób. Będzie cię to kosztować pięć kilo gwoździ.

- Nikt nie zatrzymuje poczty - dodał Bлагier Ze Wzgórz.

- Hmm. - Joshua zerknął na Johna Tardy'ego. - Niezła propozycja. Problem w tym, jak zamierzasz go nieść?

- Kogo? Jego? - huknął Bлагier, przyglądając się Johnowi. - Poradzę z nim sobie jak z tygodniowym szczeniakiem. Owinę go w miękką słomę, wsadzę na samo dno torby i...

- Chwileczkę! - przerwał mu Joshua. - Tego się właśnie obawiałem. Jeśli masz go nieść, musisz to zrobić humanitarnie.

- Nie włożę tego! - ryczał z uporem Bлагier Ze Wzgórz dwie godziny później. Przyczyna jego wściekłego oporu, uprząż z pasków i poduszek, tworząca prostą torbę do noszenia na plecach, w której miał siedzieć John, leżała na wyłożonej skalnymi odłamkami głównej ulicy Humrog. Wokół zebrało się kilku dilbiańskich gapiów i ich basowe komentarze bynajmniej nie skłaniały listonosza do ugody.

- Słuchaj, smarkaczu! - Drżące Kolana także zaczynał się irytować; widać upór Bлагiera zalał mu za futro. - Mówi do ciebie kuzyn wuja twojej matki! Chcesz, żebym zwrócił się do pradziadów twojego klanu?

- No dobrze, dobrze - warknął Bлагier Ze Wzgórz. - Zapnijcie na mnie to ohydztwo.

- Tak już lepiej. - Drżące Kolana uspokajał się powoli. Tymczasem John Tardy i Joshua Guy nałożyli Bлагierowi uprząż. - Nie żebym cię nie rozumiał, ale...

- To nic takiego - odparł nadąsany Bлагier, eksperymentalnie poruszając obciążonymi ramionami.

- Przekonasz się - mruknął Joshua, zaciągając mocniej pasek - że łatwiej się to niesie niż

normalną torbę.

- Nie w tym rzecz - poskarżył się tamten. - Listonosz ma swoją godność. Nie może ot tak...
- Nagle rzucił się na złośliwie uśmiechniętego gapia. - Co cię tak śmieszy, co? Coś ci się nie podoba? Powiedz tylko...

- Ja się nim zajmę! - ryknął Drżące Kolana, tocząc się naprzód. - Coś nie tak, Pęknięty Nosie?

Obdarzony tym mianem Dilbianin czym prędzej przestał się śmiać, widząc, że do sprawy wmixzał się wódz całej wioski.

- Tylko tędy przechodziłem - mruknął ugodowo, cofając się gwałtownie.

- Przechodź zatem, przechodź! - zagrzmiał Drżące Kolana. Odpowiedziały mu głośne śmiechy. Pęknięty Nos oddalił się szybkim krokiem. Wyglądał, jakby paliły go włochate uszy.

John wykorzystał tę wymianę zdań i zajął miejsce w torbie. Bлагier Ze Wzgórz stęknął ze zdumienia i obejrzał się.

- Jesteś dość lekki - zauważył. - I jak? Wszystko tam w porządku?

- Chyba tak - odparł John, nie podejrzewając niczego.

- A zatem do zobaczenia! - ryknął Bлагier i bez najmniejszego ostrzeżenia odmaszerował ulicą w stronę Szlaku Północnego, Gór Zimnych i nieuchwytnego, lecz niebezpiecznego Nadrzecznego Postracha.

Gdyby nie szkolenie pod hipnozą, John Tardy nie zdołałby dostrzec w tym niespodziewanym i błyskawicznym rozpoczęciu podróży typowego dilbiańskiego podstępu. Zorientował się natychmiast, że Bлагier Ze Wzgórz, który na widok mającej unieść Johna uprząży stracił wszelką chęć do współpracy, próbuje chyłkiem wykręcić się z umowy. Otwarta odmowa poniesienia Ziemianina nie wchodziła w grę, gdyby jednak John oprotestował bezceremonialny wymarsz, Bлагier miałby wszelkie prawo - rzecz jasna wedle dilbiańskich standardów - unieść bezradnie ręce i zrezygnować z dostarczenia przesyłki, która upiera się narzucać mu własne warunki. Milczał zatem i trzymał się mocno.

Niemniej jednak czuł się dość niepewnie. Przed wyruszeniem w drogę zamierzał z pomocą Joshuy Guya opracować plan działania. Cóż, zawsze pozostawał jeszcze telefon naręczny. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zadzwoni do ambasadora.

Tymczasem z każdą chwilą przekonywał się, że Bлагier Ze Wzgórz nie przesadzał w swych przechwałkach dotyczących tempa marszu. W jednej chwili stali na głównej ulicy Humrog, w następnej - wędrowali górskim szlakiem. John Tardy podskakiwał i kołysał się w rytm kroków Bлагiera, smagały go zielone gałęzie podobnych do sosen drzew. Czuł się jak człowiek dosiadający słońca i nie miał czasu na abstrakcyjne rozważania. Z całej siły zaciskał dłonie na paskach, rozmyślając z goryczą o naturalnym talencie sportowym, który znów wpędził go w kłopoty. Wedle wszelkich reguł powinien już należeć do grupy badawczej na jednej z granic. Miał doskonale kwalifikacje, lecz z powodu zwycięstwa w dziesięcioboju...

Ponad godzinę pielęgnował w sobie wszystkie troski i zmartwienia, nagle jednak z transu wyrwał go głośny pomruk Bлагiera Ze Wzgórz. Listonosz zwolnił kroku. Zerkając przez jego ramię, John dostrzegł kolejnego Dilbianina, który wynurzył się właśnie z otaczającego ich lasu. Przybysz był jednym z bardziej kudłatych tubylców. W łapie trzymał olbrzymi topór o trójkątnym ostrzu, przez ramię przerzucił sobie od niechcienia miejscowego roślinożercę wielkości i kształtu wołu piźmowego.

- Witaj, drwalu - rzekł Bлагier Ze Wzgórz, przystając.

- Witaj, listonoszu. - Przybysz odsłonił w uśmiechu szczerbaty rząd zębów. - Masz dla

mnie jakąś pocztę?

- Dla ciebie? - prychnął Blagier Ze Wzgórz.

- Nic w tym śmiesznego. Mógłbym dostać jakąś pocztę - warknął tamten, spoglądając na Johna. - A zatem to jest Nedorostek Przesyłka.

- Ach tak? Kto ci powiedział?

- Królowa skalniaków, oto kto! - odparł tamten, unosząc prawy kącik górnej wargi i wywijając go; stanowiło to tutejszy odpowiednik porozumiewawczego mrugnięcia. John Tardy, przypomniawszy sobie, że skalniaki były dilbiańską wersją wrózek, elfów czy czegoś podobnego, spojrzął na drwala, by upewnić się, że tamten mówi poważnie. Uznał, że nie. Więc jak rozpoznał Johna?

Pamiętając, że dilbiańskie maniery są wykute z czystej stali, postanowił wtrącić się do rozmowy.

- Kim jesteś? - spytał ostro.

- A zatem on mówi! - Drwal uśmiechnął się szeroko. - Nazywają mnie Łzy Drzew, Nedorostku. Bo je zrabuję, rozumiesz?

- Kto ci o mnie powiedział?

- To by był donos. - Łzy Drzew wyszczerzył radośnie zęby. - Wiesz, czemu nazywają go Nadrzecznym Postrachem, Nedorostku? Bo lubi walczyć nad rzeką, wciągać przeciwnika do wody i go topić.

- Wiem - odparł krótko John.

- Czyżby? To musi być niezły widok. Cóż, dobrej drogi. Nedorostku, i ty, listonoszu. Ja ruszam do domu.

Odwrócił się i po sekundzie pochłoneły go przydrożne zarośla. Blagier Ze Wzgórz bez słowa podjął przerwana wędrówkę.

- To twój przyjaciel? - spytał John, pojmując po chwili, że tamten nie zamierza komentować owego spotkania.

- Przyjaciel? - parsknął gniewnie listonosz. - Jestem przecież funkcjonariuszem publicznym!

- Sądziłem tylko... - zaczął Ziemianin. - Dziwnie dużo wiedział.

- Ten włóczęga! Powiedział mu ktoś, kto idzie przed nami! - warknął Blagier.

Potem z nieznanых przyczyn zamilkł i nie odezwał się więcej przez najbliższe trzy godziny, kiedy to - z Humrog wyruszyli parę godzin po południu - w gasnącym blasku słońca dotarli do przydrożnej gospody U Kruchych Skał, gdzie mieli spędzić noc.

Gdy tylko John Tardy rozruszał zdrętwiałe nogi, przeszedł na skraj wąskiej skalnej półki, na której stała gospoda - Kruche Skały leżały w jedynym szerszym miejscu wąskiego górskiego jaru - i wywołał numer Joshuy Guya na telefonie naręcznym. Wyjaśnił, po co dzwoni. Jego słowa nie spotkały się jednak z przychylnym przyjęciem.

- Instrukcje? - dobiegł z głośniczka lekko zdumiony głos Joshuy. - Jakie instrukcje?

- Te, które miał mi pan przekazać. Przed moim dość niespodziewanym zniknięciem.

- Ależ ja nie mam ci absolutnie nic do powiedzenia. Przeszedłeś szkolenie hipnotyczne. Wszystko zależy od ciebie. Znajdź Postracha i uwolnij dziewczynę. Sam będziesz musiał wymyślić, jak to zrobić, mój drogi chłopcze.

- Ale... - John urwał, bezradnie wpatrując się w telefon.

- A zatem powodzenia. Zadzwoń do mnie jutro. Dzwon, kiedy chcesz.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Do widzenia.

- Do widzenia.

John Tardy wyłączył telefon i pogrążony w ponurych myślach wrócił do gospody. Za wielkimi drzwiami ujrzał obszerną salę jadalną, pełną stołów i ław. Bлагier Ze Wzgórz, ku wyraźnemu rozbawieniu innych gości, wyklócał się właśnie z ubraną w fartuch Dilbianką.

- Skąd do niewymownego mam wiedzieć, czym go nakarmić? - ryczał. - Daj mu mięsa i piwa, byle co!

- W odróżnieniu ode mnie nie widziałeś, jak dzieci przywlekają tu różne zwierzaki. Wystarczy nakarmić takiego czymś nieodpowiednim i zdycha, a potem malcy wypłakują sobie oczy.

- O mnie mowa? - wtrącił John Tardy.

- Och! - westchnęła Dilbianka, zerkając w dół i cofając się o pół kroku.

- On mówi!

- Przecież uprzedzałem! - huknął Bлагier. - Niedorostku, co wy jadacie? John pomacał wiszące u pasa czterocalowe tuby z koncentratem. Dilbiańskie jedzenie nie było dla niego trujące, ale też niezbyt pożywne, a niektóre owoce i warzywa mogły wywołać reakcję alergiczną. Potrzebował jedynie czegoś, by zapchać żołądek.

- Dajcie mi piwa - rzekł.

Po sali rozszedł się pełen aprobaty szmer. Najwyraźniej maluch nie był aż tak obcy, skoro lubił wypić. Dilbianka przyniosła mu drewniany kubek wielkości kosza na śmieci, pozbawiony uchwytów i cuchnący niczym najbrudniejsza zakazana speluna, browar spod ciemnej gwiazdy. John pociągnął ostrożny łyk i przytrzymał w ustach gorzki, kwaśny i zwietrzały płyn.

W końcu przełknął go jak mężczyzna. Zebrani głośno wyrazili uznanie, po czym natychmiast zajęli się własnymi sprawami. Bлагier Ze Wzgórz gdzieś zniknął.

John wdrapał się na najbliższą ławę i zajął koncentratami żywności. Kiedy skończył posiłek, pozostał na miejscu. Czekał tak prawie godzinę, lecz Bлагiera Ze Wzgórz wciąż nie było. W końcu, pchnięty nagłą myślą, zeskoczył na ziemię i ruszył do kuchni. Przecisnąwszy się przez skórzaną zasłonę, znalazł się w długim pomieszczeniu z kamiennym paleniskiem pośrodku i oprawioną zwierzyną wiszącą z belek powały. Kilkunastu Dilbian obojga płci wyklócało się głośno, jednocześnie krzątając się wokół i szykując posiłek. Wśród nich dostrzegł samice, która wcześniej przyniosła mu piwo.

Ruszył ku niej w chwili, gdy skierowała się z powrotem do sali, niosąc w objęciach pełne kubki piwa.

- Aaa! - krzyknęła (może zresztą był to jedynie dilbiański odpowiednik tego okrzyku), zatrzymując się tak gwałtownie, że rozlała trochę piwa. - Dobry Krótki - powiedziała przymilnie. Jej głos drżał lekko. - Dobry, grzeczny Krótki. Wracaj do środka.

- Czy Postrach naprawdę był tu wczoraj? - spytał John Tardy.

- Wpadł do nas po mięso i piwo, ale go nie widziałam. Szkoda mi czasu dla awanturników. A teraz sio! Uciekaj!

John uciekł.

Nie dotarł jednak do ławy, bo poczuł nagle, jak ktoś podnosi go z ziemi. Obejrzawszy się, ujrzał rosnącego Dilbianina z przewieszoną przez ramię sakwą. Osobnik ten zaniósł go do stołu, przy którym siedziało jeszcze trzech Dilbian, i upuścił na blat. John instynktownie zerwał się na nogi.

- Proszę - rzekł tamten. - Prawdziwy Krótki.

- Dajcie mu piwa - poradził samiec o twarzy przeciętej blizną. Posłuchali. John rozsądnie pociągnął łyk.

- Niewiele potrafi wypić - zauważył jeden z gości, oglądając odstawiony kubek, choć w istocie jak na człowieka był to naprawdę solidny łyk. - Ciekawe, czy...

- Nie. Nie przy takich rozmiarach - odparł ten z sakwą. - Ściga jednak samicę, Krótką. Myślicie, że...?

Blizna pożałował, że nie mają pod ręką rzeczonyj samicy. Jej obecność mogłaby im umożliwić przeprowadzenie ciekawego i pouczającego doświadczenia.

- Idź do diabła! - wybuchnął John w basicu. Następnie przetłumaczył to jak najlepiej umiał na dilbiański.

- Twardziel! - zauważył ten z sakwą i wszyscy wybuchnęli śmiechem. - Ale ze mną lepiej nie próbuj być twardy.

Wymierzył kilka żartobliwych ciosów w powietrze wokół rudej głowy Johna. Każdym mógłby strzaskać mu czaszkę. Czwórka przy stole znów ryknęła śmiechem.

- Ciekawe, czy zna jakieś sztuczki - rzekł Blizna.

- Jasne - odparł natychmiast John. Uniósł wciąż pełny kubek. - Patrzcie. Łapię go mocno, odchyłam się i... - Nagle okręcił się na pięcie i chlusnął piwem w ich pochylone twarze. Potem zeskoczył ze stołu i popędził slalomem między Dilbianami i stołowymi nogami ku wyjściu. Reszta gości, wyjąca ze śmiechu, nie próbowała nawet go zatrzymać. Wypadł na dwór, w nieprzeniknioną ciemność.

Wymacując drogę w mroku, obszedł gospodę i osunął się ciężko na połamaną baryłkę. Właśnie podjął decyzję, że zostanie tam, dopóki Blagier Ze Wzgórz sam go nie znajdzie, gdy drzwi kuchenne cichutko otwarły się i zamknęły.

John zsunął się z baryłki i ukrył głębiej w cieniu. Przez ułamek sekundy dostrzegł coś samym kątem oka - jakby dilbiańską samicę stojącą na progu. Wokół panowała cisza.

Zaczął się cofać - powoli, ostrożnie. Jedyne księżyc Dilbii nie był widoczny o tej porze roku na tej szerokości geograficznej; tylko słaba poświata gwiazd oświetlała drogę. Nagle John natrafił stopą na niewidoczną krawędź i zamarł, przypominając sobie urwisko i głęboki jar.

Do jego nozdrzy napłynął słaby zapach Dilbianina. Towarzyszył mu odgłos węszenia. Węch Dilbian nie był lepszy niż ludzki, lecz każdy z tych gatunków pachniał inaczej. Po części zależało to od diety, po części od fizjologii. Na woń, którą czuł John Tardy, składały się zapachy sosny i piżma.

Węszenie ustało. John wstrzymał oddech, czekając, by dźwięk powrócił. Czuł narastający ucisk w piersi; w końcu musiał wypuścić powietrze. Powoli obrócił głowę z boku na bok.

Cisza.

Słyszał tylko wewnętrzne skrzywienie napiętych mięśni szyi. Tam! Czy coś się ruszyło? Zaczął skradać się wzdłuż krawędzi urwiska.

Coś mignęło w mroku. W ciemności przed nim zmateriałizował się wielki, ciemny kształt. John uskoczył, poczuł, że ześlizguje się w przepaść, coś rąbnęło go w bok głowy z siłą walącej się ściany i runął w rozgwieżdżoną ciemność.

Otworzył oczy i ujrzał jasne światło.

Słońce, stojące tuż nad szczytami gór, świeciło mu prosto w oczy. Zamrugał i zaczął przekręcać się na bok, aby ukryć twarz w...

...i nagle, złany zimnym potem, rozpaczliwie chwycił się szorstkiego pnia karłowatego drzewka wyrastającego z pionowej ściany.

Przez sekundę półwisiał w powietrzu, patrząc w dół. Leżał na wąskiej półce; w dole ziała przepaść. Nie zastanawiał się, jak była głęboka. Wiedział, że wystarczy.

Obrócił się i zmierzył wzrokiem parumetrową odległość dzielącą go od półki, na której zbudowano gospodę. Niedaleko. Mógł się tam wspiąć. Po dłuższej chwili, z sercem w gardle, zrobił to.

Gdy znów znalazł się przed gospodą, w blasku porannego słońca ujrzał Blagiera Ze Wzgórz przemawiającego na jakimś spotkaniu. Czwórka Dilbian, którzy wczoraj nagabywali Johna, stała ze zwieszonymi głowami między dwoma topornikami, przed obliczem starszego samca zasiadającego dostojnie na ławie.

- ...pocztę! - grzmiał Blagier. - Poczta jest święta! Każdy, kto ośmieli się tknąć łapą przewożoną pocztę...

John, potykając się, wystąpił naprzód, kładąc kres toczącej się rozprawie. Później, kiedy przemył już lekką ranę głowy i pożywił się koncentratami, popitymi zwietrzałym piwem, wdrapał się na plecy Blagiera i znów ruszyli w drogę. Ich nowy szlak wiódł z Kruchych Skał przez góry do Kwaśnego Brodu i Dolin, które, jak dowiedział się John, były krainą klanu Postracha. Liczyli na to, że dościgną go, nim tam dotrze. Szlak wiódł przez rozkołysane wiszące mosty i wąskie, wycięte w skale ścieżki. Blagier Ze Wzgórz pokonywał je wszystkie z łatwością kogoś, kto przywykł do podobnych tras - więcej, z roztargnieniem typowym dla głębokiego zamyślenia.

- Hej! - zagadnął w końcu John.

- Hej? Co? - mruknął Blagier Ze Wzgórz, gwałtownie wracając do rzeczywistości.

- Powiedz mi coś. - John zaczął gorączkowo szukać tematu, jakim mógłby ożywić swego nosiciela. - Czemu nazwaliście ambasadora Małym Gryzem?

- Nie wiesz?! - wykrzyknął Blagier. - Sądziłem, że wy, Krótcy, wszyscy o tym słyszeliście. To przez Krzywego Palucha z Humrog. Listonosz się zaśmiał.

- Upił się i zaczął utyskiwać na Krótkich. „Niech wrócą dobre stare czasy”, gadał, aż w końcu wyruszył przykładnie załatwić Małego Gryza... tylko że wtedy nazywaliśmy go Pierwszym Krótkim. Pchnął drzwi, ale Mały Gryz zabezpieczył je tak, że otwierały się tylko odrobinę. Krzywy Paluch wsadza tam łapę, bo więcej nie wejdzie, i zaczyna macać w środku, wrzeszcząc: „No, Krótki! Nie uciekniesz! Zaraz cię złapię”, i wtedy Mały Gryz łapie coś ostrego i kaleczy mu knykcie. Stary Krzywy Paluch z rykiem wrywa rękę. Drzwi zatrząskują się za nim: łup!

Blagier Ze Wzgórz zachichotał do siebie.

- Potem stary Krzywy Paluch wraca do miasta, oblizując knykcie. „Co się stało?”, pytają wszyscy. „Nic”, odpowiada. „Coś musiało się stać - spójrz na swoją łapę”, mówią wszyscy. „Powiedziałem, nic się nie stało!”, wrzeszczy Krzywy Paluch. „Nie chciał mnie wpuścić, więc sobie poszedłem. A co do łapy, to nic takiego. Nawet mnie nie zranił. Po prostu ugryzł. Taki mały gryz”.

Śmiech Blagiera Ze Wzgórz odbił się grzmiącym echem od skalnych ścian.

- Starego Krzywego Palucha wciąż przesładuje ta historia. Od tamtego czasu zawsze, gdy wybiera się, by komuś dołożyć, wszyscy wołają za nim: „Uważaj, Krzywy Paluchu, bo zarobisz małego gryza!”.

John Tardy też się śmiał. Może sprawił to czas i miejsce, może sama opowieść, ale ujrzał

całą tę scenę oczami duszy i go rozbawiła.

- Wiesz - rzucił Bлагier przez włochate ramię, gdy John przestał się śmiać - nie jesteś taki zły jak na Krótkiego.

Umilkł. Przez moment zdawał się toczyć wewnętrzną walkę, po czym zatrzymał się i usiadł w miejscu, gdzie szlak nieco się rozszerzał.

- Zsiadaj - polecił. - Chodź tu, żebym mógł z tobą pomówić. John posłuchał. Stał przed siedzącym Dilbianinem; ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Za wielką, porośniętą czarnym futrem czaszką dostrzegł kilka białych obłoczków płynących po niebie.

- Wiesz - zaczął Bлагier - kubek Nadrzecznego Postracha został wywrócony.

- Wywrócony? - powtórzył John. Nagle przypomniał sobie, że jest to dilbiańskie określenie oznaczające utratę honoru. - Przeze mnie? Nawet mnie nie widział.

- Przez Małego Gryza - wyjaśnił Bлагier. - Ale Mały Gryz jest gościem w Humrog i Kraju Północnym. Postrach nie mógł wyzwać go osobiście za to, że Mały Gryz namówił Drżące Kolana, by nie oddawał Postrachowi Rany-Ale-Ciała. Musiał jednak coś zrobić i dlatego porwał Tłustą Twarz.

- Ach tak.

- Jeśli więc chcesz odzyskać Tłustą, musisz walczyć z Postrachem.

- Walczyć? - wykrztusił John.

- Każdy ma swoją dumę - oznajmił listonosz. - Dlatego właśnie nie mogę cię przejrzeć. Jak na Krótkiego nie jesteś wcale taki zły. Masz jaja. Na przykład wczoraj z tymi pijakami. Ale chcesz walczyć z Postrachem? O rany! - w głosie Bлагiera zabrzmiał głęboki podziw.

John odkrył, że w duchu całkowicie zgadza się z listonoszem.

- Co zatem zrobisz, kiedy spotkasz Nadrzecznego? - spytał Bлагier.

- Cóż - odparł niepewnie John. - Sam niezupełnie wiem...

- No ale to już nie mój problem. Wsiadaj. A przy okazji, wiesz, kto próbował zrzucić cię w przepaść?

John ruszył ku włochatym plecóm.

- Kto?

- Królowa skalniaków. Rany-Ale-Ciało - przetłumaczył Bлагier, gdy John spojrzał na niego tępo. - Usłyszała o tobie i jakoś zdołała nas wyprzedzić. - Głos Bлагiera Ze Wzgórz opadł. - Jeśli zamierzają wyczyniać sztuki z pocztą...

John nie słuchał. Miał własne sprawy na głowie i w tej chwili wyraźnie czuł ich ciężar. Kołysząc się na szczycie olbrzymich pleców, z gniewnym grymasem rozważał całą sytuację. W szefostwie nie mówiono, że będzie musiał walczyć z potwornym zawiadaczem z obcej rasy - gigantycznym Billym Kidem, który mógł się już poszczycić kilkoma ofiarami. Joshua Guy nie wspominał o tym ani słowem. Co się tu działo, jak rany?

Lekceważąc przepisy bezpieczeństwa, zalecające „dyskretne” korzystanie ze sprzętu, John uniósł do ust przegub, na którym nosił telefon.

- Josh... - zaczął i nagle umilkł. Po plecach spłynęła mu lodowata strużka potu.

Telefon zniknął.

Przez resztę poranka i sporą część popołudnia mógł do woli zastanawiać się nad tym niespodziewanym rozwojem sytuacji. I rozmyślałby jeszcze długo, gdyby nie nagła przerwa w podróży.

W ciągu dnia pokonali kilka pajęczych wiszących mostów. Teraz dotarli do kolejnego, wyraźnie dłuższego niż inne. Gdyby tylko na tym polegała różnica, John mógłby bez trudu

nadal zмагаć się z myślami. Ale ten most był inny.

Ktoś ustawił go tak, by nie mogli przejść.

Kotwy podtrzymujące most wbijały się w skałę jakieś siedem, osiem metrów akurat nad ich głowami. Wystarczyło jedynie z drugiej strony napiąć dwie główne liny. Most wyprostował się i jego koniec uniósł się w powietrze, poza ich zasięg.

Blagier Ze Wzgórz wyrzucił z siebie serię przekleństw. Z kołowrotu po drugiej stronie ani stojącej obok niego małej chaty nie dobiegła żadna odpowiedź.

- Co się stało? - spytał John.

- Nie wiem - odparł jego towarzysz i zastanowił się chwilę. - Nie powinien być podniesiony. Chyba że nocą, kiedy ktoś mógłby się przekraść, nie płacąc myta.

Wyciągnął ręce, lecz jego palce nie sięgnęły liny.

- Podnieś mnie - zaproponował John.

Spróbowali, lecz nawet trzymany za kostki i uniesiony na całą długość wyciągniętych rąk Blagiera nic nie działał. Został jedynie nagrodzony oszałamiającym widokiem płynącej w dole Rzeki Kamiennej.

- Przejście przez Przełęcz Lawin zabierze nam pięć dni - warknął Blagier, stawiając Johna na ziemi.

John podszedł do skalnej ściany i obejrzał ją uważnie. To, co odkrył, nie zachwyciło go, choć może powinno. Nadawała się do wspinaczki. Czując, jak serce podchodzi mu do gardła, zaczął się wdrapywać.

- Hej! Dokąd to? - huknął Blagier Ze Wzgórz.

John nie odpowiedział. Musiał oszczędzać oddech, a zresztą jego cel był oczywisty. Sama wspinaczka nie była taka trudna dla kogoś, kto dysponował pewnym doświadczeniem, kiedy jednak objął rękami szorstką sześciocalową linę, poczuł się dość nieprzyjemnie. Wdrapywał się dalej, póki nie dotarł na szczyt, a potem, trzymając się liny rękami i nogami, zaczął pełznąć jak robak w stronę końca mostu, wznoszącego się przed nim w pustce i - zwłaszcza z tej perspektywy - sporym oddaleniu.

Gdy wolno pokonał już jedną trzecią drogi, przyszło mu do głowy, iż prawdziwy bohater na jego miejscu podciągnąłby się i przebiegł lekko po napiętej linie. Nie tylko wywarłoby stosowne wrażenie na Blagierze, ale i niewątpliwie skróciłby znacznie pełne napięcia oczekiwanie. Rozważył to, uznał, że lepiej być konserwatystą, i pełznął dalej.

W końcu dotarł do mostu, wczołgał się na niego i chwilę leżał bez ruchu, dysząc ciężko. Potem wstał i ruszył na drugi brzeg. Tam ciężkim kamieniem utracił blokujący kołowrót skobel i most z hukiem opadł na miejsce, wzbijając chmurę kurzu.

Wkrótce z chmury tej wynurzył się Blagier Ze Wzgórz, maszerujący ku niemu z ponurą, zaciętą miną. Bez słowa minął Johna i wszedł do chaty - z której natychmiast dobiegły ogłuszające trzaski, łomoty i ryki.

John Tardy rozejrzał się w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Nigdy jeszcze nie widział walczących Dilbian, lecz nietrudno było odgadnąć, co dzieje się w środku.

Wciąż się rozglądał, gdy hałas ucichł i z chaty wynurzył się Blagier Ze Wzgórz, ocierający krew z rozdartego ucha.

- Stary frajer - warknął. - Dotarła do niego pierwsza.

- Kto?

- Rany-Ale-Ciało. No, wsiadaj, Niedorostku. A przy okazji, to było niezłe.

- Niezłe? Co?

- Wspinaczka na most. Wymagała odwagi. Ruszajmy. John usadowił się w torbie i zamyślił głęboko.

- Nie zabiłeś go? - spytał, gdy znów podjęli przerwany marsz.

- Kogo? Starego Korby? Nie, wbiłem mu tylko trochę rozumu do głowy. Ktoś przecież musi opuszczać most. Trzymaj się. Stąd droga prowadzi cały czas w dół. Nim dotrzemy do brodu, zacznie zmierzchać.

Istotnie, gdy zatrzymali się przy Kwaśnym Brodzie, zapadał już zmrok. John Tardy, który tymczasem zapadł w drzemkę, ocknął się gwałtownie i usiadł w torbie, mrugając oczami.

W gasnącym blasku dnia ujrzał przed sobą wielką trawiastą polanę otoczoną półkolem drzew. Wprost przed nimi wznosił się długi niski budynek. Za nim płynęła wartka rzeka, której dalszy brzeg krył się w leśnym mroku i wieczornych cieniach.

- Zsiadaj - polecił Bлагier.

John Tardy zsunął się sztywno z jego grzbietu, tupnął kilka razy, by przywrócić krążenie w nogach, i ruszył za masywną postacią Bлагiera przez osłonięte wiszącymi skórami drzwi do oświetlonego blaskiem lamp wnętrza.

Znaleźli się w wielkiej sali, podobnej do tej w gospodzie U Kruchych Skał - lecz czystszej, przewiewniejszej i pełnej znacznie spokojniejszych i mniej pijanych podróżnych. Szukając wytłumaczenia tej dziwnej różnicy, John zaczął rozglądać się wokół i dostrzegł prawdziwie ogromnego Dilbianina, posiwiąłego ze starości i ciężkiego od tłuszczu, istnego patriarchę.

John i Bлагier znaleźli wolny stół i zamówili posiłek. Gdy tylko skończyli jeść, listonosz poprowadził swego towarzysza do patriarchy.

- Sam Jeden - powiedział z szacunkiem Bлагier - oto Niedorostek Przesyłka.

John Tardy zamrugał. Z bliska Sam Jeden okazał się jeszcze bardziej imponujący. Jego olbrzymie cielsko wylewało się z rzeźbionego fotela. Siwiejące futro na czubku głowy muskało laskę z wypolerowanego drewna, wiszącą na kołkach wbitych w ścianę dwa metry nad podłogą. Jego masywne przedramiona i wielkie, przypominające łapy dłonie spoczywały na stole niczym ciężkie maczugi z kości i mięśni. Lecz twarz miał pogodną jak święty.

- Usiądź - zagrzmiął głosem niskim niczym grzmot wielkiego bębna huczącego w głębi lasu. - Chciałem zobaczyć Krótkiego. Jesteś moim gościem, Niedorostku, jak długo zechcesz. Czy ktoś ci o mnie opowiadał?

- Przepraszam, ale... - zaczął John.

- Nieważne. - Olbrzymia głowa skłoniła się lekko. - Nazywają mnie Sam Jeden, Niedorostku, bo kiedyś samotnie - byłem sierotą - stoczyłem walkę na śmierć i życie z całym klanem. I zwyciężyłem. - Spojrzał spokojnie na Johna. - Można to nazwać niewykonalnym zadaniem.

- Kilku doścignęło go kiedyś na szlaku - wtrącił Bлагier Ze Wzgórz. - Zabił wszystkich trzech.

- To było wykonalne - mruknął Sam Jeden. Wciąż nie spuszczał wzroku z Johna. - Powiedz mi, Niedorostku, co wy. Krótcy, w ogóle tu robicie?

- No cóż... - John zamrugał. - Ja szukam Tłustej Twarzy...

- Chodzi mi o was wszystkich - przerwał mu Sam Jeden. - Musicie mieć jakiś plan. W końcu nikt was tu nie prosił.

John zaczął wyjaśniać. Nie szło mu zbyt dobrze, dilbiańskie słownictwo nie nadawało się raczej do opisu cywilizacji technicznej.

Gdy skończył, Sam Jeden przytaknął:

- Rozumiem. Czemu zatem uważasz, że powinniśmy polubić was, Krótkich?

- Powinniście? - powtórzył John w całkowicie instynktownej reakcji. Nie na darmo miał rude włosy. - Niczego nie powinniście. Wszystko zależy od was.

Sam Jeden przytaknął.

- Podajcie mi kij - polecił.

Jeden z Dilbian zdjął z kołków laskę. Sam Jeden położył ją na stole - młody pniak gruby na dziesięć centymetrów - i zacisnął na niej pięści w odległości dwóch metrów od siebie.

- Nikt nie potrafi tego dokonać oprócz mnie - oznajmił. Nie podnosząc łap ze stołu, obrócił je na zewnątrz. Kij zgiął się pośrodku jak łuk, po czym trzasnął.

- Weź to na pamiątkę - powiedział Sam Jeden, wręczając Johnowi kawałki. - Dobranoc.

Zamknął oczy i oparł się wygodnie. Wyglądał, jakby zapadł w drzemkę. Bлагier klepnął Johna w ramię i wyprowadził go do wspólnej sypialni.

John nie mógł zasnąć. Wszechogarniające znużenie zniknęło, zastąpione gorączkową energią. W podnieconym umyśle raz po raz powracała rozmowa z Samym Jednym, natrętna niczym uparta mucha.

O co chodziło w tej wymianie zdań i łamaniu kija?

Usiadł gwałtownie, starając się zachowywać jak najciszej. Obok niego Bлагier spał jak kamień na stosie miękkich gałęzi. Podobnie inni goście. Wysoko w górze świeciła samotna lampa zwisająca z belki powały. W jej świetle John wyjął i obejrzał uważnie kawałki złamanego kija. Tuż obok miejsca złamania dostrzegł niewielkie zgrubienie, może sęk. Drobnostka, ale...

Zmarszczył brwi. Zewsząd otaczały go tajemnice. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był pewien, że Sam Jeden próbował przekazać mu jakąś wiadomość. Ale jaką? I skoro już o tym mowa, jak dokładnie wyglądały sprawy między ludźmi i Dilbianami? Co miała wspólnego jego misja udzielenia pomocy Tłustej Twarzy z zadaniem przekonania niechętnych Dilbian do nawiązania współpracy? Jeśli, jak twierdził Joshua Guy, rzeczywiście o to chodziło.

John zeskoczył ze stosu gałęzi. Uznał, że Sam Jeden winien mu jest jeszcze kilka - jaśniejszych - odpowiedzi. Przeszedł cicho przez sypialnię i po chwili znalazł się w sali jadalnej.

Pozostało w niej niewielu Dilbian - większość zdążyła się już położyć. Nie dostrzegł też Samego Jednego. Wiedział, że nie było go w sypialni, więc albo miał osobny pokój, albo z jakiegoś powodu opuścił gospodę.

John Tardy wyszedł na dwór. Przystanął, pozwalając, by wzrok przyzwyczał się do ciemności, i oddalił się od budynku, od oświetlonych okien. Powoli otaczająca go ciemność nabrała kształtów. Szeroka wstęga rzeki połyskiwała ciemnym srebrem w słabym blasku gwiazd. Polanę skrywał mrok.

John wolno okrążył gospodę. Na tyłach było pusto. Grunt łagodnym zboczem opadał ku rzece. Wokół stały mniejsze chaty i toalety. Między nimi ciemność była głębsza.

Poruszając się po omacku, cicho, lecz mimo wszystko czyniąc odrobinę nieuniknionego hałasu, ujrzał nagle wąskie ostrze żółtego światła padające spomiędzy dwóch skórzanych zasłon w oknie pobliskiej chaty. Szybko zbliżył się ku niemu, chcąc zajrzeć do środka, nagle jednak z głębokiego cienia wzdłuż ściany wynurzyła się ręka i chwyciła go za ramię.

- Chcesz dać się zabić? - syknął czyjś głos.

Oczywiście był to głos ludzki i oczywiście przemawiał w basicu.

Ktokolwiek złapał Johna, wciągnął go głębiej w cień z dala od budynku. Wkrótce dotarli do innej chaty, której drzwi stały lekko uchylone, ukazując pogrążone w absolutnej ciemności wnętrze. Po sekundzie John znalazł się w owej ciemności. Ręka wypuściła jego ramię. Drzwi zamknęły się cicho. Rozległ się zgrzyt, syk i mrok rozjarzył oślepiający płomień łojowej lampy.

John gwałtownie zmrużył oczy. Gdy znów odzyskał wzrok, odkrył, że spogląda w twarz jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie zdarzyło mu się oglądać.

Była niższa od niego o dobrych piętnaście centymetrów, lecz na pierwszy rzut oka zdawała się wyższa dzięki swej szczupłej figurze w obcisłym kombinezonie. Johnowi, po dwóch dniach spędzonych w towarzystwie Dilbian, wydała się drobniutka, wręcz krucha. Jej kasztanowe włosy, odgarnięte z czoła, szerokimi pasmami okalały twarz. Oczy, nad wyraźnymi kośćmi policzkowymi, nadającymi twarzy arystokratyczny wyraz, były zielone. Nos miała wąski, usta twarde raczej niż pełne; drobny podbródek unosił się z determinacją.

John zamrugał.

- Kim..

- Jestem Ty Lamorc - szepnęła ostro. - Zniż głos.

- Ty Lamorc?

- Tak, tak - odparła niecierpliwie.

- Je-jesteś pewna? - wyjąkał John. - To znaczy...

- A kogo spodziewałaś się tu znaleźć? A, rozumiem! - zmierzyła go gniewnym wzrokiem. - Chodzi o ten przydomek, który nadali mi Dilbianie, Tłusta Twarz. Oczekiwałaś paskudnej wiedzy!

- Ależ bynajmniej - odparł wyniośle John.

- Dla twojej informacji, zobaczyli kiedyś przypadkiem, jak robię makijaż. Stąd to imię.

- Naturalnie. Nie sądziłem, że mógł istnieć inny powód.

- Założę się. Zresztą to teraz nieważne. Co ty tu robisz? Chcesz oberwać po głowie?

- Od kogo miałbym oberwać...? - John Tardy zeszywniał. - Postrach tu jest!

- Nie on - odparła niecierpliwym tonem. - Rany-Ale-Ciało.

- Ach tak! - John zmarszczył brwi. - Wiesz, nadal nie rozumiem; to znaczy, o co jej chodzi?

- Oczywiście go kocha - wyjaśniła Ty Lamorc. - Wedle standardów dilbiańskich stanowią idealną parę. Lepiej wracaj do gospody, zanim cię znajdzie. Tam za tobą nie wejdzie. Jesteś gościem.

- Chwileczkę. - John odetchnął głęboko. - Przybyłem tu, by cię znaleźć. I znalazłem. Wracajmy natychmiast. Nie do Humrog...

- Przestań - przerwała mu gwałtownie Ty. - Absolutnie nie rozumiesz tych ludzi, Nidorostku... to znaczy Tardy.

- Johnie.

- Johnie. Nie pojmujesz sytuacji. Nadrzeczny Postrach zostawił mnie tu z Rany-Ale-Ciało, bo spowalniał jego marsz. Ten twój Bлагier Ze Wzgórz jest dla niego za szybki i Postrach chciał się upewnić, że zanim go dościgniecie, znajdzie się na ziemi swojego klanu. W razie gdyby... - jej głos załamał się lekko - po waszym spotkaniu miały go dotknąć jakieś reperkusje. Tu chodzi o honor, w tym cała rzecz. Jesteś tylko przesyłką, John. Nie rozumiesz? W grę wchodzi także honor Bлагiera Ze Wzgórz.

- Aha. - John zamilkł na chwilę. - Chcesz powiedzieć, że będzie się upierał, by mnie

dostarczyć?

- A jak sądzisz?

- Rozumiem. - John znów umilkł. - Do diabła z tym - rzekł wreszcie. - Może zdołamy przejść przez most, przeciąć liny i uciec im wszystkim. Nie mogę cię tu zostawić.

Ty Lamorc nie odpowiedziała od razu. Gdy w końcu to zrobiła, najpierw poklepała go po ramieniu.

- Jesteś miły. Zapamiętam to. A teraz wracaj do gospody.

Zdmuchnęła lampę i usłyszał oddalające się kroki.

Następnego ranka Samego Jednego wciąż nigdzie nie było. Podobnie, w ciągu pół godziny przed wyruszeniem w drogę, rzecz się miała z Ty i dilbiańską samicą, która mogła być Rany-Ale-Ciało. Rozmyślając o wydarzeniach ostatniej nocy, John usiadł w torbie na listy Bлагiera Ze Wzgórz, i nadal o nich myśląc, rozpoczął trzeci dzień wędrówki.

Szlak wiódł wśród malowniczych wzgórz. Ziemia wokół łagodnie wznosiła się i opadała. John dostrzegł też kilka nowych gatunków drzew, lecz nie miał czasu podziwiać otoczenia. Chłodne godziny poranka i upalne południa upłynęły mu na poszukiwaniach rozwiązania zagadek - tajemnicy Samego Jednego, porwania Ty Lamorc i jego własnego braku instrukcji.

- Powiedz mi - rzekł w końcu, zwracając się do Bлагiera - czy rzeczywiście żaden inny Dilbianin nie potrafi złamać kija tak, jak to robi Sam Jeden?

- Nikt tego nie umie - odparł Bлагier. Okrążyli małe wzgórze i znaleźli się w wąskim paśmie lasu. -I nikt już nie będzie umiał.

- Wiesz - zagadnął John - tam, skąd pochodzę, znamy sztuczkę z czymś, co nazywamy książką telefoniczną... - Urwał, albowiem Bлагier Ze Wzgórz zatrzymał się gwałtownie. John omal nie wypadł z torby. Wyjrzał nad ramieniem Dilbianina i zamarł.

Wyszli z lasu w małą dolinę. Wzdłuż strumienia stało chaotyczne skupisko brązowych budynków z okorowanymi pniami. Za domami znajdował się naturalny amfiteatr - koliste zagłębienie w skalnej ścianie doliny. Wychodząca pomiędzy budynków ścieżka mijała go i na nowo znikła wśród drzew.

Jednakże Johna szybko przestał interesować krajobraz. Przyjrzał się żywej zaporze, złożonej z pięciu roślących Dilbian z toporami.

- Kogo niby próbujecie zatrzymać? - ryknął Bлагier Ze Wzgórz.

- Klan z Dolin odbywa naradę - odparł środkowy topornik. - Pradziadowie chcą rozmawiać z wami oboma. Chodźcie z nami.

Otoczyli Bлагiera i Johna, i poprowadzili ich przez wieś do amfiteatru, w którym roiło się od Dilbian w najróżniejszym wieku. Było ich tu kilkuset i wciąż przybywali nowi. Wszyscy stali pod skalną półką, na której zasiadało sześciu starców.

- To poczta! - zagrzemiał Bлагier Ze Wzgórz. - Posłuchajcie, wy z Klanu z Dolin...

- Milcz, listonoszu! - warknął stary Dilbianin siedzący po prawej stronie, dokładnie naprzeciwko przybyszów. - Twój honor nie dozna uszczerbku. Rozpocznijmy naradę.

- O Pradziadowie Klanu z Dolin, rozstrzygający w sprawie honorowej - zaintonował młody Dilbianin stojący tuż pod półką. Powtórzył te słowa sześciokrotnie.

Wśród tłumu wybuchło zamieszanie. Obejrzawszy się, John dostrzegł Ty Lamorc. Towarzyszyła jej pulchna młoda samica, najprawdopodobniej Rany-Ale-Ciało. Obecnie zajmowała się popychaniem Ty w stronę półki. Dotarłszy na miejsce, natychmiast zaczęła mówić.

- Jestem Rany-Ale-Ciało - oznajmiła.

- Znamy cię - odparł Pradziad po prawej.
- Przemawiam w imieniu Nadrzecznego Postracha, który czeka w Dolinie Stawu na Krótkiego zwanego Niedorostkiem Przesyłką. To ten Krótki tutaj. Wywrócono mu kubek - to znaczy Postrachowi. Ten Krótki należy do niego. Samiec. Nie żeby towarzysząca mi samica także do niego nie należała. Zabrał ją sobie uczciwie i należało im się. Nikt przecież nie dorównuje honorem Postrachowi...

- Wystarczy - oznajmił sędzia. - My podejmiemy decyzję.
- Nie myślałam, że w ogóle będziecie musieli zwoływać naradę. Ostatecznie to zupełnie jasne, że...

- Powiedziałem: wystarczy. Milcz, samico! - ryknął sędzia z drugiego końca.
- I co? - wtrącił z rozdrażnieniem jeden z jego towarzyszy. - Wysłuchaliśmy argumentów. Krótcy są tutaj. Co jeszcze trzeba rzec?

- Mogę coś powiedzieć? - zagrzmiął nowy głos i tłum rozstał się, przepuszczając Samego Jednego. Pradziadowie wyraźnie się rozpromienili, jak zwykle wielcy ludzie w towarzystwie równych sobie.

- Sam Jeden zawsze może zabrać głos - odezwał się starzec, który dotąd milczał i którego głos z wiekiem wzniósł się niemal do poziomu ludzkiego barytonu.

- Dziękuję - odparł Sam Jeden. Uniósł głowę, jednocześnie podnosząc głos, który z łatwością dosięgnął uszu nawet najdalszych słuchaczy. - Zastanówcie się nad tym. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Zastanówcie się głęboko, bo być może, dzisiejsza decyzja Klanu z Dolin stanie się prawem dla wszystkich, zarówno dla nas, jak i dla Krótkich.

Gestem pozdrowił sędziów i zniknął w tłumie.

- Dziękujemy, Sam Jeden - odparł sędzia z prawej. - A teraz, skoro wysłuchaliśmy opinii wszystkich ważnych osób, które chciały coś powiedzieć, oto nasza decyzja. To sprawa dotycząca honoru Nadrzecznego Postracha...

- A co ze mną?! - ryknął Blagier Ze Wzgórz. - Poczta musi...

- Zamknij paszczę z tą pocztą - warknął sędzia. - Jak już mówiłem, gość w Humrog wywrócił kubek Postracha. Naturalnie zatem Postrach wywrócił kubek gościa, porywając jedną z członkiń jego gospodarstwa. Jak dotąd dysputa ta nie dotyczy Klanu z Dolin. Teraz jednak zjawia się tu Krótki, który chce walczyć z Postrachem o porwaną samicę. Pytanie brzmi: Czy honor Klanu z Dolin pozwoli na to Postrachowi?

Na moment zawiesił głos, jakby chciał, by jego słowa dotarły do wszystkich zebranych.

- Abyśmy mogli pozwolić na to z honorem - ciągnął - wspomniana walka także musi być honorowa. Powstaje zatem pytanie: Czy honor jest możliwy pomiędzy człowiekiem a Krótkim? My, Pradziadowie, obradowaliśmy całą noc, szukając odpowiedzi. Aby ją poznać, musimy zadać sobie pytanie: Czym jest Krótki? Czy jest tak jak my istotą zdolną odczuwać honor i cierpieć z powodu jego utraty?

Znów urwał. Tłum pomrukiem wyraził zainteresowanie.

- Zawiała sprawa - oznajmił rzecznik. W jego głosie brzmiała duma. - Ale wasi Pradziadowie znaleźli odpowiedź. Tym razem tłum zaszemrał z podziwem.

- Czym jest honor? - spytał retorycznie mówca. - Honor to kwestia praw; praw naruszonych i praw chronionych. Czy Krótcy wśród nas mają jakieś prawa? Jedynie prawa gości. Pomijając prawa gości, czy możemy wyobrazić sobie Krótkiego broniącego swych praw w naszym świecie?

Wśród tłumu rozległy się śmiechki, z każdą chwilą ogarniające kolejne szeregi słuchaczy,

którzy wyobrazili sobie podobną scenę.

- Cisza! - warknął inny z sędziów. - To nie jest publiczna dyskusja! Zebrani zamilkli.

- Wasz popis złych manier - oznajmił surowo sędzia z prawej - wskazuje, że doszliście do tego samego wniosku co my, dyskutując wszystko należycie. Śmieszną jest rzeczą sądzić, by Krótki mógł istnieć jako honorowy mieszkaniec naszego świata. W związku z tym nie dotyczą ich reguły honorowe. Oboje Krótcy zostaną zwrócenii goście w Humrog. Postrach nie utracił honoru. Sprawa jest zamknięta.

Wstał. Podobnie pozostała piątka Pradziadów.

- Zamykam naradę - oznajmił.

- Jeszcze nie! - huknął Bлагier Ze Wzgórz. Rzucił się naprzód na skraj skalnej ławy, ciągnąc Johna Tardy'ego za kołnierz.

- Co wy wiecie o Krótkich? - ryknął. - Widziałem tego tu w działaniu. Gdy grupka pijaków w gospodzie U Kruchych Skał próbowała zmusić go do wykonywania sztuczek jak tresowane zwierzę, przechytrzył wszystkich i uciekł. Czyż nie bronił wtedy swego honoru? Most nad Kamiennym Jarem był podniesiony. Krótki zaryzykował życie i wspiał się, by go opuścić, bo chciał jak najszybciej dorwać w swe łapy Postracha. Czyż to nie gotowość obrony swoich praw? Twierdzę, że ten Krótki dorównuje każdemu z nas. Może nie jest większy niż dwuletnie dziecko - ryknął Bлагier Ze Wzgórz - ale przyszedłem tu, by wam powiedzieć, że jest twardy i ma jaja!

Odwrócił się do Johna.

- Co powiesz, Krótki? Chcesz, by oddali ci Tłustą Twarz niczym resztki ze stołu?

Długie rozmyślenia Johna przyniosły wreszcie owoce. W połączeniu z tym, co oglądał właśnie na spotkaniu klanu, potrafiły w nim z dawna poszukiwaną strunę.

- Pokażcie mi tego tchórzliwego Postracha!!! - wrzasnął. Zaledwie słowa te uleciały z jego ust, poczuł, jak ktoś go chwyta. Powietrze owiało mu twarz. Bлагier Ze Wzgórz złapał go w dwie olbrzymie łapy i popędził w stronę lasu niczym futbolista z piłką. Za nimi rozległ się chóralny ryk. Ścigał ich cały Klan z Dolin.

John zamrugał. Był niesiony z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, tłum za jego plecami pędził równie szybko. A może nie? Przez długą sekundę John wahał się, w końcu przyjął do wiadomości niepodważalny fakt. Niech żyje listonosz - Bлагier wyprzedził wszystkich!

On także poczuł w głębi duszy dreszcz sportowego podniecenia. Owszem, pochodzili z Bлагierem Ze Wzgórz z zupełnie odmiennych światów pod względem biologii, ale jeśli chodzi o prawdziwe współzawodnictwo...

Nagle znaleźli się w cieniu lasu. Bлагier Ze Wzgórz biegł po wyściółce opadłych z drzew szpilek. Lekko zwolnił kroku. John Tardy wspiał mu się na ramię i zajął miejsce w torbie.

Drzewa stłumiły odgłosy pościgu. Zbiegli po zboczu niewielkiej doliny. Rozpoczynając wspinaczkę po drugiej stronie, Bлагier znów zwolnił nieco. Przy następnym obniżeniu terenu znowu pobiegł, i tak dalej, zmieniając tempo w zależności od nachylenia zbocza.

- Jak daleko od Postracha? - spytał John.

- Dolina Stawu - wydyszał Bлагier Ze Wzgórz.

Następnie udzielił odpowiedzi, posługując się dilbiańskimi jednostkami. W przeliczeniu było to niecałe osiem kilometrów.

Dziesięć minut później wypadli z niewielkiego zagajnika i znaleźli się na skraju małej okrągłej doliny. W jej środku rozciągała się łąka rozcięta na pół strumieniem, który w samym

centrum rozlewał się, tworząc staw. Staw liczył sobie dobrych pięćdziesiąt metrów średnicy. Sądząc po kolorze, był dość głęboki. Stojący na jego brzegu Dilbianin uniósł wzrok, słysząc hałas towarzyszący ich przybyciu.

John powiedział cicho do Blagiera Ze Wzgórz:

- Postaw mnie w pobliżu największej głębiny.

Szybko rozluźnił sprzączkę podtrzymującego spodnie pasa. Blagier mruknął potakująco, nie przerywając marszu. Na skraju wody, jakieś dziesięć metrów od czekającego Dilbianina, zatrzymał się wreszcie.

- Witaj, listonoszu - powiedział Dilbianin.

- Witaj, Postrachu - odparł Blagier. - Poczta. Postrach uniósł ciekawie wzrok, spoglądając ponad głową Blagiera na Johna.

- A zatem to jest Niedorostek Przesyłka - rzekł. - Pozwolili wam tu przyjść?

- Nie, po prostu przyszliśmy - odparł Blagier.

Postrach przyglądał się Johnowi Tardy'emu, a John obserwował Postracha. Na pierwszy rzut oka tamten nie wydawał się wart swojej reputacji. Był rostry, lecz nie dorównywał wzrostem Blagierowi Ze Wzgórz, nie mówiąc już o przytłaczającym ogromie Samego Jednego. John zauważył jednak okiem przywykłym do oceniania formy jego własnego gatunku niezwykle grube kości Postracha, krótką masywną szyję, a także równowagę ciała i napięcie mięśni, w każdej chwili gotowych do walki.

Zerknął na migoczącą obok wodę i zsunął się z pleców listonosza. Blagier odszedł na bok, a wtedy, bez uprzedzenia. Nadrzeczny Postrach rzucił się do ataku.

John odwrócił się i zanurkował w stawie.

Spodziewał się, że tamten natychmiast pójdzie w jego ślady; był zbyt wielkim profesjonalistą, by niepotrzebnie ryzykować, nawet w starciu z Krótkim. I rzeczywiście poczuł wstrząs towarzyszący zanurzeniu masywnego ciała. Natychmiast wyobraził sobie wielkie szponiaste łapy Postracha chwytające go za nogi i zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami, próbując oddalić się i zanurkować jak najgłębiej. Już wcześniej opracował strategię walki, wszystko jednak zależało od czasu i pola manewru. Pod wodą zmienił kierunek, uniósł się ku powierzchni i wytrząsając wodę z oczu, rozejrzał się szybko.

Postrach, patrzący w drugą stronę, wynurzył się właśnie cztery metry dalej.

John zanurkował ponownie, pod wodą pozbywając się butów, spodni i kurtki. Znow się wynurzył, niemal przed nosem Postracha, i musiał natychmiast zanurkować. Tym razem jednak płynąc w dół, ciągnął za sobą wyjęty ze spodni pasek, który kołysał się w wodzie niczym czarne źdźbło trawy.

Wynurzając się po raz trzeci w bezpiecznej odległości, odkrył, że Postrach go dostrzegł i zbliża się prędko. Uśmiechnął się do siebie i zanurkował, jakby chciał się ukryć, jednakże pod wodą zmienił kierunek, płynąc wprost ku przeciwnikowi. Nad głową ujrzał ciężkie nogi i łapy. Poruszały się z mocą, lecz dość wolno i to właśnie stanowiło ostateczne potwierdzenie jego domysłów. Choć Postrach świetnie sobie radził w walce z innymi Dilbianami, w wodzie same jego rozmiary sprawiały, że stawał się powolny i niezręczny w porównaniu z człowiekiem.

Teraz John pozwolił przeciwnikowi przepłynąć ponad sobą. A potem chwycił jego stopę. I pociągnął.

Postrach odruchowo szarpnął się i zanurkował. John, wyrzucony ku powierzchni, puścił go i także się zanurzył, tym razem za i nad Dilbianinem. Ujrzał szerokie plecy, wymachujące ramiona, a potem, gdy Postrach raz jeszcze skierował się ku powierzchni, John zbliżył się,

zarzucił pas na grubą szyję i pociągnął z całych sił.

Postrach powinien zacząć się dusić i wypłynąć, pozwalając Johnowi zaczerpnąć tchu. Tak też się stało. John chwycił powietrze - i w tym momencie walka przestała przebiegać według jego planu.

Prawda była taka, że Johnowi zabrakło wyobraźni. Mimo wszystko myślał o Dilbianinie jak o człowieku - olbrzymim człowieku, dysponującym wielką, lecz przecież skończoną siłą. Można wyobrazić sobie, że dusi się olbrzyma pasem, ale czy można udusić niedźwiedzia grizzly?

Desperacko wyciągał ręce, napięte do ostatecznych granic i zaciśnięte na pasku. Tamten szarpał nim niczym pstrąg podczepioną do boku pijawką. Od czasu do czasu wielkie, tłukące wodę łapy Postracha trącały jego ciało - jedynie trącały, lecz każdy wstrząs podrzucał Johnem niczym drewnikiem na falach. W głowie mu dzwoniło, wokół ryczała woda. Ramię zdrętwiało od uderzenia, po następnym ustąpiły żebra.

Zmysły zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Z całej siły zaciskał chwyt, teraz bowiem był to już wóz albo przewóz. Jeśli nie załatwi Postracha... bez wątpienia... Postrach... załatwi... jego...

Krztusząc się i zachłystując, odkrył, że jego dłonie nie ściskają już pasa, lecz ślizgają się po porośniętym trawą brzegu stawu. Czyjeś ręce go podtrzymywały. Wczołgał się na śliski brzeg; pod kolanami poczuł twardą ziemię. Zaczął krztusić się wodą, bezceremonialnie zwymiotował, a potem zemdłał.

Po bliżej nieokreślonym czasie ocknął się z głową na czyichś kolanach. Zamrugnął i barwna plama się wyostrzyła. To była Ty Lamorc, bardzo blada i zapłakana.

- Co...? - wykrztusił.

- Nic nie mów. - Ocierała mu twarz strzępkiem materiału niemal równie mokrym jak jego skóra.

- Nie... - wykrztusił. - Co ty tu robisz? - Próbował sięść.

- Spokojnie.

- Nic mi nie jest. Chyba.

Z trudem usiadł na ziemi. Ujrzał, że w całej Dolinie Stawu roi się od Dilbian. Nieopodal spora grupka zebrała się na brzegu wokół czegoś, czego nie widział.

- Co...? - zaczął.

- Postrach, Niedorostku - usłyszał znajomy głos. Unosząc wzrok, ujrzał olbrzymią postać Błagiera Ze Wzgórz. Z tej pozycji listonosz zdawał się wielki niczym góra.

- Wciąż jest nieprzytomny. Wygrałeś, bez cienia wątpliwości. - Dilbianin odszedł, by poinformować grupkę na brzegu, że Krótki się ocknął i zaczyna mówić.

John Tardy spojrział na Ty.

- Co się stało? - spytał.

- Musieli go wyciągnąć. Ty sam dopłynąłeś do brzegu. - Gdzieś znalazła chusteczkę, otarła oczy i głośno wydmuchnęła nos. - Byłeś cudowny.

- Cudowny? - powtórzył John, zbyt oszołomiony, by zachować choć odrobinę taktu. - Musiałem chyba oszaleć! - Zaczął delikatnie obmacywać własne żebra. - Powiniennem wrócić do Humrog i przeświecić sobie ten bok.

- Masz złamane żebra?

- Może tylko potłuczone. Aj! - dodał, natrafiając na szczególnie czułe miejsce.

- Och! Mogłeś zginać! I to wszystko moja wina! - Tu znowu się rozplakała.

- Twoja wina? - spytał John. Dostrzegł, jak od grupy otaczającej powalonego Postracha odrywa się ciężka postać Samego Jednego i syknął pośpiesznie: - Szybko, pomóż mi wstać! - Z jej pomocą niezręcznie dźwignął się z ziemi. - Powiedz, czy kiedy wyciągnęli Postracha, znaleźli coś na jego szyi?

Spojrzała na niego pytająco i otarła oczy.

- Ależ nie. Co mieliby znaleźć?

- Nic - szepnął John. - I co? - rzekł głośno, gdy Sam Jeden zatrzymał się przed nimi. - Co sądzisz o tej sytuacji?

- Sądzę, Niedorostku - odparł Sam Jeden - że jest bardzo ciekawa. Naprawdę bardzo. Myślę, że wy, Krótcy, znajdziecie teraz kilku zainteresowanych lataniem po niebie i nauką różnych rzeczy.

- Tak uważasz? Może sam miałbyś na to ochotę?

- Nie - odparł powoli Sam Jeden. - Raczej nie. Jestem za stary, by z zapalem rzucać się na nowinki. Ale zapewne znajdzie się wielu młodych. Na przykład Postrach. To bystry chłopak. Oczywiście teraz, gdy wykonałeś już wstępną robotę, wspomnę o was miłe słówko tu i tam.

- To bardzo miłe z twojej strony. Teraz - dodał John z goryczą.

- Aby wygrać, Niedorostku, najlepiej zwyciężyć - zagrzmiał Sam Jeden. - Wy, Krótcy, powinniście to wiedzieć. Prawdę mówiąc, dziwię się, że potrzebowaliście tak wiele czasu, by wykazać się odrobiną zdrowego rozsądku. Nie można tak po prostu zjawić się, usiąść przy cudzym stole i oczekiwać, iż gospodarz uwierzy wam na słowo, że jesteście częścią rodziny. Jak już mówiłem wcześniej, kto was tu w ogóle prosił? Czemu sądzicie, że powinniśmy was polubić? Wyobraź sobie, że gdy byłeś dzieckiem, jakiś nowy chłopak wprowadził się do twojej wioski. Był niższy o głowę, ale miał mnóstwo nowych błyszczących zabawek. Podszedł do ciebie, klepnął cię w ramię i rzekł: „Od tej chwili bawimy się w moją grę”. Jak byś się wtedy poczuł?

Z włochatej twarzy spojrzały na Johna bystre oczy.

- Rozumiem - odparł John po chwili. - To dlaczego mi pomogłeś?

- Ja? Pomogłem tobie? Byłem absolutnie neutralny. O czym ty mówisz?

- W domu mamy coś, co nazywamy książką telefoniczną. Przypomina nieco podręczniki Małego Gryza w Humrog. Jest taka gruba - pokazał palcami. - Można by uznać, że żaden z Krótkich nie zdołałby przedrzeć jej na pół. A jednak niektórzy z nas to potrafią. - Spojrzała uważnie na Samego Jednego. - Oczywiście kryje się w tym pewna sztuczka.

- Jasne - rzekł Sam Jeden z chytrym uśmieszkiem. - Całkowicie w to wierzę. Książki telefoniczne, grube kije, zabijacy pierwszej klasy, wszystko można załatwić dzięki jakiejś sztuczce. Nie żebym brał kiedykolwiek stronę Krótkich przeciw naszym, zapamiętaj to sobie. - Rozejrzał się wokół. Nadrzeczny Postrach z pomocą kilku Dilbian gramolił się ze stawu. Tłum już się rozchodził. - Któregoś dnia musimy dłużej pogawędzić. Niedorostku. Do zobaczenia niedługo, Krótcy.

John Tardy otarł wierzchem dłoni mokry nos i odprowadził wzrokiem Samego Jednego. Potem odwrócił się z powrotem do Ty Lamorc.

- No dobrze - rzekł. - Co miałaś na myśli, mówiąc, że to wszystko twoja wina?

- Bo to jest moja wina - odparła nieszczęśliwym tonem. - To był mój pomysł. Ziemia wiedziała, że nie udaje nam się przekonać Dilbian, toteż przysłali tu mnie. A ja - przełknęła ślinę - ja zaleciłam, by wysłali człowieka, który jak najbardziej odpowiada dilbiańskiemu profilowi psychologicznemu i aby postawili go wobec trudnej sytuacji z tubylcami. To miało

ich przekonać, że nie jesteśmy małymi obcymi, za których nas uważają. Mają tu bardzo niezwykłą kulturę. Naprawdę, nigdy nie podejrzewałam, że Rany-Ale-Ciało doścignie cię, omal nie zabije i ukradnie twój telefon. Miałeś cały czas utrzymywać kontakt z Joshua Guyem, tak by w każdej chwili mógł wydostać cię z opresji.

- Rozumiem. A dlaczego postanowiłaś nie uprzedzić mnie, co się tu dzieje? - spytał John bardzo powoli i cierpliwie.

- Ponieważ - wy szlochała - uznałam, że będzie lepiej, żebyś reagował tak jak Dilbianie, w naturalny, instynktowny, nieprzemyślany sposób!

- Rozumiem - powtórzył John.

Wciąż stali tuż nad stawem. Podniósł ją - była lekka i bardzo szczupła - i wrzucił do wody. Rozległ się wrzask i satysfakcjonujący plusk. John odwrócił się i odszedł.

Po kilku krokach zwolnił i zawrócił. Ty przycupnęła tuż przy brzegu.

- Proszę - rzekł szorstko, wyciągając rękę.

- Dziękuję - odparła pokornie z nosem pełnym wody.

Cordwainer Smith - w „prawdziwym” życiu dr Paul M.A. Linebarger, naukowiec, mąż stanu i autor znakomitej (do dziś używanej jako podręcznik) rozprawy o wojnie psychologicznej - był ogromnie utalentowanym pisarzem, który od 1948 roku do przedwczesnej śmierci w roku 1966 spłodził dużą liczbę jednych z najlepszych krótkich form fantastycznych, jakie ten gatunek kiedykolwiek widział - Alpha Ralpa Boulevard, A Planet Named Shayol, On the Storm Planet, The Ballad of Lost C'Mell, The Dead Lady of Clown Town, Drunkboat, The Lady Who Sailed „The Soul”, Under Old Earth, Scanners Live in Vain - jak również sporo słabszych, choć wciąż fascynujących opowiadań. Wszystkie te teksty tworzyły splątany gobelin, niespotykane bogaty i zawily. Smith stworzył kosmologię o barokowym przepychu, której rozmach i złożoność do dziś nie mają sobie równych: przyszła historia, obejmująca całe tysiąclecia, logicznie dziwaczna i elegancko obca, dziejąca się w żywo odmalowanym soczystymi barwami, pełnym mitów wszechświecie, gdzie zwierzęta przyjmują ludzkie kształty, potężne planofornowe statki przemierzają wielowymiarową przestrzeń, ogromne, chore owce są najcenniejszą rzeczą na świecie, nieśmiertelność można kupić, a tajemniczy Lordowie Instrumentalicy rządzą znękaną Ziemią, zbyt starą, by mieć jeszcze jakieś znaczenie w historii...

Jest to kosmologia, która dziś, w latach dziewięćdziesiątych, wydaje się równie poruszająca i dziwna jak w latach sześćdziesiątych - na pewno dzięki rozmachowi i śmiałości kreacji, wizji ukazującej, jak odmienna i obca będzie przyszłość, może śmiało konkurować ze współczesnymi pomysłami Young Turks, takich jak Bruce Sterling czy Greg Bear i, moim zdaniem, jest ponadczasowa. Niewątpliwie podniosła poprzeczkę dla złożoności kosmicznych przygodówek, podobnie jak to uczynił A.E. van Vogt we wczesnych latach pięćdziesiątych; wobec egzotycznych krajobrazów, społeczeństw i postaci Smitha scenariusze space oper większości innych pisarzy wydawały się blade, monotonne i zrutynizowane.

W tym opowiadaniu Smith zapoznaje nas z desperacką misją złodzieja pragnącego ukraść wieczne życie, mającego całe pieniądze świata do stracenia i jedynie dziecinnie brzmiące „male ketki” jako przeszkodę na swojej drodze...

Prawie cała SF Cordwainera Smitha to powieść Norstrillia i cykl Space Lords jeden z kamieni milowych gatunku; oraz opowiadania: The Best of Cordwainer Smith, Quest of the Three Worlds i The Instrumentality of Mankind. Jako Felix C. Forrest napisał dwie powieści współczesne, Ria i Carola, a pod pseudonimem Carmichael Smith thriller Atomsk. Jego ostatnią książką jest pośmiertny zbiór The Rediscovery of Mañ: The Complete Short Science Fiction of Cordwainer Smith (NESFA Press, P.O. Box 809, Framingham, MA 07101-0203, www.nesfa.org, \$24,95), opasty tom, w którym zgromadzono niemal wszystkie jego krótkie formy. Na pewno stanie się jedną z najlepszych tego typu pozycji tego dziesięciolecia - i znajdzie się w każdej kolekcji szanującego się miłośnika fantastyki.

Cordwainer Smith

MALE KETKI MAMY HETKI

*Kiepski system łączności zniechęca do kradzieży;
dobry system łączności ułatwia kradzież;
perfekcyjny system łączności uniemożliwia kradzież.*

Van Braam

1

Księżyc się obracał. Kobieta obserwowała. Na równiku znajdowało się dwadzieścia jeden wypolerowanych faset. Zadaniem kobiety było zbrojenie ich. To mama Hetka, zbrojmistrzyni Starej Północnej Australii.

Była pogodną blondynką o rumianej twarzy, w nieokreślonym wieku. Miała niebieskie oczy, spory biust, silne ramiona. Wyglądała jak matka, lecz jej jedyne dziecko zmarło wiele pokoleń temu. Teraz matkowała całej planecie. Norstrilianie spali spokojnie, wiedząc, że ona czuwa. Broń spała długim, chorym snem.

Tej nocy po raz dwusetny spojrzała na pulpit ostrzegawczy. Spokój. Nie zabłysło ani jedno alarmowe światełko. Jednak wyczuwała wroga gdzieś we wszechświecie - czekającego, by uderzyć na nią i jej planetę, by porwać niezmierzone bogactwo Norstrilian - i prychnęła niecierpliwie. Chodź, człowieczku, pomyślała. Chodź, człowieczku, i umrzyj. Nie daj mi czekać.

Uśmiechnęła się, zdawszy sobie sprawę z absurdalności swojej myśli.

Czekała na niego.

A on o tym nie wiedział.

On, rabuś, był odprężony. Nazywał się Benjacomin Bozart i był znakomicie wyszkolony w sztuce relaksacji.

Nikt w Sunvale, tu na Ttiolle, nie mógł podejrzewać, że jest on starszym naczelnikiem Gildii Złodziei, wychowanym w świetle fioletowej gwiazdy. Nikt nie wyczuwał od niego woni Violi Siderei.

- Viola Siderea - powiedziała kiedyś pani Rhu - była najpiękniejszą z planet, a teraz jest najbardziej zepsutą. Jej mieszkańcy kiedyś byli wzorcem dla ludzkości, a teraz są złodziejami, kłamcami i zabójcami. Ich dusze można wyczuć nawet w biały dzień.

Pani Rhu zmarła wiele lat temu. Otoczona była wielkim szacunkiem, lecz się myliła. Rabuś w ogóle nie śmierdział innym ludziom. Wiedział o tym. Nie był bardziej „zły” niż rekin zbliżający się do ławicy dorszy. Naturą życia jest żyć, a on został wychowany, by żyć tak, jak żył - poszukując zdobyczy.

Jak inaczej mógłby żyć? Viola Siderea zbankrutowała bardzo dawno temu, kiedy żagle fotonowe zniknęły z kosmosu, a statki planofornowe zaczęły przemierzać międzygwiazdne szlaki. Jego przodków pozostawiono na leżącej na uboczu planecie, by wyginęli. Nie wymarli. Zmienili niszę ekologiczną i stali się drapieżcami żerującymi na ludzkości, przystosowani przez czas i genetykę do swych zabójczych zadań. A on, rabuś, był mistrzem wśród swoich - najlepszym z najlepszych.

Benjacomin Bozart.

Przysiągł obrabować Starą Północną Australię lub zginąć podczas próby, a nie zamierzał umierać.

Plaża w Sunvale była ciepła i rozkoszna. Ttiolle była planetą wolną. Jego bronią było i szczęście, i on sam.

Norstrilianie umieli zabijać.

On też.

W tej chwili, w tym miejscu, był szczęśliwym turystą na pięknej plaży. Gdzie indziej, kiedy indziej mógł stać się fretką wśród królików, jastrzębiem wśród gołębi.

Benjacomin Bozart, złodziej, i to nie byle jaki. Był wciąż spokojny. Nie wiedział, że ktoś czeka na niego. Ktoś, kto nie zna jego imienia i jest gotów obudzić śmierć, tylko dla niego.

Mama Hetka nie była spokojna. Wyczuwała go mgliście, lecz wciąż nie mogła zlokalizować.

Jedna z jej broni zachrapała. Odwróciła ją.

O tysiąc gwiazd stamtąd Benjacomin Bozart uśmiechnął się, idąc na plażę.

2

Benjacomin czuł się jak turysta. Opalona twarz i dumne, ocienione oczy tchnęły spokojem. Kąciki ładnych ust, nawet bez czarującego uśmiechu, sugerowały sympatyczną osobowość. Wyglądał młodo, atrakcyjnie, w najmniejszym stopniu nie rzucał się w oczy. Szedł sprężystym krokiem wzdłuż plaży na Sunvale.

Fale wchodziły na ląd, niosąc białe grzywy piany, niczym przybój na Matce Ziemi. Mieszkańcy Sunvale byli dumni ze sposobu, w jaki ich planeta przypominała samą kolebkę ludzkości. Niewielu ją naprawdę widziało, lecz wszyscy liźnęli nieco historii i odczuwali czasami obawę na myśl o starożytnym rządzie wciąż dzierżącym polityczną władzę przez głębie przestrzeni. Nie lubili starej Instrumentalicy Ziemi, lecz ją szanowali i bali się jej. Fale mogły przypominać im o pięknej stronie Ziemi; nie chcieli pamiętać o tej mniej urodzivej.

Ten mężczyzna był jak piękniejsza strona Ziemi. Nie potrafili wyczuć w nim niebezpiecznej siły. Mieszkańcy Sunvale posyłali mu nieobecne uśmiechy, kiedy szedł wzdłuż plaży.

Odwrócił twarz ku słońcu, zamknął oczy. Ciepłe światło pieściło, rozleniwiało.

Benjacomin marzył o największej kradzieży kiedykolwiek zaplanowanej przez człowieka. Marzył o zrabowaniu solidnego kęsa bogactwa z najzamożniejszej planety we wszechświecie. Myślał, co się stanie, gdy w końcu sprowadzi dostatek na planetę układu Viola Siderea, na której się wychował. Odwrócił twarz od słońca i leniwie przyjrzał się innym ludziom na plaży.

Jeszcze nie było Norstrilian w zasięgu wzroku. Łatwo by ich rozpoznał. Duzi ludzie o czerwonawej cerze; wysportowani, na swój sposób niewinni, młodzi i bardzo twardzi. Przygotowywał się do tej kradzieży przez dwieście lat, w tym celu jego życie zostało przedłużone przez Gildię Złodziei z Violi Siderei. On ucieleśniał marzenia swojej planety, biednego świata, niegdyś skrzyżowania szlaków handlowych, teraz upadłego do pozycji podrzędnego ośrodka zepsucia i złodziejstwa.

Zobaczył Norstriliankę wychodzącą z hotelu na plażę. Czekał, obserwował, marzył. Miał pytanie, na które nie odpowiedziałby żaden dorosły Australijczyk.

Zabawne, pomyślał, że nawet teraz nazywam ich Australijczykami. To jest ich stara, bardzo stara, ziemską nazwa - bogatych, odważnych, twardych ludzi. Walczące dzieci stojące na połowie świata... a teraz są tyranami całej ludzkości. Mają w garści bogactwo. Mają santaklarę i inni ludzie żyją lub umierają zależnie od handlu prowadzonego z Norstrilianami. Ale ja tak nie będę. Moi rodacy też. My jesteśmy wilkami pośród ludzi.

Benjacomin czekał. Opalony pod wieloma słońcami, wyglądał na czterdziestkę, choć miał dwieście lat. Ubierał się z wdziękiem, swobodnie, jak człowiek na wakacjach. Mógł być międzykulturowym sprzedawcą, hazardzistą albo asystentem menedżera kosmodromu. Mógł nawet być detektywem pracującym na szlakach handlowych. Nie był nikim takim. Był złodziejem. I to tak dobrym złodziejem, że ludzie sami wciskali mu swoją własność w ręce - bo tak bardzo dodawał otuchy, tchnął spokojem, miał tak szare oczy i blond włosy. Benjacomin czekał. Kobieta rzuciła mu szybkie spojrzenie pełne nieskrywanej podejrzliwości.

To, co zobaczyła, musiało ją uspokoić. Minęła go.

- Chodź, Johnny! - zawołała ponad wydumą. - Możemy tu popływać. Chłopak wyglądający

na dziesięć lat pojawił się na wydymie, zbiegł do matki.

Benjacomin sprężył się jak kobra. Przymrużył nieco oczy, wzrok mu się wyostrzył.

To była jego zdobycz. Nie za młody, nie za dorosły. Ofiara zbyt młoda nie znalazłaby odpowiedzi; zbyt stara byłaby bezużyteczna. Norstrilianie słynęli z umiejętności walki; dorosłych, znanych z dużej siły fizycznej i psychicznej, nie zamierzał atakować.

Wiedział, że każdy złodziej, który zbliżył się do ich planety - który próbował napaść wymarzony świat Starej Północnej Australii - tracił kontakt ze swoimi ludźmi, umierał i nikt nigdy więcej o nim nie słyszał.

Wiedział też jednak, że setki tysięcy Norstrilian musiało znać tę tajemnicę. Od czasu do czasu żartowali na jej temat. Słyszał te dowcipy za młodu, teraz był więcej niż stary i nigdy nie zbliżył się nawet do odpowiedzi. Życie było kosztowne. Przeżył już sporo z trzeciej części przeciętnej długości życia. Został hojnie wyposażony przez pobratymców. Samych dobrych złodziei, płacących podwędzonymi z trudem pieniędzmi za środek pozwalający żyć największemu spośród nich. Benjacomin nie lubił przemocy, jednak kiedy torowała ona drogę do największej kradzieży wszech czasów, był gotów jej użyć.

Kobieta popatrzyła na niego ponownie. Wyraz zła, który przemknął po jego twarzy, zniknął teraz. Zobaczyła Benjacomina w tej chwili odprężenia. W tej jednej chwili go polubiła. Uśmiechnęła się.

- Czy mógłby pan zająć się przez chwilę moim synem, kiedy pójdę popływać? Chyba widziałam pana w hotelu - zagaiła z niezdarnym wahaniem, tak charakterystycznym dla Norstrilian.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł złodziej. - Z przyjemnością. Chodź, chłopcze.

Johnny podszedł po rozświetlonym słońcem piasku do swojej śmierci. Znalazł się w zasięgu wroga matki.

Ona jednak już się odwróciła.

Benjacomin Bozart chwycił chłopca za ramię. Wbił mu igłę z serum prawdy, zanim dzieciak zdołał krzyknąć.

Johnny skulił się z bólu, a po chwili drgnął, gdy poczuł potężny cios wewnątrz czaszki wywołany przejściem kontroli przez narkotyk.

Benjacomin obejrzał się na morze. Matka pływała. Chyba patrzyła w ich kierunku. Najwyraźniej nie była zaniepokojona. Z jej punktu widzenia dziecko oglądało coś, co obcy mu pokazywał.

- A teraz, chłopcze - odezwał się złodziej - powiedz mi, jaki jest wasz zewnętrzny system obronny. Chłopiec milczał.

- Jaki jest zewnętrzny system obronny, chłopcze? Jaki jest zewnętrzny system obronny? - powtarzał złodziej.

Chłopiec nadal nie odpowiadał.

Benjacominowi skóra ścierpła. Zdał sobie sprawę, że zaryzykował swoje bezpieczeństwo na tej planecie, zaryzykował plany dla szansy poznania sekretu Norstrilian.

Został powstrzymany prostym, łatwym sposobem. Dziecko już zostało uwarunkowane przeciw atakowi. Każda próba wyduszenia wiedzy wywoływała wdrukowany odruch milczenia. Chłopak naprawdę nie mógł mówić.

Matka odwróciła się, słońce zabłysło na jej mokrych włosach.

- Johnny, wszystko w porządku? - zawołała. Benjacomin pomachał jej w odpowiedzi.

- Rysujemy sobie, proszę pani. Proszę się nie śpieszyć. Matka zawahała się, odwróciła z

powrotem w stronę morza i powoli odpłynęła.

Johnny, opanowany przez narkotyki, siedział na kolanach Benjacomina jak inwalida.

- Johnny, zaraz umrzesz i jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, będziesz strasznie cierpiał - powiedział złodziej. Chłopiec słabo walczył w jego uścisku. Mężczyzna powtórzył:
- Sprawię ci ból, jeśli nie powiesz mi, co chcę wiedzieć. Jaki jest zewnętrzny system obronny? Jaki jest zewnętrzny system obronny?

Dziecko walczyło nadal. Zdał sobie sprawę, że chciało spełnić jego żądanie, a nie uciec. Pozwolił mu zsunąć się z kolan. Chłopiec zaczął pisać palcem na piasku.

Pojawił się nad nimi cień człowieka.

Benjacomin, napięty, gotów zabić lub uciec, ukląkł obok dziecka.

- Bardzo fajny rebus - powiedział. - Bardzo dobry. Pokaż mi jeszcze jakiś.

Przechodzący obok mężczyzna obrzucił złodzieja pełnym ciekawości spojrzeniem, które stało się zupełnie nieobowiązujące, gdy zobaczył miłą twarz Benjacomina, tak czule i zgodnie bawiącego się z dzieckiem.

Palec wciąż wypisywał litery na piasku.

Pojawiła się zagadka: MALE KETKI MAMY HETKI.

Kobieta wracała z morza, zaraz będzie zadawać mnóstwo pytań. Złodziej dotknął rękawa kurtki i wyciągnął drugą igłę z trucizną śladową, której wykrycie zajmie kilka dni lub nawet tygodni pracy laboratoryjnej. Wbił ją wprost do mózgu chłopca, na granicy włosów, które zasłoniły delikatne nakłucie. Niewiarygodnie twarda igła przebiła czaszkę. Dziecko było martwe.

Morderstwo zostało dokonane. Benjacomin nieznacznie zatarł litery na piasku. Kobieta była coraz bliżej.

- Niech pani tu przyjdzie, pani syn chyba zasłabł od słońca! - zawołał do niej głosem pełnym troski.

Przez krótką, straszną chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Dwieście lat treningu zrobiło swoje... nie dostrzegła nic. Morderca nie wyglądał na zbrodniarza. Jastrząb pozostał ukryty pod powłoką gołębia.

Serce zostało zamaskowane wyćwiczoną twarzą.

Benjacomin rozluźnił się. Był gotów zabić i ją, choć nie był pewien, czy dałby sobie radę z dorosłą Norstrilianką.

- Proszę tu z nim zostać - powiedział. - Ja sprowadzę pomoc z hotelu. Zaraz wrócę.

Pobiegł. Człowiek z obsługi plaży spostrzegł go i zaczął biec w jego stronę.

- Dziecko jest chore! - zawołał Benjacomin. Dotarł do matki na czas, by zobaczyć na jej twarzy wyraz cierpienia pomieszanego z wątpliwościami.

- On nie jest chory - powiedziała. - On nie żyje.

- Niemożliwe - zaprotestował Benjacomin. Wyglądał na zatroskanego. Czuł się zatroskany. Z postawy, z każdego drobnego mięśnia twarzy emanowało współczucie. - Niemożliwe, rozmawiałem z nim minutę temu. Rysowaliśmy rebusy na piasku.

- On nie żyje - powtórzyła matka pustym, złamanym głosem, który brzmiał, jakby już nigdy nie miała mówić normalnie, jakby już zawsze miała wypowiadać słowa tonem pełnym dysharmonii wywołanej niespodziewaną rozpaczą. - Pan widział go i sędzę, że widział pan też, jak umiera. Nie rozumiem, co się stało. Chłopiec był naszpikowany santaklarą. Miał przed sobą tysiące lat życia, ale jest martwy. Jak się pan nazywa?

- Eldon - odpowiedział Benjacomin. - Eldon, jestem sprzedawcą. Bywam tu bardzo często.

3

Male ketki mamy Hetki. Male ketki mamy Hetki.

Głupawe zdanko tłuło mu się po głowie. Kto to jest mama Hetka? Czyja to matka? Co to są ketki? Czy to zniekształcone słowo „kotki”? Jakies kocięta?

Czy zabił głupka dla głupkowatej odpowiedzi?

Ile jeszcze dni będzie musiał zostać tutaj, razem z pełną wåtpliwośc¸, wstrząsn¸ matk¸? Ile dni będzie musiał czekać i obserwować? Chciał wrócić na Violę Sidereę; dostarczyć paskudn¸ tajemnicę swoim pobratymcom do zbadania. Kto to jest mama Hetka?

Wyszedł z pokoju.

W wielkim hotelu panowała miła monotonia, więc inni goście przygl¸dali mu się z zainteresowaniem. Oto człowiek, który widział śmierć dziecka na plaży.

Niektórzy przesiadujący w holu łowcy sensacji rozsiewali fantastyczne plotki, że to on je zabił. Inni gwałtownie protestowali, twierdząc, że doskonale wiedzą, kim jest Eldon. To sprzedawca. Pos¸dzanie go jest śmieszne.

Ludzie niewiele się zmienili, pomimo że statki kosmiczne mknęły między gwiazdami, pomimo że każdy, kto miał dość pieniędzy na opłacenie podróży tam i z powrotem, mógł się włóczyć z planety na planetę jak liść pędzony łagodnym, figlarnym wietrzykiem.

Benjacomin miał poważny dylemat. Świetnie wiedział, że jakakolwiek próba rozszyfrowania odpowiedzi natrafi na procedury ochronne założone przez Norstrilian. Stara Północna Australia była niezmiernie bogata. Jak wszechświat długi i szeroki, wszyscy wiedzieli, że jej mieszkańcy posługiwali się najemnikami, szpiegami, tajnymi agentami i urządzeniami ostrzegawczymi.

Nawet kolebka ludzkości - sama Matka Ziemia, której za żadne pieniądze nie można kupić - została przekupiona przez eliksir życia. Uncja santaklary, zredukowanej, skryalizowanej i nazywanej „stroon”, mogła dać czterdzieści do sześćdziesięciu lat życia. Stroon docierał na Ziemię w porcjach w¸żących uncje i funty, a na Północnej Australii rafinowano jej całe tony. Maj¸c taki skarb, Norstrilianie żyli w niewyobrażalnym świecie, którego zasoby przekraczały jakiegokolwiek daj¸ce się pojąć sumy pieniędzy. Mogli kupić wszystko. Mogli płacić życiem innych ludzi.

Od stuleci potajemnie płacili cudzoziemcom za ochronę ich bezpiecze¸stwa.

Male ketki mamy Hetki.

Benjacomin stał w holu. Miał w głowie m¸drość i bogactwo tys¸ca planet i nie śmiał kogokolwiek spytać, co to znaczy.

Nagle rozjaśnił się. Wygl¸dał jak człowiek, który pomyślał o jakiejś rozrywce, oczekujących go przyjemnych chwilach, o miłym towarzystwie, nowej potrawie do spróbowania. Wpadła mu do głowy szczęśliwa myśl.

Było jedno źródło, które nie będzie gadać. Biblioteka. Tam spróbuje się dowiedzieć, co z tajemnicy wydartej umierającemu chłopcu jest publicznie dostępne.

Każde z tych czterech słów może okazać się kluczem, a wtedy nie na darmo naraził swoje bezpiecze¸stwo, śmierć Johnny'ego nie poszła na marne. „Mama” albo „Hetka”, albo specyficzne znaczenie „male”, albo „ketki”. Jeszcze mógł splądrować Norstrilię.

Rozradowany, lekkim krokiem poszedł do pokoju bilardowego, za którym znajdowała się biblioteka. Wszedł do środka.

To był bardzo drogi i bardzo staromodny hotel. Miał nawet papierowe książki w prawdziwych oprawach. Benjacomin znalazł dwustutomow¸ *Encyklopedię Galaktyczn¸*.

Wyjął tom oznaczony „He-He”. Otworzył go od końca, szukając nazwiska Hetka. Znalazł. „Hetka, Benjamin - pionier ze starej Północnej Australii. Uważa się, że był twórcą części systemu obronnego. Żył w latach 10719-17213 n.e.”. To wszystko. Benjacomin przeszedł pomiędzy książkami. Słowo „ketki”, o takiej pisowni, nie występowało nigdzie, ani w encyklopedii, ani w żadnym katalogu biblioteki. Wyszedł i udał się na górę, z powrotem do swojego pokoju.

„Male” również nie znalazł. Prawdopodobnie był to dziecinny błąd popełniony przez chłopca.

Zaryzykował. Matka, na wpół oszalała z rozpaczy, siedziała na werandzie otoczona przez kobiety. Wkrótce miał przyjechać jej mąż. Benjacomin podszedł i z szacunkiem próbował nawiązać rozmowę. Nie widziała go.

- Wyjeżdżam, proszę pani. Udaję się na inną planetę, ale wrócę tu za dwa lub trzy subiektywne tygodnie. Jeśliby miała pani do mnie jakieś pilne pytania, zostawię tutejszej policji mój adres.

Zostawił zapłakaną matkę pod opieką kobiet. Opuścił spokojny hotel. Załatwiono mu konieczne formalności.

Policja Sunvale nie odmówiła jego nagłej prośbie o wizę wyjazdową. W końcu jego tożsamość była znana, miał pieniądze, poza tym na tej planecie panował zwyczaj, by nie sprzeciwiać się gościom. Benjacomin wszedł na statek i kiedy udał się do kabiny, by odpocząć parę godzin, razem z nim wszedł mężczyzna. Młody, z przedziałką na głowie, niski, szarooki.

Był to miejscowy agent tajnej policji Norstrilii.

Benjacomin, pomimo swego złodziejskiego wykształcenia, nie rozpoznał policjanta. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że sama biblioteka stanowiła urządzenie ostrzegawcze, a słowo „ketki”, w norstriliańskiej pisowni, było sygnałem wyzwalającym. Poszukiwanie tego wyrazu wywołało niewielki alarm. Natrafił na „potykacz”.

Obcy skinął mu głową, Benjacomin odwzajemnił pozdrowienie.

- Jestem komiwojażerem, czekam na przydział. Ostatnio nie najlepiej mi szło. A pan jak sobie radzi?

- W moim przypadku to bez znaczenia. Nie zarabiam dużo pieniędzy; jestem technikiem. Nazywam się Liverant.

Benjacomin mu się przyjrzał. Zgadza się, ten człowiek jest technikiem. Uścisnęli sobie niedbale dłonie.

- Spotkajmy się później w barze - zaproponował Liverant. - Chcę najpierw trochę odpocząć.

Obaj się położyli, rozmawiali niewiele. Przez statek przeszedł dreszcz planofromy, minął momentalnie. Wiedzieli z książek i kursów, że statek skakał w dwóch wymiarach, podczas gdy w jakiś sposób sama furia przestrzeni przetwarzana była w komputerach, które obsługiwał kapitan.

Wiedzieli to wszystko, lecz nie byli w stanie tego poczuć. Odczuli jedynie krótkie ukłucie lekkiego bólu.

Środek uspokajający znajdował się w powietrzu, rozprawdzany przez system wentylacyjny. Obaj spodziewali się poczuć jak nieco pijani.

Złodziej Benjacomin Bozart był wyćwiczony w przeciwstawianiu się odurzeniu i dezorientacji. Najmniejsza oznaka, że telepata próbuje czytać z jego umysłu, wywołałaby

dziki, zwierzęcy opór wdrukowany w jego podświadomość w początkowych latach treningu. Bozartowi brakowało jednak wykszolenia w ochronie przed podstępem ze strony technika.

Gildia Złodziei na Violi Siderei nigdy nie przewidziała, że jej ludziom potrzebna będzie obrona przed oszustami. Liverant już nawiązał kontakt z Norstrilią - Norstrilią, której pieniądze sięgały dalekich gwiazd; Norstrilią, która na samą myśl o włamaniu postawiła w stan gotowości tysiąc planet.

- Żałuję, że nie mogę polecieć dalej - zaczął paplaninę Liverant. - Chciałbym dotrzeć na Olimpię. Tam można kupić wszystko.

- Słyszałem o tym - odpowiedział Bozart. - To trochę zabawna kupiecka planeta, na której biznesmeni nie mają większych szans, prawda? Liverant roześmiał się, radośnie i bardzo szczerze.

- Kupiecka? Oni nie handlują. Oni wymieniają. Przyjmują kradzione lupy z tysiąca planet i odsprzedają je, przerabiają, odmalowują i oznaczają. To ich zajęcie. Są niewidomi. To dziwny świat, żeby dostać, co dusza zapragnie, wystarczy się tam zjawić. Człowieku - westchnął Liverant - czego ja bym dokonał przez rok w takim miejscu! Sami niewidomi, oprócz mnie i grupki turystów. Całe bogactwo, które wszyscy uważają za zagubione, połowa wraków statków, zapomniane kolonie, splukane do czysta... wszystko trafia na Olimpię.

Planeta ta wcale nie była aż tak dobra i Liverant nie miał pojęcia, po co ma doprowadzić tam zabójcę. Wiedział tylko, że ciąży na nim obowiązek pokierowania włamywaczem.

Na wiele lat przed narodzeniem któregośkolwiek z tych mężczyzn jedno słowo zostało wprowadzone do katalogów, książek, skrzyń i faktur: „ketki”, w takiej pisowni. Był to kryptonim zewnętrznego księżycy systemu obronnego Norstrilii. Użycie kryptonimu wywołało gwałtowny alarm, od którego systemowe nerwy robiły się gorące jak rozżarzony drut wolframowy.

Kiedy byli gotowi pójść do baru coś przekąsić i wypić, Benjacomin prawie już zapomniał, że nazwę Olimpui wymienił jego nowy znajomy. Musiał polecieć na Violę Sidereę - zdobyć kredyty na lot po bogactwo czekające na Olimpui.

4

Na ojczystej planecie Bozart stał się obiektem łagodnej, lecz bardzo szczerzej celebracji. Starsi Gildii Złodziei powitali go gratulacjami.

- Któż inny zdołałby dokonać tego co ty, chłopcze? Twój gambit należy do zupełnie nowego rodzaju szachów. Nigdy dotąd nie było takiego. Mamy nazwisko; mamy zwierzę. Spróbujemy tutaj.

Rada Złodziei zajrzała do własnej encyklopedii. Odnaleźli nazwisko „Hetka”, potem odnośnik do „ketki”. Nikt z nich nie miał pojęcia, że to oszustwo agenta z tej planety. Człowiek ten przed wielu laty został skuszony, uwiedziony w trakcie robienia kariery, zmuszony do chwilowej szczerości, zaszantażowany i odesłany do domu. Przez wszystkie pełne strachu lata oczekiwania na łącznika - który sam nie wiedział, że pracuje dla norstriliańskiego wywiadu - nigdy nawet nie marzył, że tak łatwo będzie mógł spłacić dług wobec zewnętrznego świata. Przysłano mu jedną stronę, którą miał dołożyć do encyklopedii. Zrobił to i z ulgą wrócił do domu. Był wyczerpany, słaby jak dziecko. Lata czekania i strachu to za dużo dla złodzieja.

Upijał się z obawy, że mógłby popełnić samobójstwo. Tymczasem wszystkie strony encyklopedii były w porządku, włączywszy w to i nową, nieco tylko zmienioną. Zmiana została wykazana, jak przy każdym unacześnieniu, tyle że hasło było nowe i sfałszowane:

Unacześnienie poniżej. Wprowadzone w 24 roku drugiego wydania. Wspominane „ketki” z Norstrilii to po prostu biologiczna metoda wywoływania schorzenia w zmutowanych na Ziemi owcach, produkujących w rezultacie zakażenia wirusa, który po oczyszczeniu znany jest jako santaklara. Termin „ketki” przez jakiś czas odnosił się zarówno do samego schorzenia, jak i łatwości, z jaką ustępuje pod działaniem czynników zewnętrznych. Uważa się, że pojęcie to ma związek z karierą Benjamina Hetki, jednego z pionierów Norstrilii.

Rada Złodziei przeczytała opis i jej przewodniczący powiedział:

- Mam twoje dokumenty. Możesz je teraz wypróbować. Dokąd się udasz? Neuhamburg?

- Nie - odparł Benjacomin. - Myślałem o Olimpii.

- Olimpia jest w porządku - zgodził się przewodniczący. - Zachowaj umiar. Ryzyko przegranej jest jak jeden do tysiąca. Lecz jeśli się tak zdarzy, może będziemy musieli to spłacić.

Podał Benjacominowi weksel in blanco zastawiający pracę i własność całej Violi Siderei. Zaśmiał się, prychnając.

- Byłoby nam bardzo ciężko, gdybyś na handlowej planecie musiał pożyczyć wystarczająco dużo, by zrobić z nas uczciwych ludzi, a potem przegrał.

- Nie ma strachu - odparł Bozart. - Poradzę sobie.

Są takie planety, na których umierają wszelkie marzenia, lecz Olimpia o kwadratowych chmurach do nich nie należy. Oczy mężczyzn i kobiet są tu jasne, bo wszyscy są niewidomi.

- Jasność była barwą bólu - powiedział Nachtigall - kiedy widzieliśmy. Jeśli oko twoje obelżywym jest, odejmij je sobie, albowiem wina nie w oku leży, lecz w duszy.

Taki sposób mówienia był powszechny na Olimpii, gdzie od bardzo dawna żyli ślepi osadnicy, którzy teraz uważali się za lepszych od obdarzonych wzrokiem. Ich mózgi, łechtane przez radarowe kable, odbierają promieniowanie. Olimpianie spostrzegają świat zewnętrzny równie dobrze jak zwierzocztowiek mający pośrodku twarzy małe akwaria. Ich niewidome dzieci śpiewają piosenki. Regulowany klimat Olimpii zmienia się zgodnie z zasadami geometrii jak kalejdoskop.

Tam się udał Bozart. Wśród ślepców jego nadzieje gwałtownie wzrosły, zapłacił za informacje, których oko ludzkie nigdy dotąd nie widziało.

Olimpia, planeta kanciastych chmur na przesączonym wodą niebie, przepływała koło niego niczym cudze sny. Nie zamierzał się tu zatrzymywać na dłużej, miał bowiem randkę ze śmiercią w gęstej, lśniącej przestrzeni koło Norstrilii.

Znalazłszy się na powierzchni, zaczął organizować swój atak na Starą Północną Australię. Spotkał mężczyznę nazwiskiem Lavender, był pewien, że już coś o nim wcześniej słyszał. Nie członek jego własnej Gildii Złodziei, ale śmiały łajdak mający paskudną międzygwiazdną reputację.

Nic dziwnego, że trafił na tego gościa. Przez cały ostatni tydzień, kiedy spał, poduszka zdołała powtórzyć mu historię tego człowieka piętnaście razy. A kiedykolwiek śnił, pojawiały się marzenia wdrukowane mu w umysł przez norstriliański kontrwywiad. Wyprzedzili go, wcześniej dotarli na Olimpię i przygotowali się, by pozwolić mu zdobyć tylko to, na co zasługiwał. Policja norstriliańska nie była okrutna, lecz teraz walczyła na zewnątrz w obronie własnej planety. Zamierzała również ukarać mordercę dziecka.

Zasadnicza rozmowa, jaką przeprowadził z Lavenderem Benjacomin, miała dramatyczny przebieg.

Lavender odmówił ruszenia się z miejsca.

- Nie zamierzam nigdzie jechać. Ani myślę na cokolwiek napadać. Niczego nie będę kradł. Bywałem brutalny, przyznaję. Ale nie dałem się zabić, a dokładnie tego, cholera, się domagasz.

- Pomyśl, co będziemy mieli. Bogactwo. Mówię ci, w tym skoku można zgarnąć więcej forsy, niż ktokolwiek sobie zdoła wyobrazić. Lavender zaśmiał się głośno.

- Myślisz, że nigdy tego nie słyszałem? Ty jesteś kanciarz i ja jestem kanciarz. Nie robię niczego opartego choćby w najmniejszym stopniu na spekulacjach. Ja chcę swoją forszę gotówką z góry. Ja umiem walczyć, ty jesteś złodziejem i nie zamierzam pytać o twoje plany... ale forszę chcę z góry.

- Nie mam tyle - powiedział Benjacomin. Lavender wstał.

- No to w ogóle nie powinieneś ze mną rozmawiać, bo moje milczenie będzie cię kosztować, wynajmiesz mnie czy nie.

Zaczęły się negocjacje.

Lavender wyglądał paskudnie. Był rozlazłym, zwyczajnym facetem, który mnóstwo wysiłku włożył w stanie się złym. Grzech wymaga mnóstwa starań, a włożona weń praca często uwidacznia się na ludzkiej twarzy.

Bozart patrzył na niego z góry, uśmiechając się swobodnie, nawet bez pogardy.

- Osłaniaj mnie, kiedy będę wyciągał coś z kieszeni - powiedział. Lavender nawet nie skomentował tej wypowiedzi. Nie wyjął broni. Lewym kciukiem powoli przesunął po krawędzi dłoni. Benjacomin rozpoznał gest, lecz ani drgnął.

- Patrz - rzekł. - Karta kredytu planetarnego. Lavender znowu się zaśmiał.

- To też już słyszałem.

- Weź ją - zaproponował Bozart.

Kanciarz wziął laminowaną kartę. Szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

- Jest prawdziwa - podniósł wzrok, o wiele bardziej przyjazny. - Nigdy wcześniej takiej nie widziałem. Jakie są twoje warunki?

Tymczasem Olimpianie mijali ich, wszyscy ubrani na czarno-biało, dramatycznie kontrastowo. Niewiarygodne, geometryczne desenie zdobiły ich płaszcze i nakrycia głowy. Dwaj negocjatorzy ignorowali tubylców. Skupili się na swojej sprawie.

Benjacomin czuł się całkiem bezpiecznie. Złożył zobowiązanie na rok służby całej planety Viola Siderea w zamian za pełne i nieograniczone usługi kapitana Lavendera, byłego członka Cesarskich Komandosów Patrolu Wewnętrznej Przestrzeni. Podał mu kartę kredytową z wpisaną w nią gwarancją. Nawet na Olimpii znajdowały się maszyny księgowo, które przekazały umowę na samą Ziemię, przez co stawała się ważnym i wiążącym zobowiązaniem całej planety złodziei.

To jest pierwszy krok na drodze zemsty, pomyślał Lavender. Kiedy zabójca zniknie, jego pobratymcy będą musieli uczciwie zapłacić.

Popatrzył na złodzieja z troską lekarza.

Benjacomin pomylił ją z sympatią i w odpowiedzi przywołał na usta swój czarujący uśmiech. Szczęśliwy, wyciągnął prawą rękę, by przyklepać interes z Lavenderem. Uścisnęli sobie dłonie. Złodziej nigdy się nie dowiedział, co potwierdził tym gestem.

5

Szary ład. Szara trawa po horyzont. Żadnego oparcia dla wzroku, serdeńko. Żadnych gór, dużych ani małych, tylko pagórki i szara szarość. Przyjrzyj się migocącym, nierównym iskierkom wśród gwiazd.

To jest Norstrilia.

Całe bagno zniknęło. Cała praca, czekanie i ból.

Beżowo-brązowe owce leżą na niebieskoszarej trawie, a chmury pędzą nisko nad głowami, wyglądają jak płatanina żelaznych rur.

Wybieraj chore owce, człowieku, ta choroba przynosi profit. Wysmarkaj mi planetę, facet, albo wykrztuś działkę nieśmiertelności. Jeśli szaleństwo panuje tam, gdzie żyją skrzaty i trolle takie jak ty, jest ono również właśnie tutaj.

Zaprawdę tak powiedziano, chłopcze.

Jeśli nie widziałeś Norstrilii, to nic nie widziałeś. Jeśli ją zobaczysz, nie uwierzysz.

Na mapach nazywa się Starą Północną Australią...

Tutaj znajdowała się strzegąca planety farma. Tu mieszkała Hetka.

Posiadłość otaczały wieże połączone kablami. Część z nich zwisała szalonymi festonami, inne lśniły blaskiem, jakiego nie miał żaden inny metal sporządzony przez człowieka. Pomiędzy wieżami znajdowała się otwarta przestrzeń, dwanaście tysięcy hektarów betonu. Do jego powierzchni, wygładzonej z dokładnością do milimetra, docierały fale jednego radaru, drugi przemiatął ją w różnych kierunkach, działając z molekularną rozdzielczością. Farma pracowała. W jej środku stała grupka budynków. Tutaj Katherine Hetka spełniała obowiązki, które jej rodzina wzięła na siebie dla obrony tej planety. Nawet bakteria nie mogła się stąd wydostać ani tu przeniknąć. Cała żywność docierała przez transmiter przestrzenny. Na farmie żyły zwierzęta. Były całkowicie zależne od niej. Gdyby nagle umarła, wskutek wypadku czy ataku jednego z podopiecznych, władze planety dysponowały jej kompletnymi zapisami, mogły wyszkolić pod hipnozą kolejnych opiekunów zwierząt.

Tutaj szary wiatr ze wzgórz przyśpieszał nad szarym betonem, mijając wieże radarowe. Wypolerowany, pokryty fasetami, przechwycony księżyc wisiał zawsze dokładnie nad farmą. Wiatr uderzał w budynki, też szare, przelatywał nad otwartą betonową płaszczyzną i ze świstem ulatywał pomiędzy wzgórzami.

Sama dolina, w której stały budynki, nie wymagała kamuflażu. Wyglądała jak reszta Norstrilii. Beton podbarwiono lekko, by udawał kiepską glebę. Farma i kobieta - razem tworzyły zewnętrzną instalację obronną najbogatszej planety w historii ludzkości.

Katherine Hetka wyrzała przez okno. Za czterdzieści dwa dni pójdę na targ, pomyślała. To będzie bardzo miły dzień. Usłyszę tam tony giga.

Och, przechadzać się w dzień targowy tłumny

I lud mój zobaczyć radosny i dumny!

Odetchnęła głęboko. Kochała szare wzgórzka - pomimo że w młodości widziała wiele innych planet. Potem odwróciła się ku budynkom, ku zwierzętom i oczekującym ją obowiązkom. Oto mama Hetka i jej male ketki.

Przechodziła pomiędzy nimi. Wraz z ojcem wyhodowali je z nerek, z najdzikszych, najmniejszych, najbardziej szalonych nerek, jakie kiedykolwiek wyeksportowano z kolebki ludzkości. Poświęcili tym zwierzętom całe życie, żeby wszelkie inne drapieżniki trzymać z dala od owiec, w których powstawał scroon. Te norki urodziły się szalone.

Całe ich pokolenia hodowano tak, by wzmocnić psychozę. Żyły tylko po to, by umrzeć, i umierały, by przeżyć. Ketki Norstrilii. Zwierzęta, w których strach, wściekłość, głód i seks zostały dokładnie wymieszane; które potrafiły pożreć same siebie albo siebie nawzajem; które parząc się, wrzeszczały z żądzy mordy. Pały do samych siebie dziką, gwałtowną nienawiścią. Przeżywały jedynie dlatego, że świadome chwile spędzały przypięte mocno do

stolików, by nie mogły wyrzucić krzywdy sobie czy innym. Mama Hetka budziła każde z nich tylko na kilka chwil w ciągu całego jego życia. Rozmnażały się i zabijały. Budziła więc tylko dwa osobniki naraz.

Przez całe dzisiejsze popołudnie przechodziła od klatki do klatki. Zwierzęta dobrze spały. Odżywka wpływała wprost do ich żył; czasami pozostawały uśpione przez całe lata. Rozmnażała je, budząc samce tylko na chwilę; samice mogły nawet dalej spać, byle ich organizmy przyjęły zabieg. Musiała zabierać mioty od matek, które rodziły przez sen. Potem karmiła młode przez kilka krótkich tygodni szczęśliwego dzieciństwa; szybko zaczynały pojawiać się oznaki dorosłości: oczy przekrwione szaleństwem i napięciem; emocje ujawniające się w ostrym, paskudnym skrzeku niosącym się po budynkach; wykrzywanie się miłych, kosmatych pyszczków; przewracanie szalonymi, jasnymi oczami i zaciskanie się ostrych, bardzo ostrych pazurów.

Tym razem nie obudziła ani jednego, ale mocno je krępowała. Usuwała odżywiające kroplówki. Podawała środek stymulujący o opóźnionym działaniu, dzięki któremu po obudzeniu będą natychmiast w pełni świadome, bez początkowego otępienia.

W końcu sama zażyła silny lek uspokajający, rozsiadła się wygodnie w fotelu i czekała na sygnał.

Kiedy nastąpi wstrząs i przyjdzie sygnał, zrobi to, co już robiła tysiące razy. Włączy w całym laboratorium nieznośny hałas.

Setki zmutowanych nerek się obudzą. Głodne, pełne nienawiści, wściekłe i dyszące pożądaniem, zaczną szarpać się w więzach, pałać żądzą mordy - śmierci własnej, pobratymców, młodych, opiekunki. Będą walczyć ze wszystkimi i ze wszystkim.

Wiedziała, że tak będzie.

Pośrodku jej pokoju stało urządzenie - bezpośredni przekaźnik empatyczny zdolny do odbioru pewnych częstotliwości telepatycznych. Trafiały doń skupione emocje małych ketek mamy Hetki.

Najpierw wzmacniano wściekłość, nienawiść, głód, pożądanie; już na wejściu przekraczały wszelkie granice tolerancji. A potem częstotliwość, na której nadawano te emocje, była wzmacniana w kolejnym stopniu, tuż za studium, w wysokich wieżach stojących wokoło, na zboczach wzgórz. Sygnał biegł w górę, ponad dolinę, w której stało laboratorium, a obracający się księżyc odbijał transmisję swoimi wydrążonymi kawernami.

Z fasetowego księżycy przekaz trafiał do satelitów - szesnastu sputników pozornie należących do systemu kontroli pogody, które swoim zasięgiem pokrywały nie tylko przestrzeń, ale i najbliższą podprzestrzeń. Norstrilianie pomyśleli o wszystkim.

Krótkie sygnały alarmowe dobiegły z panelu transmitera mamy Hetki.

Nadeszło wezwanie. Straciła czucie w kciuku.

Rozjazgotał się alarm.

Norki się ocknęły.

W jednej chwili pomieszczenie wypełniło się skrzekiem, charkotem, sykiem, warczeniem i wyciem.

W tle zwierzęcych głosów brzmiał jeszcze jeden dźwięk: skrobanie i trzaski przypominające odgłos gradu walącego w tafłę zamrożonego jeziora. To setki nerek próbowały pazurami przedrzeć się przez metalowe płyty.

Mama Hetka usłyszała bulgotliwy charkot. Jedno ze zwierząt zdołało wydrzeć łapę z więzów i najpewniej rozszarpało własne gardło. Rozpoznała chrzęst pękającej skóry i

naczyń krwionośnych.

Usiłowała wyłować z panującego jazgotu słabnący głos tego osobnika, lecz pozostałe robiły zbyt wiele hałasu. Jedna norka mniej.

Kiedy siedziała, była chroniona przed telepatycznym sygnałem, ale nie całkowicie. Sama, choć już niemłoda, miała dziwne, dzikie myśli. Dygotała z nienawiści, myśląc o stworzeniach cierpiących koło niej - cierpiących potwornie, bo niemających osłony systemów ochronnych wbudowanych w system informacyjny Norstrilii.

Czuła dawno zapomniany żar pożądania.

Czuła głód, którego - jak uważała - nie pamiętała już nawet. Szarpały nią spazmy strachu setek zwierząt.

A jednocześnie jej nietknięty szaleństwem umysł zastanawiał się: Jak długo jeszcze to wytrzymam? Jak długo jeszcze muszę to wytrzymywać? Dobry Boże, bądź miłościw ludziom tego świata! Bądź miłościw mnie starej!

Zapaliło się zielone światełko.

Wdusiła przycisk po drugiej stronie fotela. Z sykiem napłynął gaz. Tracąc przytomność, wiedziała, że ketki również zapadają w nieświadomość.

Ocknie się przed nimi i wtedy będzie musiała usunąć tę, która rozszarpała sobie gardło, oraz te, które zginęły na atak serca; obejrzeć te, które przeżyły; opatrzyć im rany; zadbać o nie, żywe i śpiące - śpiące i szczęśliwe - rozmnażające się, żyjące we śnie do chwili, gdy nadejdzie kolejny sygnał budzący je, a wtedy się obudzą, by bronić skarbów stanowiących błogosławieństwo i przekleństwo jej ojczystej planety.

6

Wszystko poszło dokładnie tak jak trzeba. Lavender załatwił nielegalny statek planoformowy. Niebłaha dokonanie, jako że statki te były objęte ścisłymi licencjami i zdobycie nierejestrowanej jednostki stanowiło zadanie, nad którym cała planeta kanciarzy mogłaby strawić życie.

Lavender miał pieniądze - Benjacomina.

Uczciwe bogactwo planety złodziei zapłaciło za fałszerstwa i wielkie długi, wprowadzenie do komputerów wymyślonych transakcji dotyczących statków, ładunków i pasażerów, które niemal bez śladu utoną w interesach prowadzonych przez dziesięć tysięcy planet.

- Niech za to zapłaci - powiedział Lavender do jednego ze współników, pozornego kryminalisty będącego również norstriliańskim agentem. - To wyrzucanie pieniędzy w błoto. Lepiej zgarnij, ile się tylko da.

Tuż przed odlotem Benjacomina Lavender wysłał dodatkową wiadomość.

Przesłał ją wprost przez kapitana, który zazwyczaj nie zajmował się komunikacją. Kapitan był komendantem systemu łącznościowego Norstrilii, lecz otrzymał polecenie, by pod żadnym pozorem nie wyglądał na kogoś takiego.

Wiadomość dotyczyła licencji planoformowej - kolejnych dwudziestu kilku tabletek stroonu, które mogły obciążyć hipotekę Violi Siderei na kilkaset lat.

- Nie muszę tego przekazywać - odparł kapitan. - Odpowiedź brzmi: tak. Benjacomin wszedł do sterówki. Było to niezgodne z przepisami, lecz złodziej wynajął ten statek, by łamać prawo. Kapitan spojrzał na niego ostro.

- Jest pan pasażerem. Proszę wyjść.

- Ma pan na pokładzie mój mały jacht - odparł Benjacomin. - Jestem jedyną osobą na

pokładzie oprócz pańskiej załogi.

- Proszę wyjść. W przeciwnym razie zapłaci pan grzywnę.

- Dobrze. Zapłacę.

- Doprawdy? - zdziwił się kapitan. - Nie zapłaci pan dwudziestu tabletek stroonu. To śmieszne. Nikt nie ma tyle.

Benjacomin roześmiał się, myśląc o tysiącach tabletek, które wkrótce będą jego własnością. Musiał tylko opuścić statek planoformowy, uderzyć raz, ominąć ketki i wrócić.

Jego siła i bogactwo pochodziły teraz ze świadomości, że może je osiągnąć. Obciążenie hipoteki planety dwudziestoma tabletkami stroonu to niska cena, jeśli można za nią zdobyć ich tysiące.

- Nie warto - powtórzył kapitan - po prostu nie warto ryzykować dwudziestu tabletek za samą pańską obecność tutaj. Lecz za dwadzieścia siedem tabletek powiem panu, jak przeniknąć do norstriliańskiego systemu łączności.

Benjacomin stężał.

Przez chwilę myślał, że umrze. Tyle włożył pracy, taki ciężki przeszedł trening... Potem martwy chłopiec na plaży, hazardowa zagrywka kredytem, a teraz niespodziewany przeciwnik!

Postanowił stawić temu czoło.

- Co pan wie? - spytał.

- Nic - odpowiedział kapitan.

- Powiedział pan „norstriliański”.

- Dokładnie.

- Jeśli powiedział pan „norstriliański”, musiał pan to zgadnąć. Kto panu powiedział?

- A dokąd udawałby się człowiek poszukujący nieskończonego bogactwa? Jeśli się panu uda. Dwadzieścia tabletek to nic dla kogoś takiego jak pan.

- To równowartość dwustu lat pracy trzystu tysięcy ludzi - rzekł Benjacomin ponuro.

- Jeśli się panu uda, będzie pan miał więcej niż dwadzieścia tabletek, pańscy ludzie również.

Benjacomin pomyślał o wielu tysiącach tabletek.

- Tak. Wiem.

- Jeśli się nie uda, ma pan kartę.

- To prawda. Dobrze. Proszę o dostęp do sieci. Zapłacę dwadzieścia siedem tabletek.

- Proszę o kartę.

Benjacomin odmówił. Był dobrze wyszkolonym złodziejem, miał więc nosa do kradzieży. Potem pomyślał przez chwilę. Znajdował się w zwrotnym punkcie swego życia. Musiał zaryzykować.

Musiał zastawić kartę.

- Oznakuję ją i oddam.

Był tak podniecony, iż nie spostrzegł, że karta powędrowała do duplikatora, że transakcja została zarejestrowana, że do Centrum Olimpii przesłano wiadomość: straty i hipoteka planety Violi Siderei mają zostać przekazane pewnym agencjom handlowym na Ziemi na następne trzysta lat.

Otrzymał kartę z powrotem. Czuł się jak ucziwy złodziej.

Jeśli umrze, karta przepadnie i jego ludzie nie będą musieli płacić. Jeśli wygra, pokryje ten drobiazg z własnego kieszonkowego.

Usiadł. Kapitan dał znak szpilkarzom. Statek drgnął.

Lecieli przez pół godziny subiektywnego czasu. Kapitan miał na głowie hełm przestrzenny, wyczuwając, odnajdując i odgadując szlak, przeskakując z kamienia na kamień, wracając do domu. Musiał nieco sknocić przelot, by złodziej się nie połapał, że znajduje się w rękach podwójnych agentów.

Jednak kapitan był świetnie wyszkolony. Równie dobrze jak Benjacomin.

Agenci i złodzieje lecieli razem.

Splanoformowali wewnątrz sieci łączności. Benjacomin uścisnął im rękę.

- Możecie materializować się na mój znak.

- Powodzenia - powiedział kapitan.

- Musi mi się powieść - odparł Benjacomin.

Wsiadł do swojego jachtu kosmicznego. Szary kształt Norstrilii pojawił się na mniej niż sekundę przebywania w normalnej przestrzeni. Statek, który wyglądał jak zwyczajny magazyn, zniknął w przestrzeni planoformowej i jacht pozostał sam.

Poleciał w dół.

W tym momencie Benjacomin przeżył chwilę dezorientacji i przerażenia.

Nigdy nie spotkał kobiety żyjącej poniżej, lecz wyczuła go tak jasno jak potężnie wzmocniony gniew norek. Jego świadomość zadrżała pod druzgoczącym ciosem. Doświadczył poczucia subiektywnego rozciągnięcia przeżyć w czasie, które z jednej czy dwóch sekund uczyniło miesiące bolesnej, pijanej dezorientacji. Ukrył się pod falą własnej osobowości. Przekątnik na księżycu rzucił przeciwko niemu umysły norek. Synapsy jego mózgu przekonfigurowały się, by stworzyć różne możliwości zdarzeń, straszne doświadczenia, które nigdy nie przytrafiły się żadnemu człowiekowi. Potem jego świadomość rozpadła się, przeciążona stresem.

Odruchy podkorowe utrzymały się nieco dłużej.

Ciało walczyło kilka minut. Oszałałe z żądz i głodu, wygięło się w fotelu pilota, zęby głęboko wbiły się w ramię. Pchana pożądaniem lewa ręka wbiła się w twarz, wydzierając lewą gałkę oczną. Benjacomin Bozart wrzeszczał ze zwierzęcej żądz, usiłując pożreć się sam... co mu się częściowo udało. Przemóżny telepatyczny przekaz wysłany przez male ketki mamy Hetki wżarł się w jego mózg.

Zmutowane norki rozbudziły się całkowicie.

Satelity przekątnikowe zatrąły całą przestrzeń wokół niego szaleństwem, dla którego wyhodowano te zwierzęta.

Ciało Bozarta nie pożyło długo. Po kilku minutach miał rozdarte arterie, głowa zwisała mu na piersi, a jacht opadał bezwładnie ku magazynom, które miał splądrować. Przechwyciła go norstriliańska policja.

Policjanci czuli się paskudnie. Wszyscy. Wszyscy byli bladzi. Niektórzy wymiotowali. Znaleźli się na skraju strefy nerkowej obrony. W najciemniejszym i najsłabszym paśmie przekazu telepatycznego. To wystarczyło, żeby wyrzucić im poważną krzywdę.

Nie chcieli wiedzieć.

Chcieli zapomnieć.

Jeden z młodych policjantów popatrzył na ciało i spytał:

- Co mogło człowieka doprowadzić do czegoś takiego?

- Podjął się niewłaściwej roboty - odparł jego kapitan.

- Jaka to jest niewłaściwa robota?

- Niewłaściwa robota to próba obrabowania nas, chłopcze. Jesteśmy chronieni i wcale nie

chcemy wiedzieć, w jaki sposób się to dzieje.

Młody policjant, upokorzony aż do gniewu, sprawiał wrażenie, jakby zamierzał przeciwstawić się przełożonemu, nie patrząc przy tym na ciało Benjacomina Bozarta.

- Wszystko w porządku - ciągnął starszy rangą policjant. - Umarł szybko, a to właśnie on niedawno zabił tego chłopca, Johnny'ego.

- Och, to on?

- Sprowadziliśmy go tutaj. Znalazł własną śmierć. Ciężki los, prawda? Wentylatory szumiały cicho. Zwierzęta znów spały. Struga świeżego powietrza spłynęła w stronę mamy Hetki. Przekaznik telepatyczny wciąż był włączony. Zaczęła czuć samą siebie, hangar, fasetowy księżyc, małe satelity. Nigdzie ani śladu rabusia.

Niezdarnie wstała. Ubranie miała przepocone. Potrzebny jej był prysznic...

Daleko, na kolebce ludzkości, Obwód Kredytów Handlowych piskliwie zwrócił na siebie uwagę ludzi. Młodszy podkierownik Instrumentalicy podszedł do maszyny i wyciągnął rękę.

Urządzenie zgrabnie wrzuciło mu kartę w dłoń.

- Dłużnik Viola Siderea, kredyt Przyszłości Ziemi, subkredyt z konta Norstrilii, czterysta milionów megasobolat.

Chociaż był sam w pomieszczeniu, gwizdnął z zaskoczenia.

- Zanim to spłacą, my wszyscy będziemy martwi, ze stroonem czy bez stroona!

Wyszedł przekazać kolegom dziwną wiadomość. Maszyna, nie dostawszy karty z powrotem, sporządziła następną.

Pod wieloma względami Brian W. Aldiss był enfant terrible późnych lat pięćdziesiątych. Zrewolucjonizował świat fantastyki naukowej i wstrząsnął nim swoim nieokiełznanym temperamentem i pirotechniczną doskonałością języka w takich opowiadaniach, jak Biedny, mały wojownik, Na zewnątrz. Kto zastąpi człowieka, Kiedy ranne wstają zorze (Old Hundredth) czy The New Father Christmas. Jego klasyczne powieści Non Stop i Ciepłarnia (w Ameryce ukazały się pod tytułami Starship i The Long Afternoon of Earth) zachwycają mrocznym pięknem i poetycką wizją zburzonego porządku świata, w którym podbój kosmosu przez rodzaj ludzki kończy się porażką - inaczej niż stanowił ówczesny dogmat campbellowski. Wszystko to uczyniło z Aldissa jednego z najbardziej kontrowersyjnych pisarzy fantastycznych. Kilka lat później wstrząsnął światem SF lat sześćdziesiątych jeszcze bardziej dramatycznym i drastycznym Barefoot in the Head, niosącym przerażającą Joyce'owską ideę acidhead war, oraz uchylającym wszelkim konwencjom An Age (w USA Cryptozoic) i surrealistyczną powieścią Report on Probability A, potwierdzając swój status jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci epoki Nowej Fali.

Aldiss jednak nigdy nie chciał uprawiać zbyt długo żadnego z konkretnych gatunków SF. Do 1976 roku wypracował sobie pozycję, pisząc dwa bestsellery należące do głównego nurtu SF -The Hand Reared Boy i A Soldier Erect -oraz Frankenstein Unbound, utrzymaną w dziwnym stylu przetworzonego gotyku. Następnie wydał The Malacia Tapestry, liryczne arcydzieło, jedną z najlepszych swoich książek i bez wątpienia jedną z najlepszych powieści lat siedemdziesiątych. W następnej dekadzie pojawiła się doskonała trylogia Helikonii - Wiosna Helikonii, Lato Helikonii i Zima Helikonii, a pod koniec lat osiemdziesiątych już tylko najbardziej uparci krytycy mogli zaprzeczać, że Aldiss jest jednym z gigantów SF, postacią o głębokim wyczuciu artystycznym i zdumiewającym zapale, który nie zmniejszył się przez ponad trzydzieści lat jego działalności.

Chociaż niestrudzona, ambitna praca, która zawsze odzwierciedlała poszukiwania nowych, niezbadanych horyzontów, odsuwała go nieraz od klasycznego układu powieści SF, Aldiss zawsze miał ogromne zamiłowanie do space oper w najpierwotniejszym, spektakularnym i zawadiackim stylu. Jako wydawca wprowadził na rynek niektóre z kluczowych antologii tego gatunku, m.in. Space Opera, Space Odysseys, Perilous Planets i dwutomową Galactic Empires. Monumentalne autorskie dzieło Aldissa Ciepłarnia, choć odbiega od głównego nurtu space opera, jest jedną z najbardziej klasycznych wizji odległej przyszłości Ziemi. Z całą pewnością powieść ta jest również kamieniem węgielnym podgatunku science fantasy, spokrewnionego ze space operą i czasem tak podobnego, że wszelkie różnice między tymi dwoma gatunkami pozostają niemal poza granicami świadomości. Niewielu pisarzy SF miało wystarczającą wyobraźnię, zdolności poetyckie i wizjonerskie, aby przekonująco opowiadać o naprawdę odległej przyszłości. Wymieniając Olafa Stapledona, Clarka Ashtona Smitha, Jacka Vance'a, Gene Wolfe'a, Cordwainera Smitha, Michaela Moorcocka i M. Johna Harrisona, wyczerpiemy listę autorów, którzy w pełni poradzi sobie z wszelkimi zawilościami tematu. Brian W. Aldiss był w tym niemal ekspertem, podejmując trudny wątek z wdziękiem i bogactwem poetyckiej wyobraźni w takich opowiadaniach, jak Kiedy ranne wstają zorze, The Worm That Flies i Full Sun oraz w trylogii Helikonii. Mistrzowsko rozprawił się z tematem również w The Malacia Tapestry.

Rzecz zastanawiająca - jednym z najbardziej zapamiętanych spotkań Aldissa z gatunkiem kosmicznych przygodówek stała się krótka, elegancka i refleksyjna zarazem opowieść, prezentowana w niniejszym zbiorze. Opowiadanie to wskazał Roger Zelazny jako

bezpośrednią inspirację do napisania własnego Bramy jego twarzy, lampy jego ust. Wpływ tej historii uwidocznił się także całe dziesięciolecie później w dziełach Michaela Bishopa The White Otters of Childhood i Michaela Swanwicka Stacje przyptywów, a także bez wątpienia w wielu innych utworach.

Brian W. Aldiss uprawiał fantastykę naukową przez blisko czterdzieści lat i ma na swoim koncie więcej niż dwa tuziny książek. Ciepłarnia zdobyła w 1962 roku nagrodę Hugo, długie opowiadanie Saliva Tree -Nebula w 1965, a za powieść Non Stop Aldiss otrzymał w 1977 roku nagrodę Juliusza Verne'a. Kolejną nagrodę Hugo zdobył w 1987 roku za stworzone pospołu z Davidem Wingrove'em krytyczne studium fantastyki naukowej - Trilion Year Spree. Inne jego dzieła to m.in. Moreau's Other Island (w USA An Island Called Moreau), Greybeard, Enemies of the System, A Rude Awakening (Horatio Stubbs #3), Life in the West, Forgotten Life, Remembrance Day (Squire #1) i Dracula Unbound oraz wspomnienia Bury My Heart at W.H. Smith's. Opowiadania zostały zebrane w wielu tomach, m.in. Space, Time, and Nathaniel, New Arrivals, Old Encounters, Galaxies Like Grains of Sand, Seasons in Flight, A Tupolev Too Far; w wydany w Polsce wyborze Kto zastąpi człowieka. Aldiss był również autorem wielu antologii, jak The Penguin Science Fiction Omnibus, Decade: the 1940s, Decade: The 1950s i Decade: The 1960s (razem z Harrym Harrisonem). Jego ostatnie książki to m.in. powieść Somewhere East of Life (Squire #2) oraz zbiór The Secret of This Book (w USA Common Clay: 20-Odd Stories). Wkrótce potem przypomniał o sobie autobiografią In the Twinkling of an Eye.

Brian W. Aldiss

RODZAJ SZTUKI

1

Olbrzym wyłaniający się z szarej odnogi morza, sięgającej w głąb fiordu, mógłby ponad koroną stromych klifów ujrzeć Endehaaven rozciągające się na samym krańcu wyspy.

Derek Flamifew Ende widział miasto z wysokiego okna; rosnący niepokój i obawa przed kłótnią sprawiły, że dostrzegał wszystko ze szczególną ostrością - jak krajobraz przed burzą, promieniujący niezwykle intensywnym nadfioletem. Chociaż ciepło patrzył całą twarzą, jego wzrok błędził daleko poza posiadłością.

W Endehaaven wszystko było posepnie schludne; sporo o tym wiedziałem, gdyż miałem obowiązek dbać o porządek. Ogrody zbudowano po to, by utrzymać wiecznie zielone rośliny i krzewy, które nigdy nie zakwitają; był to kaprys Milady, bo lubiła połączenie spokoju z poszarpaną, nierówną linią wybrzeża. Dom - esencja Endehaaven - był wysoki, prosty, bez żadnych ozdób. W dawnych czasach uznano by, że taka konstrukcja nie może istnieć. Tysiące wbudowanych w nią generatorów antygravitacji podtrzymywało masę kamiennej budowli - ciężar, który w dużej mierze był złudzeniem.

Pomiędzy budynkiem i fiordem, tam gdzie ogród przechodził w promenadę, mieściło się laboratorium Milady. Były w nim wszystkie jej zwierzęta, a w tej chwili - zaiste - także Milady we własnej osobie. Jej szczupłe ramiona pełne były mininutрии i aguti. Stałem tam wraz z nią, doglądałem klatek dla zwierząt, podawałem instrumenty lub mieszałem w zbiornikach. Robiłem zawsze, co kazała. A z góry spoglądały na nas oczy Dereka Ende - nie, patrzyły tylko na nią.

Derek Flamifew Ende pochylał twarz nad kielichem receptora, odczytując wiadomość z

Pierwszej Gwiazdy. Impulsy delikatnie przebiegały po jego obliczu i czułkach wyrastających z czoła. Chociaż Derek spoglądał w dół, wpatrzony w boleśnie znajomy krajobraz swojego życia, wciąż bardzo wyraźnie ciepłowiedział przekaz. Kiedy skończył, zanegował receptor, przycisnął do niego twarz i wysłał odpowiedź:

- Postąpię zgodnie z zaleceniami, Pierwsza Gwiazdo. Natychmiast udam się na Festi XV w Łabędziu i nawiążę kontakt z istotą, którą nazywacie Klifem. Jeśli będzie to możliwe, wypełnię wasze polecenie i przywiozę jego fragment na Pyrylyn. Dziękuję za pozdrowienia i przesyłam swoje w najlepszej wierze. Do widzenia.

Wyprostował się i rozmasował twarz - ciepłopatrzenie na odległość wielu lat świetlnych było niezmiennie męczące, zupełnie jakby wrażliwe mięśnie twarzy wiedziały, że wysyłają maleńkie ładunki elektrostatyczne przez parseki próżni i były tym przerażone. Powoli, w miarę jak Derek przychodził do siebie, jego czułki także się rozluźniły. Czekał go długi lot do mgławicy w Łabędziu, a zadanie, które mu wyznaczono, mogłoby odstraszyć najmężniejsze serce na Ziemi. Jednak nie z tego powodu Derek się ociągał - przed wyjazdem musiał pożegnać się ze swoją Panią i Kochanką.

Rozsunął drzwi, przemierzył korytarz stałą drogą, przykrywając stopami wzór mozaiki, którego wyuczył się dawno temu, w dzieciństwie, i wkroczył do szybu antygravitacyjnego. Parę chwil później opuszczał już główny korytarz, zbliżając się do posępnie milczącej Milady. Przed nią, na poziomie zwierzęcym kłębiły się gryzonie, z tyłu zaś wyrastały brudnoszare z tej odległości wyżyny Vatna Jokull.

- Wejdz do budynku, Hols, i przynieś mi kasetkę z obrączkami - poleciła. Minałem więc mojego pana, który podążył w kierunku Milady. Nie poświęcił mi więcej uwagi niż pozostałym parteno. Kiedy wróciłem, wciąż stała odwrócona do niego plecami, choć Derek mówił do niej natarczywie.

- Wiesz, pani, że mam obowiązki - usłyszałem. - Tylko urodzonym na Ziemi, którzy przyszli na świat w naturalny sposób, można powierzyć ten rodzaj zadania.

- Ten rodzaj zadania! Galaktyka jest niewyczerpanym złożem takich wyzwań! W ten sposób możesz bez końca usprawiedliwiać swoje wycieczki.

- Nie możesz tak mówić - rzekł błagalnie w stronę jej pleców. - Powiedziałem ci wszystko o naturze Klifa. Wiesz dobrze, że to nie wycieczka, lecz zadanie wymagające wielkiej odwagi. Wiesz również, że z jakiejś przyczyny tylko urodzeni na Ziemi mają ten rodzaj odwagi... prawda, pani?

Chociaż zbliżyłem się do nich, przesuając się uniżenie pomiędzy klatką i zbiornikiem, nie zwrócili na mnie uwagi. Nie zadali sobie nawet trudu przyciszenia głosów. Milady wpatrywała się w szare wyżyny, jej twarz była równie posępna jak one. Jeden czułek zadrgał, kiedy powiedziała:

- Sądzisz, że jesteś wielki i wspaniały, prawda?

Dobrze znała magiczną moc współodczuwania. W złości nigdy nie wymawiała jego imienia. Jakby chciała, żeby zniknął...

- To nie tak - odpowiedział z pokorą. - Proszę, bądź rozsądna, pani. Wiesz, że muszę jechać. Mężczyzna nie może siedzieć przez cały czas w domu. Proszę, nie bądź zła.

W końcu odwróciła się do niego. Twarz miała wyniosłą, surową i zimną; nie odbierała. Było w niej ciągle jakieś przerażające piękno, którego nie umiałem opisać - chyba że znużenie i wiedza mogą współtworzyć urodę. Jej oczy były tak szare i dalekie jak fryz ośnieżonego wulkanu za jej plecami. Och, moja pani! Była cały wiek starsza od Dereka, chociaż różnica lat

była widoczna w jej autorytecie, a nie w wyglądzie, gdyż cera Milady pozostanie świeża jeszcze przez następne milenium.

- Nie jestem zła, tylko skrzywdzona. Wiesz, jak bardzo potrafisz mnie ranić.

- Pani... - postąpił krok w jej kierunku.

- Nie dotykaj mnie! Jedź, jeśli musisz, lecz nie czyn z tego farsy. Ujął ją za łokieć. W zagięciu jej ramienia siedziała spokojnie jedna z mininutrii - zwierzęta zawsze łagodniały pod dotknięciem Milady.

- Nie chcę cię ranić, pani. Wiesz, że jesteśmy winni posłuszeństwo Pierwszej Gwieździe. Muszę dla nich pracować. Jak inaczej moglibyśmy utrzymać naszą posiadłość? Niech chociaż raz odjadę żegnany z miłością.

- Miłość! Wyjeżdżasz i zostawiasz mnie samą z garstką parteno, i mówisz o miłości?! Nie udawaj, że nie cieszy cię możliwość ucieczki ode mnie. Jesteś mną zmęczony, prawda?

- To nie tak... - odparł ze znużeniem, jakby nie spodziewał się usłyszeć nic innego.

- Widzisz?! Nawet się nie starasz, aby twoje słowa brzmiały szczerze. Wyjeżdż. Nieważne, co się ze mną stanie.

- Och, jak bardzo litujesz się nad sobą.

Na lodowatej pochyłości jej policzka pojawiła się łza. Milady odwróciła się, aby jej rozbłysk nie uszedł uwagi Dereka.

- Któż inny ma się nade mną zlitować? Nie ty, inaczej nie uciekałbyś ode mnie, jak teraz. Załóżmy, że Klif cię zabije. Co wtedy stanie się ze mną?

- Powrócę na pewno, moja pani. Nie obawiaj się.

- Łatwo powiedzieć. Dlaczego nie masz odwagi, by przyznać, że tak naprawdę po prostu cieszysz się, że mnie opuszczasz?

- Ponieważ nie zamierzam wdawać się w kłótnię.

- Ach, znowu mówisz jak dziecko. Nie odpowiesz mi, prawda? Raczej uciekniesz, uchylając się od swoich obowiązków.

- Wcale nie uciekam!

- Oczywiście, że tak, niezależnie od tego, co udajesz. Jesteś po prostu niedojrzały.

- To nieprawda! I wcale nie uciekam! Trzeba prawdziwej odwagi, aby zrobić to, czego się podjąłem.

- Masz o sobie nad wyraz dobre mniemanie! Odwrócił się po tych słowach, rozzłoszczony, bez godności. Zaczął iść, a potem biec w kierunku platformy lądowiska.

- Derek! - zawołała.

Nie odpowiedział. Chwyciła przycupniętą mininutrię za kark i ze złością cisnęła do pobliskiego zbiornika z wodą. Gryzoń zamienił się w rybę i odpłynął w głębiny.

2

Derek podróżował do mgławicy w Łabędziu swoim szybkim żaglowcem świetlnym. Podobny do ogromnej płetwy lub łuku statek żeglował samotnie, upstrzony jednostkami fotonowymi, które wysysały energię napędową z gęstej, zakurzonej pustki kosmosu. W połowie drogi do mieszkalnej części statku znajdowała się kapsuła, w której uspiiony Derek spędził większą część podróży. Dzień zmartwychwstania - dzień, który nie był dniem - przywitał na łóżku terapeutycznym. Delikatne mechaniczne dłonie usuwały zeszywnienie z mięśni. W retorcie zabulgotała zupa i popłynęła w kierunku ssawki umieszczonej przy jego ustach. Napił się, a potem zasnął znowu, zmęczony długim brakiem aktywności. Kiedy się ocknął, zwałował się powoli z łóżka i gimnastykował przez piętnaście minut. Potem poszedł do

dyspozytorni, w której był mój przyjaciel Jon.

- Jakie wieści? - zapytał Derek.

- Wszystko w porządku, mój panie - odpowiedział Jon. - Właśnie w tej chwili wchodzimy na orbitę Festi XV.

Derek podał koordynaty i odszedł, aby się posilić.

Praca Jona była najbardziej samotnym zajęciem, jakie mógł wykonywać parteno. Jesteśmy hodowani według ściśle kontrolowanej formuły, bez wrodzonych właściwości kodu genetycznego, które zapewniają prawdziwym urodzonym na Ziemi ich zdumiewającą długowieczność. Jeszcze pięć długich rejsów i Jon zużyje się, zestarzeje i będzie nadawać się jedynie do przeróbki w transmutterze.

Derek usiadł przy pulpicie sterowniczym. Czy patrząc na oblicze Festi, widział jednocześnie inną twarz, ukochaną i groźną? Myślę, że tak. Nawet największe kłębowisko chmur nie było w stanie przesłonić Derekowi chmurnego oblicza jego pani. Cokolwiek jednak widział, wprowadził świetlny żaglowiec na szybką, niską orbitę wokół niegościnniej planety. Słońce Festi było tylko jaskrawym punktem, oddalonym o jakieś miliard dwieście milionów kilometrów. Kiedy zeszli na orbitę, wyglądało jak światła statku zawieszane nad niespokojnym morzem chmur.

Przez dłuższą chwilę siedział z twarzą ukrytą w kielichu receptora, sprawdzając ciepło terenu, który rozciągał się pod nimi. Nie było to łatwe, gdyż miał do czynienia z temperaturami bliskimi zeru absolutnemu. Mimo to nie mógł przegapić cielska Klif a, kiedy pojawiło się w zasięgu jego ciepłowzroku. Widział go wyraźnie, jak na ekranie radaru.

- Jest! - wykrzyknął.

Jon podszedł do pulpitu. Wprowadził koordynaty czasowe do pamięci żaglowca, poczekał chwilę i odczytał przewidywany czas, kiedy Klif ponownie znajdzie się pod nimi.

Derek rozpoczął przygotowania do skoku. Bez pośpiechu włożył specjalny kombinezon, sprawdzając po kolei każdą jego część. Otwierał silniki antygravitacyjne, dopóki nie uniosły go w górę, dopinał każdy zatrzask, aż w końcu kombinezon okrył go szczelnie jak pancierz.

- Trzysta dziewięćdziesiąt pięć sekund do kolejnego zenitu, panie - poinformował Jon.

- Wiesz, w jaki sposób mnie odebrać?

- Tak, proszę pana.

- Nie będę włączał radiolatarni, dopóki nie znajdę się znowu na orbicie.

- Zrozumiałem, proszę pana.

- Dobrze. Zatem ruszam.

Zamknięty w swoim małym, ruchomym więzieniu potoczył się niezgrabnie w kierunku śluzy powietrznej. Trzy minuty przed czasem, w którym mieli znaleźć się nad Klifem, otworzył zewnętrzne drzwi i zanurkował w morze chmur. Krótki odrzut silniczków wbudowanych w kombinezon wyniósł go poza orbitę żaglowca świetlnego. Gdy spadał, chmury pochłonęły go jak śmierć.

Dwadzieścia niegościnniej planet, które krążyły wokół Festi, kryło zaledwie nieskończenie drobną część tajemnic Galaktyki. Każdy glob we wszechświecie trzymał dla siebie tajemny cel swojego istnienia. Czasem - tak jak na Ziemi - przejawiał się on w obecności stworzeń, które potrafiły kształtować siebie, wdzierać się w przestrzeń kosmosu i wykuwać ścieżkę prowadzącą ich do stworzenia cywilizacji poza rodzimą planetą. Cel istnienia innych planet pozostawał mroczny i niezbadany. Tylko urodzeni na Ziemi, przędący swoje niepojęte wzory woli i przymusu, mieli odwagę, by rzucić wyzwanie tym obcym bytom

i wyszarpnąć im nową wiedzę, którą można dodać do już istniejącej puli.

Każdy rodzaj wiedzy pozostawia ślad. Przez tysiące lat od czasu, gdy loty międzygwiazdne stały się powszechną praktyką, rodzaj ludzki był niedostrzegalnie kształtowany przez własne odkrycia. Wraz z utratą niewinności, stabilność genetyczna gatunku uleciała przez wielkie galaktyczne okno. Ludzie spadali jak deszcz na kolejne planety i człowiek jako gatunek stracił swój pierwotny wzór dziedziczny. Każdy ośrodek cywilizacji wykształcał nowe myślenie, odczuwanie, formę - nową odmianę życia. Jedynie na starej Ziemi człowiek wciąż jeszcze nieco przypominał szczerp z czasów przedgwiazdnych. Dlatego właśnie urodzony na Ziemi nurkował jako pierwszy w nieznaną, aby spotkać się z istotą zwaną Klifem.

Klif niszczył każdy statek kosmiczny i świetlny żaglowiec, który wylądował na jego samotnym globie. Po długich badaniach, prowadzonych z bezpiecznie odległej orbity, uczeni z Pierwszej Gwiazdy zbudowali teorię, według której Klif miał niszczyć każde duże źródło energii, tak jak człowiek pozbywa się natrętnej muchy. Derek Ende korzystał wyłącznie z silników kombinezonu, powinien zatem być bezpieczny - przynajmniej tak głosiła teoria.

Wykorzystując antygravitatory, zanurzał się coraz wolniej w planetarną noc. Ostatni strzęp chmury został zdmuchnięty z jego ramion, silny wiatr zagwizdał i zabębnił wokół wzmacniaczy kombinezonu. W dole zamajaczył ład. Derek przyspieszył tempo opadania, aby wiatr nie zniósł go dalej, i już po chwili wylądował z impetem na Festi XV. Przez kilka minut leżał odpoczywając i czekał, aby jego kombinezon przestygł.

Ciemność nie była całkowita. Chociaż na powierzchnię globu prawie nie padało światło słoneczne, z ziemi wydobywały się zielone płomienie, oświetlając zarysy tego pustkowia. Aby przyzwyczaić oczy do mroku, Derek nie włączył reflektorów zamontowanych w kasku, na rękawach i z przodu kombinezonu. Coś, co przypominało strumień światła, przepłynęło po jego lewej stronie. Promieniowanie było słabe i zanikające, myliło siebie z własnym cieniem. Dym, który wydzielało to coś, rwał się w kawały pod wpływem wielkiego ciężenia planety i przetaczał się wokół strumienia. W oddali widniało większe źródła ognia - najprawdopodobniej płonął tam zanieczyszczony etan i metan, skwiercząc niczym smażyć się stek. Jednocześnie tryskał w górę niebieskim płomieniem energii, który pełzał po brzuchach nisko wiszących chmur. W innym miejscu jaskrawiący się na wzniesieniu gejzer płomieni, owinięty gęstym, wirującym całunem dymu, ciągnął się ku niebu jak gęsty kisiel. Gdzie indziej jeszcze słup białego ognia płonął bez ruchu i bez śladu dymu. Wyglądał jak absolutnie doskonały miecz świetlny. Derek widział go po swojej prawej stronie. Pokiwał głową z aprobatą - wylądował we właściwym miejscu. Znajdował się w Regionie Światła. Tu mieszkał Klif.

Już samo podziwianie scenerii, której nigdy przedtem nie oglądał żaden człowiek, było nadto satysfakcjonujące. Derek leżał, z zadowoleniem kontemplując okolicę, dopóki nie uświadomił sobie, że spory obszar krajobrazu nie odbija nawet odrobiny światła. Uważnie zbadał to miejsce ciepłowzrokiem i zrozumiał, że ma przed sobą Klifa. Ogromne cielsko pochłaniało wszystkie światła pochodzące z ziemi i przesłaniało chmury ponad jego grzbietem. Na sam widok pierwotne i wtórne serce Dereka zaczęło bić w szaleńczym rytmie przerażenia. Antygravitatory redukowały ciężenie do jednego g, więc leżąc rozciągnięty płasko na ziemi, wpatrywał się w stworzenie. Przełknął, aby przeczyścić zaciśnięte gardło. Jego wzrok z wysiłkiem przedzierał się przez mozaikę nikłego światła, próbując rozpoznać kontury Klifa.

Był ogromny! Derek przeklinał, że mimo fotozytorów, które pozwalały mu używać

ciepłowzroku do obserwacji otoczenia, gdy nosił kombinezon, odbiór termiczny był teraz zniekształcony przez nieustające popisy ogni sztucznych nad ziemią. W jednej, niespodziewanej chwili zobaczył Klifa wyraźnie. O kilometr stąd! Na samym początku Derek miał wrażenie, że dzieli ich odległość nie więcej niż stu metrów. Teraz wiedział już, jak olbrzymie rozmiary ma Klif. Napawał się jego widokiem. Jedyny rodzaj zadań, których warto się podjąć, to te niemożliwe do wykonania. Astrofizycy Pierwszej Gwiazdy zaobserwowali, że Klif posiada swego rodzaju świadomość. Zażądali więc, aby Derek przywiódł ze sobą fragment jego ciała. W jaki sposób można pokroić stworzenie wielkości małego księżycyca?!

Przez cały czas wiatr szarpał wspornikami i kablami kombinezonu. Stopniowo Derek zrozumiał, że wibracje, które odczuwał z tego powodu, uległy zmianie, przybierając nową nutę i nową siłę. Rozejrzał się i położył dłoń w rękawicy przed sobą na ziemi. To nie był wiatr - to ziemia, cała planeta się trzęsła. Klif zaczął się przemieszczać! Kiedy Derek spojrzął za siebie oboma zmysłami, zrozumiał, że stworzenie, drgając rytmicznie, sunie w jego kierunku.

Jeśli to jest inteligentne, uzna, że jestem zbyt mały, aby mnie skrzywdzić. Zatem i ono nie wyrządzi mi krzywdy, nie mam się czego obawiać, tłumaczył sobie w myślach Derek. Logika argumentów nie przydała mu pewności siebie. Chłonna nibynóżka, uaktywniona przez wrażliwy na wilgoć gruczoł nad brwiami kasku, prześlizgnęła się po czole Dereka, usuwając pot. Widoczność była kiepska. Derek wciąż raczej wyczuwał, niż widział powoli napływającą masę Klifa. Wędrujący dywan chmur zasłonił grzbiet stworzenia, ono z kolei zaćmiło fontanny ognia. Wibracje wywołane przemieszczaniem się Klifa przeszywały Dereka do szpiku kości. Zareagowało jednak nie tylko jego ciało. Nogawki i rękawy kombinezonu Dereka zaczęły się poruszać, a korpus wić. Zaskoczony Derek zablokował nogi w stawach. Jednak przeguby nogawek kombinezonu zginały się uparcie wraz z jego kolanami. Również ramiona, choć Derek starał się utrzymać je sztywno przy ziemi, zostały zmuszone do ugięcia w łokciach przez ruch kombinezonu. Nie mógł trwać w bezruchu, jeśli nie chciał mieć połamanych kości.

Poważnie zaniepokojony leżał, zwijając się i machając kończynami jak idiota, starał się dostosować do rytmu kombinezonu. Ten zaś zaczął poruszać się do przodu, zupełnie jakby właśnie nauczył się pełzać. Przesuwał się powoli naprzód, a Derek, chcąc nie chcąc, wraz z nim. Uderzyła go pewna ironiczna myśl: nie dość, że góra przychodziła do Mahometa - Mahomet z musu przychodził do góry...

3

Nie mógł nic zrobić - nie był już panem swojego losu, a przynajmniej nie panował nad swoimi ruchami. Na nic zdała się teraz jego wola. Wraz z tą świadomością napłynął pewien rodzaj ulgi. Jego Pani i Kochanka nie będzie mogła obwiniać go o to, co się teraz wydarzy. Zamknięty w swoim ożywionym więzieniu, poprzez mrok, po omacku, na czworakach pełznął w kierunku zbliżającego się Klifa. Pewnie jego kombinezon w jakiś sposób zainteresował Klifa. Dlaczego - tego Derek nie wiedział ani nie próbował zgadywać. Po prostu pełznął. Był teraz prawie całkowicie rozluźniony, pozwalał swoim kończynom biernie dostosowywać się do ruchów kombinezonu.

Dym owinał się wokół niego. Wibracje ustały. Klif przestał się przemieszczać. Derek uniósł głowę, lecz nie widział nic prócz dymu, który powstał prawdopodobnie na skutek tarcia wielkiego cielska o podłoże. Kiedy opary rozrzedziły się, ujrzał tylko ciemność. Klif był dokładnie przed nim! Nagle, wciąż mimowolnie małpując ruchy kombinezonu. Derek zaczął się wspinać po ciastowatej substancji, wytrzymałej, lecz elastycznej. Kombinezon z trudem podążał w górę pod kątem sześćdziesięciu stopni. Wzmocnienia pękały, antygravitatory

rzęziły, gdy Derek wspinał się na Klifa. W tej chwili był już absolutnie pewien, że stworzenie to posiada coś, co można by określić wolą, jeśli nie świadomością. Ma także moc, o której człowiek mógł tylko zamarzyć - potrafi kierować swoją wolę ku obiektom nieożywionym, jak kombinezon Dereka. Bezsilny w jego wnętrzu. Derek snuł dalej swoje rozważania: siła pozwalająca stworzeniu przekazywać swoją wolę miała prawdopodobnie ograniczony zasięg. W innym wypadku Klif na pewno nie zadałby sobie trudu, aby przemierzyć dzielącą ich odległość. Jeśli to prawda, świetlny żaglowiec jest bezpieczny na orbicie.

Ruchy ramion oderwały Dereka od rozważań. Kombinezon drażył tunel w cielsku Klifa. Derek pozwolił, aby jego ręce wykonywały ruchy pływaka. Jeśli kombinezon zamierzał wwiercić się w Klifa, najpewniej zostanie strawiony w jego wnętrzu. Derek powstrzymał odruch walki, wiedząc, że nie przyniesie żadnego efektu. Kombinezon wdierał się w głąb, przebijał się przez ciastowatą materię. Tworzył przy tym mały, syczący świat ruchu i tarcia, który przestał istnieć dokładnie w chwili, gdy kombinezon się zatrzymał. Derek znalazł się w najsolidniejszej izolacji.

Aby odwrócić niebezpieczeństwo nadciągającego ataku klaustrofobii, spróbował włączyć reflektory kasku. Rękawy kombinezonu były tak sztywne, że nie mógł zgąć ich na tyle, aby dosięgnąć przełącznika. Mógł jedynie leżeć bezsilnie zamknięty w swojej skorupie i gapić się w bezpostaciową czerń. Jednak ciemność ta nie była całkowicie bezkształtna. Uszy Dereka pochwyciły ciągły odgłos ślizgania się czegoś po zewnętrznej powierzchni kombinezonu. Ciepłowzrokiem rozpoznał abstrakcyjny deseń na zewnątrz kasku. Chociaż wyostrzył odbiór swoich czułek, nie mógł odnaleźć w tym wzorze żadnego sensu - ani symetrii, ani żadnego znaczenia... Jednak jego ciało najwyraźniej zrozumiało. Derek czuł, że trzęsą mu się nogi. Odczuwał też wewnątrz siebie pulsowanie i ulotne wrażenia, jakich nie doświadczał nigdy przedtem. Do jego umysłu przesączała się świadomość, że oto dotyka potęgi, o której nic nie wie. I na odwrót - kontaktowało się z nim coś, co nie miało pojęcia o zdolnościach Dereka.

Ziemiąninem zawładnęła ogromna ociężałość, jakby wyczerpały się jego siły życiowe. Wyraźniej niż przedtem wyczuwał ogromne cielsko Klifa. Pomyślał, że stworzenie zmniejszyło się pod wpływem przyciągania planety, jednak wciąż miało rozmiary sporej asteroidy... Derek mógł sobie dokładnie wyobrazić asteroidę, która powstała po wybuchu gazu na powierzchni słońca Festi. Półstała, półpłynna, krążyła wokół swego rodzica na odśrodkowej orbicie. Jej wnętrze, stygnąc pod wpływem ciśnienia, wykryształizowało w unikalny twór. Trwała tak przez wiele milionów lat z półelastyczną powierzchnią i stopniowo gromadziła ładunki elektrostatyczne, które równoważyły się... i czekały... i warzyły życiodajne kwasy we wnętrzu krystalicznego serca.

Festi był stabilnym systemem, jednak raz na wiele miliardów lat pierwsze trzy olbrzymie planety osiągały peryhelium ze słońcem i jednocześnie względem siebie. Zbiegło się to z maksymalnym zbliżeniem asteroidy, która została wyszarpnięta ze swojej orbity i o mały włos nie otarła się o trzy uszeregowane planety. Uwolniło to kolosalne oddziaływania elektryczne i grawitacyjne. Asteroida rozjarzyła się i obudziła się w niej świadomość. Nie, nie powstało na niej życie - została powołana do życia, zrodzona podczas katastrofalnej kolizji! Zanim ciszej niż bezgłośnie przelknęła słodko- - smutno - wyraziste uczucie świadomości, znalazła się w kłopotcie. Oddalając się od słońca po swoim nowym torze, została wciągnięta w obszar przyciągania Festi XV - planety o ciężeniu czterech g. Nowe istnienie nie znało żadnych innych sił stwórczych poza grawitacją. Przyciąganie było dla niego tym, czym tlen dla organicznego życia na Ziemi. Mimo to stwór nie miał ochoty na zamianę swobodnego lotu w stan

uwięzienia, choć był zbyt drobny, by się oprzeć. Po raz pierwszy asteroida poczuła, że może zrobić użytek ze swojej świadomości i że w pewnym zakresie może kontrolować swoje otoczenie. Nie chciała ryzykować rozpadnięcia się na orbicie Festi, więc przyspieszyła lot, a opóźniając swój upadek, dokonała pierwszego aktu woli - aktu, który choć wstrząsnął stworzeniem, to pozwolił mu znaleźć się na powierzchni planety w jednym kawałku.

Przez niezmierny czas asteroida - teraz już Klif - leżała w płytkim kraterze utworzonym na skutek zderzenia i rozmyślała bez formułowania myśli. Nie знаła niczego poza swoim nieorganicznym otoczeniem i nie potrafiła wyobrazić sobie niczego więcej poza dobrze znaną scenarią. Stworzona przez grawitację, używała jej tak nieświadomie, jak człowiek oddycha. Poczęła przemieszczać inne rzeczy, a także siebie. Klifowi nigdy nie przyszło na myśl, że mógł nie być jedynym bytem we wszechświecie. Teraz przekonał się, że istnieje inne życie, i zaakceptował ten fakt. Inne życie nie było do niego podobne - to także zaakceptował. Inne życie miało swoje wymagania - to również akceptował. Pytania i wątpliwości były mu obce. Miał potrzeby, tak jak każda żyjąca istota. Obaj powinni się przystosować, bo przystosowanie było adaptacją do ciśnienia i taką reakcję rozumiał.

Kombinezon Dereka Ende pod wpływem zewnętrznej woli znowu zaczął się poruszać. Ostrożnie torował sobie drogę do tyłu. Został wydalony przez Klifa i zastygł. Derek także leżał nieruchomo, ledwie przytomny. Oszołomiony, próbował złożyć w logiczną całość wszystko, co się wydarzyło. Klif porozumiał się z nim - bez wątplenia, ponieważ Derek w kurczowo zaciśniętej lewej dłoni miał dowód kontaktu.

- Nie, przecież nie mógł porozumieć się ze mną! - mruknął.

A jednak - stało się.

Klif nie posiadał niczego, co można określić mózgiem. Nie „rozpoznał” zatem mózgu Dereka. Skomunikował się natomiast z jedyną strukturą, którą był w stanie zidentyfikować. Sięgnął bezpośrednio do struktury komórek ciała Dereka, a konkretnie do mitochondriów - źródeł energii komórkowej.

Mózg Dereka został pominięty, lecz komórki jego ciała odebrały informację. Derek rozpoznał ogarniające go uczucie słabości - Klif wysał z niego energię. Nawet to jednak nie pozbawiło go uczucia triumfu, ponieważ przekazując swoją informację, Klif również odebrał pewne dane. Zrozumiał, że w innych częściach kosmosu także istnieje życie. Bez wahania i bez zastanowienia oddał część siebie samego, aby Derek zaniósł ją do tych innych miejsc wszechświata. Misja została zakończona. W gęście Klifa Derek odnalazł jedno z najgłębszych pragnień żywych istot - przymus zaimponowania innym. Uśmiechając się krzywo, stanął w końcu na nogi. Był sam w Regionie Ognia. Sporadycznie pojawiający się żalobny płomień nieustannie walczył z mrokiem. Klif zniknął. Najwyraźniej Derek leżał prawie bez przytomności dłużej, niż przypuszczał. Spojrzał na chronometr i zobaczył, że najwyższy już czas stawić się na spotkanie z żaglowcem świetlnym. Podniósł temperaturę kombinezonu, bo chłód zaczął przesączać się do jego ciała, i włączył silniki antygravitacyjne. Uniósł się w górę, pochłoneńy go cuchnące chmury i stracił z oczu Festi. Wkrótce wydostał się ponad warstwę chmur i atmosfery. Kierowany przez Jona statek namierzył radiolatarnię kombinezonu. Po kilku minutach akrobacji dopasowali prędkości i Derek dostał się na pokład.

- Czy dobrze się czujesz, panie? - zapytał parteno, kiedy Derek chwiejnym krokiem skierował się ku fotelowi pilota.

- Dobrze, jestem tylko wyczerpany. Opowiem ci wszystko, kiedy przygotuję nagranie z raportem dla Pyrylyn. Będą z nas zadowoleni. - Pokazał Jonowi żółto-szary kłęb substancji,

który rozwinął się do wielkości dużego indyka. - Nie dotykaj gołymi rękami. Umieść to w jednym z niskotemperaturowych przedziałów w poczwórnym ciężeniu. Wieziemy drobny upominek z Festi XV.

4

Świetlik w Pynnati - jednym z głównych miast Pyrylyn - był lokalem, gdzie można się było bawić w najbardziej rozrzutny sposób. Tam właśnie zabrali Dereka Ende - jak również nic nieznaczącą postać Jona - jego gospodarze. Leżeli rozparci na sofach, które wirowały powoli, umożliwiając oglądanie całej zabawy. Sama komnata również się przemieszczała. Ściany miała przezroczyste, więc kiedy ślizgała się w górę i w dół i dookoła metalowego zrębu Świetlika, można było podziwiać stale zmieniający się widok. Najpierw znaleźli się na zewnątrz konstrukcji, gdzie nocne światła Pynnati mrugały do nich, jakby same uczestniczyły w zabawie. Następnie wsunęli się powoli do budynku, pomiędzy inne komnaty przyjemności, doskonale widoczne podczas powolnej wędrówki pokoju w górę, w dół lub wzdłuż pomieszczenia. Zakłopotany Derek leżał na swojej kanapie. Oczami umysłu widział twarz swojej Pani i Kochanki. Mógł sobie wyobrazić, z jaką zimną pogardą potraktowałyby tę nieszkodliwą zabawę.

- Przypuszczam, że zechcesz jak najszybciej udać się na Ziemię?

- Hę? - spytał Derek.

- Powiedziałem, że przypuszczam, iż wkrótce udasz się w drogę do domu - jego rozmówcą był Belix Ix Sappose, naczelny dyrektor High Gee Research w Pierwszej Gwieździe. Jako że dzisiejszej nocy on właśnie gościł Dereka, leżał na kanapie obok niego.

- Wybacz. Tak, już niedługo muszę wracać.

- Dlaczego musisz? Odkryłeś zupełnie nową formę życia. Możemy teraz próbować kontaktu z istotą Festi XV, która Bóg jeden wie, jak wielką posiada wiedzę. Rząd łatwo może okazać wdzięczność, nagradzając cię stanowiskiem, jakie tylko ci się zamarzy. Ja sam w tym względzie mam pewne wpływy, jak zapewne wiesz. Nie wyobrażam sobie, aby starzejąca się Ziemia mogła wiele zaoferować człowiekowi twojego kalibru.

Derek rozmyślał o tym, co oferowała mu Ziemia. Był z nią związany. Ci dekadencyjni ludzie nie pojmowali takiego przywiązania.

- A więc, jak brzmi twoja odpowiedź, Ende? Nie pytam dla zabawy. - Belix Ix Sappose zastukał niecierpliwie porożem.

- Ee... och, na pewno dowiedzą się wiele od Klifa, lecz mnie to nie dotyczy. Wykonałem moją pracę. Jestem robotnikiem, nie intelektualistą.

- Nie odpowiadasz na moje sugestie.

Derek patrzył na Belixa z lekką irytacją. Belix był unglatem - jednym z gatunków, które bardziej niż inne przyczyniły się do pokojowego zjednoczenia Galaktyki. Kość ogonową miał rozgałęzioną, tworzyła zawył system rogów, z którego z nieskrywaną irytacją spoglądało na Dereka sześć par oczu koloru tarniny. Inni uczestnicy zabawy, włączając samicę Belixa, Jupkey, także patrzyli na niego z wyczekiwaniem.

- Muszę szybko wrócić na Ziemię - powiedział Derek. Cóż takiego usłyszał przed chwilą? Czy Belix oferował mu jakąś posadę? Nerwowo wstał z kanapy. Czuł napięcie jak zwykle, gdy otaczali go ludzie, których nie znał zbyt dobrze.

- Znudził się pan, panie Ende.

- Skądże znowu. Proszę o wybaczenie. Jak zawsze przytłaczają mnie luksusy Świetlika. Oglądałem właśnie nagie tancerki.

- Obawiam się, że jesteś znudzony.
- Zapewniam cię, że nie.
- Czy mogę zaproponować ci kobietę?
- Dziękuję, nie.
- Może chłopca?
- Nie, dziękuję.
- Czy zabawiałeś się już kiedyś z kwitnącymi bezpłciowcami z Cphids?
- Nie, w tej chwili nie skorzystam, dziękuję.
- W takim razie wybaczysz, że Jupkey i ja zdejmemy ubrania i zatańczymy - powiedział chłodno Belix.

Kiedy odchodzili w kierunku parkietu na spotkanie hałaśliwych trąbek, Derek usłyszał, że Jupkey coś powiedziała. Uchwycił jednak tylko „arogancki Ziemiorodek”. Jego wzrok napotkał spojrzenie Jona - parteno również usłyszał. Lewa dłoń Dereka uniosła się w instynktownym geście odepchnięcia, zdradzając całe jego upokorzenie. Zerwał się na nogi i zaczął przemierzać pokój. Przepychał się przez grupkę nagich tancerzy, ignorując ich narzekania. Przy jednym z wyjść przepływała klatka schodowa. Wszedł do niej, aby uciec od tłumów. W dół schodziły cztery młode kobiety. Były barwnie ubrane, na ich kostiumach pulsowały dźwiękowe kamienie. Młodość rozświetlała ich twarze, gdy śmiały się i rozmawiały. Derek zatrzymał się i obserwował dziewczęta. Rozpoznał jedną z nich.

- Ewa!

Zauważyła go już wcześniej. Podeszła, tańcząc na dzielących ich stopniach.

- A zatem nieustraszony Ziemianin raz jeszcze zdobywa złote schody Pynnati! Dereku Ende, twoje oczy są tak ciemne, a czoło wysokie jak zwykle!

Kiedy patrzył na nią, odniósł wrażenie, że muzyka trąb po raz pierwszy nie brzmi fałszywie, i poczuł, jak rozkosz nabrzmiewa w jego gardle.

- Ewo!... A twoje oczy są jak zawsze promienne... i nie ma przy tobie żadnego mężczyzny.

- Magia przypadku pracuje na twoją korzyść - zaśmiała się. Tak, pamiętał ten śmiech! - Słyszałam, że jesteś tu z Belixem Sappose i jego samicą - powiedziała już trochę poważniej. - Cóż, zatem postąpiłam bardzo głupio, przychodząc, aby się z tobą spotkać. Jestem bardzo przywiązana do głupich gestów.

- Tak bardzo głupich?

- Najprawdopodobniej. Zmieniłeś się jeszcze mniej niż rdzeń Pyrylyn, Dereku Ende. Niemądrze byłoby zakładać coś innego, wiedząc, jak jesteś stały. Pragnienie spotkania cię mimo wszystko jest zatem podwójną głupotą.

Wziął ją za rękę i poprowadził w górę schodów. Przesuwające się mimo komnaty były dla jego oczu rozmazanym obrazem.

- Ewo, czy zawsze musisz przywoływać te same, stare pretensje?

- Nie poruszam ich, one po prostu stoją pomiędzy nami. Boję się twojej niezmienności, bo jestem motylem, który próbuje przedostać się do twojego szarego zamku.

- Jesteś piękna, Ewo. Taka piękna! Czyż motyl nie mógłby spocząć bezpiecznie na murze otaczającym zamek? - podążał zawilutymi ścieżkami aluzji z dużą trudnością.

- Mury! Nie mogę ścierpieć twoich murów, Dereku! Czy jestem buldożerem, który powinien pragnąć je zniszczyć? Przebywanie wewnątrz czy na zewnątrz tych murów tak samo czyni z człowieka więźnia.

- Nie kłóćmy się, dopóki nie znajdziemy jakiegoś punktu, w którym jesteśmy zgodni. Oto

schody. Czy możemy zgodzić się oboje co do tego?

- Tak, bo one nic nas nie obchodzą.

Bez żenady otoczyła się jego ramieniem. Klatka schodowa osiągnęła kres podróży i przesuwała się powoli bokiem wzdłuż szczytu Świetlika. Derek i Ewa stali na najwyższym stopniu, a noc ukazywała ich wizerunki odbite w szkle.

Ewa Coll-Kennerley była człowiekiem, lecz nie urodziła się na Ziemi. Była welurką - urodziła się w światach skupiska Y, położonego w gęstym Trzecim Ramieniu Galaktyki. Jej skórę pokrywało gęste brązowe futerko. Spryt i elokwencja Ewy pracowały na korzyść tego samego wydziału, który hołubił spokojne i stateczne talenty Belixa Sappose. Derek spotkał ją podczas swojej wcześniejszej wizyty w Pyrylyn. Ich miłość była romanssem i walką jednocześnie. Stał teraz obok Ewy i nie umiał powiedzieć ani jednego słowa. Kiedy spojrzała na niego lśnącymi oczami, uśmiechnął się nieśmiało.

- Jestem jak kompas zorientowany na silnych mężczyzn, dlatego moja hojna oferta wciąż jest aktualna. Czy nie jest wystarczającą przynętą?

- Nie myślę o tobie jak o pułapce, Ewo.

- Zatem przez ile jeszcze stuleci zamierzasz chować się na Ziemi? Wciąż pozostajesz wierny, jeśli wolno mi przytoczyć eufemistyczne określenie twojego niewolnictwa, swojej Pani i Kochance? Wciąż jesteś wierny jej zimnym ustom i obojętnemu sercu?

- Nie mam wyboru!

- Ach, tak. Moje rozważania na ten temat zostały pozbawione racji bytu, i to nie pierwszy raz. Czy ona wciąż prowadzi badania nad transmutacją gatunków?

- Tak, rzeczywiście. Średniowieczna koncepcja, że dany gatunek może przekształcić się w inny, była niedorzeczna w tamtych czasach. Teraz, wraz ze stopniową kumulacją promieniowania kosmicznego w ciałach niebieskich, stała się możliwa, oczywiście w pewnym ściśle określonym wymiarze. Moja pani usiłuje wykazać, że wiązania komórkowe są...

- Tak, tak! Całe to poważne gadanie jest obrzydliwe, zwłaszcza w Świetliku. Jesteś trzymany pod kluczem, Dereku. Dokonujesz tych swoich sterylnych aktów heroizmu i nigdy nie wkraczasz w prawdziwy świat. Jeśli wyobrażasz sobie, że będziesz z nią żył jeszcze jakiś czas, a potem wrócisz do mnie, to jesteś w błędzie. Mury wokół twoich uszu są wyższe z każdym stuleciem i będą rosnać, aż ja nie będę potrafiła... och, to zła metafora!... aż nie będę mogła cię odgruzować.

Derek bezsilnie potrząsnął głową. Chociaż cierpiał, puszystość futerka Ewy była rozkoszą dla jego zmysłu termicznego.

- Taki jesteś wielki, dzielny i milczący, nawet w tej chwili. Jesteś bezczelny! - powiedziała, a potem dodała bez zmiany tonu: - Ponieważ wciąż kocham tę cząstkę ciebie zamkniętą w zamku, jeszcze raz złożę ci moją odrażającą i nieistotną propozycję.

- Ewo! Proszę, nie...

- Właśnie tak! Zapomnij o nudnym zniewoleniu przez Ziemię, zapomnij o ohydnych matriarchacie i żyj ze mną tutaj. Nie chcę zatrzymać cię na zawsze. Wiesz, że jestem eudajmonistką i szukam przyjemności. Nasz romans potrwa sto lub dwieście lat i w tym czasie nie odmówię ci niczego, czego zapragną twoje zmysły.

- Ewo!

- Oboje zaspokoimy pragnienia i wtedy będziesz mógł wrócić do Pani Matki na Endehaaven.

- Ewo, wiesz, jak gardzę eudajmonizmem.
- Zapomnij o swoich przekonaniach! Nie proszę cię o nic trudnego. Kim jesteś, aby się targować? Czy jestem rybą, żeby kupować mnie na kilogramy? Ten kawałek wezmę, tamten zostawię?

Derek milczał.

- Ty mnie nie potrzebujesz - powiedział w końcu. - Masz wszystko: urodę, rozum, poczucie humoru, ciepło, uczucia, równowagę, komfort. Ona nie ma nic. Jest płytka, przestraszona, zimna... ona mnie potrzebuje, Ewo...

- Usprawiedliwiasz siebie, nie ją.

Ewa odwróciła się już miękkiem, welurowym ruchem i pobiegła w dół schodów. Podświetlone sale dryfowały dookoła ponad ich głowami jak bąbelki. Mozolne wysiłki Dereka, aby wytłumaczyć swoje uczucia, przemieniły się w rozpacz. Pobiegł za Ewą i chwycił ją za ramię.

- Posłuchaj mnie, do cholery!

- Nikt w Pyrylyn nie będzie słuchał twoich masochistycznych nonsensów. Jesteś aroganckim głupcem, Dereku, a ja mam słabą wolę. A teraz puść mnie! - Wskoczyła przez wejście do pokoju, który właśnie pojawił się obok, i znikła w tłumie.

5

Nie wszystkie dryfujące komnaty w Świetliku były oświetlone. Pewne zabawy są znacznie przyjemniejsze, gdy odbywają się w ciemności. Tego rodzaju rozkosze były troskliwie i pieczołtliwie urzeczywistniane w zamkniętej przestrzeni, gdzie światło rzucało jedynie delikatny poblask na sufit, a mrok przesycał zmysłowy zapach ylang-ylang i inne wonności. Tutaj właśnie Derek znalazł miejsce, aby się wypłakać.

Kolejne etapy jego życia przesuwają się przed nim, jakby napędzane tym samym mechanizmem, który poruszał Świetlikiem. Nieustannie pojawiała się w nich jedna postać. Ze złością przypominał sobie, jak zawsze trudił się, aby ją zadowolić - tak, starał się jej dogodzić dokładnie we wszystkim! I to, jak wydzielala mu nagrodę, rozszczepiając jego zadowolenie, które stawało się strugą sączącą się z pękniętego na dwoje oblicza skały. Przyjemność picia z tego chłodnego źródła była niezaprzeczalna. Jednak skąd czerpać satysfakcję, jeżeli wszystko zależało od tak ogromnej dyscypliny i ponizenia? Pani moja i Kochanko, kocham cię i nienawidzę!

I to umartwianie było tak wielkie... i trwało tak długo... i teraz, gdy mógł cieszyć się z dala od niej, nie potrafił uwolnić strużki ze skały, jaką się stał. Był tutaj już kiedyś wcześniej, w mieście, w którym rządy sprawowali hedoniści i eudajmoniści. Spacerował wśród birbantek i osławionych piękności, nosząc swoją Panią i Kochankę w sercu i czuł, że wyziera ona nawet z jego oblicza. Ludzie mówili coś do niego i w jakiś sposób Derekowi udawało się odpowiadać. Okazywali wesołość i on także próbował. Przez cały czas miał nadzieję, że zrozumieją, iż jego arogancja jedynie maskuje nieśmiałość. A może myślał, że to jego nieśmiałość maskuje arogancję? Tego nie wiedział. Kto mógłby być tego pewien? Obie cechy były ze sobą połączone. Derek otrząsnął się z zamyślenia, czując, że Ewa Coll-Kennerley znowu jest gdzieś w pobliżu. Zatem nie opuściła budynku! Szuka go!

Derek na w pół uniósł się ze swojego miejsca w osłoniętej alkwie. Nie rozumiał, w jaki sposób Ewa odnalazła go tutaj. Przy wejściu do Świetlika goście otrzymywali dźwiękowe kamienie, dzięki którym można było podążać w ślad za nimi przez kolejne sale. Derek wyłączył jednak swój kamień, zanim jeszcze opuścił przyjęcie Belixa Sappose. Chciał być

sam. Słyszał głos Ewy, jego nieomylnie alikwoty niedaleko i nieblisko...

- Znajdujesz najbardziej niedostępne miejsca, aby ukryć swój blask... Nie usłyszał więcej. Wcale go nie szukała! Zapadła pośród ozdobnych gobelinów z kimś innym. Fale ulgi i żalu przepływały przez Dereka... kiedy znowu nastawił uszu, Ewa wymawiała jego imię. Jak wilk, który skrada się w pobliże ogniska, wychylił się, aby słuchać. Od razu też ciepłowzrok powiedział mu, z kim rozmawiała. Rozpoznał wzór poroża - był tam Belix, a także Jupkey, rozciągnięci na wyszukany łóż.

- ...bez sensu, aby znowu próbować. Derek jest zbyt pogrążony w samym sobie - powiedziała Ewa.

- Raczej pogrzebany w swoim uwarunkowaniu - odparł Belix. - Odkryliśmy to samo. To uwarunkowanie, moja droga.

- Jakkolwiek się to stało, dalej podziwiam go wystarczająco, aby pragnąć zrozumieć. - Głos Ewy brzmiał nieco inaczej od jej zwykłego, opanowanego tonu.

- Spójrz na to w naukowy sposób - rzekł Belix z przekonującą modulacją tonu człowieka, który za chwilę wyłoży karty na stół. - Ziemia jest ostatnią twierdzą przegranej kultury. Populacja urodzonych na Ziemi liczy obecnie mniej niż parę milionów. Lekceważą względy społeczne i życie towarzyskie. Obsługują ich partenogenetycznie rozmnażani niewolnicy, ukształtowani według tej samej, kontrolowanej formuły genetycznej. Ziemianie są szczepem wsobnym, w konsekwencji stali się praktycznie odrębnym gatunkiem. Wszystko to możesz dostrzec w naszym przyjacielu Ende. Jak mówię, pogrzebany jest w swoim uwarunkowaniu. To tragedia, Ewo, lecz musisz się z tym pogodzić.

- Prawdopodobnie masz rację, ty przemądrzały staruchu - wtrąciła leniwie Jupkey. - Któż poza urodzonym na Ziemi dokonałby tego, co Derek na Festi?

- Nie, nie! - zaprotestowała Ewa. - Derekiem rządzi kobieta, nie uwarunkowanie. On jest...

- W jego przypadku to jedno i to samo, moja droga, wierz mi. Popatrz na strukturę społeczną na Ziemi. Partenogenetyczni niewolnicy zastąpili wszystkich, poza garstką prawdziwych Ziemian. Ta niewielka grupka podzieliła Ziemię na wielkie posiadłości, którymi włada w ponurym matriarchacie.

- Tak, wiem, jednak Derek...

- Derek jest więźniem systemu. Urodzeni na Ziemi pogrążyli się w bezprecedensowy, matriarchalny wzór życia. Synowie poślubiają swoje matki, nie tylko aby unieśmiertelnić swoją linię, lecz po prostu na starzejącej się Ziemi panuje deficyt płodnych kobiet. Tak właśnie zrobiła rodzina Ende, to właśnie zrobił Derek. Jego Pani i Kochanka jest zarazem jego matką i żoną. A w tym wszystkim jeszcze czynnik długowieczności... Naturalnie wytwarza to nieograniczoną, sztywną więź emocjonalną, której właściwie nic nie jest w stanie przerwać. Nawet ty, słodka Ewo!

- Prawie się przełamał dzisiejszej nocy!

- Wątpię w to - odparł Belix. - Ende może pragnąć ucieczki ze swojego klaustrofobicznego domu, lecz ta sama siła, która wygania go stamtąd, w końcu przyciągnie go z powrotem.

- A ja powiadam ci, że prawie się przełamał. Tylko że ja pękłam pierwsza.

- Cóż, jak to powiedział Teer Ruche wiele stuleci temu: Jedynie ten, kto nienawidzi przyjemności, wie, jak ukształtować istotę na swoje podobieństwo. Powiedziałbym, że masz szczęście, iż Derek się nie złamał. Zyskałabyś jedynie dziecko, którym trzeba się stale opiekować.

Śmiech, który zabrzmiał w odpowiedzi, nie był całkiem szczery.

- Zatem to pani z Endehaaven musi go zmienić. Ja nie będę już więcej próbować, chociaż Derek żyje pod zbyt dużą presją, aby mógł to wytrzymać dłużej. Och, to naprawdę nieprzyzwoite! On zasługuje na coś lepszego!

- Osąd moralny z twoich ust, Ewo! - wykrzyknęła z rozbawieniem Jupkey w wonny mrok. - Dam ci radę. Zapomnij o tym nieszczęśniku. Pomijając wszystko, on ledwo umie się wysławiać, a to zaczęłoby cię męczyć w bardzo krótkim czasie.

Niewidzialny słuchacz nie mógł znieść więcej. Nagła wściekłość na siebie za to, że słuchał, jak i na rozmawiających, zmusiła go do działania. Wyprostował się i pochwycił oparcie łóżka, na którym wylegiwali się Belix i Jupkey, pragnąc w złości zrzucić ich na podłogę. Zbyt późno ciepłowzrok ostrzegł go co do natury łoża. Miał się przewrócić, okręciło się, chlustając na niego falą cieczy. Unglaaty leżały w ciepłej kąpieli pachnącej ylang-ylang i innymi olejkami.

Jupkey pisnęła ze złości i strachu. Kopiając, zawadziła kopytem goleń Dereka, który poślizgnął się na oleistej cieczy i upadł. Niewyposażony w ciepłowzrok Belix wyskoczył z kąpieli, po czym zaplątał się w nogi Dereka i również upadł. Ewa wołała, aby zapalono światła. Pozostali goście komnaty odkrzykiwali, że bez względu na wszystko musi panować ciemność. Derek podniósł się i pobiegł w kierunku wyjścia. W sromocie i rozgoryczeniu, ociekając wodą, odszedł ze Świetlika. Pośpieszne kroki Jona podążały za nim jak echo przez całą drogę do lądowiska. Niedługo Derek będzie znowu w Endehaaven. Chociaż na zawsze pozostanie nieudacznikiem w kontaktach z innymi ludźmi, znał przynajmniej każdą piędź swojego ponurego terytorium.

Zakończenie pieśni

Nie mogło być ciszej, gdy mój pan. Derek Ende, przybył do domu - jakby na całe Endehaaven rzucono klątwę. Zawiadomiłem Milady, gdy tylko żaglowiec świetlny pojawił się na orbicie. W kielichu receptora obserwowałem, jak mój pan wraz z Jonem podróżują przez wyjałowione i zdiczące północno-zachodnie tereny Europy; Danię, Szetlandy, Wyspy Owcze, morze i lądują na samym brzegu wyspy, wewnątrz fiordu o spokojnych wodach. W chwili tej wiatr milczał jak zaklęty i nie poruszyło się żadne z naszych wysokich drzew.

- Gdzie moja pani, Hols? - zapytał mnie Derek, gdy wyszedłem, aby go przywitać i pomóc mu wydostać się z kombinezonu.

- Prosiła, bym przekazał, iż jest niezmiernie zajęta przy zbiornikach i nie może cię przywitać, mój panie.

Spojrzał mi prosto w oczy, co czynił niezmiernie rzadko.

- Czy jest chora?

- Nie.

Nie czekając, abym zdjął mu kombinezon, pośpieszył do budynku. W ciągu kolejnych dwóch dni pojawiał się bardzo rzadko, wolał przebywać w swoim pokoju. Trzeciego dnia go zobaczyłem. Spacerował pomiędzy zbiornikami doświadczalnymi i klatkami. Złapał w sieć rybę i rzucił ją w powietrze, a potem obserwował, jak ryba walczy, przybierając nowy kształt, i odlatuje, rozpluwając się wreszcie na tle kłębiastej chmury. Było oczywiste, że bardziej niż zagadka ciśnienia i transmutacji interesował go symbol ukryty w locie karpia.

Prawie cały czas Derek segregował kasety, na których zapisał historię swego życia. Jedna ze ścian była zastawiona tymi taśmami, zatrzymanymi w pół dźwięku werblami minionych stuleci. Z późniejszych nagrań złożyłem potajemnie te zapiski - w swej niewypowiedzianej litości nad sobą samym, mój pan nie zaznał nigdy pokory biernego obserwatora. My, parteno,

nigdy nie pojmiemy luksusu podzielonego umysłu. Z pewnością cierpienie, jak i radość są rodzajem sztuki.

W dniu, w którym Derek otrzymał wezwanie z Pierwszej Gwiazdy i kolejne zlecenie, spotkał Milady w Błękitnym Korytarzu.

- Miło znowu cię widzieć, moja pani - powiedział, całując jawnie policzki. Pogłaskała go po włosach. Suknię miała koloru oliwki i umbry, a jej niespokojną dłoń ozdabiał pierścień z bursztynem.

- Twój wyjazd bardzo mnie zdenerwował i zasmucił. Ziemia umiera. Dereku, a ja boję się jej samotności. Pozostawiłeś mnie samą na zbyt długo, jednak wyleczyłam już swą ranę i cieszę się, widząc cię na powrót.

- Wiesz, że i ja cieszę się ze spotkania. Uśmiechnij się, zrób to dla mnie i wyjdź zaczerpnąć świeżego powietrza. Dziś świeci słońce.

- Od tak dawna go nie widziałam. Pamiętasz? Kiedyś co dzień świeciło. Nie mogę znieść już więcej kłótni. Podaj mi ramię i bądź dla mnie miły.

- Pani, moim pragnieniem jest być zawsze miłym dla ciebie. Chciałbym z tobą porozmawiać o wielu sprawach. Pewnie chcesz się dowiedzieć, co ostatnio robiłem i...

- Nie zostawisz mnie już nigdy? - zapytała bardzo głośno. Derek czuł, jak zaciska mu rękę na ramieniu.

- O tym też chciałbym powiedzieć, lecz później - odparł. - Najpierw pozwól mi opowiedzieć o tej wspaniałej formie życia, z którą nawiązałem kontakt na Festi.

Kiedy minęli szyb antygravitacyjny, Milady rzekła ze znużeniem:

- Domyślam się, że to był uprzejmy sposób poinformowania mnie, że się tu nudzisz?

Derek pochwycił jej opadające dłonie, a potem puścił je i ujął jej twarz.

- Proszę, zrozum, moja Pani i Kochanko. Kocham cię i chcę ci służyć. Jesteś moją krwią i gdziekolwiek się znajdę, nie mogę cię zapomnieć. Moim najszczerzym pragnieniem jest uczynić cię szczęśliwą, musisz o tym wiedzieć. Lecz powinnaś również znać moje potrzeby.

Odrącała jego ręce.

- Och, znam je aż zbyt dobrze. I wiem również, że dla ciebie są zawsze najważniejsze. Cokolwiek mówisz lub udajesz, wcale o mnie nie dbasz. Widzę to jasno.

Wyminęła Dereka, strząsając z ramienia jego dłoń. Przywołało to wspomnienie, kiedy biegł w dół złotych schodów, wyciągając spóźnionym gestem dłoń w kierunku innej kobiety - poniżający przymus powtarzania tej sceny stulecie za stuleciem.

- Jesteś kłamliwa! Jesteś fałszywa! Jesteś okrutna! - wyrzucił z siebie. Obróciła się, drżąc ze wzburzenia.

- Doprawdy? Więc odpowiedz mi teraz na pytanie: czy nie snułeś już planów, aby wkrótce opuścić Endehaaven i mnie? Derek uderzył się pięścią w czoło.

- Posłuchaj, musisz w końcu zaprzestać tej rekryminacji - powiedział niewyraźnie. - Tak, to prawda, myślałem o wyjeździe... Ale muszę... wyrzucam to sobie. Mógłbym być dla ciebie miłszy, lecz zamykasz się przede mną, kiedy powracam. Nie witasz mnie z radością...

- Wierzę, że zawsze prędzej znajdziesz jakieś usprawiedliwienie, niż sprzeciwisz się swej naturze - odparła pogardliwie, idąc szybko przez ogród. Kroczyła ścieżką spowita w bursztyn, oliwkę i umbrę - i czerń włosów. Jej sylwetka odcinała się wyraźnie na tle zimowego nieba i zdawała się nie maleć w perspektywie umysłu Dereka.

Przez parę minut stał na progu, unieruchomiony przez sprzeczne emocje. W końcu zmusił się do wyjścia na światło słoneczne. Była w swoim ulubionym zakątku fiordu. Karmiła z ręki

starego borsuka. Wzmożenie uwagi skierowanej ku zwierzęciu było jedynym sygnałem, że usłyszała nadejście Dereka. Jego czułki zadrgały, gdy powiedział:

- Przepraszam, jeśli wybaczysz mi ten wyświechtany zwrot.

- Nie obchodzi mnie, co robisz i co mówisz.

Spacerując tam i z powrotem za jej plecami, ciągnął dalej:

- W czasie ostatniej podróży słyszałem rozmowy. Było to na Pyrylyn. Ludzie dyskutowali nad naszym systemem matrymonialnym.

- To nie ich sprawa.

- Być może. Jednak to, co mówili, obudziło we mnie nową myśl. Wsadziła starego borsuka do klatki bez żadnego komentarza.

- Słuchasz mnie, pani?

- Mów dalej.

- Postaraj się wczuć w to, co mówię. Rozważ historię podbojów galaktycznych lub nawet wcześniejsze czasy, przypomnij sobie odkrywców Ziemi ery przedkosmicznej, takich jak Shackleton. Byli bohaterami, lecz czy nie wydałoby ci się dziwne, gdyby większość z nich ryzykowała życie tylko dlatego, że nie mogli znieść atmosfery panującej w domu?

Milady odwróciła się i na widok jej wściekłości nieśmiały uśmiech zniknął z jego twarzy.

- A ty usiłujesz powiedzieć mi, że tak właśnie postrzegasz siebie, jako męczennika? Jak bardzo musisz mnie nienawidzić, Dereku! Nie tylko odchodzisz, lecz jeszcze skrycie winisz mnie za to. Nie ma znaczenia moje wieczne powtarzanie, że pragnę, abyś został tutaj. Nie, to wszystko moja wina! To ja cię stąd przeganiam! To właśnie opowiadasz swoim czarującym przyjaciółom na Pyrylyn, nieprawdaż? Och, jak bardzo musisz mnie nienawidzić!

Brutalnym gestem chwycił jej nadgarstki. Wyrывая się, zawołała mnie na pomoc. Podszedłem bliżej, lecz zatrzymałem się, grając swoją zwykłą, nieważną rolę. Derek przeklinał Milady, wrzeszczał, żeby się uciszyła, a ona krzyczała jeszcze głośniejszym głosem, wyrывая się wściekle z jego ramion. Uderzył ją w twarz. Ucichła w jednej chwili. Zamknęła oczy, niemal w upojeniu. Stała tam ulegle, jak kobieta, która pragnie się oddać.

- Dalej, uderz mnie! Chcesz to zrobić! - szepnęła.

Jej słowa, jej postawa odmieniły także Dereka. Opuścił pięści i cofnął się, patrząc na nią z odrazą, jak gdyby po raz pierwszy zrozumiał prawdziwą naturę swej pani. Obcasy jego butów nie napotkały oporu. Obrócił się nagle, rozpostarł ramiona jak do lotu i rzucił się z krawędzi klifu, ścigany przez jej krzyk.

Zaczął się zmieniać, gdy jego ciało uderzyło w wodę. Powódź piany wskazywała na coś w rodzaju bolesnej walki toczącej się pod powierzchnią. Potem z wody wychynęła foka, zanurkowała w nadchodzącą falę i popłynęła ku otwartemu morzu, nad którym zerwała się właśnie orzeźwiająca bryza.

Były detektyw kolejowy z Pensylwanii H. Beam Piper rozpoczął karierę jako pisarz w 1947 roku, kiedy to sprzedał swoje pierwsze opowiadanie magazynowi „Astounding”. Wkrótce stał się znaną postacią coraz popularniejszej sceny SF. Był filarem „Astounding”, gdzie ukazała się większość jego opowiadań, na przykład Omnilingual, i z którym czuł się bardzo związany. Pisywał także dla innych popularnych wydawnictw, takich jak „Amazing”, „Future”, „Weird Tales” czy „Fantastic Universe”. W latach pięćdziesiątych rynek opowiadań fantastycznonaukowych rozwijał się bardzo gwałtownie. Piper zaczął tworzyć powieści, niektóre powstawały jako przeróbki opowiadań.

Twórczość Pipera była mocno zakorzeniona w przygodowej tradycji tamtych czasów, choć zgodnie z preferencjami „Astounding” w jego opowiadaniach przygoda szła w parze z poważnymi spekulacjami społeczno-politycznymi. Pisywał także „wybuchowe”, supernaukowe space opery, popularne w latach trzydziestych. Tylko w jednym z dwóch swoich późnych dzieł, które stworzył tuż przed śmiercią, zapuścił się na trochę inne terytorium. Był znacznie mniej przywiązany do krzykliwego, zawadiackiego stylu „romansu między galaktycznego”, którego przykładem są Planet Stories czy Thrilling Wonder Stories. Dwa najbardziej znane jego cykle opowiadań to Terro-Human i Paratime Police. Pierwszy porusza temat powstania i upadku międzygalaktycznych imperiów oraz rozgrywek politycznych w skomplikowanej scenerii przyszłości. Historie te mają jednak nieco inny wydźwięk niż powieści Asimova o podobnej tematyce, hołdują doktrynie wolnej woli, są osadzone w polityce, ekonomii i kampaniach militarnych. Można powiedzieć, że przypominają współczesny cykl Poul'a Andersona, Technic Story. Z kolei opowiadania z serii Paratime Police są bardziej kolorowe i mają lżejszą tematykę. Oba cykle były uzupełniane już po śmierci Pipera o nowe odcinki, inni autorzy tworzyli je jednak z mniejszym zaangażowaniem. Większość opowiadań z cyklu Terro-Human, takich jak Space Viking, Four-Day Planet czy The Cosmic Computer (Junkyard Planet), to fachowe, lecz dość staroświeckie space opery, tak jak dwie pierwsze nowele Pipera, które napisał wspólnie z Johnem R. McGuire'em - Crisis in 2140 i Planet for Texans (tę ostatnią wydano ponownie pod tytułem Lonestar Planet). W kolejnych opowiadaniach tego cyklu Piper odsunął się od space opery w czystej postaci i zaczął zgłębiać bardziej refleksyjne obszary literatury. Odkrył wtedy nowy, intrygujący „ład”, pisząc powieści o kudłaczkach: Kudłaczek i Nowa rasa ludzka, po latach odnaleziono i wydano już po śmierci Pipera brakującą trzecią część Fuzzies and Other People. Akcja opowiadań obraca się wokół inteligentnie prowadzonych rozpraw sądowych (wszystko jest utrzymane w stylu zakulisowych intryg i nieczystych zagrań, uwielbianym przez „Astounding”), które mają na celu udowodnić, że przedstawiciele tubylczego gatunku kudłaczków, zamieszkujący planetę skolonizowaną przez Ziemiaków, są inteligentnymi i wrażliwymi istotami, a więc powinni mieć takie same prawa jak ludzie, łącznie z ochroną przed wyzyskiem, niszczeniem środowiska i ich kolonii przez zaborcze korporacje górnicze. W 1962 roku taka tematyka była dość radykalną odmianą; fantastyka naukowa w tych czasach była raczej skłonna wziąć stronę kawalerii nieustraszonych białych osadników czy Kiplingowskich administratorów kolonii niż Indian czających się w zaroślach na wzgórzu lub poniewieranych sipajów. Dzisiaj powieści o kudłaczkach mają jeszcze głębszy wydźwięk, co czyni je historiami zdumiewająco aktualnymi i poruszającymi każdego wrażliwego człowieka. Jeśli kudłaczki wydadzą się komuś znajome od pierwszego spotkania, to pewnie dlatego, że najprawdopodobniej stały się (a przynajmniej jeden z nich) inspiracją do stworzenia małych, kudłatych i uroczych, choć bardzo wojowniczych stworzeń - bohaterów

ślynnego kinowego szlagieru SF z lat osiemdziesiątych. Jeśli rzeczywiście tak było, pamiętajcie, że to filmowcy ściągnęli pomysł od Pipera, a nie na odwrót.

Saga o kudłaczkach jest na tyle bogata, że można się zastanawiać, cóż za książki stworzyłby Piper w późniejszych latach. Na nieszczęście w 1964 roku, przygnębiony z powodu stale powiększających się długów i, jak stwierdził, porażką, którą odniósł jako pisarz, Piper sięgnął po rewolwer (był entuzjastycznym kolekcjonerem broni) i się zastrzelił. Podobnie postąpiła dwadzieścia lat później Alice Sheldon, prowadzona przez inne złe duchy. O ironio, w latach siedemdziesiątych i na początku następnego dziesięciolecia nastąpił wzrost zainteresowania dziełami Pipera. Ponownie wydano wszystkie jego książki, a prócz tego pojawiły się żądania, aby inni pisarze kontynuowali zarówno cykl opowiadań o kudłaczkach, jak i nieco obszerniejszy cykl Terro-Human.

Może Kudłaczek jest najlepszą książką Pipera, ale jak dotąd najbardziej interesującą pozycją, także moim zdaniem, jest powieść z gatunku „historii alternatywnych”, zatytułowana Lord Kalvin of Otherwhen. Powstała na podstawie opowiadania Bóg prochu, prezentowanego w niniejszym zbiorze, oraz dwóch jego kontynuacji napisanych dla „Astounding”, a publikowanych już po śmierci autora, w 1965 roku. I znowu Piper wyprzedził swoją epokę, pisząc opowiadanie o światach alternatywnych, na długo zanim tego typu historie zyskały taką popularność jak obecnie. Chociaż Lord Kalvin of Otherwhen nie jest pierwszą powieścią z gatunku „historii alternatywnych” (nawiązywał Piper m.in. do Jankesa w Rzymie de Campa i Bring the Jubilee Warda Moora), jest jedną z najlepszych. Wywarła wpływ na twórczość takich pisarzy, jak R. Garday Robertson czy G. David Nordley, a w szczególności stała się inspiracją dla Harry’ego Turtledove’a. Na pewno jest niezła w porównaniu z innymi opowiadaniem, publikowanymi teraz w związku z kolejnym wzrostem popularności historii o światach alternatywnych. W dzisiejszych czasach powieść Pipera zapewne znowu odniosłaby duży sukces - niech wydawcy wezmą to pod uwagę!

Bóg prochu jest pierwszą częścią sagi o lordzie Kalwinie i jednocześnie pełną, samodzielną historią. To bardzo pomysłowe opowiadanie przygodowe, o wartkiej akcji. Piper porusza w nim problem potencjalnych konsekwencji, jakie może ponieść społeczeństwo na skutek przełomu technologicznego w nieprzygotowanej nań cywilizacji. Jest to tematyka bardzo aktualna, jak wiele innych zagadnień poruszanych przez współczesnych twórców SF, chociaż samo opowiadanie powstało trzydzieści lat temu.

Piper nigdy za życia nie doczekał się własnego zbioru, ale w latach osiemdziesiątych jego opowiadania wydano w zbiorach Paratime, Foundation, Empire i The Worlds of H. Beam Piper. Napisał także kryminał Murder in the Gun Room. Dzisiaj większość dzieł Pipera znowu poszła w odstawkę, ale książki, które wznowiono w latach osiemdziesiątych, kiedy zainteresowanie twórczością tego autora było największe, można czasem znaleźć w antykwariatach i w księgarniach specjalizujących się w SF.

H. Beam Piper

BÓG PROCHU

Tortha Karf, szef Policji Czasu, postanowił, że nie będzie się zamartwiał. Do Ostatniego Dnia Roku pozostało już tylko dwieście nieparzystych dni, a potem dokładnie o północy zwolni krzesło, które zajmie Verkan Vall. Wtedy Tortha będzie mógł wreszcie osiąść na Sycylii i tam w spokoju hodować winogrona, cytryny oraz prowadzić wojnę podjazdową z królikami. Był właścicielem wyspy na niezamieszkanym Piątym Poziomie czasowym.

Ciekawe, czy szybko Vall poczuje się tak wyczerpany, jak ja teraz, pomyślał.

Właściwie Vall był już teraz zmęczony. Nigdy nie chciał być szefem - ani prestiż, ani autorytet związany z tą funkcją nie znaczyły dla niego wiele przeciwnie niż wolność. Przejęcie obowiązków dowódcy traktował jak robotę, którą ktoś musiał wykonać i do której był przygotowywany. Tortha podejrzewał, że Vall będzie wykonywał pracę lepiej niż on. Z całą pewnością następcą będzie sumiennie wypełniał obowiązki polegające na patrolowaniu bliskiej nieskończoności światów alternatywnych, z których każdy istniał na tej samej planecie - Ziemi.

Dwanaście tysięcy lat temu, stojąc w obliczu śmierci wycieńczonej Ziemi, rasa z Pierwszego Poziomu odkryła istnienie innego, bocznego wymiaru czasowego. Znalazła także sposób przemieszczania się pomiędzy różnymi światami równoległymi. Podróżnicy w czasie przemykali się tam ukradkiem i wywozili przeróżne dobra, aby uzupełnić niedobory na ich ojczystym Poziomie Pierwszym. Zabierali po trochu z każdej rzeczywistości, czerpiąc zbyt dużo bogactw, aby ich brak pozostał niezauważony. Trzeba było nad tym jakoś zapanować. Niektórzy przemytnicy międzyczasowi nie mieli żadnych skrupułów, kiedy chodziło o ludzi z innego kontinuum. Tortha odszedłby na emeryturę już pięć lat temu, gdyby nie to, że wykryto zakrojony na szeroką skalę, międzyczasowy handel niewolnikami. Dopiero niedawno udało się tę sprawę zakończyć. Znacznie częściej - zwykle na skutek czyjejś niedyskrecji lub zwykłego pecha - pojawiała się groźba wyjawienia sekretu podróży w czasie. Tymczasem za wszelką cenę należało utrzymać w tajemnicy nie tylko samą technikę transpozycji międzyczasowej, ale również istnienie rasy, która posiadała umiejętność takich podróży. Nie wolno było dopuścić, aby ludzie w innych wymiarach czasu żyli ze świadomością, że wśród nich znajdują się obcy nieodróżnialni od nich samych, którzy obserwują i wykorzystują ich rasę. Dlatego stworzono Policję Czasu.

Na Drugim Poziomie cywilizacja istniała niemal tak długo jak na Poziomie Pierwszym, jednak bardzo długo panowały tam mroki średniowiecza. Pominąwszy odkrycie podróży w czasie, teraz niemal dorównywała zaawansowaniem społeczeństwu z Poziomu Pierwszego. Cywilizacja Trzeciego Poziomu była młodsza, z budzącą szacunek kulturą antyczną. Czwarty poziom wystartował późno i rozwijał się powoli. Jakiś tamtejszy geniusz wymyślał właśnie rolnictwo, podczas gdy na Trzecim Poziomie już wychodziły z użycia silniki parowe. Na Piątym Poziomie jedynie kilka światów równoległych zamieszkiwały agresywne małpoludy. Nie wykształciły jeszcze mowy i nie znały ognia - używały kamieni, aby rozbijać orzechy i głowy swoich ziomeków. W pozostałych światach Piątego Poziomu nie pojawiły się jeszcze żadne istoty człekopodobne.

Czwarty Poziom był najważniejszy. Reszta powstała na skutek mało prawdopodobnych zdarzeń genetycznych. Rozwój na Czwórce przebiegał zgodnie z wszelkimi przewidywaniami. Poziom był podzielony na wiele sektorów i podsektorów, w większości cywilizacje pojawiały się najpierw nad Nilem oraz w dolinie Eufratu i Tygrysu, a później nad Indusem i Jangcy. Powstał Sektor Euro-Amerykański - może trzeba się będzie z niego wycofać, ale zdecyduje o tym Verkan. Nadmiar broni termonuklearnej i zbyt wiele rywalizujących ze sobą narodów zawsze stanowiło kombinację nieuchronnie prowadzącą do katastrofy. To samo zdarzyło się na Trzecim Poziomie, w głównym kontinuum czasowym. Połączenie teoretycznej wiedzy Greków i technicznych zdolności Rzymian dało wspaniały początek cywilizacji romańsko-aleksandryjskiej. Tysiąc lat później dwie na wpół zapomniane religie zostały wygrzebane ze śmietnika i nowo nawróceni wyznawcy każdej z nich rozpoczęli krwawą

wojnę. Walczyli jeszcze do tej pory, używając pik i rusznic, a przez to stracili zdolność do jakiegokolwiek rozwoju. Euro-Amerykanie skończą podobnie, jeśli nie ustanie polityczno-ekonomiczna rywalizacja między różnymi ugrupowaniami. Tak zwana cywilizacja sino-indyjska była ciężkim przypadkiem paraliżu kulturalnego. Indo-Turańczycy byli na takim poziomie rozwoju, jak Euro-Amerykanie tysiąc lat temu.

Była jeszcze kultura wschodnioaryjska; ponad trzy tysiące lat temu Aryjczycy zamiast na zachód i południe - tak jak w większości sektorów - przemiegrali na wschód, aż do Chin.

Z kolei Aryjczycy Transpacyficzni stworzyli niezbyt ciekawą kulturę. Był to odłam Aryjczyków Wschodnich - zdobywcy Japonii, którzy pożeglowali na północ i wschód przez Wyspy Kurylskie i Aleuty, a potem rozprzestrzenili się na południowo-wschodnich obszarach kontynentu północnoamerykańskiego. Przywieźli ze sobą konie, bydło oraz technologię obróbki żelaza, eksterminowali tubylców i podzielili się na zróżnicowane narody. Istniała także cywilizacja na wybrzeżu Pacyfiku oraz zamieszkujący równiny nomadowie, którzy zaganiali bizona i krzyżowali je z azjatyckim bydłem. Kolejne dwie cywilizacje powstały w dolinie Missisipi i w Krainie Wielkich Jezior. Oprócz tego była jeszcze jedna, licząca zaledwie czterysta lat, która rozwinęła się na wybrzeżu atlantyckim i w Appalachach. Postęp technologiczny był na poziomie średniowiecznej Europy, w kilku podsektorach nieco lepszy, jednak wszystkie cywilizacje się rozwijały. Tortha pomyślał, że kultura Aryjczyków Transpacyficznych dojrzała do wielu przemian.

Cóż, niech Verkan ma to na uwadze, kiedy już zostanie szefem.

Wpatrywała się w mapę rozciągniętą na stole pomiędzy dwoma świecznikami i usiłowała nie słyszeć rozbrzmiewających wokół głosów. Górzący nad przepaścią zamek Tarr-Hostigos był zaledwie maleńką plamką na pergaminie, lecz oczami umysłu widziała jego ściany, zewnętrzny mur obronny, twierdzę i basztę - wieżę wartowniczą, która przypominała skierowany ku niebu palec. Poniżej skrzyła się rzeka Darro, płynęła na północ, aby połączyć się z Listrą, i przez szeroki Athan podążała na północny wschód. Miasto Hostigos - białe ściany domów, dachy z płytek łupkowych, tłoczne ulice, szachownica pól i lasów... Przywrócił ją do rzeczywistości dźwięk głosu ostrzejszy i bardziej donośny niż pozostałe:

- Więc nic nie robi? Od czego, na Dralma, jest Wielki Władca, jeśli nie od utrzymania pokoju?

Spojrzała ponad stołem, zatrzymując wzrok na każdym z zebranych. Przedstawiciel chłopów, zaniepokojony i bardzo skrępowany, w niewygodnym odświętnym ubraniu siedział na końcu stołu pośród lepszych od siebie. Dalej widziała reprezentantów rzemieślników, kupców i mieszczan, a także pomniejszych członków rodziny, zaprzysiężonych posiadaczy ziemskich. Naczelnik Chartifon, z jasną brodą przetykaną szarymi pasmami w odcieniu ołowianych łąt na napierśniku, trzymał przed sobą długi miecz. Stary Xentos zsunął kaptur kapłańskiej togi z śnieżnobiałej głowy. Jego oczy pełne były niepokoju. I wreszcie Ptosphes - książę Hostigos, jej ojciec, siedział u szczytu stołu, przed nią. Zaciśnięte usta okalała szpiczasta bródka i wąsik - ile to już czasu minęło, od kiedy po raz ostatni widziała jego uśmiech? Xentos zamachał przecząco ręką na wysokości twarzy.

- Wielki Władca Kaifranos powiedział, że obowiązkiem każdego księcia jest strzec własnej dziedziny. Zatem to książę Ptosphes powinien trzymać najeźdźców z dala od Hostigos.

- Na Dralma, czy nie powiedziałaś mu, że to nie są zwykli bandyci? - odezwał się zboląły głos. - To żołnierze Nostoru! Będzie wojna! Gormoth z Nostoru chce zająć całe Hostigos, tak jak jego dziad zawładnął Doliną Siedmiu Wzgórz, gdy zdrajca, którego imienia nie

wymawiamy, sprzedał mu Tarr-Dombra.

Było takie miejsce na mapie, od którego stroniła wzrokiem - szeroka dolina ciągnąca się ku wschodowi, gdzie przełęcz Dombra rozdzielała góry. Stamtąd właśnie nadciągnęli żołnierze Nostoru.

- Czy możemy liczyć na pomoc Domu Styfona? - zapytał ojciec. Znał odpowiedź, lecz uznał, że wszyscy powinni ją otrzymać z pierwszej ręki.

- Chartifon z nimi rozmawiał - odparł Xentos. - Kaznodzieje Styfonu nie mają wspólnego języka z kapłanami innych bogów.

- Arcykapłan nie chciał ze mną rozmawiać - zaczął Chartifon. - Jeden ze znaczniejszych duchownych przyjął nasze ofiary i powiedział, że będzie modlić się za nas do Styfona. Kiedy poprosiłem o nasiona ogniste, nie dał nic.

- Zupełnie nic?! - krzyknął ktoś. - Jesteśmy wyklęci! Książę zastukał gałką na rękojeści swego puginału.

- Teraz usłyszeliście najgorsze - rzekł. - Cóż zatem przyjdzie nam czynić? Ty pierwszy, Fosg.

Przywódca chłopów podniósł się niezgrabnie i oczyścił gardło chrząknięciem.

- Panie, moja wioska jest mi tak samo droga, jak tobie twój piękny zamek - rzekł. - Będę walczył w jej obronie, tak jak ty o swe dziedzictwo.

Nad stołem przeszedł szybki pomruk aprobaty. Potem kolejno wypowiadali się pozostali, niektórzy próbowali nawet wygłaszać przemowy.

- Walka. Cóż innego? - rzekł krótko Chartifon.

- Uległość wobec zła jest najcięższym ze wszystkich grzechów - powiedział Xentos. - Jestem kapłanem Dralma, boga pokoju, lecz w tej walce otrzymamy jego błogosławieństwo.

- Rylla? - zapytał ojciec.

- Lepiej umrzeć w zbroi, niż żyć w łańcuchach - odparła. - Kiedy nadejdzie czas, stanę w pełnym rynsztunku wraz z wami. Książę pokiwał głową.

- Tego samego oczekuję od każdego z was - wstał, a wraz z nim pozostali zgromadzeni. - Dziękuję wszystkim. O zachodzie słońca spożyjemy razem posiłek, a do tego czasu zatroszczą się o was służący. A teraz proszę, zostawcie mnie z córką. Xentosie i Chartifonie, wy również pozostaniecie.

Nim zamknęły się drzwi, z korytarza dobiegły odgłosy szurania krzesel o posadzkę, pomruk rozmów i echa oddalających się kroków. Chartifon napełnił krótką, pękatą fajkę.

- Sarrask z Sasku oczywiście nie udzieli nam pomocy - odezwał się książę.

- Sarrask jest głupcem - skwitował Chartifon. - Powinien wiedzieć, że kiedy Gormoth zdobędzie już Hostigos, księstwo Sasku będzie następne w kolejce.

- Wie o tym - odparł spokojnie Xentos. - Pierwszy spróbuje uderzyć na Gormotha. Lecz nawet gdyby chciał, nie pomoże. Nawet król Kaifranos nie odważy się udzielić wsparcia tym, których kapłani Styfona skazali na zagładę.

- Chcą ziemi w Dolinie Wilka pod gospodarstwa świątynne - powiedziała Rylla. - Wiem, że to bardzo złe, ale...

- Za późno - przerwał jej Xentos. - Dom Styfona postanowił zniszczyć nas ku przestrodze dla innych. - Odwrócił się do jej ojca. - I to ja sugerowałem, panie, abyś im odmówił.

- Odmówiłbym nawet wbrew twej radzie. Dawno temu przysiągłem, że póki żyję, Dom Styfona nigdy nie stanie na mej ziemi i, na Dralma, nie wpuszczę tu kapłanów złego boga! Pojawiają się w księstwie, budują świątynię i zakładają gospodarstwa, a potem z pracujących

w nich chłopów czynią niewolników. Ściągają opłaty od księcia i zmuszają go, aby obłożył podatkami podwładnych, tak że w końcu pozbawiają ich wszystkiego. Popatrzcie na farmę w Dolinie Siedmiu Wzgórz.

- Lepiej w to wierzyć - wtrącił Chartifon. - Kapłani Styfona zmuszają chłopów z okolicznych gospodarstw, żeby cały obornik zwozili na pola świątynne, nic nie zostaje dla tych biedaków. Dralm jeden wie, co robią z taką ilością nawozu. - Pyknął z fajki. - Zastanawiam się, dlaczego chcą zająć Dolinę Wilka.

- Jest tam coś, co sprawia, że woda ze źródeł dziwnie smakuje i brzydko pachnie - stwierdziła Rylla.

- Siarka - odparł Xentos. - Ale do czego potrzebna im siarka?

Calvin Morrison, kapral policji stanowej w Pensylwanii, ukryty za krzakiem na skraju poletka spoglądał ponad strumykiem na oddalony o jakieś pięćdziesiąt metrów dom z werandą i zapadniętym dachem. Z budynku płatami schodziła żółta farba. W zawalonej stodole kilka białych kurcząt dziobało ziemię ze znużeniem, poza tym gospodarstwo zdawało się wymarłe. Kapral wiedział jednak, że w środku jest człowiek. Mężczyzna ze strzelbą, której potrafi użyć - raz już zamordował człowieka, a teraz uciekł z więzienia i znowu będzie zabijał. Morrison spojrzął na zegarek; duża wskazówka wskazywała dokładnie dziewiątkę. Jack French i Steve Kovac będą podchodzić od drogi, na której zostawili samochód. Wstał i odpiął ostatni zatrzask kabury.

- Zaczynam - powiedział. - Obserwuj środkowe okno na pierwszym piętrze.

- Masz to jak w banku - upewnił go głos dobiegający z tyłu. Strzelba wydała ciche szcęknięcie, kiedy nabój wszedł do komory. - Powodzenia.

Morrison ruszył przez zachwaszczone pole. Był przerażony, chyba po raz pierwszy od czasu wojny w Korei w 1952 roku. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Za parę chwil nie będzie już czasu na strach. Doszedł niemal do strumyczka, w każdej chwili gotowy do strzału, i wtedy właśnie to się stało.

Zobaczył oślepiający błysk, a potem ciemność. Myślał, że został trafiony. Stał, kurczowo zaciskając w dłoni trzydziestkęósemkę. Potem dookoła niego wykwitła kopuła mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy. Miała średnicę dziesięciu metrów i około piętnastu metrów wysokości. Tuż przed Morrisonem pojawiło się owalne biurko z tablicą rozdzielczą i obrotowe krzesło, z którego właśnie podnosił się jakiś mężczyzna. Był młody i dobrze zbudowany, nosił luźne zielone spodnie, czarne buty do kostek i bladozieloną koszulę. Miał szelki, które przytrzymały kaburę pod lewym ramieniem, a broń trzymał w ręku. Morrison był przekonany, że jest to broń, chociaż urządzenie przypominało raczej elektryczną kolbę lutowniczą - dwa cienkie metalowe pręty, które zastępowały lufę, połączone były z przodu niebieską ceramiczną gałką. Przy czymś takim służbowy pistolet kaprała wyglądał jak dziecinna zabawka. Broń kierowała się szybko w jego stronę.

Morrison wypalił ze służbowego kolta i upadł, przytrzymując palec na spuście. Zaczął się turlać, słysząc, że coś przewraca się z łomotem. Wytoczył się poza opalizującą kopułę i uderzył z impetem w jakąś przeszkodę. Chwilę później podniósł się powoli, zdejmując palec ze spustu.

Okazało się, że wpadł na drzewo. Stwierdził, że coś się nie zgadza. Przed chwilą nie było tu przecież żadnych drzew, jedynie krzaki. To drzewo, a także wszystkie pozostałe przypominały gigantyczne kolumny. Wznosiły się ku górze i podtrzymywały dach zieleni, przez który przeciekały zabłąkane promienie słońca. Stare świerki - musiały tu rosnać w czasach,

gdy królowa Izabela zastawiała biżuterię na wyprawę Kolumba. Morrison przypomniał sobie, że takie drzewa rosły w lesie Alana Seegera. Może tam właśnie wylądował. Jak to wszystko wyjaśni?

- Podczas zbliżania się do budynku - zaczął na próbę - zostałem zatrzymany przez latający spodek. Kierujący nim osobnik groził mi bronią emitującą promieniowanie. W obronie własnej wystrzeliłem jeden pocisk...

Nie, to nie przejdzie. Zwolnił blokadę bębna, odchylił go, a potem wyjął łuskę i zastąpił ją nowym nabojem. Przeskoczył strumyczek i ruszył w stronę, gdzie powinien znajdować się budynek.

Verkan Vall obserwował migoczący krajobraz na zewnątrz niemal niewidocznej, lśniącej powłoki pola transportującego. Góry były takie same, ale w różnych wymiarach czasowych panowała pewna dowolność co do miejsc, w których rosły drzewa. Czasami na ułamek sekundy pojawiała się otwarta przestrzeń oraz budynki i instalacje - bazy, które zbudowali jego współpracownicy na Piątym Poziomie. Nad głową mrugało czerwone światło, a przy każdym jego zgaśnięciu odzywał się brzęczyk. Kopuła transportera zaczęła mienić się kolorami tęczy, potem przybrała postać siatki o chłodnym, metalowym odcieniu. Czerwone światło zapłonęło na stałe. Podniósł leżący przed nim na biurku miotacz promieni sigma, włożył do futerału. Rozsunęły się drzwi i zajął porucznik Policji Czasu.

Przenoszące pole Galdrona-Hestora teoretycznie było nieprzenikalne z zewnątrz. W praktyce, zwłaszcza gdy dwa transportery poruszające się w przeciwnych kierunkach osi czasowej docierały na miejsce przeznaczenia w tym samym momencie, pole ulegało osłabieniu i różne obiekty obce - czasem żywe i wrogo nastawione - mogły dostać się w obszar jego działania. Dlatego strażnicy czasu zawsze trzymali broń w pogotowiu, a przenośniki były sprawdzane natychmiast po wynurzeniu. Z tego również powodu niektórzy strażnicy nie robili tego na swoim poziomie czasowym.

- Witam, zastępczo - powiedział porucznik. - Jakież problemy?

- Nie tym razem - odpowiedział Verkan. - Czy moja rakietka jest gotowa?

- Tak, proszę pana. Poduszkowiec, który ma dowieźć pana na kosmodrom, trochę się spóźni. - Porucznik wszedł do transportera. Tuż za nim wkroczył policjant z patrolu i zaczął pakować taśmę i film, na których zarejestrowana była podróż Verkana. - Zadzwoń, jak już przyjedzie - dodał porucznik.

Verkan wyszedł z nim do hałaśliwej i pełnej kolorów rotundy parkingowej. Wyjął cygarniczkę i poczęstował porucznika papierosem. Zdażyli zaciągnąć się parę razy, kiedy w wolnej przestrzeni tuż obok nich zmaterializował się bezszelestnie kolejny transporter. Podbiegło do niego paru policjantów i odbezpieczyło miotacze, gdy otworzyły się drzwi. Jeden zerknął do środka, a potem schował broń do kabury i wyciągnął radiotelefon. Pozostali funkcjonariusze ostrożnie weszli do przenośnika. Verkan zgasił papierosa i pośpieszył w kierunku kapsuły. Porucznik podążał za nim krok w krok. W transporterze krzesło było przekręcone, a strażnik czasu bez tuniki, z rozpiętym kołnierzem leżał na ziemi. Bładozieloną koszulę miał czarną od krwi. Kilkanaście centymetrów od jego wyciągniętej ręki leżał miotacz. Porucznik obejrzał strażnika, niczego nie dotykając.

- Wciąż żyje - stwierdził. - Kula czy ostrze miecza?

- Kula. Czuję woń prochu. - W tym momencie Verkan dostrzegł kapelusza na podłodze. Obszedł leżącego strażnika. Dwóch mężczyzn wniosło nosze antygravitacyjne i z pomocą policjanta umieścili na nich ranego. - Niech pan spojrzy, poruczniku - rzekł Verkan,

podnosząc kapelusz wykonany z szarego filcu, z białym rondem, na którym widniały cztery karby. - Czwarty Poziom. Euro-Amerykanin. - Zajrzał do środka kapelusza. Na potniku wyszyto złotymi nićmi: JOHN B. STETSON COMPANY, FILADELFIA, PA. Był tam jeszcze odręczny napis, sporządzony atramentem: „Kapral Calvin Morrison, Policja Stanowa, Pensylwania”.

- Znam ten mundur - powiedział porucznik. - To nieźli policjanci. Tak samo dobrzy jak my.

- Jeden z nich okazał się o ułamek sekundy szybszy niż nasz strażnik - odparł Verkan i wyciągnął cygarniczkę. - Poruczniku, mamy tu cholernie poważny problem. Z pewnego świata zniknął człowiek, a ci, którzy zauważą jego nieobecność, są pracownikami jednej z dziesięciu najlepszych organizacji policyjnych w ich wymiarze. Nie wystarczą im mętne tłumaczenia, którymi zadowolają się przeciętni Euro-Amerykanie. Zapragną rzeczywistego, istniejącego fizycznie dowodu. Musimy się dowiedzieć, gdzie wylądował ten policjant. Człowiek, który ubiegł strażnika czasu, nie wsiąknie tak po prostu w jakąkolwiek rzeczywistość. Narobi cholernego rumoru, a my będziemy musieli wszystko wygładzić.

- Mam nadzieję, że nie wyłoni się w równoległej rzeczywistości i nie odkryje swojego duplikatu, który pracuje na tym samym posterunku policji - stwierdził porucznik. - Z identycznymi liniami papilarnymi - dodał. - To wywołałoby małe zamieszanie.

- Prawda? - Verkan podszedł do owalnego biurka i wyjął zsynchronizowane nagranie audio-wideo. - Niech zatrzymają rakietę. Będę jej potrzebował dopiero za jakiś czas. Zamierzam osobiście zająć się tą sprawą.

Calvin Morrison przewiesił nogi obute w czarne oficerki przez krawędź urwiska i po raz kolejny pożałował, że zgubił kapelusz. Wiedział dokładnie, gdzie jest - na małej skarpie ponad drogą, na której zostawili samochód. Tylko że teraz nie było żadnej drogi. Na miejscu farmerskiego domu rósł rozłożysty świerk, którego pień miał dobrze ponad metr średnicy. Nie było śladu kamiennych fundamentów budynku. Znikła też stodoła, ale położenie dwóch nieodłącznych elementów krajobrazu - wzgórz Bald Eagles na północy i Nitanny na południu - nie zmieniło się ani na jotę.

Rozbłysk, a potem chwila ciemności mogły być odczuciem subiektywnym, zatem nie stanowiły żadnego dowodu. Morrison był pewien, że dziwnie wyglądająca, piękna kopuła światła istniała naprawdę, podobnie jak owalne biurko i deska rozdzielcza, a także mężczyzna z dziwną bronią. Z całą pewnością nie było też niczego subiektywnego w widoku dziewiczego lasu, który rósł dokładnie tam, gdzie wcześniej znajdowało się gospodarstwo.

Kapral Morrison nie podawał w wątpliwość swojego zdrowia psychicznego. Nie używał też określeń takich, jak „niewiarygodne”, „niesamowite” lub „niemożliwe”. „Nadzwyczajne” wydało mu się najodpowiedniejszym słowem. Był pewien, że przytrafiło mu się coś wyjątkowego, a właściwie były to dwa wydarzenia: pierwsze - pojawienie się opalizującej kopuły i to, co się w niej stało, i drugie - znalezienie się w tym samym, lecz innym miejscu.

Oba zdarzenia były anachronizmami, w dodatku skrajnie różnymi. Wszystko, co było związane z pierwszym, pochodziło prawdopodobnie z dalekiej przyszłości, a nie z 1964 roku. Miejsce, w którym się znalazł, wyglądało na starsze o jakieś dwa stulecia. Fajka zgasła, a on, zajęty roztrząsaniem faktów, przez chwilę zapomniał, żeby ją ponownie rozpałić. W końcu jednak wyciągnął zapalniczkę, zapalił, a potem schował ją do kieszeni i zapiął guzik.

Mimo nalegań ze strony ojca, pastora, aby wstąpił w szeregi duchowieństwa, Morrison stał się agnostykiem. Agnostycyzm oznaczał dla kaprała odmowę przyjęcia lub odrzucenia czegokolwiek bez namacalnego dowodu. Tak przy okazji, to świetna filozofia dla policjanta.

Cóż, nie zamierzał odrzucać możliwości istnienia maszyn przenoszących w czasie, zwłaszcza po tym, jak nieświadomie przeniósł się do innego świata w jednej z nich. Gdziekolwiek się przedostał, nie był to dwudziesty wiek. Ta sprawa nie podlegała już żadnej dyskusji.

Zsunął się po urwisku i zaczął iść z biegiem strumyka. Zamierzał dotrzeć do większej rzeki. Błękitna sójka zerwała się z wrzaskiem. Dwa jelenie przecięły mu drogę. Mały czarny niedźwiedź przyglądał się kapralowi podejrzliwie, a potem oddalił się pośpiesznie. Gdyby tak spotkać Indian, którzy nie zabiją go, białego człowieka, zanim zdąży pomyśleć...

Droga przecinała strumień i wtedy na moment znikwała pod wodą. Morrison wstrzymał oddech. Prawdziwa droga, z koleinami wyżłobionymi przez koła! Leżące na trakcie końskie odchody wydały mu się najpiękniejszą rzeczą, jaką ujrzał w tej rzeczywistości. Widok ten oznaczał, że nie dotarł tu przed Kolumbem. Kaprał pomyślał, że pewnie sprawiłby się znacznie gorzej niż sławny Krzysztof, ale przynajmniej mógłby to zrobić po angielsku. A może trafił do czasu, w którym toczyła się wojna secesyjna? Przeszedł w bród przez potok i skierował się drogą na zachód tam, gdzie powinno być miasto Bellefonte. Słońce już zachodziło. Wszystkie świerki w okolicy zostały ścięte, rosły inne gatunki drzew o twardym drewnie.

Morrison poczuł zapach świeżo zaoranej ziemi. Zapadła całkowita ciemność, nim zauważył przed sobą blask. Dom ledwo majaczył w mroku, światło dochodziło z wąskich, poziomych okien pod dachem. Za domem były stajnie i, sądząc po zapachu, zagroda dla świń. Na drogę wypadły dwa ujadające psy.

- Halo! Jest tam kto? - zawołał Morrison.

Za uchylonych okien dobiegły go głosy. Zawołał znowu. Zachrobotał rygiel i drzwi otworzyły się do wewnątrz. Mocno zbudowana kobieta w ciemnej sukni odsunęła się na bok, pozwalając mu wejść. W środku domostwa był tylko jeden duży pokój, oświetlony ogniem z paleniska oraz świecami ustawionymi na stole i nad kominkiem. Wzdłuż ścian stały piętrowe łóżka, a na środku stół zastawiony jedzeniem. W pokoju przebywało trzech mężczyzn i dwie kobiety. Kątem oka dostrzegł dzieci wyglądające zza drzwi, które zapewne prowadziły do szopy. Jeden z mężczyzn, wysoki, z jasną brodą, stał tyłem do kominka. Trzymał coś, co przypominało krótką strzelbę. Nie, to nie była strzelba, lecz kusza, naciągnięta, z nałożonym bełtem. Dwaj pozostali, młodszy, zapewne byli synami człowieka z kuszą. Podobnie jak on nosili brody, chociaż jeden z nich miał bardzo delikatny zarost. Wszyscy ubrani byli w skórzane kaftany i rajtuzy. Jeden z młodzieńców trzymał halabardę, a drugi topór. Starsza kobieta szepnęła coś do najmłodszego mężczyzny i wyszła do sąsiedniego pomieszczenia, popychając przed sobą dzieci.

Morrison podniósł ręce do góry.

- Jestem przyjacielem. Zmierzam do Bellefonte. Jak daleko stąd jest Bellefonte?

Człowiek z kuszą powiedział coś niezrozumiałego, potem odezwał się młody z halabardą. Wtrąciła się kobieta, a ten z toporem dodał coś na końcu i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Nazywam się Calvin Morrison. Jestem kapralem z policji stanowej w Pensylwanii. - Rany boskie, ci ludzie nie odróżniliby policji stanowej od szwedzkich komandosów! - Czy Bellefonte jest w tym kierunku?

I znowu to samo. Był pewien, że nie rozmawiali po niemiecku. Może po polsku - nie, słyszał polski na tyle często, że umiał go rozpoznać, choć nie rozumiał. Podczas gdy gospodarze spierali się o coś, rozejrzał się i w dalekim kącie na lewo od kominka dostrzegł trzy obrazki. Zaprzagnął przyjrzeć się im bliżej. Katolicy, zarówno z Kościoła rzymsko - jak i

grekokatolickiego, mieli charakterystyczne ikony, potrafił je rozpoznać.

Mężczyzna z kuszą opuścił broń, lecz wciąż trzymał ją w pogotowiu. Zaczął mówić spokojnie i wyraźnie. Morrison nigdy wcześniej nie słyszał tego języka. Odpowiedział po angielsku, równie wyraźnie. Gospodarze byli widocznie zakłopotani. Wreszcie gestami zaprosili go do stołu. Dołączyła do nich szóstka dzieciaków.

Na kolację była pieczona szynka, ziemniaki i puree z kukurydzy i fasoli. Do jedzenia służyły noże oraz kilka kościanych łyżek. Mężczyźni używali swoich noży myśliwskich. Morrison wyjął nóż sprężynowy z wielkim ostrzem, który kiedyś odebrał aresztowanemu bandycie. Scyzoryk wywołał sensację i kapral musiał parę razy zademonstrować jego działanie. Pili wino z czarnego bzu - niezbyt dobre, lecz mocne. Po posiłku kobiety zaczęły uprzątać stół, a mężczyźni napełnili fajki tytoniem z puszki stojącej na kominku. Poczestowali go, więc Morrison napełnił swoją fajkę i, tak jak to czynili gospodarze, zapalił za pomocą patyka włożonego na chwilę w ogień. Odsuwając się od paleniska, przyjrzał się obrazkom.

W środku widniała podobizna starego mężczyzny w białej szacie, z niebieską ośmioramienną gwiazdą na piersi. Z jednej strony starca siedziała kobieta w zaawansowanej ciąży. Na głowie miała wianek z kłosów, w rękę trzymała źdźbło zboża. Z drugiej strony stała męska postać w koszuli, z najeżoną kolcami maczugą. Jedyną niezwykłą rzeczą było to, że mężczyzna ów miał głowę wilka. Bóg ojciec, bogini matka i bóg wojny - nie, z całą pewnością ci ludzie nie byli katolikami. Morrison pokłonił się przed centralnym obrazem, dotykając dłonią czoła. Powtórzył gest przy pozostałych dwóch wizerunkach. Nagroził go pomruk aprobaty - wszyscy się przekonali, że nie jest poganinem.

Kapral usiadł na skrzyni pod ścianą. Gospodarze nie zaryglowali drzwi. Dzieci zagoniono z powrotem do szopy. Nikt nie rozmawiał, wszyscy nasłuchiwali. Morrison przypomniał sobie, że przy stole było jedno wolne miejsce. Pewnie wysłali kogoś z wiadomością. Skończył palić fajkę i schował ją do kieszeni, a przy okazji dyskretnie odpiął kaburę. Minęło może pół godziny, kiedy usłyszał, że drogą nadciągają w pełnym galopie jacyś jeźdźcy. Udawał obojętność, podobnie jak pozostali. Starszy mężczyzna sięgnął po kuszę, a dwaj synowie chwycili halabardę i topór, jak gdyby chcieli wypolerować ostrza. Kopyta końskie zastukały na podwórzu i zabrzączał ekwipunek. Psy zaczęły wściekle ujadać. Morrison wyciągnął trzydziestkę-ósemkę i odwiódł kurek.

Młodszy syn podszedł do drzwi, lecz zanim zdążył wyciągnąć rękę, otworzyły się gwałtownie i uderzyły go w twarz tak, że aż się zatoczył. Do izby, wymachując mieczem, wkroczył brodaty mężczyzna w hełmie zwieńczonym szerokim grzebieniem, w stalowym napierśniku i z czarno-pomarańczową szarfą. Wszyscy domownicy wszczęli alarm - chyba nie oczekiwali takiego rozwoju sytuacji. W drzwiach pojawił się następny hełm i wylot lufy muszkietu. Na podwórzu rozległ się strzał, zawył jakiś pies.

Morrison zerwał się ze skrzyni i zastrzelił intruza z mieczem, a potem w dwutakcie, puszczając na wpół odwiedziony kurek, zlikwidował mężczyznę z muszkietem. Broń wypaliła w sufit. Kolejny napastnik upuścił swoją strzelbę i zwałił się na trupy kolegów z bełtem tkwiącym w środku czoła.

Kapral przerzucił kolta do lewej ręki i chwycił miecz pierwszego żołdaka. Ostrze było lżejsze, niż się spodziewał, i cudownie wyważone. Przeskoczył przez tarasujące drzwi ciała i zobaczył następnego mężczyznę uzbrojonego w miecz. Przez kilka chwil walczyli, a potem kapral wycelował ostrze w nieosłoniętą twarz przeciwnika i pchnął. Chłopak, którego wcześniej ogłuszyło uderzenie drzwi, chwycił naładowany muszkiet i wypalił. Strzał

dosięgną! człowieka, który pilnował grupki koni na trakcie. Starszy syn halabardą rozplątał czaszkę kolejnego napastnika. Gospodarz zaczął ładować do muszkietu proch i kule. Morrison wbił miecz w ziemię i włożył rewolwer do kabury. Chwycił przebiegającego obok konia za cugle i wskoczył na siodło. Ponownie chwycił miecz, zadowolony, że nawet w epoce motoryzacji funkcjonariusze policji stanowej uczyli się jeździć konno. Walka tutaj dobiegła końca. Sześciu napastników leżało na ziemi, prawdopodobnie wszyscy martwi. Dwaj pozostali uciekali w pełnym galopie. Synowie gospodarza usiłovali schwytać pięć pozostałych koni, które kręciły się beładnie po podwórzu. Starszy mężczyzna podsypał prochu pod panewkę strzelby i wyszedł na zewnątrz.

Było to tylko preludium, właściwa walka rozgrywała się nieco dalej. Morrison słyszał strzały, wycie i okrzyki. W pewnym momencie zobaczył nagły rozbłysk pomarańczowego światła, który rozświetlił ciemności. Zastanawiał się właśnie, w co się wpakował, kiedy na drodze pojawili się uciekinierzy. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości - widział takich wystarczająco wielu w Korei. Na nocnym niebie znowu pojawił się rozbłysk. Niektórzy ze zbiegów byli uzbrojeni. Dostrzegał topory, kopie, kilka łuków i jeden wielki muszkiet. Zatrzymali się, kiedy brodaty gospodarz oddał ostrzegawczy strzał.

- Co się tam dzieje? - zapytał głośno Morrison.

Odpowiedziała mu niezrozumiała paplanina. Jeden czy dwóch ludzi próbowało się przepchnąć w jego kierunku. Uderzył ich płazem miecza, przeklinając przy tym szpetnie. Wiedział, że słowa nic nie znaczą, liczy się ton wypowiedzi - to podejście zdało egzamin także w Korei. Wszyscy zatrzymali się i stłoczyli w beładnej gromadzie. W grupie były kobiety i dzieci. Zauważył, że nie wszyscy mężczyźni są uzbrojeni - około dwudziestu z nich mogło walczyć. Leżące na drodze ciała szybko zostały pozbawione wszelkiej broni. Kątem oka dostrzegł, jak mieszkanki domu, w którym gościł, wynoszą na podwórze różne rzeczy. Cztery schwyte konie miały już nowych jeźdźców. Do grupki dołączali kolejni uciekinierzy.

- No dobra! - wrzasnął Morrison. - Chcecie żyć wiecznie?! - Wskazał mieczem kierunek marszu. - Naprzód!

Dodało to ludziom otuchy i kiedy spiął konia, tłum ruszył za nim, krzycząc głośno. Po drodze spotkali więcej uciekinierów, którzy widząc, że zorganizowano coś w rodzaju kontrataku, dołączali do grupy. Luna była coraz jaśniejsza - przynajmniej pół tuzina domów stało w ogniu - lecz strzały umilkły. Pewnie nie ma już do kogo mierzyć, pomyślał Morrison.

Gdy byli w połowie drogi do płonącej wioski, usłyszeli serię czterdziestu lub pięćdziesięciu strzałów, która trwała nie dłużej niż dziesięć sekund. Zaraz rozległy się ostrzegawcze krzyki, znowu padły strzały i na drodze pojawili się jeźdźcy. Nastąpił pogrom. Wszyscy uzbrojeni w strzelby i kopie rzucili się na kawalerzystów. Jeden z koni przewrócił się i za chwilę następny jeździec wypadł z siodła. Nie było najgorzej, zważywszy na liczbę strzałów, które oddawano, żeby zabić jednego człowieka w Korei. Morrison stał wyprostowany w za krótkich dla niego strzemionach i wrzeszczał: „Do ataku!!!”, zupełnie jak Teddy w *Arszeniku i starych koronkach*.

Jakiś jeździec usiłował go ugodzić ostrzem w nieosłonięte ramię. Morrison odparował cios i pchnął. Miecz ześlizgnął się po napierśniku, a zanim kapral zdążył wrócić do poprzedniej pozycji, koń poniósł przeciwnika pomiędzy piki i zęby wideł piechurów. Kapral zaczął się fechtować z kolejnym jeźdźcem. Zastanawiał się jednocześnie, czy którykolwiek z tych imbecyli słyszał o tym, że miecz ma ostry koniec, bardzo wygodny do przebijania. Przez ten czas, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej na drodze i polu po lewej stronie kłębili się jeźdźcy,

którzy siekli toporami i strzelali do siebie nawzajem. Morrison ugodził w bok przeciwnika z taką siłą, że niemal wyrwało mu z dłoni miecz. Zobaczył kolejnego jeźdźca bez zbroi, ubranego w płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Żołdak celował w niego z długiej strzelby. Morrison ruszył ostro do przodu i zamierzył się mieczem na muszkiet, ale wiedział, że się mu nie uda. Calvin, szczęście cię opuściło, pomyślał. Koniec lufy rozbłysnął, buchnął dym i kapral poczuł, że coś zmiażdżyło mu klatkę piersiową. Zachował przytomność jeszcze na tyle długo, by uwolnić stopy ze strzemion i zauważyć, że jego przeciwnikiem była młoda dziewczyna.

Verkan Vall odłożył zapalniczkę na biurko i wyjął papierosa z ust. Tortha Karf odchylił się na krześle, na którym wkrótce będzie zasiadał Verkan.

- Od samego początku mieliśmy cholerne szczęście. Odwiedzaliśmy już ten wymiar czasowy. Pewien nasz człowiek pracujący w jednej z gazet filadelfijskich, a to najbliższe duże miasto, zgłosił zniknięcie policjanta. Związki dziennikarzy przejęły tę wiadomość i nic nie możemy na to poradzić.

- Tak... a co właściwie zdarzyło się podczas tego incydentu?

- Kapral Morrison i trzech innych policjantów otaczali budynek, w którym ukrywał się zbiegły kryminalista. Morrison i jeszcze jeden człowiek podchodzili od frontu, pozostali dwaj od tyłu. Morrison zaczął wchodzić, a jego towarzysz ubezpieczał go ze strzelbą. Był najbliżej miejsca zdarzenia, ale obserwował okna i na Morrisona właściwie nie zwracał uwagi. Usłyszał, jak dwaj pozostali oficerowie stukają w tylne drzwi i żądają ich otwarcia. Nagle przez główne drzwi wyprysnął poszukiwany zbieg ze strzelbą w dłoni. Towarzysz Morrisona oddał strzał ostrzegawczy, a gdy kryminalista uniósł broń, zabił go na miejscu. Potem, jak twierdzi, zdał sobie sprawę z nieobecności Morrisona. Zawołał go, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Poszukiwany mężczyzna był martwy i nie mógł już nigdzie uciec, więc wszyscy trzej rzucili się na poszukiwanie Morrisona. Po półgodzinie zabrali trupa do siedziby administracji okręgu. Wypełnienie wszystkich formalności zajęło dużo czasu, więc na własny posterunek wrócili dopiero wieczorem. Tak się złożyło, że był tam akurat reporter lokalnej gazety. Usłyszał całą historię łącznie z fragmentem o zniknięciu Morrisona i zadzwonił do gazety, a stamtąd wieść rozniosła się dalej. Teraz szefowie policji stanowej odmawiają komentarzy, nawet próbują zaprzeczać.

- Pewnie myślą, że ten policjant stracił panowanie nad sobą i uciekł, a teraz wstydy się wrócić - stwierdził Tortha Karf. - Oczywiście nie pozwolą, aby to wszystko przedostało się do gazet. Masz gotową jakąś wersję ratunkową?

Verkan pokiwał głową potwierdzająco.

- Kapelusz, który ten Morrison zgubił w przenośniku, umieścimy nad strumieniem, półtora kilometra od miejsca zdarzenia. Potem jeden z naszych ludzi złapie kogoś z miejscowych, najlepiej jakiegoś dwunastolatka, poda mu zastrzyk hipnotyzujący i poinstruuje, aby chłopak znalazł kapelusz i dostarczył go na policję. Dziennikarz, który pierwszy rozgłosił tę sprawę, otrzyma anonimowy telefon. Później przyjdzie kolej na wiele niesprawdzonych informacji dotyczących miejsca przebywania Morrisona.

- Co z jego rodziną?

- W tej sprawie też mamy szczęście. Jest kawalerem, rodzice nie żyją, ma tylko kilku dalszych krewnych, z którymi nie utrzymuje kontaktu.

- Bardzo dobrze. A co z miejscem wyjścia?

- Namierzaliśmy je. To gdzieś w obszarze zamieszkiwanym przez Aryjczyków

Transpacyficznych. Nie mamy pewności co do sektora, ponieważ pole transportujące było słabe przez kilka tysięcy lat relatywnych. Nie możemy ustalić, w którym dokładnie punkcie kontinuum wyrzucił go przenośnik. Potrzeba trzydziestu, czterdziestu dni, zanim to sprecyzujemy. Musimy też odszukać pewną rzecz, która powinna być jeszcze na miejscu zdarzenia.

- Łuska? - zapytał szef, kiwając głową.

- Tak. Morrison używał rewolweru, a tego typu broń nie jest ładowana automatycznie. Kiedy już znalazł się daleko od miejsca bezpośredniego zagrożenia, zapewne otworzył bęben i włożył nowy nabój, wyrzucając łuskę. Jestem tego absolutnie pewien, mogę niemal zobaczyć, jak to robi. Jeśli zdołamy odnaleźć łuskę, będziemy mieli dowód.

Obudził się w łóżku, w miękkiej pościeli i przez chwilę leżał z zamkniętymi oczami. Słyszał miarowe stukanie gdzieś bardzo blisko. Z oddali dochodziły odgłosy kucia i krzyki. Otworzył oczy. Znajdował się w dość dużym pokoju o ścianach obitych drewnem i malowanym suficie. W jednej ze ścian były dwa okna, oba otwarte. Morrison widział przez nie tylko niebo. Opoдал łóżka siedziała korpulentna kobieta o siwych włosach i robiła na drutach. Buty kaprala stały obok skrzyni po przeciwnej stronie izby, a na kufrze ułożono jego rzeczy, pas i rewolwer. Długi, obnażony miecz z zakrzywioną gardą stał oparty o ścianę tuż obok oficerek. Morrison czuł, że jest cały sztywny i obolały. Klatkę piersiową miał obandażowaną. Kiedy się poruszył, kobieta odłożyła robótkę. Nalała wody do kubka i podała Morrisonowi do wypicia. Dzbanek i kubek były ze srebra, kunsztownie cyzelowane. Kapral wypił wodę i zwrócił kubek z podziękowaniem. Kobieta odstawiła garnuszek na miejsce i wyszła.

Nie był więźniem, bo przecież odebrano by mu miecz i rewolwer. Chyba miał sporo szczęścia. Potarł dłonią podbródek i stwierdził, że pokrywa go trzydniowy zarost. Paznokcie również mu urosły. W piersi miał paskudną dziurę i prawdopodobnie złamane żebro.

Kobieta wróciła w towarzystwie mężczyzny odzianego w błękitną szatę z kapturem. Na jego piersi widniała biała ośmioramienna gwiazda - kolory były dokładnie odwrotne niż na obrazku przedstawiającym starca. Pewnie to kapłan, który pełnił funkcję lekarza. Mężczyzna położył dłoń na czole Morrisona, potem zbadał mu puls i powiedział coś pogodnym, uspokajającym tonem. Najwyraźniej wszędzie tak samo postępuje się z chorymi. Zmienił Morrisonowi bandażę i posmarował ranę jakąś maścią. Kobieta zabrała stare opatrunki i wróciła z miską pełną parującego rosolu z indyka, w którym pływały kawałki mięsa. Kiedy Morrison kończył jeść, do izby weszło jeszcze dwóch gości.

Mężczyzna był ubrany jak lekarz, kaptur odrzucił do tyłu. Miał białe włosy i dobrą, łagodną twarz. Towarzyszyła mu dziewczyna z jasnymi włosami obciętymi na pazia. Miała niebieskie oczy, czerwone usta i zuchwale zadarty mały nosek pokryty złotymi piegami. Odziana była w kaftan z brązowego zamszu przewiązany złotym sznurkiem, pod spodem miała żółtą tunikę z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. Prócz tego nosiła włóczkowe rajtuzy i wysokie, obcisłe buty. Na jej szyi wisiał złoty łańcuch, a przy pasie sztylet o złotej rękojeści. Morrison rozpoznał dziewczynę od razu.

- Postrzeliłaś mnie! - zawołał oskarżycielsko, ale jednocześnie się śmiał. - Bang! - udał, że celuje z pistoletu, a potem wskazał swoją pierś.

Dziewczyna powiedziała coś do starszego kapłana. Odpowiedział, a ona znowu zaczęła coś tłumaczyć i zakryła twarz dłonią, spozierając na Morrisona przez palce w wyraźnym geście wstydu i żalu. Kapral roześmiał się znowu, a wraz z nim także dziewczyna. Naturalnie,

to była pomyłka. Po prostu nie wiedziała, po czyjej walczył stronie. Kapłani wdali się w długą dyskusję, młodszy przyniósł kubek jakiegoś płynu. Morrison wypił - poczuł alkohol i leczniczą gorycz. Na migi pokazali mu, żeby położył się spać, i wyszli wszyscy, została tylko siwowłosa kobieta, która powróciła na swoje miejsce pod oknem i zajęła się robótką. Morrison zapadł w sen.

Obudził się na krótko późnym popołudniem. Za oknem ktoś prowadził musztrę. Słyszał miarowy tupot nóg, odliczanie, długie rozkazy, krótkie komendy i grzechotanie ekwipunku. Jeszcze jedna niezmienna rzecz. Morrison uśmiechnął się - chyba nie będzie miał kłopotów ze znalezieniem pracy, obojętne w jakim świecie wylądował.

Na pewno nie cofnął się w czasie. Nie mogła to być pierwotna osada, z której powstała potem Pensylwania. Wyglądało to raczej na szesnasto-wieczną Europę, ale żaden szesnastowieczny kawalerzysta nie mógł się posługiwać mieczem równie nieudolnie jak ci bandyci, bo nie przeżyłby na tyle długo, aby zedrzeć pierwszą parę służbowych butów. Dwa lata w college'u i wiele przeczytanych książek dały Morrisonowi przynajmniej pobieżną znajomość historii. Nie przypominał sobie także, aby w jakiegokolwiek religii, nawet w Egipcie czy państwie Sumerów, bogowie przypominali trójcę z obrazków, które widział w domu swoich gospodarzy. A zatem wylądował w przyszłości. Może dalekiej przyszłości, jakieś tysiąc lat po roku 1964. Świat został zniszczony na skutek wojen atomowych, cywilizacja cofnęła się do epoki kamienia tupanego, a potem szybko przeskoczyła do czasów przypominających koniec średniowiecza. Zresztą to wszystko nie było ważne. Znalazł się tutaj, utkwiał w tej rzeczywistości na dobre.

Wykorzystaj to jak najlepiej, Cal, pomyślał. Jesteś żołnierzem, dostałeś po prostu nowy przydział, to wszystko.

Znowu zasnął.

Następnego ranka po śniadaniu Morrison na migi poprosił opiekunkę, by przyniosła mu ubranie. Kiedy to zrobiła, wyciągnął z kieszeni fajkę, tytoń i zapalniczkę. Kobieta postawiła przy łóżku stołek, aby kapral mógł położyć na nim swoje rzeczy. Odznaka na kurtce munduru była powykrzywiana i osmalona prochem. Dzięki niej wciąż jeszcze żył.

Godzinę później pojawił się stary kapłan i dziewczyna. Tym razem miała na sobie czerwono-zieloną włóczkową sukienkę, podobne widywał w sklepie Goodmana, z metką opiewającą na dwieście dolarów - ale sztyletu, który nosiła u pasa, na pewno nie nabyła na Piątej Alei.

Szybko przeszli do rzeczy. Na początku nauczyli Morrisona słów takich jak „ja”, „ty” oraz imion. Dziewczyna nazywała się Rylla, a stary kapłan - Xentos. Młodszy duchowny, który przyszedł wkrótce, miał na imię Mytron. Byli bardzo zdziwieni, gdy Morrison się przedstawił. Widać nie mieli tu zwyczaju nadawania imion i nazwisk. W końcu ustalili, że będą na niego mówić Kalvan. Mieli kilka tabliczek z białej sosny i węgiel do rysowania obrazków. Rylla paliła fajkę wykonaną z małej kamiennej lulki i trzciniowego cybucha. Zauważył, że nosiła fajkę przy pasie, razem ze sztyletem. Zaintrygowała ją zapalniczka Morrisona, pokazała mu też własną. Była to hubka z krzesiwem - krzemień przytrzymywała sprężyna dokładnie naprzeciwko ręcznie opuszczanej skałki. Gdyby sprężyna powodowała uderzenie skałki o krzesiwo, zamiast ją odwodzić, można by przerobić to na zamek broni palnej. Do południa Rylla i Xentos potrafili już wytłumaczyć kapralowi, że uważają go za przyjaciela, a on był w stanie wytłumaczyć dziewczynie, że nie ma żalu o postrzelenie go podczas potyczki na drodze.

Po południu przyszli do Morrisona jeszcze raz w towarzystwie mężczyzny z siwymi

wąsami i szpiczastą bródką, ubranego w coś w rodzaju płaszczka kąpielowego z futrzanym kołnierzem i szeroki pas do miecza. Ptosphes, bo tak miał na imię nowo przybyły, nosił na szyi ciężki złoty łańcuch. Po dłuższej chwili gestykulacji i rysowania okazało się, że jest ojcem Rylli i władcą tych ziem, które zwali Hostigos. Matka Rylli nie żyła. Najeźdźcy, z którymi walczył, przybyli z północnego wschodu, z krainy Nostor. Panował tam książę Gormoth, który w Hostigos raczej nie cieszył się sympatią.

Następnego dnia Morrison mógł już usiąść na krześle. Zaczęli mu też dawać porządne jedzenie i wino. Trunek był wyśmienity, podobnie jak tytoń, który mu dostarczono. Kapral stwierdził, że chyba polubi tę rzeczywistość. Rylla odwiedzała go przynajmniej dwa razy dziennie, czasem sama, czasem w towarzystwie Xentosa, kiedy indziej znowu przychodziła z Chartifonem, wojownikiem o siwiejącej brodzie. Był on chyba dowódcą wojsk Ptosphesa. Zawsze nosił przy sobie miecz, a często także ozdobny, choć noszący ślady częstego użycia stalowy kirys. Niekiedy Chartifon przychodził sam, a czasami towarzyszył mu młodszy oficer, kawalerzysta Harmakros. Młodzieniec także brał udział w bitwie, jednak pod dowództwem Rylli.

- Bogowie nie dali księciu Ptosphesowi syna - wyjaśniał. - Książę powinien mieć dziedzica, który przejąłby po nim rządy. Tak więc Rylla jest dla naszego księcia jak syn.

Kapral pomyślał, że bogowie powinni podsunąć księciu Ptosphesowi pomysł, że mógłby mieć przybranego syna, Calvina Morrisona - nie, Kalvana. Postanowił przyjść bogom z pomocą w tej sprawie.

Chartifon pokazał mu mapę, namalowaną starannie na pergaminie. Okazało się, że Hostigos obejmuje powiaty Union i Centre, południowy skrawek okręgu Clinton, wschodnią część obszaru, na którym powinno leżeć miasto Lock Haven. Dalej księstwo rozciągało się na powiat Lycoming na południowym wschodzie, wschodni fragment West Branch z miastem Athan i południowy kraniec Bald Eagles, czyli gór Hostigos. Księstwo Nostoru rozciągało się w dolinie West Branch od Lock Haven aż do rozwidlenia rzeki i wcinało się na południu w tereny Hostigosu przez przełęcz Ante, czyli Dombra Gap, obejmując Nipennose, czyli Dolinę Siedmiu Wzgórz. Wschodnie obszary, w tym cały powiat Blair oraz część okręgów Huntington i Bedford, stanowiły księstwo Sask, włości księcia Sarraska. Sarrask nie był przyjacielem, natomiast Gormoth był zdecydowanie wrogiem.

Na większej mapie Morrison zobaczył, że cała Pensylwania, Maryland, Delaware i południowa część New Jersey stanowiły Wielkie Królestwo Hos-Harfax, ze stolicą w Harfax, mieście położonym u ujścia Susquehanny. Rządy sprawował król Kaifranos. Ptosphes, Gormoth, Sarrask i inni książęta nominalnie byli jego poddanymi. Morrison mógł wywnioskować z niedawnych wydarzeń, że Kaifranos nie cieszył się zbyt wielkim autorytetem - ignorowali go wszyscy, może z wyjątkiem mieszkańców stolicy, w której stacjonowały wojska królewskie. Ściśnięte pomiędzy Nestorem i Saskiem Hostigos było według kaprała w kiepskim położeniu. Czuł, że coś gryzie jego gospodarzy. Zbyt często widział, jak Rylla, śmiejąc się wraz z nim podczas nauki pisania i czytania, nagle przypominała sobie o czymś, o czym najwyraźniej chciałaby zapomnieć. Jej śmiech stawał się wtedy jakby wymuszony. Chartifon zdawał się wiecznie czymś zatroskany. Czasami zapominał nawet, o czym właśnie mówił. A książę Ptosphes ani razu się nie uśmiechnął.

Xentos rozłożył mapę całego świata. Morrison zorientował się, że na mapie wyobrażona jest ziemia nie okrągła, lecz płaska jak naleśnik. W samym środku szkicu znajdowała się Zatoka Hudsona, Ameryka Północna przypominała kształtem Indie, Floryda ciągnęła się

prawie prosto na wschód, a Kuba zorientowana była na północ i południe. Indie Wschodnie były tylko kilkoma punkcikami, świadczącymi o tym, że twórca mapy słyszał o tych terenach. Azja łączyła się z Ameryką Północną, lecz stanowiła jedynie niewypełniony kontur. Na obwodzie mapy rozciągał się nieskończony ocean, a Europa, Afryka i Ameryka Południowa po prostu nie istniały. Xentos chciał, aby Morrison pokazał mu, skąd przybył. Kapral wskazał palcem sam środek obszaru, który w jego czasie zajmował stan Pensylwania. Xentos myślał, że Morrison źle zrozumiał jego pytanie.

- Nie, Kalwanie - rzekł. - To jest teraz twój dom i chcemy, abyś tu z nami pozostał. Lecz ja pytałem, skąd pochodzisz.

- Stąd - odparł kapral - lecz z innego czasu, tysiąc lat później. Miałem wroga, złego czarownika. Inny mag, mój przyjaciel chronił mnie tak, że nie mogłem zginąć od zaklęcia. Wtedy zły czarnoksiężnik wykrzywił czas i rzucił mnie daleko w przeszłość, zanim narodzili się moi przodkowie. Dlatego się tu znalazłem i muszę u was zostać.

Xentos przesunął szybko ręką wokół gwiazdy na piersi i zamruczał gwałtownie. Odczynianie uroków - kolejny uniwersalny gest.

- Cóż za straszny los! - zawołał.

- Tak. Nie lubię o tym mówić, lecz powinieneś znać prawdę. Możesz powiedzieć o tym księciu Ptosphesowi i księżniczce Rylli, lecz błagam, niech nie powtarzają tego nikomu więcej. Muszę zapomnieć o swoim poprzednim życiu i rozpocząć nowe, tutaj, z wami. Pozostałym możesz powiedzieć po prostu, że przybyłem z bardzo dalekiego kraju. Stąd. - Morrison wskazał na mapie miejsce, gdzie powinna znajdować się Korea. - Byłem tam kiedyś i brałem udział w wielkiej wojnie.

- Ach, wiedziałem, że jesteś wojownikiem. - Xentos zawahał się na chwilę, a potem spytał: - Czy znasz się na czarach?

- Nie. Mój ojciec był kapłanem, podobnie jak ty. Chciał, abym ja także nim został, a w naszym kraju duchowni nie akceptują magii. Wiedziałem jednak, że nie byłbym dobrym kapłanem, więc kiedy wybuchła wielka wojna, porzuciłem naukę i pojechałem walczyć. Później byłem wojownikiem we własnym kraju i strzegłem pokoju wewnątrz jego granic.

Xentos pokiwał głową.

- Jeżeli nie można być dobrym kapłanem, nie powinno się być nim wcale. Być wojownikiem to także honor. Powiedz mi, jakich bogów czczą twoi współziomkowie?

Morrison napełnił fajkę i zapalił ją krzesiwem, którego nauczył się używać po wyczerpaniu benzyny w jego zapalniczce.

- Och, mamy wielu bogów. Jest Prawo, Władza i Opinia Publiczna. I jeszcze Status o wielu obliczach, który jeździ w rydwaniu zwanym cadillakiem, a pojazd ten sam w sobie jest niemal bogiem. Mamy jeszcze Bombę Atomową, straszliwą boginię niszczycielkę, która pewnego dnia sprawi, że świat przestanie istnieć. Ja jednak nie oddawałem czci żadnemu z nich. Opowiedz mi o swoich bogach, Xentosie.

Nie musiał mówić nic więcej. Xentos zaczął opowieść o bogu Dralnie, którego czcił, o Yircie, Matce Wszystkiego, i o wilczogłowym bogu wojny Galzarze. Powiedział także o Trancie, chromym opiekunie rzemieślników - zabawne, jak często bogowie rzemieślników są kulawi - i o wielu innych.

- Styfon zaś - zakończył z wyraźną niechęcią w głosie - jest złym bogiem i służą mu podli ludzie, obdarzeni niezmierną mocą i wieloma bogactwami.

Po tej rozmowie Morrison dostrzegł subtelny zmianę w sposobie, w jaki odnosili się do

niego. Rylla przyglądała mu się z dziwnym smutkiem w oczach. Chartifon klasnął w dłoń i rzekł:

- Spodoba ci się nasz świat, Kalvanie.

Książę Ptosphes odchrząknął.

- Xentos powiedział mi, że o pewnych sprawach nie chcesz rozmawiać, Kalvanie. Nikt zatem o nich nie wspomni w twojej obecności. Cieszymy się, że jesteś z nami.

Pozostali ludzie traktowali go z głębokim szacunkiem. Powiedziano im, że Morrison jest księciem z dalekiego kraju, pozbawionym tronu na skutek zdrady. Kapral dostał ubrania - więcej, niż posiadał kiedykolwiek wcześniej - i broń. Rylla dała mu dwa własne pistolety. Z jednego z nich postrzeliła go w potyczce na drodze. Były długie - dłuższe niż przedramię - lecz lżejsze od jego trzydziestkiósemki. Lufy u wylotu miały cienkie jak papier. Mechanizm spustowy działał na podobnej zasadzie jak tutejsze zapalniczki. Na kolbie złotymi literami wygrawerowano imię Rylli. Morrisonowi przydzielono także większy pokój i służącą.

Gdy tylko kapral był w stanie poruszać się bez niczyjej pomocy, wyszedł popatrzeć na musztrę oddziałów. Żołnierze nie mieli mundurów, jedynie niebiesko-czerwone szarfy lub chusty w kolorach Ptosphesa. Piechota nosiła skórzane lub płócienne kurty z naszytymi metalowymi płytkami oraz hełmy, ale nie takie, jakie mieli żołnierze w Korei. Uzbrojeni byli rozmaicie - w piki, halabardy, oszczepy łowieckie, kosy osadzone na sztorc na dwuipółmetrowych drzewcach. Wykonywali manewry w grupach liczących czterdzieści, pięćdziesiąt osób. Mieli też broń palną; kapral dostrzegł kilka wielkich, ciężkich muszkietów, do których trzeba było używać specjalnych podpórek. Większość jednak stanowiły lżejsze arkebuzi i przeróżne strzelby myśliwskie. Na każdy pluton złożony z pikinierów i kosynierów przypadało dziesięciu kawalerzystów i arkebuzerów oraz jeden lub dwóch muszkieterów. Byli także łucznicy i kusznicy. Kawaleria prezentowała się nieźle: wszyscy nosili pancerze i hełmy z wysokim grzebieniem, a uzbrojeni byli w miecze, pistolety oraz lance lub krótkie muszkietony. Artylerię uznał za śmiechu wartą - były tu tylko działa z kutego żelaza, bez kołysek, umieszczone na czterokołowych wózkach. Miały ręcznie montowane lufy, które wzmacniano skuwanymi obręczami; strzelały dwu i pół - lub pięciokilogramowymi pociskami. Morrison postanowił coś z tym zrobić. Zauważył także, że łucznicy i kusznicy ćwiczą praktycznie bez ustanku, natomiast nikt nie próbuje strzelać z broni palnej. Zabrał swój pałasz do zamkowego miecznika i polecił, aby przekuł broń na rapier. Miecznik myślał, że Morrison postradał zmysły. Kapral zawołał porucznika kawalerii i za pomocą dwóch drewnianych mieczy ćwiczebnych urządził mały pokaz. Porucznik natychmiast również zapragnął mieć rapier. Następnego dnia broń Morrisona była już gotowa.

- Z obu stron kraju masz wrogów, Sarraska i Gormotha. To niedobrze - powiedział Morrison pewnego wieczoru. Wraz z Ptosphesem, Rylla, Xentosem i Chartifonem siedzieli nad pękatą flaszką wina w komnacie księcia. - Przyjąłeś mnie jak swego, więc teraz powiedz, jak mógłbym wam pomóc.

- Sam lepiej możesz odpowiedzieć na to pytanie - odparł Ptosphes. - Wiesz o tylu rzeczach, o których my nie mamy pojęcia. Na przykład ten ostry miecz do przebijania - książę z lubością pogładził swój nowy rapier. - Albo to, czego nauczyłeś Chartifona o działach. Co jeszcze mógłbyś zaoferować, aby pomóc nam pokonać wrogów?

- Mógłbym nauczyć was, jak zrobić taką sześciostrzałową broń jak moja, no i odpowiednią amunicję. - Morrison jak najprościej postarał się przekazać im zasady produkcji masowej, jednak wszyscy gapili się tylko na niego w niepomiernym zdumieniu. - Pokażę wam rzeczy,

których jeszcze nie znacie, ale które możecie zrobić za pomocą waszych narzędzi. Na przykład możemy wyźłobić spiralne rowki wewnątrz luf, żeby uzyskać rotację naboju. Strzelby z gwintowanymi lufami będą strzelać lepiej, dalej i celniej niż niegwintowane. Nauczę rusznikarzy, jak to robić. I jeszcze jedno... - Wspomniał, że nigdy nie widział ćwiczeń strzeleckich. - Czy dobrze się domyślam, że macie niewiele prochu, to znaczy ziaren ognistych?

- Nie mamy ich nawet tyle, aby choć jeden raz wystrzelić z dział w zamku - powiedział Chartifon. - I nie dostaniemy więcej. Kapłani Styfona nie dadzą nam ziaren ognistych, chociaż wysyłają ładunek za ładunkiem do Nostoru.

- Chcesz powiedzieć, że dostajecie proch od kapłanów Styfona? Nie możecie kupić go gdzie indziej lub zrobić sami? Wszyscy spojrzeli na niego zdumieni.

- Tylko Dom Styfona może wyrabiać ziarna ogniste, z pomocą samego Styfona - wyjaśnił Xentos. - Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, iż Styfon obdarza swoje sługi niezmiernym bogactwem i potęgą, której boją się nawet Wielcy Władcy.

Morrison poczuł do Domu Styfona niechętny szacunek, jak każdy dobry glina w stosunku do naprawdę sprytnego oszusta. Prawdziwa granda. Nic dziwnego, że ta kraina była siedliskiem wiecznie wojujących książąt i baronów. Dzięki temu Dom Styfona stale zarabiał na sprzedaży prochu. Morrison odstawił kielich i wybuchnął śmiechem.

- Myślicie, że nikt poza kapłanami Styfona nie może zrobić ziaren ognistych? Dlaczego? W moim świecie nawet dziecko potrafi zrobić proch. - Jasne, przynajmniej dzieci, które uczyły się chemii w liceum lub na studiach. Jego mało co nie wywalili za to ze szkoły. - Mogę zrobić ziarna ogniste nawet teraz, na tym stole!

Ptosphes odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się trochę histerycznie. Pierwszy raz Morrison słyszał jego śmiech. Chartifon walnął pięścią w stół i wrzasnął:

- Ha! Gormoth, już wkrótce twoja głowa ozdobi wrota twego własnego zamku!

Tak, w tym świecie nie istniało pojęcie zbrodni wojennych. Rylla rzuciła się kapralowi na szyję.

- Kalvan! Naprawdę? Naprawdę potrafisz to zrobić?

- Ale tylko moc Styfona... - zaprotestował Xentos.

- Styfon to wielki kanciarz - przerwał mu Morrison - a jego kapłani to banda zuchwałych oszustów. Chcecie zobaczyć ziarna ogniste? Sprowadźcie tu Mytrona. Potrzebuję siarki i saletry, a on ma to wszystko w swojej apteczce. - Młody kapłan leczył przeziębienie siarką zmieszaną z miodem, saletra z kolei miała chłodzić krew. - Dajcie mi jeszcze węgiel drzewny, parę mosiężnych moździerzy i tłuczków, sito do przesiewania mąki i wagę.

- Szybciej, ludzie! - krzyknął Ptosphes. - Przynieście mu, czego żąda!

Xentos wyszedł. Morrison poprosił o pistolet i książkę wyjął jeden z szafy. Kapral otworzył panewkę, wysypał proch na skrawek pergaminu i podpalił, używając płonącej szczapy. Mieszanka osmałiła papier, co nie powinno się zdarzyć, i zostawiła wokół zbyt dużo smolistego osadu. Styfon nie był najuczciwszym wytwórcą. Osłabiał działanie prochu, dodając zbyt dużo węgla, a za mało saletry. Xentos wrócił, prowadząc Mytrona. Obaj kapłani dźwigali wiadro saletry, słoje i inne rzeczy. Starzec wydawał się oszołomiony, natomiast młody lekarz za wszelką cenę starał się nie okazywać strachu. Morrison zapędził Mytrona do ucierania węgla w moździerzu, a Xytrosa do ucierania saletry. Siarka była już w postaci proszku. Przesiewając każdy składnik, kapral wysypał siedem i pół części saletry, półtorej części węgla i jedną część siarki do suchej miski. Musiał chwilę pomyśleć, zanim

przypomniał sobie proporcje.

- Ależ to zwykły pył - zaprotestował Chartifon.

- Proszek trzeba namoczyć, wyrobić, aż uzyska konsystencję ciasta, sprasować, pociąć w kawałki i wysuszyć, a potem zemleć i przesiać. Nie możemy wszystkiego zrobić teraz, ale ten proszek również działa. Spójrz. - Morrison podsypał trochę prochu na panewkę pistoletu, wycelował w częściowo spalony pień w kominku i pociągnął za spust. Broń wypaliła z rykiem. Na zewnątrz ktoś krzyknął, rozległ się tupot i drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka zajrzał zaniepokojony strażnik z halabardą.

- Lord Kalvan pokazuje nam coś przy użyciu pistoletu - wyjaśnił Ptosphes. - Możecie usłyszeć więcej strzałów, lecz niech nikt się nie niepokoi.

- Tak jest - oparł strażnik i zamknął drzwi.

- Teraz zobaczymy, jak strzela - powiedział Morrison. Wsypał do lufy trochę prochu, przybił kawałkiem szmaty, podsypał panewkę i wręczył pistolet Rylli. - Spróbuj. To będzie wielki moment w historii Hostigos.

Dziewczyna odwiodła kurek, wycelowała w kominek i pociągnęła za spust. Eksplozja nie była zbyt głośna, ale broń wypaliła. Potem spróbowali z prawdziwą amunicją: kula wbiła się w pniak na półtora centymetra. Morrison położył pistolet na stole. Pokój był wypełniony dymem, od którego wszyscy kaszleli, ale nikt się tym nie przejmował. Chartifon podszedł do drzwi i zawołał o więcej wina.

- Ale przecież nie odmówiłeś żadnej modlitwy - powiedział Mytron niepewnie. - Po prostu zrobiłeś ziarna ogniste. Zupełnie jakbyś przyrządzał zupe.

- Właśnie tak - odpowiedział Morrison. - Wkrótce każdy z was będzie umiał robić ziarna ogniste. A kiedy nastanie ten dzień, Styfon wylądje na ulicy, zebrząc o jałmużnę.

Chartifon zapytał, jak szybko można będzie wyruszyć na Nostor.

- Będziemy potrzebowali znacznie więcej prochu, niż mamy teraz na stole - odpowiedział Ptosphes. - Musimy zgromadzić siarkę, saletrę i węgiel. Trzeba nauczyć ludzi, jak uzyskać te składniki i jak je przygotować. Potrzebujemy wielu rzeczy, które będziemy musieli zrobić, a nie mamy do tego narzędzi. Kalvan wie, jak je wykonać, a on jest tylko jeden. - Cóż, książę najwyraźniej zapamiętał coś z jego wykładu na temat produkcji przemysłowej. I chwala mu za to.

- Mytron zna się już co nieco na rzeczy - odparł Morrison. - Skąd bierzesz siarkę i saletrę? - zapytał młodego kapłana, który opróżnił pierwszy kieliszek wina jednym haustem, drugi - trzema, a teraz rozprawiał się z trzecim i powoli wychodził z szoku. Było dokładnie tak, jak sądził Morrison. Saletrę wydobywano w postaci surowych brył spod sterty nawozu, a następnie oczyszczano. Siarkę otrzymywano, odparowując wodę ze źródeł siarkowych w Sugar Valley, tutaj nazywanej Doliną Wilka. Z jakichś powodów na wzmiankę o tym Ptosphes i Chartifon wpadli w prawdziwy szal. Morrison wiedział, jak uzyskać oba składniki, i mógł je odmierzyć na kwartowej wadze. Był lekko oszołomiony, kiedy powiedzieli mu, jak dużo prochu będzie potrzebowało wojsko.

- To zajmie zbyt dużo czasu - protestował Chartifon. - Jak tylko Gormoth dowie się o naszych planach, zaatakuje, nim będziemy gotowi.

- Zatem nie dopuść, aby się dowiedział. Wzmocnij bezpieczeństwo i ochronę. - Morrison musiał im to wytłumaczyć. - Trzeba rozmieścić konne patrole na wszystkich drogach i traktach w Hostigos. Wpuszczajcie przyjezdnych, lecz nie pozwólcie im opuścić kraju. I jeszcze jedno: będę musiał wydawać rozkazy, które mogą się ludziom nie spodobać. Czy będą mnie słuchać?

- Jeśli chcą zachować głowę - odparł Ptosphes. - Będziesz mówił w moim imieniu.

- I w moim, lordzie Kalvanie! - Chartifon zerwał się na równe nogi i wyciągnął swój miecz tak, aby Morrison mógł dotknąć rękojeści. - Jestem na twoje rozkazy. Ty dowodzisz!

Przydzielili mu kwaterę w koszarach, przy głównym korytarzu, naprzeciwko pokoju strażników. Panował tu ledwo uchwytny, charakterystyczny zapach znany mu z posterunku policji. Podłoga wyłożona była kamiennymi płytami, a ściany pokryto białym gipsem. Morrison mógł na nich pisać i rysować diagramy za pomocą węgla, gdyż w tym świecie nie znano papieru. Postanowił, że po zakończeniu wojny zmieni ten stan rzeczy. To prawdziwy cud, że tutejsza cywilizacja rozwijała się tak dobrze pomimo braku papieru. Rylla mianowała siebie adiutantem Morrisona. Kapral sprowadził Mytrona oraz głównego kapłana Trantha, wszystkich mistrzów rzemiosła z Tarr-Hostigos i kilku z pobliskiego miasta, a oprócz tego paru oficerów Chartifona i grupkę żołnierzy, którzy mieli służyć jako posłańcy.

Węgla drzewnego mieli aż w nadmiarze. Do uzyskiwania siarki potrzebowali wielkich rondli i żelaznych płyt, większych niż zwykła patelnia. Niczego takiego tu nie produkowano. Na bagnach w Bald Eagle, czyli tutejszej Dolinie Listry, wydobywano rudy żelaza. Były też huty stali, ale żadnych walcowni. Morrison uznał, że trzeba ręcznie wykuć kwadratowe blachy o boku mierzącym około pół metra, a potem zespawać je na wzór patchworkowej narzuty. W każdym gospodarstwie była przynajmniej jedna sarta nawozu, najlepsze źródło saletry. Do jej produkcji wykorzystano jeszcze stajnie, piwnice i podziemne kanały. Morrison powołał komisję do spraw saletry, której przewodniczył jeden z oficerów Chartifona. Komisja miała prawo sprawdzać każde miejsce, na oczekaniu wieszając każdego, kto w jakikolwiek sposób próbował przeszkadzać w produkcji saletry. Od farmy do farmy jeździły załadowane kotłami, beczkami i potrzebnym sprzętem wozy zaprzężone w woły. Kobiety z gospodarstw zebrano i nauczono, jak należy ługować nasyoną amoniakiem ziemię i uzyskiwać azotany.

W tym świecie istniało wiele możliwości wykorzystania energii wodnej. Napędzane wodą młyny miały ziarno na mąkę, ale można je było przerobić. Morrison przemyślał to szczegółowo. Specjalne wyposażenie do mielenia trzeba zaprojektować, przesiewacze będą z płótna, maszyny do mieszania zbuduje się z ogromnych beczek z zamontowanymi wewnątrz przeciwbrotowymi łopatkami. Jeszcze prasy do zgniatania pyłu w kostki oraz kruszarki. Spędził też trochę czasu, przygotowując surowe, wręcz okrutne rozporządzenia, które miały zapobiec wydostaniu się tajemnic produkcji prochu za granice kraju.

Rano pokruszył kostkę prochu, którą sporządził poprzedniej nocy, i przesiał przez kilka sit, aż uzyskał ziarna odpowiedniej wielkości. Złożony z czterdziestu ziaren ładunek, załadowany do jednego z dużych muszkietów o ośmiokątnej lufie, wbił ważącą pół kilograma kulę w pniak o dwa centymetry głębiej niż podobnej wielkości ładunek z prochem Styfona, a przy tym znacznie mniej zabrudził lufę.

Do południa Morrison był już prawie pewien, że większość członków Rady do spraw Produkcji Wojennej rozumiała prawie każde jego słowo. Po południu za zewnętrznym murem obronnym zebrali się wszyscy, którzy mieli pracować przy produkcji prochu. Najpierw Xentos zmówił modlitwę do Dralma. Potem przemówił książę Ptosphes, który wyraźnie zaznaczył, że lord Kalvan ma pełną władzę i całkowite poparcie ze strony władz wojskowych. Chartifon wygłosił mowę. Opowiedział, jakie straszliwe spustoszenie będą mogli poczynić w Nestorze. Morrison w swoim wystąpieniu położył szczególny nacisk na to, że w produkcji ziaren ognistych nie ma nic nadprzyrodzonego. Potem ludzie rozdzielili się na małe grupy, a każdej przydzielono jakąś pracę. Morrison chodził od jednej grupki do drugiej i pomagał wyjaśniać,

na czym dokładnie będzie polegała rola poszczególnych osób.

Wieczorem rozpoczęła się uczta, ale przedtem kapral i Rylla zdążyli rozpisać na ścianie kwatery pobieżny plan organizacyjny.

W ciągu kolejnych czterech dni Morrison spędzał po osiemnaście godzin w swojej kwaterze, rozmawiając z pięcioma setkami ludzi. Rzemieślnicy zrzeszeni w gildii nie chcieli, aby chłopci pracowali w ich domach cechowych. Mistrzowie narzekali, że czeladnicy i terminatorzy stają się krnąbrni, co oznaczało, że młodzi ludzie zaczęli myśleć samodzielnie. Chłopi sprzeciwiali się przewalaniu widłami gnojowisk i przekopywaniu ziemi pod nimi, a także zaprzęgnięciu ich do pracy, do której nie przywykli. Posiadacze ziemscy z kolei protestowali przeciw odciąganiu chłopów od pracy na polach i prorokowali, że Hostigos straci tegoroczne zbiory.

- Nie martwcie się o to - odpowiadał Morrison. - Jeśli wygramy, wykorzystamy zapasy Gormotha. Jeśli zaś przegramy, nie będzie komu spożywać plonów.

Na Hostigos opadła żelazna kurtyna. Karawany wędrownych handlarzy na czas trwania wojny były zatrzymywane w mieście Hostigos. Prędzej czy później Gormoth i Sarrask zaczną się zastanawiać, dlaczego nikt Hostigos nie opuszcza, i wyślą swoich ludzi na przeszpiegi. Morrison tłumaczył, że trzeba zorganizować kontrwywiad i wysłać kilku szpiegów do obu księstw.

Piątego dnia działał już system uzyskiwania siarki i rozpoczęto produkcję saletry. Morrison powierzył dowództwo posterunku Mytronowi i wyruszył w drogę, aby zająć się nadzorowaniem budowy młynów. Zaczął też nosić zbroję, przynajmniej osiem godzin dziennie. Przywdziewał hełm z miękkim czepcem i taśmą kolczugi ochraniającą szyję i brodę, stalowy napierśnik na pikowanym kubraku z wzmocnionymi stalową siatką rękawami. Prócz tego pod zbroją miał jeszcze kolczugę, spodniczkę ochraniającą biodra i spodnie uszyte z dwóch warstw skóry, przedzielonych metalową siatką. Pełna zbroja ważyła prawie dwadzieścia kilogramów. Żeby przeżyć bitwę, Morrison musiał się przyzwyczaić do jej ciężaru.

Verkan Vall obserwował, jak Tortha obraca łuskę na blacie biurka. Była to bardzo cenna łuska - spory zespół ludzi spędził ponad dziesięć tysięcy godzin, pełzając na czworakach i przeszukując poszycie usiane martwym igliwem, aby ją znaleźć. Nie licząc czasu potrzebnego na wysłanie ekspedycji.

- To cud, że ją znalazłeś, Vall. Region Aryjczyków Transpacyficznych?

- Tak. Byliśmy tego pewni od samego początku. Podsektor Domu Styfona. - Verkan podał numeryczne oznaczenie kontinuum.

- Dom Styfona. To chyba ta teokracja prochu strzelniczego, prawda? Tortha się nie mylił. W kulturze Aryjczyków Transpacyficznych Styfon był jednym z drugorzędnych bogów uzdrawiających, jak w większości światów równoległych. Jednak trzysta lat temu w pewnym kontinuum kapłan Styfona, który pragnął odkryć remedium na jakąś chorobę, zmieszał saletrę, węgiel i siarkę i wrzucił wszystko do ognia. Szczęśliwie dla niego, było tego mało. Przez pięćdziesiąt lat mikstura była uznawana za cud świątynny, a potem odkryto jej niezwykle właściwości. Wtedy Styfon się przekwalifikował. Zarzucił praktykę medyczną i zajął się produkcją amunicji. Kapłani udoskonalili proch, zaprojektowali też broń, która wykorzystywała ten wynalazek. Teraz żaden król czy książę nie miał najmniejszych szans w walce, jeśli nie posiadał prochu. Nieważne, kto siedział na tronie. Dom Styfona mógł w każdej chwili obalić każdą władzę.

- Zastanawiam się, czy ten Morrison wie, jak zrobić proch - powiedział Tortha.

- Sprawdzę. Wybieram się tam osobiście - odparł Verkan.

- Wiesz, że nie musisz. Masz przecież setki ludzi, którzy zrobią to za ciebie.

Verkan pokręcił głową.

- W dzień Końca Roku zostanę przywiązany do stołka, który zajmujesz, ale do tego czasu zamierzam pracować co sił. - Schylony nad ekranem wyświetlającym mapę zaczął przestawiać selektor, dopóki nie uzyskał obrazu Wielkiego Królestwa Hos-Harfax. - Zamierzam wylądować gdzieś tutaj. Pojawię się jako wędrowny kupiec, by nie wzbudzić podejrzeń. Będę podróżował konno z trzema jucznymi końmi i oczywiście z odpowiednim towarem. Pojawię się gdzieś w przyległym księstwie Sasku i będę jechał powoli, zbierając różne wieści. Może uda mi się czegoś dowiedzieć o Morrisonie, zanim dotrę do Hostigos.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy już go odnajdziesz? - zapytał Tortha. Verkan wzruszył ramionami.

- To zależy od tego, co robi Morrison i czy jest człowiekiem odpowiedzialnym. Wolałbym go nie zabijać, bo jest policjantem jak my. Boję się jednak, że będę musiał. Ten człowiek za dużo wie.

- A co konkretnie?

- Po pierwsze, był w środku transportera. Wie, że zetknął się z czymś kompletnie obcym jego własnej kulturze i technologii, jaką znał. Po drugie, zdaje sobie sprawę, że został przeniesiony w czasie, a zatem skojarzy, że transporter właśnie do tego służy. Stąd już tylko krok do wniosku, że istnieją ludzie podróżujący w czasie. Zapewne zna historię własnej cywilizacji na tyle, że zorientuje się, iż nie znalazł się w przeszłości ani w przyszłości. Miejsce, z którego został zabrany i w którym wylądował, to kraj skał wapiennych. W jego świecie obszar ten był intensywnie eksploatowany przez ponad pięćdziesiąt lat. Ślady po uzysku wapienia trwają dziesiątki tysięcy lat, a Morrison nie znajdzie żadnych znaków świadczących o eksploatacji terenu. Więc co pozostaje?

- Rzeczywistość równoległa i ludzie, którzy przemieszczają się między alternatywnymi światami - podsumował szef. - Czyli sekret podróży w czasie.

Tego wieczoru w Tarr-Hostigos miała się odbyć wielka uczta. Przez cały ranek słychać było porykiwanie bydła i kwiczenie świń, które prowadzono na rzeź. Siekiery drwali z hukiem rąbały drewno, a z piwnic wędrowały na podwórzec beczułki z winem. Morrison żałował, że w młynach produkujących proch nie ma tylu chętnych do pracy, co w zamkowych kuchniach i piekarniach. Całodzienną produkcję diabli wzięli. Powiedział to Rylli.

- Ależ Kalvanie, oni są tacy szczęśliwi! - dziewczyna była wyraźnie podekscytowana wieczorną zabawą. - Przecież bardzo ciężko pracowali.

Musiał jej przyznać rację. Cóż, może ta poprawa nastroju zrównoważy stratę materiału z całego dnia. Mieli już prawie pięćdziesiąt kilogramów prochu przynajmniej o połowę lepszej jakości niż produkt Domu Styfona. W tym dwadzieścia kilogramów uzyskali przez ostatnie dwa dni.

- Już bardzo dawno nie mieliśmy w Hostigos żadnego powodu do radości - ciągnęła Rylla. - Zwykle przy takich okazjach każdy jak najszybciej się upijał, żeby zapomnieć o jutrzejszym dniu. Teraz będzie inaczej.

Tak, teraz upijali się myślą o kwintalu czarnego prochu, chociaż wystarczy to najwyżej na pięć tysięcy salw z hakownic. Będą musieli produkować co najmniej dziesięć kilogramów dziennie, a powinni dociągnąć do pięćdziesięciu. Mieszanie, zgniatanie i kruszenie to wąskie gardło całego procesu. Potrzeba będzie więcej wiatraków, tylko że nie ma wystarczającej

liczby robotników do ich zbudowania. A to oznacza wstrzymanie prac nad gwintowaniem luf, montażem wozów i przodków do lekkich czterofuntowych dział, które produkowano w hutach stali. Stworzenie takiej armii, jaką sobie Morrison wyobrażał, zajmie rok, a Gormoth z Nostoru zaatakuje nie dalej niż za dwa miesiące. Kapral podniósł tę kwestię po południu, na naradzie dowództwa naczelnego. Gwintowanie, działa z kołyskami, nauka fechtunku - wszystko było nowe w tym świecie.

Mobilizacja chłopów i uzbrojenie ich to pierwszy krok, czyli organizacja. Wyznaczenie kierunku działań to strategia. Wprowadzenie porządku w oddziałach i nauczanie, że należy zastrzelić lub pchnąć człowieka stojącego naprzeciwko, to taktyka. Wreszcie rozpoznanie wojskowe, czyli wywiad - to pojęcie właściwie nie istniało. Byli tylko konni zwiadowcy, którzy nadciągali skądś w ostatniej chwili. Zebranych ucieszyła świadomość, że tak właśnie Gormoth pojmuje sztukę wojenną. Cóż, Gustaw Adolf i diuk Parmy, Gonzalo de Cordoba, mając do dyspozycji dziesięciotysięczną armię, łykneliby gładko pięć takich Wielkich Królestw.

Ptosphes i Rylla byli obecni *ex officio* jako księżę i następczyni tronu. Lord Kalvan, to jest Morrison, występował jako wódz naczelny, a Chartifon jako marszałek polowy i dowódca wojsk. Harmakros został zastępcą szefa sztabu do spraw wywiadu, starszy kapitan piechoty - asystentem do spraw musztry, żołdu, zakwaterowania, głównym inspektorem i szefem sztabu polowego. Jeden z kupców, nie tracąc oczywiście ani grosza ze swojej kasy, zajmował się zaopatrzeniem i zapasami. Xentos, jako kanclerz Ptosphesa i głowa Kościoła, zajmował się sprawami polityki oraz działaniami piątej kolumny, czyli wywiadu - jeszcze jednego doskonałego pomysłu lorda Kalvana. Tym ostatnim zajmował się głównie ze względu na stały kontakt z kapłanami Dralma w Nestorze i Sasku, którzy szczerze i ponad wszelką miarę nie znosili Domu Styfona. Morrison obserwował z pewnym zadowoleniem, jak opada pierwszy wybuch optymizmu.

- Mamy tylko trzy tysiące żołnierzy, nie więcej - zrzędził Chartifon. - Gormoth wystawi dziesięć tysięcy, w tym sześć tysięcy najemników. Wytwarzanie własnych ziaren ognistych daje nam szansę, jakiej nie mieliśmy przedtem, ale to wszystko.

- Spośród swoich poddanych weźmie tylko dwa tysiące - sprostował ktoś. - Nie zmobilizuje wszystkich chłopów. Ktoś musi pracować na polach.

- Zatem zaatakuje wcześniej - powiedział Ptosphes. - W czasie żniw. Morrison spojrzał na mapę namalowaną na ścianach pokoju. Gormoth mógł nadejść od strony Listry, ale wtedy dostanie tylko połowę Hostigos, a nawet mniej. Każda przełęcz w górach Hostigos była strzeżona - z wyjątkiem jednej. Przełęcz Dombra z twierdzą na skutek zdrady jakiejś siedemdziesiąt lat temu dostała się w ręce wroga. Dolina Siedmiu Wzgórz także.

- Musimy odbić Tarr - Dombra i zająć Dolinę Siedmiu Wzgórz - rzekł Morrison.

Wszyscy umilkli. Pierwszy odzyskał mowę Chartifon.

- Człowieku! Nigdy nie widziałeś Tarr-Dombra, inaczej byś tak nie mówił. Twierdza jest mniejsza niż Tarr-Hostigos, lecz o wiele bardziej warowna.

- Tak jest! - poparł Chartifona starszy kapitan, który był zastępcą szefa sztabu do spraw personalnych i zaopatrzenia.

- Czy Nostorianie także uważają, że twierdza Dombra jest nie do zdobycia? - zapytał Morrison. - W takim razie zapewne da się ją przejąć. Księżę, czy masz plany zamku?

- O tak, to wielki zwój pergaminu w jednej z moich skrzyń - odparł Ptosphes. - Należał do mojego dziadka, a on zawsze miał nadzieję...

- Chciałbym je później obejrzeć - przerwał kapral. - Czy wiecie coś o zmianach architektonicznych w twierdzy od czasu jej wybudowania?

Przebudowy były, ale tylko wewnątrz warowni. Morrison zapytał o stan garnizonu w Tarr-Dombra. Harmakros stwierdził, że stacjonuje tam jakieś pięć setek żołnierzy - stu regularnych piechurów Gormotha i cztery setki kawalerii patrolującej granice Doliny Siedmiu Wzgórz. Ci ostatni byli najemnikami i to oni właśnie najeżdżali Hostigos.

- Przestańcie zabijać najeźdźców, których można wziąć żywcem - nakazał Morrison. - Więźniów można zmusić do mówienia. - W tym świecie nikt nie słyszał o konwencji genewskiej. Kapral zwrócił się do Xentosa: - Czy w Dolinie Siedmiu Wzgórz jest jakiś kapłan Dralma? Spróbuj się z nim skontaktować i zapytaj, czy będzie w stanie nam pomóc. Wytłumacz mu, że chodzi o wojnę z Domem Styfona.

- Wie o tym - odparł Xentos. - Pomoże nam, jak tylko będzie potrafił. Jednak nie może dostać się do Tarr-Dombra. W twierdzy przebywa kapłan Galzara dla najemników i kapłan Styfona, którego gości pan zamku. Dla żołnierzy Nostoru Dralm jest bogiem rolników.

Wiadomość ta rozgorczyła Morrisona. Tak, kapłani Dralma z pewnością mogą wiele zdziałać.

- Dobrze - powiedział po chwili - ale może przecież porozmawiać z ludźmi, którzy mają wstęp do twierdzy, prawda? Może przesyłać wiadomości i zorganizować siatkę szpiegowską wśród chłopów. Chcę wiedzieć możliwie jak najwięcej, poznać nawet najbardziej błahe szczegóły. Szczególnie interesuje mnie harmonogram zmiany wart w zamku i zaopatrzenie. Chcę, żeby Tarr-Dombra była pod stałą obserwacją. Harmakrosie, znajdź ludzi do wykonania tego zadania. Zakładam, że albo twierdza jest nie do zdobycia, albo mogliście ją odzyskać już dawno temu. Jeśli prawdą jest to drugie, zgotujemy im niespodziankę.

Wędrowni kupiec Verkan jechał niespiesznie drogą. Uwiązane na linie juczne konie wlokły się za nim w krok. Był zgrzany i cały mokry pod stalowym napierśnikiem. Spod hełmu ciekł pot i spływał po policzkach prosto w świeżo zapuszczoną brodę. Wędrowni kupcy w tym świecie nigdy nie podróżowali nieuzbrojeni, więc Verkan musiał wytrzymać niewygodę. Ręcznie wykonana zbroja i ubranie pochodziły z bliskiej rzeczywistości równoległej, podobnie jak miecz, karabinek w futerale przy siodle, uprząż wierzchowca i towary - wszystko z wyjątkiem metalowej skrzynki tkwiącej na samym wierzchu jednego z juków.

Verkan wspiął się na wzgórze, zaczął zjeżdżać na drugą stronę i wtedy przy pokrytym strzechą, pobielonym wiejskim domu zobaczył poruszenie. Siodłano konie. Dostrzegł błysk zbroi i czerwono-niebieskie szarfy, kolory księcia Hostigos. Następny posterunek kawalerii - już trzeci od czasu, gdy przekroczył granicę księstwa, opuszczając Sask. Żołnierze z pierwszych dwóch placówek zignorowali go, ale ci tutaj najwyraźniej zamierzali wędrowca zatrzymać. Dwóch dźrzyło lance, trzeci - muskieton, czwarty, najpewniej dowódca, miał odpięte olstra, a prawą rękę trzymał na kolbie strzelby. Verkan ściągnął cugle i zatrzymał się, za nim stanęły dobrze wyszkolone juczne konie.

- Wszelkich łask życzę, żołnierze - przywitał uprzejmie kawalerzystów.

- I my tobie, kupcze - odpowiedział dowódca. - Przychodzisz z Sasku?

- Z Sasku, choć podróż zacząłem w Ultorze. Pochodzę zaś z Grefftscharu, miasta Agrys. - Ultor był portem nad jeziorem na północnym wschodzie, księstwo Grefftschar zaś rozciągało się wokół Wielkich Jezior.

- Czy masz ziarna ogniste?

- Około dwudziestu porcji. - Verkan dotknął prochnicy na pasie. - Próbowałem kupić

trochę w Sasku, ale gdy kapłani Styfona usłyszeli, że będą przejeżdżał przez Hostigos, odmówili sprzedaży.

- Tak, wiem, ludzie z Hostigos nie mogą za nic kupić tego towaru. - Dowódca nie wydawał się zbyt przejęty tą wiadomością. - Obawiam się, że nieprędko ujrzysz znowu Agrys. Jesteśmy o włos od rozpoczęcia wojny z Nestorem i lord Kalvan nie chce, aby wydostały się stąd jakiegokolwiek wieści. Zarządził, że nikt nie może opuścić teraz Hostigos.

Verkan przeklął - takiej reakcji spodziewali się żołnierze.

- Nieprzyjemna rzecz. Też bym się czuł oszukany na twoim miejscu - dowódca starał się okazać współczucie. - Lecz kiedy książęta i panowie rozkazują, zwykli ludzie muszą słuchać. Nie będzie tak źle, zobaczysz - ciągnął.

- Na pewno sprzedasz towary za dobrą cenę w mieście lub w twierdzy Hostigos, a potem, jeśli znasz jakieś rzemiosło, znajdziesz tam pracę za niezłe wynagrodzenie. Możesz także przywdziać kolory Hostigos i służyć jako najemnik. Jesteś dobrze wyposażony, lord Kalvan z radością przyjmie cię jako żołnierza.

- Lord Kalvan? - spytał Verkan. - Myślałem, że panuje tu książę Ptosphes.

- Jasne że tak, niech Dralm go prowadzi, lecz lord Kalvan, oby i jemu Dralm sprzyjał, jest naszym wodzem na czas wojny. Powiedział, że jest księciem z dalekich stron. Twierdzą też, że jest czarodziejem, lecz w to akurat wątpię.

A więc tak... tajemniczy książę z dalekich krajów. I jeszcze na dodatek kapral Calvin Morrison - Verkan postanowił nie myśleć więcej o policjancie inaczej niż o lordzie Kalvanie - jest podejrzewany o uprawianie magii. Verkan Vall uciął sobie miłą pogawędkę z kawalerzystami, wypytyjąc o gospody, ceny towarów i o inne rzeczy, o jakie zapytałby każdy wędrowny kupiec. Potem życzył im szczęścia i ruszył w dalszą drogę. Mijał gospodarstwa położone przy trakcie. Wrzała w nich praca: mężczyźni przerzucali widłami obornik i kopali ziemię pod nim. Na podwórcach płonęły ogniska, nad którymi wisiały parujące kotły. Verkan powiązał te fakty z niefrasobliwością sierżanta i jego ludzi, gdy rozmawiali o zakazie sprzedaży prochu.

Zdaje się, że Styfon ma konkurenta, pomyślał.

Miasto Hostigos rozciągało się wokół niskiej góry oraz źródła, które tworzyło małe jezioro. Stolicę zbudowano u podnóża gór, które w sektorze Euro-Amerykańskim eksploatowano tak, że pełno w nich było pionowych urwisk. Lord Kalvan z pewnością zauważył różnicę. Nad przełęczą wznosiła się twierdza. To pewnie Tarr-Hostigos; słowo *tarr* oznaczało zamek lub warownię. Ulice były zapełnione wozami i furmankami, a w warsztatach stolarskich i kuźniach wrzała praca. Verkan odnalazł gospodę Pod Czerwoną Halabardą, którą polecił mu sierżant. Rozkulbaczył konie i zabezpieczył ładunek. Zostawił sobie tylko bagaż osobisty, karabin i metalową skrzynkę. Juki służący zaniósł do pokoju. Verkan wziął kasetkę pod ramię i powędrował za chłopakiem. Kiedy znalazł się sam w izbie, postawił skrzynkę na ziemi. Był to niemal jednolity blok brązu, bez zwykłego zamka czy zawiasów, jedynie na wierzchu widoczne były dwa owalne stalowe nity. Verkan przycisnął do nich kciuki, by fotoelektryczny zamek rozpoznał linie papilarne. Odskoczyło wieczko. Wewnątrz znajdowały się cztery kule z błyszczącej siatki miedzianej, kilka małych instrumentów z wskaźnikami i przyciskami oraz damski model miotacza promieni sigma - wystarczająco mały, aby Verkan mógł go ukryć w dłoni, lecz tak samo śmiertelnie niebezpieczny, jak jego duża wersja, której zwykle używał w pracy. Była to cicha, straszliwa broń. Zabijała, nie pozostawiając żadnego śladu. Na dnie skrzynki był jeszcze mały silniczek antygravitacyjny, włączony, o czym

świadczyło czerwone światełko kontrolne. Gdy Verkan wyłączył generator, belki podłogowe aż zatrzeszczały - wyłożona ciężkim metalem skrzynka ważyła teraz ponad pół tony. Zatrzasnęła wieczko. Tylko on mógł je ponownie otworzyć.

Wspólna izba w gospodzie była zatłoczona i pełna wrzasku. Verkan znalazł wolne miejsce przy jednym ze stołów. Naprzeciwko niego siedział łysy mężczyzna z rzadką brodą, który uśmiechnął się szeroko na jego widok.

- Nowa rybka w sieci? - zapytał. - Witamy. A skąd to?

- Z Ultoru. Wędruję z trzema jucznymi końmi. Mam na imię Verkan.

- A ja Skranga - przedstawił się nieznajomy, który, jak się okazało, także pochodził z miasta Agrys. - Zabrali mi wszystkie konie, aż pięćdziesiąt - opowiadał. - Zapłacili mniej, niż żądałem, ale i tak więcej, niż myślałem, że dadzą. To była uczciwa cena. Czterech moich pastuchów z Tyrgati zaciągnęło się do kawalerii, a ja pracuję w młynie przy wyrobie ziaren ognistych.

- Czego? - spytał Verkan tonem pełnym niedowierzania. - Chcesz mi powiedzieć, że ludzie tutaj sami wyrabiają ziarna ogniste? Przecież nikt poza kapłanami Styfona nie umie tego robić.

Skranga roześmiał się.

- Też tak myślałem, kiedy tu przybyłem, lecz się przekonałem, że każdy może je zrobić. Nie jest to bardziej skomplikowane niż warzenie mydła. Po prostu zbierają saletrę spod gnojowisk i... - punkt po punkcie opisał proces uzyskiwania prochu. Sprawiało mu to wyraźną satysfakcję i miał nawet mgliste pojęcie o teorii; węgiel się palił, a od niego płonęła siarka, natomiast spalanie saletry sprawiało, że ciśnienie gazów w lufie rosło i wreszcie wyrzucało pocisk. Nie była to żadna tajemnica, przynajmniej w Hostigos. Lord Kalvan zupełnie się nie przejmował sekretami, tyle że Nostorianie nie mogli się o niczym dowiedzieć, dopóki w Hostigos nie wyprodukują wystarczającej ilości prochu.

- Błogosławię Dralma, że przywiódł mnie w te strony - powiedział handlarz końmi. - Kiedy już będzie można stąd wyjechać, sam zacznę wyrabiać nasiona ogniste. Wzbogacę się w parę lat. Ty też byś mógł.

Skranga dokończył posiłek, po czym oświadczył, że musi wracać do pracy, i wyszedł. Wtedy siedzący opodal oficer kawalerii chwycił swój kubek i przysiadł się do Verkana.

- Dopiero przyjechałeś, prawda? - zapytał. - Z Nostoru?

- Nie, z Sasku. - Odpowiedź wyraźnie rozczarowała kawalerzystę. Verkan znowu opowiedział historjkę o Ultorze i Grefftscharze. - Jak długo będę musiał tu zostać? - spytał na zakończenie.

- Dopóki nie pokonamy Nostoru. A co myślą o nas ludzie z Sasku?

- Czekają, aż Nostorianie poderzną wam gardła. Nic nie wiedzą o tym, że wytwarzacie własne ziarna ogniste.

- Cha, cha! - roześmiał się oficer. - Sami będą mieli poderżnięte gardła, jeśli Sarrask nie będzie uważał. Powiadasz, że przywiozłeś pełno towarów z Grefftscharu. Masz jakąś broń?

- Parę kling, kilka sztyletów, tuzin zamków do broni palnej, trzy znakomitej roboty nitowane kolczugi i matryce do odlewania kul. Prócz tego wyroby z mosiądzu i oczywiście ozdoby.

- Przywieź swoje ładunki do Tarr-Hostigos - powiedział oficer. - Każdego wieczora na placu za zewnętrznym murem twierdzy odbywają się targi. Będiesz mógł sprzedać wszystko, co chcesz. Tylko przyjedź wcześniej i powołaj się na mnie - kawalerzysta podał swoje imię. - Powiedz, że chcesz rozmawiać z kapitanem Harmakrosem. Na pewno bardzo się ucieszy z

wszelkich wieści.

Po posiłku Verkan ponownie objuczył konie i poprowadził je drogą wiodącą do zamku nad przełęczą. Wzdłuż ścian zewnętrznego muru twierdzy pobudowano warsztaty. W jednym z nich montowano wózek do lekkiego działka polowego. Nie była to zwykła mała furmanka, ale regularna laweta na dwóch kołach, z przodkiem. Sama armata była czymś w rodzaju czterofuntowego działka z kutego żelaza, klasycznego dla tego sektora. Miała jednak kołyskę, co było tutaj nowością. Znowu ingerencja lorda Kalvana.

Jak każdy tutejszy szlachcic, Harmakros nosił małą, schludną bródkę. Jego bogato zdobiona zbroja była znoszona, jednak długi rapier u boku - nowiutki. Oficer zadał Verkanowi kilka pytań, a potem wysłuchał szczegółowego sprawozdania o tym, co wędrowny kupiec zaobserwował i usłyszał w Sasku. Verkan podał nazwy gildii rzemieślniczych, które zatrudniał książe Sarrask, nazwiska dowódców, liczebność armii i jej wyposażenie.

- Dobry z siebie obserwator i bardzo ostrożny - skomentował Harmakros. - Żałuję, że nie byłeś w Nestorze. Służyłeś kiedyś w wojsku?

- Wszyscy kupcy są żołnierzami, w swojej własnej służbie - odparł Verkan.

- Masz rację. Kiedy sprzedasz towary, z radością powitamy cię w naszych szeregach. Mógłbyś zostać zwiadowcą, nie zwykłym żołnierzem. Czy chcesz się pozbyć także swoich koni? Damy ci za nie dobrą cenę.

- Tylko jeśli sprzedam wszystkie towary.

- Z tym nie będziesz miał żadnego kłopotu. Zostań tu i posil się z oficerami w twierdzy. Znajdziemy coś dla ciebie.

Verkan miał w bagażu narzędzia do obróbki drewna i metalu. Odsprzedał je rzemieślnikom za srebro i co ważniejsze, za informacje. Oprócz dział z kołyskami na lawetach, lord Kalvan wprowadził gwintowane lufy w broni mniejszego kalibru. Nikt nie wiedział, skąd przybył ów człowiek, lecz było pewne, że z bardzo daleka. Oficerowie, z którymi Verkan spożywał posiłek, słuchali skwapliwie, gdy opowiadał, co się dzieje w Sasku. Najpierw Nostor, potem Sask - taki był plan działań wojennych. O lordzie Kalvanie wyrażali się z głębokim szacunkiem, nieomal czią. Dla nich był bohaterem. Nie znali jego przeszłości, wiedzieli tylko, że pewnej nocy pojawił się w wiejskim domku i zmobilizował do walki motłoch, który uciekał z napadniętej przez najeźdźców wioski.

Verkan sprzedał kolczugę, klingi mieczy i zamki do strzelb jednemu z oficerów. Resztę towaru rozprowadził między pozostałymi mieszkańcami zamku. Wreszcie zobaczył lorda Kalvana, który przechadzał się wśród tłumów. Nosił pełną zbroję, rapier i kolt kalibru 38. Zapuścił małą bródkę i wyglądał trochę inaczej niż na zdjęciu. Uczepiona jego ramienia podążała piękna młoda dziewczyna o jasnych włosach odziana w męski strój do jazdy konnej. Verkanowi wyjaśniono, że była to Rylla, córka księcia Ptosphesa. Już wcześniej słyszał historię o tym, jak księżniczka przez pomyłkę postrzeliła lorda Kalvana, a potem przywiozła go do Tarr-Hostigos i otoczyła opieką. Verkan uśmiechnął się na widok pełnej szczęścia zaborczości, z jaką dziewczyna trzymała ramię policjanta, i czułości, z jaką dawny kapral patrzył na księżniczkę. Jednak gdy pomyślał o tym, co Kalvan mógł dziewczynie opowiedzieć, uśmiech zniknął z jego twarzy.

Wreszcie strażnik czasu powrócił do gospody Pod Czerwoną Halabardą i tam stracił trochę pieniędzy przy barze. Wszyscy byli zadowoleni z pojawienia się lorda Kalvana. Verkan wrócił do pokoju, otworzył skrzynkę, przyciskając kciuki do czujników, i wyjął jedną z błyszczących kulek z miedzianej siatki. Otworzyła się, gdy nacisnął mały zatrask. Wyciągnął

kabel z przyłączonym mikrofonem i zaczął dyktować długie sprawozdanie.

- Jak dotychczas - podsumował - tubylcy nie mają żadnych podejrzeń co do niezwykłego pojawienia się poszukiwanego. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by choć domyślał się prawdy. Otrzymałem propozycję służby wojskowej jako zwiadowca i zamierzam się zgodzić. Chciałbym uzyskać pomoc przy wykonywaniu zwiadu. Znajdę odpowiednie miejsce na umieszczenie głowicy przENOŚNIKA, zapewne gdzieś w lasach opodal miasta Hostigos, i wyślę kulę z nagraniem. Verkan Vall, koniec przekazu.

Ustawił regulator czasowy w generatorze pola transponującego i włączył jednostkę antygravitacyjną. Wypuścił kulę przez otwarte okno. Odleciała szybko w noc i za chwilę na usianym gwiazdami niebie pojawił się pojedynczy błysk, który mógł być śladem meteoru.

Kalvan siedział pod drzewem na skale i żałował, że nie może zapalić. Czuł, że zaczyna się bać. Przeklął w myślach. Wiedział, że kiedy wszystko się zacznie, zapomni o strachu, ale zawsze bał się przed akcją i nienawidził tego uczucia. Na szczycie góry było cicho, mimo że u jego stóp obozowało dwustu mężczyzn, a ćwierć kilometra za wzniesieniem rozłożyło się jeszcze pięć setek żołnierzy Chartifona i Ptosphesa. Pięćdziesiąt metrów przed wzniesieniem czekało jeszcze pięćdziesięciu strzelców. W wojskowości nastąpiła tu nowa epoka. Morrison utworzył pierwszą brygadę strzelców bojowych w historii tego świata. Na wyposażeniu mieli parę ciężkich muszkietów kalibru 5 lub 6, jednak w większości dysponowali kaliwerami kalibru 16 i 20, o rozmiarach i masie muszkietów używanych podczas wojny secesyjnej. Strzelcami dowodził Verkan, wędrowny kupiec z Grefftscharu. Część ludzi protestowała przeciw powierzeniu tak ważnej funkcji cudzoziemcowi, jednak Kalvan szybko przypomniał, że sam również do niedawna był tu obcy.

Przed linią ludzi Verkana, tam gdzie według obrońców Tarr-Dombra był oczyszczony teren, ulokowało się piętnastu strzelców wyborowych. Wszyscy mieli muszkiety dużego kalibru, z gwintowanymi lufami i celownikami ustawionymi na jedną, ściśle określoną odległość. Warunki panujące na tym pozornie pustym obszarze były najbardziej pozytywną rzeczą w całej akcji. Drzewa zostały ścięte, a pniaki wyrwane z ziemi, lecz Nostorianie byli przekonani, że Tarr-Dombra jest nie do zdobycia. Myśleli, że nikt nie będzie nawet próbował, i zaniedbali nieco swoje obowiązki. Wszędzie dookoła rosły krzaki sięgające do pasa, a wiele było wysokich na tyle, aby ukrył się za nimi stojący człowiek.

Żołnierzy Morrisona było jednak trudno dostrzec nawet na otwartej przestrzeni. Hełmy, zbroje, lufy strzelb i groty pik zostały przybrudzone rdzawą farbą. Wszyscy byli ubrani w zielone i brązowe stroje, zamaskowali się gałązkami i liśćmi. Przebieg akcji przeciwiczo wiele razy. Na początku było ponad tysiąc dwustu ochotników. Po każdej próbie paru odpadało, aż wreszcie pozostało ośmiuset najlepszych. Gdzieś z przodu rozległ się wrzask przypominający odgłosy wydawane przez dzikiego indyka, a potem ktoś powiedział:

- Lordzie Kalvanie.

To był Verkan, kupiec. Miał na sobie brudną zielonoszarą opończę z kapturem, a miecz i pas owinał zielonymi i brązowymi szmatami. W dłoni trzymał strzelbę.

- Nie mogłem cię dostrzec, dopóki się nie odezwałeś - powiedział Morrison.

- Nadciągają wozy. Są już prawie na szczycie wzgórza. Kapral pokiwał głową.

- Zatem zaczynajmy.

Miał sucho w ustach. Co napisano w *Komu bije dzwon* o spluwaniu na dowód, że człowiek się nie boi? Morrison nie mógłby teraz udowodnić, że nie jest tchórzem. Skinął głową posłańcowi, który siedział przycupnięty za nim.

Chłopak chwycił arkebusz i pobiegł tam, gdzie stały główne siły Ptosphesa i Chartifona.

I jeszcze do tego wszystkiego Rylla! Kaprał zaklął paskudnie po angielsku - nie odczuwał najmniejszej satysfakcji, kiedy wzywał imienia Dralma nadaremno czy bluźnił Styfonowi. Rylla oświadczyła, że pojedzie z nimi i weźmie udział w bitwie. Morrison stwierdził, że nic z tych rzeczy, a jej ojciec i Chartifon poparli kaprała. Dziewczyna w napadzie złości ciskała wszystkim, co popadło. Koniec końców pojechała z nimi. Morrison pomyślał, że kiedy już ożeni się z Ryllą, będzie miał pełne ręce roboty.

- Naprzód! - powiedział cicho. - Ruszajmy po zasłużone zwycięstwo.

Wokół Morrisona jakby spod ziemi wyrosli żołnierze. Na jeden arkebusz przypadały dwie włócznie lub kosy, chociaż niektórzy ludzie mieli także pistolety. Kaprał wraz z Verkanem poszedł do przodu i zatrzymał się na skraju lasu, gdzie czekali przyczajeni strzelcy. Objął wzrokiem rozciągające się przed nim przedpoła Tarr-Dombra - niezdobytej twierdzy. Przyjrzał się wapiennym ścianom zamku wyrastającym nad przepaścią, która przecinała wzgórze, przechodząc dokładnie przez jego szczyt. Zwodzony most był opuszczony, a krata podniesiona. Kilku żołnierzy w pomarańczowo-czarnych barwach przechadzało się w bramie. Morrison pomyślał, że to kolory jego college'u i może nie powinien zabijać tych ludzi. Paru strażników pełniło niedbale służbę na blankach.

Nadciągnęły oddziały Chartifona i Ptosphesa. Na trzy arkebuszy lub kaliwery przypadała jedna pika. Pojawili się z przerażającym łomotem i trzaskiem, od którego Morrisonowi z jeżyły się włosy na głowie, ale w zamku nikt nie zareagował. Chartifon na zbroję naciągnął długi worek z wyciętymi otworami na głowę i ramiona, a hełm owinął czymś, co przypominało dobrze zużytą ścierkę. Ptosphes i Rylla mieli brązowe ubrania i zbroje. Wszyscy patrzyli w lewo, tam gdzie po zboczu wiła się droga na szczyt.

Pojawiło się na niej czterech kawalerzystów z pomarańczowo-czarnymi szarfami i proporcami na lancach. Byli to przebierańcy i Morrison miał nadzieję, że nie zapomną zrzucić tych barw, zanim ktoś z własnego obozu ich zastrzeli. Za nimi podążał długi wóz zaprzęgnięty w woły, załadowany sianem i ukrytymi pod nim piechurami. Z tyłu jechało jeszcze dwóch konnych odzianych w barwy Nostoru, następny wóz, kolejnych sześciu jeźdźców i jeszcze dwie fury. Kawalerzyści, którzy podążali z przodu kolumny, wjechali na most, zamienili parę zdań ze strażnikami przy bramie i ruszyli na dziedziniec. Za nimi wturlały się dwa wozy. Trzeci wtoczył się z łoskotem na most i zatrzymał pod opuszczaną kratą. Na wozie znajdowała się mocna drewniana rama, a pod spodem był ukryty potężny pień. Woźnica musiał przeciąć pasy podtrzymujące i zablokował furę. Czwarty wóz wyładowany po brzegi kamieniami zatrzymał się na brzegu mostu, obciążając go. Na zamkowym dziedzińcu rozległy się strzały i okrzyki „Hostigos! Hostigos!”. Siano na pozostałych dwóch wozach niemal eksplodowało i wyskoczyli z nich żołnierze.

Morrison dmuchnął w policyjny gwizdek. Na ten sygnał pół tuzina wielkich muszkietów zagrzmiało z miejsc, w których pozornie nikogo nie było. Pluton Verkana otworzył ogień. Kaprał słyszał ostre, suche eksplozje zupełnie nieprzypominające wystrzałów ze strzelb o gładkich lufach. Miał nadzieję, że nie zapomnieli przysposobić nabojów. Zagwizdał dwa razy i ruszył naprzód.

Strażnicy zniknęli z blanków, ale wystrzał ze strzelby świadczył o tym, że snajperzy nie wyeliminowali wszystkich. Morrison minął człowieka z muszkietem, który owinął sobie hełm kawałkiem sieci na ryby i powtykał weń mnóstwo gałązek dębowych. W bramie rozległ się wybuch i nad ziemią zawisnął siwy dym. Wszyscy żołnierze, którzy znajdowali się na

zewnątrz zamku, teraz dostali się do środka. Usłyszał dochodzące z twierdzy okrzyki „Hostigos!”, „Nostor!”, strzały i szcęk mieczy. Zatrzymał się i spojrzął za siebie. Dwustu żołnierzy podążało za nim, zachowując odpowiednie odstępy. Arkebuzerzy posłusznie nie otwierali ognia. Natomiast ludzie pod wodzą Chartifona - kapral miał cichą nadzieję, że jest tam również Rylla - ustawieni dwieście metrów z tyłu ostrzeliwali flanki tak szybko, jak tylko nadawali przeładowywać broń.

Kapral był już niemal na końcu mostu, gdy nad bramą pojawiła się armata, a potem ponieważ opadła krata i zatrzymała się dwa metry nad ziemią. Zablokowała ją drewniana konstrukcja ukryta pod sianem na trzecim wozie. Sześć wołów, które ciągnęły ostatnią furę, nie żyło, podobnie jak wół u trzeciej furmanki - woźnice zabili zwierzęta toporami. Baszty strzegące bramy zostały zdobyte. Na ziemi leżały pomarańczowo-czarne szarfy, które pozdzierano z wrogów. Jeszcze więcej przepasek w kolorach Princetonu zostało na trupach. Jednak z cytadeli ktoś otworzył ogień i z jej wrót zaczęli wysypywać się żołnierze Nostoru. Najwyższy czas, pomyślał kapral, żeby użyć trzydziestkiósemki.

Staął w rozkroku z lewą ręką na biodrze, wycelował kolta i opróżnił komory bębna. Sześcioma strzałami zabił sześciu ludzi biegnących na samym przedzie. Nieźle. Tak samo dobrze szło mu strzelanie do tarczy na strzelnicy. Żołnierze biegnący w drugim rzędzie zatrzymali się na moment i nagle Morrisona otoczyli biegnący za nim ludzie. Rozległy się wystrzały z arkebuzów, a halabardnicy i pikinierzy ruszyli do ataku. Kapral włożył pusty rewolwer do kabury - nabojów starczy mu jeszcze na osiem rund - wyciągnął rapier i puginał. Na murach zagrzmiało kolejne działo. Mam nadzieję, że ani Chartifon, ani Rylla nie znaleźli się w zasięgu jego strzału, pomyślał Morrison, a potem zaczął przedzierać się w kierunku wrót cytadeli. Za jego plecami oprócz znajomych okrzyków „Hostigos!” i „Nostor!” dały się słyszeć inne - „Zmiłowania! Błagam o litość!”.

Do południa część żołnierzy strzegących Tarr-Dombra poddała się, a reszta nie potrzebowała już żadnej łaski. Działa na murach wystrzeliły tylko dwukrotnie, mimo to zabiły lub raniły pięćdziesięciu ludzi. Nikt wcześniej nie był na tyle szalony, by atakować Tarr-Dombra, więc armat nie szykowa no do walki. Obsługa zdążyła naładować tylko dwie z nich. Morrison przypuszczał, że Gormoth na drugi raz nie popełni takiego błędu.

Najcięższa walka miała miejsce wewnątrz cytadeli. Kapral natknął się tam na Ryllę i Chartifona, który próbował nadążyć za dziewczyną. Na hełmie księżniczki widniała świeża rysa, a na mieczu krew. Rylla śmiała się radośnie.

Morrison spodziewał się, że zdobycie twierdzy będzie bardzo krwawe, lecz kiedy zajęli cytadelę, wszyscy się poddali. Do tego czasu kapral zdążył wystrzelać cały zapas nabojów. W końcu ściągnięto czarny sztandar Gormotha z pomarańczową lilią i na jego miejscu pojawiła się chorągiew Ptosphesa - niebieska głownia halabardy na czerwonym tle. W twierdzy znaleźli cztery działa strzelające wielkimi, pięćdziesięciokilogramowymi kamiennymi kulami. Za pomocą dźwigni obrotowych skierowali je w stronę Dyssy - małego miasteczka leżącego u ujścia Pine Creek, tutaj zwanej Gorge - i oddali salwę. Oznajmili w ten sposób, że Tarr-Dombra ma nową obsadę. Potem kazali zamkowym kucharzom poćwiartować i upiec woły, które przyciągnęły dwa ostatnie wozy.

Wreszcie zajęli się więźniami czekającymi na wewnętrznym dziedzińcu. Byli tam najemnicy - ci pewnie podejmą się służby w barwach Ptosphesa, chociaż nie będą walczyć przeciw Nestorowi, dopóki nie wygaśnie kontrakt z Gormothem. Odeśle się ich zatem na granicę z Saskiem. Inna sprawa to oddziały Gormotha - ci nie będą służyć Ptosphesowi, ale

mogą pracować, jeśli otrzymają wypłatę i odpowiednie traktowanie. Zarządca zamku, hrabia Pheblon, kuzyn księcia Gormotha i jego oficerowie - wszyscy zostaną uwolnieni, pod warunkiem że przyślą do Hostigos okup w srebrze. Kapłan Galzara pojedzie do Hostigos wraz ze swoją trzódką. Co do kapłana Styfona, Chartifon chciał poddać go torturom, a Ptosphes stwierdził, że zakonnika trzeba ściąć na miejscu.

- Odeślijcie go do Nostoru razem z Pheblonem - powiedział Kalvan. - Niech zawiezie list do swojego przełożonego... nie, do najwyższego kapłana, Głosu Styfona. Napiszcie mu, że produkujemy własne ziarna ogniste i że nauczymy każdego, jak je wytwarzać. Powiedzcie, iż nie spoczniemy, dopóki nie zmieciemy Domu Styfona z powierzchni ziemi.

Wszyscy, nawet ci, którzy wcześniej prześcigali się w propozycjach wymyślnych sposobów uśmiercenia kapłana, zakrzyknęli radośnie.

- Wyślijcie też kopię listu Gormothowi, a także propozycję pokoju i przyjaźni między waszymi narodami - dodał Morrison. - Powiedzcie mu, że nauczycie jego żołnierzy wyrabiania ziaren ognistych. Będą je mogli produkować, gdy powrócą do domu.

- Kalvanie! - Ptosphes niemal zawył z przerażenia. - Jaki bóg pomieszał ci rozum?! Gormoth jest naszym wrogiem!

- Każdy, kto umie wytwarzać proch, przestanie być naszym wrogiem, ponieważ Dom Styfona stanie się jego nieprzyjacielem - odparł spokojnie Morrison. - Gormoth to wkrótce zrozumie.

Verkan, wędrowny kupiec, dowodził konną partią, która z dobrą nowiną zdążyła do Hostigos. Tarr-Dombra została zdobyta, wzięto ponad dwustu jeńców, zyskano sto pięćdziesiąt koni, cztery tony prochu i dwadzieścia armat. Dolina Siedmiu Wzgórz wróciła do Hostigos. Harmakros pokonał kompanię najemnej kawalerii, zabił przy tym dwudziestu ludzi i pojmał resztę. Dzięki temu zajął farmę przy świątyni Styfona, na której produkowano saletrę. Uwolnił pracujących tam wyrobników, a kapłanów i strażników wyrzwał co do nogi. Potem ten niegdyś prześladowany kapłan Dralma zgromadził wszystkich chłopów na modlitwę dziękczynną i oznajmił, że żołnierze Hostigos przybywają jako wyzwoliciele, a nie zdobywcy. Verkanowi zdawało się, że słyszał to już wiele razy, w różnych światach, nie wyłączając tego, w którym urodził się Calvin Morrison. Strażnik czasu wiozł także kopie listów, które napisał książę Ptosphes - czy raczej które napisał lord Kalvan, a książę podpisał - do najwyższego kapłana Styfona i do księcia Gormotha.

Zostawił w mieście kilku żołnierzy, aby rozesłali wieści, a sam pojechał do zamku i złożył sprawozdanie Xentosowi. Przedstawienie całej historii staremu kapłanowi zajęło sporo czasu, gdyż Xentos przerywał i na bieżąco przekazywał wszystko swemu bogu, Dralmowi. Kiedy Verkan wyszedł, zaciągnięto go natychmiast do izby oficerskiej, gdzie odszpunktowano już baryłkę z winem. Zanim wrócił do gospody Pod Czerwoną Halabardą, było już ciemno i wszyscy na ulicy wrzeszczeli, najwyraźniej pijani. Ktoś wyprowadził małe dwufuntowe działko na ulicę i marnował właśnie proch, który można było lepiej wykorzystać w walce z żołnierzami Gormotha. Wciąż było słychać dźwięk dzwonu na wieży ratusza.

Po powrocie do pokoju Verkan otworzył skrzynkę, wyciągnął następną miedzianą kulę i ukrył pod peleryną. Potem wyjechał z miasta. Uwiązał konia do krzaka i poszedł w kierunku samotnego wielkiego drzewa, które rosło ponad karłowatym dębem. Uaktywnił kulę, nagrał wiadomość i wysłał. Wtedy wyciągnął papierosy, usiadł pod drzewem i czekał. W pół godziny kula powinna dotrzeć na posterunek policji w kontinuum na Piątym Poziomie. Kolejne pół godziny zajmie antygravitacyjnemu transporterowi przybycie na miejsce.

Służący przyniósł wszystkie potrzebne rzeczy. Lord Kalvan ułożył je po kolei na białym prześcieradle rozpostartym na stole. Prążkowane wełniane bryczesy - zostawił portfel w tylnej kieszeni. Nie mógł teraz wykorzystać swoich pieniędzy, a dowód osobisty należał do mężczyzny, który nie istniał w tej rzeczywistości. Podarta i ubrudzona krwią koszula. Kurtka z powykrzywianą odznaką, która uratowała mu życie. Czarne wysokie buty - trzewiki, które robili tutaj, były bardziej miękkie i wygodniejsze. Pas Sama Browne'a z kaburą, szlufką na zapasowy magazynek z nabojami i kajdanki w specjalnej sakiewce. W tym świecie, jeśli chciałeś kogoś zatrzymać, po prostu strzelałeś lub waliłeś go w głowę. Służbowy kolt - nie chciał się z nim rozstawać, mimo że nie miał już nabojów. Bez rewolweru cały ten zestaw tracił jednak swoją wagę. Morrison wsunął swoją trzydziestkęósemkę do kabury i rzucił pałkę policyjną na wierzch stosiku. Służący zawinął wszystko w prześcieradło i wyniósł tobolek.

Żegnaj, Calvinie Morrisonie, pomyślał kapral. Witaj, lordzie Kalvanie z Hostigos. Jutro podczas mszy dziękczynnej przed ucztą wszystkie jego rzeczy zostaną złożone jako ofiara w świątyni Dralma. Był to pomysł Xentosa i Morrison od razu na to przystał. Pełnił funkcję generała, inżyniera zaopatrzeniowego i przemysłowca, lecz musiał być także politykiem, a politycy powinni szanować religię swoich wyborców. Kapral napełnił kielich winem z dzbana stojącego na mniejszym stoliku. Ciepłe białe wino było zbrodnią przeciw naturze. Musi wymyślić sposób na chłodzenie żywności, ale już po wojnie. Może nie potrwa długo. Otworzono już granice i przyjezdni, którzy musieli do tej pory zostać w Hostigos, wyjadą po uczcie. Wszyscy już wiedzieli, że każdy może wytwarzać ziarna ogniste.

Parę godzin wcześniej Morrison uciął sobie krótką pogawędkę z człowiekiem, od którego kupili trygackie wierzchowce. Kupiec zmierzał do Nostoru, podobnie jak kilku szpiegów z piątej kolumny Xentosa. Gormoth zacznie wkrótce produkować własny proch i Dom Styfona zaprzestanie z nim handlu. Gormoth nie pomyślał o tym. Chciał tylko jednego - podbić Hostigos, a bez pomocy Styfona na pewno mu się nie uda. Tak czy siak, nie zajmie Hostigos teraz, gdy utracił najlepszą drogę do przeprowadzenia inwazji. Dwa dni po upadku Tarr-Dombra dwutysięczna armia Gormotha pojawiła się przy ujściu rzeki Gorge. Przynajmniej trzystu ludzi zginęło w ogniu artyleryjskim, gdy próbowali przejść przez Athan. W końcu dowódca najemników zatrzymał szturm. Następnej nocy z Przełęczą McElhattana, czyli tutejszej Przełęczą Vrylos, wyruszył Harmakros z dwoma setkami kawalerzystów i splądrował wschodnią część Nostoru. Spalił wsie, rozpedził bydło, konie i zniszczył wszystko w Dolinie Listry.

Może uda się pokonać Gormotha do zimy, a właściwie do następnej wiosny - tutaj nie prowadzono wojen zimą. Do tego czasu Morrison będzie już miał armię z prawdziwego zdarzenia, wyszkoloną według nowych zasad taktyki wojskowej, które ustalił na podstawie wiadomości z historii szesnastego i siedemnastego wieku. Cztery lub pięć baterii lekkich czterofuntowców, dział i jaszczy ciągniętych przez czterokonne zaprzęgi. Będą się przemieszczać równie łatwo jak kawaleria. Poza tym mnóstwo strzelb i ludzi wyszkolonych w ich obsłudze. Trzeba się będzie pozbyć włóczni i kos. Zastąpi je prawdziwymi czterometrowymi pikami, które są w stanie zatrzymać konnicę.

Rzeczywistym wrogiem był Dom Styfona. Raz zwyciężony, Gormoth nie podźwignie się z porażki, a Sarrask bez Gormotha - niczym Mussolini bez Hitlera - był nikim. Ale władza Domu Styfona rozciągała się we wszystkich pięciu Wielkich Królestwach, od ujścia rzeki St. Lawrence aż do wybrzeży Meksyku. Dom Styfona był potężny, lecz Morrison znał czułe miejsce przeciwnika. Styfon nie był bogiem tak popularnym, jak dajmy na to Dralm. Dlatego

właśnie agenci Xentosa umacniali swoją pozycję w Nostorze. Dom Styf ona lekceważył zwykłych ludzi, jak również pomniejszą szlachtę. Wywierał presję na Wielkich Władców i ich wasali, lecz ci, kiedy tylko zaczną sami wytwarzać proch, zwrócą się przeciwko Domowi Styfona. To nie była wojna religijna, tak jak wiele wojen w szesnastym i siedemnastym wieku w historii jego własnego świata. Tu po prostu trzeba nieco poluzować śrubki.

Morrison odstawił kielich i wstał. Pozbył się lekkiego kaftana i zaczął się przebierać do obiadu. Przez moment zastanawiał się, kto w tym roku w Stanach wygra wybory - demokraci czy republikanie. Był pewien, że w obu światach jest ten sam rok. Zastanawiał się też, jak to będzie dalej z zimną wojną i programem „wojen gwiazdnych”. Ale tylko przez moment.

Verkan Vall skończył opowieść i wyciągnął się na fotelu. Do tarasu nie docierało żadne światło, jedynie łuna znad rozciągającego się poniżej miasta. Widział wyraźnie tłące się w mroku papierosy. Na tarasie siedziało czterech mężczyzn: szef Policji Czasu, przewodniczący Komisji do spraw Podróży w Czasie, prezes Zarządu Handlu Paratemporalnego i zastępca szefa, Verkan Vall, który za sto dni przejmie obowiązki naczelnika Policji Czasu.

- Więc nic nie zrobiłeś z tym człowiekiem? - zapytał przewodniczący.

- Zupełnie nic - odparł Verkan. - Kapral Morrison nie zdradzi sekretu podróży w czasie. Zdaje sobie sprawę, że wylądował w innej rzeczywistości i że nie przeniósł się do przyszłości. Na pewno zrozumiał, iż wylądował w świecie równoległym, w innym wymiarze czasowym. Wie także, że podróże w czasie są możliwe. Jednak zatrzymał tę informację dla siebie. W nowym świecie odniósł sukces i na pewno nie będzie chciał tego zmieniać. Zyskał to, czego nie mógłby nigdy osiągnąć w sektorze Euro-Amerykańskim; stał się szanowanym szlachcicem, co już dawno wyszło z mody w jego świecie pełnym zwykłych ludzi. Zamierza pojąć za żonę piękną księżniczkę, a to więcej niż bajka. Jest prawdziwym rycerzem, a ci już dawno wyginęli w jego własnym świecie pełnym broni atomowej. Dowodzi małą, lecz dobrą armią, którą doskonalili. W dodatku ma cel. Wie, o co walczy. Nie zdradzi się z myślami dotyczącymi podróży w czasie. Zobaczcie, jaką historyjkę wymyślił. Powiedział Xentosowi, że został przeniesiony do tych czasów z dalekiej przyszłości za sprawą magii. W tym świecie czary są doskonałym wytłumaczeniem dla wszelkich dziwnych zdarzeń. Za zgodą Morrisona Xentos przekazał tę opowieść w tajemnicy Rylli, Ptosphesowi i Chartifonowi. Reszta ludzi jest przekonana, iż lord Kalvan to wygnany książę z królestwa tak odległego, że nie ma go na mapie. To najzupełniej wiarygodne wytłumaczenie.

- Jakim sposobem usłyszałeś tę sekretną opowieść? - zapytał prezes.

- Od Xentosa, podczas uczy. Wdałem się z nim w teologiczną dyskusję i niepostrzeżenie wysypałem mu trochę lekarstwa na prawdomówność. Teraz nie pamięta, o czym mi opowiadał.

- Cóż, nikt inny w tamtym świecie nie stosuje podobnych sposobów - powiedział przewodniczący. - Ale czy nie zabrałeś przypadkiem rzeczy Morrisona ze świątyni? Czy było konieczne w ogóle je stamtąd wynosić?

- Nie zabrałem ich osobiście. W noc uczy, kiedy nikogo nie było w świątyni, wysłaliśmy transporter. Następnego ranka kapłani krzyczeli: „To cud! Dralm przyjął ofiarę”. Byłem tam, więc widziałem. Morrison nie uwierzył. Pewnie myśli, że pakunek ukradł jeden z wędrownych kupców, którzy o poranku opuścili Hostigos. Wiem, że kawalerzyści Harmakrosa zatrzymywali ludzi i przeszukiwali bagaże oraz wozy. Oficjalnie lord Kalvan oczywiście uwierzył w cud. A co do konieczności: tak, musieliśmy zabrać ten pakunek. Rzeczy kaprala Morrisona zostaną odnalezione w jego rodzimym świecie. Najpierw pojawi się kurtka z odznaką, później, przy okazji jakiegoś przestępstwa, które zaaranżujemy, odnajdzie się

rewolwer. Śledztwo niczego nie wyjaśni, a zniknięcie kaprała pozostanie tajemnicą, lecz będzie to tajemnica możliwa do zaakceptowania w tamtej rzeczywistości.

- To bardzo interesujące - powiedział prezes. - Lecz co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Trent, rozczarowujesz mnie - odparł przewodniczący komisji. - Dom Styfona jest idealny dla naszych działań w tym subsektorze. W ciągu kilku stuleci ów obszar stanie się bardzo wartościowy. Przenikniemy do Domu Styfona, przejmemy go, tak jak to zrobiliśmy ze świątyniami Yat-Zar w sektorze Hulguna, i wzmocnimy jego status gospodarczo-polityczny.

- Ale będziecie musieli zostawić w spokoju kontinuum Morrisona - wtrącił Tortha Karf.

- Oczywiście, że tak! - gwałtownie odezwał się Verkan. - Ten świat otrzyma status placówki uniwersytetu. Każdy człowiek, żeby się tam dostać, będzie musiał przejść kwarantannę. Obejmujemy taką samą kontrolą jeszcze pięć najbliższych równoległych rzeczywistości. Wiecie, co tu mamy? - Verkan był bardzo podekscytowany. - Powstaje zupełnie nowy podsektor, a my zidentyfikowaliśmy punkt rozwidlenia. Zdarzyło się to chyba po raz pierwszy w naszej historii. A teraz posłuchajcie! Tamci ludzie znają mnie już jako Verkana, kupca wędrownego. Będę się tam pojawiał co jakiś czas. Zbuduję w Hostigos skład handlowy na tyle duży, żeby zmieściła się w nim głowica transportera i...

Tortha Karf zaczął się śmiać.

- Wiedziałem! - powiedział. - Wiedziałem, że znajdziesz jakiś sposób!

- No dobrze - zaczął tłumaczyć Verkan. - Wszyscy mamy hobby. Ty lubisz hodować owoce i strzelać do królików na swojej Sycylii na Piątym Poziomie. Moje ukochane poletko znajduje się w podsektorze Kalvana, na Czwartym Poziomie. Mam dopiero sto dwadzieścia lat. Może za parę stuleci, kiedy znudzi mi się aktywne życie...

Ursula K. LeGuin cieszy się obecnie tak uniwersalnym szacunkiem jako pisarka i jest tak poważana jako subtelna i wyrafinowana artystka oraz jedna z największych myślicielek w gatunku fantastyki, że zapominamy czasami, iż po debiucie najczęściej porównywano ją do innej pisarki, Leigh Brackett - co najmniej przy jednej okazji określono ją jako „nową Leigh Brackett”. Często również zapominamy dzisiaj, że jej pierwsze książki - Świat Rocanna, mocno van vogtowskie Miasto złudzeń i najlepsza wczesna powieść, niedoceniona i wciąż uparcie pomijana (nawet przez fanów Ursuli) Planeta wygnania - ukazały się w wydawnictwie Ace jako zwykłe pulpowe space opery z rodzaju tych o najniższym wspólnym mianowniku (podobnie jak pierwsze książki Samuela R. Delany'ego również ukazały się jako space opera w tym samym wydawnictwie), z krzykliwymi pulpowymi okładkami i sensacyjnymi reklamowymi sloganami w rodzaju: „Gdziekolwiek się pojawił, supernauka zmieniała go w legendę!” albo „Czy był ludzkim meteorem, czy gwiazdną bombą z opóźnionym zapłonem?”

Jak się okazało, LeGuin miała przed sobą większą przyszłość niż zwykła rola nowej Królowej Kosmicznych Szlaków. Chociaż dotarła dalej i przemierzyła obszary literatury znacznie wykraczające poza zasięg space opery, coś z nowej Leigh Brackett wciąż w niej tkwi jako ukryty, nieodłączny element jej artystycznego makijażu. Faktycznie, jej ostatni powrót do haińskiego cyklu o międzygwiazdnej społeczności znanej jako Ekumena (umieszczonej w fikcyjnym wszechświecie stanowiącym tło wczesnych powieści) - w opowiadaniach Dzień Przebaczenia, Wyswobodzenie kobiet czy Inna historia - pokazuje, że autorka wciąż potrafi skonstruować kosmiczną intrygę i przygodę równie porywającą, przykuwającą i zawrotnie szybką jak najlepsze rzeczy z tego gatunku... i na dodatek potrafi pisać o polityce, ludzkiej seksualności, konkurencyjnych modelach społeczeństwa i cywilizacji oraz fundamentalnych kwestiach życia, śmierci i odpowiedzialności moralnej może nawet bardziej przenikliwie i bezkompromisowo, niż pozwalano tej wczesnej LeGuin z krzykliwych Ace Doubles. Lecz z Brackett łączy ją jedno, i pewnie dlatego krytycy porównywali te dwie pisarki: LeGuin nigdy nie zapomina o fabule i zawsze pamięta, że serce opowieści tworzą żyjący w niej ludzie. Lekcję tę dobrze poznała już na początku swojej kariery, co wyraźnie pokazuje przedstawiona tutaj historia, jedna z pierwszych opublikowanych, nastrojowa i jednocześnie pełna napięcia...

Ursula K. LeGuin należy obecnie do czołówki pisarzy świata. Jej słynna powieść Lewa ręka ciemności okazała się jedną z najważniejszych książek SF dziesięciolecia i prawdopodobnie wejdzie do ścisłego kanonu gatunku - nawet pomijając inne dzieła LeGuin, wpływ tej jednej książki na przyszłą fantastykę i przyszłych pisarzy fantastyki trudno przecenić. (Jej powieść fantasy z 1968 roku, Czarnoksiężnik z Archipelagu, wywierała prawie równie silny wpływ na kolejne pokolenia pisarzy high fantasy). Lewa ręka ciemności zdobyła nagrody Hugo i Nebula, podobnie jak kilka lat później monumentalna powieść Wydziedziczeni. Tehanu przyniosła autorce następną Nebulę w 1990 roku. Ponadto LeGuin otrzymała jeszcze trzy nagrody Hugo i dwie Nebulę za opowiadania oraz National Book Award w literaturze dziecięcej za Najdalszy brzeg, część głośnego cyklu o Ziemiomorzu. Inne powieści to Jesteśmy snem, Miejsce początku. Grobowce Atuanu, tom opowiadań niefantastycznych Searoad i kontrowersyjna multimedialna powieść Wracać wciąż do domu. Wydała sześć zbiorów opowiadań: Wszystkie strony świata. Opowieści orsiniańskie, The Compass Rose, Dziewczyny z Buffalo i inne zwierzęce obecności, Fisherman of the Inland Sea i Cztery drogi ku przebaczeniu, a także Opowiadanie świata.

Ursula K. LeGuin

NASZYJNIK SEMLEY

Jak odróżnić legendę od prawdy na tych światach oddalonych o tyle lat? Na bezimiennych planetach, zwanych przez swoich mieszkańców po prostu Światami, planetach bez historii, gdzie przeszłość to sprawa mitu, gdzie powracający badacz stwierdza, że jego własne czyny sprzed kilku lat stały się gestem boga. Irracjonalizm wypełnia przepaść czasu, której dwa brzegi łączą nasze światłowce, a w jego mroku pienia się jak zielsko niepewność i niewspółmierność.

Ktoś, kto chce opowiedzieć historię człowieka, zwykłego uczonego Ligi, który udał się przed niewielu laty na jeden z takich bezimiennych, na wpół poznanych światów, czuje się jak archeolog wśród tysiącletnich ruin, przeciskający się przez gąszcz liści, kwiatów, gałęzi i pnączy, by nagle natknąć się na przejrzystą geometrię koła lub polerowanego narożnika; a potem wchodzi w jakieś zwyczajne, oświetlone słońcem drzwi, by w ciemnym wnętrzu ujrzyć nieoczekiwaną iskierkę ognia, błysk klejnotu, ledwie widoczny ruch kobiecej ręki.

Jak odróżnić fakt od legendy, prawdę od prawdy?

W opowieści Rocannona powracają błękitne błyski klejnotu. Zaczniemy ją od tego:

8 Strefa Galaktyczna, N. 62: Fomalhaut II

Istoty rozumne (gatunki poznane):

GATUNEK I

A. Gdemiar (l. poj. Gdem): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni jaskiniowcy. Wzrost 120-135 cm, skóra jasna, włosy ciemne. W momencie kontaktu ci troglodyci posiadali wyraźnie rozwarstwione oligarchiczne społeczeństwo typu miejskiego, zmodyfikowane zjawiskiem kolonii telepatycznych, oraz technologicznie nastawioną kulturę okresu wczesnej stali.

Skok technologiczny od kultury przemysłowej, poziom C na skutek wypraw Ligi w latach 252-254. W r. 254 oligarchowie okręgu Kirien otrzymali automatyczny statek zapewniający połączenie z Nową Południową Georgią. Status C.

B. Fiia (l. poj. Fian): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni, tryb życia dzienny, śr. wys. ok. 130 cm. Wśród obserwowanych osobników przeważał typ jasnoskóry i jasnowłosy. Sporadyczne kontakty wskazywały na społeczeństwo typu osiadłej i koczowniczej wspólnoty, częściowo telepatię kolonialną z pewnymi oznakami krótkodystansowej telekinezy. Rasa sprawia wrażenie antytechnologicznej, o minimalnych, płynnych wzorcach kulturowych. Kontakt bardzo utrudniony. Nieopodatkowani. Status E?

GATUNEK II

Liuar (l. poj. Liu): Wysoce inteligentni, człekokształtni, tryb życia nocny, śr. wys. ok. 170 cm. Mieszkają w grodach obronnych, społeczeństwo typu klanowego, technologia zablokowana na epoce brązu, kultura rycerska. Horyzontalny podział społeczeństwa na dwie pseudorasy:

a) Olgior - ludzie średni - jasnoskórzy i ciemnowłosi;

b) Angyar - panowie - bardzo wysocy, ciemnoskórzy i jasnowłosi...

- To ona - powiedział Rocannon, spoglądając znad Małego Kieszonkowego Przewodnika po Istotach Rozumnych na bardzo wysoką, ciemnoskórą i jasnowłosą kobietę, która stała w głębi długiego korytarza muzeum. Stała nieruchomo, wyprostowana, w koronie złotych włosów, wpatrzona w gablotę. Wokół niej kręciło się czterech niespokojnych brzydkich

karłów.

- Nie wiedziałem, że Fomalhaut II ma oprócz troglodytów tyle tych ludów - powiedział Ketho, kurator.

- Ja też. Tu są nawet wymienione „niepotwierdzone” gatunki, z którymi nie doszło do kontaktu. Czas chyba na jakąś gruntowniejszą ekspedycję do nich. Dobrze, że przynajmniej wiemy, kim ona jest.

- Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, kim ona jest naprawdę...

Pochodziła ze starego rodu pierwszych królów angyarskich i mimo ubóstwa włosy jej błyszczały czystym, szczerym złotem jej dziedzictwa. Mali ludzie, Fiia, kłaniali się na jej widok, nawet gdy jeszcze jako dziecko biegała bosą po polach z jasną, płomienną kometa włosów rozjaśniającą mroczną atmosferę Kirien.

Była wciąż jeszcze bardzo młoda, kiedy Durhal z Hallan ujrzał ją, poprosił o rękę i zabrał ze zrujnowanych wieżyc i pełnych przeciągu komnat dzieciństwa do swego własnego wysokiego domu. W Hallan na zboczu góry też nie było wygod, choć zachowało się bogactwo. Okna nie miały szyb, kamienne podłogi były nagie; w zimnej porze roku można się było rano obudzić i ujrzyć długie języki nawianego w nocy śniegu pod każdym oknem. Młoda żona Durhala stawała wąskimi bosymi stopami na zaśnieżonej podłodze, zaplatając poząr swoich włosów i śmiejąc się do młodego małżonka w srebrnym lustrze zdobiącym ścianę jej pokoju. To lustro i ślubna suknia jego matki wyszyta tysiącem drobniutkich kryształków stanowiły cały jego majątek. Niektórzy z pomniejszych krewniaków nadal posiadali całe skrzynie brokatowych szat, połączane meble, srebrne rzędy dla wierzchowców, srebrem zdobione zbroje i miecze, drogie kamienie i biżuterię, na którą młoda małżonka Durhala zerkała z zazdrością, oglądając się za wysadzonym kamieniami diademem lub złotą broszą, nawet gdy jej właścicielka przystawała, by przepuścić Semley z szacunku dla jej urodzenia i pozycji męża.

Durhal i jego żona Semley zasiadali podczas Wielkiej Uczty na czwartym miejscu, tak blisko Pana na Hallan, że starzec często własnoręcznie nalewał wina Semley oraz rozmawiał o łowach ze swoim bratankiem i następcą Durhalem, spoglądając na młodą parę z ponurą, pozbawioną nadziei miłością. Nadzieja była wielką rzadkością wśród ludu Angyar z Hallan i całej Zachodniej Krainy od czasu, kiedy pojawili się Władcy Gwiazd ze swymi domami skaczącymi na kolumnach ognia i straszliwą bronią mogącą rozbijać góry. Naruszyli oni stare obyczaje czasów pokoju i czasów wojny i choć sumy były niewielkie, honor Angyar cierpiał wielce, że musieli płacić podatki, daninę na wojnę, jaką Władcy Gwiazd mieli stoczyć z jakimś dziwnym wrogiem, gdzieś w pustych przestrzeniach między gwiazdami, kiedyś na końcu czasu. „To będzie także wasza wojna” - mówili, ale już całe pokolenie Angyar siedziało w daremnym wstydzie w swoich wielkich komnatach, patrząc, jak rdzewieją ich długie miecze, jak synowie dorastają, nie zadawszy ciosu w bitwie, a córki wychodzą za biedaków lub nawet ludzi średnich, nie mając w posagu bogatego łupu godnego męża szlachetnego rodu. Pan na Hallan z zasepionym obliczem spoglądał na jasnowłosą parę, słuchając ich śmiechu, kiedy pili cierpkie wino i weselili się w zimnej, zrujnowanej, okazałej forticy swojej rasy.

Semley z również stężoną twarzą rozglądała się po sali i widziała na miejscach znacznie poniżej swego, nawet daleko wśród mieszaińców i ludzi średnich, na tle białej skóry i czarnych włosów lśnienia i blaski drogocennych kamieni. Ona nic nie wniosła mężowi w posagu, ani jednej srebrnej szpilki. Suknię z tysiącem kryształków schowała do skrzyni na ślub córki, jeżeli będą mieć córkę.

Miała córkę i nazwali ją Haldre, a kiedy jej mała brązowa główka porosła nieco już dłuższym włosiem, zabłysło na niej szczerze złoto; dziedzictwo wielkopańskich przodków, jedyne złoto, jakie kiedykolwiek będzie jej własnością...

Semley nie wspominała mężowi o tym, co jej doskwiera. Przy całej dobroci, jaką miał dla niej, Durhal w swojej dumie żywił tylko pogardę dla zawiści i dla próżnych zachcianek, a Semley bała się jego pogardy. Zdradziła się jednak przed siostrą Durhala, Durossą.

- Moja rodzina miała kiedyś wielki skarb - powiedziała. - Był to szczerozłoty naszyjnik z błękitnym kamieniem, to się chyba nazywa szafir, pośrodku.

Durossa potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, również niepewna nazwy. Była późna ciepła pora, jak północni Angyarowie nazywają lato swego osiemsetdniowego roku, licząc cykl miesięcy na nowo od każdego zrównania, co Semley uważała za dziwaczny kalendarz, dobry chyba tylko dla średnich ludzi. Jej rodzina dożywała kresu, ale była starsza i miała czystsza krew niż wszystkie te rody z północno-zachodnich kresów, które zbyt często mieszały się z Olgiorami. Siedziała z Durossą w słońcu na kamiennej ławie podokiennej, wysoko w Wielkiej Wieży, gdzie mieszkała starsza kobieta. Młodo owdowiała i bezdzietna, Durossą została po raz drugi zaślubiona panu na Hallan, swemu stryjowi. Ponieważ było to drugie małżeństwo dla nich obojga i byli spokrewnieni, Durossa nie miała tytułu pani na Hallan, który pewnego dnia otrzyma Semley, ale zasiadała obok starego pana na wysokim krześle i rządziła wraz z nim jego włościami. Starsza od swego brata Durhala, lubiła jego młodą żonę i uwielbiała ich jasnowłosą córeczkę Haldre.

- Kupiono go - opowiadała Semley - za cały okup, który mój przodek Leynen dostał po zwycięstwie nad Księstwami Południa. Pomyśl tylko, wszystkie pieniądze z całego królestwa za jeden klejnot! Na pewno zaćmiłby wszystkie klejnoty Hallan, nawet te kryształowe jak jaja kooba, które nosi twoja kuzynka Issar. Był tak piękny, że dostał własne imię; nazywano go Oko Morza. Nosila go moja prababka.

- A ty nigdy go nie widziałaś? - spytała starsza kobieta leniwie, spoglądając w dół na zielone zbocza, gdzie długie lato wysyłało swoje gorące, wiecznie niespokojne wiatry na lasy i białe drogi ciągnące się hen, aż na brzeg morza.

- Zaginął przed moim urodzeniem.

- Zabrali go Władcy Gwiazd?

- Nie, mój ojciec powiedział, że klejnot został ukradziony przed przybyciem Władców Gwiazd na nasze ziemie. Nie chciał mówić na ten temat, ale pewna stara kobieta ze średnich ludzi znająca mnóstwo opowieści powtarzała mi nieraz, że Fiia wiedzą, gdzie jest klejnot.

- Ach, chciałabym zobaczyć tych Fiia! - westchnęła Durossa. - Tyle się o nich słyszy w pieśniach i opowieściach, dlaczego nigdy nie zaglądają w nasze strony?

- Zbyt wysoko i zbyt chłodno zimą, jak sądzę. Oni lubią słoneczne doliny południa.

- Czy są podobni do Gliniaków?

- Gliniaków nigdy nie widziałam; trzymają się od nas z daleka tam, na południu. Podobno są nieforemni i biali jak ludzie średni. Fiia są piękni, wyglądają jak dzieci, tylko szczuplejsze i mądrzejsze. Tak, ciekawe, czy wiedzą, gdzie jest naszyjnik, kto go ukradł i gdzie schował! Pomyśl, Durossa, gdybym tak mogła wejść do Wielkiej Sali Hallan i usiąść obok mojego męża z ceną królestwa na szyi, zaćmiłabym inne kobiety tak, jak on zaćmiewa wszystkich mężczyzn!

Durossa pochyliła głowę nad dzieckiem, które oglądało z zainteresowaniem swoje brązowe stopki, siedząc na skórze między matką a ciotką. - Semley jest niemądra - szepnęła do dziecka.

- Semley, która błyszczy jak spadająca gwiazda, Semley, której mąż nie kocha innego złota poza złotem jej włosów.

A Semley, zapatrzona ponad zielonymi wzgórzami w stronę dalekiego morza, milczała.

Minęła zimna pora i Władcy Gwiazd znowu przybyli po daninę na wojnę z końcem świata - tym razem używając jako tłumaczy pary karłowatych Gliniaków i obrażając w ten sposób wszystkich Angyar do granic rebelii - potem minęła następna pora ciepła, Haldre wyrosła na uroczą, rozgadaną dziewczuszkę i Semley przyniosła ją któregoś ranka do słonecznego pokoju Durossy w wieży. Semley miała na sobie stary błękitny płaszcz, jej włosy przykrywał kaptur.

- Zaopiekuj się Haldre przez kilka dni - powiedziała szybko i spokojnie. - Jadę na południe do Kirien.

- Chcesz odwiedzić ojca?

- Chcę odnaleźć swoje dziedzictwo. Twój kuzyni z Hagret pokpiwali z Durhala. Nawet ten mieszaniec Parna może mu dokuczać, bo jego żona, ta kluchowata, czarnowłosa flądra, ma aksamitną kapę na łożu, diamentowy kolczyk i trzy szaty, a żona Durhala musi chodzić w łataną suknię...

- Durhal jest dumny ze swojej żony, nie z jej sukien. Ale Semley była niewzruszona.

- Panowie na Hallan stają się biedakami w swoim własnym zamku. Przywiozę swojemu panu posag godny moich przodków.

- Semley! Czy Durhal wie, że wyjeżdżasz?

- Mój powrót będzie szczęśliwy, to możesz mu powiedzieć - odparła młoda Semley, wybuchając beztroskim śmiechem, potem schyliła się, żeby pocałować córkę, odwróciła się i zanim Durossą zdążyła się odezwać, znikła, jakby podmuch wiatru przemknął po zalanej słońcem kamiennej podłodze.

Zamężne kobiety angaryskie nie jeżdżą wierzchem dla zabawy i Semley nie opuszczała Hallan od czasu zamążpójścia, toteż teraz, sadowiac się w wysokim siodle swojego wiatrogonu, poczuła się znowu jak panna, jak szalona dziewczyna, która na skrzydłach północnego wiatru ujeżdżała półdzikie wierzchowce nad polami Kirien. Zwierzę unoszące ją teraz ze wzgórz Hallan było szlachetnej krwi; pasiasta skóra ciasno obciągała puste, lekkie kości, zielone oczy mrużyły się od wiatru, lekkie, ale potężne skrzydła biły powietrze po obu stronach Semley, na przemian odsłaniając i przesłaniając chmury nad głową i wzgórza pod stopami.

Na trzeci dzień rano przybyła do Kirien i stanęła na zrujnowanym dziedzińcu. Jej ojciec pił całą noc i tak jak dawniej poranne słońce wpadające przez dziurawy dach go drażniło, a widok córki rozdrażnił go jeszcze bardziej.

- Po co wróciłaś? - warknął, nie patrząc na nią zapuchniętymi oczami. Płomień jego włosów przygasł, siwe kosmyki wiły się na czaszce. - Czy miody Halla nie ożenił się z tobą i wracasz chyłkiem do domu?

- Jestem żoną Durhala. Przyjechałam, żeby odzyskać mój posag, ojczy. Stary pijak warknął z irytacją, ale Semley roześmiała się tak łagodnie, że krzywiąc się, musiał znowu na nią spojrzeć.

- Czy to prawda, ojczy, że Fiia ukradli naszyjnik Oko Morza?

- Skąd mogę wiedzieć? Stare bajdy. Ta rzecz zginęła chyba przed moim urodzeniem. Lepiej bym się wcale nie rodził. Spytaj Fiia, jak chcesz wiedzieć. Idź do nich albo wracaj do męża, ale zostaw mnie w spokoju. Kirien nie jest najlepszym miejscem dla kobiet, złota i innych takich rzeczy. Kirien jest skończony, to ruina, puste mury. Synowie Leynena nie żyją, a ich

bogactwa znikły. Idź swoją drogą, dziewczyno.

Szary i spuchnięty jak pajak gnieźdzący się w ruinach poszedł niepewnym krokiem do piwnic, by ukryć się przed blaskiem dnia.

Prowadząc pasiastego wiatrogoną z Hallan, Semley opuściła swój dawny dom i zjechała ze stromego wzgórza, przez wieś średnich ludzi, którzy pozdrawiali ją z posępnym szacunkiem, wśród pól i pastwisk, gdzie pasły się ogromne, półdzikie herilory z podciętymi skrzydłami, aż do doliny zielonej jak malowana miska i wypełnionej po brzegi słonecznym blaskiem. W głębi doliny leżała wioska Fiia i kiedy Semley zsiadła ze swego wierzchowca, mali drobni ludzie wybiegli do niej ze swych chat i ogrodów, i wśród śmiechu wołali cichymi, wysokimi głosami:

- Witaj, żono Halla, pani Kirien, ujeżdżająca wiatr piękna Semley!

Nazywali ją miłymi słowami i słuchała z przyjemnością, nie zwracając uwagi na ich śmiech, bo śmiali się ze wszystkiego, co mówili. Ona też tak robiła, mówiła i śmiała się. Stała wysoka, w długim błękitnym płaszczu wśród zamętu powitania.

- Witajcie, słoneczni Fiia, przyjaciele ludzi!

Zaprowadzili ją do wsi i zaprosili do jednego ze swoich przewiewnych domów, a wszędzie towarzyszyła im gromadka małych dzieci. Wieku dorosłego Fiana nie sposób określić, trudno ich w ogóle rozróżnić, a że krążyli nieustannie niczym ćmy wokół świecy, nie wiadomo było, czy mówi się do tego samego osobnika. Wydawało się jednak, że jeden z nich rozmawiał z Semley, podczas gdy inni przynosili jej wodę do picia i naczynia z owocami z ich karłowatych sadów oraz karmili i głaskali wierzchowca.

- To nie Fiia ukradli naszym panów Kirien! - krzyknął człowieczek. - Co Fiia robiliby ze złotem, pani? My mamy słońce w ciepłej porze, a w zimnej porze wspomnienie słońca, mamy złote owoce, złote liście przy zmianie pór, złote włosy naszej pani z Kirien; nie trzeba nam innego złota.

- Więc to jakiś średni człowiek ukradł klejnot? Odpowiedzią był długi, zwiewny śmiech.

- Jaki średni człowiek miałby odwagę? O, pani na Kirien, jak skradziono wielki klejnot, nie wie żaden śmiertelnik, ani człowiek, ani średni człowiek, ani Fian, ani nikt spośród siedmiu ludów. Tylko zmarli wiedzą, jak on przepadł dawno temu, kiedy Kireley Dumny, twój pradziad, wędrował samotnie do jaskiń nad morzem. Ale może znajdzie się on u Wrogów Słońca.

- U Gliniaków?

Nieco głośniejszy, nerwowy wybuch śmiechu.

- Usiądź wśród nas, Semley słonecznowłosa, która wróciłaś z północy. Usiadła z nimi do posiłku i cieszyła się ich wdziękiem, równie jak oni jej obecnością. Kiedy jednak usłyszeli, jak powtarza, że pójdzie do Gliniaków, by odzyskać swój posąg, ich śmiech ucichł i stopniowo robiło się wokół niej coraz puściej. Wkrótce została sam na sam z jednym, zapewne z tym, z którym rozmawiała przed posiłkiem.

- Nie chodź do Gliniaków, Semley - powiedział i na chwilę odwaga ją opuściła.

Fian przesunął powoli dłońmi po oczach i powietrze wokół nich nagle pociemniało. Owoce na talerzu nabrały barwy popielatej, woda znikła ze wszystkich naczyń.

- W dalekich górach dawno temu Fiia i Gdemiar rozdzielili się - mówił drobny cichy Fian. - Przedtem byliśmy jednym ludem. Oni są tym, czym my nie jesteśmy. My jesteśmy tym, czym oni nie są. Pomyśl o słońcu, trawie i drzewach rodzących owoce. Pomyśl, że nie wszystkie drogi, które prowadzą w dół, prowadzą również w górę.

- Moja nie prowadzi ani w dół, ani w górę, mój miły gospodarzu, ale prosto do mojego posagu. Pójdę tam, gdzie on jest, i wrócę z nim.

Fian skłonił się ze śmiechem.

Za wioską Semley dosiadła swego wiatrogoną i odpowiedziawszy okrzykiem na pożegnania, wzniosła się na przedwieczornym wietrze i odleciała na południowy zachód w stronę jaskiń na skalistych brzegach morza Kirien.

Obawiała się, że będzie musiała wędrować daleko w głąb jaskiń-tuneli, żeby znaleźć tych, których szukała, gdyż mówiono, że Gliniaci nigdy nie wychodzą ze swoich podziemi na światło dzienne, że boją się Wielkiej Gwiazdy i księżyców. Była to daleka droga i wylądowała raz, żeby jej wierzchowiec mógł zapolować na szczury drzewne, a ona zjeść trochę chleba ze swojej torby. Chleb był już twardy i suchy, i przeszedł zapachem skóry, ale zachował coś ze swego smaku. Jedząc go samotnie w cieniu południowego lasu, usłyszała cichy głos Durhala i ujrzała jego twarz zwróconą ku niej w blasku świec Hallan. Przez chwilę siedziała, wyobrażając sobie tę surową i żywą młodą twarz, i co mu powie, kiedy wróci do domu z ceną królestwa na szyi: „Chciałam mieć dar godny mego męża, o panie”. Wkrótce ruszyła dalej, ale kiedy dotarła do wybrzeża, słońce już zaszło i Wielka Gwiazda szła w jego ślady. Złośliwy wiatr przybiegł z zachodu, gwałtowny i niestały, i wiatrogon, walcząc z nim, opadł z sił. Pozwoliła mu wylądować na piasku. Natychmiast złożył skrzydła i podwinął pod siebie grube, lekkie łapy z pomrukiem zadowolenia. Semley stała, otulając się ciasno płaszczem i głaszcząc szyję wierzchowca, który położył uszy i nie przestawał mruczeć. Jego ciepłe futro było przyjemne w dotyku, ale wokół jak okiem sięgnąć było tylko szare niebo ze strzępami chmur, szare morze, ciemny piasek. Nagle nad samym piaskiem przebiegło jakieś niskie, ciemne stworzenie, potem drugie, cała grupka, przysiadając, biegnąc, przystając.

Przywołała ich okrzykiem. Chociaż poprzednio jakby jej nie dostrzegli, teraz w jednej chwili znaleźli się wokół niej. Trzymali się na dystans od wiatrogoną, który przestał mruczeć, a sierść zjeżyła mu się lekko pod dłonią Semley. Chwyciła go za uzdę, ciesząc się z obrony, lecz i bojąc się wybuchu wściekłości zdenerwowanego zwierzęcia. Dziwne istoty stały, patrząc w milczeniu, ich masywne boscie stopy jakby wrosły w piasek. Nie było wątpliwości: byli wzrostu Fiia i we wszystkim innym stanowili ich cień, czarny obraz tamtych roześmianych istot. Nadzy, przysadziści, niezgrabni, mieli proste włosy i białoszarą skórę, wilgotną jak skóra robaków; oczy jak kamienie.

- Czy jesteście Gliniakami?

- Jesteśmy Gdemiar, ludźmi panów Królestwa Nocy. - Nieoczekiwanie donośny i niski głos zabrzmiał pompatycznie wśród słonego wiatru i mroku, ale podobnie jak z Fiia, Semley nie potrafiła określić, który się odezwał.

- Pozdrawiam was, panowie nocy. Jestem Semley z Kirien, żona Durhala z Hallan. Przybyłam do was w poszukiwaniu mojego posagu, naszymnika zwanego Okiem Morza, który zaginał dawno temu.

- Dlaczego szukasz go tutaj, o pani? Tutaj jest tylko piasek, sól i noc.

- Szukam go tutaj, bo w głębokich miejscach wiedzą o rzeczach zaginionych - odparła Semley, nie lękając się pojedynku na słowa - i dlatego że złoto, które pochodzi z ziemi, ciągnie do ziemi z powrotem. A czasem, powiadają, rzecz wraca do tego, kto ją zrobił.

Z tym ostatnim strzeliła na chybił trafił i trafiła w dziesiątkę.

- To prawda, że znamy naszymnika Oko Morza z imienia. Był zrobiony w naszych jaskiniach dawno temu i sprzedany ludziom Angyar. Błękitny kamień pochodził z kopalni naszych

krewniaków ze wschodu. Ale to są bardzo dawne opowieści, o pani.

- Czy mogę ich posłuchać w miejscach, gdzie są opowiadane? Przysadziste ludziki milczały przez chwilę, jakby się zastanawiały. Szary wiatr dął nad piaskiem, ciemniejąc jeszcze, ponieważ zaszła Wielka Gwiazda; odgłos morza to cichł, to narastał. Wreszcie głęboki głos znów się odezwał:

- Tak, pani, możesz wejść do Głębokich Komnat. Chodź z nami teraz.

Głos był zmieniony, jakby udobruchany, ale Semley nie zwróciła na to uwagi. Poszła za Gliniakami po piasku, trzymając krótko za uzdę swego pazurzastego wierzchowca.

U wejścia do jaskini, bezzębnej, ziejącej paszczy dyszącej ciepłem i stęchlizną, jeden z Gliniaków rzekł:

- Latające zwierzę nie wejdzie.

- Wejdzie - powiedziała Semley.

- Nie - powtórzyli przysadziści.

- Nie zostawię go tutaj. Nie mam prawa go zostawić. Nie robi wam krzywdy, dopóki go trzymam za uzdę.

- Nie - znowu powtórzyły niskie głosy, ale inne wtrąciły: - Jak chcesz - i po chwili wahania ruszyli dalej.

Ogarnęły ich takie ciemności, jakby paszcza jaskini zatrzasnęła się za nimi. Posuwali się gęsiego.

Wkrótce mrok się rozjaśnił i zbliżyli się do wiszącej pod stropem kuli słabego białego ognia. Dalej była następna i jeszcze następna, między nimi ciągnęły się po ścianach długie czarne robaki. Im dalej szli, tym więcej było kuł ognistych, aż wreszcie cały tunel wypełniło jasne, zimne światło.

Przewodnicy Semley zatrzymali się u zbiegu trzech korytarzy zamkniętych żelaznymi wrotami.

- Tu zaczekamy, pani - powiedzieli i ośmiu pozostało z nią, a trójka otworzyła jedne drzwi i weszła do środka. Wrota zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

Nieruchoma, wyprostowana, stała córka Angyarów pod białym, ostrym światłem lamp; jej wierzchowiec przysiadł obok, bijąc końcem pasiastego ogona, a jego wielkie zwinięte skrzydła drgały raz po raz, zdradzając hamowaną chęć ucieczki. Za plecami Semley ośmiu Gliniaków przysiadło na piętach, mamrocząc niskimi głosami w swoim języku.

Ze zgrzytem otworzyły się środkowe wrota.

- Wprowadźcie tę Angya do Królestwa Nocy! - zawołał nowy głos, dudniący i napuszony. Stojący we wrotach Gliniak miał coś na kształt odzieży na krępy, szarym cieple. - Wejść i podziwiał cuda naszej krainy, dzieła rąk panów nocy! - powiedział, zapraszając gestem.

Semley bez słowa szarpnęła za uzdę swego wierzchowca i poszła, schylając głowę w drzwiach zrobionych dla karłowatego ludu. Otworzył się przed nią nowy rozjarzony korytarz z wilgotnymi ścianami skąpanymi w białym świetle, tylko tym razem na podłodze zamiast chodnika leżały dwie lśniące żelazne belki ciągnące się równoległą linią jak okiem sięgnąć. Na belkach stał jakiś wózek na metalowych kołach. Posłuszna gestom swego nowego przewodnika, bez wahania i bez cienia zdziwienia na twarzy weszła do wózka i skłoniła wiatrogona, żeby przysiadł koło niej. Gliniak usiadł z przodu, gdzie manipulował jakimiś dźwigniami i kółkami. Rozległ się głośny hałas, metal zazgrzytał o metal i ściany korytarza zaczęły uciekać do tyłu. Umykały tak coraz szybciej, aż wreszcie ogniste kule nad głową zlały się w jedno pasmo, a ciepłe, stęchłe powietrze zmieniło się w cuchnący wiatr, który odrzucił

jej kaptur z głowy.

Wózek zatrzymał się. Semley weszła za przewodnikiem po bazaltowych schodach do rozległego przedpokoju, stamtąd do jeszcze większej sali wyłobionej przed wiekami przez wodę, a może wykutej w skale przez Gliniaków. Mrok, którego nigdy nie naruszyło światło dzienne, rozjaśniał niesamowity, zimny blask ognistych kul. W otworach wyciętych w ścianach obracały się wielkie śmigła, wyciągając stęchłe powietrze. Rozległa zamknięta przestrzeń huczała i wibrowała hałasem: donośnymi głosami Gliniaków, zgrzytem, piskiem i szumem pracujących wentylatorów i kół, wielokrotnym echem tych dźwięków odbitym od skał. Tutaj wszyscy przysadziści Gliniaci mieli na sobie stroje naśladowujące Władców Gwiazd; spodnie, miękkie buty i bluzy z kapturami, chociaż nieliczne kobiety, pośpiesznie przemykające się karlice, były nagie. Wśród mężczyzn przeważali żołnierze noszący przy boku broń wyglądającą jak straszne miotacze światła Władców Gwiazd, ale Semley zauważyła, że są to tylko żelazne pałki. Wszystko to widziała, nie patrząc. Szła, dokąd ją prowadzono, nie zwracając głowy w lewo ani w prawo. Kiedy doszła do grupki Gliniaków noszących na czarnych włosach żelazne obręcze, jej przewodnik stanął, skłonił się i zahuczał:

- Panowie ludu Gdemiar!

Było ich siedmiu i wszyscy spojrzeli na nią z taką butą na swoich z gruba ciosanych szarych twarzach, że miała ochotę roześmiać im się w nos.

- Przybywam do was w poszukiwaniu zaginionego skarbu mojej rodziny, o władcy królestwa mroku - powiedziała poważnie. - Szukam nagrody Leynena, Oka Morza. - Jej głos zabrzmiał słabo w hałasie wielkiej krypty.

- Tak nam donieśli posłańcy, o pani Semley. - Tym razem zauważyła, kto mówi; Gliniak niższy jeszcze od pozostałych, sięgający jej ledwie do piersi, z białą, srogą twarzą. - Nie mamy rzeczy, której szukasz.

- Mówią, że kiedyś była w waszym posiadaniu.

- Różne rzeczy mówią na górze, tam gdzie pali słońce.

- A wiatr roznosi słowa wszędzie, dokąd dociera. Nie pytam, w jaki sposób naszyjnik zginął i wrócił do was, którzy go kiedyś zrobiliście. To dawne opowieści, dawne pretensje. Chcę tylko znaleźć go teraz. Nie macie go, ale może wiecie, gdzie jest.

- Tutaj go nie ma.

- Zatem jest gdzie indziej.

- Jest tam, dokąd nigdy nie dotrzesz. Chyba że my ci pomożemy.

- Więc pomóżcie mi. Proszę o to jako wasz gość.

- Powiedziane jest: Angyar biorą, Fiią dają, Gdemiar dają i biorą. Jeżeli zrobimy to dla ciebie, co za to dostaniemy?

- Moje podziękowanie, panie nocy.

Stała wśród nich wysoka i jasna, uśmiechnięta. Wpatrywali się w nią wszyscy z zazdrością i podziwem, z ponurą tęsknotą.

- Posłuchaj, Angya, prosisz nas o wielką rzecz. Sama nie wiesz, jak wielką. Nie potrafisz tego zrozumieć. Należysz do rasy, która nie chce rozumieć, która umie tylko ujeżdżać wiatrofony, uprawiać zboże, machać mieczem i krzyżeć chórem. Ale kto robi wasze miecze z jasnej stali? My, Gdemiar! Wasi panowie przychodzą do nas, kupują miecze i odchodzą, nie oglądając się za siebie, nie rozumiejąc. Ale ty jesteś tutaj, ty będziesz patrzeć, możesz zobaczyć kilka z naszych niezliczonych cudów, światła, które palą się wiecznie, wóz, który sam jedzie, maszyny, które robią nam ubrania, gotują pożywienie, odświeżają powietrze i

służą nam we wszystkim. Wiedz, że wszystkie te rzeczy są dla ciebie nie do pojęcia. I wiedz, że my, Gdemiar, żyjemy w przyjaźni z tymi, których wy nazywacie Władcami Gwiazd! Byliśmy z nimi w Hallan, w Reohan, w Hul-Orren, we wszystkich waszych zamkach, żeby pomóc im w rozmowach z wami. Książęta, którym wy, dumni Angyar, płacicie daninę, są naszymi przyjaciółmi. Świadczymy sobie nawzajem przysługi! Cóż jest dla nas twoje podziękowanie?

- To wy musicie odpowiedzieć na to pytanie, a nie ja - odparła Semley. - Ja zapytałam. Odpowiedz mi, panie.

Siedmiu Gliniaków naradzało się przez chwilę słowami i w milczeniu. Spoglądali na nią, odwracali się, mamrotali coś i milkli. Powoli, w milczeniu zbierał się wokół nich tłum, aż wreszcie Semley stała otoczona setkami czarnych kudłatych głów i cała wielka hucząca grota z wyjątkiem wąskiego kręgu wokół niej była wypełniona Gliniakami. Wiatrogon drżał ze strachu i zbyt długo powstrzymywanego gniewu, a jego oczy zrobiły się wielkie i jasne, jak oczy zwierzęcia zmuszonego do lotu w nocy. Semley pogłaskała ciepłe futerko na jego głowie, szepcząc:

- Spokojnie, mój dzielny, mądry pogromco wiatru...

- Pani, zabierzemy cię do miejsca, gdzie jest skarb - zwrócił się do niej Gliniak z białą twarzą i żelazną koroną na skroniach. - Więcej nie możemy nic dla ciebie zrobić. Musisz udać się z nami tam, gdzie jest naszyjnik, i zażądać go od tych, którzy go przechowują. Latające zwierzę tu zostanie, pojedziesz sama.

- Jak daleka będzie podróż, panie? Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

- To bardzo daleka podróż, o pani. Ale potrwa tylko jedną długą noc.

- Dziękuję wam za grzeczność. Czy zaopiekujecie się moim wierzchowcem przez tę noc? Nie chcę, żeby mu się zdarzyło coś złego.

- Będzie spał do twojego powrotu. Kiedy znowu zobaczysz to zwierzę, będziesz miała za sobą jazdę na potężniejszym wiatrogonie! Nie spytasz, dokąd cię zabieramy?

- Czy prędko wyruszamy? Nie chcę być zbyt długo z dala od domu.

- Wyruszamy wkrótce. - I znów szare wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Tego, co się działo przez kilka następnych godzin, Semley nie potrafiłaby opowiedzieć: pośpiech, hałas, niezrozumiała krzątanina. Podczas gdy trzymała głowę swego wiatrogonu, jeden z Gliniaków wbił w jego pasiasty zad długą igłę. Omal nie krzyknęła na ten widok, ale jej wierzchowiec tylko drgnął, po czym mrużąc zasnął. Zabrała go grupa Gliniaków, którzy wyraźnie musieli zmobilizować całą swoją odwagę, żeby dotknąć jego ciepłego futra. Później musiała znieść widok igły wbijanej we własne ramię - pomyślała, że może po to, żeby wystawić na próbę jej odwagę, gdyż zdawało jej się, że nie zasnęła; pewności nie miała. Były chwile, że musiała jechać wózkami na szynach, mijając setki żelaznych wrót i sklepionych pieczar; raz wózek przejechał przez jaskinię, która ciągnęła się po obu stronach toru bez końca i cały jej mrok wypełniały ogromne stada herilorów. Słyszała ich ochryple nawoływania i widziała, jak migały w blasku lamp na przedzie wozu; potem zobaczyła je wyraźniej w białym świetle i zauważyła, że wszystkie są ślepe i bezskrzydłe. Na ten widok zamknęła oczy. Ale dalej były znów tunele i wciąż nowe groty, nowe, szare, niekształtne ciała, srogie twarze i huczące chępliwie głosy, aż wreszcie wyprowadzono ją nagle na otwartą przestrzeń. Była noc; z radością uniosła oczy ku gwiazdom i księżycowi, małemu Heliki jaśniejącemu na zachodzie. Nadal jednak otaczali ją Gliniaci, którzy kazali jej wejść po schodkach do innego wozu czy jaskini - nie umiała określić, co to jest. Wnętrze było małe, pełne małych, mrugających jak

świeczki świełek, bardzo wąskie i lśniące po wielkich, wilgotnych grotach i gwiazdzistej nocy. Znów ukłuto ją igłą i powiedziano, że musi zostać przywiązana do czegoś w rodzaju płaskiego fotela.

- Nie dam się skrępować - powiedziała Semley.

Kiedy jednak zobaczyła, że czterej Gliniaci, którzy mieli być jej przewodnikami, pozwalają się przywiązać, zgodziła się i ona. Wszyscy inni wyszli. Rozległ się ryk, potem zapanowała cisza i przygniótł ją wielki, niewidoczny ciężar. A potem nie było ciężaru, nie było dźwięków, nic.

- Czy ja umarłam? - spytała Semley.

- O nie, pani - odpowiedział głos, który się jej nie spodobał. Otworzyła oczy i ujrzała schyloną nad sobą białą twarz, grube wargi rozciągnięte w uśmiechu, oczy jak kamyki. Więzy opadły z niej, zerwała się z miejsca. Czowała się nieważka, bezcielesna, czowała się jak obłoczek strachu na wietrze.

- Nie zrobimy ci krzywdy - odezwał się ponury głos czy też głosy - ale pozwól nam się dotknąć. Chcielibyśmy dotknąć twoich włosów. Pozwól nam, pani, dotknąć twoich włosów...

Okrągły wóz, w którym się znajdowali, zadrżał lekko. Za jego jedynym oknem panowała czarna noc, a może była to mgła albo w ogóle nic? Jedna długa noc, powiedzieli. Bardzo długa. Siedziała bez ruchu, znosząc dotyk ciężkich szarych dłoni na włosach. Później dotykali jej dłoni, stóp i ramion, a raz dotknęli jej szyi: wówczas zacisnęła zęby i wstała. Gliniaci odstąpili.

- Nie zrobimy ci krzywdy, pani - powiedzieli. Potrząsnęła głową.

Kiedy dali jej znak, położyła się z powrotem w fotelu, a kiedy za oknem błysnęło złociste światło, zapłakałaby, gdyby nie to, że wcześniej zemdląca.

- Dobrze - powiedział Rocannon - że przynajmniej wiemy, kim ona jest.

- Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, kim ona jest naprawdę - mruknął kustosz. - Ona chce mieć coś, co mamy w muzeum, jeżeli dobrze zrozumiałem tych troglodytów.

- Nie nazywaj ich troglodytami - powiedział Rocannon pedantycznie; jako etnograf kosmiczny miał obowiązek przeciwstawiać się podobnym określeniom. - Nie są piękni, ale to nasi sojusznicy klasy C... Ciekawe, czemu komisja wytypowała do rozwoju właśnie ich? I to jeszcze przed nawiązaniem kontaktu ze wszystkimi istotami rozumnymi? Założę się, że komisja była z Centaura; oni zawsze popierają istoty prowadzące nocny tryb życia i jaskiniowców. Ja bym raczej postawił na gatunek II.

- Wygląda na to, że ci troglodycy są nią zachwyceni.

- A ty nie?

Ketho rzucił spojrzenie na wysoką kobietę, zaczerwienił się i wybuchnął śmiechem.

- W pewien sposób, niewątpliwie. Przez te osiemnaście lat tutaj, na Nowej Południowej Georgii, nie widziałem tak pięknej rasy. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety. Wygląda jak boginka.

Rumieniec doszedł do czubka jego łysej głowy, gdyż Ketho był nieśmiałym kustoszem i rzadko sięgał do hiperboli. Ale Rocannon skinął głową poważnie, wyrażając zgodę.

- Szkoda, że nie możemy z nią porozmawiać bez tych trog... Gdemiar jako tłumaczy. Ale nic na to nie poradzimy. - Rocannon podszedł do gościa, a kiedy zwróciła ku niemu swoją wspaniałą twarz, skłonił się bardzo nisko, przyklękając na jedno kolano z opuszczoną głową i przymkniętymi oczami. Nazywał to interkulturalnym dygiem na każdą okazję i wykonywał nie bez pewnego wdzięku. Kiedy wstał, piękna kobieta uśmiechnęła się i przemówiła.

- Ona mówić powitanie, Władco Gwiazd - zadudnił jeden z jej przysadzistych przewodników w uproszczonym języku galaktycznym.

- Witaj, pani - odpowiedział Rocannon. - Co nasze muzeum może dla ciebie zrobić?

Jej głos wzniósł się ponad dudnienie troglodytów jak powiew srebrzystego wiatru.

- Ona mówić, bardzo prosić dać z powrotem naszyjnik, własność ojców, jej ojców, dawno - dawno.

- Który naszyjnik? - pytał Rocannon, a ona zrozumiała i wskazała eksponat w centrum gabloty, przed którą stali. Była to wspaniała sztuka, łańcuch z żółtego złota, masywny, ale bardzo misternej roboty, ozdobiony wielkim, pojedynczym, jaskrawobłękitnym szafirem. Rocannon uniósł brwi, a Ketho za jego plecami szepnął:

- Ma dobry gust. To jest naszyjnik z Fomalhauta, słynne dzieło sztuki.

Semley uśmiechnęła się do dwóch ludzi i znów przemówiła do nich ponad głowami troglodytów.

- Ona mówić, o Władcy Gwiazd, starszy i młodszy opiekunowie Domu Skarbów, ten skarb jej własność. Długi, długi czas. Dziękuję.

- Jak ta rzecz do nas trafiła, Ketho?

- Poczekaj, sprawdzę w katalogu. Mam go tutaj. Dostaliśmy to od tych troglo... trollów czy jak im tam. Tu jest napisane, że mają obsesję handlową; musieliśmy pozwolić im „kupić” ten statek, AD-4, na którym przybyli. Klejnot był częścią zapłaty. To ich własna robota.

- Założę się, że nie potrafią już robić takich rzeczy, odkąd skierowano ich na drogę przemysłową.

- Wygląda, że uważają tę rzecz za jej własność, a nie swoją lub naszą. To musi być ważne, skoro poświęcili tyle czasu, żeby zająć się jej sprawą. Przecież obiektywna różnica między nami a Fomalhautem musi być niemała!

- Niewątpliwie wynosi kilka lat - powiedział etnograf, któremu nieobce były poślizgi czasowe. - Nie tak wiele. Niestety, ani *Podręcznik*, ani *Przewodnik* nie podają liczb pozwalających na dokładniejszą ocenę tej różnicy. Te gatunki ludzi nie były w ogóle porządnie zbadane. Może ci mali faceci wyświadczać jej zwykłą grzeczność, a może od tego cholernego klejnotu zależy wybuch wojny między gatunkami. Może spełniają jej zachcianki, bo uznają jej wyższość. Albo mimo pozorów ona jest ich więźniem i używają jej na wabia. Co my o nich wiemy?... Czy możesz oddać tę rzecz, Ketho?

- Tak. Wszystkie exotica są teoretycznie wypożyczone, gdyż czasem wypływają podobne roszczenia. Zwykle ustępujemy. Pokój ponad wszystko, dopóki nie wybuchnie wojna...

- Proponuję więc, żeby jej to oddać.

- Z przyjemnością - uśmiechnął się Ketho. Otworzywszy gablotę, wyjął złoty łańcuch i w swojej nieśmiałości podał go Rocannonowi, mówiąc: - Ty jej to daj.

I w ten sposób błękitny klejnot znalazł się najpierw przez chwilę w dłoni Rocannona.

Nie myślał o nim; zwrócił się z dłonią pełną błękitnego ognia i złota wprost do pięknej, nieziemskiej kobiety. Semley nie wyciągnęła do niego rąk, tylko pochyliła głowę i Rocannon założył jej naszyjnik, który zabłysnął ogniem na jej złotobrazowej szyi. Posłała znad niego spojrzenie tak przepełnione dumą, radością i wdzięcznością, że Rocannon stał bez słowa, mały kustosz zaś szeptał pośpiesznie w swoim języku:

- Bardzo proszę, bardzo proszę.

Semley skłoniła złotą głowę przed nim i Rocannonem, potem odwróciła się, skinęła swoim przysadzistym przewodnikom - a może strażnikom? - i otuliwszy się znoszonym błękitnym

plaszczem, odeszła, znikła w perspektywie długiego korytarza. Ketho i Rocannon odprowadzali ją wzrokiem.

- Mam uczucie... - zaczął Rocannon.

- Jakie? - spytał zdławionym głosem Ketho po dłuższej chwili.

- Mam czasami uczucie... wiesz, przy spotkaniach z mieszkańcami światów, o których wiemy tak niewiele... uczucie, że natknąłem się na strzęp legendy albo tragicznego mitu, których nie rozumiem...

- Tak - odezwał się kustosz, odchrząknawszy - ciekawe... ciekawe, jak ona ma na imię.

Piękna Semley, Semley złotowłosa, Semley z naszyjnikiem. Narzuciła swoją wolę Gliniakom, a nawet Władcom Gwiazd w tym okropnym miejscu, do którego zabrali ją Gliniaci, w tym mieście na krańcu nocy. Nawet oni ustąpili i chętnie oddali ze swego skarbcza jej klejnot rodzinny.

Ale wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć z nastroju tych jaskiń, gdzie skały nawisały nad głową, gdzie nie wiedziało się, kto mówi ani co się dzieje wokół, gdzie dudniły głosy i wyciągały się szare ręce... Dość tego. Zapłaciła za swój naszyjnik, bardzo dobrze. Teraz jest jej. Cena została zapłacona, co przeszło, minęło.

Jej wiatrogon wyczołgał się z jakiejś zagrody z mętnym okiem, z futrem pokrytym szronem i początkowo, kiedy już wyszli z gdemiarskich jaskiń, nie chciał wzlecieć. Teraz jakby doszedł do siebie i płynął przez jasne niebo na łagodnym południowym wietrze ku Hallan.

- Szybciej, szybciej! - przynaglała go Semley, zaczynając się śmiać, w miarę jak wiatr oczyszczał jej umysł z ciemności. - Chcę jak najszybciej zobaczyć Durhala...

Lecieli szybko i przybyli do Hallan o zmierzchu drugiego dnia. Jaskinie Gliniaków wydawały jej się zeszlórocznym złym snem, kiedy jej wiatrogon pokonywał tysiąc stopni Hallanu i Most Nad Otchłanią, gdzie las zapadał się nagle na setki metrów. W złotym świetle wieczoru zsiadła ze swego wierzchowca na dziedzińcu i resztę schodów przeszła między sztywnymi, rzeźbionymi postaciami bohaterów i dwoma strażnikami, którzy skłonili się przed nią, nie mogąc oderwać wzroku od pięknego ognistego przedmiotu na jej szyi.

W sieni zatrzymała przechodzącą dziewczynę, bardzo piękną dziewczynę, z wyglądu jedną z krewniaczek Durhala, chociaż Semley nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

- Czy znasz mnie, panienko? Jestem Semley, żona Durhala. Czy nie zechciałabyś pójść do pani Durossy i powiedzieć jej, że wróciłam?

Dziewczyna spojrzała na nią z dziwnym wyrazem twarzy, ale wyjąkała:

- Tak, pani - i pobiegła do wieży.

Semley stała, czekając w pozłacanej zrujnowanej sali. Ani żywego ducha. Czyżby wszyscy byli przy stole w Wielkiej Sali? Panowała niepokojąca cisza. Po chwili Semley ruszyła w kierunku wieży. Naprzeciwko niej śpieszyła po kamiennej posadzce stara zapłakana kobieta i wyciągając ramiona, wołała:

- Semley, Semley!

Semley cofnęła się, gdyż nigdy nie widziała tej siwowłosej kobiety.

- Kim jesteś, pani?

- Jestem Durossa.

Stała w milczeniu, bez ruchu, podczas gdy Durossa obejmowała ją z płaczem i pytała, czy to prawda, że Gliniaci schwytali ją i trzymali przez tyle długich lat pod zaklęciem, czy też może były to sztuczki Fiia? Potem, odsunawszy się na krok, Durossa przestała łkać.

- Jesteś nadal młoda, Semley. Jak w dniu, kiedy odjechałaś. I masz na szyi naszyjnik...

- Przywiozłam posag mojemu mężowi Durhalowi. Gdzie on jest?

- Durhal nie żyje.

Semley znieruchomiła.

- Twój mąż a mój brat Durhal, pan na Hallan, zginął w bitwie siedem lat temu. Władcy Gwiazd nie przyjeżdżają już więcej. Wdaliśmy się w wojnę ze Wschodnimi Zamkami, naszymi przeciwnikami byli Angyar z Log i Hul-Orren. Durhal zginął w walce przeszyty włócznią średniaka, gdyż miał marną zbroję dla ciała i żadnej dla ducha. Leży pochowany na polach koło orreńskich bagien.

Semley odwróciła się.

- Pójdę zatem do niego - powiedziała, dotykając ręką łańcucha ciężącego jej na szyi. - Zaniosę mu ten dar.

- Zaczekaj, Semley! To córka Durhala, twoja córka, piękna Haldre! Była to dziewczyna, którą Semley zatrzymała i posłała po Durossę, lat około dziewiętnastu, z oczami ciemnoniebieskimi jak oczy Durhala. Stała obok Durossy, wpatrując się tymi oczami w kobietę, która była jej matką i rówieśniczką. Były w tym samym wieku, miały takie same złote włosy i były równie piękne. Tylko Semley była nieco wyższa i miała błękitny klejnot na piersi.

- Weź to, weź to. Przywiozłam to z krańca długiej nocy dla Durhala i dla ciebie! - krzyknęła Semley, schylając głowę, żeby zdjąć ciężki łańcuch, i upuściła go na kamienie z zimnym, płynnym szczękiem. - Weź go, Haldre! - krzyknęła jeszcze raz, a potem z głośnym płaczem odwróciła się i wybiegła z Hallan. Przebyła most, potem długie, szerokie schody i jak uciekające dzikie stworzenie rzuciła się ku lasom porastającym zbocza gór. I znikła.

Pisarska kariera rozciągająca się od „Astounding” w „złotym wieku” lat czterdziestych aż do początku dziewięćdziesiątych uczyniła z nieżyjącego już Fritza Leibera postać niezastąpioną, jeśli chodzi o rozwój fantastyki naukowej, fantasy i horroru w kształcie, jaki obecnie znamy. Trudno powiedzieć, jak te gatunki wyglądałyby dzisiaj, gdyby nie Leiber - na pewno by ucierpiały. Chyba nikt inny z jego pokolenia (może z wyjątkiem L. Sprague de Campa) nie pisał w tylu różnych gatunkach co Leiber ani też nie przyczynił się w takim stopniu do rozwoju każdego z nich. To on był jednym z ojców obecnej „heroic fantasy”, a długi cykl opowieści o Fafhrdzie i Szarym Kocurze wciąż należy do najbardziej rozbudowanych i inteligentnych prac w całym podgatunku „miecza i magii” (autorstwo tego terminu też przeważnie przypisuje się Leiberowi). Napisał chyba jedne z najlepszych - a może i najlepsze - utwory z gatunku fantastyki grozy od czasów Lovecrafta i Poego. Tworzył również zmodernizowane, „nowoczesne” czy „miejskie” historie grozy, jak Smoke Ghost czy klasyczna powieść Conjure Wife (czterokrotnie sfilmowana!), na długo zanim dzieła Stephen Kinga przyniosły nam boom na horror w połowie lat siedemdziesiątych, zwracając uwagę szerokiej publiczności na ten rodzaj literatury.

Leiber był też monumentalną postacią na polu science fiction. Najpierw publikował w „Astounding” pod redakcją Campbella takie dzieła, jak Gather, Darkness, potem w „Galaxy” pod redakcją H.L. Golda, gdzie ukazała się m.in. wspaniała powieść The Big Time, wciąż jeszcze uważana za jedną z najlepszych powieści SF wszech czasów. I dalej - przez lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte w pismach i antologiach ukazywały się jego doskonale opowiadania, a obok nich wielkie powieści, takie jak Wędrowiec czy Our Lady of Darkness. The Big Time (z cyklu Change War) zasłużyło nagrodzono Hugo w roku 1959, a Leiber otrzymał jeszcze szereg innych nagród - w sumie sześć Hugo i cztery Nebule, a do tego trzy razy World Fantasy Award (w tym raz w najbardziej prestiżowej kategorii, za dorobek całego życia) i Grandmaster of Fantasy Award.

Stosunek Leibera do podgatunku space opera czy kosmicznych przygodówek był dosyć złożony i pełen sprzeczności. W hołdzie dla space opery napisał Wędrowca (nagrodzony Hugo), pełną szczerego uczucia i nostalgii do tego gatunku powieść, w której atrakcyjne, uwodzicielskie (i zdecydowanie w typie dominatrix) Tygryski z kosmosu, podróżujące statkiem wielkości planety, robią sobie w naszym Układzie Słonecznym krótki postój - w sam raz, by zniszczyć Księżyc w celu pozyskania paliwa, z katastrofalnymi następstwami na Ziemi. Jednocześnie jednak sprytnie używał oklepanych szablonów space opery, tworząc cięte, satyryczne opowiadania, takie jak The Secret Songs, w którym młodemu żonkosiovi lekomanowi pod wpływem barbituranów i paraldehydu roi się, że jego mentor, niejaki Stary Mądry Krokodyl Spoza Obłoków Magellana, poddaje go serii conocnych „testów” wprost z pulpowych space oper. Można by więc odnieść wrażenie, że Leibera raczej nużyły kosmiczne przygodówki i nie miał cierpliwości do ograniczeń narzucanych przez ten gatunek (co nie było niczym dziwnym wśród co bardziej myślących pisarzy z jego pokolenia ani też wśród młodych, radykalnych twórców, których popularność właśnie nadchodziła. Wielu z nich było pod dużym wpływem dzieł Leibera, a w sumie, jako grupa, napisali oni mniej fantastyki przygodowej niż inne, porównywalne rozmiarami pokolenia autorów). Kiedy już Leiber zabierał się do space opery, to przynajmniej uparcie odmieniał ten gatunek, często w niezwykle sposób, jak w Wiadrze powietrza {w: Rakietowe dzieci}czy surrealistycznym The Big Trek. Nie ma się więc co dziwić, że Księżyc, na który Leiber zabierze nas w poniższym

przenikliwym i przewrotnym opowiadaniu, to miejsce niepodobne do kreacji żadnego innego pisarza, a wydarzenia, jakie tam mają miejsce, są dziwne i zaskakujące, bo nawet najprostsze działania przynoszą niespodziewane konsekwencje.

Wśród innych książek Leibera warto wymienić *The Green Millennium*, *A Spectre Is Haunting Texas* i *The Silver Eggheads*, zbiory opowiadań *The Best of Fritz Leiber*, *The Book of Fritz Leiber*, *The Worlds of Fritz Leiber*, *Changewar*, *Night's Dark Agents*, *Heroes and Horrors*, *The Secret Songs*, *The Night Monsters*, *The Mind Spider* i *The Ghost Light*, jak też siedem tomów przygód *Fafhrda i Szarego Kocura*. Większość tych książek już nie jest drukowana, ale cykl o *Fafhrdzie i Szarym Kocurze* doczekał się obecnie wznowienia w kompletnej wielotomowej edycji wydawnictwa *White Wolf Borealis*. Pierwsze dwa tomy to *I'll Met in Lankhmar* {po polsku pierwszy tom cyklu wydano jako *Miecze i ciemne siły*} i *Lean Times in Lankhmar*, a ostatnio ukazała się antologia typu „w hołdzie Mistrzowi” zatytułowana *Return to Lankhmar*.

Fritz Leiber

POJEDYNEK

Pierwszą oznaką, że przyuważył nas *crusoe*, było ciche „pyk”, które przeniosło się do mojego kombinezonu z obudowy miniradaru. Właśnie wesoło targaliśmy go z Pete'em na stanowisko przy wschodnim skraju krateru Gioja, skąd miał skanować okolicę w poszukiwaniu wraków, śmiecia i rud metali.

Potem był świst, urwany, gdy tylko ręka Pete'a puściła przysadziste urządzenie. Jego rękawica, pobłyskująca srebrem w ostrym podbiegunowym świetle nisko wiszącego Słońca, przesuwiała się powoli, jakby jej właściciel nabrał lekkiego niesmaku do tego, cośmy tu razem robili. Wciąż jeszcze obracałem głowę, by ujrzeć cały połyskliwy tył jego hełmu rozerwany w widowiskowej i obrzydliwej eksplozji, a mgiełka rozpylonego mózgu i krwi opadała już powoli w próżni jak drobny czerwony śnieg.

Wtedy nastąpiło głośnie „puk” i drgnięcie mojej rękawicy, gdy druga kula *crusoe* trafiła miniradar, ale mój wzrok powędrował już tam, gdzie patrzył Pete, gdy oberwał - w samą porę, by zobaczyć zieloną igiełkę wystrzału z broni tamtego we wgłębieniu w niskim wale krateru Gioja, tam gdzie przebiegała wystrzępiona granica między czernią pozostających w cieniu skał a gwiazdami, wyglądającymi jak klejnoty. Zdjąłem z ramienia mojego swifta {*uniwersalny karabinek próżniowy; nazwa pochodzi od naboju kal. 0,22 cala, produkowanego już od 1940r. przez zakłady Winchestera, Remingtona i Norma, z fabrycznym ładunkiem prochowym nadającym pociskowi prędkość wylotową 1262 metrów - tak, ponad kilometra - na sekundę*}, robiąc jednocześnie unik - długi krok w bok - i strzeliłem trzy razy. Pierwsze dwa rozpryskowe musiały pójść ciut za wysoko, ale trzeci dał na moment śliczną fioletową kulę wybuchu u podnóża tego wyłobienia. Nie zobaczyłem tam sylwetki - całej czy w kawałkach, srebrzystej czy nie, na wale krateru czy już na koronie, no, ale *crusoe* miewają kombinezony-kameleony, a w większości poruszają się bardzo żwawo.

Skafander Pete'a wciąż powoli i sztywno walił się na twarz. Ze trzydzieści metrów za nim była szeroka czarna rozpadlina, choć tak naprawdę nie mogłem ocenić jej rozmiarów, bo przeciwległa krawędź ginęła w cieniu, jaki rzucał wał krateru. Myknąłem tam jak mysz do dziury. Na trzecim kroku capnąłem Pete'a za pas narzędziowy i rurę tlenową, zanim jeszcze zarył przodem kombinezonu w sproszkowany pumeks, i powlokłem go za sobą. Jakaś wolniejsza czy zanadto wytresowana część mojego mózgu jeszcze nie przyjęła do

wiadomości, że Pete nie żyje.

Wtedy zacząłem sunąć, utrzymując także własne ciało raptem kilka centymetrów nad pyłem i odpychając się nogami od skalnych występów, które zeń wystawały - jakbym pływał w płetwach. Crusoe nie przewidział takiej wariackiej kaskaderki, która przynajmniej oszczędziła mi tej sennej powolności tradycyjnych księżycowych biegów z wysokimi podskokami - wtedy byłbym jak cel na strzelnicy, a tak zielony rozbłysk z tyłu obsypał mój tyłek i buty wyrzuconym pyłem. Gość dał za małą poprawkę na prędkość ofiary. Wiedziałem już także, że ma do dyspozycji pociski rozpryskowe, a nie tylko kule.

Trzy sekundy potem nurkowałem właśnie do szczeliny, gdy but Pete'a solidnie zahaczył o ostatni skalny występ. To coś w moim mózgu nie straciło na uporze, więc trzymałem się Pete'a, jakbym zamiast dłoni miał obcęgi, i zrobiłem zgrabny łuk zakończony szarpnięciem. Jak się okazało - na szczęście, bo pięć metrów przede mną rozpałała się jasna kula, ze dwa metry średnicy, coś jakby gigantyczny robaczek świętojański rozjarzył się zniecka, ale brutalniej. Niewidoczne w niemal próżni czoło eksplozji walnęło mnie na tyle mocno, że kombinezon zadudnił, a powietrze wewnątrz wymierzyło mi policzek. A więc niektóre z pocisków crusoe miały zapalniki reagujące na bliskość metalu - jego ojczysta planeta musiała być naprawdę niezła w miniaturyzacji.

Zanim bladozielony rozbłysk znikł, dojrzałem dno szczeliny - dziewięćdziesiąt metrów niżej, całe pokryte pyłem, jak w dziewięćdziesięciu procentach przypadków. Pomodliłem się, żeby pył był dosyć głęboki. Zdażyłem kciukiem wcisnąć przycisk Sytuacji Awaryjnej - statek miał automatycznie przesłać sygnał dalej, do Circumluny. Potem krawędź szczeliny zasłoniła mi statek i leniwie opadłem z blasku w błogosławioną ciemność, wyłączając światła wskaźników w hełmie - nawet one pomogłyby tamtemu wycelować. Lampki Pete'a zgasła kula.

Na upadek potrzebowałem dziesięciu, może dwunastu sekund, a przeciwległa krawędź szczeliny nie zasłaniała wyszczerbionej krawędzi krateru. Jakbym widział lufę opadającą wraz ze mną - crusoe musiał znać przyśpieszenie księżycowe, to nędzne półtora metra na sekundę kwadrat. Czułem jego mackę, palec, szpon, nibynóżkę czy co tam miał, zaciskającą się na spuście czy wduszającą przycisk. Z całej siły odepchnąłem Pete'a od siebie, równoległe do ściany szczeliny. Jeszcze trzy, cztery sekundy i znów kombinezon zrobił „łup”, a mną szarpnęło, gdy kolejna zielona flara ukazała równo zasypane dno szczeliny, coraz żwawiej zmierzające w moją stronę. Ten rozbłysk był półkulisty - pocisk wybuchł na ścianie - ale jeśli sypnęło odłamkami skały, to żaden z nich mnie nie trafił. Crusoe trafił dokładnie w środek odcinka dzielącego mnie od srebrzystej trumny Pete'a. Ten gość naprawdę znał się na broni i księżycowych warunkach. Podziwiałem go, nawet jeśli moje pchnięcie wystarczyło (zasada akcji i reakcji), byśmy wraz z Pete'em opuścili linię strzału. Zaraz potem krawędź szczeliny przesłoniła zbocze krateru, a ja szykowałem się do lądowania jak trójnogi krab, ze swiftem znów przewieszonym przez ramię, a drugą ręką zaciśniętą na przypiętych do pasa rakietach pyłowych.

Jedenastosekundowy upadek na Lunie zająłby na Ziemi raptem ciut ponad dwie sekundy, ale i tak przyłożyłem w pył z prędkością ponad piętnastu metrów na sekundę. Wstrząs był mocny, lecz dzięki Bogu nie nadziałem się na żadną skałkę. Pył przykrył mi wszystkie kończyny i przód kombinezonu, włącznie z szybą hełmu - gdy znów włączyłem światła, zobaczyłem tylko szarość, drobnoziarnistą jak mąka.

Szarpałem się w tym paskudztwie, jakby to faktycznie była mąka, odpinając rakiety

pyłowe. Podparłem się na nich i wydobyłem z pyłu drugą rękę i hełm. Fajnie było zobaczyć gwiazdy, nawet zakurzone. Z rakieta pod każdą dłonią wydobyłem na wierzch nogi i balansując na tym osypującym się świństwie, przypiąłem sobie rakiety do butów. Wtedy wstałem i włączyłem reflektorek na hełmie. Cholerna rzecz. Chciało mi się to robić tak samo, jak tropionemu zwierzęciu chce się łamać patyki czy wychodzić na otwartą przestrzeń, ale wiedziałem, że na znalezienie kryjówki mam tylko tyle czasu, ile tamtemu zajmie bieg od wału krateru do krawędzi szczeliny. Większość z nich naprawdę szybko dyga, tak się palą do zabijania.

Cóż, to my zaczęliśmy zabijać, powiedziałem sobie. Tak wypadło, że tym razem polują na mnie.

Światło reflektorka złośliwie połyskiwało na srebrzystym kombinezonie Pete'a - jego trumnie, rozciągniętej na dnie szczeliny i w siedmiu ósmych pokrytej pyłem. Wyglądał, jakby unosił się w wodzie na plecach. Omiotłem światłem szczelinę. Przeciwległa ściana była niemal całkiem gładka, raptem parę półeczek i pęknięć, żadnej przewieszki, pod którą mógłbym się ukryć. Ale po mojej stronie szczeliny część ściany, ze czterdzieści metrów dalej, była cała podziurawiona i pokryta pęcherzami - kiedyś, dawno temu lava pieniała się tu obficie w słabym przyciąganiu Księżyca. Wycelowane ciałem w środek tej części ściany i ruszyłem naprzód. Wyłączyłem reflektorek, kierowałem się widocznymi gwiazdami.

Na raketach pyłowych chodzi się praktycznie tak samo jak na śnieżnych, wysoko unosząc nogi i krocząc dostojnie. Odezwiała się we mnie nostalgia, ale zwierzyna łowna nie ma czasu na takie cymeszy.

Nagle w górze zrobiło się jaśniej i bardziej czerwono, niżby to dały gwiazdy. Wąski pasek skały u szczytu szczeliny rozpałił się oranżem, dalej zaś wystające części korony krateru jarzyły się jak czynne wulkany. Światło z tego pomarańczowego pasa w kilku refleksach od ściany do ściany dotarło na dno mojej rozpadliny, więc znów, choć niewyraźnie, dojrzałem dziury, ku którym szedłem.

Crusoe skasował nasz statek - oba zbiorniki były blisko siebie, więc rozgrzane słońcem gazy, połączone w eksplozji, zapłonęły jak setka palników. Oksyanylina paliła się tak długo, że zdążyłem dotrzeć do otworów w ścianie. Wpełzłem w ten największy. W gasnącej poświacie przelotnie zobaczyłem skalny pęcherz, ze trzy i pół metra średnicy, z drugą dziurą z tyłu. Skała wyglądała na czarną, w dotyku była szorstka, lecz twarda jak diament. Zaryzykowałem spojrzenie wstecz.

Lśniaca wstęga była już ciemnoczerwona; szkielet naszego statku wciąż się żarzył. Nagle na środku wstęgi błysnęła zieleń - zatruty sztylecik światła - i zaraz potem kolejny wielki bladozielony świetlik rozjarzył się tam, gdzie leżał Pete. Po raz czwarty ocalił mi życie.

Ledwie zdążyłem rakiem wrócić do otworu, gdy nastąpił kolejny zielony rozbłysk, tuż za ścianą, tym razem bardzo jasny. Czoło eksplozji znów mnie walnęło, a przez skałę słyszałem słabe pobrząkiwanie kawałków skafandra Pete'a o ścianę, choć może było to dzwonienie wciąż rozlegające się po tym bliższym strzale w moim skafandrze - albo w uszach.

Przez tylny otwór pęcherza wgramoliłem się do pomieszczenia, które po rozpoznaniu na czworakach okazało się kolejnym bąblem, przypominającym ten pierwszy włącznie z tylnym wyjściem. Przeszedłem przez ten, trzeci już, otwór, obróciłem się i oparłem lufę swifita na nierównym progu. Skoro crusoe tu mieszkał, na pewno znał teren lepiej ode mnie. Więc po co brnąć dalej - żeby się zgubić? Według wskaźników minęło jakieś półtorej minuty od czasu, gdy Pete kopnął w kalendarz. A ja miałem szczelny skafander i tlen, i ogrzewanie na cztery

godziny. Circumluna powinna wyrobić się w czasie o połowę krótszym z przysłaniem tu grupy ratunkowej, jeśli moja wiadomość do nich dotarła - i jeśli Crusoe ich też nie skroi. Znowu zdjął mnie strach o blask lampek w hełmie, więc je wyłączyłem. Zmieniłem ułożenie ciała i nagle się przestraszyłem, że Crusoe już mnie namierza po dźwiękach przenoszonych przez skałę, więc zastygłem jak żona Lota i zacząłem sam nasłuchiwać.

Bez światła, bez dźwięku, grawitacja jak piórko - prawie jak test na odporność psychiczną w komorze anechoicznej. Niemal od razu przyszły zawroty głowy i złudzenia, napływające w błękicie, płomieniu i jękach z obrzeży moich zmysłów. Nawet czajenie się w zasadzce na tamtego ich nie powstrzymywało - więc chyba sam ich pragnąłem. I tak wyężdżając wszystkie zmysły, by mnie uprzedziły o nadejściu Crusoe, zacząłem w końcu o nim myśleć.

Dziwna rzecz - ludzie od tysięcy lat patrzyli na Księżyc i nigdy nie odgadli, że jest dokładnie tym, na co wygląda: bladym, marmurowym cementarzyskiem pełnym żywych trupów, Tortugą kosmosu, gdzie srebrzyste statki z miliona światów porzucały swoich buntowników, zatwardziałców, zbrodniarzy, szaleńców. Nie można było ich zostawić na płodnej, ciepło otulonej Ziemi, której dziwacznych mieszkańców tacy goście mogliby skrzywdzić, ale wielka srebrzysta skała, nasz satelita znakomicie się do tego nadawał. Tam furia mieli swoje samotne życie, każdy z kombinezonem, bronią i samotnym baraczką czy jaskinią, żyjąc na przetwarzanych odchodach i również w nieskończoność mielonych urazach, gorzkiej wściekłości i urojeniach, które ich tu przywiodły. Bywało ich tu do tysiąca, dosyć, by drążyć Księżyc w poszukiwaniu gazów paliwowych i tego, co potrzeba, by żyć, by powrócić w kosmos i może nawet stać się władcami Ziemi - gdyby zgodzili się ze sobą współpracować. Ale zostali tu porzuceni właśnie dlatego, że nie dało się z nimi współpracować, a poza tym pochodzili z setek przeróżnych galaktycznych ras. Mieli więc jakąś elektroniczną, psioniczną czy pies wie jaką siatkę łączności - w każdym razie, jeśli coś się stało jednemu z nich, rychło wiedzieli to pozostali - ale każdy pozostawał samotnym Robinsonem Crusoe, bez Piętaszka. Stąd nazwa.

Zaryzykowałem błysnięcie światełka zegarka. Minęło raptem trzydzieści sekund. W tym tempie upłynie wieczność, zanim miną dwie godziny potrzebne na dotarcie pomocy, jeśli w ogóle otrzymano moją wiadomość - podczas gdy Crusoe... Znowu wyężdżyłem zmysły, by nie dać się zaskoczyć, ale wir myśli nie ustawał.

Ziemianie zabili pierwszego napotkanego Crusoe - moment paniki, zamieszania i wszystkie szkolenia szlag trafił. Od tej pory to oni strzelali pierwsi, a przynajmniej próbowali, ignorując spóźnione próby nawiązania kontaktu.

Przez, jak mi się zdawało, krótką chwilę rozważałem odwieczny problem uniwersalnego kodu galaktycznego, ale gdy znowu na moment włączyłem lampkę zegarka, diabli wzięli siedemdziesiąt minut.

Naprawdę mnie zatkało. Miał dość czasu, by mnie podejść i zabić z dziesięć razy - miał czas, by pójść do domu po pieski! - przecież same zmysły nie mogły mnie tak dobrze chronić, gdy myślałem o niebieskich migdałach. Nawet teraz, wyężdżając słuch w strachu, odbierałem tylko własny biały szum: łomot serca, dudnienie krwi, a chyba przez moment nawet ruchy Browna cząsteczek powietrza obijających się o bębniaki uszu.

Jednego nie zrobiłem, tak sobie powiedziałem. Nie myślałem o tamtym w sposób uporządkowany.

Miał broń zblizoną do mojej i co najmniej trzy rodzaje pestek.

Z wału krateru do krawędzi szczeliny dotarł w czterdzieści sekund albo i mniej. Albo

bardzo żwawo dyga na swoich nóżkach, ile by ich tam miał, albo ma plecak odrzutowy czy coś w tym stylu.

I najpierw strzelił do miniradaru, a potem do mnie. Myślał, że to środek łączności? Broń? A może jakiś robot, równie niebezpieczny jak ludzie?

Tętno mi opadło, przestało huczeć w uszach - i w tej chwili usłyszałem przez skalę bardzo ciche skrobanie.

Zgrzyt-zgrzyt, zgrzyt-zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt - tak to szło, za każdym razem ciut głośniejsze.

Włączyłem reflektorek - i oto w moją stronę po podłodze bąbla sąsiadującego z moim zasuwiał srebrny pająk wielkości półmiska, o czterech jarzących się ślepiach i z zieloną wstęgą wokół tułowia. Jego zwisające szczęki wyglądały jak użębione i zastrzone cęgi.

Rzuciłem się w tył, odruchowo pociągając za spust. Pęcherz, w którym był pająk, wypełnił fioletowy rozbłysk, natychmiast zastąpiony zielonym. Dwie eksplozje powaliły mnie na podłogę.

Nie żeby mnie to spowolniło. W tych rozbłyskach ujrzałem otwór w sklepieniu mojego bąbla i jak tylko stanąłem na nogi, skoczyłem do jego krawędzi.

Dobrze, że pamiętałem, by skakać ostrożnie. Prawą ręką złapałem krawędź otworu, która się nie urwała, i podciągnąłem się do czarnego bąbla piętro wyżej. Nie miał on wyjścia na szczycie, ale były dwa otwory wysoko w ścianach, więc ruszyłem przez wyższy z nich.

I tego się już trzymałem. Te wielkie bąble lawy były niemal identyczne. Zawsze wybierałem najwyżej położone wyjście. Raz trafiłem na ślepy pęcherz i musiałem się cofnąć. Potem najpierw zaglądałem, a dopiero wtedy się gramoliłem. Cały czas miałem włączony reflektor.

Sforsowałem siedem czy siedemnaście pęcherzy, zanim ochłonałem na tyle, by przemyśleć to, co się stało.

Prawie na pewno ten pająk nie był crusoe - chyba że był ich z pluton, a giwerę holowały za sobą jak haubicę. Raczej nie był to też uprzednio nieznaną nauce, teoretycznie niemożliwy, żyjący w próżni stawonóg - w przeciwnym wypadku egzobiologom kroić się potężna niespodzianka, a ja słusznie zlałem się w spodnie. Nie, najprawdopodobniej był to jakiś robot tropiący albo tropiąco-bojowy. Osiem nóg to przydatna liczba, osiem rąk też. A szczęki? Do przegryzania kombinezonów? Może był to cybernetyczny towarzysz dla samotnych istot. Pająk, do nogi!

A ten drugi wybuch? Albo crusoe strzelił w pęcherz z drugiej strony, albo pająk miał ładunek wybuchowy, który miał eksplodować w kontakcie ze mną. Ładne zastosowanie dla towarzysza życia! Zachichotałem. Ulżyło mi, że ten pająk był zapewne „tylko” robotem.

Właśnie wtedy - byłem w dziewiątym, a może dziewiętnastym pęcherzu - całe wnętrze mojego hełmu zaszło parą. Sapałem, pociłem się, aż wreszcie przeciążyłem pochłaniacz wilgoci. Jakbym wlaź w mgłę gęstsza od mleka. Ledwie widziałem czarną masę ściany za plecami. Zgasiałem reflektor. Zegar wskazywał, że upłynęły siedemdziesiąt dwie minuty. Wyłączyłem jego światełko i zrobiłem bardzo dziwną rzecz.

Bardzo delikatnie odchyliłem się tak, by największą możliwą powierzchnią skafandra dotykać ściany. Wtedy dziesięć razy uderzyłem rytmicznie w skalę kolbą swifta i zastygłem w bezruchu.

Zacząć od dziesięciu, na znak, że używamy systemu dziesiętnego. Jasne, że były inne możliwości, ale...

Ledwie dosłyszałem sześć uderzeń, w tempie takim, jak moje.

Która stała zaczyna się od szóstki? Gdyby zaczął od trójki, stuknąłbym raz, i tak dalej przez parę kolejnych cyfr pi. Jeśli od jedynki, oddałbym cztery - i potem się martwił o to, co jest na drugim i trzecim miejscu po przecinku w pierwiastku z dwóch. A może jego sygnał był początkiem ciągu arytmetycznego o kroku minus cztery, więc powinienem odstukać dwa razy - ale jak on nada minus dwa? Ech, czemu nie zabrałem się po prostu za liczby pierwsze? Zgoda, wszystkie liczby całkowite, ba, wszystkie liczby rzeczywiste, od trzydzieści siedem do czterdzieści osiem mają pierwiastki zaczynające się na sześć, ale która z nich...? Nagle usłyszałem skrobanie.

Znów włączyłem reflektor, hełm już został oczyszczony z pary, a poza mną w bąblu nie było nikogo.

Tak czy inaczej ruszyłem dalej, wciąż kierując się ku górze, jeśli tylko mogłem. Tyle że teraz nie wszystkie otwory tak prowadziły. Było mniej więcej dwa razy w dół i raz w górę, taki zygzak pęcherzy. Chciałem się cofnąć, ale wtedy mógłbym znów usłyszeć skrobanie. W pewnym momencie bąble zaczęły być coraz mniejsze. Jakbym wlał w zakrzepłe czarne mydliny. Straciłem wszelkie poczucie kierunku, a pomału też wycucie, którądy do góry. Księżycowa grawitacja nie wystarczała do pokonania psychotycznego otępienia. Wciąż miałem włączony reflektor, mimo pewności, że jego blask widać co najmniej na dziesięć bąbli. Przed wejściem do każdego kolejnego pęcherza dokładnie go oglądałem, szczególnie przypatrując się nawisowi ściany tuż nad otworem wejściowym.

Co jakiś czas słyszałem, jak ktoś mówił: Sześć! Sześć? Sześć! - właśnie tak - a potem bardzo szybko: siedem, osiem, dziewięć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero. Jak wystukuje się zero w systemie dziesiętnym? W końcu to rozgryzłem - stuka się dziesięć razy. Trafiłem do bąbla, który miał z boku dziurę średnicy ponad metr, na szczycie obrębioną diamentami. Wielki szyk. Czyżby buduar pajęczej księżniczki? Był też otwór w suficie, ale nie zawracałem nim sobie głowy - nie miał ozdóbek. Wyłączyłem reflektor i wyjrzałem przez otwór, nie wystawiając przezeń kasku. Te „diamenty” to były gwiazdy. Trochę mi zeszło, zanim dojrzałem krawędź szczeliny, w którą zanurkowałem, raptem trzydzieści metrów nade mną. Dalej wał krateru wyglądał jakby znajomo, ale nie byłem pewien, czy widzę to właściwe wyźłobienie. Zanim wyłączyłem światełko zegarka, zobaczyłem, że upłynęło sto osiemnaście minut. Niemal pora, by oczekiwać nadejścia pomocy. Po prostu świetnie - ich statek będzie jak nieruchomy cel dla crusoe, którego się nie spodziewają. Przecież poza sygnałem Sytuacji Awaryjnej nic nie zdążyłem nadać.

Przysunąłem się bliżej i usiadłem w oknie - jedna noga na zewnątrz, swift pod lewym ramieniem. Od pasa odpiąłem granat błyskowy z zapalnikiem na pięć sekund, wyciągnąłem zawleczkę i rzuciłem go przez rozpadlinę, niemal do przeciwległej ściany.

Spojrzałem w dół, wraz ze wzrokiem kierując tam lufę swifta. Rozpadlina rozjarzyła się jak promenada nocą. Wiedziałem, że po drugiej stronie szczeliny z ospałą powolnością opada flara, ale nie tam patrzyłem. Dokładnie pode mną, sześćdziesiąt metrów niżej, zobaczyłem przejrzysty hełm okrywający coś owalnego, zielonego i zwieńczonego grzebieniem, a pod nim parę ramion.

Właśnie wtedy też usłyszałem drapanie - całkiem niedaleko. Natychmiast strzeliłem. Pocisk wybuchł fioletem i wzbił fontannę pyłu sześć metrów od crusoe. Wgramoliłem się z powrotem do bąbla, włączając reflektor. Z naprzeciwka zbliżał się kolejny pajak, szybko przebierając nogami. Skoczyłem do otworu w suficie, łapiąc jego krawędź wolną ręką.

Gdybym potrzebował drugiej dłoni, upuściłbym swifta, ale się obeszło. Podciągając się przez otwór, zerknąłem w dół i zobaczyłem, jak pająk podkurcza nogi. Zaraz potem je wyprostował i skoczył ku mnie, nie za szybko, ale przy wątłym przyciąganiu Księżyca wystarczająco, by impet zaniósł go do mojego bąbla. Wiedziałem, że nie mogę dać mu się dotknąć ani sam nie mogę go uderzyć. Zacząłem wymieniać nabój rozpryskowy w komorze na zwykłą kulę, a opasany zielenią kadłub pająka rósł w oczach, gdy w oknie poniżej pojawił się zielony rozbłysk, a jego podmuch, znów robiąc „łup” w moim skafandrze, zepchnął pająka z toru lotu i mojego pola widzenia, zanim to bydlę zdążyło przelecieć przez otwór w podłodze. Pająk jednak nie wybuchł - jeśli to wybuch załatwił tego pierwszego. W każdym razie nie było kolejnego zielonego błysku.

Pęcherz, w którym teraz byłem, też miał otwór w suficie, więc powtórzyłem manewr z poprzedniego bąbla - i tak przez pięć kolejnych. Pomyślałem sobie, że zaczyna to przypominać popisy cyrkowe, tylko kto by urządzał widowiska w totalnym mroku? Chyba jedynie bogowie, zsyłając nam sny. Lawa powinna być przezroczysta, żeby widzowie mogli mnie podziwiać ze wzniesień wału krateru.

Jednocześnie myślałem też o tym, że skoro człekokształtne dwunogi sprawdzają się jako średniej wielkości formy życia na wszelkich planetach, to forma pająka sprawdza się u mniejszych istot i można ją kopiować w robotach.

Otwór na szczycie szóstego pęcherza odsłonił mi gwiazdy, a połowa jego krawędzi lśniła białym blaskiem słońca.

Położyłem się na skale, by odetchnąć. Wyłączyłem reflektor. Nie słyszałem drapania.

Gwiazdy. Gwiazdy to energia. Wypełniały wszechświat światłem, poza rozrzuconymi plackami cienia i kryjówkami.

Wtedy przyszła do mnie liczba. Kolbą swifta wystukałem pięć. Bez odpowiedzi, ale i bez skrobania. Znów stuknąłem pięć razy.

Ledwie dosłyszałem odpowiedź. Również pięć uderzeń.

Sześć, pięć, pięć - stała Plancka, niezmienny kwant energii. Jasne, powinna być razy dziesięć do minus dwudziestej dziewiątej, ale nie miałem pojęcia, jak to wystukać, a poza tym liczyły się tylko cyfry znaczące.

Usłyszałem drapanie...

Podskoczyłem, uchwyciłem krawędź, wyciągnąłem się na porażający blask słońca... i zastygłem z połową ciała w otworze.

Trzydzieści metrów dalej, też do połowy w dziurze, twarzą do mnie był mój crusoe z zielonym grzebieniem na czaszce. Musiał bardzo szybko wspiąć się inną odnogą bąbli - no, ale on znał najlepsze trasy. Na jego twarzy w miejscu nosa było trzecie oko, co w połączeniu z grzebieniem nadawało mu wygląd istoty mitycznej. I jego, i mój karabinek celowały w niebo.

Wyglądaliśmy jak para potępieńców, na wpół zakopanych w swoich dziurach w piekle Dantego.

Bardzo powoli wygramoliłem się z mojego otworu, wciąż pionowo trzymając broń. On zrobił to samo.

Przez chwilę staliśmy całkiem bez ruchu. Potem on stuknął kolbą dziesięć razy. Wiedziałem to, i czułem wibracje w skale.

Uderzyłem trzy razy. Wtedy, jakby świat czarnych bąbli był jednym poziomem egzystencji, a ten - innym, zacząłem się zastanawiać, po co nam te zabawy. Obaj wiedzieliśmy, że nasz przeciwnik ma kombinezon i broń (i własny grajdołek?), wiedzieliśmy więc, że obaj jesteśmy

istotami inteligentnymi i znamy matematykę. Cóż więc było tak cennego w tym postukiwaniu?

Uniósł broń - pewnie po to, by uderzyć jeden raz, zaczynając pi.

Ale tego nigdy się nie dowiem, bo właśnie wtedy na ścianie rozpadliny, całkiem blisko niego, nastąpiły dwa fioletowe rozbłyski.

Zaczął kierować lufę broni w moją stronę. Przynajmniej tak sędzę. Musiał wiedzieć, że moje pociski wybuchały na fioletowo. Ja sam myślałem wtedy, że to ktoś z naszych zaczął strzelać. I najwyraźniej pomyślałem też, że crusoec chce mnie zastrzelić - bo z lufy swifta bryznął fioletowy płomyk, poczułem kopnięcie odrzutu, a tam, gdzie on stał, rozkwitła fioletowa kula i za moment jakiś strzęp lekko pacnął mnie w pierś, jakby beztroski, ironiczny dotyk.

Rozerwało go naprawdę w drobiazgi, włącznie ze wszystkimi stałymi, w tym - bez dwóch zdań - stałą Plancka.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim przybył statek ratunkowy z Circumluny. Czekając, patrzyłem na Ziemię, wiszącą nisko nad horyzontem, i uważałem, żeby nie podkraść się do mnie pająk, ale już go nie zobaczyłem. Grupa ratunkowa zresztą też nie, choć urządzili sobie regularne polowanie. Pomogłem im, kiedy już odsapnąłem nieco, podładowałem baterie i uzupełniłem tlen. Albo po śmierci pana pająkowi odcięło zasilanie albo był ustawiony w takiej sytuacji na blokadę, a najpewniej w ogóle zaprogramowano go na przejście do ukrywania się. Jak nic, wciąż tam czeka na nieostrożnego Ziemianina, jak grzechotnik na pustyni albo stara, zapomniana mina.

Gdy tak czekałem w kraterze Gioja, tam, pod biegunem północnym, na krawędzi krateru Shackletona, wpadło mi też do głowy wyjaśnienie tych fioletowych rozbłysków, które zakończyły moje przyjacielskie pogaduszki o matematyce z crusoem. Na inną teorię jeszcze nie wpadłem, choć ta może zwalić z nóg. To były te dwa pociski, które jako pierwsze posłałem w jego kierunku - te, które nie trafiły w wal krateru. Miały dosyć prędkości, by wejść na orbitę wokół Księżyca, a czas, jaki im zajęło jedno okrążenie - dwie godziny i pięć minut - też by się zgadzał.

Ech, konsekwencje naszych dawnych czynów!

Podobnie jak kilku innych pisarzy, nieżyjący już Roger Zelazny zaczął publikować w 1962 roku na łamach „Amazing”, magazynu Cele Goldsmith. Tworzyli tak zwaną Klasę '62, do której należał również Thomas M. Disch, Keith Laumer i Ursula K. LeGuin. Wszyscy z tej klasy w końcu zdobyli uznanie, ale niektórzy szybciej od innych, a późniejsza kariera Zelaznego należy do najbardziej meteorycznych w historii SF. Pierwszym jego opowiadaniem, które przyciągnęło powszechną uwagę, była Róża dla Eklezjastesa, opublikowana w 1963 roku (później wybrana głosami członków SFWA jako jedno z najlepszych opowiadań fantastycznonaukowych wszech czasów). Pod koniec tej dekady Zelazny zdobył dwie nagrody Hugo i dwie Nebule oraz powszechnie uznano go za jednego z dwóch najważniejszych amerykańskich pisarzy SF lat sześćdziesiątych (drugim był Samuel R. Delany). Jego słynna powieść Pan Światła należała do najbardziej znanych, okrzyczanych i wywierających potężny wpływ powieści w tamtej epoce. Chociaż jego sława jako ważnego autora fantastyki naukowej pod koniec lat siedemdziesiątych nieco przygasła, długa bestsellerowa seria powieści o zaklętej krainie Amber - zapoczątkowana Dziewięcioma książętami Amberu - przyniosła mu ogromną popularność jako pisarzowi fantasy i zainspirowała powstanie fanklubów i fanzinów na całym świecie.

Wczesne powieści Zelaznego, jak Ja nieśmiertelny i Pan snów, ogólnie zostały dobrze przyjęte, lecz dopiero mocne i oryginalne stylistycznie opowiadania, które publikował w magazynach „FSF”, „Amazing” i „Worlds of If” w połowie lat sześćdziesiątych, zelektryzowały cały gatunek i właśnie te wczesne opowiadania - jak Jedna chwila burzy, Cmentarzysko serca, Psychouczestnik, Klucze do grudnia, Z każdym moim oddechem i Ta śmiertelna góra - ugruntowały pozycję Zelaznego jako giganta i są uważane przez wielu za jego najlepsze utwory. Opowiadania te wciąż zadziwiają pomysłowością, werwą i elegancją, dobroduszną bezczelnością i łatwą ostentacją, ryzykowną elokwencją balansującą na granicy katastrofy, wdziękiem i odwagą, z jaką autor przerzuca się od kwiecistej pseudospenserowskiej prozy do cwaniackiego chandlerowskiego slangu, od rozbuchanej poetyki do hemingwayowskiej surowej prostoty na przestrzeni zaledwie kilku linijek - i sprawia, że to wszystko wydaje się mu przychodzić łatwo i bez wysiłku, stosując ten sam rodzaj iluzji, jaką tworzył w tańcu Fred Astaire.

W przeciwieństwie do swoich kolegów Zelazny nigdy nie stracił zapału do przygodowych kawałków z szybką akcją, co między innymi przyćmiło jego reputację w latach siedemdziesiątych, kiedy wciąż publikował rzeczy, które wrogo nastawieni krytycy odrzucali jako „rutynowe kosmiczne przygody” w czasach, które wymagają od pisarzy utworów bardziej ambitnych i poważnych. Jednak Zelazny nigdy nie tworzył „rutynowych przygód” - niektóre jego książki z tego okresu okazały się słabsze w porównaniu z resztą dorobku, ale nawet w najslabszych czytelnik mógł liczyć na pomysłowość, koloryt, rozmach, zawikłane intrygi, niezwykle postacie... i oczywiście szybką akcję.

Inspiracją dla poniższego słynnego opowiadania, jak również dla jeszcze słynniejszej Róży dla Eklezjastesa, była wyraźna tęsknota za epoką pulpowej fantastyki przygodowej, jaka w powszechnej opinii właśnie dobiegła końca. Pisząc to opowiadanie, Zelazny doskonale wiedział, że Wenus wcale nie wygląda jak ziemiopodobna planeta z ogromnymi oceanami, pełnymi potężnych pływających stworzeń w rodzaju dinozaurów; wiedział również, że na Marsie prawdopodobnie nie ma żadnych kanałów ani dekadencjonalnej, starożytnej, dogorywającej rasy obcych - zatem te opowiadania, nadal przedstawiające romantyczną pulpową wersję obu planet spopularyzowaną dużo wcześniej przez „Planet

Stories” i „Thrilling Wonder Stories”, można potraktować jako hołd, jako świadomy akt nostalgii za tymi ukochanymi światami, napisany w ostatniej chwili, zanim pojawią się twarde i niepodważalne dowody - nadesłane przez sondy kosmiczne, które wylądowały na obu planetach zaledwie parę lat później - i wykażą absolutny fałsz tych jaskrawych, melodramatycznych, bajecznie kolorowych pulpowych wizji Wenus i Marsa. Później przez długi czas uważano, że nie można już napisać żadnej przygodowej historii rozgrywającej się na planetach Układu Słonecznego - które postrzegano jako jałowe, pozbawione życia kamienne kule (zwłaszcza kiedy pierwsza misja lądownika „Viking” w 1976 roku nie znalazła żadnych śladów życia w glebie Marsa), równie mało romantyczne i interesujące jak wybetonowany parking, niezapewniające odpowiedniej scenerii nawet dla prostej fabułki, nie mówiąc już o barwnych przygodach w stylu Johna Cartera - i rzeczywiście w ciągu następnych dziesięciu lat powstało niewiele opowiadań umieszczonych na innych niż Ziemia planetach naszego systemu. Dopiero na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pojawiła się nowa generacja pisarzy, którzy uznali Układ Słoneczny taki, jaki jest, za romantyczny i fascynujący, i zaczęli pisać opowiadania, nawet pełne rozmachu opowiadania przygodowe, ponownie rozgrywające się na Marsie i Wenus. Więc chociaż Żelazny prawie na pewno stworzył Bramy jego twarzy, lampy jego ust jako „pożegnanie z fantastyczną Wenus” (parafraza tytułu antologii Aldissa), zbyt się pośpieszył - po następnym dziesięcioleciu pisarze znowu wyruszyli na Wenus; dzięki koncepcji terraformowania nawet w kilku opowiadaniach powróciły morza Wenus - chociaż monstrualny, wielki jak góra Inky pozostaje na razie jedyne i wyjątkowe.

Żelazny zdobył następną Nebulę i Hugo w 1976 za mikropowieść Hangman (w książce Imię moje Legion), kolejną nagrodę Hugo za opowiadanie 24 widoki góry Fudzi według Hokusaiego i ostatnią Hugo w 1987 roku za Wieczną marzłość. Oprócz wielotomowego cyklu Amber napisał też powieści: Widmowy Jack, Oko kota, Bramy w piasku, Dziś wybieramy twarze, Most popiołów, Umrzeć w Italbarze, Droga i zbiory opowiadań: Róża dla Eklezjastesa, Wariant jednorożca. Ostatni obrońca Camelotu oraz Mróz i ogień. Wśród jego ostatnich utworów znajdują się dwie wspólne powieści. Farsa, z którą należy się liczyć we współpracy z Robertem Sheckleyem i Wilderness z Geraldem Hausmanem. Jest autorem dwóch antologii: Wheel of Fortune i Warriors of Blood and Dream. Żelazny umarł - tragicznie przedwcześnie - w 1995 roku.

Ostatnio ukazała się - także po polsku - powieść Donnerjack napisana wspólnie z Jane Lindskold oraz dokończona przez Żelaznego powieść Alfreda Bestera Psychoshop.

Roger Żelazny

BRAMY JEGO TWARZY, LAMPY JEGO UST

Jestem ńęciarzem. Nikt nie rodzi się ńęciarzem, chyba że we francuskich powieściach - tam wszyscy. (Zdaje się, że jest nawet taki tytuł: *Wszyscy jesteście przynętą*. Fe!). Nie warto opowiadać, w jaki sposób ja nim zostałem, i nie ma to nic wspólnego z naszym powtórnym małżeństwem, ale dzień bestii zasługuje na kilka słów - więc oto one.

Niziny Wenus leżą między kciukiem a palcem wskazującym kontynentu znanego jako Dłoń. Kiedy wlecisz w aleję Chmur, ta srebrno-czarna kula bez ostrzeżenia zaczyna toczyć się prosto na ciebie. Podskakujesz z wrażenia wewnątrz ciągnącego za sobą ognisty ogon kręgla, w którym zwożą cię na dół, ale pasy nie pozwalają ci zrobić z siebie głupca. Zazwyczaj zaraz zaczynasz chichotać, lecz zawsze najpierw podskakujesz z wrażenia.

Potem przyglądasz się Dłoni, aby pozbyć się tego złudzenia, i widzisz, jak jej dwa środkowe palce zamieniają się w tuzin pierścieniowatych archipelagów, a zewnętrzne w zielonoszare półwyspy; kciuk jest zbyt krótki i podwinięty jak embrionalny ogon przyłądka Horn.

Wciągasz czysty tlen, może nawet oddychasz z ulgą i zaczynasz długi lot nurkowy ku Nizinom.

Później opadasz jak piłka baseballowa na lądowisko Lifeline - miasta nazwanego tak ze względu na bliskość wielkiej delty Zatoki Wschodniej - zlokalizowane między półwyspom a kciukiem. Przez chwilę wydaje się, że ominiesz lądowisko i skończysz jako karma dla ryb, ale ostatecznie dajesz spokój metaforom, opadasz na osmalony beton i wręczasz swój plik zaświadczeń grubości średniej książki telefonicznej małemu tłuszciochowi w szarej czapce. Dokumenty poświadczają, że nie jesteś nosicielem żadnej tajemniczej zgnilizny wewnętrznej i tak dalej. On uśmiecha się nikłym, tłustym, szarym uśmiechem i ruchem ręki wskazuje autobus, który zawozi cię do terminalu. Tam spędzasz trzy dni, udowadniając, iż naprawdę nie jesteś nosicielem żadnej tajemniczej zgnilizny wewnętrznej i tak dalej.

Jednak nuda to też choroba. Kiedy minie kwarantanna, zwykle ruszasz na podbój Lifeline, które odpowiednio odwdzięcza ci się za te wysiłki. Na temat efektów spożycia alkoholu w innej atmosferze napisano całe tomy, zatem ograniczę się do wzmianki, że dobra popijawa dostarcza tu materiału na co najmniej tygodniową opowieść, a czasem może być przedmiotem wieloletnich studiów.

Byłem niezwykle obiecującym studentem (nieaspirującym do stopnia naukowego) już od dwóch lat, kiedy „Czysta Woda” spadła z naszego marmurowego sufitu, wypluwając ze swych czeluści załogę.

Uwaga, *Almanach Światów* pod hasłem „Lifeline” podaje:

...Miasto portowe na wschodnim wybrzeżu Dłoni. Pracownicy Agencji Badań Pozaziemskich stanowią około osiemdziesięciu pięciu procent jego stutysięcznej populacji (dwa tysiące dziesięciu obywateli ze stopniem naukowym). Pozostali mieszkańcy to głównie personel kilku korporacji przemysłowych zaangażowany w badania podstawowe. Resztę ludności stanowią niezależni oceanografowie, bogaci amatorzy wędkarstwa i nadbrzeżni przedsiębiorcy.

Odwróciłem się do Mike'a Dabisa, również przedsiębiorcy, i skrytykowałem nędzny poziom badań podstawowych.

- Nie jest tak źle, o ile się zna najnowsze wieści.

Umilkł i podniósł kieliszek do ust, pozwalając, aby proces powolnego przełykania wywarł na mnie wrażenie, oraz sprowokował kilka przekleństw, zanim wyjawiał resztę.

- Carl - powiedział w końcu z pokerową twarzą - szykują Dziesięciokąt. Mógłbym go uderzyć. Mógłbym nalać mu do kieliszka kwasu siarkowego i patrzeć z uciechą, jak wargi czernieją mu i pękają. Zamiast tego mruknąłem niezbyt zachęcająco:

- I kto byłby na tyle głupi, żeby wybulić pięćdziesiąt kawałków dziennie? ABP?

Potrząsnął głową.

- Jean Luharich - rzekł. - Dziewczyna z fiołkowymi szkłami kontaktowymi oraz pięćdziesięcioma czy sześćdziesięcioma idealnymi zębami. O ile wiem, w rzeczywistości ma oczy piwne.

- Czyżby krem do twarzy ostatnio gorzej się sprzedawał? Wzruszył ramionami.

- Reklamadźwignią handlu. Akcje firmy Luharich skoczyły o szesnaście punktów, kiedy

zdobyła Puchar Słońca. Grałeś kiedyś w golfa na Merkurym?

Grałem, ale pomiąłem to milczeniem i naciskałem dalej:

- A więc przybywa tu z czekami na okaziciela i haczykiem na ryby?

- Na pokładzie „Czystej Wody”, dzisiaj.

Pokiwałem głową.

- Powinna już być na lotnisku - mówił Mike. - Mnóstwo kamer. Ona naprawdę bardzo chce złapać Ikky'ego.

- Hm - mruknąłem. - Jak bardzo?

- Wynajęła Dziesięciokąt na dwa miesiące. Z możliwością nieograniczonego przedłużenia.

Półtora miliona depozytu.

- Wygląda na to, że sporo o tym wiesz.

- Komisja rekrutacyjna to ja. Firma Luharich zwróciła się do mnie miesiąc temu. Dobrze jest być w odpowiednich miejscach. Albo być ich właścicielem - dodał po chwili z głupim uśmiechem.

Spojrzałem w przestrzeń, opróżniając powoli swą czarę goryczy. Po chwili przełknąłem wszystko i zadałem Mike'owi pytanie, na które czekał, następczając mu okazję do wygłoszenia comiesięcznego kazania o abstynencji.

- Powiedzieli, żebym spróbował cię zwerbować - rzucił mimochodem. - Kiedy ostatnio pływałeś?

- Półtora miesiąca temu. Na „Siewcy”.

- Mała krypa - parsknął. - A kiedy byłeś pod wodą?

- Minęło trochę czasu.

- Ponad rok, no nie? Wtedy zraniła cię śruba „Delfina”?

Odwrociłem się do niego.

- W zeszłym tygodniu pracowałem w rzece, koło Angleford, gdzie są solne prądy. Nadal sobie radzę.

- Trzeźwy.

- Przy takiej robocie - powiedziałem - byłbym trzeźwy. Z powątpiewaniem pokiwałem głową.

- Normalne stawki związkowe - rzekł. - Czas pracy w nadzwyczajnych okolicznościach liczony potrójnie. Bądź ze swoim sprzętem w szesnastym hangarze w piątek o piątej zero zero. Odbijamy w sobotę o świcie.

- Ty też płyniesz?

- Płynę.

- Dlaczego?

- Dla pieniędzy.

- Guana Ikky'ego!

- Bar ostatnio kiepsko prosperuje, a mała potrzebuje nowych norek.

- Jeszcze raz ci...

- ...Ponadto chcę uciec przed małą i odnowić kontakt z żywiołami. Świeże powietrze, ćwiczenia, robienie pieniędzy...

- Dobrze, przepraszam, że pytałem.

Nalałem mu drinka, koncentrując się na H₂S₀₄, ale płyn nie uległ transformacji. W końcu udało mi się Mike'a upić i wyszedłem w noc, żeby pospacerować i przemyśleć sprawę.

W ciągu ostatnich pięciu lat podjęto około tuzina poważnych prób wyłowienia *Ichthysaurusa elasmognathusa*, powszechnie znanego jako Ikky. Kiedy go zauważono po raz

pierwszy, próbowano metod wielorybicznych. Okazały się bezowocne lub katastrofalne; wynaleziono nową. Dziesięciokąt został zbudowany przez bogatego sportsmena, niejakiego Michaela Jandta, który zainwestował w projekt wszystkie swe fundusze.

Po roku spędzonym na Oceanie Wschodnim wrócił i ogłosił upadłość. Carlton Davits, playboy i entuzjasta wędkarstwa, wynajął tę olbrzymią tratwę i wziął kurs na terytorium godowe Ikky'ego. Dziewiętnastego dnia miał branie i stracił sto pięćdziesiąt kawałków w nietestowanym sprzęcie oraz jednego *Ichthysaurusa elasmognathusa*. Dwanaście dni później, używając potrójnej liny, zahaczył uśpione zwierzę i zaczął je wyciągać. Ikky obudził się, zniszczył wieżę kontrolną, zabił sześciu ludzi i przeszedł jak huragan przez pięć sektorów Dziesięciokąta. Carltonowi został przejściowy paraliż górnej połowy ciała i deklaracja bankructwa do podpisu. Wtopił się w społeczność wybrzeża, a Dziesięciokąt czterokrotnie zmienił właściciela z mniej spektakularnymi, ale równie kosztownymi rezultatami.

W końcu wielka tratwa, zbudowana tylko w jednym celu, została zakupiona przez ABP jako „sprzęt do badań morskich”. Lloyd nadal nie chciał jej ubezpieczyć i jedyne badania morskie, jakim służyła, to sporadyczne rejsy za pięćdziesiąt kawałków dziennie z wędkarzami, którzy chcieli opowiadać dzieciom historyjki o Lewiatanie. Byłem nęciarzem na trzech takich wyprawach i dwukrotnie znalazłem się na tyle blisko, by móc policzyć kły Ikky'ego. Z pobudek osobistych chciałem jeden z nich pokazać swoim wnukom.

Spojrzałem w stronę lądowiska i ostatecznie się zdecydowałem.

- Chcesz mnie jako koloryt lokalny, mała. Będę się dobrze prezentował na afiszu i tak dalej, jednak przyjmij do wiadomości, że jeśli ktokolwiek złapie ci Ikky'ego, to tylko ja. Obiecuję.

Stałem na pustym placu. Zamglone wieże Lifeline wtapiały się w szarą mgłę.

Wznoszące się nad miastem zachodnie zbocze - które parę er temu było linią brzegową - miejscami sięga czterdzieści mil w głąb lądu. Stok nie ma dużego nachylenia, ale osiąga wysokość kilku tysięcy stóp, zanim zetknie się z łańcuchem górskim oddzielającym nas od Wyżyn. Cztery mile od Lifeline i pięćset stóp wyżej usytuowano większość pasów startowych i prywatnych hangarów. W szesnastym hangarze mieści się Towarzystwo Przewozowe Cala, ale nie było go w pobliżu, kiedy wygramoliłem się z autobusu i pomachałem ręką do mechanika.

Na betonowej płycie dygotały dwa helikoptery, szarpiąc się niecierpliwie pod aureolami wirników. Ten, przy którym pracował Steve, ryczał głucho z głębi swego beczkowatego gaźnika i trząsł się spazmatycznie.

- Niestrawność? - zagadnąłem.

- Tak, zgaga i wzdęcia.

Dokręcił śruby, aż ryk przeszedł w miarowe wycie, i odwrócił się do mnie.

- Lecisz? Skinąłem głową.

- Dziesięciokąt. Kosmetyki. Potwory. Takie rzeczy. Zamrugał w świetle lamp i otarł piegi. Temperatura nie przekraczała dwudziestu stopni, ale dwa wielkie kręgi nad głową robiły swoje.

- Luharich - mruknął. - A więc to ty. Są tu ludzie, którzy chcą się z tobą zobaczyć.

- Po co?

- Kamery. Mikrofony. Takie rzeczy.

- Lepiej załaduję swój sprzęt. Którym lecę? Wskazał śrubokrętem drugi helikopter.

- Tamtym. Nawiasem mówiąc, jesteś teraz na wizji. Chcieli nakręcić twoje przybycie.

Spojrzał na hangar i znów na mnie.

- Powiedz „dżem”. Zbliżenia zrobią później.

Powiedziałem coś innego. Musieli używać teleobiektywów i umieli czytać z ruchu warg, bo tego fragmentu reportażu nigdy nie pokazano.

Wrzuciłem graty do tyłu, wdrapałem się do środka, siadłem na fotelu pasażera i zapaliłem papierosa. Pięć minut później Cal we własnej osobie wynurzył się z biura Quonset. Mierząc mnie zimnym wzrokiem, podszedł do śmigłowca i uderzył pięścią w burtę. Kciukiem wskazał za siebie, na hangar.

- Chcą, żebyś tam przyszedł! - krzyknął przez złożone dłonie. - Wywiad!

- Koniec występów! - odkrzyknąłem. - Albo mogą sobie znaleźć innego nęciarza!

Jego bladożółte oczy pod jasnymi brwiami zmieniły się w szparki; przeszył mnie spojrzeniem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. Zastanawiałem się, ile mu zapłacili za to, że pozwolił im zacząć się w hangarze i skorzystać ze swojego generatora.

Znając Cala, spodziewałem się, że sporo. I tak nigdy go nie lubiłem.

Wenus nocą to jednolita płaszczyzna nieruchomej wody. Przy brzegu nigdy nie można wskazać granicy między morzem a niebem. Świt jest jak porcja mleka wlana do kałamarza. Najpierw rzadkie białe zgęstnienia, potem smugi. Stopniowo otrzymujesz butelkę szarego koloidu, następnie zaś widzisz, jak nieco blednieje. Znienacka masz już dzień. Wtedy zaczynasz ogrzewać mieszaninę.

Kiedy pomknęliśmy nad zatoką, musiałem zrzucić kurtkę. Z tyłu horyzont zdawał się nikać pod wodą falującą i marszczącą się w narastającym upale. Helikopter może pomieścić cztery osoby (pięć, jeśli nagnie się regulamin i źle oszacuje wagę) lub trzech pasażerów ze sprzętem, jakiego używają nęciarze. Byłem jednak jedynym podróżnym, a pilot zachowywał się tak samo, jak jego maszyna - mruczał pod nosem i nie robił niepotrzebnego hałasu. Lifeline wywinęło kozła i zniknęło we wstecznym lusterku w tej samej chwili, gdy na horyzoncie pojawił się Dziesięciokąt. Pilot przestał mruzczyć i potrząsnął głową.

Pochyliłem się do przodu. Targały mną najróżniejsze uczucia. Znałem każdy cholerny cal tej wielkiej tratwy, lecz emocje, które niegdyś były naturalne, zmieniają się, kiedy ich źródło jest niedostępne. Prawdę mówiąc, miałem pewne wątpliwości, czy kiedykolwiek jeszcze wejść na ten pokład. Jednak teraz, teraz byłem niemal gotów uwierzyć w przeznaczenie. Oto ono!

Statek wielkości dziesięciokątnego boiska do piłki nożnej. Atomowy napęd. Pokład płaski jak naleśnik z wyjątkiem plastikowych kopuł na środku oraz dźwigów zwanych wieżami znajdujących się po obu burtach na dziobie i rufie. Zawdzięczały swoją nazwę narożnikowemu położeniu na tratwie; każde dwa z tych dźwigów mogły pracować razem, wyciągając zawieszony pomiędzy nimi hakpun. Hakpun - półhak, półharpun - może podnieść potworny ciężar na powierzchnię wody; jego projektant myślał tylko o jednym, co tłumaczy tę połowę haka. Przy powierzchni ślizgacz musi zmienić kąt podnoszenia o metr czy dwa, żeby hakpuny zostały raczej wypchnięte w górę niż wyciągnięte.

Ślizgacz zasadniczo jest ruchomym pomieszczeniem - wielką skrzynią zdolną do przesuwania się w dowolne miejsce płataniny kanałów tratwy, co czyni za pomocą potężnych pól elektromagnetycznych. Żeby dać wam pojęcie, jak silne jest takie pole, powiem tylko, iż kołowroty ślizgacza potrafią holować okręt wojenny na dowolnym dystansie i prędzej go wywrócić, niż oderwać się od pokładu.

Ślizgacz kryje wewnątrz pulpity kontrolny - najbardziej skomplikowany „kołowrotek

wędkarski”, jaki kiedykolwiek skonstruowano. Zasilany z generatora umieszczonego przy kopule centralnej, łączy się drogą radiową z sonarem, który rejestruje ruchy zwierzęcia i przesyła je usadowionemu za pulpitem wędkarzowi.

Ten może manewrować swoimi „żyłkami” przez całe godziny, a nawet dni, nie widząc nic prócz metalowych ścian i ekranu. Dopiero kiedy zwierzę zostanie podciągnięte, a ruchoma, umieszczona dwanaście stóp poniżej linii wodnej półka wysunie się, aby podtrzymać łup i wspomóc kołowroty, rybak widzi swoje trofeum wznoszące się nad nim, upadły anioł. Wtedy - o czym przekonał się Davits - trzeba spojrzeć w otchłań własnego ja i działać. Sam nie potrafił i setki ton niewyobrażalnie wielkiego cielska, potraktowanego zbyt słabą dawką narkotyku i zranionego, zerwało kable, złamało hak i odbyło półminutowy spacer po Dziesięciokacie.

Krażyliśmy w powietrzu, aż zauważono nas i opuszczona mechanicznie chorągiewka zezwoliła na lądowanie. Usiedliśmy przy luku dla personelu. Wyrzuciłem mój sprzęt i wyskoczyłem.

- Powodzenia! - zawołał pilot.

Drzwi zamknęły się, helikopter uniósł się w powietrze i chorągiewka ze szczękiem wróciła na miejsce.

Zarzuciłem graty na ramię i zszedłem pod pokład.

Podpisując umowę z pełniącym obowiązki kapitana statku Malvernem, dowiedziałem się, że większość załogi nie przybędzie wcześniej niż za dobrych osiem godzin. Chcieli mnie mieć u Cala samego, by nakręcić czołówkę zgodnie z kanonami sztuki filmowej dwudziestego wieku.

Wejście: lądowisko, mrok. Mechanik grzebiący w opornym śmigłowcu. Nieostre ujęcie podjeżdżającego autobusu. Wysiada obładowany nęciarz, rozgląda się i utykając, idzie przez lądowisko. Zbliżenie: uśmiecha się. Tekst wywiadu: „Czy sądzi pan, że tym razem uda się go wyciągnąć?”. Zakłopotanie, chwila milczenia, wzruszenie ramion. Niewyraźny pomruk. „Rozumiem, ale dlaczego pan myśli, że panna Luharich ma większe szansę niż inni? Czy jest lepiej wyposażona?”. Uśmiech. „A może dlatego, że wiemy teraz więcej niż poprzednio o zwyczajach tego stworzenia? Czy też ze względu na wolę zwycięstwa panny Luharich i jej pragnienie zostania mistrzynią? Czy to jeden z tych powodów, a może wszystkie razem?”. Odpowiedź: „Taaak, wszystkie”. „I właśnie dlatego podpisał pan umowę? Ponieważ instynkt podpowiada panu, że tym razem się uda?”. Odpowiedź: „Płaci związkowe stawki. Nie stać mnie na wynajęcie tego cholerstwa, a chcę wziąć w tym udział”. Wyciąć. Wstawić jakiś inny niewyraźny pomruk. Zakończyć ujęcie widokiem nęciarza idącego do helikoptera i tak dalej.

Powiedziałem: „Dżem” albo coś podobnego i udałem się na samotny spacer po Dziesięciokacie.

Wypróbowałem wszystkie wieże, sprawdzając pulpity kontrolne i podwodne kamery wideo. Później przywołałem główną windę.

Malvern nie miał nic przeciwko temu, abym wszystko wypróbował. Wręcz mnie do tego zachęcał. Pływaliśmy już razem i zdarzało się, że to ja byłem na jego miejscu. Tak więc nie zdziwiłem się, kiedy wysiadłszy z windy, znalazłem go w ładowni Hopkinsa. Przez następne dziesięć minut oglądaliśmy w milczeniu ogromne pomieszczenie, krocząc wśród miedzianych zwojów, które szybko mogły zmienić je w Arktykę. W końcu poklepał dłonią ścianę.

- No i co, załadujemy go? Potrzęsnałem głową.

- Chciałbym, ale wątpię. Nie dbam ni cholery o to, komu przypadnie ten zaszczyt, bylebym

miał w tym udział. Jednak nie tym razem. Ta dziewczyna to egomaniaczka. Zechce sama obsługiwać ślizgacz, a nie potrafi.

- Spotkałeś ją kiedyś?

- Taaak.

- Kiedy?

- Jakieś cztery, pięć lat temu.

- Wtedy była jeszcze dzieckiem. Skąd wiesz, co potrafi teraz?

- Wiem. Do tej pory nie mogła nauczyć się na pamięć każdego przełącznika, każdego zegara. Mogła opanować całą teorię. Jednak... pamiętasz, jak byliśmy w wieży na prawej burcie, przy dziobie, kiedy Ikky wynurzył się z wody niczym morświn?

- Jakże mógłbym zapomnieć?

- No?

Potarł szczeciniasty podbródek.

- Może jej się uda, Carl. Brała udział w wyścigach rakiet, nurkowała w niebezpiecznych wodach. - Zerknął w kierunku niewidocznej Dłoni. - I polowała na Wyżynach. Może ma dość odwagi, żeby bez mrugnięcia okiem wyciągnąć potwora na brzeg... a John Hopkins podpisze rachunek i wybuli za niego siedmiocyfrową sumkę. To duże pieniądze, nawet dla Luharich.

Ruszyłem w kierunku luku.

- Może masz rację, ale kiedy ją znałem, była bogatą wiedźmą. I wcale nie blondynką - dorzuciłem złośliwie. Ziewnął.

- Chodźmy na śniadanie. Tak też zrobiliśmy.

Kiedy byłem młody, myślałem, że największym darem losu jest urodzić się jako morskie stworzenie. Dorastałem na wybrzeżu Pacyfiku, a lato spędzałem w Zatoce Meksykańskiej lub na Morzu Śródziemnym. Całymi miesiącami sprzedawałem korale, fotografowałem mieszkańców głębin i pozwalałem się holować delfinom. Łowiłem wszędzie, gdzie były ryby, nie godząc się z faktem, że one potrafią dotrzeć do miejsc, do których ja nie mogę. Kiedy byłem starszy, chciałem łapać większe ryby, a oprócz sekwoi nie było niczego żywego, co byłoby większe niż Ikky. Oto część mojej historii...

Wrzuciłem kilka kanapek do papierowej torebki, napełniłem termos kawą. Przeprosiłem Malverna, opuściłem mesę i poszedłem do kabiny ślizgacza. Wszystko było tak jak dawniej. Wcisnąłem kilka przycisków i nadajnik zaskrzeczał.

- To ty, Carl?

- Tak, Mike. Daj no tu trochę pary, ty podstępny szcurze. Zastanawiał się chwilę, po czym ściany zaczęły wibrować: włączyły się generatory. Nalałem sobie trzeci kubek kawy i sięgnąłem po papierosa.

- A dlaczegoż to ja jestem podstępnym szcurem? - Znow usłyszałem jego głos.

- Wiedziałeś o kamerach w szesnastym hangarze?

- Tak.

- A zatem jesteś podstępnym szcurem. Rozgłos to ostatnia rzecz, której pragnę. „Facet, któremu nie udało się tyle razy, chce spróbować jeszcze raz”. Jakbym to słyszał.

- Mylisz się. Miejsca na scenie wystarczy tylko dla jednej osoby, a ona jest ładniejsza od ciebie.

Mój komentarz zginął w ogłuszającym łoskocie uruchomionego dźwigu. Pojechałem w górę. Zatrzymałem się równiutko z pokładem, wciągnąłem szynę poprzeczną i ruszyłem naprzód. Na skrzyżowaniu śródokręcia opuściłem szynę poprzeczną i schowałem podłużną.

Prześlizgnąłem się na prawą burtę między wieże, zatrzymałem ślizgacz i wcisnąłem sprzęgło. Nie rozlałem ani kropli kawy.

- Pokaż mi obraz.

Ekran się rozjaśnił. Skorygowałem i otrzymałem zarys dna.

- W porządku.

Przełożyłem dźwignię pierwszej fazy i natychmiast otrzymałem odpowiedź. Zapaliło się światelko kontrolne. Przesunąłem kołowrót, wymierzyłem w wodę, wysunąłem ramię i rzuciłem linę.

- Poszła - skomentował Mike.

- Faza druga. Ogłoś branie. Pchnąłem przełącznik.

- Jest, faza druga.

Teraz do akcji wkracza nęciarz, uatrakcyjniając hak. Właściwie nie jest to hak. Razem z liną biegną rury, którymi płynie narkotyk w ilości wystarczającej do wprowadzenia w euforię armii narkomanów. Ikky chwyta zawieszoną przed nim przynętę i rybak wbija w niego igły.

Moje ręce pewnie poruszały się po konsoli, dokonując koniecznych poprawek. Sprawdziłem poziom narkotyku w zbiornikach. Puste. Dobrze, że jeszcze ich nie napełniono. Wcisnąłem klawisz „Dawka”.

- W gardziel - mruknął Mike.

Popuściłem linę. Wyobraziłem sobie, że na jej końcu mam Ikky'ego. Pozwoliłem mu odpłynąć; przerzucając ramię kołowrotu na boki, symulowałem szarpaninę.

Klimatyzacja była włączona, a jednak zrobiło mi się tak gorąco, że musiałem ściągnąć koszulę - po tym poznałem, że z ranka zrobiło się południe.

Niejasno zdawałem sobie sprawę z przylotów i odlotów śmigłowca. Kilku członków załogi usiadło w „cieniu” otwartych przede mną drzwi, patrząc, co robię. Nie zauważyłem przybycia Jean, inaczej skończyłbym pokaz i zszedł pod pokład.

Wyrwała mnie z transu, trzaskając drzwiami z siłą mogącą rozerwać pole elektromagnetyczne.

- Może zechcesz mi powiedzieć, kto pozwolił ci uruchomić ślizgacz? - spytała.

- Nikt - odparłem. - Już go sprowadzam na dół.

- Odsuń się.

Zrobiłem to i zajęła moje miejsce. Miała na sobie brązowe dżinsy i workowatą koszulę; włosy ściągnięte do tyłu w praktyczny, ciasny kok; rumieniec na policzkach, niekoniecznie z gorąca. Zaatakowała pulpity z niemal zabawnym skupieniem, które mnie zaniepokoiło.

- Faza pierwsza - warknęła, łamiąc fioletowy paznokciec na przełączniku. Zmusiłem się do ziewnięcia i powoli zapiąłem koszulę. Jean rzuciła mi ostre spojrzenie, sprawdziła odczyt i wyrzuciła hak. Obserwowałem jego ślad na ekranie monitora. Na moment odwróciła się do mnie.

- Faza druga - powiedziała wyzywająco. Przytaknąłem ruchem głowy.

Przesunęła kołowrót w bok, żeby pokazać mi, że wie jak. Nie wątpiłem, że wie jak, a ona nie wątpiła, że ja nie wątpię, ale...

- Na wypadek gdybyś nie wiedział - wycedziła - masz się do tego nie zbliżać. Wynajęto cię jako nęciarza, pamiętasz? Nie jako operatora ślizgacza! Jako nęciarza! Twoje obowiązki polegają na zastawieniu stołu dla naszego przyjaciela potwora. To niebezpieczne, ale dobrze ci za to zapłacimy. Są jakieś pytania?

Wdusiła przycisk „Dawka”, a ja potarłem kark.

- Żadnych - uśmiechnąłem się - ale chcę powiedzieć, że mam kwalifikacje do obsługiwanego tego urządzenia i jeśli będziesz mnie potrzebowała, to jestem do dyspozycji po stawkach związkowych.

- Panie Davits - powiedziała - nie chcę, żeby przy tym pulpicie siedział ktoś, kto zawsze przegrywa.

- Panno Luharich, tej gry jeszcze nikt nie wygrał.

Zaczęła zwijać linę, a jednocześnie wyłączyła pole, tak że cały ślizgacz zadygotał jak w febrze. Przesunęliśmy się o parę metrów w tył i kabel nawinał się do końca. Cofnęła ramię, podniosła boczną szynę, śmignęła torem. Zmieniła szyny, nie zwolniwszy dostatecznie, i zahamowaliśmy z gwałtownym szarpnięciem, po czym ruszyła dalej pod kątem prostym do dotychczasowego kierunku. Załoga pośpiesznie uskakiwała z drogi, gdy sunęliśmy do luku windy.

- Na przyszłość, panie Davits, niech pan nie wchodzi na ślizgacz, jeśli panu nie każą - powiedziała.

- Nie ma obawy. Nie wejdę do środka, nawet jeśli mi każą - odparłem. - Wynająłem się jako nęciarz. Pamiętasz? Jeśli zechcesz, żebym tam wszedł, będziesz musiała mnie poprosić.

- To dopiero będzie dzień - uśmiechnęła się.

Przytaknąłem; drzwi zamknęły się nad naszymi głowami. Kiedy ślizgacz znalazł się na swoim miejscu, rozeszliśmy się w milczeniu. W odpowiedzi na mój chichot powiedziała „Do widzenia”, co - jak uznałem - świadczyło o jej dobrym wychowaniu i determinacji.

Później, wieczorem, paliliśmy z Mike'em fajki w kajucie Malverna. Wiatr uderzał mocnymi podmuchami, a monotonne bębnienie deszczu i gradu zamieniło pokład nad naszymi głowami w cienki blaszany dach.

- Paskudna pogoda - rzucił Malvern.

Kiwnąłem głową. Po dwóch burbonach, przy nikłym świetelku stołowej lampki pokój, oglądany przez brązowe szkło, stał się znajomym drzeworytem z mahoniowymi meblami (które, wiedziony kaprysem, przetransportowałem z Ziemi), ciemnymi ścianami, wysuszoną twarzą Malverna i niezmiennie zmieszany wyrazem twarzy Dabisa, który siedział między wielkimi plamami cieni rzucanymi przez krzesła a rozpraszającymi się w kątach.

- Cieszę się, że tu jestem.

- Jak jest tam, na dole, w taką noc jak ta?

Ryknąłem, myśląc o lekko drżącym promieniu latarki przeszywającym wewnątrz czarnego diamentu. Meteorytowe błyski oświetlonych nagle ryb, falowanie oświetlonych wodorostów jak mgławic - cień, potem zieleń, a później znikanie - przepłynęły mi przed oczami. Sądzę, że tak czułby się kosmolot podróżujący między światami, gdyby mógł czuć: cisza, nienaturalna cisza, spokojna jak sen.

- Ciemno - powiedziałem - i po kilku pierwszych sążniach raczej spokojnie.

- Jeszcze osiem godzin i odbijamy - stwierdził Mike.

- Będziemy tam dziesięć, może dwanaście dni - zauważył Malvern.

- Jak myślisz, co robi Ikky?

- Śpi na dnie z panią Ikky, jeśli ma trochę oleju we łbie.

- Nie ma. Widziałem ekstrapolację szkieletu przygotowaną przez tych z ABP na podstawie kości wyrzuconej na brzeg...

- Chyba każdy go widział, no nie?

- W pełnej krasie musi mieć ponad sto metrów długości. Zgadza się, Carl?

Przytaknąłem.

- ...ale puszkę mózgową ma niewielką jak na takie cielsko.
- Wystarczy mu sprytu, żeby trzymać się z dala od naszej ładowni. Śmiech, bo w tej chwili naprawdę nie ma nic prócz tego pokoju. Świat na zewnątrz to pusty, rozbębniiony deszczem pokład. Opieramy się wygodnie i puszczamy chmury dymu.
- Szefowa nie aprobuje połowów bez zezwolenia?
- Szefowa może iść się utopić.
- Co ci powiedziała?
- Powiedziała, że moje miejsce, razem z rybim gównem, jest na dnie.
- Nie będziesz kierował ślizgaczem?
- Tylko nęcę.
- Zobaczymy.
- Nic więcej. Jeśli zechce operatora ślizgacza, to będzie musiała łacinie poprosić.
- Myślisz, że będzie musiała?
- Będzie musiała.
- A jeśli nawet, to czy dasz radę?
- To dobre pytanie - pyknąłem. - Nie znam jeszcze odpowiedzi.

Zarejestrowałbym duszę i sprzedał czterdzieści procent akcji, żeby ją znać. Oddałbym za nią kilka lat życia. Jednak nie wygląda na to, by ustawiała się kolejka chętnych, bo nikt jej nie zna. Założmy, że popłyniemy tam, dopisze nam szczęście i znajdziemy Ikky'ego. Założmy, iż uda się go zanieść i złapać na hak. Co wtedy? Jeśli podciągniemy go do burty, czy panna Lucharich wytrzyma to psychicznie, czy załamie się? A jeśli jest z silniejszego tworzywa niż Davits, który kiedyś polował na rekiny z kuszą pneumatyczną na zatrute strzałki? A jeżeli go wyciągnie, a Davits będzie musiał stać tam jak statysta w filmie wideo? Jeszcze gorzej, jeśli poprosi Davitsa o pomoc, a on będzie dalej stał tam jak statysta lub coś innego - na przykład ucieleśnienie tchórzliwego zera?

Tak było, gdy miałem go nad ośmiostopową warstwą metalu i zobaczyłem całe to cielsko wznoszące się wyżej i wyżej, niknące w oddali jak zielony łańcuch gór... I ten łeb. Mały w stosunku do korpusu, lecz mimo to ogromny. Gruby, nieforemny, z pozbawionymi powiek ruletami oczu, które kręciły się czernią i czerwienią, od czasu gdy nasi praojcowie postanowili wyruszyć na Nowy Kontynent. Łeb kołysał się na boki...

Podłączono nowe zbiorniki narkotyku i należało wstrzyknąć następną dawkę. Ja jednak stałem jak sparaliżowany. Wydawał takie dźwięki, jakby sam Pan Bóg grał na organach Hammonda... I spojrzał na mnie!

Nie wiem nawet, czy przy tak ogromnych oczach proces postrzegania przebiega podobnie jak u nas. Wątpię. Może byłem dla niego tylko szarą plamą za czarną skałą, a niebo odbite w pleksiglasie raziło jego źrenice. Jednak skierował je na mnie. Może wąż wcale nie hipnotyzuje królika, może po prostu króliki są z natury tchórzliwe. Cielsko zaczęło się ruszać, a ja wciąż nie byłem w stanie nic zrobić, tylko patrzyłem oczarowany.

Znaleźli mnie piętnaście minut później, zafascynowanego tą siłą, tymi ogromnymi ślepiami, z lekkim wstrząsem mózgu i bezwładnym ramieniem. Przycisk dawkowania pozostał niewciśnięty.

Te ślepie wciąż mi się śniły. Chciałem stanąć przed nimi jeszcze raz, nawet gdyby odnalezienie ich miało zająć mi całą wieczność. Musiałem się dowiedzieć, czy jest we mnie coś, co odróżnia mnie od królika, coś więcej niż tarcza odruchów i instynktów uruchamianych

przez wykręcenie właściwej kombinacji.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że drży mi ręka. Szybko zerknąłem na tamtych; nie zauważyli.

Dopiłem drinka i opróżniłem fajkę. Było późno i nie śpiewał żaden ptak.

Strugałem, z nogami zawieszonymi za burtę. Strużyny spadały w spieniony ślad ciągnący się za rufą Dziesięciokąta. Trzy dni. I nic.

- Hej, ty!

- Ja?

- Ty.

Włosy jak skrawek tęczy, oczy jak nic na świecie, równe zęby.

- Cześć.

- Wiesz, że zabraniają tego przepisy bezpieczeństwa?

- Wiem. Martwię się tym od rana.

Cieniutki wiórek zaczepił się na moim nożu, potem spłynął w dół. Spadł w pianę i zniknął. Patrzyłem na jej odbicie w ostrzu noża, czerpiąc skrywaną przyjemność ze zniekształconego wizerunku.

- Chcesz mnie zanęcić? - zapytała w końcu.

Usłyszałem jej śmiech i odwróciłem się, wiedząc, że tego oczekuje.

- Kto, ja?

- Z łatwością mogłabym cię zepchnąć.

- Wróciłbym.

- A potem, którejs nocy, wypchnąłbyś mnie?

- Wszystkie noce są ciemne, panno Luharich. Nie, raczej dałbym ci coś w prezencie.

Usadowiła się przy mnie tak, że nie mogłem nie zauważyć dołeczków pod kolanami. Miała na sobie białe szorty i stanik, i wciąż nosiła tę opaleniznę, z którą było jej tak dobrze. Niemal poczułem skurcz wstydu na myśl o tym, że zaplanowałem tę scenę, ale prawą ręką wciąż zasłaniałem przed nią drewniane zwierzę.

- W porządku, złapię się na tę przynętę. Co masz dla mnie?

- Jeszcze sekunda. Już prawie skończyłem.

Z powagą podałem jej drewnianego osła, którego wyrzeźbiłem. Było mi trochę przykro i sam czułem się jak osioł, ale musiałem dokończyć, co zacząłem. Zawsze tak robię. Pysk wyszczerzony w uśmiechu. Sterczące uszy.

Nie uśmiechnęła się i nie zmarszczyła brwi. Po prostu patrzyła.

- To naprawdę dobre - powiedziała w końcu. - Jak większość rzeczy, które robisz. Przynajmniej niezłe.

- Daj mi to - rzekłem, wyciągając rękę.

Oddała mi figurkę, a ja cisnąłem ją do wody. Nie trafiłem jednak w spieniony ślad i zwierzę przez chwilę kiwało się na fali niczym malutki konik morski.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- To był kiepski żart. Przepraszam.

- Może jednak masz rację. Może tym razem odgryzłam się za mocno. Prychnąłem.

- To dlaczego nie zajmiesz się czymś bezpieczniejszym, na przykład kolejnymi wyścigami?

Potrząsnęła swoim skrawkiem tęczy.

- Nie. Muszę dostać Ikky'ego.

- Czemu?

- A czemu ty chciałeś go tak bardzo, że roztrwoniłeś fortunę?

- To męskie sprawy - odparłem. - Pozbawiona prawa wykonywania zawodu psychoanalityczka podczas nielegalnych seansów terapeutycznych w swojej piwnicy powiedziała mi kiedyś: „Panie Davits, musi pan podbudować swoją męskość, łapiąc po jednym okazie każdej istniejącej ryby”. Wiesz, ryba to bardzo stary symbol męskości. Tak więc zabrałem się do dzieła. A czemu ty chcesz podbudować swoją męskość?

- Nie chcę - odparła. - Nie chcę podbudowywać niczego prócz firmy Luharich. Mój główny statystyk rzekł mi kiedyś: „Panno Luharich, kiedy będzie pani sprzedawać puder oraz krem do twarzy całemu Układowi Słonecznemu, będzie pani szczęśliwa. A także bogata”. I miał rację. Jestem tego najlepszym dowodem. Mogę wyglądać tak, jak wyglądam, i robić to, co zechcę, i opanowałam większość rynku pudru i szminek w Układzie Słonecznym, ale chcę czegoś dokonać.

- Wydajesz się chłodna i sprawna - zauważyłem.

- Nie jest mi chłodno - powiedziała, wstając. - Chodźmy popływać.

- Czy mogę zauważyć, że płyniemy dość szybko?

- Możesz, jeśli chcesz mówić banały. Przecież powiedziałeś, że potrafiłbyś bez trudu dogonić statek. Zmieniłeś zdanie?

- Nie.

- To znajdź dla nas dwa aparaty do nurkowania, pościgamy się pod Dziesięciokątem... I wygram - dodała po chwili.

Wstałem i spojrzałem na nią z góry, ponieważ zazwyczaj w ten sposób wykazywałem swoją wyższość w stosunku do kobiet.

- Córkę Leara z oczami Picassa - powiedziałem - będziesz miała swój wyścig. Spotkamy się przy prawoburtowej wieży dziobowej za dziesięć minut.

I rzeczywiście, było to dziesięć minut. Z ładunkiem, jaki niosłem, przejście z centralnej kopuły do wieży zabrało mi chyba dwie. Podeszwy moich sandałów zrobiły się bardzo gorące i z przyjemnością zamieniłem je na płetwy, dotarłszy do zacienionego kąta. Wbiliśmy się w uprząż i sprawdziliśmy aparaty.

Jean przebrała się w skąpy, zielony, jednoczęściowy strój, na widok którego zamrugałem i odwróciłem wzrok, a potem spojrzałem jeszcze raz. Przywiązałem drabinkę sznurową i kopnięciem zrzuciłem ją za burtę. Później uderzyłem ręką o ścianę wieży.

- Mówisz, że do lewoburtowej wieży na rufie? - zawołałem.

- Wszystkie są przygotowane - padła odpowiedź. - Drabinki i liny czekają w wodzie.

- Jest pani pewna, że ma na to ochotę? - zapytał opalony facecik, niejaki Anderson, który był jej agentem reklamowym. Siedział na leżaku koło wieży, sącząc przez słomkę lemoniadę. - To może być niebezpieczne - zauważył zapadniętymi ustami. (Jego zęby stały obok, w innej szklance).

- Masz rację - uśmiechnęła się. - To będzie niebezpieczne. Jednak nie za bardzo.

- A więc dlaczego nie pozwoli mi pani zrobić kilku ujęć? Za godzinę mielibyśmy je w Lifeline, a do wieczoru w Nowym Jorku. I to dobrą kopię.

- Nie - powiedziała i odwróciła się do nas tyłem. Podniosła dłonie do oczu. - Masz, potrzyj mi je.

Podowała mu pudełko ze swoimi soczewkami, a kiedy znów się odwróciła, jej oczy miały tę samą piwną barwę, którą pamiętałem.

- Gotowy?

- Nie - powiedziałem poważnie. - Słuchaj uważnie, Jean. Jeżeli chcesz się w to bawić, musisz znać kilka reguł. Po pierwsze - wyliczałem - będziemy pod kadłubem, więc od razu musimy zejść głęboko i w przód. Jeżeli uderzymy o dno statku, możemy przebić butle z tlenem...

Zacząła protestować, że każdy głupi o tym wie, ale przerwałem jej ostro.

- Po drugie - ciągnąłem - tam nie będzie światła, więc powinniśmy trzymać się blisko siebie i oboje wziąć latarki. Jej wilgotne oczy błysnęły.

- Wyciągnęłam cię z Govino bez... - Urwała nagle i odwróciła się. Wzięła latarkę. - W porządku. Latarki. Przepraszam.

- I uważaj na śruby napędowe - zakończyłem. - Będą tam silne wiry co najmniej w promieniu pięćdziesięciu metrów. Ponownie otarła oczy i założyła maskę.

- Dobrze, ruszamy.

Tak też zrobiliśmy.

Na moje nalegania poprowadziła. Pod powierzchnią woda była przyjemnie ciepła. Na dwóch sążniach - odświeżająca, na pięciu - chłodna i miła. Na ośmiu puściliśmy kołyszącą się drabinkę i ruszyliśmy w głąb. Dziesięciokąt skoczył naprzód, a my pognaliśmy na drugą stronę jego kadłuba, w regularnych dziesięciosekundowych odstępach odbijając się od jego dna. Kadłub wciąż tkwił nad naszymi głowami, lecz pomknęliśmy jak dwa sputniki. Od czasu do czasu muskałem strumieniem światła jej żabie płetwy lub chwytalem węń welon pęcherzyków powietrza. Pięć metrów przewagi wystarczy; na razie nie będę naciskał, ale na samym końcu ją prześcignę.

Pod nami czerń. Niezgłębiona. Okropna. Mindanao Wenus, gdzie wieczysta ciemność spowija spoczywających w bezimiennych rybnych miastach. Wyciągnąłem szyję i trąciłem kadłub macką światła; stwierdziłem, że przebyliśmy już jedną czwartą drogi.

Przyśpieszyłem, dostosowując tempo do częstotliwości jej uderzeń, zredukowałem dzielącą nas odległość, która niespodziewanie wzrosła o kilka metrów. Jean znowu przyśpieszyła, ja także. Złapałem ją w strumień światła.

Odwróciła się i promień dotknął jej maski. Nie byłem pewien, czy naprawdę się uśmiechnęła. Chyba tak. Podniosła dwa palce ułożone w literę V, jak *victory*, i ruszyła naprzód pełną parą.

Powinienem się domyślić. Powinienem to przewidzieć. Dla niej był to jeszcze jeden wyścig, który trzeba wygrać. Za wszelką cenę!

Tak więc wziąłem się uczciwie do roboty. Kiedy jestem w wodzie, nie drżą mi ręce. A jeśli nawet, nie ma to żadnego znaczenia, bo wcale tego nie czuję. Znow zacząłem zmniejszać dystans.

Obejrzała się, przyśpieszyła i raz jeszcze się obejrzała. Za każdym razem widziała mnie bliżej, aż znowu się znalazłem w odległości pięciu metrów. Wtedy włączyła pomocnicze dysze napędowe.

Tego się obawiałem. Byliśmy dopiero w połowie drogi, nie powinna tego robić. Silne strumienie sprężonego powietrza mogły z łatwością wypchnąć ją w górę i rzucić o dno statku, a nawet zerwać ekwipunek, gdyby nie zdążyła odpowiednio ułożyć ciała. Głównym zadaniem tych dysz jest odrywanie roślin morskich od dna oraz walka z niesprzyjającymi prądami. Wziąłem je na wszelki wypadek, ze względu na wielkie ssąco-tłoczące wiatraki śrub na rufie.

Wystrzeliła naprzód jak rakieta, a ja poczułem krople występującego nagle na czoło potu mieszającego się ze wzburzoną wodą.

Pomknąłem za Jean, nie zamierzając użyć własnych dopalaczy; odległość między nami podwoiła się, a wkrótce potroiliła.

Dysze się wyłączyły, a ona wciąż pozostawała na kursie. Dobrze, może jestem strasznym zrzedą. Jednak mogło jej się nie udać, mogła uderzyć w stępkę Dziesięciokąta.

Przecinałem wodę niczym nóż i metr po metrze zacząłem zmniejszać dystans. Nie miałem już szans, by Jean prześcignąć czy dogonić, ale byłbym na drabince, zanim zdąży wejść na pokład.

Nagle znalazła się w zasięgu przyciągania tych wirujących magnesów i gwałtownie zmieniła kurs. To było straszliwie silne przyciąganie, nawet z tak dużej odległości. Zew maszynki do mięsa.

To samo przydarzyło mi się kiedyś pod „Delfinem”, statkiem rybackim średniej wielkości. Wprawdzie wypilem trochę, ale to był ciężki dzień, a silniki uruchomiono przedwcześnie. Na szczęście wyłączono je w porę, a dzięki klejowi do ścięgien wszystko było w porządku oprócz zapisu w dzienniku okrętowym, gdzie wspomniano tylko o tym, że piłem. Ani słowa o tym, iż było to po godzinach pracy, kiedy miałem prawo robić, co mi się, cholera, podoba.

Jean płynęła teraz dużo wolniej, lecz wciąż na ukos, w kierunku prawej burty, przy rufie. Ja też odczułem przyciąganie i musiałem zwolnić. Udało jej się ominąć główną śrubę, ale odniosłem wrażenie, że jednak za bardzo ją zniosło. Pod wodą trudno właściwie ocenić dystans, lecz z każdym uderzeniem pulsu nabierałem pewności, że się nie mylę. Ze strony głównej śruby już nic jej nie groziło, ale mniejsza, prawoburtowa, znajdująca się z osiemdziesiąt metrów dalej, stała się jej przeznaczeniem.

Każda bańka powietrza ulatywała w górę razem z moim przekleństwem; odbiłem w lewo. Jean odwróciła się i zaczęła walczyć z prądem. Dzieliło nas jeszcze dwadzieścia metrów. Zawisła nieruchomo. Piętnaście. Powoli zaczęło ją ściągać w tył. Włączyłem dysze, mierząc dwa metry za nią i dwadzieścia od łopatek śruby.

Prosto! Dzięki Bogu! Złapałem ją w pól, uderzając ramieniem w butlę tlenową, i wybełkotałem przez maskę:

- PŁYŃJAKDIABLI. - Nie zrozumiała, więc dodałem: - WGÓRĘ!

Złapaliśmy linę i pamiętam brandy.

Chodząc tam i z powrotem po pokładzie, plułem na niekończące się wzgórza fal. Pozwólmy działać bezsenności i bólowi ramienia - może wyleczą mój reumatyzm. Głupie jak cholera. To, co powiedziałem. W kocach i trzęsąc się. Ona: „Carl, brak mi słów”. Ja: „Powiedzmy, że jesteśmy kwita za tę noc w Govino, panno Luharich”. Ona: nic. Ja: „Jest jeszcze brandy?”. Ona: „Nalej mi też”. Ja: gulgotanie. To trwało tylko trzy miesiące. Żadnych alimentów. Za dużo forsy po obu stronach. Nie wiedzieli, czy są szczęśliwi, czy nie. Ciemne jak wino Morze Egejskie. Dużo ryb. Może on powinien więcej czasu spędzać na brzegu. Może ona mniej. Dobrze pływała. Holowała go całą drogę do Vido, aż stracił dech. Młodzi. Oboje. Silni. Oboje. Bogaci i rozpuszczeni jak diabli. Tak samo. Korfu powinno ich zbliżyć. Nie zbliżyło. Zdaje się, że powodem było okrucieństwo moralne. On chciał jechać do Kanady. Ona: „Jedź do piekła, jeśli chcesz!”. On: „Pojedziesz ze mną?”. Ona: „Nie”. A jednak to zrobiła. Wiele piekieł. Komfortowych. Urwała mu się jedna zdobycz czy dwie. Ona odziedziczyła krocie. Coś dużo dziś tych olśnień... Głupie jak diabli. Uprzejmość to trumna oszukanej gwiazdy. Oszukanej przez kogo? To mi wygląda na jakieś cholerne powtórne małżeństwo... Nienawidzę cię, Anderson, z tą twoją szklanką pełną zębów i jej nowych oczu... Ciągle gaśnie mi fajka i wciążam popioł. Znów pluję.

Minęło siedem dni i przyrzady wykryły Ikky'ego.

Rozdzwoniły się dzwonki, zatupały nogi i jakiś optymista włączył termostat w ładowni Hopkinsa. Malvern chciał, żebym to przeczekał, ale założyłem aparat i byłem w pogotowiu. Siniak wyglądał gorzej, niż bolał. Ćwiczyłem codziennie i ramię mi nie zeszytywniało.

Trzy tysiące stóp przed nami i trzydzieści sążni niżej Ikky przeciął nasz kurs. Na powierzchni nie było nawet śladu jego obecności.

- Będziemy go ścigać? - spytał podniecony marynarz. Wzruszyłem ramionami.

- Nie, chyba że szefowa chce użyć pieniędzy zamiast paliwa. Niebawem ekran był pusty i taki pozostał. Czekaliśmy w pogotowiu, trzymaliśmy kurs.

Od kiedy ostatnio razem się topiliśmy, nie zamieniłem z Jean Luharich tuzina słów, więc uznałem, że trzeba poprawić statystykę.

- Dzień dobry - zacząłem. - Co słyszać?

- Idzie na północ lub północny wschód. Musimy go zostawić w spokoju. Za kilka dni będziemy mogli pozwolić sobie na pogoń. Teraz nie. Czysty profil...

- Trudno powiedzieć, dokąd teraz się kieruje - przytaknąłem.

- Jak twoje ramię?

- W porządku. A jak ty się czujesz? Córka Leara...

- Świetnie. Nawiasem mówiąc, masz u mnie dużą premię. Zgubne oczy!

- Nie chcę o tym słyszeć - odparłem.

Późnym popołudniem jak na zawołanie wybuchł sztorm. (Mówię „wybuchł” zamiast „zerwał się”, bo to daje lepsze wyobrażenie o charakterze tropikalnych sztormów na Wenus i oszczędza mnóstwo słów). Pamiętajcie ten kałamarz, o którym wspominałem wcześniej? Teraz weźcie go w dwa palce i uderzcie młotkiem w bok. Tylko ostrożnie! Żeby się nie ochlapać i nie zranić...

Sucho, a nagle potoki wody. Pod uderzeniem młota niebo pęka na milion jasnych kawałków. I ten odgłos pęknięcia.

- Wszyscy pod pokład! - ponaglały głośniki zmykającą załogę. Gdzie ja wtedy byłem? A jak myślicie, kto nadawał przez głośniki? Wszystko, co nie było umocowane, poszło za burtę, kiedy woda przewaliła się po pokładzie. Wtedy jednak nie było już na nim ludzi. Najpierw sprowadzono na dół ślizgacz, później opuściły się tam wielkie klatki wind. Rzuciłem się do najbliższej wieży w tej samej chwili, gdy na niebie dostrzegłem zapowiadający ten spektakl rozbłysk. Znalazłszy się w środku, włączyłem głośniki i poświęciłem pół minuty na ostrzeżenie załogi.

Mike powiedział mi przez radio, że byli lekko ranni, ale nic poważnego. Na czas sztormu byłem odcięty. Z wież nie ma zejść pod pokład; są zbyt oddalone od śródkręcia, a ponadto pod nimi znajdują się wysuwane półki.

Tak więc zdjąłem z pleców butle, które taszczyłem przez kilka minionych godzin, płetwy rzuciłem na stół i rozsiadłszy się wygodnie, patrzyłem na huragan. Wszędzie panował nieprzenikniony mrok, a my znajdowaliśmy się gdzieś w środku, nieco jaśniejszym ze względu na olbrzymią metalową płaszczyznę pokładu. Woda nie spływała z góry - jej strumienie po prostu łączyły się ze sobą i spadały równą ścianą.

W wieżach jest dość bezpiecznie - mogą znieść każde takie szaleństwo żywiołów - tyle że ich położenie powoduje, iż unoszą się wyżej i bardziej opadają w dół, kiedy Dziesięciokął kołysze się jak fotel na biegunach bardzo nerwowej babuni. Używając pasów mojego akwalungu, przywiązałem się do przyśrubowanego do podłogi fotela, a moje dziękczynne

litanie odpuściły z dziesięć lat czyśćca temu, kto zostawił w szufladzie stołu paczkę papierosów. Patrzyłem, jak woda tworzy namioty, góry, ramiona i drzewa, aż zaczęły mi się zwidywać twarze i ludzie. Wtedy połączyłem się z Mike'em.

- Co tam porabiacie na dole?

- Zastanawiamy się, co robisz na górze - odparł. - Jak tam jest?

- Ty jesteś ze Środkowego Zachodu, no nie?

- Tak.

- Macie tam silne burze?

- Czasami.

- To spróbuj sobie przypomnieć najgorszą, jaką widziałeś. Masz pod ręką suwak logarytmiczny?

- Mam.

- Odłóż na nim jakąś wartość, dodaj zero czy dwa i pomnóż maksymalnie.

- To niewyobrażalna liczba zer.

- Zatem zapamiętaj mnożną, to wystarczy.

- A więc, co tam robisz na górze?

- Przywiązałem się do fotela i patrzę, jak wszystko turla się po podłodze. Znowu spojrzałem w górę, na zewnątrz. W mroku zobaczyłem ciemny kształt.

- Modlisz się czy przeklinasz?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Gdyby to był ślizgacz, ach, gdyby to był ślizgacz!

- On tam jest?

Kiwnąłem głową, zapomniawszy, że Mike nie może mnie widzieć. Ikky był tak wielki jak w moich wspomnieniach. Wszedł na chwilę na powierzchnię, żeby się rozejrzeć. Nie ma na Ziemi nic, z czym można by porównać tego, który został stworzony, aby nikogo się nie lękać. Papieros wypadł mi z ręki. Było tak sami jak wtedy. Paraliż i krzyk cisnący się na usta.

- Wszystko w porządku, Carl?

Znowu na mnie spojrzał. A przynajmniej tak mi się zdawało. Może ta bezmózga bestia czekała pięćset lat, aby zrujnować życie przedstawiciela najlepiej prosperującej gałęzi przemysłu...

- Nic ci nie jest?

...A może ono legło w gruzach na długo przed ich zetknięciem i zdarzyło się po prostu spotkanie dwóch zwierząt; silniejsze pokonuje słabsze, mięśnie kontra rozum...

- Carl, do cholery! Powiedz coś!

Znowu się wynurzył, tym razem bliżej. Czy widziałeś kiedyś trąbę powietrzna? Wygląda jak coś żywego, kiedy wiruje wśród czerni nieba. Nic nie może być tak wielkie, tak silne, i w dodatku się poruszać. To niesamowity widok.

- Odpowiedz, proszę!

Zniknął i tego dnia już nie wrócił. W końcu zbyłem Mike'a kilkoma dowcipnymi uwagami, ale w prawej ręce trzymałem następnego papierosa.

Kolejne siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt tysięcy fal przewaliło się przez pokład z monotonną regularnością. Pięć dni, które były im na to potrzebne, również nie różniło się od siebie. Jednak trzynastego dnia wyprawy rankiem szczęście zaczęło się do nas uśmiechać. Dzwonki wyrwały wszystkich z wywołanego nadmiarem kawy letargu i wypadliśmy z mesy, nie wysłuchawszy do końca tego, co mogło być najlepszą historyjką opowiedzianą w tym tygodniu przez Mike'a.

- Na rufę! - krzyknął ktoś. - Pięćset metrów!

Rozebrałem się do slipek i zacząłem zakładać aparat. Sprzęt mam zawsze w zasięgu ręki. Po chwili człapałem po pokładzie, opasując się płaskim teraz wujem.

Wielka kłapa odchyliła się i ślizgacz z panienką przy pulpicie wyjechał w górę. Ze szczękiem przemknął obok mnie i zatrzymał się. Ramię wysięgnika uniosło się i wydłużyło.

Podziwiałem ten widok, gdy głośniki oznajmiły:

- Czteryście osiemdziesiąt, dwadzieścia!

- Faza druga!

Z odgłosem przypominającym dźwięk otwieranej butelki szampana lina śmignęła łukiem w wodę.

- Czteryście osiemdziesiąt, dwadzieścia! - powtórzyły głośniki. Cały Malvern: niezmacony spokój. - Nęciarz, na dół!

Poprawiłem maskę i po drabince opuściłem się do wody. Ciepło, chłodno, głębiej.

Zielony bezmiar. W dół. Teraz niczym nie różnię się od wija. Jeżeli coś dużego uzna, że wyglądam bardziej apetycznie od tego, co niosę, ironia losu może nadać inne zabarwienie określeniu „nęciarz”, a także otaczającej mnie wodzie.

Dostrzegłem opadające w dół liny i popłynąłem wzdłuż nich. Jeszcze nigdy nie musiałem schodzić tak głęboko. Nie miałem ochoty zapalać latarki.

Jednak musiałem.

Niedobrze! Wciąż pozostawało mi sporo do końca liny. Zacisnąłem zęby i poskromiłem wyobraźnię.

Wreszcie lina się skończyła.

Złapałem ją jedną ręką i odpiąłem wija. Pracując najszybciej jak mogłem, przymocowałem go do liny i zaczepiłem małe izolowane styki, z powodu których nie można go było wystrzelić razem z przewodem. Ikky przerwie je, ale wtedy nie będzie to już miało żadnego znaczenia. Umocowawszy mechanicznego węgorza, otworzyłem zawór ciśnienia i patrzyłem, jak wór rośnie. Podczas tej trwającej półtorej minuty operacji opadłem jeszcze niżej. Byłem blisko, zbyt blisko miejsca, w którym nie chciałem się znaleźć.

Nagle myśl o zgaszeniu latarki stała mi się równie niemiła, jak przedtem konieczność jej włączenia. Przerażony, oburącz ścisnąłem linę. Wija zaczął się jarzyć różową poświatą. Wił się wolno. Był dwukrotnie większy ode mnie i niewątpliwie dwa razy atrakcyjniejszy dla zjadaczy różowych węgorzy. Powtarzałem to sobie, a później wyłączyłem latarkę i ruszyłem w górę.

Gdybym napotkał coś wielkiego i stalowoskórego, moje serce miało rozkaz natychmiast przestać bić i pozwolić ujść mojej duszy, aby na wieki błąkała się w mrokach Acheronu.

Osiągnąłem strefę zielonej wody i dotarłem bezpiecznie do gniazda. Kiedy tylko wyciągnęli mnie na pokład, ściągnąłem maskę, tak że zawisła mi na szyi, osłoniłem dłonią oczy i poszukałem wzrokiem zmarszczek na powierzchni wody. Moim pierwszym pytaniem było, oczywiście:

- Gdzie on jest?

- Nie wiadomo - odparł ktoś z załogi. - Zgubiliśmy go zaraz po tym, jak zszedł pan pod wodę. Nie możemy go nigdzie znaleźć. Pewnie zanurkował.

- To fatalnie.

Wija został na dole, ciesząc się kąpielą. Na razie zostałem bez zajęcia. Poszedłem dolać sobie rumu do kawy. Z tyłu doleciał mnie szept.

- Możesz się śmiać po czymś takim? Celna uwaga.

- To zależy z czego.

Wciąż chichocząc, poszedłem do kopuły centralnej, niosąc w ręku dwa pełne kubki.

- Dalej ni cholery?

Mike skinął głową. Jego wielkie dłonie się trzęsły. Z precyzją chirurga postawiłem kubki na stole. Podskoczył, kiedy zacząłem ściągać butle i rozglądać się za ławką.

- Nie chlap na konsolę! Chcesz się zabić i wywalić drogie bezpieczniki? Wytarłem się rękami, po czym usiadłem i spojrzałem na puste okno ekranu. Ziewnąłem szeroko; ramię było jak nowe.

To małe pudełko, przez które ludzie gadają ze sobą, chciało coś powiedzieć, więc Mike pchnął przełącznik i oznajmił, że słucha.

- Panie Dabis, czy jest tam Carl?

- Tak, proszę pani.

- Daj mi go.

Mike skinął na mnie. Podszedłem.

- Mów - powiedziałem.

- Nic ci nie jest?

- Nie, dzięki. A powinno?

- To trwało okropnie długo. Ja... chyba rzuciłam za daleko.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparłem. - Biorę potrójną stawkę. Chyba naprawdę skorzystam na tej klauzuli o zwiększonym ryzyku.

- Następnym razem będę bardziej uważać. Chyba byłam zbyt niecierpliwa. Przepraszam... - najwidoczniej coś przerwało jej w połowie zdania, bo na tym zakończyła, zostawiając mnie z pół tuzinem możliwych odpowiedzi.

Wyjąłem Mike'owi papierosa zza ucha i odpaliłem od tego w popielniczkę.

- Carl, ona naprawdę była miła - rzekł, odwracając się i wbijając wzrok w konsolę.

- Wiem. Ja nie byłem.

- Chcę powiedzieć, że z niej strasznie miły dzieciak, naprawdę. Uparta i w ogóle, to fakt.

Co ona ci zrobiła?

- Ostatnio?

Spojrzał na mnie, po czym zaczął wpatrywać się w swój kubek.

- Wiem, że to nie mój inte... - zaczął.

- Ze śmietanką i z cukrem?

Ikky nie wrócił ani tego dnia, ani tej nocy. Złapaliśmy trochę dixielandu z Lifeline i puściliśmy go na cały regulator. Jean zażądała, aby przynieśli jej kolację do ślizgacza. Później kazała sobie tam pościelić. Grałem na flecie *Bluesa błękitnej wody*, którego nadali przez radio, i czekałem, aż nas obsztorcuje. Nie zrobiła tego, więc uznałem, że śpi. Potem udało mi się namówić Mike'a na partyjkę szachów i mieliśmy zajęcie do samego rana. Nasza konwersacja ograniczała się do słów: „szach”, „mat” oraz „cholera!”. Mike nie lubi przegrywać, więc blokował wszelkie próby rozmowy, co mi najzupełniej odpowiadało.

Na śniadanie zjadłem stek ze smażonymi ziemniakami i poszedłem spać. Dziesięć godzin później ktoś mnie obudził, szarpiąc za ramię. Nie otwierając oczu, podniosłem się na łokciu.

- O co idzie?

- Przepraszam, że pana budzę - rzekł jeden z młodszych członków załogi - ale panna Luharich chce, żeby pan odłączył wiją, bo płyniemy dalej.

Z trudem otworzyłem jedno oko, zastanawiając się, czy powinienem być ubawiony.

- Podciągnijcie go do burty. Każdy może go dołączyć.

- Już jest przy burcie, proszę pana, ale panna Luharich powiedziała, że to jest w umowie, i lepiej się tego trzymać.

- To bardzo miło z jej strony. Jestem pewien, że miejscowy oddział związku zawodowego przyjmie to z aprobatą.

- Hm, powiedziała też, żeby zmienił pan spodenki, uczesał się i ogolił. Pan Anderson zamierza to sfilmować.

- Dobrze. Ruszaj i powiedz jej, że idę. Aha, zapytaj też, czy może mi pożyczyć lakier do paznokci.

Oszczędzę wam szczegółów. Zabrało mi to całe trzy minuty i odegrałem wszystko, jak trzeba, nawet przeprosiłem Andersona, kiedy poślizgnąłem się i trzepnąłem go mokrym wijeem po białym garniturku. Uśmiechnął się i odepchnął wiją; ona też się uśmiechnęła, chociaż wyroby jej firmy nie zdołały całkowicie zamaskować ciemnych kręgów pod oczami. Ja również się uśmiechnąłem, uniesioną dłonią pozdrawiając wszystkich fanów wideolandu. „Pamiętaj, Miss Univerzum, że ty także możesz wyglądać jak łowca potworów. Wystarczy używać kremu do twarzy firmy Luharich”.

Zszedłem pod pokład. Zrobiłem sobie kanapkę z tuńczykiem i majonezem.

Dwa dni jak góry lodowe - nagie, puste, topniejące, mroźne, pozostające poza zasięgiem wzroku, ale zakłócające spokój duszy - przepłynęły i nikt ich nie żałował. Doświadczyłem dawnych wyrzutów sumienia i miałem kilka niepokojących snów. Połączyłem się z Lifeline i sprawdziłem stan mojego konta.

- Wybierasz się na zakupy? - zapytał Mike, który złapał dla mnie połączenie.

- Wybieram się do domu - odparłem.

- He?

- Kiedy rejs się skończy, wyskakuję z interesu, Mike. Do diabła z Ikkyem! Do diabła z Wenus i firmą Luharich! I do diabła z tobą! Uniósł brwi.

- Co cię do tego skłoniło?

- Czekałem na tę wyprawę przez cały rok. Teraz, kiedy tu jestem, odkryłem, że to śmierdząca sprawa.

- Wiedziałaś, jak będzie, kiedy podpisywałaś umowę. Obojętnie, co robisz, jeśli pracujesz dla sprzedawców kremu, sprzedajesz krem.

- Och, nie to mnie gryzie. Przyznaję, że ten komercyjny aspekt mnie irytuje, ale Dziesięciokąt zawsze cieszył się rozgłosem, od pierwszego rejsu.

- A więc co?

- Pięć czy sześć rzeczy naraz. Głównym powodem jest to, że przestało mi na tym zależeć. Przedtem złapanie tego potwora było dla mnie najważniejszą rzeczą na świecie, teraz już nie. Zbankrutowałem na czymś, co zapowiadało się obiecująco, i chciałem się odegrać. Teraz myślę, że może sobie na to zasłużyłem. Zaczynam żałować Ikky'ego.

- I już nie chcesz go złapać?

- Chcę, jeśli sam wpadnie nam w ręce, ale nie zamierzam nadstawiać karku, żeby zaciągnąć go do ładowni Hopkinsa.

- Jestem skłonny podejrzewać, iż to raczej jeden z tych pozostałych czterech czy pięciu powodów.

- Na przykład? Wbił wzrok w sufit.

- Dobrze - warknąłem - ale i tak tego nie zdradzę, by ci nie robić przyjemności, że zgadłeś.
- Ona nie wygląda tak przez Ikky'ego - odparł z uśmiechem.
- Nic z tego, nic z tego - potrząsnąłem głową. - Jesteśmy jak dwa reaktory atomowe. Nie można umieścić silników na przeciwnych końcach rakiety i oczekiwać, że dokądś się doleci; wszystko w środku ulegnie zniszczeniu.

- Tak było. To, oczywiście, nie mój inte...
- Powiedz to jeszcze raz, a zostaniesz bez zębów.
- Kiedy chcesz, wielkoludzie - nastroszył się - i gdzie chcesz!
- No dobra, mów. Powiedz wreszcie!
- Jej wcale nie chodzi o tego przekłętą gada; przyleciała tu po to, żeby zabrać cię ze sobą. Podczas tej wyprawy nie ty jesteś nęciarzem.

- Pięć lat to za długo...
- Pod tą twoją szorstką skórą musi być coś, co ludzie lubią - mruknął - inaczej nie mówiłbym ci tego. Może przypominasz nam psa, jakiegoś naprawdę paskudnego kundla, którego było nam żal w dzieciństwie. W każdym razie ktoś chce cię wziąć do domu i zająć się tobą; a mówią, że żebracy nie mają wyboru.

- Koleś - zachichotałem - wiesz, co zrobię, kiedy wrócę do Lifeline?
- Łatwo zgadnąć.
- Mylisz się. Polecę na Marsa, a potem wrócę do domu. Pierwszą klasą. Zastrzeżenia majątkowe w wypadku bankructwa nie dotyczą pieniędzy umieszczonych w marsjańskich bankach i wciąż mam kupę forsy ulokowanej tak, że nie ruszą jej mole ani korupcja. Zamierzam kupić wielką starą posiadłość nad Zatoką Meksykańską. Gdybyś kiedyś szukał pracy, wpadnij; możesz mi otwierać butelki.

- Jesteś śmierdzącym tchórzem.
- Zgoda - przyznałem - ale myślę też o niej.
- Słyszałem te historie o was - rzekł. - No i dobrze; ty jesteś nierób i łajdak, a ona to wiedźma. W dzisiejszych czasach to się nazywa zgodnością charakterów. Mówię ci, nęciarzu, spróbuj zatrzymać to, co złapałeś.

Odwróciłem się.

- Jeśli będziesz kiedyś potrzebował pracy, odszukaj mnie. Cicho zamknąłem za sobą drzwi i zostawiłem go oczekującego, że nimi trzasnę.

Dzień bestii zaczął się jak każdy inny. Dwie doby po mojej tchórzliwej ucieczce z pustych głębin znów zszedłem pod wodę nęcić. Ekran były puste. Po prostu rutynowo sprawdzaliśmy sprzęt.

Przed zanurzeniem krzyknąłem „Dzień dobry!” w kierunku ślizgacza i otrzymałem odpowiedź. Przemyślałem sobie słowa Mike'a, niezbyt głęboko, ale bez gniewu, i chociaż nie przyjmowałem do wiadomości ich znaczenia, postanowiłem być bardziej uprzejmy.

A więc w dół, w głąb i naprzód. Ruszyłem za dobrze rzuconą liną; miałem do przepłynięcia jakieś dziewięćset stóp. Wijące się zwoje majaczyły czarno po mojej lewej ręce. W równym rytmie przemierzałem te falujące w zielonej wodzie sploty, opuszczając się wolno. Bezgłośnie nadeszła wilgotna noc, a ja zanurzyłem się w nią jak pomyłona kometa - z jaskrawym ogonem wija z przodu.

Chwyciłem linę - śliską i gładką - po czym zacząłem nęcić. Nagle poczułem chłód przesuwający się od stóp do głowy. Podwodny przeciąg, jakby ktoś otworzył pode mną wielkie drzwi. A przecież nie opadałem tak szybko!

To oznaczało, że w pobliżu przemieszczają się jakieś ogromne masy wody. Nawet nie podejrzewałem obecności Ikky'ego. Raczej sądziłem, że to jakiś podwodny prąd morski, ale nie on. Ha!

Skończyłem łączyć przewody i nacisnąłem pierwszy przycisk, gdy wyrosła przede mną olbrzymia, nieforemna, czarna wyspa...

Szybko skierowałem w dół strumień światła. Otwarta paszcza. Byłem królikiem.

Ogarnęła mnie fala śmiertelnego przerażenia. Żołądek podjechał mi do gardła. Zmartwiałem.

Jedna rzecz, pozostała mi tylko jedna rzecz. W końcu zdołałem ją zrobić. Wcisnąłem resztę końcówek.

Do tej pory mogłem już policzyć łuskowate wyrostki wokół jego ślepi. Wij urósł, poróżowił fosforescencją... zaczął się wić! Teraz latarka. Musiałem ją zgasić, zostawiając mu przynętę pod nosem. Jedno spojrzenie za siebie i gwałtownie włączyłem dysze sprężonego powietrza.

Był tak blisko, że wij odbijał się w jego zębach i ślepiach. Cztery metry. Lecąc w górę, pocałowałem lśniący pysk Ikky'ego dwoma strumieniami odrzutu. Nie wiedziałem, czy się zatrzymał, czy ruszył za mną. Czekając, aż mnie połknie, powoli traciłem przytomność.

Dysze wyłączyły się i zacząłem słabo poruszać nogami.

Zbyt szybko - czułem, że złapie mnie kurcz. Jeden błysk latarki, krzyczał we mnie królik, tylko na sekundę, żeby zobaczyć... Albo wszystko zakończyć, powiedziałem mu. Nie, króliku, nie będziemy uciekać przed myśliwym. Raczej pozostaniemy w mroku.

Zielona woda, nareszcie żółtozielona powierzchnia. Podwoiwszy tempo, ruszyłem w kierunku Dziesięciokąta. Fale podwodnej eksplozji popchnęły mnie do przodu. Świat zbliżył się i gdzieś w oddali usłyszałem okrzyk: „Żyje!”.

Gigantyczny cień i fala uderzeniowa. Lina także ożyła.

Kraina Szczęśliwych Połowów. Jeśli zrobiłem coś złego...

Ktoś ścisnął moją rękę... Co jest przynętą?

Upływające miliony lat. Pamiętam, jak zacząłem jako jednokomórkowy organizm i z trudem przekształciłem się w stworzenie ziemno-wodne, a później zacząłem oddychać powietrzem. Gdzieś wysoko, w czubkach drzew, usłyszałem głos.

- Dochodzi do siebie.

Znów zewoluowałem do homo sapiens, i krok dalej, do kaca.

- Nie próbuj wstawać.

- Mamy go? - wybełkotałem.

- Wciąż walczy, ale jest zahaczony. Myśleliśmy, że zjadł cię na przekąskę.

- Ja też.

- Zamknij się i wdychaj Rura przy mojej twarzy. Dobrze. W górę puchary i pijmy...

- Był piekielnie głęboko. Poza zasięgiem sonaru. Nie widzieliśmy go, dopóki nie poszedł w górę. Wtedy było za późno. Zacząłem ziewać.

- Teraz zniesiemy cię pod pokład. Zdołałem wyjąć nóż z futerału na łydce.

- Tylko spróbuj, a poucinam ci palce.

- Musisz odpocząć.

- To przynieś mi jeszcze kilka koców. Zostaję tutaj.

Opadłem z powrotem na pokład i zamknąłem oczy.

Ktoś mną potrząsnął. Pustka i chłód. Reflektory rzucały na pokład żółte smugi. Leżałem w

pro wizorycznie zabezpieczonej koi, przywiązanej do kopyły centralnej. Mimo hałdy koców wciąż dygotałem.

- Minęło już jednaście godzin. Nic teraz nie zobaczysz. W ustach czułem smak krwi.

- Wypij to.

Woda. Chciałem coś na ten temat powiedzieć, ale nie mogłem wykrztusić słowa.

- Tylko nie pytaj, jak się czuję - wyrzęziłem w końcu. - Wiem, że zawsze się tak mówi, ale nie pytaj. Dobrze?

- Dobrze. Chcesz teraz zejść pod pokład?

- Nie. Daj mi tylko moją kurtkę.

- Masz.

- Co on robi?

- Nic. Jest głęboko oszołomiony, ale nie daje się wyciągnąć.

- Kiedy ostatni raz się wynurzył?

- Prawie dwie godziny temu.

- A Jean?

- Nie chce nikogo wpuścić do ślizgacza. Słuchaj, Mike mówi, żebyś przyszedł. Jest tu za tobą, w kopule.

Usiadłem i odwróciłem głowę. Mike patrzył na mnie. Pomachał ręką, ja mu też pomachałem.

Przerzuciłem nogi przez krawędź koi i zrobiłem kilka głębokich wdechów. Bolał mnie brzuch. Stanąłem i powlokłem się do kopyły.

- Wrzucisz coś na ruszt? - spytał Mike.

Sprawdziłem ekran. Ani śladu Ikky'ego. Zbyt głęboko.

- Ty stawiasz?

- Tak, kawę.

- Kawę nie.

- Jesteś chory. Poza tym tu pije się tylko kawę.

- Kawa to ten brązowy płyn, który grzeje żołądek. Masz ją w dolnej szufladzie.

- Nie mam kubków. Będziesz musiał pić ze szklanki.

- Okropne. Nalał.

- Dobrze to robisz. Ćwiczyłeś przed podjęciem pracy?

- Jakiej pracy?

- No, tej u mnie... Plama na ekranie!

- Wychodzi, panno Luharich! Wychodzi! - wrzasnął do mikrofonu.

- Dzięki, Mike. Widzę! - zatrzeszczało w głośniku.

- Jean!

- Zamknij się! Jest teraz zajęta!

- Czy to był Carl?

- Tak, to ja - powiedziałem. - Porozmawiamy później. Przerwałem połączenie. Dlaczego to zrobiłem?

- Dlaczego to zrobiłeś? Nie wiedziałem.

- Nie wiem.

Cholerne echo! Wstałem i wyszedłem na zewnątrz. Nic. Nic. A może?

Dziesięciokąt zadrżał! Ikky pewnie dostrzegł kadłub, odwrócił się i zanurkował. Po mojej prawej ręce woda pieniała się i kipiała. Lina z sykiem wpadała w paszczę kipieli.

Stałem chwilę, po czym wróciłem do kopuły.

Dwie godziny nudy. Cztery i jeszcze trochę.

- Narkotyki zaczyna go rozkładać.

- Taaak.

- Co z panną Luharich?

- Musi być piekielnie zmęczona.

- Zapewne.

- I co chcesz z tym zrobić?

- Ona podpisała umowę. Wiedziała, co może się zdarzyć. I zdarzyło się.

- Myślę, że ty mógłbyś go wyciągnąć.

- Ja też tak sądzę.

- I ona również.

- Więc niech mnie poprosi.

Ikky dryfował letargicznie na głębokości trzydziestu sążni. Poszedłem na kolejny spacer i przypadkowo znalazłem się koło ślizgacza. Nie patrzyła w moją stronę.

- Carl, pozwól tu!

Oczy Picassa, ot co, i spisek Mike'a, żeby obsługiwał ślizgacz.

- Czy to rozkaz?

- Tak... nie! Proszę.

Wskoczyłem do środka i spojrzałem na monitor. Ikky się wynurzał.

- Ciągnąć czy popuścić?

Wcisnąłem zwijanie i ruszył w górę potulnie jak kociak.

- Teraz musisz podjąć decyzję. Zaparł się na dziecięciu sążniach.

- Zmęczyć go?

- Nie!

Podciągała dalej. Pięć sążni, cztery...

Przy dwóch włączyła wysięgniki i zaczepiła go. Potem hakpuny.

Krzyki i błyskawice świateł.

To załoga zobaczyła Ikky'ego.

Zaczął się opierać. Jean trzymała liny napięte, podniosła hakpuny...

W górę.

Jeszcze pół metra i hakpuny poszły.

Wrzaski i tupot nóg.

Wielka łodyga wygiętego karku. Strome, zielone wzgórze cielska.

- Jest ogromny, Carl! - krzyknęła Jean. A on rósł i rósł, i stawał się niespokojny...

- Teraz!

Popatrzył w dół, jak mógł spoglądać bóg naszych praprzodków. Czułem ogarniający mnie lęk, wstyd i drwiący śmiech. Czy Jean też to czuła?

- Teraz!

Spoglądała na zapowiedź trzęsienia ziemi.

- Nie mogę!

Tym razem miało to być tak proste, tak cholernie proste, teraz, kiedy królik umarł.

Wyciągnąłem rękę. Cofnąłem ją.

- Sama wciśnij.

- Nie mogę. Ty to zrób. Wyciągnij go, Carl!

- Nie. Jeśli cię wyęcę, przez resztę życia będziesz się zastanawiać, dlaczego nie potrafiłaś tego zrobić. Ta myśl pożre ci duszę. Wiem, że tak będzie, bo jesteśmy do siebie podobni, a tak było ze mną. Musisz to zrobić!

Spojrzała mi w twarz.

Złapałem ją za ramiona.

- Wyobraź sobie, że to ja tam jestem - podsunąłem jej myśl. - To ja jestem tym zielonym węzem morskim, okropną, potworną bestią, która chce cię zniszczyć. Jestem nieobliczalny. Wciśnij przycisk dawkowania.

Położyła dłoń na wyłączniku i cofnęła.

- Już! - wrzasnąłem. Wcisnęła.

Ostrożnie położyłem ją na podłodze i skończyłem z Ikkym. Siedem godzin później obudziłem się i usłyszałem miarowy, głuchy pomruk mielących wodę śrub Dziesięciokąta.

- Jesteś chory - stwierdził Mike.

- A Jean?

- Też.

- Gdzie bestia?

- W ładowni.

- To dobrze - mruknąłem, odwracając się na drugi bok. - Tym razem nie uszła.

I tak to było. Nikt nie rodzi się nęciarzem, jak sądzę, ale pierścienie Saturna nucą hymn na cześć pogromcy morskiego potwora.

Jak większość z was pewnie już teraz wie, wielokrotny zdobywca nagród Hugo i Nebula, pisarz James Tiptree Jr. - swego czasu postać dostatecznie tajemnicza i stroniąca od ludzi, by zasłużyć sobie na miano B. Travena fantastyki naukowej to w rzeczywistości pseudonim nieżyjącej dziś doktor Alice Bradley Sheldon, która Sporadycznie pisywała też pod nazwiskiem Raccoona Sheldon, na wół wycofawszy się z zawodu specjalisty od psychologii doświadczalnej. Tragiczna śmierć doktor Sheldon w 1987 roku położyła kres karierze „obu” autorów, ale zanim to nastąpiło, pisarka zdobyła dwie Nagrody Nebula i dwie Hugo jako Tiptree, dostała następną Nagrodę Nebula jako Raccoona Sheldon i tym samym dołączyła pod każdym z nazwisk do grona najlepszych twórców science fiction.

Choć Tiptree ma na swoim koncie dwie dość dobrze przyjęte powieści: Up the Walls of the World i Jasność spływa z powietrza, autorka wolala pisać opowiadania i w tym też gatunku odniosła większy sukces, podobnie jak Damon Knight i Theodore Sturgeon (dwaj pisarze, których Sheldon przypomina pod względem artystycznym i którzy wywarli na nią silny wpływ). Stworzyła jedne z najlepszych opowiadań lat siedemdziesiątych: Sposób na muchy, The Girl Who Was Plugged In, Kobiety, których mężczyźni nie dostrzegają, Beam Us Horne, And I Awoke and Found Me Here on the Cold Hill's Side, I'm Too Big But I Love to Play, The Man Who Walked Horne, Slow Music, Jej dym unosi się wiecznie. Już wiadomo, że te opowiadania nie odejdą w zapomnienie. Dowodzą - podobnie jak kilkanaście innych, niemal równie dobrych tekstów - że wśród autorów opowiadań tworzących w naszych czasach Alice Sheldon zaliczała się do ścisłej czołówki. W gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę jej dążenie do szybkiej transmisji informacji, dbałość o zagadnienia społeczne, zamiłowanie do wszystkiego, co nieznanne i niespodziewane, pociąg do ekstrapolacji, jej eksperymentatorskie zainteresowanie reakcjami ludzi na nienormalne bodźce i dziwaczne sytuacje, upodobanie do motywów apokaliptycznych, uwielbienie kolorytu, rozmachu i dramaturgii, zaabsorbowanie zmiennością czasu i bezmiarem przestrzeni - trudno się dziwić, że była pisarką science fiction. Wątpię, żeby umiała spożytkować swój szczególny talent, zajmując się jakimkolwiek innym gatunkiem literackim, a zresztą chyba nawet nie miała specjalnej ochoty tego próbować. W czasie gdy wielu innych pisarzy science fiction równie chętnie - czy też chętniej - tworzyłoby klasyczną prozę i kpiło sobie z artystycznych i finansowych ograniczeń gatunku, ona chciała pisać fantastykę; to było jej marzenie, jej pasja.

Sheldon wyraźnie uwielbiała kosmiczne opowieści przygodowe i space opery, nawet w najprostszej, masowej, najbardziej prymitywnej formie - takie rzeczy pochłania się z przyjemnością zaprawioną poczuciem winy, bo wiadomo, że są niezdrowe i prawdopodobnie zatykają arterie umysłu - i wprowadziła rozmaite przeróbki brutalnych motywów z kosmicznych historii przygodowych do wielu swoich opowiadań, a także do obu powieści, przy czym wiele z nich oddała w pełnej dysonansów, mrocznej, czasem niezmiennie ponurej, minorowej tonacji, z mnóstwem intrygujących ozdobników i ekscentrycznych akcentów. (W latach osiemdziesiątych, pod koniec życia, Sheldon umyślnie próbowała stworzyć nostalgiczną space operę, pisząc The Only Neat Thing To Do i Collision, później wydane w zbiorze w The Starry Rift. Mimo że w tych opowiadaniach nie brakuje świetnych fragmentów, ton jest chyba zbyt wymuszony, żeby można było postawić je na równi z jej wcześniejszymi, mniej zmanierowanymi, za to bardziej szczerymi i naturalnymi, choć czasem znacznie surowszymi i bardziej niezręcznymi próbami zgłębiania gatunku). Silny wpływ Tiptree na następne pokolenia pisarzy science fiction zaznaczył się zwłaszcza w cyberpunku

- gatunek ten wywodzi się w prostej linii z opowiadań w rodzaju *The Girl Who Was Plugged In* - uważam jednak, że autorka wywarła również duży wpływ na przyszłą ewolucję kosmicznej powieści przygodowej. Na przykład, choć *Matka w niebie diamentów* nie zalicza się do najbardziej znanych opowiadań Sheldon, a krytycy rzadko o nim wspominają, reminiscencje tej powieści da się zauważyć w wielu późniejszych utworach innych autorów, począwszy od napisanych kilka lat później prac Johna Varleya oraz wczesnych religijno-mechanistycznych opowiadań Bruce'a Sterlinga, takich jak *Swarn*, a skończywszy na nowoczesnej barokowej *space operze* z lat dziewięćdziesiątych.

W pewnym sensie zamieszczonemu tutaj opowiadaniu brakuje elegancji: autorka wtoczyła w nie tyle nowych pomysłów i tak zagęściła fabułę, że czytelnik odnosi wrażenie bliskie klaustrofobii, zmagając się w pocie czoła z tą zbitą narracją, prowadzoną brutalnie i bezwzględnie, bez zmian nastroju i przerw na zaczerpnięcie oddechu, która być może okazałaby się lepsza, gdyby była dłuższa (podobno John W. Campbell w liście odmownym nazwał to opowiadanie „skondensowaną powieścią” - i chyba miał rację). Warto jednak zwrócić uwagę na myśli biegnące w tle powieści, w miarę jak Sheldon wyczarowuje całkiem na nowo cywilizację Strefy Asteroidów znaną z dawnej fantastyki, zastępując ją osobliwym i fascynującym światem własnego pomysłu, w którym przedstawia zdalnie sterowane, ujarzmione cyborgi, biologicznie zmodyfikowanych ludzi zdolnych do życia w kosmosie, statki kosmiczne zbudowane z monomolekularnych bąbli „niby-żywej cytoplazmy”, zdegenerowanych handlarzy narkotyków oraz, co najważniejsze, całe życie wewnętrzne, różniące się radykalnie zarówno od naszego, jak i od tego, które ukazywały wcześniejsze opowiadania o mieszkańcach Strefy Asteroidów. Motywy te pojawiają się raz po raz w fantastyce lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, podobnie jak coraz częstsza myśl, że ludzie przyszłości będą inni niż my, że będą mieli odmienne poglądy, cele i wartości etyczne, ukształtowane przez rozwój techniki i wywołane tym rozwojem zmiany w życiu społecznym, a także przez nowe środowiska. W brutalnie skondensowanej treści tego krótkiego opowiadania, zawartej w niespełna dziesięciu tysiącach słów, kryją się załączki, które rozwijając się, krzyżując ze sobą i podlegając mutacjom, dały bogaty plon opowiadań w latach późniejszych.

Alice Sheldon opublikowała jako James Tiptree Jr. dziewięć zbiorów opowiadań: *Ten-Thousand Light Years from Horne*, *Warm Worlds and Otherwise*, *Star Songs of an Old Primate*, *Out of the Everywhere*, *Tales of the Quintana Roo*, *Byte Beautiful*, *The Starry Rift*; pośmiertnie wydano zbiór *Crown of Stars* oraz najnowszy, retrospektywny wybór *Her Smoke Rose Up Forever* {po polsku ukazał się wybór *Houston, Houston, czy mnie słyszysz i inne opowiadania*}.

James Tiptree Jr.

MATKA W NIEBIE DIAMENTÓW

- Właśnie idzie sygnał, inspektorze.

Dziewczyna z centrali Coronis pokazała róż swojego języka szpetnemu mężczyźnie czekającemu w statku patrolowym Strefy pół megamili dalej. I jeszcze te syfiaste kudły, pomyślała. Blee... Schowała język i dodała słodko:

- To z... Agencji Dwunastej.

Twarz mężczyzny w statku patrolowym zrobiła się jeszcze brzydsza. Nazywał się Inspektor Bezpieczeństwa Kosmicznego Goilem i cierpiał na ból brzucha.

Wiadomość o boleściach inspektora Firmy sprawiłaby przyjemność wszystkim dzikim lokatorom molekułobąbli od Deimos po Pierścienie.

Jedyną niespodzianką byłaby informacja, że inspektor Gollem ma żołądek zamiast kurczliwej taśmy z Firmy. Gollem? Wszystkimi przyjaciółmi, jakich miał Gollem, można by zasiedlić mezon, i on o tym wiedział.

Mimo wszystko jego żołądek był do tego przyzwyczajony. Jego żołądek zaczynał się nawet przyzwyczajając do pracy dla Coronis Mutual, a sam Gollem wciąż miał nadzieję, że przeżyje swojego szefa, Quine'a.

Systematycznie go dobijało coś, co ukrył poza Ajencją Czternastą, na skraju sektora Coronis.

Nachmurzony spojrział na ekran, gdzie dziewczyna Quine'a wprowadzała właśnie do logu kłopoty, z którymi miał się zmierzyć na kolejnym patrolu. Kontakt z żywą dziewczyną w roli łącznościowca miał dobrze wpływać na morale. Gollemowi nic to nie dało. Wiedział, jak wygląda, a jego żołądek wiedział, jaki będzie sygnał z Dwunastki.

Kiedy dziewczyna rzuciła to na ekran, stwierdził, że ma przed sobą zażalenie ze szperacza. Widmowe sygnały na ich liniach.

O nie! Tylko nie to.

Nie teraz, kiedy udało się wszystko załatwić.

Ajencją Dwunastą była firma West Hem Chemicals, niesforna spółka z wielką zgrają cyborgów. Wysłano by tropiciela, gdyby Goilem wkrótce tam nie dotarł. Ale jak miał to zrobić? Dopiero co był w tamtym rejonie, a teraz kierował się dokładnie pod prąd, do Ajencji Pierwszej.

- Zmienić kierunek patrolu - mruknął. - Trasa od Ajencji Czternastej. Cel, hm, nieplanowa ponowna kontrola robót strzałowych w skupisku w Jedenastce i zlecony kurs do West Hem. Przydzielić dwie dodatkowe jednostki energii.

Dziewczyna wprowadziła to do logu; nie miała nic przeciwko temu, żeby Gollem zaczął od kosmicznego śmietniska.

Przerwał połączenie i zakodował nowy kurs, starając się nie myśleć o dodatkowej energii, z której miał wytłumaczyć się przed Quine'em. Gdyby ktokolwiek dobrał się kiedyś do jego pulpitu sterowniczego i znalazł ukryte obejście logu, inspektor wydobywałby dziś rudę z elektrodami w uszach.

Potraktowawszy żołądek porcją vageezu, zauważył błąd w kodzie i poprawił go bez zadowolenia. Większość mieszkańców Strefy gładko przystosowała się do nowego, taniego napędu g-kumulacyjnego. Gollem go nie cierpiał. Trzeba było ślizgać się na wszystkie strony zadem do góry, zamiast zwyczajnie zabrać tyłek tam, gdzie się chce. Stary sposób - sposób prawdziwy.

Jestem ostatnim maniakiem maszyn, pomyślał. Opuszczonym przez Boga dinozaurem w kosmosie...

Ale dinozaur powinien mieć dość rozumu, żeby nie wplątać się w kłopoty z martwą dziewczyną.

I z „Ragnarokiem”.

Wskazówka g-sumy chwiała się na skali, przyspieszenie wtłoczyło go w węzeł napięcia pola - taką miał nadzieję. Odtrącił strąk nowego biomonitora, który wstawili mu do statku, i sprawdził, co widać na zewnątrz, zanim ekrany się rozmażą. W Strefie zawsze trafiało się coś do obejrzenia. Tym razem był to grad małych półksiężyców, które ciągnęły Gollema za sobą,

objawiając mruganiem bezład lecącego żwiru.

W niebie diamentów...

„Ragnarok” miał wielkie iluminatory, z których można było patrzeć w głąb otwartego kosmosu. Właśnie za to był kiedyś ceniony. Jego Żelazny Motyl. Gollem potarł brodę, oceniając: pięć godzin do „Ragnaroka” po sprawdzeniu gniazda dzikich lokatorów w Czternastce.

Zegar meteorologiczny podawał nowe dane, odkąd Gollem zakodował bieżące fronty i wiry pola. Inspektor dostroił urządzenia, zastanawiając się, jak żyłoby się w świecie, gdzie szaleją burze gazu i płynnej wody. Wychował się na Lunie.

Sygnał okazał się parą dobrych gatunkowo, samotnych skał nadlatujących z orbity Wielkiego J. Jow czasami ruszał jakąś skałą. Odczyt sugerował, że ta para to odłączone od grupy Trojany, które przypuszczalnie przejdą węzeł w rejonie Temidy. W tej części przestrzeni działała tylko jakaś baza medyczna. Odpowiednikiem Gollema był tam niejaki Hara - świrus, który pewnie był zbyt zajęty handlem zmutowanym fagiem, żeby zauważyć przelatujące skały. Szkoda; Trojany miały dużo gazu.

Czas na jedzenie. Gollem otworzył paczkę ovipuffu i włączył muzykę. Swoją muzykę. Dawną, potężną ludzką muzykę z pionierskich czasów. Te nowe, działające na podświadomość biozawodzenia nie były dla Gollema. Jego brał porządny elektroniczny łomot. Międził pastę wielkimi, niepotrzebnymi zębami, a w kabinie dudniło.

Nie mam dosyć - satysfakcji!

Biomonitor kurczył się w swoich strąkach. No i dobrze. Nikt cię nie zapraszał do statku Gollema, ty symbiotyczny ssacz.

Rytm pomógł. Gollem wziął się do ćwiczeń. Żeby nie zmienić się w g-zero jak Hara. Jak oni wszyscy. Kosmiczny wdzięk? Gówno. Niemodne ciało Gollema poruszało się rytmicznie i prężyło.

Goryl. Nic dziwnego, że jego własna matka spojrzała raz i tyle ją widział. *Dwa tysiące lat świetlnych od domu...* Jaki ma być dom dla Gollema? Pytanie do Quine'a, pytanie do Firmy. Teraz przestrzeń należała do Firm.

Nadszedł czas na przystanek w Czternastce.

Czternastka była typowym wcieleniem nieładu, gigantyczną masą molekułobąbli, kryjącą skupisko skał, których orbity odkształcono i zsynchronizowano długo przed przyjściem Gollema na świat. Pierwsi koloniści robili to z użyciem silników rakietowych. Ciężka sprawa. Teraz byle dzieciak z g-kumulatorem mógłby ustawić orbitę według własnego uznania.

Za każdym razem, kiedy Gollem odwiedzał ten rejon, w Czternastce było więcej bąbli - i więcej dzieciaków. Zbiorniki tkankowe, które finansowały agencję, pozostawały czyste, ale gdzie indziej bąble sięgały na wiele warstw w głąb, a ostatnie były luźne. Kończyła im się skała na metabolit do dalszego funkcjonowania. Gollem gnębił ich tym przy każdej wizycie.

- Gdzie są wasi naganiacze skał? - spytał teraz, kiedy naczelnik dzikich lokatorów pojawił się na jego ekranie.

- Wkrótce, wkrótce, inspektorze Gollem. - Naczelnik był szczupły, łysy i miał biotuner przyklejony do jednego ucha.

- Firma wam wymówi, Juki. Coronis Mutual nie utrzyma was w statusie właściciela polisy, jeśli wasz system podtrzymania życia nie będzie się nadawał do ubezpieczenia.

Juki uśmiechnął się, poruszył zieloną kluchą. Oczywiście lekceważyli skały, pograżając się w kosmicznej symbiozie. Za Jukim inspektor zauważył kilku starszych naczelników.

- Nie możecie odciąć się od usług Firmy. Nie stać was na to - powiedział ze złością. Nikt nie wiedział lepiej niż Gollem, jak skąpe były te usługi, ale gdyby ich nie było, co wtedy? - Postarajcie się o trochę skały.

Nie mógł zostać tu dłużej.

Gdy odbijał, zauważył, że jeden z luźnych bąbli ma chorobliwie purpurowy kolor. Nie jego sprawa, a czasu mało.

Przeklinając, ostrożnie zbliżył się i wsunął urządzenia łączeniowe śluzy w monomolekularną powłokę bąbla. Po otwarciu śluzy poczuł smród. Chwycił swój aparat oddechowy i wskoczył do cuchnącego bąbla. W samym środku unosiła się grupa sześciu czy siedmiu złączonych ciał, podobna do splotu żółtych kabli.

Wyrwał jedno i trysnął mu tlenem w twarz. To był dzieciak flakowór, urodzone g-zero. Gdy wachlarz oczu chłopaka poszedł w górę, Gollem pchnął postać na gnijący rdzeń metabolitu.

- Dawaliście mu fag. - Uderzył dzieciaka otwartą ręką. - Myśleliście, że się zreplikuje, tak? Zatruliście go.

Chłopak zrobił zeza, potem spojrzał prosto. Prawdopodobnie nie zrozumiał ani słowa, bo dialekt Czternastki rozwijał się szybko i coraz bardziej odbiegał od języka standardowego. Może niektórzy z nich naprawdę zaczynali się porozumiewać symbiotycznie. Roślinne postrzeganie pozazmysłowe.

Gollem wcisnął chłopaka z powrotem między unoszące się ciała i przepchnął martwy metabolit przez straceniak. Wyposzczona ścianka molekuło-bąbla była przeżarta nekrozą i ledwie się trzymała. Gollem wypróżnił swój zbiornik dwutlenku węgla i wczołgał się z powrotem do statku po nowy rdzeń metabolitu. Kiedy wrócił, niby-żywa cytoplazma powłoki bąbla zaczynała się już oczyszczać. Mogła się zregenerować, pod warunkiem że nie zostanie zatruta mutantem wiążącym dwutlenek węgla. W ten sposób ludzie budowali teraz swoje kosmiczne domy - miękkie, heterokatalityczne błony, które żyły światłem gwiazd i oddychały produktami ludzkiej przemiany materii.

Inspektor przetrząsnął skupisko poruszających się ciał i między jakąś kobietą a jej dzieckiem natrafił na worek z fagiem. Kobieta zaskomlała, gdy go oderwał. Wziął go ze sobą do statku i odłączył się ostrożnie, strumieniem odżywczego żelu pieczętując otwory po urządzeniach łączeniowych. Molekułobąbel miał wyleczyć się sam.

Wreszcie można było lecieć prosto do „Ragnaroka”.

Wstukawszy kurs do Dwunastki, Gollem zręcznie podłączył obejście logu i ustawił rzeczywistą trajektorię. Log miał czerpać dane z bufora duplikatów, kolejnego urządzenia, o którym nikt nie mógł się dowiedzieć. Inspektor zakodował zastępniki, które dopiero co wykorzystał, dokładając co nieco jak zawsze. Malwersacja. Poczuł atak żołądka.

Włączył rockową nawałnicę, aby złagodzić ból. Był kiedyś poemat o człowieku z martwym ptakiem na szyi. Gollem też miał swojego martwego ptaka. Wszystko, co dobre, było martwe - to co wolne, swobodne i ludzkie. Gollem czuł się jak widmo, nie inaczej. Wytrzymały nieboszczyk z czasów, kiedy ludzie prowadzili do gwiazd maszyny, a glony pozostawały w stawach. Kiedy jeszcze nie wymyślono tych wszystkich metabolicznych marsjańskich makromolekuł, które, otworzyć cudzysłów, oswoiły kosmos, cudzysłów zamknąć. Oswojeni mężczyźni, kobiety i dzieci oddychają przez nie, z nich biorą żywność, pilotują je, używają ich do robienia obliczeń i tworzenia muzyki - może nawet się z nimi parzą!

Steppenwolf warczał, dręczył biomonitor. Nagle zapiszczał wyszukiwacz metalu. „Ragnarok”!

Czas się rozpekł i na ekranach zajaśniała przeszłość. Gollem pozwolił sobie na szybkie spojrzenie.

Olbrzymi złoty kadłub unosił się w świetle gwiazd, obramowany diamentami na tle maleńkiego słońca. Ostatni Argo, najbardziej osamotniony Conestoga z nich wszystkich. Ogromna, dumna, niezgrabna maszyna kosmiczna, ozdobiona symbolami surowej techniki, która wystrzeliła człowieka w kosmos. „Ragnarok”, pionier wypraw do Saturna i dalej. Pięść, którą człowiek zamierzył się na bogów. Dziś tylko bezwładny kadłub dryfował w przestrzeni, zagubiony w bezmiarze, który podbił. Zagubiony i zapomniany przez wszystkich oprócz Gollema, widma przeszłości.

Nie było teraz czasu, żeby włożyć skafander i pokręcić się wokół kadłuba, pozagłądać tu i ówdzie, podłubać w archaicznym wyposażeniu. Reaktor na statku był od dawna zimny. Gollem nawet nie próbował go uruchomić; coś takiego pobudziłoby każdą sondę pola w tej strefie. Obecnie statek rozgrzewała tylko zmagazynowana w bateriach energia skradziona Quine'owi.

W środku był też martwy ptak.

Gollem zaczął przybliżać się do głównej śluzy, którą przystosował do swoich urządzeń łączeniowych. W chwili gdy do niej dotarł, wydało mu się, że ujrzał nowy bąbel mocujący się w skupisku magazynowym, które zawiesił na śluzie towarowej „Ragnaroka”. Topanga coś sobie umyśliła - ale co?

Wrota śluzy zamknęły się z miłym dla duszy zgrzytem metalu i Gollem sunął w głąb, ku dwóm koszmarnym skafandrom, które tam wisały. Nie do wiary, tak niewygodne. Jak mogli coś takiego zrobić? Ruszył przez mrok do mostku nawigacyjnego.

Przez jedną krótką chwilę jego dziewczyna tam była.

Wielkie iluminatory wypełniał kręcący się labirynt gwiazdnego światła i cieni naszpikowanych ogniem. Siedziała na kanapie dowódcy, wpatrując się w przestrzeń na zewnątrz. Ujrzał jej nieskazitelny, drapieżny profil, cień dziewczęcego ciała w mroku. Oczy spragnione gwiazd.

Potem odwróciła się i rozbłyły światła. Jego gwiazdna dziewczyna zmieniła się w to, co ją zabiło.

Czas.

Topanga była starą, schorowaną, zdziecinniałą kobietą w zaniedbanym statku.

Widział jej pomarszczoną, uśmiechniętą twarz.

- Golly? Właśnie sobie przypominałam... - Nadal był to niezwykle instrument, ten ochryply głos w gwiazdnej mgle. Przez długie lata snujący opowieści. Ona nie zawsze była taka. Kiedy znalazł ją pierwszy raz, chorą i niepanującą nad dryfującym statkiem, wciąż była jeszcze Topanga. Ostatnią, jaka się ostała.

- Używałaś komunikatora. Topango, ostrzegałem, oni są za blisko. Teraz odebrali twoje sygnały.

- Niczego nie wysyłałam, Golly. - Upiornie błękitne, szeroko otwarte stare oczy przypominały mu o miejscu, którego nigdy nie widział.

Zaczął sprawdzać urządzenia na jej pulpicie sterowniczym. Trudno było uwierzyć, że te antyki wciąż jeszcze działały. Kompletnie nieorganiczna masa obwodów elektrycznych w stanie stałym. Topanga twierdziła, że nie potrafi tego uruchomić, ale gdy doznała pierwszego ataku szału, okazało się, że potrafi. Zostawił ją wtedy w Czwórcie, uwięzioną wśród kosmicznych rupieci. Zaczęła bombardować pasma sygnałami połączenia, rozsyłając je do ludzi martwych od dwudziestu lat. Firmowa ekipa ratunkowa niemal wymiotła ją z przestrzeni,

zanim Gollem znalazł się na miejscu - musiał upozorować kolizję, żeby zadowolić Quine'a.

Jedno z urządzeń kontrolnych było aktywne.

- Topango, posłuchaj mnie. West Hem Chemicals wysyła łowcę, żeby cię znaleźć. Blokowałaś ich górników. Wiesz, co ci zrobią? W najlepszym razie znajdziesz się na oddziale geriatrycznym. Igły. Rurki. Lekarze będą tobą dyrygować i traktować cię jak rzecz. „Ragnarok” pójdzie do kolekcji trofeów kosmicznych. Chyba że najpierw go wysadzą, a ciebie razem z nim.

Dziki grymas zniekształcił jej twarz.

- Umiem zadbać o siebie. Ustawię na nich lasery.

- Nie uda ci się ich zobaczyć. - Spiorunował wzrokiem buntowniczą zjawę. Tutaj mógł zrobić wszystko, co tylko chciał; co go powstrzymywało? - Topango, mam zamiar rozebrać komunikator. Dla twojego dobra.

Uniosła zniszczony podbródek, fałdy skóry zafalowały.

- Nie boję się ich.

- Powinnaś się bać oddziału z nocnikami. Chcesz skończyć jako kłębowisko rurek, pod tym całym ciężeniem? Zdemontuję komunikator.

- Nie, Golly, nie! - Patyki jej rąk zabębniły w panice, trzęsąc zwiotczałą skórą. - Nie tknę go, będę pamiętać. Nie odbieraj mi ostatniej deski ratunku. Proszę, nie rób tego.

Głos jej się załamał, a Gollem poczuł skurcz żołądka. Nie mógł patrzeć na tego stwora, który wchłonał jego dziewczynę. Gdzieś w środku Topanga błagała o wolność, spragniona ryzyka. Bezpieczeństwo, bezsilność, ratunek? To nie tak.

- Jeśli wypchnę cię poza zasięg West Hem, obejmą cię trzy inne. Topango, dzieciно, następnym razem nie dam rady cię uratować.

Teraz spoczywała bezwładnie, otulona marsjańskim kocem tlenowym, który od niego dostała. Dostrzegł w półmroku błękitną poświatę i poczuł w ustach smak żółci. Uwolnij mnie, więdźmo. Rozstań się z życiem, zanim mnie też zabijesz.

Wziął się za kodowanie jednostki g-sumy, którą tu zainstalował. Wiedział, że jest zupełnie nieodpowiednia do masy „Ragnaroka”, ale można było przeciążyć statek na czas przemieszczenia i przywrócić go do równowagi przy następnej okazji, pod warunkiem że uda się go znaleźć bez zbytnej straty energii.

Zza jego pleców dobiegł chrapliwy szept.

- Dziwny stan, starość... - Fantom soczystego śmiechu dziewczyny. - Opowiadałam ci kiedyś o tym, jak pole zmieniło kierunek, wtedy na Tetydzie?

- Opowiadałaś. „Ragnarok” się poruszył.

- Gwiazdy - powiedziała rozmarzonym głosem. - Hart Crane był pierwszym poetą kosmosu. Posłuchaj.

Gwiazdy kreślą w oczach mroźne sagi,

lśniące pieśni przestrzeni bez dna.

O, srebrne, stalowe...

Gollem usłyszał szcęk gdzieś w obrębie kadłuba.

Ktoś próbował wydostać się ukradkiem z „Ragnaroka”.

Gollem spuścił się szybem do służby towarowej i zastał ją w cyklu pracy, więc zawrócił, by wydostać się na zewnątrz przez swój własny statek, pozostawiony w głównej służbie. Za późno. Gdy wpadł do kabiny, na ekranach widać było, jak zza nowego bąbla startuje dziwna gondola.

Głupi, głupi!...

Włożył skafander i wyczołgał się na zewnątrz po kadłubie „Ragnaroka”. Nowy bąbel był nadal miękki, w większości z odżywczego żelu. Przyciskając do niego twarz, Gollem uszkodził swój aparat oddechowy.

Wrócił do Topangi siny ze złości.

- Pozwalasz, żeby handlarz fagiem parkował na „Ragnaroku”!

- To był Leo? - zaśmiała się dwuznacznie. - On jest kurierem z następnej strefy... z Temidy, tak? Wstępuje czasem. Zachował się wobec mnie wspaniale, Golly.

- To śmierzący handlarz fagiem i ty o tym wiesz. Kryłaś go. - Gollemowi zrobiło się niedobrze. Dawna Topanga wyrzuciłaby Leona ze śmieciami. - Tylko nie fag. Nie fag do tego wszystkiego, Topango.

Wiekowe powieki kobiety opadły.

- Dobrze, Golly. Ale tak długo jestem sama - szepnęła. - Zostawiasz mnie na tak długo.

Wyciągnęła zwiędłą rękę, szukając go po omacku. Pod pokrytą brązowymi plamami skórą krzyżowały się linie jej wątego pulsusa. Guzy, żyły. Gdzie się podziały ręce dziewczyny, która utrzymała obóz na Tetydzie?

Podniósł wzrok na szereg hologramów nad lukiem i tam ją zobaczył. Uchwycono ją w chwili, gdy uśmiechała się szeroko do czarnego bezmiaru, a nieokiełznane światło pierścieni Saturna odbijało się w jej czerwonozłoty włosach...

- Topango, matko najdroższa - powiedział z bólem.

- Nie nazywaj mnie matką, ty papierowa kosmiczna świni! - wybuchnęła. Poderwała się z kanapy pilota i Gollem musiał usadzić ją z powrotem, choć za nic w świecie nie chciał tej mumii dotknąć. Wystarczyłoby ćwierć g, żeby połamać jej kruche kości. - Powinnam nie żyć - wymamrotała. - To nie potrwa długo, wreszcie się mnie pozbędziesz.

„Ragnarok” był już przygotowany, Gollem mógł ruszać dalej.

- Trzymaj się, astronautko, trzymaj się - powiedział ciepło. W żołądku gniotły go możliwe wersje dalszych wydarzeń. Żadna nie była dobra.

Wychodząc, usłyszał, jak Topanga mówi pogodnie „Kardany, kontrola” do swojego nieczynnego komputera.

Wystartował do Agencji Dwunastej i West Hem, szybko nabierając prędkości. Właśnie przełączył log z powrotem na czas rzeczywisty, gdy usłyszał pisk komunikatora. Ekran pozostał pusty.

- Podaj tożsamość.

- Czekałem na ciebie, Gollem - niewyraźny tenor; Gollemowi zadrgała broda. - Odlotowa łajba. - Chichot. - Dyro w Coronis musowo namierza tę łajbę.

- Trzymaj się z dala od „Ragnaroka”, chyba że chcesz stracić swój zapas powietrza - powiedział Gollem do handlarza fagiem. Znowu chichot.

- Moi kumple musowo się tym martwią, stary.

Brzęknęło i Gollem usłyszał swój głos: „Topango, dziecino, następnym razem nie dam rady cię uratować”.

- W porządku, stary, w porządku. Po co nadawać o wojnie?

- Udław się swoimi taśmami - powiedział Gollem zmęczonym głosem. - Nie będziesz mną manipulować, jak manipulujesz Harą.

- Panga - odparł niewidoczny Leo w zamyśleniu. - Odlotowa babka. Mówiła, że jej zgasłem pożar w obwodach?

Gollem przerwał połączenie.

Fagarz pewnie puścił dym z jakiegoś obwodu, by zdobyć jej zaufanie. Żołądek Gollema uronił łyż kwasu. Tak bezbronna. Stara, schorowana orlica pogrzebana w kosmosie. Teraz znalazły ją szczury...

Tamci też nie dadzą za wygraną. „Ragnarok” miał powietrze, wodę, energię. Nadajniki. Może używali jej komunikatora, może mówiła prawdę. Mogli przejąć statek. Wypchnąć ją przez służbę...

Dłoń Gollema zawisła nad pulpitem.

Gdyby teraz zawrócił, log wszystko by skasował. I po co? Nie, zdecydował. Oni czekają, najpierw powęszą. Mnie też chcą dostać. Chcą sprawdzić, ile forsy mogą wyciągnąć. Oby się nie dowiedzieli.

Musiał zdobyć gdzieś dodatkową energię i przenieść „Ragnaroka”. Ale jak? Równie dobrze mógłby próbować ukryć Wielkiego Jowa.

Teraz dopiero zauważył, że tłukł w biomonitor, aż zmienił go w niezdrowo żółtą kluchę, a potem cisnął nim przez kabinę... Jak długo jeszcze miało trwać mitygowanie Coronis?

Jak na zawołanie, zabeczła gorąca linia Firmy.

- Dlaczego nie jesteście w Agencji Drugiej, Gollem? To był Ouine, sam szef. Gollem wziął głęboki oddech i powtórzył plan zmiany kursu, obserwując, jak Ouine zaciska małe, ryjkowate usta.

- Wy tłumaczycie się potem. Teraz posłuchajcie, Gollem. - Ouine odchylił się do tyłu w swoim biogiętku, różowy i pulchny. Na stacji Coronis wygodnie się żyło. - Nie wiem, co wyczyniacie z Agencją Trzecią, ale chcę, żebyście z tym skończyli. Górnicy podnoszą wrzask, a nasza Firma nie będzie tego tolerować.

Gollem potrząsnął swą kudłatą głową jak ogłuszony byk. Agencja Trzecia? Aha, ta spółka od wydobycia metali ciężkich.

- Oni przeładowują dźwigary ciągnikowe przy wybieraniu na gorąco - powiedział. - To jest w moim raporcie. Jeśli nie przestaną, będą mieli jedną wielką jatkę. I nie dostaną odszkodowania, bo w aneksie do umowy są podane limity ładunków.

Szczęki Quine'a zadrgały złowrogo.

- Gollem, ostrzegam was jeszcze raz. Wasza praca nie polega na tłumaczeniu warunków umowy właścicielowi polisy. Jeśli górnicy chcą zerwać kontrakt, żeby szybciej wydobywać rudę, to ich sprawa. Waszym zadaniem jest zgłoszenie naruszenia umowy, a nie zawracanie im głowy sprawami technicznymi. W tej chwili oni są bardzo źli. Na was. I ufam, że nie wyobrażacie sobie, że nasza Firma... - pełna szacunku pauza - docenia waszą inicjatywę?

Gollem zdusił w gardle nieartykułowany odgłos. Powinien być do tego przyzwyczajony. Firma Coronis chciała dostać swoją działkę szybko i zarazem uniknąć płacenia odszkodowania, gdyby coś poszło źle. Górnikom płacono od ładunku wózka, a większość z nich nie potrafiła odróżnić aneksu do umowy od zaworu spustowego. Zanimby zdążyli coś zrozumieć, byliby martwi.

- Następną sprawą. - Ouine bacznie go obserwował. - Być może, będziecie dostawać sygnały z sektora Temidy. Zdaje się, że bardzo się tam przejmują jakimś kawałkiem skały.

- Chodzi o te Trojany? - Gollem był zaskoczony. - Co tam jest?

- Rozmawialiście z Temidą?

- Nie.

- Bardzo dobrze. Nie będziecie, powtarzam: nie będziecie zbaczać z trasy patrolu. Nasze

stosunki z wami są w tej chwili bardzo napięte. Jeśli wasz log pokaże cokolwiek w związku z Temidą, zostaniecie wydaleny z Firmy i zastosuje się przeciwko wam prawo zastawu względem waszego debetu emerytalnego. Oraz pożegnacie się z prawami transportowymi. Czy wyrażam się jasno?

Gollem przerwał połączenie. Gdy udało mu się opanować drżenie rąk, włączył „Pogodę”, by sprawdzić aktualne orbity Trojanów. Według bieżących obliczeń obie skały miały przejść węzeł w sektorze Temidy, ale z dala od centrali. Zmarszczył brwi. Kto miał na tym ucierpieć? Efemeryda pokazywała w ogólnej przestrzeni tylko nową bazę medyczną, zarejestrowaną jako Niezależna, bez żadnych szczegółów. Wydawało się to jasne. Jeśli ten zaćpany Hara...

Gollem chrząknął. Teraz zrozumiał. Ouine miał nadzieję, że w Temidzie zrobi się zamieszanie, które skłoni Ceres Control do przekazania mu części tego sektora. A baza medyczna nie jest Firmą, można ją poświęcić dla celów promocyjnych. Naprawdę świetny manewr. Grube miliony dla Quine'a, gdyby się udało.

Właśnie wchodził do West Hem Chemicals. Zanim zdążył nadać sygnał, jego głośnik zaczął wyrzucać z siebie przekleństwa naczelnego cyborga. Gollem skręcił w bok, żeby maksymalnie złagodzić swoje wtargnięcie na ich linie teoretyczne, tymczasem naczelnik uspokoił się na tyle, by inspektor mógł go poinformować, że skasował ich szperacza.

- To była stara sonda pola - skłamał. Ciekawe, czy zidentyfikowali „Ragnaroka”.

- Wychodź łukiem. Idź. - Staremu cyborgowi było zupełnie wszystko jedno. Miał wtyczki elektrod na całej czaszce, a z jego knykci wychodziły przewody. Chociaż Gollem żywił duży sentyment do metalu, to była przesada. Wycofał się czym prędzej. Ludzie w West Hem - a może raczej nieludzie - byli podłączeni do układów sterowania automatycznych instalacji rafineryjnych umieszczonych na pobliskich skałach, a Gollem właśnie przedzierał się przez ich obwód nerwowy. Nie zdziwiłby się, gdyby pewnego dnia zaczęli do niego strzelać.

Następnym przystankiem miało być skupisko w Jedenastce, powoli orbitujący kompleks na obrzeżu Szczeliny Kirkwooda, w newralgicznym miejscu. Gdyby w tamtym rejonie zaczęli tracić skały, mogliby wywołać chaos w całej strefie.

Gdzie było skupisko, tam mieli też jednostki energii, i to mnóstwo. Gollem zabrał się za analizę parametrów „Ragnaroka”. W tej samej chwili zaczął go męczyć żołądek; spółka, która wzięła w dzierżawę Jedenastkę, miała wielkie plany utworzenia samowystarczalnej kolonii niedużym kosztem. Jednostki energii były im potrzebne do sprowadzania skał bogatych w gaz.

Gdy dotarł do celu, przekonał się, że mieli też inne problemy.

- Zrobiliśmy obliczenia dla ewentualności dwa sigma - powtórzył naczelnik Jedenastki zmęczonym głosem. Stali przy monitorze wyświetlającym tory skał, które spółka zamierzała wysadzić.

- Nie wystarczy - odparł Gollem. - Punkt zbieżności macie zasmarowany jak diabli. Ucieknie wam jakaś duża, to polecą prosto do Dziesiątki.

- Ale Dziesiątka nie jest zajęta - zaprotestował naczelnik.

- Nieważne. Jak myślicie, dlaczego dostaliście tę agencję tak tanio? Firma bardzo się cieszy, że przydzieliła wam to złożę, i tylko czeka, żebyście stracili jedną skałę, bo będzie mogła unieważnić umowę i sprzedać waszą agencję drugi raz. Nie mogę niczego uznać, chyba że zrobicie nowe obliczenia.

- Ale wtedy musielibyśmy kupić dane wejściowe od Centrali Ceres! - zaskamlał naczelnik.

- Nie stać nas na to.

- Trzeba było przyjrzeć się czynnikom niestałości, zanim podpisaliście umowę -

powiedział Gollem drewnianym głosem. Żałował, że naczelnik ma wszystkie włosy; łatwiej byłoby zrobić coś takiego łysemu.

- Więc wprowadzę przynajmniej skały, które uzbroiliśmy - jęknął błagalnie naczelnik.

- Ile tam macie jednostek po jednym g? - Gollem wskazał gestem.

- Dwadzieścia jeden.

- Wezmę sześć i wszystko zatwierdzą. To tańsze niż nowe obliczenia. Szczeka naczelnika obwisła, zwarła się z warknięciem.

- Ty zaćpany gnoju!

Nagle za nimi rozległ się pisk. Dziewczyna od łączności zdarła z głowy słuchawki. Naczelnik wyciągnął rękę i pstryknął wyłącznikiem głośnika. Bąbel wypełnił się przeraźliwym jazgotem, dochodzącym ze wszystkich pasm. Gollem przez moment myślał, że to czoło rozbłysku, ale po chwili rozróżnił w hałasie ludzki krzyk.

- Mayday!!! Ma-a-y-day-aay!!! Go-ollee!!!...

O nie! O Boże, nie! Trzasnął w wyłącznik głośnika i poczuł, że cały zlewa się potem.

- Co, do jasnej... - zaczął naczelnik.

- Stara radiolatarnia w Szczelinie. - Gollem przepchał się przez nich. - Muszę ją skasować.

Włądował się do swojego statku i podłączył dopalacz. Nie było teraz czasu na jednostki energii. Krzyk znaczył, że Topanga znalazła się w prawdziwych tarapatach, bo nie wzywała nieboszczyków.

Gdyby podłączył dopalacz zapasowy, mógłby przeciąć krzywe pola, żeby skrócić sobie drogę. Surowo *verboten*. Zrobił to, po czym utworzył kanały łącznościowe. Topangi tam nie było.

Pożar? Kolidzja? Raczej Leo i jego kumple zrobili swój ruch.

Rzucił się z prądem, tracąc moc na wykrzywienie czasoprzestrzeni i jednocześnie manipulując mechanicznie pulpitem w nadziei, że ściągnie jakieś sygnały fagarzy, cokolwiek. Złapał tylko daleki terkot ośrodków górniczych i parę rozmów łącznościowców z różnych baz, którzy wypytywali się nawzajem, co znaczył nadany przed chwilą mayday. Ktoś w Sektorze Temidy monotonnie wzywał inspektora Hare. Hara jak zwykle nie odpowiadał; z centrali Temidy dochodził tylko automatyczny sygnał stanu pogotowia. Gollem przeklinał ich wszystkich równo, próbując zmusić swój mózg do stworzenia jakiegoś planu.

Dlaczego fagarze tak szybko ruszyli na „Ragnaroka”? Konfrontacja nie była w ich stylu. Gdyby Gollem się ulotnił, straciliby statek, musieliby poradzić sobie z nowym inspektorem. Po co mieliby ryzykować, kiedy znaleźli sposób na Gollema?

Może stwierdzili, że nie ma żadnego ryzyka. Pięść Gollema wybijała na tunerze ciężki rytm. *Czarne jest...* Ale muszą mieć ją żywą, dopóki tam nie dotrę. Chcą przecież mnie.

Co robić? A gdybym zagroził, że zawiadomię Ceres Control? Nie ma co o tym myśleć. Wiedzą równie dobrze jak ja, że jeśli Firma zrobi nalot, Topanga skończy na oddziale geriatrycznym, „Ragnarok” w parku trofeów Quine’a, a ja z czaszką w klatce... Jak wyrwać Topangę z ich rąk? Jeśli będę próbował ich zwodzić, na początek potraktują nas oboje fagiem. Dawką uzależniającą. Jak mogłem tak ją zostawić?!

Właśnie sunął po tej orbicie udręki po raz n-ty, gdy zauważył, że głos z Temidy jest mocniejszy i próbuje dosięgnąć Coronis, swojej rodzimej bazy. Poprawka: rodzimej bazy Quine’a. Brak odpowiedzi.

Za radą swojego żołądka Gollem włączył fonię.

- Baza medyczna Temida do centrali Coronis, stan zagrożenia. Proszę o odpowiedź,

Coronis. Baza medyczna Temida wzywa Coronis, stan zagrożenia, proszę...

Kobieta na pewno nie była łącznościowcem.

W końcu dziewczyna Quine'a zaszcebiotała:

- Temida, zakłóćcie naszą łączność. Proszę stłumić sygnał.

- Coronis, to jest stan zagrożenia. Potrzebujemy pomocy; będziemy mieli zderzenie!

- Temida, połączcie się z oficerem patrolu bezpieczeństwa sektora, nie mamy upoważnienia pozasektorowego. Zakłóćcie naszą łączność.

- Nasza baza nie odpowiada! Musimy dostać pomoc, mamy straty w ludziach...

Wtrącił się głos męski.

- Coronis, proszę natychmiast połączyć mnie z waszym naczelnikiem. To jest kluczowa sprawa medyczna.

- Temida, naczelnik sektora Quine obecnie przebywa poza stacją. Jesteśmy w grupie obsługi wahadłowca towarowego, który czeka na marsjańskie okno startowe; proszę wstrzymać łączność i zgłosić się po starcie.

- Ale...

- Bez odbioru.

Gollem skrzywił się, próbując wyobrazić sobie Quine'a poza stacją.

Znow bił się z myślami. Kobieta z Temidy dalej wzywała centralę:

- Jesteśmy na trasie zderzenia, potrzebujemy mocy, żeby się przemieścić. Jeśli ktoś może nam pomóc, proszę, niech się zgłosi. Baza medyczna Temida...

Przerwał połączenie. Wystarczył mu własny „Ragnarok”, do którego właśnie się zbliżał.

Istniała niewielka szansa, że jeszcze na niego nie czekają. Wyłączył napęd i zaczął dryfować. Gdy obraz na ekranach stał się czysty, zobaczył światło poruszające się wśród bąbli za śluzą towarową.

Jedyna możliwość zdobycia przewagi, pod warunkiem że jeszcze nie wprowadzili się z fagiem na pokład.

Chwycił pokręta sterownicze laserów niszczących i pchnął statek patrolowy prosto na główną śluzę „Ragnaroka”. Promień lasera prześlizgnął się po bąblach, odcinając dwa solidne plastry, zanim Gollem musiał zacząć hamować. Siła zderzenia rzuciła go na pulpit. Urządzenia łączeniowe zaskoczyły i Gollem dał susa głową naprzód do śluzy. Gdy zaczęła cykl pracy, odpalił sterowanie ręczne, wyzwalaając sygnały alarmowe w całym statku. Potem był już po drugiej stronie i sunął w górę szybu, obijając się o ściany. Wśród syren słyszał szczęk; fagarze wysypywali się przez śluzę towarową, by ratować swoje bąble. Wiedział, że jeśli zdoła dostać się pierwszy do mostku nawigacyjnego, będzie mógł zatrzasnąć ich na zewnątrz.

Zwinął się, odbił się nogami od orurowania i poleciał do mostku, wyciągając rękę w stronę dźwigni awaryjnego zamykania włazów. Nie używało się jej od dziesiątków lat - o mało co nie złamał sobie nadgarstka, szarpiąc za nią wbrew swojej własnej bezwładności, jednak w końcu nagroził go rozkoszny zgrzyt zatrząsków włazu daleko w dole.

Potem odwrócił się do kanapy dowódcy, gdzie powinna być Topanga, i zobaczył, że się spóźnił.

Rzeczywiście tam była; trzymała ręce przy szyi i miała błędny wzrok. Obok niej stała w swobodnej pozie chuda postać, ściskająca w garści koniec pętli z drutu, która oplatała gardło Topangi.

- Musowo świetna sprawa, stary. - Fagarz uśmiechnął się szeroko. Przez moment Gollem nie był pewien, czy Leo zauważył ręczny laser, z którego Gollem do niego mierzył. Potem

sposzrzęgl, że fagarz trzyma spawarkę przystawioną do boku Topangi. Nakładka ochronna była zdjęta.

- W porządku, Golluś. Nie strzelać.

Nie było rady. Po chwili Gollem puścił broń przed siebie w taki sposób, żeby przeleciała obok ramienia Leo. Fagarz nie chwycił przynęty.

- Otwieraj. - Leo gwałtownym ruchem głowy wskazał dźwignię od włazu, a Topanga wydała bulgoczący jęk.

Gdyby Gollem otworzył właz, gra byłaby skończona. Wisiał nieruchomo, próbując wyczuć swoim skulonym ciałem coś trwałego za plecami, oceniając szansę na skok.

Fagarz szarpnął drutem. Topanga bezładnie zamachała rękami. Jedno straszne oko wyróciło się na Gollema. Błysk w tym oku chciał powiedzieć: nie!

- Jeśli ją zabijesz, urwę ci głowę i wyrzucę przez straceniak. Fagarz zachichotał.

- Po co nadawać o zabijaniu? - Nagle przekreślił Topangę do góry nogami, tak że jej gołe stopy wyciągnęły się w stronę Gollema. Wierzgnęła słabo. Dziwne, miała stopy jak u młodej dziewczyny.

- Otwieraj!

Gdy Gollem się nie poruszył, ramię fagarza zatoczyło zgrabny łuk, puszczając płomień z palców. Elektroda chlasnęła raz, nawróciła, chlasnęła znów, sprawiając, że Topanga wstrząsnęły konwulsje. Jedna z dziewczęcych stóp odleciała, ciągnąc za sobą sznur kropelek. Gollem ujrzał biały patyk, celujący w niego z poczerńiałego kikuta. Topanga przestała się miotać.

- No, no! - Fagarz uśmiechnął się szeroko. - Musowo twarda sztuka. Otwieraj.

- Puść ją. Puść. Otworzę.

- Otwieraj od razu. - Spawarka znów się poruszyła.

Nagle Topanga zrobiła słaby skręt ciałem, szukając krocza Leo. Fagarz schylił głowę.

Gollem wypchnął ramię do przodu, szarpnął je w przeciwną stronę. Spawarka przeleciała przez całąabinę, a Gollem i Leo zwarli się i zaczęli szamotać, oślepieni szatą Topangi. Fagarz miał teraz nóż, lecz nie mógł złapać równowagi. Gollem poczuł, że w talii ściskają go nogi, i skorzystał z dogodnej chwili, żeby odepchnąć Topangę na bok. Na uprzątniętym polu walki zamknął fagarza w ciasnym uścisku i począł wściekle zgarniać plon swojego wkładu w budowę masy mięśniowej.

Właśnie szukał drutu, żeby związać ciało, gdy coś huknęło go w tył głowy i światła zgasły.

Kiedy się ocknął, Topanga wrzeszczała:

- Val, Val! Mam ich!

Przywierała mocno do krępującego jej ruchy pulpitu sterowniczego i ścisnęła w obu dłoniach antyczny gromownik, mierząc prosto w Gollema. Lufa ziała dymem jakieś trzydzieści centymetrów od jego brody.

- Topango, to ja, Golly. Ocknij się, astronautko, pomóż mi go związać.

- Val? - Roześmiana, rozkrzyczana młoda dziewczyna. - Mam zamiar wykończyć mordercze matki, Val!

Valentine Orlov, jej mąż, spędził trzydzieści lat w śniegach Ganimeda.

- Val jest zajęty, Topango - powiedział Gollem łagodnie. Dochodziły go przenoszone przez kadłub odgłosy, które wcale mu się nie podobały. - Val przysłał mnie, żebym ci pomógł. Odłóż ten gromownik, astronautko. Pomóż mi związać to ścierwo. Właśnie próbują ukraść mój statek.

Nie było kiedy go zamknąć, przypomniał sobie teraz.

Topanga wytrzeszczyła na niego oczy.

-*Dlaczego tu często widzę twoją twarz?* - zagderała. -*Oczy jak brudne tace...*

Zemdlała. Gollem rzucił się szybko w dół, do służby.

Jego statek patrolowy oddalał się, schodząc z bieżącej trajektorii. Doczepiono do niego gondolę handlarzy fagiem.

Gollem został bezsilny na „Ragnaroku”.

Wściekły rzucił się z powrotem do pulpitu na mostku. Udało mu się raz plunąć w uciekinierów słabą serią z laserów, gdy nabierali przeciążenia. Bez skutku. Wtedy przyciągnął Leo za głowę i trzasnął w nią kolanem, potem zaś zabrał się za uzdrawianie Topangi zastrzykiem w jej stare, pajęczynowe żyły. Jak, u diabła, te szpony utrzymały gromownik? Pokrył jej oparzenia powłoką żeluzynu, zgrzytając zębami, z trudem tłumiąc rewolucję w swoim żołądku. Na koniec posprzątał, powlekłszy fagarza i stopę do zsypu na śmieci.

Trzymając dłoń na przycisku otwarcia zsypu, zmarszczył brwi w zamyśleniu. Mógł wykorzystać jakieś informacje od Leo - co knuli w jego sektorze patrolowym?

Potem przemógł się i pięścią wdusił spust. Jego sektor?

Gdyby Firmy go dopadły, spędziłby resztę życia z przewodami podłączonymi do mózgu, splacając statek patrolowy. Jeśli miałby szczęście. Nie było rady, nie miał gdzie się podziać. Kosmos należał do Firm. Gollem naprawdę znajdował się teraz dwa tysiące lat świetlnych od domu - na niesprawnym statku.

Niesprawnym?

Odrzucił włosy do tyłu i uśmiechnął się szeroko. „Ragnarok” miał bogaty ekosystem, Gollem tego dopilnował. Nikt oprócz fagarzy nie wiedział, że statek jest tutaj, więc Gollem mógł utrzymać go poza zasięgiem Firmy jeszcze przez jakiś czas. Może dość długo, żeby sprawdzić, czy da się wyłudzić trochę mocy z molochowni, nie alarmując sektora. Nagle roześmiał się w głos. Gdzieś w głębi jego umysłu zardzewiała okiennica otworzyła się na oścież, wpuszczając jasność.

- Człowieku, człowieku! - zamruczał i wetknął głowę do komory regeneracji, by sprawdzić stan długich tac kultur ciągnących się pod światłami.

Minęła minuta, zanim zrozumiał, co było nie w porządku.

Nic dziwnego, że fagarze wrócili tak szybko; nic dziwnego, że Gollem wyszedł na głupca. Zasiali wszystko fagiem. Fabryka. Na pierwszych tacach wkrótce miały pojawić się zarodniki, powietrze było lepkie. Wywlekl tace z dojrzałym fagiem i wyrzucił je poza statek.

Potem wczuł się z powrotem do komory na dalsze oględziny. Na każdym regale fotosyntetyczne glony zaczynały zbijać się w bryłę, koagulując z podobnym do porostu, symbiotycznym tworem, którym był fag. Ani jednej nieskażonej tacy.

W ciągu kilku godzin „Ragnarok” miał stracić całe powietrze.

Ale Gollem i Topanga nie musieli się tym przejmować. Dużo wcześniej czekał ich skok ze statku w szale fagodlotu.

Gollem już teraz czuł, że porządnie dostał.

Wpuścił trochę tlenu do wentylatorów i skoczył z powrotem na mostek. Trochę czystego metabolitu albo śmierć.

Kto miał dać mu powietrze? Nawet gdyby zdołał przemieścić „Ragnaroka”, wywołałby poruszenie w bazach i agencjach. Równie dobrze mógłby nadać sygnał do Coronis i oddać się odurzeniu. Może Quine’owi nie chciałoby się przylatywać po nich na czas. Może tak lepiej.

Oddział. Przewody.

Topanga jęknęła. Gollem dotknął jej skroni. Gorące jak plazma; starsze panie z jedną nogą krótszą nie powinny bawić się w wojnę. Przetrzęsnał zapas biogenów, nie mogąc nadziwić się bogactwu fiolek, ampułek, tabletek, hiposprayów. Łykanie Bóg wie czego, żeby tylko zostać przy życiu. Kontrabanda zebrana przez nią i Vala w dawnych wolnych czasach; zasoby, którymi można by wyposażyć...

Chwileczkę.

Baza medyczna Temida!

Dostroił pulpity „Ragnaroka”. Kobieta z Temidy wciąż nadawała, mówiąc nisko i ochryple. Nastawił antenę na możliwie najwęższe pasmo.

- Baza medyczna Temida, jak mnie słyszysz?

- Kto to? Kto mówi? - Zaskoczona kobieta oderwała się od książki kodowej.

- Tu kosmiczna misja badawcza. Mam rannego.

- Gdzie... - Męski głos przejął prowadzenie rozmowy. - Tu główny medyk Kranz, astronauto. Może pan dostarczyć rannego, ale leci na nas samotna skała z chmurą żwiru. Jeśli w ciągu jakichś trzydziestu godzin nie uda nam się zdobyć energii, żeby przemieścić stację, skała w nas uderzy. Potrafi pan nam pomóc?

- Możecie wziąć to, co mam. Sprawdźcie współrzędne.

Kobietę zamurowało nad rachunkiem dziesiętnym. Nie było sensu mówić im, że nie mają na co liczyć. Jednostka g-sumy, którą Gollem miał na „Ragnaroku”, nie wystarczyłaby do przepchnięcia bazy przed przylotem komety Halleya. A gdyby napęd „Ragnaroka” zadziałał, wyglądałoby to jak ocieranie sobie oka lampą lutowniczą.

Ale ich powietrze mogło pomóc Gollemowi.

Napęd. Gollem rzucił się ku przejściu do maszynowni, wiedząc, że sprężystość, która gra mu w mięśniach, to po części fag. Tylko po części. Tysiąc razy był w tym miejscu, tysiąc razy opierał się pokusie. Teraz zaczął radośnie badać obwody, które zrekonstruował, włożył na miejsce dawno wyciągnięte bezpieczniki. Zapieczetowana rezerwa hipergolu była przeznaczona na zapłon. Zadziwiający proces konwersji, wyśnione w koszmarach instalatorów wymienniki ciepła i obieg wsteczny. Szaleństwo, marnotrawstwo, brak bezpieczeństwa. Dość obwodów, by okablować całą Strefę. Trudno uwierzyć, że to zaniósł człowieka na Saturna, a jeszcze trudniej, że zadziała dziś.

Szczęknał układem sterowniczym. Nie wiadomo, co się skryształizowało. Rynny paliwowe konwertera wytrząsnęły kurz gromadzący się od trzydziestu lat. Rezerwę zapłonową prawdopodobnie zaplanowano na jedno odpalenie awaryjne. Pytanie tylko, czy da się zrobić to drugi raz, żeby zahamować. Okaże się po drodze. Jedno wiadomo na pewno: kiedy ten czcigodny wulkan z metalu wybuchnie energią, wszystkie pulpity stąd do Coronis rozbłyszczą jak na komendę.

Gdy Gollem wrócił na mostek, Topanga szeptała:

-Niebo zostało otulone w noc... O, wiedzo stalowa, której skok...

- Módl się, żeby rzeczywiście skoczył - powiedział jej i zaczął wyznaczać kurs, sprawdzając wszystko po dwa razy przez wzgląd na fagmyszy harcujące w półmroku. Pozwijał tkaniny Topangi.

Uruchomił zespół zapłonowy.

Infradźwiękowe dudnienie, które poczęło narastać w „Ragnaroku”, wypełniło go przerażeniem i rozkoszą. Rzucił się w kłęb tkanin, żałując, że nic nie mówił, nawet nie

odliczał. Start. Dudnienie przeszło w ryk huty. Przeciążenie zważyło się na Gollem całą siłą. Wszystko w kabinie zaczęło spadać na pokład. Tkaniny poszły w bok, a ryk zmienił się w wizg, który rozszczępił mu mózg, po czym stopniowo ucichł.

Gdy Gollem z trudem dosunął się z powrotem do pulpitu, okazało się, że odrzut wysłał statek w dobrym kierunku. „Ragnarok” pędził w stronę Temidy. Gollem zobaczył, że Topanga otwiera oczy.

- Dokąd lecimy? - W jej głosie nie brzmiała nuta szaleństwa.

- Zabieram się do następnego sektora, do Temidy. Potrzebujemy metabolitu, tlenu. Fagarze zniszczyli twoje regeneratory.

- Do Temidy?

- Tam jest baza medyczna. Dadzą nam trochę. Błąd.

- O nie, nie! - Podniosła się z wysiłkiem. - Nie, Golly! Nie pójdę do szpitala, nie pozwól im mnie zabrać!

- Nie idziesz do szpitala. Kiedy pójdę po rdzenie, ty zostaniesz tutaj, na statku. Nie dowiedzą się o tobie. Po paru minutach już nas tam nie będzie. Nic z tego.

- Niech cię Bóg skarże! - Spróbowała splunąć. - Chcesz mnie złapać w pułapkę. Znam cię! Nie chcesz mnie puścić wolno. Nie pogrzebiesz mnie tutaj. Gnij w Księżycowej Kopule ze swoim szkaradnym szczeniakiem, ja lecę do Vala!

- Uspokój się, astronautko, marudzisz. - W końcu dał jej coś na uspokojenie i zajął się z powrotem nauką obsługi „Ragnaroka”. Fag właśnie zaczynał działać naprawdę mocno. Kiedy Gollem spojrzał w górę, okazało się, że hologramy obserwują, jak prowadzi ich statek. Dawni gwiazdni bohaterowie. Val Orlov, Fitz, Hannes, Mura, wszyscy wielcy w komplecie. Tu i ówdzie tylko szeroki uśmiech ukryty w zalanym złotem hełmie, nazwisko na skafandrze obok jakiegoś idiotycznego fragmentu maszyny. Za nimi - pustkowie kosmosu błyszczące światłem nieznanymi księżyców. Wszyscy żywi, wszyscy tacy młodzi. Była też Topanga, otaczająca ramieniem tę drugą astronautkę, ciemnoskórą Rosjankę, która nadal orbitowała wokół Io. Uśmiechali się do niego szeroko, pogodni i żywi.

Kiedy zaczną mówić, to będzie nasz koniec...

Sprawdził żyroskopy, aby ustawić „Ragnaroka” odpowiednio do odrzutu hamującego, mając nadzieję, że położenie będzie właściwe. Jeśli można było wierzyć zegarom, zapłonu miało starczyć na hamowanie i na jeden ostatni raz: na ucieczkę z bazy medycznej. Ale dokąd? W niebo diamentów...

Przyłapał się na nuceniu i postanowił przełączyć wszystko na automatycznego pilota. Niezależnie od stanu tego komputera spodziewał się po nim więcej rozsądku niż po sobie.

Widziałaś swą matkę, mała, jak w ciemności stała?...

Kiedy zaczął słyszeć Stonesów, pośpieszył na dół i wyrzucił połowę tac. Na widok trzech pozostałych zbiorników tlenu zrobiło mu się wesoło. Otworzył jeden.

Otrzeźwiony, sprawdził zegar meteorologiczny. Kobieta z Temidy nadal próbowała wywołać centralę. Oparł się pokusie oświecenia jej co do natury Firm i skoncentrował się na uaktualnionych orbitach samotnych Trojanów. Teraz zobaczył, czym trapili się w bazie medycznej. Przednia skała miała ich minąć o megamile, jednak była tak wielka, że poruszyła mnóstwo żwiru. Nieduża skała lecąca za nią ciągnęła ogon. Widać było, że sama przejdzie daleko od bazy, ale chmura żwiru rozerwie ich bąble na strzępy.

Musiał dostać się tam jak najprędzej i szybko uciec.

Wciągnął w płuca jeszcze trochę tlenu i wyznaczył orbity Trojanów z uwzględnieniem

najgorszej ewentualności. Wyglądało to dobrze - dla niego. Aż się wzdrygnął; choć został potraktowany fagiem, i tak wiedział, co się stanie, kiedy medycy dowiedzą się, że są załatwieni.

Zobaczył, że Topanga się uśmiecha. Fag wpływał na nią lepiej niż środki uspokajające.

- Nie ma się czym martwić, astronautko. Golly nie da im cię dopaść.

- Powietrze. - Próbowwała wskazać system podtrzymania życia, który od dawna sygnalizował stan alarmowy.

- Wiem, astronautko. Dostaniemy powietrze w bazie medycznej. Posłała mu dziwny uśmiech, jak nie Topanga.

- Co tylko powiesz, mój mały. - Chrapliwy szept: - Wiem, zachowałeś się wspaniale...

Wyciągnęła rozpaloną dłoń. Tego na pewno nie potrafił znieść. Nie mógł odżałować, że jego muzyka przepadła.

- Powiedz nam parę strof po drodze, astronautko. Jednak była zbyt słaba.

- Przeczytaj mi...

W jej przeglądarce było tego pełno.

- *W obrotach zachwył zapach nafty ma.* - Trudne do pojęcia, lecz nagle migotliwe litery zmieniły się w muzykę, która wezbrała mu w gardle. - *Człowiek się słyszy jak maszyny lot!* - zaintonował, wiedziony przez duchy.

- *Jakież wyzwania kryją się wśród gwiazd! Dusza, siłą spalania uskrzydłona, już lepiej wie, jak się pokłoni Mars...*

...Naprawdę dobrze zrobił - co właśnie odkrył - że włączył automatycznego pilota i pozostał w skafandrze.

Pierwszym wyraźnym wrażeniem, które dotarło do niego w bazie medycznej, był widok wielkich brązowych ślepi szympansa, wpatrujących się w jego oczy przez sondę błyskową. Szarpnął się i spostrzegł, że leży rozebrany i związany na stole. Zabawnym uczuciem był luksus symulowanej grawitacji. Szympans okazał się małym, przysadzistym typkiem w lekarskim fartuchu, który teraz oswobodził go z więzów.

- Mówiłam ci, że to nie fagarz. - Głos należał do kobiety. Wyciągając szyję, Gollem zauważył, że właścicielka głosu nie była ani trochę dziewczyną i wyraźnie brakowało jej podbródka. Szympans w końcu przedstawił się jako główny medyk Kranz.

- Cóż to znowu za statek? - spytała kobieta, gdy Gollem włożył skafander.

- Porzucony przez właściciela - wyjaśnił. - Używali go handlarze fagiem. Moja załogantka jest zaćpana. Potrzebuje tylko powietrza.

- Jednostki energii - powiedział Kranz. - Pomogę panu z nimi.

- Nie ma potrzeby, żeby pan tam wchodził; już są przygotowane. Niech pan tylko da mi parę rdzeni metabolitu, żebym mógł zacząć oczyszczać powietrze.

Niczego nie podejrzewając, Kranz dał znak kobiecie, by pokazała drogę do magazynu. Gollem zdał sobie sprawę, że baza jest jednym wielkim, tanim bąblem z modułem sterowniczym o sztywnych ścianach. Bąbel nawet nie pozrastał się pod powłoką; wystarczyłoby parę kamieni, żeby ich wykończyć. Na oddziale było dwudziestu kilku pacjentów z oparzeniami, zapakowanych w kokony. Temida nieszczęśliwie przejmowała się oparzeniami.

Stary bywalec kosmosu pozbawiony dużej części swojego wyposażenia doczłapał do magazynu, aby go otworzyć. Gollem nabrał tyle metabolitu, ile się dało, i skierował się do śluzy. Gdy był już przy luku, kobieta złapała go za ramię.

- Na pewno pan nam pomoże? - Miała ciemnozielone oczy. Gollem skoncentrował się na jej podbródku.

- Zaraz wracam. - Wydostał się na zewnątrz.

„Ragnarok” był na uwięzi, a Gollem nie przypominał sobie, żeby o to zadbał. Dotarł do wjazdu i zauważył, że drugi koniec przymocowano do zatrząsków. W razie szarpnięcia - do widzenia.

Gdy znalazł się w środku, usłyszał głos Topangi. Pośpieszył w górę szybu.

Znowu się spóźnił.

Gdy był w magazynie, niczego niepokojący główny medyk Kranz włożył skafander i wyprzedził go.

- To jest bardzo chora kobieta, astronauto - poinformował Gollema.

- Prawowita właścicielka tego statku, doktorze. Zabieram ją do Bazy Coronis.

- W tej chwili to ja zabieram ją na swój oddział. Mamy sprzęt. Teraz chcę dostać jednostki energii.

Gollem zobaczył, że Topanga zamyka oczy.

- Ona nie ma zamiaru iść do szpitala.

- W jej stanie nie można o tym decydować - rzucił ostro Kranz. Metabolit był na pokładzie. Doktor Szympan Kranz najwyraźniej wybrał przejażdżkę donikąd. Gollem zaczął sunąć w kierunku pulpitu zapłonowego, obok kłębu tkanin Topangi.

- Chyba ma pan rację, doktorze. Pomogę panu ją przygotować i przenieść na oddział.

W małej dłoni Kranza pojawił się nieduży pistolet ogłuszający.

- Jednostki energii, astronauto. - Medyk machnął ręką w stronę szybu.

Nie było żadnych jednostek energii.

Gollem wycofał się w stronę metabolitu, mając nadzieję, że Kranz się zawaha. Nic z tego. Została tylko jedna szansa, jeśli w ogóle można było to nazwać szansą.

- Topango, ten dobry lekarz zamierza zabrać cię do swojego szpitala - powiedział głośno. - Tam się tobą troskliwie zaopiekuje.

Jedna z powiek Topangi zmarszczyła się, po czym opadła z powrotem. Stara, zniszczona kobieta. Zupełny brak szans.

- Potrafi pan sobie z nią poradzić, doktorze?

- Najpierw chcę dostać energię, i to już. - Kranz odbezpieczył pistolet.

Gollem skinął głową i ruszył w dół szybu możliwie jak najwolniej. Kranz zbliżył się, żeby go obserwować, ale z bezpiecznej odległości. Co teraz? Gollem nie mógł dosięgnąć stamtąd obwodów zapłonowych, choćby nawet wiedział, jak zrobić w nich zwarcie.

Właśnie odwrócił się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby udawać źródło energii, gdy to się stało.

Huk jak implozja molekułobąbla wstrząsnął całym szybem. Główny medyk Kranz poleciał w dół, wolno koziółkując.

- Brawo, dziewczyno! - wrzasnął Gollem. - Dorwałaś go! - Wytrącił ogłuszacz z bezwładnej dłoni Kranza i rzucił się w górę. Gdy wynurzył się z szybu, ujrzał przed sobą lufę gromownika Topangi.

- Wynoś się z mojego statku - wychrypiała. - Ty kłamliwy wszarzu w skafandrze. I zabieraj stąd swojego czterookiego kumpla konowała!

- Topango, to ja... Golly...

- Wiem, kim jesteś - powiedziała zimno. - Nie nabierzesz mnie.

- Topango! - krzyknął. Strzał przeszedł mu koło ucha i zakłuł nim.

- Precz! - Nachylała się nad szybem, ściskając gromownik. Gollem wycofał się wolno w dół, zabierając ze sobą Kranza. Postać wiedzmy na górze powiewała biotaśmą i bandażami, a włosy, które kiedyś lśniły czerwienią, sterczały teraz jak biały ogień. Na pewno oddycha czystym fagiem, pomyślał.

To nie potrwa długo. Muszę tylko grać na zwłokę.

- Precz! - wrzasnęła. Wtedy dojrzał u niej pod pachą tubę tlenową Kranza. Najwyraźniej tego dnia źle oceniał ludzi.

- Topango - zaczął błagalnie i musiał zrobić unik, bo strzeliła znowu. Nie mógł liczyć, że strzały będą ciągle chybiać. Postanowił wywlec Kranza na zewnątrz i wrócić na statek przez luk awaryjny. Przypomniał sobie, że widział spawarkę na stojaku w luku bazy medycznej.

Popchnął Kranza po uwięzi i wsunął się z nim do śluzy bazy. Kobieta czekała na drugim końcu. Gdy luk się otworzył, Gollem pchnął na nią Kranza i chwycił spawarkę. Cudo bez podbródka szybko zorientowało się w sytuacji - chwyciła spawarkę i zaczęła się siłować. Pod fartuchem miała silne mięśnie, lecz Gollem zdołał trafić ją pięścią tam, gdzie powinien być jej podbródek, i skoczył z powrotem do śluzy.

Gdy zaczął się cykl pracy, uświadomił sobie, że kobieta prawdopodobnie uratowała mu życie.

Zewnętrzna śluza miała iluminator, przez który widać było wyloty „Ragnaroka”. Gwiazdny krajobraz w ich tle zaczynał się roztopiać.

Gollem wydał nieartykułowany jęk i z trzaskiem włączył cykl zwrotny, by dostać się z powrotem do bazy. Chwilę później pomknął naprzód, ciągnąc medyków na pokład. Iluminator z tyłu zaświecił jak rozbłysk słoneczny.

Wszyscy troje wytrzeszczyli oczy na bezgłośny strumień ognia wydobywający się z „Ragnaroka”. Statek zaczął się oddalać, coraz szybciej i szybciej. Ognisty strumień zszedł z bieżącej trajektorii i w iluminatorze zrobiło się czarno.

- Pali się! Dajcie piankę!

Kranz złapał kanister ze szczeliwem i cała trójka popędziła na skraj sztywnej zabudowy, gdzie płomień z „Ragnaroka” przypalił bąbel. Gdy uszkodzenia zostały zalepione, statek był już tylko małym warkoczem ognia niknącym pośród gwiazd.

- Topanga nie lubi szpitali - wyjaśnił im Gollem.

- Jednostki energii! - powiedział Kranz niecierpliwie. - Przywołaj ją z powrotem.

Oboje zaczęli popychać Gollema w stronę pulpitu łącznościowego.

- Nic z tego. Właśnie odpaliła ostatni ładunek zapłonowy. Dokąd wystartowała, tam poleci.

- To znaczy dokąd? Do Coronis?

- Nigdy w życiu. - Podrapał się w kudłatą głowę. - Hm... Nie pamiętam dokładnie. Na Marsa, może do Słońca.

- I zabrała energię, która mogła uratować tych ludzi. - Kranz miał taką minę, jaką pewnie zwykł przybierać przy pacjentach dotkniętych gangreną. - Dzięki tobie. Proponuję, żebyś nie pokazywał mi się na oczy przez resztę naszego wspólnego istnienia.

- Wcale nie było żadnych jednostek energii - powiedział Gollem, zbierając się do wyjścia.

- Fagarze zabrali mój statek, a sam widziałeś, jaki napęd ma „Ragnarok”. Takie przyspieszenie rozerwałoby was na części.

Kobieta wyszła za nim.

- Kto to był, astronauto?

- Topanga Orlov - powiedział Gollem z bólem. - Żona Vala Orlova. Oni pierwsi dolecieli do Saturna. To ich statek, „Ragnarok”. Był ukryty w moim sektorze.

- Chciałeś tylko powietrza.

Skinął głową.

Właśnie znajdowali się koło monitora. Komputer wyświetlał na bieżąco obraz przybliżających się Trojanów. Zielony punkt był bazą medyczną, a czerwony z małżonkiem - mniejszym Trojanem i idącą za nim chmurą żwiru. Gollem zbadał wektory. Kolizja była pewna.

Nadeszła pora ciemności. Zbliżał się czas snu. Ludzie w bazie przypuszczalnie mieli jeszcze zjeść śniadanie, ale na obiad właściwie mogli już nie czekać. Mniej więcej około wczesnego popołudnia baza miała zmienić się w organiczny dodatek do chmury kosmicznego lodu.

Podobnie jak były inspektor Gollem.

Dwójka medyków wyszła na oddział, a wcześniej Kranz złagodniał na tyle, że wyraził zgodę, gdy Gollem zaproponował, że zasiądzie przy pulpicie łącznościowym. Stary astronauta przyczłapał, aby go obserwować. Widok startu „Ragnaroka” wzbudził w nim euforię.

Gollem nagrał rutynowy sygnał wzywania pomocy i począł przeczesywać pasma. Starzec mamrotał coś o statkach. Nikt nie odpowiadał, nie było na co liczyć. Raz Gollemowi wydało się, że słyszy echo Topangi, lecz nic to nie znaczyło. Musi już od dawna nie mieć tlenu, pomyślał. Opętana stara fagwiedźma na swojej ostatniej wycieczce. Dokąd ją wysłał, wyznaczając kurs? Wydawało mu się, że przypomina sobie coś o Marsie. Przynajmniej nie czekał ich sztuczny park trofeów jakiegoś kolekcjonera.

- Wiesz, co mają w tych kokonach? Dzikich lokatorów! - Starzec spojrział zezem ze swej nietkniętej strony, żeby sprawdzić, jak Gollem to odebrał. - Łysych. Świrów i lumpów. Nawet fagarzy. Lekarze, nic ich nie obchodzi. - Westchnął, podrapał się kikutem po spalonej skórze. - Wszyscy uziemieni. Długo tu nie pożyją.

- Święta racja - zgodził się Gollem. - Może do jutra. - To starca rozbawiło. Gdy zbliżała się północ, Kranz zmienił Gollema przy pulpicie. Kobieta przyniosła trochę trefnej, taniej whisky. Gollem właśnie chciał odmówić, gdy uświadomił sobie, że brzuch już go nie boli. Teraz nie było czym się denerwować. Łyknął alkoholu. Kobieta wpatrywała się w przeglądarkę.

- Była piękna - zamruczała.

- Przestań, Anno - rzucił ostro Kranz.

Nie przerwała przeglądania i nagle wstrzymała oddech.

- Twoje nazwisko. Gollem, tak? Gollem skinął głową i wyszedł popatrzeć na monitor. Teraz kobieta nazwana Anną wyszła za nim i też utkwiała wzrok w monitorze. Stary astronauta spał w kącie.

- Topanga wyszła kiedyś za niejakiego George'a Gollema - powiedziała Anna cicho. - Mieli syna. Na Lunie.

Gollem wyjął jej z ręki wkład z przeglądarki i cisnął go do zsypu na odpady. Anna nie powiedziała nic więcej. Oboje patrzyli przez chwilę na monitor. Gollem zauważył, że urok jej oczu prawie rekompensował ułomny podbródek. Nie odwzajemniła spojrzenia. Obraz na monitorze pozostał niezmienny.

Okolo czwartej kobieta weszła i zmieniła Kranza przy pulpicie, a mężczyźni usadowili się

obok, gotowi czekać.

- Tu baza medyczna Temida, proszę o odbiór. Baza medyczna Temida wzywa wszystkich...
- szeptała kobieta monotonie.

Kranz wyszedł. Oddychanie wydawało się ciężką pracą. Nagle Kranz pstryknął palcami w sąsiednim pomieszczeniu. Gollem zbliżył się do niego.

- Popatrz.

Nachylili się nad monitorem. Czerwone maźnięcie było prawie przy zielonym punkcie. Między nimi widać była żółta iskrę.

- Co to jest?

- Skala. - Gollem wzruszył ramionami.

- Niemożliwe, przejrzelismy ten rejon co najmniej dziesięć razy.

- Nie ma masy. - Gollem zmarszczył brwi. - To zjawy z monitora. Kranz zaczął systematycznie otwierać kontrolki danych wejściowych komputera. Anna opuściła pulpit i teraz też pochylała się nad monitorem. Gollem patrzył nieobecny wzrokiem, a jego umysł przebierał wśród wspomnień zniekształconych fagiem. Coś z komputerem.

Pod wpływem nagłego impulsu pośpieszył do pulpitu łącznościowego i podkręcił odbiornik do oporu. Odebrał tylko kakofonię pisków i gwizdów, front parcia nadlatujących skał.

- Co to jest? - Oczy Anny fosforyzowały.

- Nic.

Kranz skończył sprawdzanie kontrolek. Żółta zjawy pozostała na monitorze, sunąc w stronę czerwonego maźnięcia. Gdyby to była skala, a jej masa przekraczała by mniej więcej stukrotnie tę, która była możliwa, mogłaby przemieścić chmurę żwiru lecącą za Tro Janem. Niestety, to nie była skala.

Gollem manipulował monotonie przy pulpicie. Stary astronauta chrapał. Minuty zastygły. Kranz otrząsnął się, ruszył z Anną na obchód oddziału. Kiedy wrócili, zatrzymali się przy monitorze.

Cokolwiek to było, nie zniknęło i zbliżało się do Trojana.

W pewnej chwili w nierzeczywistej aurze wypełnionych mętnym światłem godzin Gollem natrafił na to, błędząc w burzy kosmicznego zgiełku:

- Mam kontakt! Val! Już lecę...

Stłoczyli się wokół niego, gdy judził tunery, lecz więcej niczego nie znalazł. W tym momencie w sąsiednim pomieszczeniu popłynęła fala sygnałów i wszyscy popędzili do monitora. Nie działał; komputer zabezpieczył się przed przeciążeniem indukcyjnym.

Nigdy się nie dowiedzieli, co się właściwie stało.

- To możliwe - stwierdził Gollem. Dawno minęło południe, gdy wreszcie zdecydowali się coś zjeść. - Kiedy lecieliśmy do was, na pewno wyznaczyłem drogę tego Trojana do samej bazy, zanim mnie naprawdę otumanilo. Może wsadziłem mostek do przelicznika kursu, może już tam był. Powiedzmy, że Topanga wystartowała bez wyznaczania kursu. Te stare maszynki są nastawione na wyszukiwanie. Możliwe, że wszystko się przekręciło i statek poszedł z powrotem z tamtej trajektorii prosto na skalę.

- Ale twój statek nie miał masy - sprzeciwił się Kranz.

- To był kosmiczny wymiatacz z potężnym napędem. Przepustnicę miał w rozsypce. Mógł przebić się cały przez chmurę żwiru i wybuchnąć w zderzeniu z Tro Janem. Byłoby z tego małe słońce.

Roztrząsali to jeszcze w porze ciemności. I jeszcze później, gdy Gollem bez specjalnego powodu wyglądał z Anną przez iluminatory. Długo potem pokazał jej rękopis, który przytwierdził do ściany w Wolnej Enklawie Bazy Medycznej:

Wstrzelone w przepaścistych kopuł głąb

Ku niezmiernym krańcom, po wielkanocny blask

Maszyny roztaczają seraficzny wdzięk

Z wizgiem cylindrów niknąc pośród gwiazd.

The logo for Bevitore, featuring the word "Bevitore" in a white serif font centered within a dark red rectangular background.

Spis treści

Wstęp

A.E. van Vogt

RULL

James H. Schmitz

DRUGA NOC LATA

L. Sprague de Camp

GWIZDEK GALTONA

Jack Vance

NOWY NAJWYŻSZY

C. M. Kornbluth

TA CZĄSTKA CHWAŁY

Leigh Brackett

OSTATNIE DNI SHANDAKORU

Murray Leinster

MISJA BADAWCZA

Poul Anderson

LUDZIE NIEBA

Gordon R. Dickson

CZŁOWIEK W TORBIE NA LISTY

Cordwainer Smith

MALE KETKI MAMY HETKI

Brian W. Aldiss

RODZAJ SZTUKI

H. Beam Piper

BÓG PROCHU

Ursula K. LeGuin

NASZYJNIK SEMLEY

Fritz Leiber

POJEDYNEK

Roger Zelazny

BRAMY JEGO TWARZY, LAMPY JEGO UST

James Tiptree Jr.

MATKA W NIEBIE DIAMENTÓW